



Zwrot o 180°

Bolko Skowron



Zwrot o 180°

Bolko Skowron



Wydawnictwo elektroniczne SGK „Piaś”
Warszawa 2014

Warszawa 2014
SGK „Piaś”
Wydanie I elektroniczne
Autor: Bolko Skowron
Skład i łamanie własne
Projekt okładki: Rozalia Korycka

© Wszelkie prawa zastrzeżone, Bolko Skowron

TO MY WTEDY MIELIŚMY RACJĘ

13 grudnia 2011 roku zaczął się dla mnie bardzo wcześnie. Z powodu oczekujących emocji obudziłem się już o 4:30 i miałem poważne trudności z ponownym zaśnięciem. Ogoliłem się, wziąłem kąpiel, przygotowałem ubranie i podszedłem do okna popatrzeć na oświetlony latarniami plac Narutowicza przywołując z pamięci obraz miejsca znanego mi od dzieciństwa. Moja obecna kwatera mieści się przy ul. Grójeckiej 42, umieszczona w spisie www.inturs.net Apartamenty, tanie noclegi – jako Studio Narutowicza, tuż obok skrzyżowania (czy można użyć określenia „skrzyżowanie” w sytuacji, gdy ulice schodzą się pod kątem 30°?) z ulicą Kaliską, przy której, pod numerem 17-tym przyszedłem swego czasu na świat.

Ulica Kaliska jest obecnie całkowicie zamknięta dla ruchu od strony Grójeckiej mini-skwerkiem nazwanym Skwer Reduty Kaliskiej. Przy skwerku znajduje się tablica informująca, iż w tym miejscu znajdowała się karczma Ochota, od której późniejsza kolonia mieszkalna przyjęła nazwę. W 1916 roku Ochota została przyłączona do Warszawy a od roku 1951 stała się warszawską dzielnicą. Po przeciwległej stronie Skweru umieszczono tablicę o treści:

Reduta kaliska

W powstaniu warszawskim w dniach 2 – 10 sierpnia 1944 roku między ul. Grójecką, Kopińską, Białobrzeską i Słupecką oddział powstańców Armii Krajowej pod dowództwem por. Andrzeja Chyczewskiego „Gustawa” bronił przed hitlerowcami ważniej strategicznie ulicy Grójeckiej.

Polityczna poprawność nakazała autorom tablicy zapewne zastąpić Niemców hitlerowcami. Potężny budynek Akademika, po wielu remontach wygląda jak dawniej, z kilkoma różnicami: umieszczony na szczycie zegar, według którego kiedyś ludzie nastawiali zegarki, już przestał funkcjonować. Przy wejściu od ul. Grójeckiej mieści się obecnie Sklep Ogólno-Spożywczy i zatoka na końcowy przystanek autobusowy a przed samym wejściem do budynku od ul. Akademickiej znajduje się zatoka do tymczasowego parkowania. Centrum placu Narutowicza stanowi była pętla tramwajowa, z której obecnie korzystają jedynie jednostki wycofane z ruchu, oczekujące na pomoc techniczną, lub pomocy technicznej właśnie. Barak - poczekalnia dla motorniczych i konduktorów – naprawdę kiedyś tacy byli! – w dalszym ciągu znajduje się w administracji Zakładu Transportu Miejskiego, znanego kiedyś pod nazwami MPK, rozdzielonego na MPK i MPA, ponownie później połączonego pod nazwą MZK.

Swego czasu zaczynała (i kończyła) swój bieg „siódemka”, składająca się z jednego ale za to długiego wagonu, udająca się na Okęcie – znajdujące się do połowy lat 50-tych poza granicami m.st. Warszawy. Na południe od ul. Opaczewskiej zaczynała się linia jednotorowa z dwoma lub najwyżej trzema mijankami, na których więcej niż jeden wagon by się nie zmieścił. „Siódemka” była jedyną linią, po której kursowały takie jednowagonowe tramwaje, dłuższe od pozostałych. Linie kończące swój bieg na pętli przy pl. Narutowicza to głównie 25, 22 – później 20, 32 i 15-tka. Wymieniłem je w kolejności ich byłego ustawienia na pętli. Przez pętlę pl. Narutowicza przejeżdżały kiedyś jeszcze „piątka” oraz „czternastka”. Linia nr 5 została zlikwidowana kilka lat temu a nadal przejeżdżają przez pl. Narutowicza, przed skrzyżowaniem z ul. Filtrową „czternastka” i „piętnastka”.

Już od 6-ej rano w telewizji nadawane są programy poświęcone 30-tej rocznicy wprowadzenia stanu wojennego. Wbrew temu czego się obawiałem - po wynikach badań opinii publicznej, sugerujących iż ponad 50% społeczeństwa uważa, iż wprowadzenie stanu wojennego przez juntę Jaruzelskiego było słuszne – wszelkie dzisiejsze opinie i komentarze zdecydowanie to wydarzenie potępiają. Wciąż jeszcze odczuwałem niesmak po wczorajszej niefortunnej wypowiedzi Daniela Olbrychskiego, tkwiącego nadal w obchodach jubileuszu 50-lecia pracy aktorskiej, który nawiązując do 30-ej rocznicy wprowadzenia stanu wojennego zwrócił się twarzą do kamery, mówiąc:

„Generale, proszę przyjąć najserdeczniejsze życzenia dużo zdrowia i ja naprawdę tak myślę.”

Dziwny człowiek z tego Olbrychskiego; w stanie wojennym był aktywnym członkiem Prymasowskiego Komitetu Pomocy Więzionym i Internowanym, później wywijał szablą w Zachęcie a teraz kadzi Jaruzelskiemu. Chyba, że używając zwrotu „generale” miał na myśli generała Schwartzkopfa, w co raczej wątpię, z uwagi na ograniczony zasięg TVP oraz znajomość języka polskiego przez domniemanego adresata życzeń. Poza tym zgrzytem, zarówno wczoraj wieczorem jak i dzisiaj dominowały wypowiedzi potwierdzające solidny kontakt dyskutantów ze znajomością historii i zdrowym rozsądkiem.

Głos zabrał m.in. Henryk Wujec – mój współtowarzysz niedoli z Białoleki – który stwierdził z całą stanowczością, iż wówczas, w grudniu 1981 roku nie istniało zagrożenie zbrojną interwencją Związku Sowieckiego. Rozwijając krótki komentarz Henryka przypominę iż, Związek Sowiecki był w roku 1981 zaangażowany w Afganistanie. Ogromny zespół tzw. „doradców” szkolił irackie siły zbrojne do późniejszej, nieudanej zresztą, agresji Kuwejtu, a za-

tem ewentualne przerzucenie znacznej ilości sił na granice z Polską nie wchodziło w rachubę. Administracja USA była poinformowana dokładnie przez wywiad, iż ekonomia Związku Sowieckiego a wraz z nim krajów satelickich waliła się w gruzy i ostatnią rzeczą, na którą Ruscy mogli sobie pozwolić to sankcje amerykańskie, których i tak nie udało się uniknąć po wewnętrznej agresji, dokonanej przez juntę p.n. WRON z 13 grudnia. Podobno generał Jaruzelski w dniu wczorajszym przeprosił za stan wojenny. Komentując to Wujec zauważył:

„Generał powiedział, że przeprasza, a jednocześnie, że zrobiłby to samo, więc tym drugim skasował to pierwsze. Lepiej byłoby, gdyby nie mówił nic. Generał jest już starym, schorowanym człowiekiem, kiedy ma się z nim do czynienia nie pała się żądzą zemsty”

Henia pamiętałem jeszcze z Biura Interwencji Regionu Mazowsze a ostatnio jego nazwisko pojawiło się podczas negocjacji z Panią Marzenną Pawlak – Głównym Specjalistą Biura Odznaczeń przy Kancelarii Prezydenta. Początkowo miałem otrzymać odznaczenie z rąk wojewody mazowieckiego w dniu 16 grudnia. Niestety, 16 grudnia musiałem się już stawić w pracy a bilet powrotny miałem wykupiony na 15-go. - W takim razie prześlemy odznaczenie do Ambasady RP w Waszyngtonie – zaproponowała Pani Marzenna.

- Do Waszyngtonu mam 8 godzin jazdy a w Warszawie będę blisko 2 tygodnie, czy nie uda się tych spraw jakoś pogodzić? – zapytałem, a następnie dodałem, iż jest mnie wszystko jedno, kto mi to odznaczenie wręczy i wówczas Pani Marzenna zaproponowała doradcę Prezydenta Henryka Wujca, na co się bardzo ucieszyłem.

Tydzień temu, 6 grudnia, Jagoda, która właśnie przyszła do mnie, odebrała telefon od Pani Marzenny i natychmiast przekazała

mnie.

- Odznaczenie otrzyma pan z rąk Pana Prezydenta, 13 grudnia w Pałacu Prezydenckim – usłyszałem. – Pod jaki adres mam wysłać zaproszenie? – zapytała Pani Marzenna. – Pod żaden – odpowiedziałem szybko. – Jutro z samego rana stawię się osobiście w Kancelarii Prezydenta i sam odbiorę.

Następnego dnia oczywiście stawilem się w Kancelarii Prezydenta przy ul. Wiejskiej 10, gdzie Pani Marzenna wręczyła mi zaproszenie dla mnie i osoby towarzyszącej na uroczyste wręcze-

nie odznaczeń państwowych w dniu 13 grudnia 2011 roku. Jest to prze-miła osoba, która poświęciła znacznie więcej czasu i uwagi, niż wynikało z jej obowiązków, na takie załatwienie sprawy, by satysfakcja z otrzymania odznaczenia była dla



Zdjęcie 1: W Pałacu Prezydenckim

mnie pełna i odbyła się w pełnej gali.

W telewizji ukazał się napis zachęcający osoby posiadające wspomnienia z okresu wprowadzenia stanu wojennego o nadsyłanie SMS-ów pod podany numer. Wysłałem krótki SMS z powiadomieniem, iż wkrótce wybieram się do Białoleki a następnie do Pałacu Prezydenckiego. W kilka minut później odebrałem telefon z telewizji z pytaniami o szczegóły podanej przeze mnie informacji.

- Czy siedział pan razem z Prezydentem?

- Tak – odpowiedziałem.

- Czy miał pan okazję poznać go osobiście?

- Nie – zaprzeczyłem. – Było nas tam wówczas ponad 200

osób a kontakty między poszczególnymi celami były bardzo ograniczone w okresie, w którym Pan Prezydent tam przebywał, zanim



Zdjęcie 2. Gala po uroczystości

został wywieziony do Jaworza.

- Czy zechciałby pan udzielić krótkiego wywiadu dla telewizji?

- Bardzo chętnie, tylko ja przed godzina 10-tą muszę wyjść, żeby zdążyć na uroczystości.

- Okey, to jeszcze się z panem skontaktujemy.

Do ponownego skontaktowania się nigdy nie doszło. Sprawdziłem na stronie ZTM połączenia z pl. Narutowicza do Białoleki, z których wynikało, iż aby zdążyć na rozpoczęcie uroczystości odsłonięcia pamiątkowej tablicy na murze Aresztu Śledczego oraz izby

pamięci wewnątrz tej instytucji, musiałbym wyjść z domu 1 godz. 45 min. wcześniej, co mnie się nie bardzo uśmiechało. Przy ul. Barskiej, na skrzyżowaniu z ul. Grójecką znajduje się postój taksówek, stojących tam o każdej porze i to rozwiązanie wybrałem opuszczając dom na godzinę przed rozpoczęciem uroczystości. Rozmowna pani kierowca zadała mnie pytanie po co udaję się taksówką do więzienia, na co udzieliłem jej pobieżnego wyjaśnienia.

- Rzeczywiście, to dzisiaj jest rocznica stanu wojennego – powiedziała. - *Ja niewiele z tego pamiętam, bo byłem dzieckiem ale mój ojciec był w „Solidarności” i od niego wiem ile krzywd stan wojenny ludziom wyrządził.*

Nie miałem ochoty na udzielenie lekcji historii osobie nie wykazującej zbytniego entuzjazmu jej zgłębieniem, a koncentrującej się raczej na robotach drogowych, utrudniających jej pracę. W niecałe 40 minut znaleźliśmy przy ul. Ciupagi w Białoleścu, zamkniętej w godz. 9:00 – 14:00 dla ruchu. Po wyjściu z taksówki przeszedłem kilkadziesiąt metrów wzdłuż muru, aż dotarłem do głównej bramy więzienia, gdzie już pomału zaczęli zbierać się goście a ekipy telewizyjne rozstawiały swój sprzęt. Oficer stojący przed barierką odgradzającą uczestników uroczystości nie znalazł mnie na liście gości ale bez wahania dopisał moje nazwisko a następnie wręczył wizytówkę identyfikacyjną z napisem GOŚĆ. Jako jeden z pierwszych gości zjawiał się ksiądz – obecnie infułat – Jan Sikorski, nasz ulubiony kapelan, który obok księdza – obecnie biskupa Dembowskiego podtrzymywał nas moralnie i psychicznie na duchu podczas niedzielnych wizyt 30 lat temu. Uściskaliśmy się serdecznie wymieniając zdawkowe uwagi o naszych, lekko zmienionych wyglądach zewnętrznych.

W miarę nadchodzenia kolejnych uczestników witałem się z kim się tylko dało, przedstawiając się. Z drugiej strony padały

nazwiska przywołane obecnie z pamięci po 30-tu latach: Jarek Golszewski, Witold Chodakiewicz, Tadeusz Szozda, Wiktor Ćwiklik. Innych rozpoznawałem bez trudu: braci Bogusia i Witka Siewicza – obecnie burmistrza Dzielnicy Warszawa- Żolibórz, Marka Kossakowskiego rozpoznałem po jego zdjęciu na Facebook – nieco posiwiiał w ciągu tych 30-tu lat, podobnie jak Ludwikę Wujec. Witając się, i ponownie przedstawiając z Waldkiem Pernachem, powiedziałem:

- *Słyszałem, że jesteś autorem wspomnień z interny a z Białołęki w szczególności?*

- *Zgadza się* – odpowiedział Waldek – *książka jest do nabywania na stoisku wewnątrz więzienia.*

W tym momencie, ktoś podszedł do nas bardzo blisko i zaczął mnie się bacznie przyglądać złożywszy ręce na plecach i przekrzywiwszy głowę. Ja również przyglądałem mu się z zaciekawieniem, zdając sobie sprawę, iż go dobrze znam ale za żadne skarby nie mogłem skojarzyć twarzy pana z wąsami, w ciemnych okularach, ubranego m.in. w czarną koszulę i czarny krawat, w dużym kapeluszu, z jakimkolwiek nazwiskiem. Przepraszam, komórki pamięci się wyłączyły, bądź tak dobry i się przedstaw – powiedziałem. - Za nic nie mogę sobie przypomnieć nazwiska.

- *Gdybyś się przed chwilą nie przedstawił, też bym cie nie rozpoznał* – odpowiedział. - *Wiesiek Molasy jestem.*

Padliśmy sobie w objęcia, ściskając się wzajemnie ze wzruszeniem. Wiesiek był jednym z 9-ciu współtowarzyszy celi nr. 19 w baraku OZ1, gdzie rozpocząłem moją wędrówkę „szlakiem Wronich gniazd” jak miałem później napisane na plecaku. Wiesiek wyemigrował do Szwecji mniej więcej w tym samym czasie co ja do USA i przez dłuższy czas utrzymywaliśmy korespondencję. Ani on ani ja nie mogliśmy sobie przypomnieć, kiedy ta korespondencja

się urwała. Okazało się, że obaj jesteście na emeryturze, jakkolwiek Wiesiek bardzo się zdziwił, iż powróciłem do pracy na pełny etat i to do najmniej spodziewanej instytucji. Powspominaliśmy wspólnych znajomych z 19-ki; ja mam kontakt wyłącznie z Witkiem Kazańczukiem – byłem przewodniczącym Komisji Zakładowej Solidarności przy ZWAR, do 1987 roku miałem kontakt z Leszkiem Truchlewskim „Truflem” – działaczem Niezależnego Harcerstwa, później kolporterem wydawnictwa „Spotkania” w Paryżu, który wrócił do Polski i odtąd nie mam na niego namiaru. Do 1985 roku miałem kontakt z Wojtkiem Kamińskim – byłem przewodniczącym KZ przy Miejskich Zakładach Komunikacyjnych, który zainstalował się w Dallas, gdzie miał dobrą posadę, a Monika – jego żona a zarazem córka działacza Solidarności w MZK Franciszka Kosiackiego, który zmarł wkrótce po wyjściu z „interny” – prowadziła kwiaciarnię. Utrzymywałem nieregularny kontakt z Jurkiem Bielcem – inżynierem metalurgiem oraz podobnie jak Wiesiek, działaczem Solidarności w ZM Ursus. Po wyemigrowaniu do USA Jurek wylądował początkowo w Elko, Nevada a później dostał ciekawą pracę w kopalni złota w Arizonie. Kontakt nam się urwał jeszcze wcześniej niż z Wojtkiem. Wiesiek z kolei wiedział coś o obecnym whereabouts Jarka Mordaka i Jurka Okipnego. Żaden z nas nie wiedział nic o losach Andrzeja Skowrona (przypadkowa zbieżność nazwisk) inżyniera i działacza Solidarności z Państwowej Inspekcji Radiowej czy Waldka Jakubiaka – działacza Solidarności i pracownika technicznego Uniwersytetu Warszawskiego. Wkrótce pojawił się, z ogromną planszą upamiętniającą okres internowania w Białolecie były w-ce Przewodniczący Krajowej Komisji Solidarności Rolników Indywidualnych, a po obaleniu komuny działacz i przewodniczący PSL, Senator, poseł na Sejm, oraz były minister rolnictwa Gabriel Janowski. Przywitałem się z Gabrysiem, przedstawiając się, na co

odpowiedział:

- Pamiętam cię nie tylko z interny ale również z filmu „Obmurowana wolność”.

Miło być rozpoznanym przez tak wybitną osobistość, a wkrótce później przypomniał mnie sobie po wzajemnym przedstawieniu, obecny doradca Prezydenta Henryk Wujec^{III}. Zjawili się również znani mi osobiście z Białoleki a następnie z kontaktów tak osobistych jak organizacyjnych: Prezes Stowarzyszenia Wolnego Słowa Wojtek Borowik oraz Przewodniczący Komisji Rewizyj-

1. „Henryk Wujec – ... Działacz społeczno-polityczny. Działalność społeczną rozpoczął w 1962 r. jako członek Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie. Członek honorowy KIK. Od roku 1976 był współpracownikiem KOR, a od 1977 r. członkiem KSS „KOR”, redaktorem podziemnego pisma „Robotnik” i współorganizatorem Wolnych Związków Zawodowych. W 1980 r. zakładał „Solidarność”. Członek Komisji Krajowej NSZZ „S” i członek Zarządu Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność”. Po wprowadzeniu stanu wojennego był więziony w latach 1981–1984 i od czerwca do września 1986 r. Do roku 1989 zaangażowany w działania podziemnej „Solidarności”, od 1987 r. do 1990 r. sekretarz Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „S” Lechu Wałęsie. (Usunięty z funkcji KO bez podania przyczyn przez Lecha Wałęsę, który na jego miejsce powołał bardzo konfliktowego Zdzisława Najdera. przyp. mój) W 1989 r. uczestnik obrad Okrągłego Stołu w Zespole ds. Pluralizmu Związkowego. W latach 1989–2001 był posłem na Sejm, od 1997 do 1999 r. współprzewodniczącym Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Od 1999 r. do 2000 r. sekretarzem stanu w Ministerstwie Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Był sekretarzem Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, Klubu Parlamentarnego Unii Demokratycznej, Klubu Parlamentarnego Unii Wolności i Wiceprzewodniczącym Klubu Parlamentarnego Unii Wolności w latach 1997–1999. Członek Unii Demokratycznej, Unii Wolności i Partii Demokratycznej do sierpnia 2006 r. Współzałożyciel i w latach 1992–1997 Przewodniczący Rady Nadzorczej Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych „TUW”, współzałożyciel (2004 r.) i Przewodniczący Rady Polskiej Izby Produktu Regionalnego i Lokalnego, a od czerwca 2009 r. Prezes Zarządu Izby, Przewodniczący Stałej Konferencji Ekonomii Społecznej (SKES) w Polsce, a od kwietnia 2009 r. zastępca Przewodniczącego powołanego przez Premiera Zespołu do spraw rozwiązań systemowych w zakresie ekonomii społecznej. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za udział w tworzeniu Wyższej Szkoły Zawodowej w Chełmie (2002 r.) i Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (2006 r.) w 30 rocznicę powstania KOR. Laureat nagrody im. Andrzeja Bączkowskiego (2006 r.). Honorowy obywatel miasta Biłgoraj (2009 r.). Żonaty z Ludwiką Wujec, ma syna Pawła i dwoje wnucząt – Maję i Kubę”.

nej SWS, a w okresie Solidarności współzałożyciel Stowarzyszenia Funkcjonariuszy MO Godność, po upadku komuny Szef Komendy Stołecznej Policji Witek Mikusiński. Archidiecezję Warszawską reprezentował ks. biskup Marek Solarczyk a obecny był również Sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa dr. hab. Andrzej Krzysztof Kunert. Naczelnik Aresztu Śledczego Warszawa-Białołęka otworzył uroczystość odsłonięcia tablicy upamiętniającej 30-tą rocznicę uwięzienia w tym kompleksie internowanych działaczy Solidarności, NZS, Stowarzyszenia Funkcjonariuszy MO Godność, oraz wszelkich odcieni opozycji demokratycznej. Następnie doradca Prezydenta Henryk Wujec odczytał list – posłanie Prezydenta, które w całości cytuję:

Uczestnicy uroczystości odsłonięcia tablicy upamiętniającej istniejący w latach 1981-1982 Ośrodek Odosobnienia oraz otwarcia Izby Pamięci Internowanych w Areszcie Śledczym w Warszawie-Białołęce

Szanowni Państwo! Drodzy Koledzy!

Serdecznie pozdrawiam organizatorów i uczestników uroczystości odsłonięcia tablicy upamiętniającej ośrodek internowania z lat 1981-82 oraz otwarcia Izby Pamięci Internowanych w areszcie na warszawskiej Białołęce. Dokładnie 30 lat temu utworzono tu jeden z kilkunastu „ośrodków odosobnienia” dla działaczy „Solidarności” i opozycji demokratycznej, w którym przetrzymywano blisko 700 osób. Wśród nich znalazłem się także i ja. Mój stosunek do tego miejsca jest więc szczególny. W podobnych ośrodkach w całym kraju podczas stanu wojennego więziono w sumie niemal dziesięć tysięcy rzeszę opozycjonistów.

W tamtą noc z 12 na 13 grudnia 1981 roku przerwano nam piękny sen o wolnej i demokratycznej Polsce. Ale kiedy komunistyczne władze wprowadziły stan wojenny, my, internowani, nie

mieliśmy poczucia klęski. Wręcz przeciwnie: byliśmy przekonani, że sięgająca po wojsko i pałki władza daje w ten sposób wyraz swojej desperacji i – w gruncie rzeczy – bezsilności. Uważaliśmy, że kto odstępuje od dialogu, łamie zawarte umowy i stosuje brutalną siłę, ten demonstruje tym samym, że nie ma racji. Czas przyznał tę rację nam. Sen o wolności, wtedy przerwany, jeszcze za naszych dni stał się rzeczywistością. Z perspektywy współczesnej, suwerennej, zakorzenionej w Europie Polski tamte zdarzenia wydają się etapem na drodze do wolności – etapem ciemnym, dramatycznym, ale jednak zwieńczonym zwycięstwem.

Mimo to, właśnie w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego musimy przypomnieć, że nie wszystkim dane było doczekać tryumfu wolności. Wielu swoje marzenia o wolnej Polsce przypłaciło nie tylko internowaniem czy zwolnieniem z pracy, ale własnym życiem. Nie wolno nam zapominać o ich ofierze. Nasza niepodległość tkwi korzeniami w odwadze tych wszystkich, którzy konsekwentnie, czasem za najwyższą cenę, trwali przy sprawie wolności. I dlatego w imieniu Rzeczypospolitej dziękuję tym wszystkim, którzy pielęgnują pamięć o walce „Solidarności” z komunistycznym reżimem.

Także i dziś w wielu miejscach świata toczą się zmagania o poszanowanie ludzkiej autonomii i godności. My, którym dane było doświadczyć zwycięstwa wolności, powinniśmy służyć walczącym o nią naszym wsparciem i radą. Ważne, by w tym przekazie zawsze było obecne pojęcie dialogu jako sposobu na rozwiązywanie nawet najtrudniejszych sytuacji. Taki dialog ludzie „Solidarności”, mimo doznanych w stanie wojennym upokorzeń i krzywd, gotowi byli podjąć z przedstawicielami ówczesnej władzy – dla dobra Polski. Dzięki tej mądrości dialogu dziś żyjemy w wolnym kraju. Nie tylko walka, ale też zdolność do rozmowy i kompromisu jest

przesłaniem „Solidarności”, które po 30 latach wciąż zachowuje swą aktualność.

Bronisław Komorowski

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

Tych argumentów, wypowiedzianych słowami przedstawiciela najwyższej władzy wolnej Polski, często mnie brakowało w wielu dyskusjach z osobami, uważającymi, iż wprowadzenie stanu wojennego przez junte Jaruzelskiego było prawnie, moralnie i politycznie uzasadnione. Prezydent Komorowski w swym posłaniu dał również odpór tym nawiedzonym, którzy dziś wieczorem (a może uczynili to wczoraj?), składali kwiaty przed willą Jaruzelskiego przy ulicy Ikara. Następnie zabrali głos: Sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa dr. hab. Andrzej Krzysztof Kunert, Burmistrz Dzielnicy Warszawa-Żolibórz – były działacz opozycji i więzień Białołęki Witold Sielewicz, Prezes Stowarzyszenia Wolnego Słowa Wojciech Borowik, który odczytał listę – niepełną zresztą – tych, którzy nie doczekali dzisiejszego dnia odchodząc na wieczną wartę.

Wymienieni zostali m.in: Arkadiusz i Stefan Melak – dobrze znani mnie nie tylko z interny ale również z działalności internowanie poprzedzającej w Konfederacji Polski Niepodległej, a w szczególności w Obywatelskim Komitecie Budowy Pomnika Ofiar Zbrodni Katyńskiej, Jacek i Maciek Kuroń, Anatol Lawina, Marek Nowicki, gen. Bryg. Antoni Heda „Szary”, Jerzy Buława, Henryk Bąk, który w Białołęce zasłynął jako organizator tzw. spartakiady białołęckiej oraz czynny uczestnik wszelkich form rekreacji fizycznej – po upadku komuny był posłem na Sejm reprezentując PSL i pełniąc funkcję wicemarszałka, Bogdan Grzesiak, Bronisław Gerek, Janusz Szpotański, Maciek Zembaty. Z niewymienionych do-

dam jeszcze kilka nazwisk: Piotr Mroczyk, Przewodniczący Komisji Zakładowej w Telewizji i późniejszy działacz emigracyjny, mój kolega z celi # 7 w OZ-2, były Skarbnik Zarządu Regionu Mazowsze Maciej Madeyski – zmarły w San Francisco, Tadeusz Stachnik – działacz KPN, ujawniony później współpracownik SB. Przemawiał jeszcze dr hab. Andrzej Kunert i ks. Biskup Marek Solarczyk. Po poświęceniu miedzianej tablicy w kształcie konturu Polski wspólnie przez ks. Infułata Jana Sikorskiego oraz ks. Biskupa Marka Solarczyka, odsłonięcia dokonali Sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa dr. Hab Andrzej Krzysztof Kunert oraz Prezes Stowarzyszenia Wolnego Słowa Wojciech Borowik. Treść napisu na tablicy:

Po 13 grudnia 1981 władze PRL łamiąc podstępnie dążenia Polaków do wolności uwięzili ponad 10 tysięcy działaczy Solidarności i opozycji demokratycznej. W więzieniu w Białołęce przetrzymywano w sumie 679 osób. Po ośmiu latach Solidarność zwyciężyła. Żyjemy obecnie wolni w niepodległej Polsce, pamiętamy o tych, którzy o nią walczyli.

Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa. Stowarzyszenie Wolnego Słowa.

13 grudnia 2011.

Poza programem do mikrofonu podeszła Ludwika Wujec – działaczka KOR, więzień Olszynki i Gołdapi a przy okazji żona Henryka, z którą w międzyczasie zdążyłem zamienić kilka słów. Poprosiła zgromadzonych by nie zapomnieć o internowanych 30 lat temu kobietach.

„Nie zapomnimy, zabrzmiało tu i ówdzie”.

Porozmawiałem chwilę z Ludwiką wymieniając wspólne znajome: Izę Kobzdej – obecnie Kazańczuk a zarazem małżonkę mojego kolegi spod 19-ki, Zenię Łukasiewicz, którą poznaliśmy w

obozie przejściowym w Bad Soden a następnie przez pewien czas dzieliliśmy mieszkanie w Detroit, Ewę Sułkowską-Bieriezin, również poznaną w Bad Soden a następnie znajomą z działalności polonijnej w Detroit. Ludwika bardzo się wzruszyła wiadomościami, zwłaszcza o Izie, z którą nie miała kontaktu od czasów interny.

- *Czemu w takim razie nie akceptujesz mnie w gronie znajomych na Facebook?* – spytałem.

- *A to przypomnij mi jeszcze raz nazwisko* – powiedziała Ludwika.

- *Bolko Skowron do usług.*

Następnie uczestnicy spotkania zaproszeni zostali przez kierownictwo więzienia do zwiedzenia Izby Pamięci poświęconej okresowi internowania nas w tej instytucji. I znów, po 30 latach otwarła się przed nami ciężka brama więzienia, którą tym razem przekraczaliśmy na piechotę, w asyście przyjaznych nam oficerów Straży Więziennej. Wejście na OZ –Oddział Zewnętrzny, na którym



*Zdjęcie 3: Na terenie obozu. Pierwszy od prej
- Bolko Skowron*

większość z nas spędziła okres pobytu w Białoleńce – było zamknięte, a wskazano nam drogę w kierunku pawilony byłego Zakładu Karnego. Poza drogą na trawnikach ustawione były koksowniki, przy których grzali się pracownicy więzienia poprzebierani

w mundury ówczesnego ZOMO, w asyście psów. W takiej scenarii przeprowadzano 30 lat temu z pawilonu więziennego do OZ, internowanych tuż po wprowadzeniu stanu wojennego, na kilka

godzin przed jego ogłoszeniem. Jakże ta pełna grozy i niepewności dalszych losów sceneria różniła się od dzisiejszej, przypominającej atmosferę pikniku, podczas którego zwiedzający – byli internowani, fotografowali się w towarzystwie przebranych ZOMO-wców.

Również dzisiejsza pogoda nie przypominała w niczym tamtej, sprzed 30-tu lat, jadowicie mroźnej i śnieżnej. Dobiegło południe, temperatura wynosiła kilka stopni powyżej 0°C, bezwietrznie, na częściowo tylko zachmurzonym niebie świeciło słońce, ani śladu śniegu na zieleniejących trawnikach. Wchodząc na teren więzienia porównywałem nie tylko przedział czasowy dzielący tamte czasy od dnia dzisiejszego ale również architekturę, wyposażenie, strukturę różniące Białołękę od Evans Correctional Institution.

W Białołęce na szczycie murów również widać było tzw. razor wire czyli drut z przypocowanymi doń cieniutkimi blaszkami, ostrymi jak brzytwa, skąd urządzenie wzięło swą nazwę, zastępujące przestarzały drut kolczasty. Więzienie w Białołęce ogrodzone jest murem, składających się z betonowych płyt nakładanych na siebie, podczas gdy Evans, podobnie jak inne zakłady podlegające South Carolina Department of Corrections, ogrodzony jest siatka, zabezpieczoną od dołu i na szczycie kilkoma zwojami razor wires. W Evans drzwi do poszczególnych cel wyposażone są w wąskie, podłużne okna umożliwiające dwustronny, wizualny kontakt osadzonych w celach oraz poza nimi.

W Białołęce nadal drzwi są pełne wyposażone w zasłonięty ruchomą klapką wziernik zwany w żargonie więziennym „lipem” albo „judaszem”. Nie mogłem sobie odmówić zaspokojenia ciekawości i odsłoniłem „lipo” kilkakrotnie sprawdzając obecność mieszkańców poszczególnych cel. Podążaliśmy w asyście wysokich rangą oficerów Służby Więziennej, dwóch spośród nich nosiło generalskie wężyki na czapkach a niewiele osób – płci obojga, czego

nie było 30 lat temu, gdy personel mundurowy składał się wyłącznie z mężczyzn – posiadało stopień niższy od majora (lub jego odpowiednika w SW). Niżsi rangą oficerowie pełnili służbę przy kraciastych drzwiach na poszczególnych kondygnacjach, sztywno wyprostowani i oddający honory szarżom.

Kierownictwo Aresztu Śledczego udostępniło również jedną, opróżnioną z węźniów celę zwiedzającym. Znow porównanie zarówno do sytuacji sprzed 30-lat oraz do Evans. Zza okien zniknęły t.zw. „blindy”, znajdujące się w pawilonach ZK Białoleka, czyli arkurze blachy z wywierconymi otworkami średnicy ok. 1cm, przez które światło dzienne wpadało w bardzo ograniczonym zakresie, nie mówiąc już o możliwości oglądania świata zewnętrznego przez osadzonych. Blindy były ustawione pod kątem; równoległa, dolna krawędź była przymocowana do dolnej krawędzi okna, podczas, gdy górna odchylona była o kilkanaście cm, co umożliwiało mieszkańcom cel oglądać chmurki. Zniknęły również t.zw. „tygrysów”, czyli klatki przymocowane do ram okiennych, zamykane na kłódkę, uniemożliwiające otwarcie lub zamknięcie okna bez udziału, posiadającego klucze „klawisza” „Klop” czyli muszla klozetowa, w specjalnie dla zwiedzających przygotowanej celi, błyszczał czystością. Czystość klopa zależała jednak wyłącznie od kultury mieszkańców poszczególnych cel a nie od narzuconych warunków więziennych. Do cel doprowadzona została ciepła woda, która za naszych czasów dowożona była z kuchni w ogromnym kotle. Nie trudno sobie wyobrazić jaką temperaturę miała „ciepła” woda w naszych wiadrach w okresie zimowym. Koce wyglądały na przyzwoite a przede wszystkim były znacznie grubsze, niż za naszego pobytu, kiedy posiadały grubość pojedynczej strony „Trybuny Ludu” (gazety, drukowanej na najgrubszym papierze). Ściany cel udekorowane podobnie jak w Evans czyli mieszanina symboli



Zdjęcie 4: W Celi na Warszawskiej Białolece

religijnych i kolorowych zdjęć modelek, reklamujących seksowną bieliznę lub kostiumy bikini. Za naszych czasów na ścianach cel w obozach internowania dominowały symbole religijne i polityczne, jak np. emblematy Solidarności, KPN, NOWa, kotwice Polski Walczącej, portrety Ojca Św. Jana Pawła II, Matki Boskiej Katyńskiej, karykatury Jaruzelskiego czy Breżniewa, itd. Nasze cele często odwiedzali przedstawiciele Kościoła; księża, biskupi a nawet Prymas Józef Glemp, a zatem wszelkie erotyczne dekoracje byłyby bardzo źle odebrane i niestosowne. Miłym zaskoczeniem było dla mnie – i chyba nie tylko dla mnie – utworzenie Izby Pamięci poświęconej nam – osobom uwięzionym w tym zakładzie 30 lat temu – z inicjatywy personelu więzienia.

Na początku roku 1982, WRONa wpadła na idiotyczny pomysł przysłania do Białoleki agitatorów mających przekonywać nas o słuszności nie tylko wprowadzenia stanu wojennego ale również naszego, bezprawnego uwięzienia. Obaj prelegenci nie mieli nam nic do zaoferowania poza namówieniem nas do uznania realiów i pokajaniem się, jeden z nich bredził coś o wyjściu z kryzysu ekonomicznego, któremu miało sprzyjać wprowadzenie stanu wojennego oraz o nowej reformie rolnej. Agitator został skontrolowany przez Gabrysia Janowskiego doktora nauk rolniczych, który udowodnił mu totalne oderwanie od rzeczywistości. Poza Gabrysiem zabrał m.in. głos Kazio Wóycicki – obecnie wykładowca na Uniwersytecie Warszawskim i Szczecińskim, który w bardzo delikatnych słowach udowodnił nie tylko prelegentom ale również – i przede wszystkim – ich zleceniodawcom, kompletny idiotyzm oraz oderwanie od realiów, po czym wyraził głębokie przekonanie, iż mimo wszystko wierzy w ukryte dobro, z którego nie zdają sobie sprawy a wywodzące się w prostej linii z nauk Jezusa Chrystusa. Większość z nas ryknęła śmiechem a po agitatorach widać było, iż

nie dotarło do nich ani jedno słowo z wystąpień Gabrysia i Kazia. Nie pamiętam czy więcej osób zabrało wówczas głos, utkwiło natomiast w mojej pamięci, bardzo naiwne jak na ówczesną chwilę wystąpienie Stanisława Drapczyńskiego, który zadał politrukowi pytanie:

- Czy my będziemy rehabilitowani?

Dzisiaj przypominałem sobie to pytanie, na które obecne wydarzenia dały jednoznaczną twierdzącą odpowiedź, jakkolwiek wówczas spytałem go po wyjściu ze świetlicy:

- Do kogo adresowałeś swoje pytanie? Jeżeli kiedykolwiek dożyjemy rehabilitacji to na pewno nie będę oczekiwał takowej ze strony tych palantów i ich mocodawców.

Izba Pamięci Internowanych to pomieszczenie o powierzchni ok. 50 m², z odsłoniętym ceglanym murem ozdobionym z lewej strony malowanym olejno obrazem Madonny stanu wojennego, napisem u góry pośrodku: obóz internowanych białołęka, poniżej kotwicą z białą czerwoną wstęgą z napisem „Solidarność”. Z lewej strony kotwicy umieszczono napis: stan wojenny 1981 – 1982. Pod napisem stylizowany fragment muru więziennego a całkiem z lewej strony widnieje biały napis: areszt śledczy warszawa-białołęka 1981-2011.

Na suficie izby wydrukowano nazwiska wszystkich internowanych; niestety, mimo kręcenia głową na wszystkie strony, mojego nazwiska, głównie z powodu ścisku panującego w Izbie, nie mogłem się dopatrzyć. Wzdłuż ścian umieszczono gabloty z eksponatami, m.in. znajduje się w jednej z nich mój akt internowania oraz zlecenie transportu do Załęża. Na ścianach zamieszczono koperty z pieczętkami wykonanymi przez internowanych, w tym kilkanaście moich projektów. Młodzianka pani porucznik udzieliła nam wykładu opisującego życie internowanych w obozie

i nie wiem czy zdawała sobie sprawę, iż opowiadała historie obozu tym, którzy ją tworzyli, czy też miała opanowany jeden tekst dla wszystkich grup wycieczkowych, które miały przyjść po nas. Oto, jak opisuje wydarzenia dnia dzisiejszego strona Służba Więzienna na swej stronie www.sw.gov.pl:

W dniu 13 grudnia z okazji 30 rocznicy wprowadzenia stanu wojennego w Areszcie Śledczym w Warszawie-Białołęce odbyły się uroczystości poświęcone pamięci osób internowanych. Honorowy Patronat nad uroczystościami objął Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bronisław Komorowski.

W uroczystości udział wzięły osoby internowane w okresie stanu wojennego, Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości - Piotr Kluz, gen. Jacek Włodarski – Dyrektor Generalny Służby Więziennej, gen. Paweł Nasiłowski – Dyrektor Biura Dozoru Elektronicznego CZSW, płk Wiktor Głowiak – Dyrektor Biura Kadr i Szkolenia CZSW, ppłk Anna Osowska-Rembecka – Dyrektor Okręgowy SW w Warszawie, dyrektorzy i funkcjonariusze jednostek okręgu warszawskiego, posłowie i przedstawiciele władz samorządowych oraz organizatorzy.

W celu oddania hołdu internowanym na murze Aresztu została umieszczona tablica upamiętniająca Ośrodek Odosobnienia dla internowanych. Pomysłodawcą i fundatorem tablicy było Stowarzyszenie Wolnego Słowa. Odśłonięcia tablicy dokonali Andrzej Kunert – Sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Wojciech Borowik – Prezes Stowarzyszenia Wolnego Słowa. Tablicę poświęcił ks. Infułat Jan Sikorski.

Doradca w gabinecie Prezydenta RP - Pan Henryk Wujec odczytał list intencyjny od Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w którym serdecznie pozdrowił organizatorów i uczestników uroczystości i przypomniał o tych działaczach, „którym nie dane było

doczekać tryumfu wolności”. „Wielu swoje marzenia o wolnej Polsce przypłaciło nie tylko internowaniem ale własnym życiem. Nie wolno nam zapomnieć o ich ofierze”.

Zgodnie z programem uroczystości, przybyli goście zwiedzili nowo powstałą Izbę Pamięci Internowanych utworzoną w I pawilonie mieszkalnym aresztu śledczego. Pomysł utworzenia Izby Pamięci powstał z inicjatywy kierownictwa tutejszej jednostki, w celu utrwalenia w pamięci młodych pokoleń prawdy o latach 1981-82. Doskonałą okazję dała 30 rocznica wprowadzenia stanu wojennego. W trakcie prezentacji miejsca upamiętnienia osób internowanych Pan Gabriel Janowski złożył na ręce Zastępcy Dyrektora Aresztu Śledczego w Warszawie-Białołęce mjr Danuty Augustyniak plakat upamiętniający lata 1981-82, który powiększy grono eksponatów znajdujących się w Izbie Pamięci. Podziwiać można było także wystawę malarstwa Pana Waldemara Pernacha internowanego w Areszcie Śledczym w Warszawie-Białołęce, a także zapoznać się z twórczością osadzonych. Podczas uroczystości odbyła się również promocja „Albumu o Internowanych” wydanego przez Stowarzyszenie Wolnego Słowa, oraz książki Waldemara Pernacha „Wzorowy pacjent, tematy białołęckie.

13 grudnia był szczególnym dniem w historii Aresztu Śledczego w Warszawie- Białołęce ponieważ pierwszy raz zorganizowano „dzień otwarty”. Wstęp na teren jednostki, mógł mieć każdy kto chciał zapoznać się ze specyfiką i architekturą aresztu oraz zwiedzić nowo otwartą Izbę Pamięci. Można było również obejrzeć eksponaty stanowiące „nielegalną twórczość osadzonych” oraz sztukę skazanych: obrazy, figurki wykonane z drzewa, chleba lub z papieru, a nawet usiąść w celi mieszkalnej. Zwiedzanie aresztu odbyło się od godz. 13.00 do godz. 18.00. W tym czasie jednostkę odwiedziło 8 grup liczących do 10 do 25 zwiedzających, w tym

grupa studentów Uniwersytetu Warszawskiego, która przeprowadziła wywiad z internowanymi.

Zbliżała się już godzina 12:30 a zatem pozostało mnie niewiele ponad godzinę czasu na dostanie się do Pałacu Prezydenckiego. Uroczystość wręczenia odznaczeń wyznaczona była na 14:30, natomiast upraszano wszystkich zaproszonych o stawienie się conajmniej 60 minut przed rozpoczęciem z uwagi na konieczność przejścia przez kontrolę oraz odpowiedniego ustawienia wszystkich odznaczonych. Opuściłem szybko piękną Izbę Pamięci i w Sali widzeń złapałem album wydany przez SWS oraz nabyłem za jedne 35 PLN książkę Waldemara Pernacha „Wzorowy Pacjent – Opowieści warszawskie z PRL-u” przy stoisku obsługiwanym przez jednego z więźniów. Obok stoiska znajdował się stół zastawiony mini kanapkami. Szybko złapałem jedną, wlałem kawę do styropianowego kubka z ogromnego expressu i niemal biegiem udałem się do wyjścia. Przy bramie żadnej kontroli tylko poproszono mnie o zwrot tabliczki GOŚĆ i spokojnie wyszedłem przez otwarte drzwi jakby to nie było więzienie. Doszedłem szybko do pętli autobusu linii 152, który już tam się znajdował i ruszył w kilka minut po tym gdy się znalazłem na pokładzie Solarisa, zgodnie z rozkładem o 12:37. Wiedziałem już, iż korzystając z regularnych środków komunikacji miejskiej za żadne skarby nie zdążę być na Krakowskim Przedmieściu przed 13:30, skoro czas przejazdu wynosi 26 minut. Sięgnąłem po komórkę, wybrałem numer telefonu, który najczęściej rzucał mnie się w oczy na drzwiach taksówek i zamówiłem taksówkę na końcową pętlę 152 na Żeraniu przy FSO. Tuż przed dojechaniem autobusu do końcowego przystanku, komórka zabrzęczała i odczytałem wiadomość: „szanowny kliencie, zamówiona przez ciebie taksówka już jest na umówionym miejscu”. Wsiadłem do taksówki, podałem kierunek a kierowca się odezwał z wyraźną

ulgą w głosie:

- *Ale się ucieszyłem, gdy zobaczyłem, że pan wysiada z autobusu. Zwykle do tego miejsca jestem wzywany przez zalanych klientów baru na pętli.*

- O tej porze? – wyraziłem zdziwienie.

- *A co za różnica – odpowiedział kierowca – bar jest otwarty od 8:00 rano.*

„Co kraj to obyczaj” – pomyślałem, nawiązując do obyczajów amerykańskich, gdzie bary otwiera się po południu a pierwszych pijanych spotyka dopiero wieczorem.

Wkrótce zadzwoniła komórka. Odebrałem, dzwonił Dziadek:

- *Gdzie jesteś?*

Rozejrzałem się wokół i powiedziałem:

- *Właśnie wjeżdżamy na Most Gdański i jadę taksówką.*

- *To się za kilkanaście minut spotkamy, bo my z Jagodą już jesteśmy na miejscu.*

Przejechaliśmy przez Most Gdański, następnie kierowca skręcił w Międzyparkową, później w Bonifraterską, Miodową a wreszcie w Krakowskie Przedmieście, zatrzymując się na wysepce naprzeciwko Prezydenckiego Pałacu. Po przejściu na drugą stronę ulicy ucałowałem się z Jagodą i przywitałem z Dziadkiem, który właśnie robił zdjęcie Jagodzie na tle pomnika ks. Józefa Poniatowskiego na koniu i narzekał, że „zupak” kazał mu wejść od drugiej strony.

Dziadka czyli Bogusława Dąbrowskiego znam od trzydziestu kilku lat, gdy będąc świeżo po odbyciu zasadniczej służby wojskowej przybył do naszego Klubu znanego w Oddziale PTTK Ochotą jako TREP czyli Towarzystwo Rozmarzonych Entuzjastów Peregrynacji. Ksywę swą zawdzięcza kolorowi włosów, które chyba od dziecka miał śnieżno białe. Koledzy z wojska mówili również na Bogusia „Siwy” ale Dziadek przyjęło się na dobre. Dziadek był

jedynym z TREPów, który mógł się zwolnić z pracy o tej porze i wejść ze mną do Pałacu jako druga osoba towarzysząca, a poza tym umie i lubi robić zdjęcia. Żołnierz przy bramie sprawdził moje zaproszenie, pobieżnie spojrział na dokumenty, m.in. na mój amerykański paszport, upewniając się tylko co do ilości osób towarzyszących.

Wewnątrz budynku czekała nas kontrola bezpieczeństwa, do których jestem przyzwyczajony zarówno z pracy, kiedy przed każdą służbą muszę się takowej poddać oraz częstych podróży samolotem. Machinalnie opróżniłem kieszenie ze wszystkich przedmiotów mogących wywołać reakcje czujników i przeszedłem przez bramkę bez żadnych dźwięków, podczas gdy inni goście mieli problemy a to ze sprzączką od paska, a to z długopisem, a to z telefonem komórkowym itd. Powiesiliśmy nasze okrycia wierzchnie w szatni i oto spełniły się nasze marzenia: Byliśmy w Pałacu Prezydenckim! Nie mogło być wątpliwości co do miejsca; byliśmy zewsząd otoczeni marmurowymi posadzkami, kryształowymi żyrandolami, antycznymi meblami, rycerskimi zbrojami i oryginalnymi obrazami ogromnych rozmiarów.

Rezydencja Prezydenta Rzeczypospolitej Polski została przeniesiona z Belwederu, do Pałacu Prezydenckiego w 1994 roku. Pałac Prezydencki, zwany również Pałacem Koniecpolskich, Radziwiłłów, Lubomirskich, Namiestnikowskim, stanowi od 1993 siedzibę Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

Jest to najokazalszy gmach przy Krakowskim Przedmieściu i jednocześnie największy z warszawskich pałaców. Stoi pomiędzy kościołem pokarmelickim a hotelem Bristol. Pierwotnie wyglądał inaczej, zaś swój obecny wygląd i tradycyjną nazwę (Pałac Namiestnikowski) zyskał w XIX wieku podczas gruntownej przebudowy. Gmach ten rzadko posiadał głównych mieszkańców, a

głównie spełniał szereg funkcji publicznych. Od końca XX wieku był siedzibą kolejnych prezydentów Polski (którzy w nim również mieszkali). Od roku 2010 Pałac Prezydencki, za kadencji Bronisława Komorowskiego spełnia jedynie funkcje biurowe, podczas gdy rezydencją prezydenta stał się Belweder.

Oczekiwanie na rozpoczęcie ceremonii wypełnialiśmy zwiedzaniem Pałacu do miejsc odgradzonych przed publicznością, robiąc sobie zdjęcia w różnych tłach. W zasadzie to Dziadek robił zdjęcia nam a głównie Jagodzie, która nie ukrywała dumy przebywania w takiej scenerii i to w charakterze gościa i koniecznie chciała mieć jaknajwięcej pamiątek z pobytu wtym miejscu.

Jagoda prezentowała się wspaniale, ślicznie i elegancko: Świeżo ułożone, długie, zrobione na blond włosy robiły z niej młodą dziewczynę. Już jej kilka razy mówiłem, iż ciemne włosy ją postarzają a blond odmładzają. Ubrana była z czarny, aksamitny garniturek bez zapięcia z przodu oraz białą bluzkę z żabocikiem. Jagoda ma dobry gust; umie się ubrać ładnie i stosownie na każdą okazję a ponadto będąc szczupłą i zgrabną we wszystkim jest jej do twarzy. Doskonale pasowała zarówno do miejsca jak i okazji – absolutnie nie musiała przeżywać kompleksu Kopciuszka. Zresztą większość osób prezentowała się odpowiednio do uroczystości i miejsca, pod względem ubioru. Nieliczne wyjątki panów w swetrach lub rozpiętych koszulach oraz kilku pań w zbyt krótkich spódniczkach lub w zbyt fantazyjnych fryzurach, stanowiły nieistotny margines. O ile osoby te zachowały odrobinę poczucia estetyki i dobrego smaku to same musiały się czuć głupio.

Wkrótce Pani Marzenna Pawlak – Dyrektor Departamentu Odznaczeń w Departamencie Kadr i Odznaczeń Kancelarii Prezydenta, którą zdążyłem poznać osobiście podczas odbioru zaproszenia tydzień temu a przedtem kilkakrotnie rozmawialiśmy te-

lefonicznie - poprosiła osoby oczekujące na odznaczenia do sąsiedniej Sali zapowiadając, iż osoby towarzyszące zostaną tam zaproszone za 10 minut.

Panie Małgorzata Naumann i Marzena Pawlak wyczytały nazwiska wszystkich osób przeznaczonych do odznaczeń ustawiając nas w kolejności wręczania: w pierwszej kolejności osoby odznaczone Krzyżami Oficerskimi Orderu Odrodzenia Polski Polonia Restituta , dalej Krzyżami Kawalerskimi Polonia Restituta a na samym końcu ja, jako jedyny odznaczony w tym dniu Krzyżem Wolności i Solidarności. Następnie na salę poproszono osoby towarzyszące oraz przedstawiciele prasy, radia i telewizji, które ustawiły się poza linką odgradzającą.

Punktualnie o 14:30 na salę wkroczył, witany oklaskami Prezydent Rzeczypospolitej Polski wraz z małżonką Anną, członkami gabinetu i doradcami. Wszyscy ustawili się pod podświetlonym kolorowymi reflektorami rzędem flag, na przemian biało-czerwonych i Unii Europejskiej. Na lewo od Prezydenta doradcy, wśród których znałem jedynie, stojącego na drugiej pozycji Henryka Wujca, noszącego krawat z bardzo szerokim węzłem. Na prawo od Prezydenta ustawili się: Pierwsza Dama Pani Anna Komorowska, Szef Kancelarii Prezydenta Jacek Michałowski oraz pozostali członkowie Gabinetu. Po krótkim wprowadzeniu do uroczystości przez szefa Kancelarii Prezydenta RP Pana Jacka Michałowskiego, Dyrektor Biura Kadr i Odznaczeń Pani Małgorzata Naumann odczytała:

- Za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce, za osiągnięcia w pracy zawodowej, publicznej i społecznej, za popularyzowanie wiedzy o najnowszej historii Polski, odznaczeni zostali

Krzyżami Oficerskimi Orderu Odrodzenia Polski:

Pan Piotr ANDRZEJEWSKI, Pani Magdalena BEDYŃSKA, Pani

Anna DODZIUK... w sumie 26 osób. W dalszej kolejności Pan Prezydent odznaczył -

Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski: Panią Wiesławę Bielańską, oraz kolejnych 27 osób. A na samym końcu Pani Neumann odczytała:

„Za wybitne zasługi w działalności na rzecz niepodległości i suwerenności Polski oraz respektowania praw człowieka w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, KRZYŻEM WOLNOŚCI I SOLIDARNOŚCI odznaczony został Pan Bołko Skowron.”

Długo czekałem na tę chwilę. Rażnym krokiem podszedłem do Prezydenta, który już na mnie czekał z Krzyżem, wręczonym mu przed chwilą przez Panią Marzenkę.

- ***Proszę przyjąć ten Krzyż z godnością, od byłego towarzysza niedoli*** – powiedział Prezydent mocując szpilką Krzyż do klapy mojej marynarki.

- *Dziękuję serdecznie Panie Prezydencie a zarazem drogi kolego z interny.* Chciałem również serdecznie podziękować za piękne posłanie, z którego treścią się w pełni zgadzam, dostarczone i odczytane przez naszego wspólnego kolegę – to wskazałem ręką stojącego obok doradcę Prezydenta Henia Wujca – dzisiaj rano w Białoleśce.

- *Jeszcze raz serdecznie gratuluję* – powiedział Prezydent ściskając mi obie dłonie.

- *Ku chwale Ojczyzny Panie Prezydencie* – odpowiedziałem odwzajemniając uścisk.

Po wręczeniu odznaczeń Pan Prezydent powiedział m.in:

„W zasadzie najpiękniejsze, najważniejsze odznaczenie, wyróżnienie, podziękowanie dostaliśmy wszyscy razem - najwspanialszy order wolnej Polski.”

Podkreślił, że 13 grudnia to zła data, to bolesna data, ale

przecież w takich złych dniach, złych momentach zawsze było wi-
dać najlepiej, gdzie jest prawda, gdzie jest odwaga, a gdzie jej
brak. Zaznaczył, że nic w Polsce dobrego się nie wydarzyło bez
odważnych ludzi.

*„Ile razy wręczam odznaczenia osobom, szczególnie zasłu-
żonym dla polskiej niepodległości, myślę i jestem przekonany, że
wręczam je tym osobom, które wyrastały ponad przeciętną, nie
tylko w wiernej służbie Rzeczypospolitej, ale też w osobistej od-
wadze”* - mówił prezydent. Bronisław Komorowski podkreślił, że
okrągłe rocznice pozwalają dostrzec gigantyczną zmianę, która
stała się udziałem nas wszystkich i była efektem działania dziel-
nych ludzi. *„Dziś możemy sobie wszyscy razem podziękować i
pogratulować. Wszyscy razem, dlatego, że walczyliśmy o Polskę
wolną, o niepodległe państwo, o demokrację”* - zaznaczył. *„Dzię-
kując wszystkim, chciałem podkreślić to, że dla mnie ważne jest,
abyśmy potrafili po latach - spierając się o Polskę, bo jest się o co
spierać, dyskutując, mając różne pomysły - robili to w przekona-
niu, że te najtrudniejsze momenty mamy za sobą, że w tamtych
czasach zdaliśmy egzamin, że dzisiaj te nasze spory to drobiazg
w porównaniu do tego, co udało się nam wspólnie przezwyciężyć -
powiedział. Sprawa jest arcytrudna do oceny, ale w jakiejś mierze
rozstrzygnięta przez historię: **to my wtedy mieliśmy rację**”* -
mówił prezydent.

Szczególnie ostatnie słowa Prezydenta odebrałem jako ucię-
cie raz na zawsze wszelkich, jałowych dyskusji na temat słuszno-
ści czy konieczności wprowadzenia stanu wojennego, dokładnie
30 lat temu. Ocena ta może i musi być jednoznacznie potępiają-
ca wydarzenia, które nie przyniosły Polsce i większości Polaków
żadnych korzyści, natomiast – poza długim rachunkiem krzywd,
z których ogromna większość do tej pory nie doczekała się za-

doścuźynienia - oddaliły konieczność głębokich przemian ekonomicznych, społecznych i politycznych o blisko 8 lat, przedłużając o tyle samo skompromitowane pod każdym względem rządu komunistów, sprawujących przez 44 lata władzę z rosyjskiego nadania.

Następnie zaproszono osoby odznaczone do wspólnych zdjęć z Panem Prezydentem, Jego małżonką, członkami gabinetu i doradcami. Wkrótce pojawił się Dziadek ze swoją tradycyjną Minoltą oraz moim cyfrowym Sony. Powiedział, że robił zdjęcia z dekoracji wyłącznie swoim aparatem nie mając czasu ani na zmianę ani na pobieżne zapoznanie się z obsługą. Poprosiłem, żeby chociaż teraz nie omieszkął pstryknąć kilku z mojego Sony, co mu się na szczęście udało. Jagoda zagadała się ze Zbyszkim Bujakiem – byłym Szefem Zarządu Regionu Mazowsze, który szczęśliwie uniknął internowania podczas „nocy generałów” w Gdańsku i ukrywał się, organizując a następnie dowodząc podziemnymi strukturami Solidarności aż do maja 1986 roku – i zjawiła się w bezpośredniej bliskości Prezydenta tuż przed zakończeniem wspólnych zdjęć. W rezultacie ma tylko jedno zdjęcie z Prezydentem, „dobiegając” do nas i to w momencie nienajlepiej wybranym przez automatyczną migawkę. Jagoda ma za to kilka bardzo udanych zdjęć z Pierwszą Damą, z którą nawiązały przyjacielską pogawędkę, jakby znały się od dawna.

Następnie Dziadek powiedział, iż podczas całej ceremonii odznaczeń stali obok Zbyszka Bujaka, zabawiającego m.in. Jagodę, która mu się bardzo spodobała. W momencie wręczania mnie odznaczenia Zbyszek miał powiedzieć:

- Temu facetowi to się od dawna należało.

Po wyjściu Prezydenta przeszliśmy do Sali obok, gdzie na kilkunastu wysokich stołach-barkach można było wypić lampkę wina, albo filiżankę kawy czy herbaty i posilić się kanapką, fasze-

rowanym boczkiem, klopsikami lub ciastkami, serwowanymi przez Pałacową kuchnię na zaimprovizowanym bufecie. Poza kanapką zjedzoną przed wyjściem, drugą, złapaną w pośpiechu w Sali widzeń więzienia w Białoleścu nie przypominam sobie innych posiłków w dniu dzisiejszym a zatem zjadłem znacznie więcej, niż jedną z szynka, wędzorem, salami i jeszcze czymś tam. Będąc wygłodzony skorzystałem z białoruskiego przysłowia: „*ne hladi smaku – phni u sraku*”. Po zaspokojeniu głodu zaczęliśmy „socjalizację” z osobami znanymi mnie dobrze jak Wojtek Borowik, pobieżnie jak Zbyszek Bujak czy Henio Wujec, oraz jednostronnie jak jedna z najślawniejszych gwiazd filmowych lat 60-tych i 70-tych ubiegłego stulecia, wciąż aktywna zawodowo aktorka Małgorzata Braunek, czy słynny dziennikarz Maciej Wierzyński. Po dwóch lampkach wina, moja początkowa nieśmiałość wynikająca ze znalezienia się w gronie tylu znakomitości i bywalców salonów, gdzieś się zapodziała. Po tym, gdy Dziadek poinformował mnie, iż na Sali znajduje się Małgorzata Braunek, podszedłem do niej i uśmiechając się zalotnie, zapytałem:

- *Witam panią serdecznie, nazywam się Bolko Skowron i byłoby to dla mnie ogromny zaszczyt zrobić sobie zdjęcie z tak sławną osobą. Czy szanowna pani pozwoli?*

- *Ależ oczywiście, będzie to dla mnie ogromny zaszczyt. Gratuluję panu odznaczenia* – odpowiedziała Pani Braunek z czarującym uśmiechem.

Za możliwość zbliżenia się na odległość 10 kroków do Pani Małgorzaty 40 lat temu, niejeden z moich rówieśników dałby całą kolekcję płyt, znaczków pocztowych a niejeden poświęciłby nawet czeski rower marki Tunist. Pani Małgosia jest piękną kobietą a mimo swych 64 lat, wciąż wygląda uroczo, ślicznie się uśmiecha a przede wszystkim obdarzona jest osobistym wdziękiem. Po

zrobieniu zdjęć porozmawialiśmy kilkanaście minut we czwórkę, tzn, Jagoda, pani Małgosia, Dziadek i ja, po czym podszedł do nas Zbyszek Bujak, również gratulując mnie odznaczenia. Starąłem się przypomnieć Zbyszkowi nasze spotkania w Zarządzie Regionu, na co grzecznie odpowiedział, iż jaknajbardziej sobie przypomina, w co nie bardzo wierzę. Zbyszek, który jest odznaczony Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski Polonia Restituta powiedział, iż trochę mnie zazdrości dzisiejszego odznaczenia ale uważa iż w pełni mnie się należało. Opowiedziałem jak bardzo zasmucili się uczestnicy zorganizowanego w maju 1986 roku w Sali parafialnej Kościoła pw Matki Boskiej Częstochowskiej w Sterling Heights, Michigan, spotkania z Adamem Winklerem – polskim mujahedinem, walczącym z rosjanami w Afganistanie, który powiadomił nas o ujęciu przez MO Zbigniewa Bujaka. Rozmowa toczyła się tak, jakbyśmy znali się bardzo dobrze od lat. Gdy przedstawiłem Jagodę jako moją narzeczoną, Zbyszek trochę się zmieszał, co potwierdziło moje przypuszczenia, iż wpadła mu w oko. Jagoda zresztą z każdą chwilą czuła się coraz swobodniej „na salonach”, na których jej bywać przedtem nie dano. Zresztą nikomu z nas i każde z nas traktowało dzisiejszy dzień jako coś wspaniałego, co się może zdarzyć tylko raz w życiu. Pomyślałem dzisiaj kilkakrotnie z nostalgią:

„Szkoda, że Jola nie doczekała tego dnia. Na pewno odbierałaby dziś Polonia Restituta za swe zasługi w tworzeniu KKK Łączności oraz późniejszej działalności w Ruchu Społeczno-Politycznym Pomost.”

Wśród osób, z którymi udało nam się zamienić kilka słów znalazł się doradca Prezydenta Henryk Wujec, człowiek z niezwykle bogatą historią działalności w opozycji, a po odzyskaniu niepodległości przez Polskę głęboko tkwiący w działalności politycznej. Na stronie Prezydenta RP, w notkach biograficznych doradców

można przeczytać m.in.:

W rozmowie przypominałem Heniowi nasze spotkania w Klubie Inteligencji Katolickiej przy ul. Kopernika, gdzie chodziłem na konsultacje w sprawie tworzenia struktur wolnych związków zawodowych (jeszcze zanim nowo powstałe związki zawodowe zjednoczyły się pod nazwą „Solidarność”), dalej w siedzibie Zarządu Regionu Mazowsze a później w Białoleścu. Nawiązałem również do dzisiejszego wywiadu w telewizji, solidaryzując się w pełni z jego komentarzem na temat t.zw. „przeprosin” Jaruzelskiego za stan wojenny, uzupełnionych zapewnieniem, iż dzisiaj postąpiłby dokładnie tak samo. Wujec był jedyną osobą, która publicznie zwróciła na nonsens tej wypowiedzi, oraz który następnie potwierdził moja opinię na temat braku zagrożenia zbrojną interwencją Rosjan, przed którą rzekomo Jaruzelski miał uratować Polskę. Bardzo chciałem mieć pamiątkę z tego spotkania i podsunąłem Henrykowi zakupioną dziś w Białoleścu książkę Waldka Pernacha „Wzorowy pacjent”, gdzie na pierwszej stronie otrzymałem dedykację: *„Bolkowi z naj, naj, serdeczniejszymi życzeniami. Henryk Wujec. 13 XII (a który rok?)”*.

Pani Marzena Pawlak była tak miła, iż podeszła do naszego stolika, m.in. by osobiście poznać Jagodę, z którą kilkakrotnie kontaktowała się przez telefon i pytała czy jestem zadowolony z dzisiejszej uroczystości. Odpowiedziałem, iż m.in. dzięki niej ten dzień zapamiętam na zawsze.

Następnie miałem okazję zamienić kilka zdań z Maciejem Wierzyńskim, znanym dziennikarzem, który na skutek negatywnej opinii komisji weryfikacyjnej został po wprowadzeniu stanu wojennego zwolniony z pracy w telewizji i zarabiał na życie jako taksówkarz oraz asystent warszawskiego korespondenta The Washington Post. W roku 1984 a zatem rok po nas, wyemigrował do Stanów

Zjednoczonych, gdzie początkowo również zarabiał na życie jako taksówkarz. Po osiedleniu w Chicago, Wierzyński pisywał artykuły do „Dziennika Związkowego” w Chicago, a w październiku 1987 r. założył pierwszy wielogodzinny, polskojęzyczny kanał Polvision w telewizji kablowej „Group W” w USA.

W grudniu 1989 r. powrócił do Polski (na ok. trzy lata) i został szefem pierwszego wschodnioeuropejskiego biura Radia Wolna Europa w Warszawie. W latach 2000 – 2004 pełnił funkcję redaktora naczelnego nowojorskiego Nowego Dziennika – gazety o największym nakładzie, ze wszystkich polskojęzycznych czasopism, ukazujących się w USA, - gdzie zastąpił na tym stanowisku założyciela i długoletniego wydawcę Bolesława Wierzbiańskiego. Od 1992 r. do lata 2000 r. był szefem Polskiej Sekcji Głosu Ameryki w Waszyngtonie. Pozbawiony pracy 30 lat temu przez, służalcze wobec junty kierownictwo TVP, jeden z najwybitniejszych dziennikarzy przełomu XX i XXI wieku, Maciej Wierzyński pełni obecnie obowiązki zastępcy dyrektora zastępcą dyrektora ds. strategii w telewizji TVN24. Od 7 stycznia 2006 prowadzi także własny magazyn Horyzont o sprawach międzynarodowych. Poznanie osobiście tego człowieka oraz możliwość rozmowy, traktuję jako jeszcze jeden zaszczyt, jaki mnie spotkał tego popołudnia.

Pod koniec spotkania zjawił się Wojtek Borowik – przewodniczący Stowarzyszenia Wolnego Słowa, którego od 3-ch lat jestem członkiem. W dniu dzisiejszym klika osób otrzymało krzyże Polonia Restituta z jego rekomendacji.

Wojtek wyraził nadzieję, iż spotkamy się, już po raz trzeci dzisiaj, w siedzibie SWS, przy ul. Marszałkowskiej 7, na wspólnym opłatku. Przyjąłem zaproszenie z przyjemnością mimo, iż zmęczenie całodziennymi emocjami coraz bardziej dawało mnie się we znaki. Jagoda musiała się zgłosić, mimo dnia wolnego, na jakieś

szkolenie do pracy na godz. 17:00 w związku z czym zaczęliśmy się zbierać. Krakowskie Przedmieście udekorowane było licznymi, oświetlonymi dekoracjami, prezentując się bardzo okazale. Jagoda kazała sobie zrobić zdjęcie pod ogromną choinką na skwerze przed Dziekanką oraz w towarzystwie statystów przebranych w mundury ZOMO sprzed 30-lat, grzejących się przy koksownikach. Dla mnie te wszelkie inscenizacje miały trochę odpustowy charakter, może z uwagi na bolesne, osobiste wspomnienia związane z dzisiejszą rocznicą. Dziadek spieszył się do domu i nie narzucał się specjalnie z ofertą podwiezienia mnie a ja również nie nalegałem, planując odbyć niedaleką podróż na Marszałkowską, przy pl. Unii Lubelskiej, środkami komunikacji miejskiej. Wsiadłem w zatłoczony autobus 116, którym miałem zamiar dojechać do ul. Bagatela a następnie przejść piechotą ale po namyśle zwyciężyło lenistwo i wysiadłem przy al. Jerozolimskich, gdzie przesiadłem się w pierwszy lepszy tramwaj w kierunku ul. Marszałkowskiej. Na przystanku przy rondzie ul. Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich niemiłe rozczarowanie: masa ludzi na przystanku i żadnego tramwaju w zasięgu wzroku czyli aż do Placu Bankowego. Przeszedłem zatłoczonym przejściem podziemnym na przystanek autobusowy, gdzie po kilku minutach nadjechał 117, który powinien mnie dowieźć w pobliże Placu Unii Lubelskiej. Gdy autobus znajdował się na wysokości placu Konstytucji, zadzwonił Zbyszek Dejner – mój były zięć. Był w drodze do Pyr i chciał się umówić na jutro. Powiedziałem, że oddzwonię do niego później omówić szczegóły spotkania, gdyż nie chciałem w miejscu publicznym wymieniać adresu mojej kwatery. Koncentrując się na rozmowie przegapiłem przystanek i w rezultacie wysiadłem przy ul. Rakowieckiej. Ani ul. Waryńskiego ani Marszałkowska nie są w tym miejscu przyjazne dla pieszych a w duchu wymyślałem sobie za lenistwo, bo jadąc 116 do Bagatela już

dawno byłbym na miejscu. Pamiętam plac Unii Lubelskiej gdy stanowił rondo nie tylko drogowe ale również tramwajowe. Na środku placu znajdował się przez kilkanaście lat po wojnie cokół Pomnika Lotnika, zburzonego przez Niemców po powstaniu warszawskim w 1944 roku. Pomnik, został później zrekonstruowany przez Alfreda Jesiona. Ponownego odsłonięcia dokonano 9 września 1967 w nowej lokalizacji przy skrzyżowaniu Alei Żwirki i Wigury z ulicami Wawelską, Uniwersytecką i Raszyńską. Przy pl. Unii zaczynała bieg wąskotorowa kolejka wilanowska, w zasadzie konstancińska, gdyż dojeżdżała „aż” do Jeziornej. Przejazd tą kolejką, bodajże do Skolimowa z mamą i siostrą zapamiętałem jako atrakcję czasów dzieciństwa z powodu wrodzonego zamiłowania do podróży. Kolejka grójecka za mojej pamięci zaczynała bieg od Dworca Południowego na Śłużewiu. Przy pl. Unii Lubelskiej kończyły bieg dwie linie trolleybusowe 51 i 54, zlikwidowane pod koniec lat 60-tych, jako rzekomo przestarzały środek komunikacji. Po „trajlusiach” nazywanych również przez warszawiaków „trojlebusami”, zostały już tylko wspomnienia a szkoda. Nie wymagały torowisk jak tramwaje i nie wydzielały spalin jak autobusy. Głównym mankamentem trolleybusów było chyba zbyt częste spadanie pantografów z trakcji, powodujące tymczasowe korki do czasu usunięcia problemu przez kierowcę. Przy pl. Unii znajduje się również odrestaurowany wielokrotnie budynek rogatki, wyznaczający aż do końca XIX wieku granice Warszawy, przed przyłączeniem Mokotowa. Gdy dotarłem do siedziby SWS przy ul. Emila Zoli – oficjalny adres Marszałkowska 7- , było już tam pełno ludzi. Chciałem wziąć album dla Marka Końki, obiecany przez Wojtkę Borowikę, ale facet obsługujący stoisko zażądał 20 zł i nie chciał słuchać żadnych wyjaśnień. Machnąłem ręką i wyciągnąłem dwie „dychy” z zamianą na album. Ponownie spotkałem się z Wieśkiem Molasy i tym razem więcej

czasu poświęciliśmy na wspomnienia czasów internowania, zaczynając każde zdanie od:

„Czy pamiętasz to i tamto?” Wspomnieniom oczywiście nie byłoby końca nawet gdyby spotkanie trwało całą noc.

Wkrótce pojawili się Wojtek Borowik – prezes SWS i Witek Mikusiński – członek Zarządu a przedtem współzałożyciel a następnie przewodniczący NSZZ Funkcjonariuszy MO Godność. Obaj internowani w Białoleścu, Witek po 1989 roku został Komendantem Stołecznej Policji a Wojtek, pełnił m.in. zaszczytną funkcję wiceprezesa Głównego Urzędu Statystycznego. Spotkałem również Grzeska Rossę, znanego mnie z działalności w Konfederacji Polski Niepodległej, w Komitecie Budowy Pomnika Ofiar Zbrodni Katyńskiej a następnie ze wspólnej celi w OZ2, który niewiele się zmienił poza tym, że mu broda nieco posiwiała. Usposobienie zachował niezmienione; gdy się odezwał to trudno było rozróżnić czy kpi, żartuje, stara się obrazić rozmówcę czy po prostu plecie bzdury bez zastanowienia. W więzieniu, z uwagi na swą tuszę i specyficzne, zrażające ludzi poczucie humoru, nosił ksywę Wielka Dupa albo delikatniej Ciężka Samobieżna Odbytlica, w skrócie CSO.

- *Cześć Grzesiek, jestem Bolko Skowron, poznasz mnie?*

- Nie – odpowiedział krótko – gdybyś nie miał tego, to bym cie poznał – powiedział wskazując palcem na mój krzyż, wciąż przymocowany do klapy marynarki. - Masz rację, już dawno powinienem go zdjąć – powiedziałem odpinając Krzyż i wkładając do kieszeni – co nie zmienia faktu, że nadal jesteś zdrowo poje..any. Miałem nadzieję, że ci to z wiekiem przejdzie.

- *Co słyhać u Tomka* – spytałem zmieniając temat, mając na myśli młodszego z Rossów, który w odróżnieniu do swego brata, dał się lubić.

- *Wszystko w porządku* – odpowiedział Grzesiek, nie ciągnąc

dalej tematu, raczej nie zachwycony moją diagnozą o poje..niu.

Uznałem rozmowę po latach za zakończoną i odwróciłem się do Wieśka, kontynuując wspomnienia oraz dzieląc wzajemnie przeżyciami od czasu, gdy urwała się nam korespondencja. Powiedziałem, iż od blisko 9-ciu lat jestem wdowcem, co go bardzo zaskoczyło, gdyż zdążył poznać Jolę kontaktując się z nią po wyjściu pod koniec kwietnia 1982, z okazji t.zw. pierwszomajowego aktu „łaski”.

- *To Jola nie żyje, bardzo ci współczuję* – powiedział Wiesiek ze zmartwieniem. – A ja również jestem sam, ale z innych powodów; moje małżeństwo się rozleciało.

- *Jak długo będziesz w Polsce?* – spytałem.

- *Wracam w lutym do Szwecji. A ty kiedy wracasz?*

- Odlatuję pojutrze, w piątek muszę wrócić do pracy na nocną zmianę.

- *To wymieńmy adresy i telefony* – zaproponował Wiesiek.

Podsunałem Wieśkowi magazyn Air France, w którym wziłem zaproszenie by się nie pogniotło, na którym napisał swój adres i numer telefonu. Ja z kolei napisałem w jego notesie swoje dane włącznie z adresem e-mail, którego Wiesiek nie posiadał. Wiesiek następnie spytał mnie którędy będę wracał do Stanów i ile czasu potrwa podróż. Gdy udzieliłem mu odpowiedzi, do rozmowy włączył się Grzesiek:

- *To ty mieszkasz w Stanach?* – zapytał.

- *Myślałem, że chociaż tyle na mój temat zapamiętałeś* – odpowiedziałem z uśmiechem.

- *Czy mógłbyś się w takim razie postarać wydać moją książkę?*

- *Wydać nie, ale dowiedzieć się o możliwościach wydania mogę.*

Grzesiek podał mi swoją wizytówkę, z której poskreślał wszystkie dane z wyjątkiem nazwiska a wzamain dopisał adres e-mail. Po-

dałem mu również mój adres e-mail i telefon. Rzeczywiście, już po powrocie na kwaterę odebrałem e-mail od Grzeška wraz z załączoną książką w formacie Microsoft Word zatytułowaną Ciężkie czasy dla agentów. Sposób, w jaki zwrócił się do mnie Grzesiek o pomoc w publikacji książki przypomniła mi anegdotę, opowiadaną swego czasu przez moją babcię: W pewnym małżeństwie Pan miał problemy ze zbyt częstym i zbyt głośnym oddawaniem gazów, na co jego małżonka przeklinała go słowami:

- *A bodajś na starość takim głosem chleba prosił.*

Po podzieleniu się opłatkiem z wszystkimi znajomymi i kilkunastoma nieznajomymi wróciłem na kwaterę „czternastką”, która akurat nadjechała tuż po moim wyjściu z siedziby SWS. W 24-godzinym sklepie kupiłem kilka puszek Żywca a w tureckiej szaszłykarni kebab, bo nie miałem ani koncepcji ani sił na upichcenie jakiegokolwiek obiadu. W telewizji zdążyłem jeszcze obejrzeć wiadomości, ozdobione migawkami z dzisiejszych wydarzeń, w których brałem udział, m.in. odsłonięcie tablicy w Białoleścu, odznaczenia w Pałacu Prezydenckim, a następnie udałem się na zasłużony odpoczynek, zamykając w ten sposób, najważniejszy dzień w moim życiu.

■

PIERWSZY ZWROT

Po wczorajszych emocjach wstałem późno, rozpocząłem układanie rzeczy do pakowania na jutro i ok 11:30 wyjechałem na umówione spotkanie z Jagodą przed wejściem do Carrefour przy Dworcu Wileńskim. Budowa drugiej linii metra trwa w pełni i ulica Targowa na odcinku od Inżynierskiej do Ząbkowskiej stanowi jeden wielki wykop otoczony placem budowy. Szpecący skrzyżowanie Alei Solidarności z ul. Targową t.zw. Pomnik Braterstwa Broni został tymczasowo zdemontowany, poddany renowacji, z planami ustawienia go kilkaset metrów na północ w kierunku ul. Inżynierskiej. Podpisałem kilka petycji domagających się oddania pomnika Rosjanom lub umieszczenia w muzeum i mam nadzieję, iż któraś z tych petycji zostanie uwzględniona. Warszawiacy „przechrzcili” ów relikwyt rosyjskiej dominacji na Czterech śpiących, trzech walczących, albo czterech smutnych- trzech pijanych, a w skrócie pomnik powszechnie jest nazywany Czterech śpiących lub po prostu Śpiących. Oficjalnej nazwy pomnika nie używa nikt od lat. Symbolika pomnika jest wymowna: Rosjanie na szczycie cokołu rwą się do walki a polscy żołnierze – Kościuszkowcy poniżej, biernie trzymają wartę. Napis na cokole: „Chwała bohaterom Armii Radzieckiej, towarzyszom broni, którzy oddali swe życie za wolność i niepodległość narodu polskiego. Pomnik ten wzniesli mieszkańcy Warszawy 1945”, sugeruje, iż tylko „bohaterowie Armii Radzieckiej” przyczynili się do „wolności i niepodległości” narodu polskiego, który to naród biernie przyglądał się oddawaniu życia przez bohaterów ze wschodu, co stanowi historyczne kłamstwo. Poza tym, skoro tylko bohaterska Armia Czerwona oddawała życie za wolność i niepodległość narodu polskiego to dlaczego pomnik nazywa się „braterstwa broni”? Gdyby to rzeczywiście było braterstwo to przynajmniej udział Kościuszkowców byłby wspomniany w historycznych opracowaniach sowieckich, literaturze czy filmie

-epopei O??????????. Dowództwo „braterskiej” Armii Czerwonej nie zaprosiło podległej im Armii Kościuszkowców ani do defilady zwycięstwa w Moskwie ani do podziału Niemiec po ich klęsce. Nie uwzględnili udziału polskich sił zbrojnych w zwycięstwie również alianci zachodni, oddając za to honory Francuzom, których udział w pokonaniu hitlerowskich Niemiec był bardziej niż skromny.

Zwycięskie mocarstwa zapomniały, lub raczej nie chciały pamiętać, iż to właśnie Polacy pierwsi padli ofiarą zbrojnej agresji Niemiec, dokonanej wspólnie z „pokój miłującym” Związkiem Sowieckim i walczyli na wszystkich, europejskich frontach aż do ostatniego dnia wojny. Uwagi zwolenników przywrócenia Śpiących po zakończeniu robót związanych z budową stacji metra przy ul. Targowej, iż całkowite usunięcie pomnika byłoby nietaktem wobec Rosjan, którzy jednak bili się na polskiej ziemi, są nie na miejscu, ponieważ w Warszawie znajduje się zarówno cmentarz jak i obelisk poświęcony żołnierzom Armii Czerwonej w Alei Żwirki i Wigury. Przed moim wyjazdem z Polski Dworzec Wileński składał się z obskurnej hali od strony ul. Białostockiej, peronów bez wiat, z wejściem na odsłonięte perony bez wiat bezpośrednio od ul. Targowej. Być może w przeszłości odjeżdżały stąd pociągi do Wilna, jak wskazuje nazwa ale za mojej pamięci odprawiano je jeszcze początkowo najdalej do Białegostoku a po zbudowaniu łącznika Rembertów – Zielonka, wszystkie pociągi dalekobieżne w kierunku Białegostoku rozpoczynały bieg na Dworcu Wschodnim a później, po zbudowaniu Dworca Centralnego – na Zachodnim. Do końca lat 60-tych z Dworca Wileńskiego odjeżdżała jeszcze „ciuchcia” czyli wąskotorówka do Radzymina, zastąpiona później autobusami PKS, zwanymi przez tubylców „bydłem”. Obecnie Dworzec Wileński przesunięty został na wschód, całkowicie obudowany, z wysokimi peronami, z których odprawiane są pociągi wyłącznie do Wo-

łomina, Tłuszcza i chyba raz dziennie, do Małkini. Przed dworcem zbudowano centrum handlowe, nazywane również w Warszawie z angielska Mall z francuskim hipermarketem Carrefour na czele. Wnętrze centrum handlowego, bardzo europejskie, z fachowo wykonanymi reklamami, wyposażone w drogie sklepy, kantor wymiany walut, salony komputerowe, punkty zawierania umów na wszystkie, dostępne na świecie odmiany telefonów komórkowych, Blackberries, iPhones, itd, w niczym nie przypomina starej Praги z maleńkimi sklepikami i knajpkami – zwanymi mordownikami. Stara Praga funkcjonuje jeszcze na resztkach Bazaru Różyckiego przy ul. Żąbkowskiej ale konsekwentnie przechodzi do historii. Zachowanie folkloru to miła rzecz ale w handlu liczą się rosnące aspiracje klienta, oczekującego dobrej jakości towarów i usług, po konkurencyjnych cenach, dostarczonych w eleganckiej formie.

Jagoda zjawiała się punktualnie, jak obiecała o 12:15. Przywitaliśmy się i weszli do okazałego budynku Warszawa Wileńska. Tuż obok wejścia do centrum handlowego, , znajduje się restauracja Pizza Hut, gdzie zaproponowałem nasz pożegnalny lunch. Jagoda nie będzie mogła jutro pożegnać na lotnisku a zatem pożegnamy się dzisiaj. Nie byłem w najlepszym nastroju, zmęczony wrażeniami dnia wczorajszego, ze świadomością wyjazdu za trochę więcej, niż 24 godziny i rozstania z Jagodą, nie wiadomo na jak długo. Urlopu niby mam sporo ale z urlopami w SCDC^[2] sprawa się ma podobnie jak w ruskim banku: diengi jest' a huj połuczisz^[3]. Jagodę poznałem 5 lat temu dzięki Dziadkowi i jego żonie Teresce, z którą przepracowały 20 lat w szkole specjalnej, gdzie uczęszczała również starsza córka Jagody, obecnie 30-letnia Magda. Rok po

2SCDC – South Carolina Department of Corrections. Departament Penitencjarny Stanu Południowa Karolina

3 diengi jest' a huj połuczisz. – Rosyjskie porzekadło znaczące: Pieniądze są ale nic nie dostaniesz.

śmierci Joli próbowałem szczęścia z inną kobietą ale próba ta zakończyła się rozczarowaniem i konkluzją, iż była to o jedna próba za dużo.

Gdy zatem Dziadek zapytał czy miałbym ochotę na zpoznanie się z samotną, przyzwoitą wdową, którą chciał mnie przedstawić, nie wyraziłem zbyt wielkiego entuzjazmu, zwłaszcza, iż po zapytaniu o jej wiek powiedział, iż zaledwie 40 lat.

- Wolę już *na stare lata zostać wdowcem, niż pedofilem* – odpowiedziałem.

Po namyśle jednak doszedłem do wniosku, iż byłoby to niegrzeczne odmówić możliwości wzajemnego poznania osoby, o której nic nie wiem uprzedzając się z góry do takiego spotkania i zadzwoniłem do Dziadka oznajmiając, iż zmieniłem zdanie, zwłaszcza, iż jedno spotkanie do niczego nie zobowiązuje.

Od tamtej pory minęło już pięć lat, znamy się z Jagodą coraz lepiej, spotykając rokrocznie, w ubiegłym i w 2007 roku nawet dwukrotnie; sześć razy w Polsce, raz w Pradze, ani razu, jak dotąd na „moich śmieciach”. Nasza rozmowa podczas lunchu dotyczyła m.in. przyjazdu Jagody do mnie w przyszłym roku pod warunkiem, że Amerykanie zniosą obowiązek wiz krótkoterminowych dla obywateli Polski. Włączenie Polski do programu Visa Waiver Program^[4] posiada długoletnią historię i jak dotąd niewiele ruszyło z miejsca z przyczyn, których mogę się tylko domyślać. Ponieważ jednak plotki o niedługim już zniesieniu wiz dla Polaków nabierają ~~ostatnio na sile~~, kolejki po wizę USA w Konsulatach stają się co-

4Visa Waiver Program – Program znoszący obowiązek posiadania wiz amerykańskich uprawniających do wjazdu i przebywania na terytorium USA przez okres nieprzekraczający trzech miesięcy. Obecnie program ten obejmuje obywateli 36 krajów, w tym niemal wszystkich członków Unii Europejskiej z wyjątkiem Polski, Bułgarii i Rumunii, ponadto Szwajcarii, Andory, Lichtensteinu, Luxemburga, Monaco, San Marino oraz Australii, Brunei, Japonii, Nowej Zelandii i Południowej Korei. Obok Polski na liście krajów objętych WVP brakuje najwierniejszego sojusznika USA – Izraela.

raz krótsze i liczba odmów – co jest ostatecznym warunkiem ich zniesienia – gwałtownie spada. W trakcie pisania tych słów miała miejsce wizyta ministra spraw zagranicznych Radka Sikorskiego w USA, gdzie podczas spotkania z US Secretary of State^[5] Hillary Clinton, omawiana była m.in. sprawa objęcia obywateli Polski VWP. Pani Clinton podczas konferencji prasowej po zakończeniu spotkania dała wyraźnie do zrozumienia, iż rychle zniesienie wiz dla Polaków w najbliższym okresie czasu nie wchodzi w rachubę. Dodała przy tym, iż w obu Izbach istnieje duże poparcie dla wniosku ale z drugiej strony sprawa rozszerzenia VWP o Polskę natrafia na spore opory jej przeciwników.

Prosiłem Jagodę, żeby zaczęła się szykować do wyjazdu i rozpoczęła od załatwiania wiz dla siebie i Magdy – druki ma już wypełnione od 4-ch lat, a ja po raz kolejny zobowiązałem się, iż po nie przylecę dla zminimalizowania panicznego strachu Jagody przez samolotem.

W pewnym momencie pociemniało mnie w oczach, świat zaczął wirować i poczułem dziwny ucisk na klatkę piersiową.

- Co tak *zbladłeś*? – zapytała zaniepokojona Jagoda.

- Nic *takiego*, *za chwilę mi przejdzie* – odpowiedziałem.

I rzeczywiście, cała niedyspozycja trwała nie dłużej, niż minutę. Pociągnąłem łyk piwa i wszystko wróciło do normy.

- Widocznie *wrażenia wczorajszego dnia zwały mnie z nóg*. *To znaczy, prawdopodobnie zwały by, gdybym nie siedział* – roześmiałem się.

- *Czy mam wezwać pogotowie?* – zapytała Jagoda.

- *Nie rób żadnej sensacji z pogotowiem. Złego diabli nie wezmą* – odpowiedziałem.

⁵Secretary of State – Sekretarz Stanu, w dużym przybliżeniu urząd odpowiadający stanowisku ministra spraw zagranicznych

- To musisz koniecznie iść do lekarza i zrobić porządne badania, zwłaszcza, iż jako emeryt jesteś ubezpieczony i nie musisz martwić się o koszt.

- Zrobię następnym razem, gdy przyjadę na dłużej. Jutro wracam, pojutrze idę do pracy, kwaterę mam opłaconą tylko do jutra a zrobienie wszystkich badań w Polsce to kwestia tygodni o ile nie miesięcy.

Wkrótce Jagoda poczęła się zbierać, gdyż do odjazdu kursującego z częstotliwością 45 minut autobusu 718, zostało już kilka minut. Przyjazd następnym autobusem spowodowałby awanturę babki – jak Jagoda nazywa swoją ex-teściową – pod której opieką została dzisiaj Magda. Jagoda panicznie boi się babki, na równi z samolotami, starając się ustępować na każdym kroku dla uniknięcia awantur, które babka jej robi tak czy owak. Z natury jest bardzo wojownicza, lubi ludziom wymyślać bez względu na to czy ma ku temu powody czy nie a Jagodę zniewoliła kompletnie widząc, iż ma do czynienia z totalnie spanikowaną ofiarą, która boi się jej przeciwstawić z uwagi na Magdę, z którą babka od czasu do czasu zostaje.

Po południu miałem jeszcze spotkanie ze Zbyszkim – moim byłym zięciem, który przyszedł z flaszką czyli z pół-litrówką wódki. Miał już trochę w czubie i cały czas przekonywał mnie, iż do mnie nic nie ma, oraz namawiał, żebym następnym razem zamieszkał w domku w Pyrach, należącym do pewnego Amerykanina, który Zbyszkowi powierzył nad nim opiekę.

- Propozycja jest bardzo interesująca – odpowiedziałem – zwłaszcza, iż po zakończeniu pracy, co może nastąpić niedługo, będę skazany na gołą emeryturę co pociągnie za sobą większe niż obecnie, liczenie się z kosztami podróży do Polski.

Zbyszek pytany o rodziców, z którymi byliśmy w dobrych

stosunkach powiedział, że Hania czyli jego mama czuje się bardzo źle, traci pamięć i wygląda to na początki Alzheimer'a natomiast Kazik – mimo 81 lat – nadal codziennie jeździ na rowerze, nadal nie stroni od alkoholu i nie ma żadnych kłopotów zdrowotnych.

Wieczorem odwiedziła mnie jeszcze stryjeczna siostra Joasia Freni-Sterrantino, z domu Skowron, zamieszkała na stałe na Sycylii i akurat przebywająca w Polsce na leczeniu dolegliwości sercowych. Ostatnio widzieliśmy się podczas Złotych Godów stryja Egberta i cioci Marysi w grudniu 1998 roku w Zalesiu Górnym k/ Warszawy. Od tamtego spotkania rodzinnego minęło 13 lat i odeszło na zawsze sporo jego uczestników: Przede wszystkim oboje jubilaci

Stryjostwo Egbert i Marysia, ich druga po Joasi córka Jadwiga, moja Jola, mąż Joasi Giuseppe, syn Basi Krzysztof Czechmezyński oraz kilka osób z rodziny cioci Marysi.

Córki Joasi Ania i Sylwia są już po studiach i mieszkają w północnych Włoszech, co czyni Joasię samotną wdową – nieciekawym status w naszym wieku. Joasia jest młodsza 9 lat ode mnie.

W dniu wyjazdu zjawił się u mnie Dziadek, by odebrać naczynia pozostawione w trakcie powitalnego party w piątek 3-go grudnia. Chciał również odebrać moją polską komórkę by przekazać Jagodzie ale nie chciałem się z nią jeszcze rozstawać do samego odlotu. Niemal równocześnie z Bogusiem – „Dziadkiem” przyjechał Andrzej Sułkowski, zwany Wacusiem albo Sułkiem, który odwiózł mnie na lotnisko. Kochany chłopak, zawsze niezawodny jeżeli chodzi o odbiór z oraz zawiezenie na – lotnisko, bez względu na moje miejsce pobytu w Warszawie.

Po przybyciu na lotnisko zgłosiłem się do zautomatyzowanego stanowiska odprawy. Instrukcja dawała do wyboru kilka wariantów identyfikacji pasażera i wybrałem – jak mnie się wydawało

- najłatwiejszy, czyli skan paszportu. Próbowałem dwukrotnie i dwukrotnie ukazała się informacja: scan unsuccessful – try another option (skan nieskuteczny – próbuj innego sposobu) . W chwilę później przy stoisku zjawiła się urodziwa blondynka ok. 30 lat, która zaproponowała swą pomoc, demonstrując własne doświadczenie. Wyjęła swój szwajcarski paszport, przeciągnęła przez skaner i... nic. Spróbowała jeszcze raz i też nic.

- *Tu coś nie działa* – powiedziała i przeszła na drugą stronę kiosku.

Po drugiej stronie też nie działało i moja nowa przewodniczka wybrała inną opcję czyli wpisanie kodu identyfikacyjnego, znajdującego się na wydruku rozkładu podróży.

Tym razem zadziałało i w kilka minut później blondynka wyjęła z automatu karty wstępu do samolotu.

- *Czy pomóc panu jeszcze?* – spytała z czarującym uśmiechem.

- *Nie, dziękuję, poradzę sobie. Na szczęście jeszcze umiem czytać* – odpowiedziałem odwzajemniając uśmiech. – *W każdym razie jestem pani bardzo wdzięczny za ofertę pomocy.*

W kilka minut później wszedłem w posiadanie trzech kart wstępu do samolotów w Warszawie, Amsterdamie i Atlancie na loty do Warszawy, Atlanty i Charlotte odpowiednio. Ani podczas zakupu biletu ani obecnie, nie miałem możliwości wyboru miejsc, które zostały teraz wydrukowane na kartach wstępu.

- *To co, wypijemy jeszcze tradycyjne piwo?* – spytał Andrzej.

- *Oczywiście, bez tego pożegnanie nie miałoby sensu* – odpowiedziałem.

Poszliśmy do barku, znajdującego się w najstarszej części terminalu, gdzie m.in. po raz pierwszy poznałem Jagodę. Szkoda, że nie mogła mnie odprowadzić tym razem. Po jednym piwie

i odsiedzeniu kilkunastu minut Andrzej pożegnał się, żeby złapać jeszcze trochę drzemki przed nocną zmianą w kasynie, gdzie od kilkunastu lat pracuje jako manager sali.

Odprawa samolotu Boeing-737, obsługiwanego przez KLM, rejs nr. 1364 do Amsterdamu rozpoczęła się niemal punktualnie a moja grupa została wpuszczona na pokład jako ostatnia. Zająłem miejsce obok sympatycznej blondynki, poznanej kilkadziesiąt minut temu przy automacie, która siedziała przy oknie. Z prawej strony usiadł lecący do Rzymu Włoch. Moja towarzyszka podróży leciała do Zurichu, miała obywatelstwo szwajcarskie i była bardzo rozmowna. Okazało się, że mieszka za granicą od kilkunastu lat, przedtem mieszkała w Niemczech gdzie poślubiła Francuza – lekarza z zawodu i razem przeprowadzili się do Szwajcarii. W Polsce odwiedziła siostrę i wraca do pracy po krótkim urlopie.

- *Znam Szwajcarię tylko z pozycji turysty* – powiedziałem. – Piękny kraj ale bardzo drogi.

- *Ale za to zarobki są tu (w Szwajcarii) najwyższe na świecie* – odpowiedziała moja sąsiadka.

- *Najniższy wynosi 5000 franków* – kontynuowała, w co nie bardzo chciało mnie się wierzyć.

Umilając podróż rozmową nawet nie zauważyłem, iż lot po mału zbliża się do końca. Przed wydaniem komendy zapięcia pasów, potwierdzonej wyświetleniem się odpowiedniego znaku, pilot opisał warunki atmosferyczne panujące na lotnisku Schiphol:

Wiatr ok 25 mph (ponad 40 km/godz), śnieg i temperatura – 3° C, usłyszeliśmy przez głośniki w trzech językach: po holendersku, angielsku i francusku, jako że był to lot posiadający również numer Air France.

Po przejściu samolotu przez chmury ukazała się śnieżycą, bardzo utrudniająca widoczność. Samolot zaczął chybotać się w

lewo i w prawo wzdłuż osi, pod znacznie większym kątem niż przy zwykłym lądowaniu. Na niższej wysokości niewykluczone było zawadzenie skrzydłem o nawierzchnię pasa.

„Ciekawe, czy w tych warunkach pilot zdecyduje się na lądowanie” – pomyślałem.

Ledwie zdążyłem pomyśleć jak odczuliśmy gwałtowne przyspieszenie i usłyszeliśmy potężny ryk silników; samolot zaczął ponownie wzbijać się w górę.

- *O Boże, co się stało?* - zapytała moja sąsiadka z przerażeniem w oczach.

- *Nic takiego, będziemy drugi raz podchodzić do lądowania* - odpowiedziałem spokojnie.

- *Ale dlaczego, dokąd polecimy, czy wylądujemy bezpiecznie?* – denerwowała się dziewczyna.

Za chwilę pilot poinformował spokojnym głosem przez głośniki, iż z uwagi an niekorzystne ukierunkowanie wiatru zdecydował się na ponowne podejście do lądowania, co nastąpi za kilka minut.

Niemal dokładnie rok temu przeżyłem podobne doświadczenie. Wracając z Florydy od mojego przyjaciela Doktora Janusza Subczyńskiego, podchodziliśmy do lądowania w Charlotte z szybkością znacznie wyższą niż zazwyczaj, co groziło – według mojej opinii – albo przejechaniem pasa startowego albo poważnym uszkodzeniem maszyny przy zetknięciu z jego powierzchnią. Podobnie jak dzisiaj pilot poderwał samolot i po kilku minutach wyjaśnił, iż będziemy lądować ponownie za kilka minut ponieważ, jak się wyraził, *runway was not quite clear* czyli pas startowy nie był dokładnie wolny.

Dla przemiętej Szwajcarki był to prawdopodobnie zupełnie nowy eksperyment, ponieważ była wyraźnie spanikowana. Wzię-

łem ją za rękę i powiedziałem: „Uspokój się, wszystko będzie o.k.”

Siedzący obok mnie Włoch albo trochę rozumiał po polsku albo zrozumiał o co chodzi, bo również odezwał się uspokajająco:

- *Don't worry about anything; we will land safely within just a few minutes.* Nie bój się, za kilka minut bezpiecznie wylądujemy.

- *Na pewno?* - Upewniła się. – *Jestem za młoda, żeby umierać.*

- *Kto tu mówi o umieraniu?* – zdziwiłem się - po prostu pilot chce mieć 100% pewności, iż wylądujemy bezpiecznie i dlatego robi drugie podejście.

Pozwoliłem sobie ścisnąć rękę przez moją sąsiadkę aż do momentu gdy samolot bezpiecznie usiadł na pasie startowym. Dziewczyna odetchnęła z głęboką ulgą a ja spytałem po angielsku tak, żeby Włoch zrozumiał:

- *Wiesz po co Pan Bóg wymyślił mężczyzn?*

?

- *Żeby kobiety w ich towarzystwie czuły się bezpiecznie.*

Atmosfera się rozładowała, moi współtowarzysze podróży się roześmieli i zaczęliśmy rozmawiać o czekających nas połączeniach informując się wzajemnie ile czasu mamy na przesiadkę. Ponieważ samolot wylądował o czasie wszyscy mieliśmy spory zapas. Lotnisko Schiphol jest ogromne ale jedna godzina i 50 minut spokojnie wystarczyło nie tylko na dojście do strefy, z której odlatują samoloty do USA ale również na wypicie Heinekena w ojczyźnie tego specjału. Ostatnio, przed dwoma laty miałem przesiadkę w Amsterdamie z przygodami, ponieważ samolot z Warszawy się opóźnił i wylądował po zamknięciu odprawy samolotu US Airways do Filadelfii. Poleciałem następnego dnia i odprawa była wyjątkowo szczegółowa. Oprócz rewizji bagażu podręcznego, każdy pasażer musiał przejść przez ok. 10-minutowe przesłuchanie przez urząd-

nika TSA^[6], odpowiadając szczegółowo na pytania dotyczące pobytu w Europie, m.in. padały pytania o nazwiska i adresy osób, z którymi się spotykało. Tym razem leciałem do Atlanty samolotem KLM i oprawa na przejściu przez bramkę bezpieczeństwa odbywała się według europejskich standartów, czyli można było przenieść rozłożony na części AK-47, natomiast niedopuszczalne było usiłowanie „przemycenia” jakiegokolwiek opakowania plastikowego lub - zachowaj Boże - szklanego, o pojemności przekraczającej 100ml.

Zgodnie z planem o godz. 16:00 czyli 55 minut przed planowanym odlotem rozpoczął się boarding czyli proces wpuszczania pasażerów na pokład Boeinga-777, obsługiwanego przez KLM, lot nr. 621 do Atlanty. Miejsce miałem w środkowym rzędzie „błogosławiony między niewiastami”. Z lewej strony siedziała Holenderka udająca się do Memphis w Stanie Tennessee a na prawo miałem sąsiadkę Amerykankę zamieszkałą na stałe w Norwegii, udającą się na Święta Bożego Narodzenia do rodziny zamieszkałej w okolicach Orlando na Florydzie. W Atlancie miała być odebrana przez krewnych, u których miała zaplanowany nocleg udając się w dalszą podróż w dniu jutrzejszym.

Po zakończeniu boarding zaczął się jakiś podejrzany ruch w przedniej części samolotu, wchodzili i wychodzili na zmianę pracownicy obsługi naziemnej aż wreszcie pilot oznajmił, iż z powodów technicznych nastąpi pewne opóźnienie startu. W Atlancie ~~miałem dwie godziny i 22 minuty na odprawę graniczną, odbiór~~

6TSA – Transportation Security Administration. Urząd Bezpieczeństwa Transportu. Instytucja powołana do życia po atakach terrorystycznych 9 września 2001 roku, obsługująca wejścia na część lotniska przeznaczoną wyłącznie dla pasażerów z biletami. Urzędnicy TSA prześwietlają promieniami Roentgena bagaże pasażerów a ostatnio również i samych pasażerów, wyrywkowo dokonują rewizji osobistej wylosowanych osób. Poza USA urzędnicy TSA dokonują odpraw pasażerów podróżujących do USA liniami amerykańskimi.

bagażu, ponowne nadanie go po kontroli celnej, przejście przez bramkę kontroli bezpieczeństwa i dojście do stanowiska odlotu samolotu Delta odlatującego o godz. 20:52 do Charlotte. Klika a nawet kilkunastominutowe opóźnienie nie powinno mieć dużego wpływu na to by spokojnie zdążyć z przesiadką. Holenderka lecąca do Memphis miała na przesiadkę niecałą godzinę i była wyraźnie rozczarowana komunikatem. Po kilkunastu minutach nastąpił kolejny komunikat informujący, iż usuwanie usterki technicznej potrwa conajmniej pół godziny oraz, że bezpieczeństwo pasażerów stanowi nadrzędną troskę całego personelu lotniska oraz obsługi samolotu. Wkrótce podano do wiadomości, iż usunięcie usterki wymaga rozładowania komory bagażowej a zatem opóźnienie startu przekroczy kolejną godzinę. Obsługa zaczęła roznosić napoje i krakersy, zapewniając, że wszystko jest w porządku i przeprasząc za kłopot a za razem podkreślając priorytet bezpieczeństwa pasażerów nad punktualnym odlotem. Gdy wreszcie samolot wystartował o 18:30, a czas przelotu niezmiennie wynosił 9 godzin 35 minut, na przesiadkę pozostało mnie zaledwie 50 minut. Wiedząc z dwóch poprzednich podróży, iż w Atlancie jest bardzo rozległe lotnisko a poszczególne pawilony połączone są między sobą kolejką naziemną - widziałem swoje szanse zdążenia na samolot do Charlotte w bardzo iluzorycznej perspektywie. Obsługa samolotu zawiadomiła:

Zdając sobie sprawę z faktu, że niewielu pasażerów upora się w czasie z przesiadką, KLM zapewnia wszystkim, którzy nie kończą podróży w Atlancie nocleg w hotelu na koszt firmy – brzmiał kolejny komunikat.

Może to lepiej przenocować w hotelu niż tłuc się po nocy – pomyślałem ale z drugiej strony narażałem Dicka, który jutro czyli w piątek, 16-go grudnia miał dyżur w Food Bank i wyjazd po mnie

na lotnisko bardzo mu te plany kolidował.

Podczas całej podróży, z wyłączeniem przerw na posiłki, moje współtowarzyszki podróży spały a ja również podrzemywałem nie zapadając jednak w głęboki sen. Natychmiast po wylądowaniu, kilka minut po godz 22:00, zadzwoniłem do Dicka, żeby nie wyjeżdżał z domu zanim nie zadzwonię do niego po wejściu na pokład samolotu odlatującego do Charlotte, informując go krótko o przyczynach opóźnienia. Temperatura w Warszawie wynosiła 2 ° C, w Amsterdamie – 3° a w Atlancie 22°. Większość pasażerów, ze mną włącznie, ubrana była stosownie do europejskich warunków a zatem bardzo szybko spociłem się, podczas przemieszczania w możliwie najszybszym tempie przez Atlanta Hartsfield-Jackson Airport. Przy odprawie paszportowej, która w ślimaczym tempie, obsługiwana była przez zaledwie dwie urzędniczki, znalazłem się na jednej z czołowych pozycji. Odpowiadałem szybko na standardowe pytania:

- *Was it a business or pleasure trip?*^[7]
- *How long have you been outside USA?*^[8]
- *Which countries did you visit during this trip?*^[9]

Po czym urzędniczka wbiła mi pieczętkę wjazdu do USA, port Atlanta w paszport ze słowami:

- *Welcome in the USA, have a good night, Sir.*
- *Thank you ma'am, you do the same*^[10] – odpowiedziałem.

Następnym etapem był odbiór bagażu, który zjawił się na taśmociągu mniej więcej w połowie wyladunku. Dalej kolejny szybki

7Was it a business or pleasure trip? – Czy podróż miała character służbowy czy prywatny?

8How long have you been outside USA? – Ile czasu przebywałeś poza USA?

9Which countries did you visit during this trip? – Ile krajów odwiedziłeś podczas tej podróży?

10Thank you ma'am, you do the same – Dziękuję, Pani również tego samego (życzę)

marsz do odprawy celnej, gdzie padło jedno pytanie:

- *Did you bring any food and/or prohibited merchandises?*^[11]

- na które odpowiedziałem przecząco.

Po odprawie celnej, urzędnik, który zauważył mój pośpiech zapytał:

- *Charlotte, Sir?*

- *Yes Sir* – odpowiedziałem, nie zastanawiając się skąd wiedział.

Domyśliłem się, iż samolot do Charlotte był jednym z ostatnich, jeśli nie ostatnim, odlatującym tego dnia z lotniska Atlanta Hartsfield-Jackson.

Urzędnik wskazał mnie stanowisko odprawy, gdzie po wrzuceniu bagażu na taśmociąg otrzymałem instrukcje, któredy mam udać się do stanowiska odlotu., znajdującego się, na szczęście, w tym samym terminalu. Znalazłem się tam o 22:45, podczas, gdy odlot zaplanowany był na godz. 22:52. Tuż przed wejściem na pokład MD-80 zadzwoniłem do Dicka zapewniając go, iż powinienem przylecieć zgodnie z planem, czyli kilka minut po północy.

Reszta podróży już poszła gładko, z odbiorem bagażu nie było problemów, podobnie jak z drogą do domu, trwającą niewiele ponad 1,5 godziny. Spałem może 6 godzin, mając sporo telefonów do wykonania, załadowałem zdjęcia z aparatu do komputera i nie wiadomo kiedy nadszedł czas by się zbierać do pracy. 12-godzinną zmianę rozpoczynam teoretycznie o 20:00, natomiast przed-zmianowa odprawa rozpoczyna się o 19:45. Trzeba doliczyć czas na rewizję przeźroczystego plecaka, zawierającego wałówkę, kawę, ciukier, zabielaacz do kawy, notes i inne duperele, plus rewizję osobistą po przejściu przez bramkę skanującą, czyli staram się być w pracy

11 Did you bring any food and/or prohibited merchandises? Czy przywozisz jakąś żywność lub/oraz jakiegokolwiek zakazane przedmioty?

o 19:30. Zwykle wyjeżdżam z domu 19:10, gdyż czas przejazdu 16-milowego odcinka^[12] między moim domem w Cheraw a Evans Correctional Institution w Bennettsville, waha się między 18 a 20 minut. Pracuję w cyklu czternastu 12- godzinnych zmian w ciągu miesiąca, w przypadku przepracowaniw większej ilości godzin powyżej 168 odbieram albo godziny albo otrzymuję wolny dzień. Za pracę w niedziele i święta przysługuje czas podwójny. Dzisiejszej nocy rozpoczynam blok czterech nocek pod rząd. Po wyczerpującej podróży i niedoborze snu powinienem wziąć conajmniej jeden dzień wolny ale kapitan nie chciał o tym słyszeć twierdząc, iż i tak się wystarczająco „wybyczyłem” w ciągu 14 dni urlopu.

Podczas odprawy, dowódca zmiany Kapitan Ocean albo jego zastępca porucznik Watson informują o istotnych wydarzeniach, które miały miejsce od czasu ostatniej służby, status poszczególnych pawilonów, ilość więźniów przebywających w szpitalu a zatem wymagających 2-osobowej, uzbrojonej eskorty, ogłoszenia, promocje, pochwały itp. bzdety. Przed wyznaczeniem stanowisk służby dowódca zadaje pytanie:

- *Czy ktoś chciałby coś powiedzieć?*

Zaczynając kolejno od sierżantów, poprzez kaprali, kończąc na oficerach I-go i II-go stopnia. Po ponad 2-ch latach służby pełnie „zaszczytną” funkcję Oficer II. Sierżant zarządzający ruchem na placu oraz koordynacją między poszczególnymi pawilonami w tym momencie przypomina który pawilon ma jutro sick call^[13], który zmianę pościeli, oraz któremu przysługuje wizyta w kantynie. Podaje również z którego pawilonu i o której godzinie więźniowie

12 16 mil = 25,75km. 1 mila = 1609m 344mm

13 Sick Call – każdy pawilon ma wyznaczoną raz w tygodniu wizytę w ambulatorium, gdzie zgłasza swoje dolegliwości. Więźniowie, którzy zapisali się na listę chorych, są wysyłani do ambulatorium o 1:00 w nocy. W przypadku konieczności zbadania więźnia przez lekarza, dyżurujący pielęgniarz/arka wyznacza więźniowi wizytę u zatrudnionego na niepełny etat lekarza.

muszą się stawić w sądzie, być przeniesieni do innego więzienia lub są wyznaczeni na t.zw. medical run czyli przetransportowani do więzienia wyposażonego w salę zabiegową i operacyjną na je-



Zdjęcie 5. W pracy

den lub dwa dni. Mamy na naszej zmianie A2 dwoje kaprali, którzy tego wieczoru nie mieli nic do zakomunikowania a gdy przyszła pora na oficerów, zabrałem głos:

Podczas mojego pobytu w Polsce otrzymałem Krzyż Wolności i Solidarności od Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej za moją działalność 30 lat temu.- a następnie puściłem mój krzyż w obieg.

Większość koleżanek i kolegów oglądała mój krzyż bez emocji, jakkolwiek nietrudno było zauważyć podziw czy coś w rodzaju zawiści u niektórych z nich. Krzyż wolności - Cross of Freedom zabrzmiął podobnie jak Presidential Medal of Freedom^[14] - wyso-

14 Presidential Medal of Freedom (Prezydencki Medal Wolności) – najwyższe odznaczenie cywilne Stanów Zjednoczonych Ameryki nadawane przez Prezydenta USA obywatelom amerykańskim oraz cudzoziemcom za szczególnie wybitny wkład w dziedzinie bezpieczeństwa lub narodowych interesów Stanów Zjednoczonych, pokoju światowego, kultury, jak również innych znaczących dokonań w sferze publicznej lub prywatnej. Ustanowiony w 1963 roku przez Johna Fitzgeralda Kennedy’ego, zastąpił Medal Wolności ustano-

kiej rangi i niezwykle rzadko nadawane odznaczenie. Nie wyjaśniałem, nie prostowałem różnic. Następnym punktem programu jest modlitwa, za każdym razem odmawiana głośno przez innego oficera oraz za każdym razem w innej intencji. Jedna intencja pojawia się zawsze: o bezpieczną i spokojną służbę a ponadto pojawiają się dodatkowe. W dniu dzisiejszym było wymienione również dziękczynienie za szczęśliwy powrót oficera Skowrona z europejskiej podróży oraz gratulacje z powodu nadanego mu odznaczenia. Odprawę zamyka wyznaczenie stanowisk, poczynając od służby zewnętrznej.

Na dwóch przeciwległych rogach ogrodzenia znajdują się posterunki wartownicze zwane Hawk czyli jastrząb. Jeden posterunek obsadzony jest przez oficera z innej zmiany a trzeci Hawk to samochód poruszający się z szybkością ok. 15 mil/godz^[15] - zalecane jest w instrukcji trzymanie się możliwie najbliższej tej prędkości – naokoło zewnętrznego ogrodzenia. Kierowca może i powinien zmieniać zarówno szybkość jak i kierunek poruszania dla utrudnienia ewentualnym obserwatorom precyzyjnego wyliczenia czasu, w którym pojazd będzie się znajdował w określonym miejscu a fragment ogrodzenia, podczas którego nastąpi nawrót powinien być za każdym razem gdzie indziej. Trzeci oficer służby zewnętrznej zajmuje stanowisko w pomieszczeniu wartowni połączonej ze zbrojownią. Oficerowie pełniący służbę zewnętrzną to jedyne osoby na terenie więzienia noszące broń krótką. Ponadto kierowca samochodu Hawk jest wyposażony w strzelbę. Użycie broni dopuszczalne jest w stosunku do uciekającego więźnia po uprzednim wydaniu okrzyku: „Stop, police”. Na szczęście, podczas mojej służby na zewnątrz taka sytuacja nie miała miejsca. Uzbro-

wiony przez Harry'ego Trumana w 1945 roku, nadawany za służbę i zasługi cywilne podczas II wojny światowej.

15 Ok. 24 km/godz.

jeni są również konwojenci więźniów do innych instytucji SCDC, na zabiegi medyczne czy do szpitala. Więźniowie wymagający hospitalizacji eskortowani są przez dwóch oficerów, z których tylko jeden jest uzbrojony. Oficer zapinający kajdanki lub bezpośrednio obsługujący chorego więźnia nie może być uzbrojony z obawy przed możliwością rozbrojenia. Eskortując i dozoruując więźniów w Marlboro Park Hospital nie przypuszczałem, iż niebawem znajdę się tam w zupełnie innej roli.

Dyspozytor, pełniący dyżur w pomieszczeniu operacyjnym przychodzi do pracy pół godziny wcześniej. Pełnią tą służbę na zmianie dwie panie: kapral Bingham i kapral Davis. Po wyznaczeniu stanowisk służby zewnętrznej kapitan Ocean lub wyznaczony przez niego sierżant odczytuje obsadę poszczególnych pawilonów zaczynając od SMU czyli Special Management Unit^[16]. SMU jest oddziałem, w którym osadzeni są więźniowie ukarani za poważne wykroczenia regulaminowe plus podejrzani o skłonności samobójcze oraz ci, którym przyznano Protective Custody^[17]. Pensjonariusze SMU nie wychodzą do stołówki, do kaplicy, ambulatorium, do pracy czy do więziennej szkoły. Posiłki dostarczane są im bezpośrednio do cel poprzez zamykaną na kłódkę klapę w drzwiach. Przez tą samą klapę więźniowie wychodzący na zewnątrz muszą podać przegubu rąk w celu zakucia ich w kajdanki a przez inną klapę w dolnej części drzwi zakłada im się kajdany na kostki. Po wyjściu na zewnątrz obie pary kajdaków oficer łączy łańcuchem, ograniczającym możliwość poruszania do minimum i praktycznie wykluczającym bieg. Wyjście lokatora SMU na zewnątrz ograniczone jest w sumie do jednej godziny dziennie wliczając w to prysznic oraz spacer wewnątrz klatki o wymiarach 3X3m. Umieszczenie w

16 Special Management Unit – Oddział Specjalnego Traktowania.

17 Protective Custody – Ochronna izolacja w przypadku zagrożenia ze strony innych więźniów.

SMU połączone jest z cofnięciem przywilejów wysyłania i otrzymywania korespondencji (z wyjątkiem oficjalnej prawnej czyli z adwokatem, sądem, instancją odwoławczą , etc) oraz widzeń, na okres pobytu w „lockup” jak popularnie nazywa się SMU. Minimalny okres pobytu w „lockup” wynosi 120 dni a maksymalny może być nieograniczony w przypadku wielokrotnego popełnienia wykroczeń klasy pierwszej, do których zalicza się: czynna napaść na funkcjonariusza lub pracownika SCDC, gwałt, próba ucieczki, wywołanie buntu, posiadanie lub dystrybucja narkotyków, kradzież munduru funkcjonariusza SCDC, posiadanie telefonu komórkowego, zabójstwo, lub popełnienie przestępstwa objętego kodeksem karnym Stanu Południowa Karolina. Do obsługi „lockup” kadra zwykle wybiera oficerów młodszych wiekiem i silniejszych fizycznie od przeciętnej. Dyspozytorem „lockup” na mojej zmianie jest oficer Mosby, osoba płci żeńskiej ale o męskim wyglądzie. Dyspozytor przebywa w pokoju operacyjnym, całkowicie odgrodzonym od reszty pawilonu, zamykanym od wewnątrz. Oficerowie obsługujący część mieszkalną mają obowiązek pisać raporty co godzina o statusie i zachowaniu poszczególnych więźniów, zwykle ograniczają się do zgłoszenia dyspozytorce ustnego raportu: „wszystko jest ok.” a ona już wypełnia wpisy w dzienniku zmiany. Systematyczna kontrola zachowania więźniów jest w tym pawilonie niezwykle istotna, gdyż w „lockup” właśnie zdarza się najczęściej samobójstw, z których każde automatycznie implikuje dochodzenia karne. Podczas mojej pracy w Evans miały miejsce dwa przypadki samobójstw, obydwa w „lockup”, lecz na szczęście nie na mojej zmianie. Podczas studiów w Akademii jeden z naszych wykładowców przytaczał historię młodego więźnia, aresztowanego po raz pierwszy, który bardzo się tym faktem przejął:

- *Jak ja wytrzymam pobyt w tym miejscu, co za wstyd dla*

mnie i mojej rodziny? – narzekał – *Chyba popełnię samobójstwo.*

- *Skorzystaj ze sznurowadeł – doradził mu życzliwie eskortujący go oficer* – tylko przestań płakać.

W kilka godzin później, oficer dokonujący obchodu zauważył owego więźnia dyndającego na sznurowadłach założonych nieudolnie na szczękę i wierzgającego nogami.

- *Nawet się porządnie powiesić nie potrafisz* – skomentował odwiązując niedoszłego samobójcę.

- *Oficera – „doradcy” już nie ma w gronie naszych pracowników* – zakończył wykładowca.

Według mnie, oficer był winny dymisji z powodu nie udzielenia więźniowi szczegółowej instrukcji wieszania. Nie podzieliłem się jednak tym spostrzeżeniem, z obawy o przedwczesne ukończenie Akademii.

Na końcu wyznaczane są stanowiska obsady pozostałych pięciu pawilonów, które w Evans CI noszą nazwy szczepów indiańskich i tak: pawilon F1 nazywa się Santee, F2 – Kiawah, F3 – Cheraw, czyli dokładnie tak samo jak brzmi nazwa mojego miasteczka, F4 – Waxhaw, oraz F5 – Cherokee. Dzisiaj mam służbę w pawilonie Kiawah B a moją partnerką jest młodsza ode mnie o 7 lat oficer Nancy Conway, legitymująca się o 1 rok dłuższym stażem, wyznaczona do skrzydła A. Każdy z oficerów pełni służbę pojedynczo w swoim skrzydle, mając kontakt z partnerem przez radio lub telefon. Zwolnienia więźniów zawsze następują pierwszego dnia miesiąca jako t.zw. maxout bez względu na to czy wyrok się kończy pierwszego czy ostatniego dnia miesiąca. W połowie miesiąca wszystkie pawilony są zwykle ponownie wypełnione, co ma miejsce również i dzisiaj w Kiawah B, mieszczącym 152 łóżka. Droga z Sali odpraw do pawilonu Kiawah zajmuje ok. 5 minut, podczas których mamy okazję porozmawiać. Pani Conway, zażywna Mu-

ryzka niewiele niższa ode mnie, opiekuje się swoim wnukiem, którego podrzuciła jej córka. Siostra Mrs. Conway wytoczyła jej proces o przejęcie opieki nad chłopcem motywując jej pracę na nocną zmianę. W rzeczywistości siostrze Mrs. Conway chodzi o uzyskanie dodatkowego zasiłku z opieki społecznej (Department of Social Security). Sama nie skalala się nigdy pracą, dzieci jej podrosły i otrzymują już welfare (potoczna nazwa zasiłku opiekuńczego) na siebie, co wywołało u niej uczucia opiekuńcze do adopcji dowolnego członka rodziny.

Oczywiście sprawę przegrała ponieważ sędziowie w sporej ilości przypadków kierują się zdrowym rozsądkiem przy ferowaniu wyroków. W tym przypadku sędzia przyznał opiekę nad chłopcem osobie legitymującej się stałym źródłem dochodów, natomiast moją dzisiejszą partnerkę kosztowało to sporo nerwów, pieniędzy i wysiłku; po 12-godzinnej, nocnej służbie ostatnią rzeczą, o której można pomarzyć jest uczestnictwo w rozprawie sądowej, zwykle związanej z wyczekiwaniem na swoją kolej. Weszliśmy do budynku pawilonu Kiawah i w holu rozdzieliliśmy się; Conway w lewo a ja w prawo, życząc sobie wzajemnie good luck i do zobaczenia. Przez szybę w drzwiach widać było tłoczących się więźniów oczekujących na zmianę. W ich monotonnej, więziennej rzeczywistości nawet tak banalne wydarzenie jak zmiana oficerów stanowi atrakcję. Rozległy się okrzyki:

- *Skowron!, Skowron!, Skowron!* – ze strasliwym znieskształceniem mojego nazwiska – informujące mieszkańców Kiawah, kto będzie pełnił służbę dzisiejszej nocy.

Niektórzy z osadzonych dawali mnie znaki sugerujące żebym przeszedł na drugą stronę do skrzydła „A” a najlepiej żebym wogóle sobie poszedł. Jedni się w ten sposób przekomarzali natomiast wielu z nich nie cierpiało mnie, czemu się specjalnie nie dziwiłem.

Każdy nowo zatrudniony oficer jest przez więźniów poddawany całemu łańcuchowi testów, badających na ile sobie mogą z nim(nią) pozwolić. Badają, na ile da się oficera zblatować, obłaskawić komplementami – głównie w przypadku żeńskiego personelu – zastraszyć czy zniechęcić niekończącymi się wymaganiami. Maksymalna cierpliwość i odporność psychiczna stanowią cechy absolutnie niezbędne do pełnienia tego rodzaju służby, plus zdolności kierownicze, żelazna konsekwencja i absolutna bezstronność. Do tej pory udało mnie się przebrnąć z powodzeniem przez szereg testów i prób na wszystkich pawilonach, na których pracowałem.

Nie pracowałem tylko w SMU i w Waxhaw, w którym obowiązuje stopień podwyższonej dyscypliny. W Waxhaw więźniowie nie mogą mieć telewizorów w celach, nie korzystają z rekreacyjnego podwórka, gdzie można pograć w koszykówkę, siatkówkę, poćwiczyć na poręczach czy po prostu spacerować na świeżym powietrzu. Przeniesienie do Waxhaw jest karą łagodniejszą od umieszczenia w SMU, a okres pobytu w tym pawilonie zależy od stopnia poprawy. Trafiają tam również exhibicjoniści, którzy onanizują się publicznie, zwłaszcza przed oficerami płci żeńskiej. Tych ostatnich, przed umieszczeniem w Waxhaw, przebiera się w ośmieszające różowe pajacyki, zapinane na guziki z przodu i z opuszczonym do kolan krocem. W takim stroju muszą paradować przez rok. Również przez 12 miesięcy od momentu popełnienia wykroczenia, delikwenci pozbawieni są prawa do widzeń, korespondencji i rozmów telefonicznych z bliskimi, a osoby, znajdujące się na liście odwiedzających otrzymują stosowne pismo podpisane przez naczelnika, wyjaśniające przyczyny zawieszenia kontaktów. Jest to jeden z elementów wdrożenia w życie Prison Rape Elimination Act – w skrócie PREA (ustawa eliminująca gwałty w więzieniach), podpisany przez Prezydenta G.W. Busha w 2004 roku. Gwałty w

więzieniach, popełniane na więźniach płci obojga niemal zawsze przybierają bardzo brutalną postać, powodują trwałe urazy u ofiar – o ile przeżyją – dlatego ich ukrócenie również musi posiadać drastyczna formę. Niestety, jak zwykle w takich przypadkach, również i w tej dziedzinie występują nadużycia. W systemie penitencjarnym Południowej Karoliny głośny był przypadek morderczyni własnych dzieci Susan Smith^[18], która wykorzystując swe warunki zewnętrzne (była w miarę atrakcyjna kobietą) kusiła oficerów do seksu, udając miłość a następnie składała oskarżenia o gwałt. Od tamtego momentu Departament Więziennictwa Południowej Karoliny wyłączył męski personel w zakładach karnych dla kobiet. Szkoda, że nie przeprowadzono podobnej operacji w więzieniach męskich, eliminując przynajmniej pokusy dla obu stron. Jedna z moich koleżanek pisała pewnego ranka raport na więźnia, który jakoby masturbował się w jej obecności i pytała mnie o pisownię poszczególnych słów. Zainteresowałem się okolicznościami wydarzenia i wówczas Mrs. McLaurin powiedziała, iż robiąc obchód wzdłuż kabin z natryskami, przez szparę między drzwiami a futry-

18 Susan Leigh Vaughan Smith (ur. 26 września 1971) odbywa karę dożywocia za podwójne morderstwo, poprzez utopienie samochodu w jeziorze z dwójką własnych dzieci przypiętych pasami do tylnego siedzenia. Urodzona w Union, w Południowej Karolinie, była studentka Uniwersytetu Południowej Karoliny, została skazana w dniu 22 lipca 1995 r. za zamordowanie jej dwóch synów, 3-letniego Michaela, urodzonego 10 października 1991, i 14 -miesięcznego Alexandra, ur. 5 sierpnia 1993 roku. Sprawa zainteresowała opinię publiczną gdy Smith zgłosiła zaginięcie dzieci, twierdząc, że czarny mężczyzna ukraść jej samochód i porwał jej synów. Później broniła się twierdząc, że cierpiała na zaburzenia psychiczne, utrudniające samoocenę postępowania. South Carolina Departament Więziennictwa zakomunikował, iż Smith będzie kwalifikowała się do przedterminowego zwolnienia w dniu 4 listopada 2024, po odbyciu co najmniej trzydziestu lat. Jest uwięziona w Południowej Karolinie Zakładzie Karnym Leath, w pobliżu Greenwood. Podczas pobytu w więzieniu, dwóch oficerów zostało ukaranych za seks z Smith. Porucznik Houston Cagle i kapitan Alfred R. Rowe, w związku z czym została przeniesiona do więzienia w Greenwood, gdzie obecnie przebywa. (informacja za Wikipedia z wykorzystaniem Google Translator)

na jednej z nich, zauważyła onanizującego się więźnia. Odczekała aż wyszedł, zabrała mu kartę identyfikacyjną i właśnie wypisuje raport z oskarżeniem o publiczną masturbację. Pokręciłem głową z dezaprobatą i powiedziałem:

- Przecież to są młodzi ludzie, u których hormony działają prawidłowo, pozbawieni możliwości seksu, trzeba ich też zrozumieć. A poza tym nie miałas żadnego interesu, żeby podglądać kąpiących się więźniów przez szparę.

Przytoczyłem jej anegdotę o pewnej pani, która wezwała policję skarżąc się na sąsiada z przeciwka, który chodził po mieszkaniu nago. Przybyły policjant nie zauważył nagości u sąsiada, ponieważ widoczny był tylko od połowy w górę

- To trzeba wejść na szafę, żeby go zobaczyć w całości – powiedziała skarżąca.

McLaurin jednak uparła się, żeby dokończyć raport, wprowadziła już bez mojej pomocy, tylko po powrocie do budynku administracji. Nie wiem jak się sprawa zakończyła; czy kapitan przyjmujący raport od razu powiedział jej, iż nie ma szans na uznanie więźnia winnym, czy dopiero komisja dyscyplinarna uznała oskarżenie za bezpodstawne. Swego czasu czytając roczną opinię przełożonych o sobie nie mogła zrozumieć co to znaczą „trudności w adaptacji”

- Jeżeli tego nie rozumiesz, to ja ci nie wytłumaczę – powiedziałem.

Już w Akademii wpajano nam zasadę, by w żadnym przypadku nie opuszczać partnera(ki) i kiedy tylko możliwe, służyć mu(jej) pomocą. Nawet, gdy sprowadzało się to do prostej zasady: „idziemy na służbę razem i wracamy ze służby razem” – McLaurin miała z tym trudności. Czasami zdarzało się, iż przekazywanie zmiany przedłużało się albo moj zmiennik zjawiał się kilka minut

później od swego partnera z drugiego skrzydła - McLaurin nawet nie zachodziła do skrzydła swego partnera tylko natychmiast po przekazaniu zmiany waliła prosto do administracji, gdzie zdawało się gaz i kajdanki przed wyjściem do frontowej bramy. Krótko przed zakończeniem mojego eksperymentu z pracą w resorcie penitencjarnym, McLaurin ciężko podpadła, trzykrotnie - wraz ze swym partnerem zresztą - licząc więźnia, który od początku objęcia służby był martwy. Oboje dostali po tygodniu zawieszenia w czynnościach służbowych bez prawa do wynagrodzenia. Po tym wydarzeniu major West - najstarszy stopniem mundurowy funkcjonariusz służby więzienia - nakazał ponowne liczenie więźniów w momencie, gdy czas naszej służby minął i zdążyliśmy już przekazać nasze obowiązki i ekwipunek zmiennikom. Od momentu objęcia urzędu przez majora Westa - konsekwentnego służbistę - nie wolno nam było opuszczać stanowisk, nawet po przekazaniu zmian, dopóki nie usłyszeliśmy przez głośniki komunikatu dyspozytora(ki);

Count clear, - czyli liczba więźniów się zgadza. Tym razem jednak, zamiast komunikatu, otrzymaliśmy instrukcje przez radio, iż wszyscy mamy się udać się do pawilonu Cherokee, gdzie mieliśmy spotkać się z majorem i zademonstrować sposób przeprowadzania liczenia. Po ustawieniu nas w kółku na środku hallu Major zapytał:

- *Proszę powiedzieć w jaki sposób przeprowadzacie liczenie?*

Zapanowała długa, kłopotliwa cisza. Po czym major ponowił pytanie:

- *Co, nie ma ochotników, którzy wyjaśnią nam w jaki sposób przeprowadzili liczenie dzisiaj rano?* - i wodząc długo wzrokiem po zgromadzonych spojrzał na mnie. Nie wytrzymałem jego wzroku i wyrecytowałem:

- *Wchodziłem do każdej celi, każąc wszystkim więźniom, z których większość spała, poruszyć się a następnie odznaczałem liczbę na formularzu obok numeru celi.*

- *Czy kazał pan im wstać z łóżek?*

- *Nie* – odpowiedziałem szczerze, a pomruk rozczarowania za moimi plecami uświadomił mi, że palnąłem głupstwo.

- *Acha* – zawołał tryumfalnie major – *a co regulamin mówi na temat formalnego liczenia?* – zapytał przechadzając się wkoło z rękami założonymi na plecach.

- *Więźniowie muszą stać* – ktoś odpowiedział.

- *No właśnie* – powiedział major. – *Teraz wszyscy razem dokonamy ponownego liczenia wszystkich rezydentów pawilonu Cherokee, zgodnie z regulaminem. Jeden z oficerów będzie dokonywał oficjalnego liczenia a reszta będzie mu asystowała i uczyła się.*

Na „ofiara” major wyznaczył kaprała Johnsona, oficera najstarszego stażem a wiekowo odliczającego miesiące do emerytury. Mimo, iż byłem wściekły na majora za przedłużenie nam pracy o ponad dwie godziny bez dodatkowego wynagrodzenia, musiałem mu przyznać rację, iż praca „na skróty” nie popłaca a więźniowie, pragnący wolności jak ryba wody, mogą wykorzystywać każdą okazję uspionej czynności dla swych celów. Większość osadzonych w Evans wyleguje się na swych pryczach do późnych godzin rannych a niektórzy wstają tylko na posiłki, dlatego zmuszenie ich do wstawania o godzinie 7:00 rano traktują jako dopust Boży. Widząc całą szarżę pokornie podporządkowywali się, zresztą większość z nich już nie spała.

Wróć do wieczoru bezpośrednio po moim przylocie z Polski czyli 15 grudnia 2011. Po otwarciu drzwi zewnętrznych oficer Little przekazał mi radio, 11 kluczy, latarkę, książkę dyżurów, post or-

der, czyli teczkę zawierającą regulamin, grafik zajęć więźniów oraz w miarę uaktualniony spis najnowszych zarządzeń. Przekazując zmianę każdy oficer zobowiązany jest dokonać wpisu przekazania zmiany, podając nazwisko swoje i oficera przejmującego zmianę, spis przekazywanego inwentarza, nazwiska i numery cel więźniów odbywających kwarantannę, przeważnie chorych na MRSA^[19], oraz bed rest czyli otrzymujący posiłki dostarczane do cel. Do ostatniej grupy kwalifikowano więźniów zakażonych wirusem HIV lub cierpiących na AIDS, o czym dowiadaliśmy się dopiero po ich śmierci, którym nie wolno było opuszczać pawilonów z wyjątkiem wizyt u lekarza czy transportu do więziennego lub publicznego szpitala. Polityczna poprawność zakazywała ostrzegania nas przed podaniem przyczyn., dla których więźniowie ci nie mogli chodzić na stołówkę. Od śmierci pierwszego więźnia chorego na AIDS, o czym nas powiadomiono po fakcie, unikalismy jakiegokolwiek kontaktu z osobami objętymi bed rest, nawet gdy zatrzymanie w celi miało charakter tymczasowy z powodu urazu kończyn dolnych. Po przeliczeniu kluczy i sprawdzeniu pozostałego wyposażenia, w tym SCBA^[20] i znajdującego się poza dyżurką w ogólnym hallu, telefonu, zamknąłem drzwi za oficerem Little, sprawdziłem zamknięcie klatki, w której umieszczony jest SCBA, podniosłem słuchawkę telefonu czekając na zgłoszenie się dyspozytorki, naciśnałem przycisk testujący SSC^[21] a następnie usiadłem by wpisać do książki dyżurów szczegóły przejęcia zmiany, czyli powtórzenie

19 Methicillin-resistant Staphylococcus aureus (MRSA) – odporne na metycylinę szczepy gronkowca, będące częstą przyczyną zakażeń wewnątrzszpitalnych. Gronkowiec złocisty oporny na metycylinę,

20 SCBA – self contained breathing apparatus. Aparat do oddychania w warunkach skażenia powietrza tlenkiem węgla, służy do bezpiecznego opuszczenia pomieszczenia objętego pożarem w ciągu 10 minut.

21 SSC – Security Control System. Tablica sygnalizująca uruchomienie wykrywaczy dymu w poszczególnych celach i innych pomieszczeniach pawilonu.

tresci wpisu poprzednika.

Oficer zdający rozpoczyna wpis od: Oficer xxx został zwolniony przez oficera yyy, przekazując.. i tu następuje spis inwentarza, ilość więźniów na kwarantannie i bed rest, ukaranych zakazem opuszczania celi. Czasami cały pawilon lub skrzydło ukarane jest zbiorowo zakazem opuszczania cel i wówczas jest to Święto Oficera. J Zamknięcie całego bloku następuje zwykle w przypadku znalezienia znacznej ilości kontrabandy lub usiłowania ucieczki – przeważnie zaczynającej się od przecięcia siatki ogrodzenia placu rekreacyjnego. Oficer obejmujący służbę zaczyna wpis od: Oficer yyy zwolnił oficera xxx, przyjmując... i należy powtórzyć każdy element wyposażenia, po czym dodać: radio sprawdzono, telefon sprawdzono, SCBA sprawdzono SSC sprawdzono. W celu sprawdzenia radia należy wywołać dyspozytora:

- *Evans Control - Kiawah „B”, ten ninety seven^[22]* - a następnie czekać na odpowiedź:

- *Kiawah „B” – Evans Control, ten two^[23]*

Oficerowie wszystkich skrzydeł kolejno zgłaszali test radia. W przypadku negatywnej odpowiedzi lub braku takowej, należało wymienić akumulator na zapasowy, który zawsze powinien się ładować w zasilaczu.

Ledwie tylko dotknąłem długopisu, natychmiast jeden po drugim zjawiali się więźniowie z pytaniami:

- *Kiedy pan będzie robił round (obchód)?*

22 Evans Control – Kiawah „B” ten ninety seven. Dyspozytor Zakładu Evans, tu Kiawah „B” 10-97. 10-97 w policyjnym kodzie oznacza test radia, rozpoczynający każdą służbę w policji, więzieniach i innych służbach bezpieczeństwa publicznego

23 Kiawah „B” – Evans Control, ten two. Kiawah „B” to Dyspozytor Zakładu Evans, 10-2. 10-2 w policyjnym kodzie oznacza „sygnał dobry”. Gdyby odbiór był zakłócony lub osłabiony to odpowiedź byłaby 10-0.

- *Czy ma pan dla mnie OTR?*^[24]

Gdy oprócz teczki niesłem ze sobą duffle bag^[25], to dodatkowo padało jeszcze pytanie:

- *Kto jutro wychodzi?*

Na pierwsze pytanie zwykle odpowiadałem:

„Jak tylko przestaniecie mi zawracać głowę, bo muszę skończyć to nad czym pracuję.” - Na drugie:

„Nie wiem, jeszcze nie dajecie mi możliwości otwarcia teczki.” - a na trzecie:

„Ja, gdy tylko przyjdzie mój zmiennik.”

„No tak, ja rozumiem, ale kto idzie w transport?” – na co odpowiadałem zawsze:

„Nie ty.”

„A skąd pan wie?”

„Bo ja wszystko wiem. A teraz proszę wyp...lać z mojej dyżurki.” Ostatnie zdanie wypowiedziałem po polsku, co spowodowało kolejne pytanie:

„Co pan powiedział? W jakim języku?” – wyjaśniłem:

„Proszę o pół godziny spokoju w języku Swahili.”

Od dwóch lat mieszkańcy poszczególnych pawilonów mają prawo do zgłaszania się do lekarza o 1:00 w nocy z nagłym lub przewlekłymi zachorowaniami, każdy w innym dniu tygodnia, z wyjątkiem weekendów i środy. Kiawah otrzymuje sick call list (lista chorych) z czwartku na piątek i w takim przypadku pierwszą czynnością po wejściu do skrzydła jest wystawienie sick call list obok telefonu na pół godziny czyli od 20:00 do 20:30.

Zwykle w tym momencie jeden po drugim się uspokajali i

24 OTR – Order to Report. Rozkaz stawieństwa w biurze pocztowym, u lekarza, w bibliotece, w pracy itd.

25 Duffle bag – worek brezentowy używany w wojski i w więzieniach jako bagaż.

pozwalał mi spokojnie dokończyć wpis, podpisać wszystkie OTR i dokonać listy budzeń na sick call, pracowników kuchni, rozpoczynających pracę o 3:00, zastrzyki insuliny o godz 4:00, pill line czyli po przepisane tabletki o godz 5:00, pobieranie krwi do analizy o 6:00 rano oraz więźniów „idących w transport” czyli przenoszonych do innych zakładów. Wielu więźniów zawracało mi jeszcze głowę dopytując się o Tylenol Mylanta albo Milk of Magnesia^[26]. Często gdy jednego z dwóch ostatnich nie było w apteczce, godzili się na drugi z nich mimo, iż ich działania wzajemnie się wykluczały, nie miałem zatem wątpliwości, iż jedynym powodem upominania się o lekarstwa było

- odwrócenie mojej uwagi,
- zabicie czasu,
- próba zagadania
- kombinacja powyższych.

Jeżeli chodzi o odwrócenie uwagi to więźniowie usiłują zrobić sztuczny tłok zbierając się w dyżurce a następnie zagadując oficera, podczas gdy inni w tym czasie lokują kontrabandę (dojrzewające na sokach wino, tytoń, papierosy, narkotyki, telefony komórkowe, aparaty do tatuażu, itd.) w trudnych do namierzenia miejscach. Inni w tym czasie przyklejają nosy do szyb dyżurki udając lub rzeczywiście starając się odczytać podpisywane przeze mnie OTR. Metoda ta jest skuteczna w przypadku żeńskiego personelu, którego przedstawicielki są podatne na serwowane im w nadmiarze, komplementy. Od samego początku mojej pracy w SCDC konsekwentnie egzekwuję regulaminowy zakaz wchodzenia więźniów do dyżurki, z wyjątkiem przypadków gdy któryś miał osobista sprawę i uzyskał jednorazowe zezwolenie.

26 Tylenol – tabletki przeciwbólowe, Mylanta – płyn na wstrzymanie, Milk of Magnesia – płyn na przeczyszczenie.

Systematycznie zrywany napis: no inmates allowed in officer's station, - „więźniom wstęp wzbroniony do dyżurki oficera” - systematycznie drukowałem w domu i ponownie przyklejałem aż w końcu musieli ustąpić. Po sporządzeniu listy budzenia i podpisaniu wszystkich OTR, ułożyłem je w kolejności numerów cel, zamknąłem dyżurkę - czynność, która weszła mi w krew po kradzieży baterii z latarki - zabrałem sick call list i wydając głośny gwizd regulaminowym gwizdkiem ogłosiłem rozpoczęcie round. Rozpoczywałem niemal zawsze od najniższego poziomu usytuowanego 6 schodków poniżej t.zw. ground level, czyli poziomu ziemi, do którego wchodziło się bezpośrednio do budynku z zewnątrz. Pierwsze pomieszczenie to kiosk telefoniczny, przed którym zawsze stała kolejka oczekujących a wszystkie 4 telefony wewnątrz były zajęte aż do lockdown time czyli zamknięcia wszystkich cel. Więźniowie mogli rozmawiać wyłącznie z osobami, których nazwiska i numery telefonów uprzednio zgłosili, płacąc za rozmowy z posiadanego konta, do którego dostawali się wybierając odpowiedni kod. W przypadku nałożenia kary, kod był blokowany na okres jej obowiązywania.

Dalej następowały trzy-osobowe cele od numeru 118 do 132, które kolejno otwierałem i zamykałem. Niemal codziennie więźniowie prosili by zmienić kolejność np, by zacząć od najwyższej kodygnacji dla umożliwienia im odebrania długu, elektrycznego czajnika, książek czy innych bzdetów na co reagowałem niezmiennie:

„Gdybym zechciał uwzględnić wymagania każdego z was osobno, musiałbym kręcić się jak śmigło helikoptera. Czy ja wyglądam jak śmigło helikoptera?” – pytałem

„Raczej nie” – opowiadali.

„To nie zawracajcie mi głowy i pogódźcie się z faktem, że

robie i zawsze będę robił obchód według własnego uznania.”

Czasami jeszcze próbowali się targować: „A inni oficerowie to nas się słuchają.” Na co odpowiadałem wskazując na wywieszkę z moim nazwiskiem na koszuli:

„Czy tu jest napisane <inni oficerowie>?” – pytałem, i zwykle już nie musiałem czekać na odpowiedź.

Więźniowie proponowali mnie również by robić dwie zamiast jednej round; w ciągu pierwszej pootwierać a w następnej pozamykać wszystkie cele dając im możliwość pozałatwiania spraw w innych celach, przygotowania się do kąpieli itd. Początkowo szedłem na ustępstwa ale szybko zorientowałem się, iż jest to zbyt niebezpiecznie nie tylko dla mnie samego ale dla więźniów i całego więzienia. Niektórzy(re) z moich partnerów dogadzają więźniom zostawiając otwarte cele na kilkanaście minut narażając siebie i wszystkich ale po gorzkich doświadczeniach własnych i innych wniosek jest prosty; trzymanie się regulaminu bardziej popłaca, niż chodzenie na skróty.

PIERWSZE OSTRZEŻENIE

19 grudnia 2011, jadąc do pracy nie czułem się najlepiej. Nie potrafiłem określić dokładnie co mi dolega ale podejrzewałem, iż zmęczenie podróży, dwukrotna zmiana strefy czasowej w stosun-

kowo krótkim okresie czasu, niewystarczająca ilość snu, spowodowana m.in. szczekaniem psów sąsiadów miały wpływ na moje samopoczucie. Dwa dni odpoczynku po podróży na pewno postawiły by mnie na nogi ale nie była to logika, trafiająca do przekonania kapitanowi Ocean. Po odprawie dowiedziałem się, iż znów idę na Kiawah B a moim partnerem był Oficer Barnes – kilka lat młodszy ode mnie, odznaczający się bardzo niestaranną wymową. Niektórzy więźniowie twierdzili, iż mimo europejskiego akcentu i nie stosowania slangu, byłem łatwiejszy do zrozumienia niż Barnes. W Polsce ludzie, odznaczający się tego rodzaju wymową noszą przezwisko „bełgot” lub „mamrot”. Barnes miał również problemy ze słuchem i czasami, gdy coś zrozumiał nie tak, popadał w złość. Dość szybko ta cecha rozszyfrowałem i zaakceptowałem go takim jakim był. Pewnego razu Lieutenant Hipps – naczelnik pawilonu Cheraw powiedział mi:

- *Panie Skowron, Co jest z tym Barnesem? On pali papierosy na terenie pawilonu.*

- *Skąd pan o tym wie, poruczniku?* – spytałem.

- *Więźniowie mi donieśli* – odpowiedział Lt. Hipps. – *Niech pan mu coś powie, bo będzie musiał zrobić z tego użytek.*

Powiedziałem i zaraz potem pożałowałem tego. Barnes zaczął na mnie krzyczeć:

- *Jak Hipps ma coś do mnie to niech powie mi w oczy, a nie tak okrężną drogą!*

- *Gdy panu powie w oczy, to sprawa będzie już na dyscyplinarce. On chciał panu przekazać nieoficjalne zwrócenie uwagi, coś w rodzaju nieformalnego ostrzeżenia. Więźniów za złapanie na paleniu lub posiadaniu papierosów karzemy odebraniem widzeń, korespondencji i telefonów conajmniej na miesiąc a nas mogą ukarać zawieszeniem bez prawa do wynagrodzenia a za drugim*

razem cndb^[27].

Barnes pomarudził niewyraźnie i się udobruchał. A ja zastanawiałem się w jaki sposób wchodzi on i inni pałacy oficerowie w posiadanie szlugów. Jesteśmy tak dokładnie rewidowani na bramce, iż paczka gumy do żucia jest otwierana. Jedyne wytłumaczenie to konszachty z więźniami, u których jeden papieros kosztował wówczas 6 dolarów. Department of Corrections zgłosił nawet wniosek do pani Gubernator Nikki Haley^[28] o przywrócenie tytoniu w więzieniach, co mogłoby a) wpłynąć na zmniejszenie dopływu kontrabandy b) przynosić dochód ze sprzedaży tytoniu z pominięciem podatku. W każdym razie, im dłużej pracowałem w SCDC, tym mocniej utwierdzałem się w podejrzeniach – przechodzących w przekonanie, iż byłem jedynym oficerem nie uwikłanym w żadne układy z osadzonymi.

Po rozstaniu się z Barnesem w hallu wejściowym, przejąłem służbę od tłustej, ale bardzo ładnej na buzi Oficer Martin – spokrewnionej z porucznikiem Martinem, który dawał nam nieźle w

27 Cndb – czapka – noga – dupa – brama, czyli dyscyplinarne zwolnienie. Przetłumaczyłem to Barnesowi na angielski: cap – foot – ass – front gate

28 Nimrata „Nikki” Randhawa Haley (ur. 20 stycznia 1972 w Bamberg, Karolina Południowa) – polityk amerykańska, Gubernator Karoliny Południowej (od 2011r.). Członkini Izby Reprezentantów Karoliny Południowej w latach 2005 – 2010. Należy do Partii Republikańskiej. Jest pierwszą kobietą, której udało się zwyciężyć rywalizację o najwyższe stanowisko w Karolinie Południowej. Haley urodziła się jako Nimrata Randhawa, w rodzinie indyjskich imigrantów. Jej rodzice przybyli do Stanów Zjednoczonych w 1963 z indyjskiego stanu Pendżab. W wieku 13 lat, młoda Haley pomagała rodzicom w prowadzeniu rodzinnego sklepu odzieżowego. Jest absolwentką Clemson University, gdzie uzyskała Bachelor’s degree (odpowiednik licencjata w Polsce) z zakresu rachunkowości. Następnie pracowała na stanowiskach, odpowiednich względem wykształcenia, w kilku amerykańskich korporacjach (między innymi: FCR, Inc.). Po upływie kilku lat zdecydowała się porzucić dotychczasową pracę i zatrudnić się w rodzinnej firmie odzieżowej z siedzibą w hrabstwie Lexington. Uczyniła ona firmę wartą miliony dolarów korporacją. W 2004 roku objęła funkcję prezesa National Association of Women Business Owners (NAWBO) – amerykańskiej organizacji zrzeszającej kobiety przedsiębiorców

kość, zanim został oddelegowany do SMU a po rutynowej kontroli urządzeń bezpieczeństwa, wpisaniu przejęcia zmiany do księgi dyżurów, rozpocząłem obchód. Dwie pierwsze kondygnacje, między którymi było tylko 6 stopni różnicy obsłużyłem bezproblemowo, natomiast po wejściu na trzecią zacząłem odczuwać zadyszkę. Po skręceniu w ostatni rząd cel czyli od 231 do 242, przed oczami zaczęły mi migać ciemne plamy i zacząłem odczuwać zawroty głowy. Musiałem się zmienić na twarzy bo wiźźniowie jeden przez drugiego zaczęli pytać:

- *Are you o.k?*

Dokończyłem obchód, zszedłem na dół czując, iż nogi uginają się pod mną. Zrobiło mi się duszno, na czoło wystąpił pot mimo, iż wcale nie było za ciepło. Nacisnąłem przycisk mikrofonu mojego radia i powiedziałem:

- *Evans Control, Kiawah B. officer needs help. Medical problem.*

- *First responders, Evas Control. Report to Kiawah B, officer needs assistance*^[29] – usłyszałem za chwilę głos kapral Bingham.

Kilka minut później pojawili się: sierżant Clark, kapral Harrington i oficer Honeycutt. Zajrzał również oficer Barnes, który przyszedł sprawdzić co się dzieje po tym co usłyszał przez radio. Gdy tylko spojrzeli na mnie od razu przyciągnęli wózek, na który mnie posadzili i popchali do ambulatorium. Gdy owiało mnie świeże powietrze, od razu poczułem się lepiej ale mimo to zapchano mnie na miejsce. Dyżurna pielęgniarka zmierzyła mi ciśnienie, podała aspirynę, zadała kilka pytań i powiedziała: zadzwoniła do szpitala. Gdy tylko powiedziała wiek i objawy, powtórzyła kilka razy: „tak”, „rozumiem” a następnie zwróciła się do sierżanta Clarka:

29 Evans Control = dyspozytornia. Oficer potrzebuje pomocy. Dyspozytornia wzywa grupę szybkiego reagowania do pawilonu Kiawah, skrzydło B, udzielić pomocy oficerowi.

- *Zawieźcie go do szpitala, nie ma co czekać na karetkę.*

Przekazałem klucze, radio, kajdanki i gaz kapralowi Harrington i pozwoliłem się wywieźć z terenu więzienia na parking. Poprosiłem tylko Clarka, żeby przyniósł z mojego samochodu portmonetkę i komórkę i wsiałem do służbowego samochodu, którym pojechaliśmy do Marlboro Park Hospital, znajdującego się w odległości mniej niż 3 mile od ECI. W tym samym szpitalu, niecałe 8 lat temu Jola zakończyła przedwcześnie swe życie a zatem to miejsce nie budziło we mnie miłych skojarzeń.

W pomieszczeniu pogotowia zmierzono mi ponownie ciśnienie i pobrano EKG. Clark asystował mi przez cały czas, żartując, iż trafiła mu się łatwa służba tej nocy. Poza pracą w Evans na nocną zmianę, Clark w ciągu dnia jest sprzedawcą w sklepie NAPA (skrót od National Automotive Parts Association czyli Krajowe Zrzeszenie Części Samochodowych) w Cheraw. Byłem jednym z nielicznych oficerów na naszej zmianie, który miał tylko jedno zajęcie. Po ok. pół godzinie lekarz przyszedł z wynikiem EKG, mówiąc:

EKG nie wygląda najlepiej ale nie tragicznie. Z drugiej strony nie mamy żadnego materiału porównawczego a zarem proponuje zostawić cie w szpitalu i wykonać kilka testów w równych odstępach. Porozumiem się w tym celu z Dr. Santana.

Po upływie kolejnej pół godziny dyżurny lekarz wrócił i powiedział:

- *Dr. Santana podziela moja rekomendację i w tej sytuacji zacznę procedurę przyjęcia cię na oddział.*

Po podpisaniu kilkunastu zobowiązań, instrukcji i oświadczeń zawieziono mnie do pokoju 217 – dokładnie tego samego, w którym Jola wydała ostatnie tchnienie. Po przebraniu się w szpitalną koszulę, podłączono mnie do monitorów, w żyłę wetknięto mi igłę podłączona do kroplówki, w nos wetknięto plastikowe rurki z któ-

rych wydzielał się tlen a klatkę, piersiowa ozdobiono elektrodami, podłączonymi do aparatury monitorującej. Lekarz powiedział, iż będą mi robić EKG co 6 godzin, w międzyczasie, będą sprawdzać witalne znaki (vital signs) czyli temperaturę, ciśnienie i puls – jednym słowem nie dane mnie było wypaść się tej nocy.

Przymknąłem oczy i zacząłem uświadamiać sobie swoją sytuację. Oto jestem w szpitalu z podejrzeniem zawału, leżę na tym samym łóżku, na którym zmarła moja ukochana małżonka, przeżyłem już blisko 70 lat a dalsze moje losy są bardziej niż niepewne. Z pamięci zacząłem przywoływać fragmenty mojego życia, podczas którego wydarzyło się wiele ciekawych rzeczy a wiele sytuacji, które przeżyłem stanowiły zwrot w stosunku do poprzedniej o 180°. Pomyślałem sobie:

„O ile się tym razem z tego wykaraskam to usiądę i zacznę wszystko spisywać.”

Obietnicy sobie złożonej dotrzymałem, to znaczy zacząłem spisywać. Zapału starczyło mi zaledwie na dwa tygodnie i zapisanie dwudziestu kilku stron. Musiało dojść do drugiego ostrzeżenia bym sobie uświadomił, iż trzeciego już nie będzie.

DRUGIE OSTRZEŻENIE

Obudziłem się w środku nocy z 30 kwietnia na 1 maja 2013, czując jakby ktoś usiadł mi na klatce piersiowej. Wstałem, żeby ten ciężar z siebie zrzucić ale niewiele pomagało. Otworzyłem drzwi na balkon, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, wzią-

łem aspirynę i zacząłem chodzić po mieszkaniu w tę i spowrotem robiąc jednocześnie głębokie wdechy i wydechy. Spojrzałem na zegar, wskazywał godzinę 2:45 – przypomniałem sobie, że Jola zmarła o 3:05 – i zacząłem się zastanawiać, co robic dalej. Wezwać pogotowie? A jak się okaże, że to głupstwo, to tylko narobie paniki i narażę się na koszty. Pojechać do szpitala na pogotowie (Emergency Room) ? Zrobią mi EKG a i tak będę musiał czekać na lekarza, który sie nie pojawi wcześniej, niż o 8:00, żeby odczytać wynik. Na 1 maja, na godzinie 8:30 miałem wyznaczoną wizytę u mojej lekarki, by dowiedzieć się wyników badania płuc i echocardiogramu, wykonanych dwa miesiace temu. Po kilkunastu minutach ucisk wyraźnie zelżał i w tej sytuacji uznałem, iz mogę spokojnie doczekać do rana. Pomodliłem się i wróciłem do łóżka. Wstałem o 7:00, ogoliłem nie tylko twarz ale również klatke piersiowa przezornie podejrzewając, iz będę miał robione EKG, wziąłem prysznic, wypilem butelke wody (zwykle zaczynam dzień od kawy ale tym razem nie chciałem psuć wyników ewentualnych badań) i pojechałem do gabinetu mojej lekarki, znajdujacego sie przy Doctors Drive (Zaułek Doktorów), w bezpośrednim sąsiedztwie Chesterfield General Hospital. Odległość od mojego domu wynosi ok. trzech mil (mniej, niż 5km) i kilka razy przebyłem ją piechotą. Ostatnio, gdy miałem badanie wymagające narkozy, po której nie wolno prowadzić samochodu, natomiast w drodze powrotnej wezwałem autobus. W moim hrabstwie (County) 20-osobowe autobusy kursują na wezwanie pasażera. Po uzbieraniu kilku wezwań na podobne trasy, autobus podjeżdża pod wskazane miejsca i rozwozi pasażerów. Kiedyś kurs kosztował 1 dolara, a obecnie 4\$. Wizyta u lekarza odbywa się według schematu: Zgłoszenie do rejestracji, podanie nazwiska, rejestratorka sprawdza, stawia ptaszek przy nazwisku i odsyła do poczekalni ze słowami:

- *Proszę siadać, za chwilę się toba zajmujemy.*

Pod „za chwilę” można podłożyć dowolna ilość czasu, nie- rzadko wynoszącą godzinę, podczas której można czytać niepopu- larnie magazyny, gapić się w telewizor albo prowadzić konwersa- cję, w sytuacji, gdy znajdzie się ktoś znajomy. W takiej „metropo- lii” jak Cheraw, o to ostatnie nie jest aż tak trudno.

Kolejnym etapem wizyty jest pojawienie się w poczekalni pielęgniarki, wywołującej imię pacjenta(ki). W korytarzu, prowa- dzącym do pokoiów badań znajduje się waga – tradycyjna, uchyl- no- dziesiętna, na którą należy wejść po zdjęciu obuwia. Następnie pielęgniarka – była to Nancy – prowadzi pacjenta do gabinetu za- biegowego, w którym mierzy ciśnienie, tętno, temperature, czasa- mi pobiera krew, gdy lekarz tego zażąda. Przy okazji pyta o powód wizyty Nancy zaprowadziła mnie do jednego z pokoiów badań, w których pacjent ma wreszcie kontakt z lekarzem, mówiąc:

- *Doktor będzie z tobą za chwilę.*

Definicję „za chwilę” przedstawiłem powyżej. W pokoiach tych znajdują się zwykle dwa krzesła, stół z szufladami, na którym stoi pudełko z jednorazowymi rekawiczkami (podczas mojej pracy w więzieniu zwykle kradłem kilka par, gdyż były one konieczne do ewentualnych kontaktów z więźniami, a władze nie wyposażały nas w takowe), szpatułkami i innymi kłopotami. W pokojach ba- dań również znajdują się rozsuwanie łóżka do badań w różnych pozycjach pacjenta(ki).

Procedurę obsługi pacjentów w amerykańskich przychod- niach lekarskich ilustruje, niemal wiernie żywcem z życia wzięta anegdota:

Do przychodni lekarskiej zgłasza się człowiek. Podchodzi do okienka w rejestracji, gdzie uśmiechnięta panienska wita go sło- wami:

- *Dzień dobry, w czym mogę pomóc?*
- *Ja w sprawie shingles^[30] – odpowiedział przybyły.*
- *Czy pierwszy raz u nas?*
- *Tak – potwierdził mężczyzna.*
- *Jakie ubezpieczenie posiadasz?*
- *No, nie wiem – zmieszał się zapytany.*
- *Rozumiem, bez ubezpieczenia. Czy orientujesz się w kosztach?*
- *Tak, mam umowę – padła odpowiedź.*
- *Proszę wypełnić ten formularz, podpisać tu, tu i tu, poproszę również o dokument tożsamości, z którego zrobię kopie i ci oddam – uśmiechnęła się ponownie panienka z okienka.*

Facet usiadł, wypełnił formularz zawierający m.in. wszystkie dane personalne, łącznie z zarobkami za ostatni rok, historię zdrowia całego życia jego, rodziców, współmałżonka i dzieci, podpisał zobowiązanie, iż bierze pełną odpowiedzialność za wszystko, co może mu się kiedykolwiek przydarzyć, że w żadnym przypadku nie poda lekarza do sądu, nawet gdyby ten go świadomie okaleczył, wskazał również wykonawcę najbliższej i ostatniej woli, a po półgodzinnych zmaganiach oddał plik papierów recepcjonistce, która z kolejnym, czarującym uśmiechem wskazała mu krzesło w poczekalni:

- *Proszę usiąść, za chwilę się toba zajmimy.*

Pacjent usiadł, na umieszczonym w rogu poczekalni telewizorze obejrzał od połowy do końca program „Dr Phil”, połowę „Judge Judy”, przejrzał zdjęcia w kilku egzemplarzach „Sports Illustrated”, a po niecałej godzinie został wywołany po nazwisku przez inną czarującą panienkę:

- *Dzień dobry, mam na imię Mary, co cię dzisiaj do nas spro-*

30Półpasiec

wadza?

- *Shingles* – odpowiedział.

- *Oh tak mi przykro* – odpowiedziała – *prosze stanąć na wagę i odwrócić się tyłem to cię zważymy i zmierzmy.* - Po zwy-
miarowaniu pacjenta dziewczyna zaprosiła go do gabinetu zabie-
gowego, gdzie zmierzyła mu ciśnienie, tętno i temperaturę i po-
wiedziała:.

- *Z ankiety wynika, że w ciągu ostatnich dwóch lat nie miałeś pobieranej krwi na morfologię i PSA^[31], ani moczu na cukier. Za chwilę przyjdzie pielęgniarka i pobierze ci krew a tymczasem idź do łazienki, oddaj mocz do kubeczka, który następnie postawisz na okienku.*

Facet zrobił jak mu kazano, usiadł w gabinecie zabiegowym, pooglądał wszystkie plansze reklamujące środki na niedyspozycję erekcji a po niecałej godzinie zjawiła się kolejna, miła dziewczyna:

- *Cześć, na imię mam Peggy, czy jesteś dzisiaj O.K.?*

- *Tak* - wybąkał pacjent.

- *A co cię dzisiaj do nas sprowadza?*

- *Shingles* – powtórzył po raz trzeci.

- *Tak mi przykro* – sztucznie zmartwiła się pielęgniarka. –
Podwiń rękaw koszuli, zaciśnij pięść a ja ci pobiorę krew.

Pielęgniarka wbiła igłę w żyłę faceta, i pobrała krew wype-
niając nią kilka fiolek a następnie wyjęła igłę, przyłożyła wacik, na
wacik plaster, po czym zaprowadziła delikwenta do pokoju badań.

- *Za chwilę doktor przyjdzie do ciebie.*

Pacjent obejrzał wiszące na ścianach atlasy anatomiczne,

31 (z ang. prostate-specific Antigen – swoisty antygen sterczowy) – najle-
piej poznana ludzka proteaza serynowa z rodziny kalikrein, kodowanej w re-
gionie 19q13.4 Jest glikoproteiną wytwarzaną w gruczole krokowym (ster-
czu), obecną we krwi w stężeniu podwyższonym m.in. w przypadku zapalenia
gruczołu krokowego, łagodnego przerostu prostaty lub raka gruczołu kroko-
wego.

przeczytał wszystkie dyplomy wystawione na nazwisko James Brown a po niecałej godzinie zjawił się pan z bródką i w okularach, ubrany w biały fartuch z wyhaftowanym Brown na kieszonce, z bocznej kieszeni wystawał stetoskop.

- *Dobre popołudnie* – przywitał pacjenta lekarz. - *Nazywam się doktor Brown* – przedstawił się. - *Z opisu wynika, że jesteś dzisiaj w sprawie shingles, zgadza się?*

- *Tak* – odpowiedział pacjent.

Po czym lekarz długo i uważnie przeglądał teczkę pacjenta, która od momentu wejścia zawierała już kilkadziesiąt różnych kartek i wydruków.

- *Czerwone krwinki w porządku, cholesterol O.K., cukrzycy nie masz, ale dla upewnienia się czy nie masz powiększonego gruczołu prostaty, zrobimy krótkie badanie. Opuść spodnie i majtki, stań przedem do łóżka i pochyl się* – powiedział lekarz nakładając jednorazowe rękawiczki, po czym włożył wskazujący palec kolejno: w słoik z wazeliną i w odbyt delikwenta. Pokreślił palcem na wszystkie strony, następnie wyjął, pozbył się rękawiczek, umył ręce i powiedział:

- *Prostata, dzięki Bogu w porządku, kolejne badanie za rok a teraz powiedz gdzie masz te shingles^[32].*

- *Na moim truck'u^[33]* – odpowiedział domniemany pacjent podciągając i zapinając spodnie – *gdzie mam je zrzucić?*

U mnie było podobie.

Nancy wróciła po kilku minutach ciągnąc za sobą aparat do EKG.

- *Doktor powiedziała, że skoro miałeś sensacje klatki pier-*

32 Shingles – półpasiec. Shingles jako liczba mnoga od shingle – Dachówki papowe.

33Ciężarówce.

siowej to trzeba ci zrobić EKG. Połóż się i zdejmij koszulę – powiedziała wyciągając szufladkę z fotela, czyniąc z niego łóżko.

Podczas poprzedniego badania tym instrumentem usuwano ze mnie elektrody razem z włosami a zatem musiałem pochwalic siebie w duchu za roztropność. Badanie trwało kilka minut po czym pielęgniarka wyszła a za następne kilka minut do gabinetu wkroczyła Dr. Hemmett z wydrukiem w ręku. Jedną rękę oparła o biodro a drugą, uzbrojoną w wydruk EKG wyciągnęła w moim kierunku pytając:

- I co ja mam z tobą zrobić?

- To ty mi powiedz, ja jestem tylko skromny pacjent i klient
- odparłem.

- Nie wiesz, że jak masz ucisk na klatkę piersiową to trzeba sie natychmiast zgłosić do szpitala?

- W środku nocy? – zdziwiłem się – *przecież i tak miałem wyznaczoną wizytę na dzisiaj.*

- Mogłeś do tej wizyty nie doczekać – odpowiedziała kręcąc głową – *miałeś atak serca* (Amerykanie używają tradycyjnej nazwy określającej zawał) – dodała pokazując zakreślony na czerwono fragment jednej z kilku krzywych na wydruku.

Dr. Rochelle Hemmett jest przysadzistą trzydziestokilkuletnią dziewczyną o ciemnej skórze, ładnej buzi i szerokich biodrach. Ta ostatnia cecha mnie odpowiada, bo przynajmniej nie robi żadnych uwag na temat mojej nadwagi. Za każdym razem, po wejściu do pokoiku badań i przywitaniu się, siada na krzeselku, przeprowadza wywiad ale w luźnej formie, często zbaczając na tematy zupełnie nie związane ani z wizyta ani z medycyną. Ma poczucie humoru, opowiada również o swojej kilkunastoletniej córce, która wyrwa jej się spod kontroli, dużo się uśmiecha, odsłaniając śliczne zęby. Dobry kontakt osobisty skraca dystans relacji lekarz-pacjent i chy-

ba ten przedmiot miała na studiach zaliczony celująco. Dziś jednak jest bardzo poważna, skupiona i jeszcze nie zdążyła się do mnie uśmiechnąć.

- *Musimy cię natychmiast skontaktować z kardiologiem* – powiedziała i zaprowadziła mnie do rejestracji, gdzie poleciła wysłanie mnie do kardiologa ASAP^[34].

Rejestratorka zaczęła od lokalnej kardiolog, Czeszko-Niemki z pochodzenia o nazwisku Jana Hoffmeier. Zgłosiła problem a za chwilę, wciąż trzymając słuchawkę przy uchu, powiedziała pytająco:

- *Poniedziałek, 6-go maja?*

- *Szukaj dalej* – rzekła kręcąc przecząco głową Dr. Hemmett.

Po kilkunastu minutach, podczas których oboje z Dr. Hemmeet staliśmy przy wewnętrznym okienku rejestracji, wreszcie padło tryumfalne:

- *Dziś o pierwszej po południu, Advanced Cardiology Specialists, we Florence, ok?*

Dr. Hemmett odetchnęła z ulgą i podając mi rękę powiedziała:

- *Good luck, tylko nie rób mi więcej takich numerów, ok?*

- *Deal* – odpowiedziałem – *a może już nie będę miał okazji?*

- zażartowałem.

- *Stop it!* – zmarszczyła brwi uderzając mnie lekko w ramię – nie mogę sobie pozwolić na utratę klienta – odpowiedziała również żartem.

Do Florence mam ok. 50 (ok. 80 km) mil i ok. 1 godziny jazdy. Musiałem jeszcze wstąpić do Wal-Mart'u, gdzie w dziale farmaceutycznym zostawiłem wypisane mi recepty. Lekarstwa miały być gotowe na 20 minut a do wyjścia z domu, by zdążyć przez

34 ASAP, skrót od as soon as possible – tak szybko, jak tylko możliwe.

13:00 miałem blisko 2 godziny. W skierowaniu były podkreślone dwa słowa: severe i urgent^[35].

Do Advanced Cardiology Association dotarłem kilka minut przed terminem i po przekazaniu skierowania do rejestracji rozpocząłem procedurę jak w opisanym przykładzie. Po wypełnieniu sążnistej ankiety i podpisaniu kilku wielostronicowych zobowiązań, czekałem na zgłoszenie się pielęgniarki dobre pół godziny. Po zważeniu, zmierzeniu ciśnienia, tętna i temperatury, zaprowadziła mnie do gabinetu badań, gdzie wykonano kolejny w dniu dzisiejszym elektrokardiogram. Na lekarza czekałem kolejne pół godziny a okazał się nim Chińczyk o łatwym w pisowni a trudnym w wymowie nazwisku Ng.

- *Uszkodzenie komory serca nie jest tak duże a najważniejsza sprawa, to nie ma żadnej, pełnej blokady w twoim krwioobiegu – pocieszył mnie – zrbimy ci nuclear stress test^[36] i po nim podejmiemy decyzje na temat dalszej terapii.*

- *Czy masz dla mnie jakieś zalecenia odnośnie leków, diety, trybu życia?* – zapytałem.

- *Nie przemęczaj się, unikaj kobiet i alkoholu, możesz brać leki na obniżenie ciśnienia, aż do ostatniego dnia przed badaniem.*

- *Z kobietami nie będzie problemu, a czy mogę jeździć na rowerze?* – spytałem

- *Ja bym ci radził poczekać do otrzymania wyników testu.*

35 Severe – poważne, urgent – pilne.

36 Test wysiłkowy, elektrokardiograficzna próba wysiłkowa – badanie medyczne opierające się na zależności zmieniającego się zapisu EKG pod wpływem zwiększającego się wysiłku fizycznego, który powoduje zwiększanie zapotrzebowania na tlen, co organizm kompensuje przez zwiększenie przepływu przez naczynia wieńcowe. U osób z niewydolnością przepływu wieńcowego, powyżej pewnego wysiłku, nie może już dalej zostać pokryte to zapotrzebowanie drogą zwiększonego przepływu i rozwijają się cechy niedokrwienia mięśnia sercowego. Nuclear stress test – to samo, tylko z dożylnym kontrastem.

Test miałem wyznaczony na 13 maja ale wówczas zadałem sobie sprawę, iż mam do czynienia z drugim ostrzeżeniem, oraz, że trzeciego się już nie doczekam.

Zmobilizowało mnie to by powrócić do zaczętych wspomnień, zwłaszcza, iż powrót z rowerem na szosę musiałem na niecałe dwa



Zdjęcie 6. Od lewej: mój Pradziadek Feliks Bohdziewicz, moja mama Janina Żbikowska-Skowron, macocha babci z Janem Żbikowskim III na kolanach, wuj Leon Żbikowski, babcia Helena Żbikowska. Olkieniki, rok 1914

tygodnie odłożyć.

Zanim jednak zacznę pisać o sobie, muszę przedstawić korzenie, z których się wywodzę, ponieważ w każdym z nas tkwią odziedziczone po przodkach geny, cechy i wszelkie uwarunkowania decydujące o charakterze, osobowości a często także o życiowych losach. Poza tym historia mojej rodziny jest tak ciekawa i różnorodna, że oderwana od niej autobiografia nie miałaby wiele sensu.

UCIECZKA Z ROSJI CZYLI PO MIECZU

Ponura, listopadowa noc 1853 roku. Z nisko zwisających, gęstych chmur siąpi drobny deszcz, a wśród resztek liści huczy

zimny wiatr, tłumiący kroki orszaku, zmierzającego od wschodu w kierunku Brynicy – rzeki rozdzielającej cesarstwa Wszechrosji i Prus. W grupie znajdowały się cztery dorosłe osoby – trzech mężczyzn i jedna kobieta i czworo dzieci, a każde z nich obciążone było bagażem proporcjonalnym do wzrostu. Najwyższy i z wyglądu najsilniejszy z nocnych wędrowców, dźwigał ogromny toboł zwązany węzłem i przytroczony do pleców. Najniższy z mężczyzn niośł ogromną balię, służącą w tamtych czasach nie tylko do prania ale również do kąpieli; dzieci razem a dorośli po kolei w tej samej wodzie. Dwaj pozostali transportowali na plecach mniejsze toboły i duży stojący zegar. Za mężczyznami kroczyło trzech chłopców w wieku 9, 8 i 6 lat a jedyna w towarzystwie kobieta niosła w ogromnej chuście, którą była przepasana, 2-letnia dziewczynkę. Po wyjściu z lasu przewodnik dał znać ręką pozostałym by chwilkę poczekali a sam dokładnie się rozejrzał na obie strony i w dostojnie rosnące drzewa w lesie, na przeciwległym brzegu rzeki. Posterunki graniczne rozmieszczone były rzadko, a o tej porze wartownicy po obu stronach oddawali się relaksującej drzemce. Upewniwszy się o braku zagrożeń, wysoki mężczyzna kiwnął dłonią na pozostałych, a drugą dłonią położył palec na ustach nakazując ciszę. Przewodnik nazywał się Mateusz Skowron, który wraz z żoną Agnieszką z domu Mleczek i czwórką dzieci: Augustynem zwanym Gustlikiem, Pawełkiem, Jankiem i Eufemią - Funią zostawił zadłużony majątek Kalinów w pobliżu Siewierza, udając się do Prus, które akurat w rejonie Górnego śląska przeżywały rozkwit gospodarczy. Najniższy mężczyzna w orszaku - Zygmunt Paluch był sąsiadem i bliskim przyjacielem Skowronów a towarzyszył mu brat Leon. Po dojściu do brzegu rzeki Zygmunt z ulgą pozbył się balii, którą Mateusz szybko zaczął wypełniać tobołami. Następnie obaj z bratem przepchali balię na drugą stronę i zawrócili po następny załadunek.

- *Żegnajcie, idźcie z Bogiem pani Skowron* – rzekł starszy z braci Paluchów, całując Agnieszkę w rękę, - *a za tobą będę tęsknił jak za własną córką* – dodał całując Funie w czoło, na co piękna kobieta odpowiedziała uściskiem:

- *Dzięki Wam za wszystko, niech was Bóg ma w swojej opiece.*

- *Z Bogiem Mateuszu* – powiedział Leon Paluch sciskając mu dłoń

- *Co byśmy bez Was zrobili, nie zapomnimy o was nigdy* – powiedział senior rodziny Skowron, żegnając się kolejno z obu braćmi – *napiszę jak tylko sie urządzimy.*

- *Tato, to wujkowie z nami nie jadą?* – zmartwił się Gustlik.

- *Niestety Guciu* - odpowiedział Mateusz – *ale obiecuję ci, że przyjedziemy wujka odwiedzić.* - Obietnicy tej Mateusz nigdy nie był w stanie spełnić.

Dzieci Skowronów i Paluchów chodziły do szkoły, bawiły się razem i ojców swych przyjaciół nazywały wujkami, a mamy ciociami.

Następnie do balii weszła Pani Skowron z Eufemią zwaną Funią która smacznie spała u mamusi na rękę, a Mateusz przepchnął szybko ten szczególnego rodzaju obiekt pływający na drugą stronę i wrócił po trójkę chłopców, którzy tymczasem żegnali się z braćmi Paluchami. Po zrobieniu ostatniego kursu, Mateusz szybko się przebrał w suche spodnie, założył buty, które podczas przeprawy miał przewieszzone przez szyję i orszak ruszył przecinką leśną do leśniczówki, w której czekał na nich zaprzyjaźniony leśniczy z furmanką, rozpoczynając górnośląską linię Rodziny Skowronów. Po złożeniu tobołów oraz usadowieniu dzieci i Pani Agnieszki, ruszyli w kierunku stacji kolejowej Kleinstadt (obecnie Miasteczko śląskie) dokąd dotarli przed switem. Przez dłuższy czas w mojej

rodzinie uważano iż założyciel górnośląskiej linii Skowronów odbył wielodniową wyczerpującą podróż podczas ucieczki z dalekich rubieży Imperium Rosyjskiego, zanim mój stryj wyjaśnił, iż Mateusz pochodził z Siewierskiego, czyli z terenów przygranicznych.

Mateusz Skowron pochodził z drobnej szlachty z siewierskiego a po ukończeniu Szkoły Handlowej w Warszawie ożenił się z piękną Agnieszką Mleczo, zamieszkałą u rodziców w Kalinowie. Po ślubie Mateusz został zarządcą majątku Mleczków, marząc jednak o własnym businessie, na który jednak musiałyby długo pracować na obecnym stanowisku. Oczekiwanie na śmierć teścia, który wydając córkę za mąż znajdował się w sile wieku, nie wchodziło w rachubę. W rok po ślubie Agnieszka wydała na świat syna, któremu dano na imie Augustyn, nazywany zdrobniale Gucio a po śląsku Gustlik albo Gustek. Kolejnych dwóch chłopców Paweł i Jan pojawiło się w rodzinie w ciągu następnych trzech lat. Wreszcie po ośmiu latach przyszła na świat upragniona córeczka, której nadano imie Eufemia po babci Agnieszki, zdrobniale Funia.

Postępujące uprzemysłowienie Górnego śląska, po odkryciu bogatych złóż węgla, powodowało systematyczny odpływ pracowników i stopniowe podupadanie gospodarstwa oraz regionu. Ustanowione po Kongresie Wiedeńskim granice między cesarstwami Pruskim a Rosyjskim porozdzielały krewnych i rodziny zamieszkałe po obu stronach. Siewierz i okolice wciąż znajdowały się w granicach t.zw. Królestwa Polskiego, zwanego również Królestwem Kongresowym a w mowie potocznej Kongresówką. W Tarnowskich Górach (po czesku Tarnovice, a w okresie zaborów Tarnowitz) mieszkała cioteczna siostra Mateusza, której mąż pracował w kopalni. Z otrzymywanych listów wynikało, iż praca dla osób wykształconych, z inwencją i wstępnym kapitałem czekała na chetnych i odważnych w całym regionie. Po ponad dziesięciu latach

harówki u teściów, oszczędny z natury Matesz uzbierał trochę grosza i postanowił ruszyć „na Saksy”. U krewnych w Tarnowskich Górach, dokąd dotarli pociągiem z Kleinstadt, z uwagi na ciasne mieszkanko w miejscowym „familoku” Skowronowie zatrzymali się zaledwie kilka dni, ruszając w dalszą drogę do Siemianowic, gdzie Mateusz dostał pracę w kopalni na stanowisku księgowego. Po kilku latach otworzył sklep z artykułami kolonialnymi, który zapewnił rodzinie utrzymanie oraz możliwość ukończenia studiów inżynierskich przez Augustyna. Paweł po skończeniu szkoły poszedł do pracy w kopalni, gdzie doszedł do stanowiska sztygara a Jan również wybrał karierę w kopalni gdzie po kilku latach pracy na dole stał się członkiem oddziału straży pożarnej i ratownictwa górniczego w kopalni „Czeladź” w Czeladzi.

Eufemia, po ukończeniu pensji w Bytomiu (wówczas Beuthen) pracowała w sklepie u ojca i wyszła za mąż za dostawcę towarów Wojciecha Koniarka. Bóg obdarzył państwa Koniarków siódmką dzieci: Klara, Jadwiga, Jan, Edmund, Jerzy, Agata i Adela. Jędrrek – mój stryjeczny brat, który pomógł mnie w opracowaniu drzewa genealogicznego Skowronów, ustalił jedynie losy Klary, która wyszła za mąż za Jana Księżnego. Państwo Księżny mieli córkę Zofię, która wyszła za mąż za Alojzego Matelę. Z tego związku urodziła się dwójka dzieci Gabriela i Michał należący do mojego pokolenia. Jan poznał swoją żonę w Siemianowicach natomiast do końca życia mieszkał w Czeladzi. Ze związku Jana z panną Kingą Musioł narodziły się cztery dziewczynki: Maria, Gertruda, Małgorzata i Irena. Ciocie Gertrudę – nazywaną zdrobniale Trudą a przez moją babcię Trudka oraz Irenę – po mężu Łabęcką, poznałem podczas mojego pierwszego – i jak dotąd jedyne – pobytu w Czeladzi, dokąd udaliśmy się z Babcią w czerwcu 1956 r. zawiadamiając o śmierci Dziadka, który zmarł 11 lutego 1956. Babcia była bardzo

oszczędna a w ramach tych oszczędności zamiast pociągu, który z jedną przesiadką zawiózłby nas na miejsce znacznie szybciej, korzystaliśmy ze środków komunikacji WPK w Katowicach, zwanych w tamtych czasach Stalinogrodem. Z Łabęd do Gliwic pojechaliśmy wczesnym rankiem autobusem – straszliwie kopącym Ikarusem. W Gliwicach wsiedliśmy w tramwaj linii 4, którym przez całe Gliwice, Zabrze, Rudę śląską, Chebzie, świętochłowice i Hajduki dotarliśmy po południu do Chorzowa. Z Chorzowa pojechaliśmy „szóstką” przez Siemianowice śląskie do Katowic a stamtąd autobusem WPK do Czeladzi. Ciocia Truda, u której akurat przebywały na wakacjach wnuki zamieszkałe na stałe w Poznaniu - Mariola z bratem, którego imienia nie pamiętam, mieszkała razem z równie jak ona owdowiałą siostrą Ireną. Mariola była rok młodsza ode mnie a jej brat trzy lata. Ciocia Irena w czasie okupacji była łączniczką AK i bardzo kopciła papierosy w szklanej fifice. Przenocowaliśmy w bardzo spartańskich warunkach; 6 osób na dwóch łóżkach i jednej kanapie a rano ciocia Truda, która była zdewastowana wiadomością o śmierci kuzyna a mojego Dziadka - uskarżała się na potworny ból głowy, który nie dał jej spać. Babcia z ciociami słuchały Radia Wolna Europa, które informowało o wypadkach poznańskich donosząc o czołgach na ulicach, strzelaniu przez wojsko i milicję do demonstrujących robotników fabryki Cegielskiego – zwanego oficjalnie ZiSPO (skrót od: Zakład Imienia Stalina w Poznaniu, nazwa ta nigdy się nie przyjęła)^[37]. Informacje te

37 Strajk wybuchł rankiem 28 czerwca (w tzw. czarny czwartek) w Zakładach Przemysłu Metalowego H. Cegielski Poznań (w latach 1949–1956 noszących nazwę Zakłady im. Józefa Stalina Poznań – w skrócie ZISPO) i przerodził się w spontaniczny protest Wielkopolan przeciw władzy. Stłumiony przez liczące ponad 10 tys. żołnierzy oddziały LWP i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego pod dowództwem wywodzącego się z Armii Czerwonej generała Stanisława Popławskiego. W 2006 roku dr Łukasz Jastrząb ogłosił zwerifikowaną listę 57 zabitych i zmarłych w wyniku odniesionych ran[1]. Jego badania potwierdził w 2007 roku Instytut Pamięci Narodowej, który ponadto

bardzo zaniepokoiły ciocię Trudę, której syn i ojciec Marioli mieszkał w Poznaniu. Przed południem ciocia doznała silnego zawrotu głowy, zdążyła dojść do kanapy, na której straciła przytomność. Na zawołania mojej babci:

- *Trudka, co ci jest?* – Odpowiadała tylko jękami.

Z Mariolą i jej bratem pobiegliśmy po pielęgniarkę, która miała chorej upuścić krew. Był to stosowany wówczas sposób na cofnięcie się wylewu, którego objawy stwierdziły babcia z ciocia Ireną. Usług pogotowia ratunkowego wówczas w Czeladzi nie było a najbliższy szpital znajdował się w Będzinie. Niestety, pielęgniarka zdążyła tylko stwierdzić zgon, który nastąpił wkrótce po naszym wyjściu z domu. Po ustaleniu daty pogrzebu wróciliśmy z babcią do Łabęd tym razem już pociągami od samych Katowic, zwanych wówczas Stalinogrodem – nazwy, której nikt, poza czynnikami oficjalnymi i reżimową prasą, nie używał.

W Łabędach ciocia Rita udała się na pocztę skąd wysyłała telegramy do rodziny Skowronów, zawiadamiające o pogrzebie, który miał się odbyć w niedzielę. W całym miasteczku znajdowało się wówczas zaledwie kilka telefonów prywatnych, kilka samochodów

uzupełnił listę Łukasza Jastrzębia o nazwisko Andrzeja Styperka zmarłego w 1964 roku w wyniku postrzału kręgosłupa, do którego doszło w Czerwcu 1956[2]. W toku walk i pacyfikacji miasta zginęło, w zależności od szacunków, 70[5] osób cywilnych oraz 8 żołnierzy (w tym funkcjonariusze UB i MO) [5] lub 57 osób (w tym 49 cywili i 8 spośród żołnierzy i aparatu bezpieczeństwa), około 600 osób (po obu stronach barykady) zostało rannych.

O wszystkich tych dramatycznych wydarzeniach poza Poznaniem właściwie nic nie wiadano, gdyż miasto zostało odizolowane od reszty kraju. Tymczasem o godz. 10.00 zebrało się w Warszawie Biuro Polityczne (PZPR). Zastwierdzono treść oficjalnego komunikatu, z którego można było dowiedzieć się, iż sprawcami zająć w Poznaniu była „agentura imperialistyczna i reakcyjne podziemie”, którym „udało się sprowokować zamieszki uliczne”. Biuro Polityczne podjęło decyzję wysłania do stolicy Wielkopolski premiera Cyrankiewicza. Był tam już członek Biura Politycznego KC PZPR Edward Gierek, który później stanął na czele komisji badającej przyczyny, przebieg i charakter wydarzeń w Poznaniu. Symbolem sprzeciwu wobec władzy stał się Romek Strzałkowski, trzynastoletnia ofiara śmiertelna.

osobowych i kilka telewizorów, które można było łatwo rozpoznać po wysokich, charakterystycznych antenach.

Łabędy przed II wojną światową były małą wioską, położoną między Rzeką Kłodnicą a dużym lasem, do którego chodziliśmy z dziadkiem po chrust a później z kolegami na grzyby i jagody.

Tuż przed wojną Niemcy rozbudowali hutę znaną jako „Hermimenen - Hütte” , która przemianowano na Adolf Hitler Hütte. W 1940 r. prowadzono dalsze intensywne prace budowlane w celu uruchomienia „Presswerk - Laband” (prasownia Łabędy). Na bazie uregulowanej rzeki Kłodnicy wykopano kanał łączący port gliwicki z rzeką Odrą, w celu transportu węgla ze śląskich kopalń w głąb Rzeszy. Kanał początkowo nosił nazwę Adolf Hitler Kannał a po objęciu śląska przez Polskę przemianowany został na Kanał Gliwicki.

W latach wojny na terenie Adolf Hitler Presswerk powstały hala Stalowni, 5 hal produkcyjnych, hala wydziału remontowego, oraz szereg obiektów pomocniczych, biurowiec-wieża i sieć drogowo-kolejowa. Okres lat 1942-43 to równolegle do trwających nadal robót budowlanych, stopniowy rozruch produkcji zbrojeniowej.

W latach 1946-47 już jako łabędzka filia huty „Pokój” zakład montował konstrukcje stalowe, elementy przęsła, mostu Poniatowskiego dla odbudowującej się Warszawy, dzięki przeniesieniu Wydz. Konstrukcji Stalowych z huty „Pokój”. W 1948 r. utworzono Zakład Inwestycyjno - Remontowy (ZIR) do realizacji inwestycji na terenie łabędzkiej filii. Dostarczono nowe maszyny i urządzenia. Wykonywane były elementy tzw. „iglicy wrocławskiej” W latach 1949-50 następowały kolejne prace inwestycyjne.

W kwietniu 1951 roku Zarządzeniem nr 97 Ministra Przemysłu Ciężkiego zostały powołane do życia Zakłady Mechaniczne im. J. Stalina w Łabędach. określane później skrótem ZMiS. Głównym zadaniem Zakładów była produkcja ciężkich pojazdów

gąsienicowych - czołgów, ciągników rolniczych i artyleryjskich, koparek oraz żurawi. W 1956 roku Zakłady przyjęły nazwę Zakładów Mechanicznych „Łabędy” w Gliwicach. W związku z rozbudową huty i zakładów Mechanicznych Niemcy zbudowali w czasie wojny osiedle mieszkaniowe składające się z jedno i dwu-piętrowych budynków, znane jako Duże Osiedle oraz mniejsze, dla zamożniejszych pracowników huty i zakładu składające się z parterowych domków-bliźniaków, wyposażonych w mini-ogródki nazwane Małym Osiedlem. Dziadek, babcia i ciocia, po przeprowadzeniu się z Tarnowskich Gór mieszkali na Dużym Osiedlu przy ul. Łukowej, która powstała jako ArcStraße. Później ulica Łukowa została przemianowana na Daszyńskiego, następnie Dzierżyńskiego, a po przyłączeniu Łabęd do Gliwic otrzymała jako patronkę Różę Luxemburg. Nazwa ta pozostała do czasów obecnych. Mieszkania na Dużym Osiedlu były standartowe, składające się z trzech pokoi z dużą kuchnią i łazienką. Piece, do orzewania, kuchnie i boilery w łazienkach wówczas były węglowe – większość mieszkańców pracowała w hucie lub zakładach mechanicznych i otrzymywała deputaty węglowe.

W przeddzień pogrzebu przyjechał z Warszawy do Łabęd mój stryj oraz Ojciec Chrzestny w jednej osobie - Egbert i razem udaliśmy się do Czeladzi na pogrzeb cioci Trudy. Po pogrzebie i nakarmieniu, młodzież wyszła na dwór pobawić się a dorośli omawiali tematy polityczne. Czuło się już nadchodzącą odwilż gdy tymczasem masakra poznańska udowodniła iż komuniści wcale nie zamierzają odpuścić co potwierdził m.in. słynny fragment przemówienia Cyrankiewicza, który w przemówieniu radiowym 29 czerwca powiedział m.in. powiedział: „Każdy prowokator czy szaleniec, który odważy się podnieść rękę przeciw władzy ludowej, niech będzie pewny, że mu tę rękę władza ludowa odrąbie! „

Miałem wówczas niepowtarzalną okazję poznania wielu osób z mojej rodziny, których ani nie zapamiętałem ani nie odczuwałem potrzeby pisania rodzinnej biografii.

Siostra Gettrudy i Ireny - Maria Skowron wyszła za wdowca Jana Rudzkiego, z którym miała trójkę dzieci: syna Jana oraz córki Marię i Janinę. Jan Rudzki ożenił się z Hanną i razem wyemigrowali do Argentyny. Nic nam o losach tej linii nie wiadomo. W Marii Rudzkiej podobno kochał się mój stryj Egbert i jest to jedyna informacja, jaką odnotowałem przy tym nazwisku. Janina Rudzka zamieszkała w Katowicach miała syna marynarza.

Czwarta córka Jana Skowrona Małgorzata wyszła za Adolfa Pruszkowskiego, z którym miała syna Jana – którego miałem zaszczyt poznać osobiście. Janek Pruszkowski ożenił się z Ewą – nazwiska panińskiego nie znam, wyprowadzili się na Wybrzeże i mają córkę Małgorzatę.

Trzeci syn Mateusza Skowrona ożenił się z Katarzyną Musioł, z którą mieli czworo dzieci: synów Wilhelma i Augustyna II, oraz córki Agnieszke i Adelę. Obaj synowie od wczesnego wieku pracowali w kopalni, skończyli szkoły górnicze i ożenili się z Niemkami. Wilhelm był inżynierem górniczym a Augustyn II sztygarem nadzorującym drążenie szybów. Państwo Augustynostwo Skowron przenieśli się w głąb Rzeszy, prawdopodobnie w okolice Westfalii i nic mnie o ich dalszych losach nie wiadomo. Ciocia Agnieszka II Skowron wyszła za katowickiego adwokata Tomasza Janusa, z którym mieli dwóch synów: Albrechta, Wolfganga Jana i córkę Adelę. Albrecht został lekarzem i prawdopodobnie zaginał w czasie wojny.

Wofgang Jan urodził się 23 stycznia 1894 roku w Czecho-
wicach k/Katowic, z zawodu inżynier, w szkole oficerów rezer-
wy otrzymał stopień porucznika artylerii. Tuż przed wybuchem

II wojny światowej został zmobilizowany i wcielony do 73 pułku piechoty. W wojsku używał wyłącznie drugiego imienia Jan, gdyż Wolfgang miało zbyt niemieckie brzmienie. 17 września 1939 roku pułk Jana Janusa znajdował się na wschód od t.zw. linii Curzona i został internowany przez Armię Czerwoną, która realizując tajny protokół paktu Ribbentrop - Mołotow wbiła dogorywającej Polsce przysłowiowy nóż w plecy. Oficerowie, a wśród nich mój wujek por. Jan Janus, zostali umieszczeni w obozie w Kozielsku a w kwietniu 1940 roku, przewiezieni do dachy NKWD w Kozogorach, gdzie zostali pojedynczo zamordowani strzałami z pistoletów w tył głowy w Lasku Katyńskim. Nazwisko mojego ś.p. wujka znajduje się na Liście Katyńskiej IPN str.105

<http://www.katedrapolowa.pl/ofiary.php?stro-na=105&str=ok&imie1=&imie2=&nazwisko=&miejсце=> oraz na t.zw. Ukraińskiej Liście Katyńskiej str.26.

Na obu listach błędnie podano pisownie nazwiska mojego wujka - Janusz. Najmłodsza córka cioci Agnieszki ciocia Adela II – siostra Wolfganga-Jana i Albrechta wyszła za mąż na katowickiego adwokata Władysława Guzy i razem z jej mamą a moją ciocią oraz jedynakim Jurkiem mieszkali w pięknej willi na przedmieściu Katowic Brynów. O tym, że wujek Janek został zamordowany w Katyniu dowiedziałem się dopiero gdy wraz ze Stefanem Melakiem – jedną z 96 ofiar katastrofy smoleńskiej 10 kwietnia 2010 r; - powołaliśmy do życia Obywatelski Komitet Budowy Pomnika Ofiar Zbrodni Katyńskiej latem 1981 roku. Nie miałem niestety okazji porozmawiać o tym z ciocią Adelą, która posiadała zarówno oryginalne dokumenty jak i listy brata i zmarła zanim prawda o Katyniu została udostępniona opinii publicznej. Syn Władysława i Adeli Jurk Guzy, ożenił się z Ewą i zmarł młodo na zawał. Mieli syna Witolda, żonatego z Danutą. Z Jarosławem Guzy – kuzynem Witolda

miałem okazję być więziony w obozie internowania w Białoleścu, gdzie trafił za organizację Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Jarek ożenił się z Agnieszką Romaszewską – również współtwórcą i działaczką NZS, a obecnie Prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i Dyrektorką programową Telewizji Bielsat w Białymstoku, nadającej wolne od reżimowej cenzury programy na obszar Białorusi. Agnieszka jest córką Zofii i Zbigniewa Romaszewskich – współzałożycieli Komitetu Obrony Robotników KOR a następnie działaczy Biura Interwencji w ZR Mazowsze. W stanie wojennym oboje ukrywali się i założyli tajne Radio Solidarność. Po odzyskaniu niepodległości Zbigniew Romaszewski został Senatorem a następnie doradcą Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Mama Zofii Romaszewskiej Ewa Płoska z domu Prauss była szkolną koleżanką mojej Mamy z Gimnazjum im. Królowej Jadwigi w Warszawie.

Siostra Anieszki Adela miała córkę Ludmiłę, która wyszła za Edgara Flaka i wyemigrowała do Kanady. Po skończeniu studiów medycznych została kardiochirurgiem, współpracując z autorem pierwszego przeszczepu serca Doktorem Christianem Barnardem. Po wyemigrowaniu do Stanów zamieszkaliśmy początkowo w okolicach Detroit skąd stosunkowo niedaleko było do Toronto, gdzie na przedmieściu Petrborough mieszkała ciocia Ludmiła. Niestety, nie było nam dane się spotkać – ciocia była zbyt zajęta a po przejściu na emeryturę wkrótce zmarła. Do końca życia doskonale posługiwała się językiem polskim w mowie i w piśmie.

Najstarszy syn Mateusza, a mój pradziadek Augustyn Skowron ożenił się z Julia Pluszczyk, z którą miał dwóch synów: Pawła – Franciszka i Leonarda. O Leonardzie wiem tylko tyle, iż ukończył studia medyczne we Wrocławiu (wówczas Breslau) i został lekarzem. W zbiorach rodzinnych zachowały się jego dwa zdjęcia.

Mój Dziadek Paweł Franciszek Skowron II posiadał wszystkie

cechy rodziny Skowronów: pracowitość popartą zdolnościami organizacyjnym, upór, konsekwencje w dążeniu do jasno sprecyzowanych celów, ambicję i zaradność. Niektóre z tych cech odkryłem w sobie stosunkowo późno a inne dopiero u schyłku życia podczas pracy w więzieniu. Po ukończeniu szkoły pedagogicznej Dziadek został nauczycielem, a w niedługim czasie objął stanowisko kierownika szkoły w Piekarach śląskich. Kariera Dziadka potoczyła się błyskawicznie i wieku niespełna 30 lat został inspektorem katowickiego okręgu szkolnego. Danka Tyrakowska, żona wnuka mojego Dziadka – ochrzczonego na jego cześć Paweł - od wielu lat pracuje w Urzędzie Miejskim w Tarnowskich Górach i grzebiąc w archiwum natknęła się na notatkę burgmeistera ostrzegającą przed Pawłem Skowronem, który podejrzany jest o polski patriotyzm.

Herr inspektor Paul Skowron lubił stołować się w słynącej ze wspaniałych potraw, usytuowanej na Rynku restauracji „U Sedlaczka” , gdzie był często obsługiwany przez młodziutką córkę właściciela Wilhelma Roter – Magdalenę. Pewnego dnia, po zamówieniu przez Dziadka obiadu, podszedł do niego Herr Roter, mówiąc:

Herr inspektor Skowron, dla mnie i dla mojej restauracji jest ogromnym zaszczytem, iż stołuje się u mnie tak ważna osobowość. Czy pozwoli pan, że umieszczę jego nazwisko w folderze reklamowym „U Sedlaczka”^[38]?

Będzie to i dla mnie ogromnym zaszczytem Herr Roter – odpowiedział Dziadek – zwłaszcza, gdy do tej oferty doda pan swoją córkę, o której rękę właśnie proszę.

— Oświadczyły zostały przyjęte i mój 30-letni wówczas Dzia-

38 Restauracja „U Sedlaczka” (oryg. U Sedlacka) powstała prawdopodobnie w czasach, gdy Śląsk należał do Czech. Kiedy i od kogo mój pradzadek odkupił ta restaurację – nie jest mi wiadomym. Nie wiem również kto jest obecnym właścicielem, w każdym razie restauracja ta funkcjonuje do dziś, pod tą samą nazwą, w tym samym miejscu.

dek zaręczył się z 15-letnią Magdaleną Roter, która została później moją Babcią. Państwo Magdalena i Paweł Roter pobrali się w Bytomiu (wówczas Beuthen) rodzinnym mieście Babci w 1908 roku i zamieszkali początkowo w Szarleju, na przedmieściach Piekar śląskich. W Szarleju przyszli na świat pierwsi dwaj synowie moich Dziadków Egbert w 1910 i Gerd Dietrich – mój Ojciec w 1913, a następnie kupili całe trzecie piętro kamienicy, położonej w centrum Tarnowskich Gór, przy ulicy Górniczej. W 2006 roku pojechalismy do Tarnowskich Gór z ciocia Ritą, która tam właśnie urodziła się, z jej synową Danką oraz córką Stryja Egberta Kasią, by na miejscu zbadać korzenie naszej Rodziny.

Moja Babcia Magdalena Anna Maria z domu Roter – zwana dla odróżnienia od Babci Warszawskiej Babcią śląską, była córką wspomnianego już właściciela restauracji „U Sedlaczka” i Angeliki z domu Gorol. Ojcem Angeliki był kupiec z Siemianowic Ignatz Gorol, żonaty z Franciszką z domu Cyran. Prababcia Angelika miała siostrę Liesel, która wyszła za Józefa Nieradzika, z którym mieli trzy dziewczynki Marichen, Grete i Kingę, która wyszła za Gregora Blasela. Państwo Blasel mieli dwóch synów Günthera i Kurta oraz córkę Ruth. Mieszkają gdzieś w głębi Niemiec.

O losach brata parbabci Angeliki - Richarda wiem tylko tyle, iż jedna ich córka Jagwiga mieszkała w Leśnicy, tuż u podnóża Góry św. Anny, gdzie pojechalismy kilka razy z babcią na pielgrzymkę. Nota bene Góra św. Anny była widoczna z Szosy Przyszowskiej przy dobrej pogodzie. Inna córka ciocia Richarda - Klara mieszkała w Koźlu.

Babcia śląska miała trzech braci: Gerhard i Herbert zmarli w dzieciństwie a Hans ożenił się z Klarą Schmidt, z którą mieli trójkę dzieci: córki Gisele oraz Inge i syna Horsta. Pod koniec wojny brat Babci śląskiej Hans został wcielony do Wehrmachtu i zginął

w 1945 roku. Babcia często korespondowała z bratową Klarą, zamieszkałą w Bochum, wraz z trójką dzieci Inge, Gisel i Horstem. Inge po mężu nazywa się Frömmel i mieszka w okolicy Zagłębia Ruhry. Kiedyś oglądałem zdjęcia całej trójki przysłane przez ciotkę Klarę

6 stycznia 1910 r. urodził się najstarszy syn Babci i Dziadka Śląskich Egbert – Werner. Trzy lata później, 19 września 1913 r. przyszedł na świat mój Ojciec Gerd – Dietrich. Po dwóch chłopcach przyszła kolej na dwie dziewczynki: Joannę ur. 29 września 1915 oraz Edeltraudt – data urodzenia 30 kwietnia 1920 r. Niestety, obie zmarły w dzieciństwie; Joanna po ukończeniu trzech lat a Edeltraudt po roku. Mimo, iż Dziadek uczył swoje dzieci języka polskiego a Tarnowskie Góry zamieszkiwała przytłaczająca większość Polaków, kościoły miały nakazane nadawać dzieciom na chrzcie tylko niemieckie imiona. Znając moje kolarskie zamiłowania Ciozia Rita ofiarowała mnie pamiątkę po Dziadku: wykonaną z brązu plakietkę w drewnianej oprawie, ozdobioną emblematem Niemieckiego Związku Kolarskiego - której treść przytaczam:

Freiswanderfahrt, 1012,
Über 1200 km
Paul Skowron, Scharley o-schl
Gefahren von; 7 – 12 juli
1248 km; deutscher radfahrer bund

Ówczesne rowery zbudowane były na stalowych ramach, drogi niemieckie przeważnie wykładane były kostką a ilość dróg utwardzonych nie stanowiła bynajmniej większości. Zważywszy te czynniki, przejechanie 1248 km w ciągu dwóch tygodni przez Dziadka należy zaliczyć do godnych odnotowania osiągnięć.

W 1914 roku Dziadek został powołany do wojska a z uwagi

na posiadane wyższe wykształcenie trafił do szkoły oficerskiej w służbie Cesarstwa Prus. Po ukończeniu szkoły oficerskiej walczył na froncie zachodnim a zdobyte umiejętności oficerskie wykorzystał z powodzeniem podczas udziału w I powstaniu śląskim w 1919 roku, w wyniku którego część Górnego śląska wraz z Tarnowskimi Górami przypadła Polsce. W wolnej Polsce powrócił do pracy na stanowisku inspektora (tytułarnie radcy), tym razem województwa śląskiego, powiatu Tarnowskie Góry.

Zachował się dokument, podpisany przez Wojewodę śląskiego adresowany do pana Skowrona Pawła b. Doradcy szkolnego, powierzający mu tymczasowo obowiązki Radcy Szkolnego w Tarnogórskim Okręgu Inspektorskim z siedzibą w Tarnowskich Górach od dnia 1 lipca 1922 r. Jednocześnie wojewoda zawiadamiał Dziadka o przedstawieniu wniosku Panu Ministrowi Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego o nominację Pana Skowrona na to stanowisko.

Kolejny syn Dziadka a mój stryj Leonard II – Karl urodził się 9 listopada 1921 roku i obchodził 90-lecie urodzin w Łabędach, 10 grudnia 2011 z moim skromnym udziałem. 7 lat później 8 lutego 1928 roku urodziła się trzecia córka PP Skowron Eleonora Rita, zwana przez wszystkich do dnia dzisiejszego Rita.

Mój Ojciec Chrzestny i stryj w jednej osobie Egbert, odziedziczył po ojcu zdolności do nauki a także pracowitość, upór i konsekwencje w realizacji planów i zamierzeń. Po ukończeniu Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie otrzymał stanowisko wyłącznego przedstawiciela Firmy Dobrolin, produkującej – po dzień dzisiejszy zresztą, pastę do butów - na Górny śląsk. Następnie otrzymał posadę w Magistracie miasta Chorzowa a 31 sierpnia 1939 roku został mianowany kierownikiem Wydziału Apropowizacyjnego Zarządu miasta Chorzowa. Z powodu przyznania się do narodowości pol-

skiej został z tego stanowiska zwolniony po rozpoczęciu II wojny światowej i wcieleniu Górnego śląska do Rzeszy Niemieckiej (Deutsche Reich). Z powodu astygmatyzmu oka nie został wcielony do Wehrmachtu ale postanowił przedostać się na Zachód by podjąć walkę o wyzwolenie Polski po stronie Aliantów. Dotarł do granicy ze Szwajcarią ale wówczas – była to już zima 1940 roku -granice zewnętrzne Rzeszy były uszczelnione i przedostanie się tą drogą okazało się niemożliwe. Nie mając pieniędzy na powrót, Egbert zatrzymał się w noclegowni dla bezdomnych a następnie pracował przy odgarnianiu śniegu z wiedeńskich ulic. Zarobił na powrót do rodziców, którzy w roku 1943 przenieśli się do Łabęd. Utrzymanie drogiego mieszkania z emerytury Dziadka przekraczało możliwości finansowe Dziadków, podczas gdy zarządcy Huty i Zakładów Mechanicznych oferowali dogodne warunki czynszu. Dla Egberta zatrudnienia nie było i postanowił przedostać się do Warszawy do brata Gerda a mojego ojca zarazem. Mój Ojciec, który niemal od początku okupacji działał w podziemnej antyhitlerowskiej konspiracji, załatwił Egbertowi pracę w charakterze tłumacza języka niemieckiego przy sądzie w Siedlcach. Po kłótni z lotnikami niemieckimi w siedleckiej restauracji, Egbert został aresztowany 13 listopada 1940 r. Następnego dnia zaproponowano mu zapłacenie kary 50DM i podpisanie volkslisty^[39] jako warunek natychmiastowego zwolnienia. Mój ojciec próbował przekupić żandarmów ale na nic się to zdało i w rezultacie Egbert został przewieziony do Warszawy i osadzony w więzieniu przy ul. Pawiej, czyli w t.zw. Pawiaku^[40]. Z

39 Volkslista (niem. Deutsche Volksliste DVL) – niemiecka lista narodowościowa wprowadzona 2 września 1940 na podstawie reskryptu Heinricha Himmlera. Na terenach Rzeczypospolitej Polskiej anektowanych przez III Rzeszę w czasie II wojny światowej, volkslistę wprowadzono zarządzeniem z 4 marca 1941. Osoby zakwalifikowane do osób przyjmujących narodowość niemiecką nazywane były Volksdeutscher w odróżnieniu do Reichsdeutscher – czyli osób narodowości niemieckiej z urodzenia.

40 Pawiak – nieistniejące więzienie śledcze w Warszawie, popularnie zwane

Pawiaka kilkakrotnie był przewożony na przesłuchania do siedziby Gestapo przy Al. Szucha^[41]. Po paru tygodniach dużą grupę więźniów załadowano do wagonów i wyjechali z Warszawy. Gdy Egbert zorientował się w jakim kierunku jadą, zrozumiał, że do Oświęcimia, znanego jako Auschwitz^[42]. Był to trzeci transport warszawski, dnia 6 stycznia 1941 roku, w dniu jego 31-wszych urodzin. Pobyt w Oświęcimiu, transport do Ravensbrück, marsz śmierci i ucieczkę opisała dokładnie żona Egberta Maria z d. Jurakowaska, w wydanej w 2001 roku na użytek rodziny książce „Taki był jego los”. Mam nadzieję, iż książka ta, podobnie jak moje wspomnie-

Pawiakiem (nazwa pochodzi od ulicy Pawiej, przy której znajdowała się jedna z bram wjazdowych), zbudowane w latach 1830–1836 według projektu znanego warszawskiego architekta Henryka Marconiego. W latach 1939–1944 największe niemieckie więzienie w Generalnym Gubernatorstwie.

41 Aleja Szucha – ulica w Warszawie, nazwana dla upamiętnienia Jana Chrystiana Szucha (1752–1813), architekta projektującego od 1775 warszawskie założenia krajobrazowe i ogrody królewskie. Stanisława Augusta Poniatowskiego. Aleja Szucha stanowiła element tzw. osi stanisławowskiej. W latach 1946–1989 ulica nosiła nazwę alei 1 Armii Wojska Polskiego[1]. W budynku przy al. Szucha 25 mieściła się siedziba hitlerowskiej policji bezpieczeństwa (niem. Sicherheitspolizei, Sipo) i służby bezpieczeństwa (niem. Sicherheitsdienst, SD) na Warszawę oraz dystrykt warszawski, a w jego podziemiach znajdowało się więzienie śledcze Gestapo.

42 Konzentrationslager Auschwitz, KL Auschwitz (Stammlager), w tym KL Birkenau (Auschwitz II) i KL Monowitz (Auschwitz III) – zespół niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych, w tym obozu zagłady na terenie Oświęcimia i pobliskich miejscowości, istniejący w latach 1940–1945, symbol Holocaustu[1]. Jedyne obóz koncentracyjny, znajdujący się na liście światowego dziedzictwa UNESCO, figuruje tam pod oficjalną nazwą Auschwitz-Birkenau. Niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny i zagłady (1940–1945).

Nazwy Auschwitz i Birkenau są niemieckimi odpowiednikami polskich nazw Oświęcim i Brzezinka, stosowanymi po agresji Niemiec na Polskę w 1939 r. i aneksji tych ziem przez III Rzeszę[4]. Wówczas Oświęcim znalazł się administracyjnie w Niemczech, w powiecie bielskim (Landkreis Bielitz) rejencji katowickiej (Regierungsbezirk Kattowitz) prowincji Górnego Śląska (Provinz Oberschlesien). W 1940 r. na tych terenach władze niemieckie utworzyły obóz przeznaczony początkowo do osadzania więźniów politycznych i opozycji, głównie Polaków. Rozbudowywany był potem stopniowo w główne miejsce masowej eksterminacji około miliona Żydów z całej Europy, a także wielu Polaków, Romów, jeńców radzieckich oraz ofiar innych narodowości.

nia, doczekają się publikacji. W Oświęcimiu Egbert zaprzyjaźnił się m.in. ze Stefanem Surzyckim, z którym wzajemnie wspierali się o przetrwanie tego piekła na ziemi, zgotowanego ludziom przez ludzi, jak to ujęła Zofia Nałkowska w „Medalionach”. Obaj mieli wykształcenie ekonomiczne i obaj dzielili los więźniów Oświęcimia z późniejszym premierem PRL Józefem Cyrankiewiczem. Obaj uzyskali nominację na dyrektorów Centrali PSS „Społem”; Stefan Surzycki na stanowisku naczelnego a Egbert Skowron zastępcy. Stefan zapoznał Egberta z swą bratanicą Marią Jurakowską – absolwentką, późniejszą profesorką Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, której brat również poległ w powstaniu warszawskim. Para przypadła sobie do gustu i w dniu 9 lutego 1948 roku w Kaplicy św. Huberta w Zalesiu Górnym zawarli związek małżeński. Byłem nawet na tym ślubie ale... zacytuję tutaj fragment powieści Bolesława Prusa „Lalka”, w którym stary subiekt Rzecki pisał w liście do Stacha Wokulskiego,:

„...dziękuje Ci za list oraz za pieniądze, któreś jakoby mnie przesłał, ale wyjąwszy pokwitowania z odbioru, bliższych szczegółów tego wydarzenia sobie nie przypominam...”

Po przejściu na emeryturę, Stryj Egbert pracował jako tłumacz i przewodnik wycieczek po Warszawie i Muzeum Oświęcimskim, był członkiem ZBOWiD, odznaczony Krzyżem Oświęcimskim. Zmarł po ciężkiej chorobie w wieku 89 lat 4 stycznia 1999 roku. Rok przed śmiercią obchodził wraz z małżonką 50-lecie pożycia, w tym samym kościele św. Huberta, w którym brali ślub. Udało nam się obojgu z Jolą dostać kilka dni urlopu i uczestniczyć w tym doniosłym wydarzeniu.

Ze związku mojego Stryja z Marią Jurakowską – wnuczką w prostej linii Tytusa Chałubińskiego^[43] zrodziło się czworo potom-

43 Tytus Chałubiński (ur. 29 grudnia 1820 w Radomiu, zm. 4 listopada 1889

stwa: Joanna – Magdalena, Jadwiga – Maria, Andrzej – Paweł, oraz Katarzyna – Zofia.

Joanna - Magdalena, skończyła Szkołę Hotelarską a w ramach obowiązków służbowych poznała swego przyszłego męża, zamieszkałego na Sycylii Giuseppe Freni-Sterrantino, zmarłego nagle na zawał 20 lipca 2008. Giuseppe wraz z braćmi prowadził sezonowy ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny Ali Terme w mieście Messina na Sycylii a po jego śmierci Joasia przejęła udziały męża, których obecnie usiłuje się pozbyć. Giuseppe, zwany przez naszą rodzinę Józio zwracał się zawsze do mnie per cugino Bolko (kuzynie Bolko). Maja dwie córki Annę, - doktoranta ekonomii, pracującą w Bolonii na północy Włoch, oraz Sylwię, studiującą ekonomię na uniwersytecie w Siena.

Jadwiga - Anna, po skończeniu technikum dentystycznego wyjechała do Austrii, gdzie skończyła studia medyczne i prowadziła własną praktykę stomatologiczną. Nigdy nie wyszła za mąż ale była w związku z Dietmarem Lieb, również lekarzem-dentystą. Zmarła na raka kości 30 lipca 2007 roku a prochy jej zostały sprowadzone do Polski i złożone w grobie rodzinnym na cmentarzu w Zalesiu Górnym.

Andrzej – Paweł zwany Jędrkiem, poszedł w ślady matki i ukończył SGGW, zwane swego czasu Akademią Rolniczą – wydział Ogrodnictwo i obecnie prowadzi własną firmę Ogrody Ulrichów, zajmującą się architekturą krajobrazu, projektowaniem ogrodów, consultingiem parków zabytkowych a także outdoor, jako element w Zakopanem, syn Szymona i Teodozji z Wnorowskich) – polski lekarz, profesor patologii, miłośnik przyrody. Był współtwórcą Towarzystwa Tatrzańskiego i jednym z pierwszych badaczy przyrody tatrzańskiej. Na jego cześć nazwano Wrotami Chałubińskiego jedną z przełęczy w głównej grani Tatr. Popularyzator Zakopanego, w dużym stopniu przyczynił się do rozwoju tej miejscowości. Jeden z prekursorów polskiego klimatolecznictwa; jego staraniem Zakopane zyskało pod koniec XIX wieku status stacji klimatycznej jako kurort wspomagający leczenie chorób płucnych.

małej architektury w przestrzeni publicznej i przydrożnych pasach zieleni. Po ojcu odziedziczył zamiłowanie do genealogii rodzinnej i jemu głównie zawdzięczam większość danych, dotyczących Rodziny Skowronów i Roterów. Po raz pierwszy Jędrrek ożenił się z Katarzyną Bajer, ale związek nie trwał długo a Kasia wyemigrowała w 1981 roku do Australii. Ponownie ożenił się z Barbarą Czechmehczyńską, – językoznawcą, dziennikarką i promotorką businessu. Oboje założyli i wraz z córką Kają prowadzą Fundację Pokolenia – Pokoleniom . Przodkowie Kaji ze strony Babci pieczętowali się herbem Abdank i na tą okoliczność Kaja dodała człon Abdank do nazwiska Skowron. W jednej z pierwszych scen powieści Henryka Sienkiewicza „Ogniem i mieczem”, Jan Skrzetuski uwolnił - z rąk pachołków Czaplińskiego - późniejszego przywódcę powstania kozackiego Bohdana Chmielnickiego, który początkowo przedstawił się jako Zenobi Abdank. Zarówno dziadek jak i ojciec Kaji pasjonowali się heraldyką. Nie wiem czy to mój stryj Egbert czy jego syn Jędrrek odkryli, iż rodzina Skowronów pieczętowała się herbem ślepowron, dokładnie tym samym, którym pieczętowali się Jaruzelscy. Na szczęście, żaden ze Skowronów, do których udało nam się dotrzeć nie splamił się przynależnością do tego herbu. Lepiej nie mieć szlacheckiego pochodzenia, niż mieć cokolwiek wspólnego z jednym z najgorszych zdrajców w historii Polski. Zresztą i tak tytuł szlachecki mnie nie minął, gdyż w sierpniu 2012 zostałem pasowany na Rycerza Kolumba IV stopnia (najwyższego w hierarchii) w organizacji Knights of Columbus i w związku z tym przysługuje mi tytuł Sir Knight. Tymczasem w Leksykonie Genealogiczno – Historycznym sprawdziłem, iż Skowrony nie mają nic wspólnego ze ślepowronem i pieczętowali się herbami Jastrzębiec lub Prus I.

Kaja w listopadzie 2013 roku obroniła pracę magisterską z

architektury tą drogą składam jej serdeczne gratulacje.

Katarzyna - Zofia skończyła historię na Uniwersytecie Warszawskim i pracuje jako dyrektorka organizacyjny reportaży dla telewizji niemieckiej. Wyszła za mąż za Andrzeja Wojciecha Maleszewskiego, operatora telewizji polskiej. W okresie studiów Kasia statystowała w filmach i zagrała m.in. epizod w filmie Andrzeja Wajdy „Wesele”. Po wyjściu za mąż Kasia pozostała przy nazwi-



Zdjęcie: Herb Prus I (Turzyna)

sku Skowron a jej małżeństwo z Andrzejem Maleszewskim rozpadło się po 10 latach. Z tego związku urodził się syn Filip, obecnie absolwent pomaturalnej szkoły masażu.

Interesująca jest linia drugiego brata mego Ojca Leonarda II – Karla, który – według słów Babci – od dziecka wyróżniał się pilnością w nauce. Po zrobieniu matury Lolo, jak go nazywano, został powołany na obóz przysposobienia wojskowego w Pułtusk, kończący się w połowie sierpnia 1939 roku. Wracając z obozu zatrzymał się u moich rodziców, zamieszkałych przy ul. Kaliskiej 17, gdzie mój Tata radził bratu, żeby zatrzymał się u nich i przeczekał najgorsze. Mój Ojciec był dziennikarzem, pisał m.in. w organie MON „Polska Zbrojna” i będąc świetnie zorientowany w sytuacji politycznej, zdawał sobie sprawę, iż wybuch wojny to kwestia dni. Tymczasem mój dziadek również wiedział o przygranicznych ruchach wojsk oraz coraz częstszych prowokacjach ze strony niemieckiej i wysłał telegram do moich rodziców wzywając Lolusia –jak go nazywali rodzice i rodzeństwo - do natychmiastowego powrotu do domu w Tarnowskich Górach. Wujek Lolo posłu-

chał, wrócił do domu a następnego dnia, 1 września 1939 roku, hordy niemieckie przekroczyły granicę z Polską, uderzając z całą siłą jednej z najsilniejszych armii na świecie z trzech stron: od zachodu, południa oraz przez Prusy Wschodnie od północy. Zgodnie z tajnym protokołem paktu Ribbentrop – Mołotow, Związek Sowiecki powinien jednocześnie zaatakować Polskę również od wschodu, gdy tymczasem Kreml zwlekał z inwazją czekając na dogodny pretekst. Naciskani przez dowództwo niemieckie, sowieci uderzyli na Polskę 17 września podając jako uzasadnienie agresji rzekomy rozpad państwa polskiego^[44]. W październiku Niemcy i Rosjanie dokonali podziału łupów kampanii wrześniowej, w wyniku której Górny śląsk, wraz z Tarnowskimi Górami, gdzie mieszkali moi dziadkowie, został wcielony do Reichu. Leonard, który właśnie skończył 18 lat, miał ogromne szanse być wcielonym do Wehrmachtu a zatem dziadek, wykorzystując swoje kontakty, załatwił mu pracę w kopalni. Słyszałem kiedyś, iż zawód górnika, podobnie jak kolejarza, marynarza, strażaka, żołnierza czy policjanta mają w sobie coś, co urzeka ich adeptów i spora część ludzi, który zjadą po raz pierwszy na dół, już nigdy nie chcą stamtąd wyjechać.

44 Pakt Ribbentrop–Mołotow , – umowa międzynarodowa z 23 sierpnia 1939 roku, będąca formalnie paktem o nieagresji pomiędzy III Rzeszą Niemiecką i Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich, która zgodnie z tajnym protokołem dodatkowym, stanowiącym załącznik do oficjalnego dokumentu umowy, dotyczyła rozbioru terytoriów lub rozporządzenia niepodległością suwerennych państw: Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii i Rumunii. Oficjalny pretekst agresji był zawarty w przekazanej o godzinie 3.00 w nocy 17 września przez zastępcę Ludowego Komisarza (ministra) Spraw Zagranicznych Potiomkina ambasadorowi Grzybowskiemu nocie dyplomatycznej: zamieszczono tam niezgodne z prawdą oświadczenie o rozpadzie państwa polskiego, ucieczce rządu polskiego, konieczności ochrony mienia i życia zamieszkujących wschodnie tereny polskie Ukraińców i Białorusinów oraz uwalnianiu ludu polskiego od wojny. W konsekwencji ZSRR uznał wszystkie układy zawarte uprzednio z Polską (w tym traktat ryski z 1921 roku i pakt o nieagresji z 1932 roku) za nieobowiązujące – zawarte z nieistniejącym państwem. Dlatego też odmawiano np. wziętym do niewoli polskim żołnierzom statusu jeńców wojennych.

Doliczając do tego tradycje rodzinne, stryj Leonard należał do tych pasjonatów i zdecydował się na karierę górnika, w którym to zawodzie, na różnych szczeblach pracował aż do emerytury.

Kopalniany „azyl” wystarczył Lolusiowi tylko do klęski pod Stalingradem, podczas której Niemcy stracili w zabitych, rannych i wziętych do niewoli całą 6 Armię generała Friedricha Paulusa, część 4 Armii Pancерnej oraz jednostki rumuńskie (łącznie około 260-270 tysięcy żołnierzy, w tym 9590 Rumunów i 20 300 tzw. Hilfswillige). Klęska na froncie wschodnim, połączona z przegraną Bitwą o Anglię, oraz nieudana kampania północno-afrykańska, zmusiły dowództwo niemieckie do dodatkowych poborów wszystkich, posiadanych rezerw, włącznie z utworzeniem t.zw. Volkssturmu^[45]. Stryj Lolo został zwervowany do oddziałów, składających się z niewyszkolonych poborowych na rok przed oficjalnym powołaniem jednostek Volkssturmu do życia. Po pobieżnym przeszkoleniu oddział, w którym znalazł się Gefreiter Leonard Skowron, został wysłany na front zachodni do rozminowywania pól minowych. Żołnierze tej jednostki mieli tyralierą przejść przez pola minowe, oznaczając albo choragiawkami albo własnymi ciałami napotkane miny. Stryj Lolo miał szczęście, że został „tylko” ciężko ranny i przetransportowany do szpitala w Normandii. Po skutecznym desancie aliantów w Normandii^[46], szpital został przejęty przez posu-

45 Volkssturm (pol.: Szturm narodowy) – formacja o charakterze pospolitego ruszenia, użyta przez Niemców w ostatniej fazie II wojny światowej. Została powołana do życia dekretem podpisanym przez Adolfa Hitlera 25 września 1944 roku. Koncepcja powołania Volkssturmu wynikała z analizy coraz bardziej dotkliwych strat ponoszonych przez Wehrmacht, zwłaszcza na froncie wschodnim. Aby je zrównoważyć, jesienią 1944 roku powoływano pod broń młodzież w wieku od szesnastu lat oraz starszych mężczyzn do lat sześćdziesięciu. Potrzeby frontu były jednak znacznie większe. Znaleźli się w tej grupie wszyscy objęci obowiązkiem pracy, którzy ze względu na zatrudnienie w gospodarce pozostawali dotychczas poza wojskiem. Do jednostek trafili m.in. urzędnicy, sklepikarze, robotnicy i młodzi chłopcy z Hitlerjugend.

46 Lądowanie w Normandii (Operacja Neptun) – wstępna faza Operacji

wającą się na wschód Dywizją Pancerną dowodzoną przez generała Maczka^[47]. Rannym jeńcom, pochodzącym głównie ze śląska, a zatem posługującym się biegle językiem polskim, zaproponowano wstąpienie do Dywizji Pancernej i mój stryj z ochotą z tej propozycji skorzystał. Z uwagi na wciąż niewyleczone rany, nie został wysłany na pierwszą linię frontu tylko został skierowany do szkoły oficerskiej wojsk inżynieryjnych. Po zakończeniu działań wojennych kontynuował studia w Londynie ale ulegając namowom rodziców wrócił do Polski bodajże w 1946 albo w 1947 roku. Wyszedł na front w mundurze Wehrmachtu – wrócił w mundurze brytyjskim z naszywką POLAND. Zwrot o 180°.

Podczas powrotu stryja Lola przebywałem w Łabędach i z niecierpliwością oczekiwałem jego przybycia. Zasypywałem dziadka pytaniami o wujka (dla ułatwienia wszyscy moi stryjkowie i wujkowie nazywani byli „wujkami” podobnie jak stryjenki ciociami) Lola, a dziadek, z wrodzonymi sobie poczuciem humoru, oraz ze słabością do ukochanego przezeń (wówczas jedyne) wnuczka, udzielał mi objaśnień.

Jak wysoki jest wujek Lolo? – pytałem. Dziadek, z poważną miną pokazał na szafę (która notabene do dziś stoi w salonie u cioci Rity) i powiedział:

Taki wysoki jak ta szafa – a następnie wyjął z szafy kapelusz,

Overlord, największą pod względem użytych sił i środków operacja desantowa w historii wojen, mająca na celu otwarcie tzw. drugiego frontu – w zachodniej Europie. Operacja została przeprowadzona we wtorek 6 czerwca 1944 roku pod dowództwem gen. Eisenhowera, a trzon sił inwazyjnych stanowiły wojska amerykańskie, brytyjskie i kanadyjskie. W każdej z tych armii służyli Polacy.

47 1 sierpnia 1944 dywizja gen. Maczka wylądowała w Normandii, w pobliżu Caen. W składzie 2 Korpusu Kanadyjskiego, gen. Maczek dowodził swą dywizją w zwycięskiej bitwie pod Falaise, gdzie zdecydowana obrona Mont Ormel (Wzgórze 262 znane też jako „Maczuga”) przez jego dywizję uniemożliwiła większej grupie rozbitków 7 Armii wydostanie się z kotła. 8 sierpnia 1944 roku ruszyło natarcie wzdłuż szosy Caen-Falaise.

położył go na szafie i dodał:

A jak wujek założy kapelusz to będzie taki wysoki jak ta szafa razem z kapeluszem.

Pamiętam, że się wtedy obśmiałem co było chyba celem dziadka. Po przeżyciach powstania warszawskiego, ewakuacji, obozu przejściowego w Pruszkowie, ucieczki z obozu, marszu do Grodziska, wyjeździe do Krakowa, powrocie w towarowym pociągu i świadomości utraty Ojca, miałem niewiele powodów do beztróskiego śmiechu.

Na spotkanie wujka Lola wyszliśmy z dziadkiem, ciągnąc za sobą wózek – bardzo w Niemczech popularny, stanowiący solidną miniaturę wozu konnego. Niemal w połowie drogi do dworca w Łabędach, (na którego budynku nastawni wciąż widniał gotycki napis Laband) idąc ulicą obecnie znaną jako Henryka Wieniawskiego – ówczesnej nazwy już nie pamiętam – zobaczyłem z oddali wysokiego, szczupłego mężczyznę w mundurze i powiedziałem:

Dziadku, to chyba wujek!. Dziadek założył okulary, popatrzył uważnie i potwierdził:

Tak to wujek! Ale ty masz świetny wzrok.

Bo dziadek mi go tak dobrze opisał – odwzajemniłem się komplementem.

Wujek Lolo rzeczywiście prezentował się wspaniale; był znacznie wyższy od wujków Egberta i Janka, ubrany w brytyjski battle-dress, z naszywką POLAND na ramieniu. Ojciec z synem uściskali się a następnie dziadek przedstawił mnie:

To jest Bolko, syn Gerda.

Witaj Bolko, synu Gerda – powiedział wujek ściskając mi rękę – jesteś tak podobny do swego Taty, że i tak bym cie poznał. Jesteś już bardzo dużym mężczyzną.

Byłem bardzo szczęśliwy; uwielbiałem wszelkie wspomnie-

nia o moim Ojcu, porównania do niego i nazwanie mnie „mężczyzną” oraz potraktowanie po męsku, czyli uścisk dłoni bez przytulanek czy obcałowywania, jak to czyniły ciocie.

Po raz pierwszy przywiózł mnie do Łabęd stryj Egbert w 1945 roku, który pracując na dyrektorskim stanowisku miał do dyspozycji służbowy samochód. Pamiętam doskonale, iż był to Mercedes Benz, o charakterystycznym kształcie kierownicy, natomiast nie pamiętam czy jechała również ze mną moja siostra Mika (zdrobniale od Marysia, Marika, nazwana tak przez naszego Ojca). Mercedes Benz przez długie lata był samochodem moich marzeń, w zasadzie aż do momentu, gdy pierwszy raz zobaczyłem Forda Mercury 1957 przed willą pracownika Ambasady USA przy ul. Filtrowej. To marzenie spełniło się w 1983 roku po przyjeździe do Stanów, gdzie moim pierwszym w życiu samochodem był Ford Mercury właśnie, rocznik 1976. Pamiętam również, że zatrzymaliśmy się w Częstochowie na jakiś posiłek, w który wchodziła ryba w galarecie z groszkiem. Pewna moja znajoma, której czasami opowiadam, ozdobione trudnymi do zapamiętania szczegółami, wspomnienia z dzieciństwa lub młodości, spytała mnie kiedyś:

Skąd ty masz taką wspaniałą pamięć? Ja prawie nie mam żadnych wspomnień z dzieciństwa.

To przychodzi z wiekiem, Dorotko – odpowiedziałem. – potrafię odtworzyć z pamięci najdrobniejsze, wybrane detale sprzed kilkudziesięciu lat, natomiast gdy idę po coś do kuchni to po kilku krokach zapominam jaki był zasadniczy cel mojej wędrówki.

A to dziękuję – roześmiała się Dorota – przestaje od dziś być zazdrosna o twoją pamięć.

Mój dziecięcy umysł odnotował kolosalną różnicę między straszliwie zniszczoną Warszawą a niemal nietkniętym wojną Górnym Śląskiem. Front tędy nie przechodził, gdyż Niemcy skoncen-

trowali się na obronie Wrocławia tworząc z niego t.zw. Festung Breslau^[48]. Kilka lat później przejeżdżałem przez Wrocław w drodze na kolonie letnie i zapamiętałem jako, porównywalne z Warszawą, jedno gigantyczne morze ruin. W Łabędach i okolicach znaleźć można było niewypały, co świadczyło, iż jakieś walki były tam toczzone, ale nie była to na pewno bitwa o każdą ulicę i każdy dom. Na łące przed domem, w którym mieszkali moi dziadkowie z ciocią Ritą, widniał przez jakiś czas, dopóki później nie zniknął, brzozy krzyż, pod którym leżał pochowany jakiś żołnierz niemiecki,.

Po przyjeździe do mieszkania dziadków podobno stanąłem w kącie, bardzo onieśmielony z palcem w buzi, zostałem przedstawiony dziadkowi a następnie babcia wyszła z kuchni, spojrzała na mnie i zawołała:

- *Du bist mein kleines Gerdulek!* (ty jesteś mój mały Gerdulek) – a następnie rozplakała się przytulając mnie do siebie.

Minał niecały rok, odkąd babcia straciła ukochanego syna a ja jej go bardzo przypominałem. Zawsze twierdziła, iż podobieństwo między moim ojcem a mna, zwłaszcza w dzieciństwie było uderzające. Babcię zapamiętałem przede wszystkim z doskonałego gotowania i pieczenia. Wszystko, co babcia ugotowała czy upiekła to było kulinarne arcydzieło. Pradziadek Roter musiał włożyć sporo starań w naukę tego kunsztu, skoro od zaręczyn do

48 Oblężenie Wrocławia (1945) – bitwa stoczona w dniach od 13 lutego do 6 maja 1945 roku we Wrocławiu i jego okolicach, pomiędzy wojskami ZSRR a III Rzeszy. Jedna z ostatnich bitew II wojny światowej w Europie. W sierpniu 1944 roku miasto zostało ogłoszone twierdzą (niem. Festung Breslau)[1]. 20 stycznia 1945 roku, na rozkazgauleitera Śląska Karla Hankego, dokonano przymusowej pieszej ewakuacji większości pozostającej jeszcze w mieście ludności cywilnej. Jak się ocenia, podczas ewakuacji z zimna i przemęczenia zginęło aż 90 tys. osób. Pozostali zapełnili ulice Drezna na krótko przed nalotami dywanowymi. Słynne bombardowania dywanowe RAF-u i USAAF-u, które doprowadziły Drezno do zniszczenia w stopniu porównywalnym z Warszawą, spowodowane zostały naciskami Stalina na zachodnich aliantów, by utrudnić Niemcom obronę Wrocławia.

wyjścia za dziadka w wieku 18, upłynęło zaledwie trzy lata. Dziadek początkowo pracował w gminie ale później żyli już tylko ze jednej skromnej emerytury, ponieważ babcia nigdy nie pracowała zawodowo poza bezpłatną, jak się domyślam, pracą w restauracji „U Sedlaczka” u ojca. W ciągu tygodnia jedliśmy skromnie, za to w niedzielę, na którą nie mogłem się doczekać, od rana panowała prawdziwa uczta. Zaczynało się od śniadania, na które prawie zawsze był kołacz – typowe śląskie ciasto z posypką i biała kawa. Większość mieszkańców Łabęd miała wówczas kuchnie węglowe, nie bardzo nadające się do pieczenia ciast. W każdą sobotę w kierunku ulicy Przyszowskiej odbywały się procesje pań, często wspomaganych mężami, wiozącymi na rowerach blachy z kołaczami do znajdującej się na Przyszówce piekarni Hoffmanna. Blachy były przymocowane do bagażników w taki sposób, że prawie nikomu nie spadały. Piekarnię pana Hoffmanna wkrótce komuniści zamknęli a jemu zaproponowali posadę doradcy w państwowej piekarni przy ul. Wolności. Nigdy i nigdzie nie jadłem tak wspańskiego chleba i takich chrupiących bułeczek jak z oryginalnej piekarni Hoffmanna na Przyszówce. Jakość pieczywa w państwowej piekarni utrzymywała się jeszcze jakiś czas dopóki Hoffmann nie przeszedł całkowicie na emeryturę a następnie zmarł albo jeszcze przedtem wyjechał do Niemiec. Kołacz a zwłaszcza jego kształt: płaski i nie wyrośnięty zaskoczył moją stryjenkę Marysię, żonę Egberta (zwaną przez moją mamę Ciocia Egbertowa) i nazwała go „to, co oni lubią”. Kilka lat temu wybraliśmy się z Kasią Skowronówną do Łabęd a Kasia uprzedzając naszą wizytę poprosiła Ciocię Ritę o przygotowanie pyz z modro kapustą oraz upieczenie „to, co oni lubią”. Ciocia oczywiście spełniła prośbę a do pyz był pieczony indyk w sosie według przepisu babci.

Po śniadaniu szliśmy z dziadkiem do kościoła pw. Wniebo-

wzięcia NMP, zwanego również „Starym Kościołem”, usytuowanego w t.zw. Starych Łabędach, albo „za kanałem”. Odkąd pamiętam, dziadek i babcia prowadzili oddzielne życie, nigdy razem nie podróżowali, nie wychodzili na spacer i nawet uczęszczali do różnych kościołów. Dziadek miał wykupione miejsce na ławce w Starym Kościele, do których przymocowane były tabliczki z nazwiskami wiernych i godzinami nabożeństw, a babcia w „nowym” czyli w kościele pw. Św. Jerzego. Pamiętam, iż w tej samej ławce, w której miała opłacone miejsce babcia – siedziała również pani Brychczy, matka reprezentacyjnego piłkarza Lucjana^[49].

Większość dnia od wiosny do jesieni dziadek spędzał na ogródku a popołudnia w swoim pokoju, gdzie czytał, pisał listy a przede wszystkim było to jedyne miejsce w całym mieszkaniu, gdzie mógł palić fajkę. Podobno smród dymu fajkowego miał

49 Lucjan Antoni Brychczy pseudonim Kici (ur. 13 czerwca 1934 w Nowym Bytomiu) – piłkarz polski, wieloletni zawodnik Legii Warszawa, czterokrotny mistrz Polski, trzykrotny król strzelców ligowych. Jest drugim najlepszym strzelcem w historii najwyższych ligowych rozgrywek w Polsce, w których strzelił łącznie 182 bramki. Reprezentant Polski, kapitan reprezentacji narodowej, olimpijczyk, ppłk Wojska Polskiego, obecnie asystent trenera Legii Warszawa[1] od dnia 11.02.2013 także honorowy prezes klubu z Łazienkowskiej. Pochodzi ze Śląska i pierwsze kroki piłkarskie stawiał w klubie Pogoń Nowy Bytom, następnie przeniósł się do klubów gliwickich – ŁTS Łabędy (1948–1953) i Piasta. W 1954 – w związku ze służbą wojskową – przeniósł się do warszawskiej Legii i pozostał wierny klubowi do końca kariery zawodniczej, a także przez kolejne dziesięciolecia jako trener. Dziś jest wymieniany wśród największych legend warszawskiego klubu, cieszy się ogromną popularnością i szacunkiem wśród kibiców. Wraz z Legią zdobył cztery tytuły mistrza Polski (1955, 1956, 1969, 1970), również cztery razy zdobywał Puchar Polski (1955, 1956, 1964, 1966). Przez lata Brychczy – grając jako napastnik lub pomocnik – był najlepszym strzelcem Legii w rozgrywkach ligowych, a w latach 1957, 1964 i 1965 królem strzelców ligi polskiej. Występował w Legii przez 19 sezonów, zaliczył 368 meczów ligowych, w których zdobył 182 bramki; należy do niego klubowy rekord długowieczności – pierwszy i ostatni mecz w barwach Legii dzieliło 17 lat i 170 dni. Jest także najstarszym w historii Legii graczem ligowym (poza bramkarzami) – w dniu ostatniego meczu miał 37 lat i 161 dni – oraz strzelcem bramki w lidze – 37 lat i 88 dni. Jako piłkarz Legii Brychczy zaliczył także półfinał Europejskiego Pucharu Mistrzów Krajowych.

być powodem, dla którego babcia i dziadek spali w oddzielnych pokojach. Lubiłem chodzić z dziadkiem, który miał do mnie anielską cierpliwość, odpowiadając na niezliczone pytania. Od nikogo w dzieciństwie nie zdobyłem tak dużo życiowej i ogólnej wiedzy jak od dziadka Skowrona. Jako były nauczyciel, oficer sztabowy w pruskiej armii a następnie inspektor szkolny – posiadał tej wiedzy rzeczywiście sporo. Babcia nie miała ani tyle wiedzy ani cierpliwości do mnie i dlatego zawsze wolałem chodzić z dziadkiem. Dziadek często pozwalał brać do ręki swoją wspaniałą laskę, wykonaną z naturalnej gałęzi, wykrzywioną na górze w specjalnym kotle i polakierowaną. Powrót z kościoła już był mniej przyjemny, ponieważ trwał conajmniej dwukrotnie dłużej, niż w tamtą stronę gdyż dziadek często zatrzymywał się odpowiadając na pozdrowienia, a następnie panowie przechodzili w długą dyskusję. Ja w tym czasie mogłem się tylko bawic dziadka laską i nudzić, ponieważ dyskusje te odbywały się przeważnie po niemiecku. Z konwersacji tych zapamiętałem głównie często używany przez dziadka przerywnik „ja pan”. Dziadek często również od tego przerywnika zaczynał zdanie, bez względu na to czy mówił po polsku czy po niemiecku. Wracaliśmy do domu albo tą samą drogą czyli przez Duże Osiedle, ulicami Wolności, kawałek świerczewskiego (obecnie Partyzantów), Mielęckiego (obecnie Gałczyńskiego – zwaną również Rób-co-chcesz, z uwagi na zamieszkałą tam hołotę i andrusów) do Łukowej (późniejszej Daszyńskiego, następnie Dzierżyńskiego, a obecnie Róży Luxemburg), gdzie pod numerem 33, na pierwszym piętrze nad drzwiami Nr. 3 wisiała mosiężna tabliczka z wstawionymi pojedynczo literami SKOWRON.

Pod numerem 33, przy ul. Grenadierów w Warszawie mieszkała wraz z rodzicami i bratem, moja przyszła żona Jola. Nie mam żadnych przesądów, preferencji, czy uprzedzeń do numerów – ot

po prostu tak mnie się skojarzyło. Zwrot o 180°.

Idąc tą drogą często miałem okazję słuchać mszy św., nadawanej o tej porze przez Radio Wolna Europa a słuchaną przez posiadaczy prawdziwych radioodbiorników, którzy przeważnie mieli radio nastawione na cały potencjometr i pootwierane okna. Szczególnie słuchano bez skrępowania Wolnej Europy w domach przy ulicy Rób-co-chcesz. Alternatywną drogą powrotną do domu była Szosa Przyszowska, wznosząca się w górę, z której lubiłem oglądać przejeżdżające pociągi, a w oddali portowe krany. Przy dobrej pogodzie, o czym już wspominałem, można stąd było dostrzec na północno-zachodnim horyzoncie Górę św. Anny. Za skrzyżowaniem z ul. Świerczewskiego szliśmy na skróty ścieżką przez łąkę. Później na tym skrzyżowaniu zbudowano szkołę TPD, w której ukończyłem siódmą klasę, a na ówczesnej łące dziś znajduje się osiedle domków jednorodzinnych.

Przechodząc przez most na Kanale Gliwickim prosiłem dziadka by się zatrzymać gdy w jedną z dwóch równoległych śluz wpływała barka z węglem. Gdy barka wpłynęła do śluzy, z którejkolwiek strony to wrota powoli się za nią zamykały a po zamknięciu woda wewnątrz śluzy albo opadała, gdy wyładowana węglem barka wpływała od strony Gliwic, albo wznosiła się, gdy pusta barka wpływała od strony Kędzierzyna. Kanał Gliwicki zasilany był przez rzekę Kłodnicę, która właśnie na wysokości Łabęd do niego wpadała. Śluzowanie trwało zwykle kilkanaście minut ale przez długi czas nie mogłem się powstrzymać, by to techniczne zjawisko obserwować. W każdej ze śluz mieściły się po dwie barki, które wpływały na wyłączonych silnikach, przepychane bosakami przez załogi. W kierunku Kędzierzyna, a dalej Odry, aż do portu w świnioujściu barki, w ilości czterech były ciągnięte przez holownik mimo, iż każda miała własny napęd ale chyba tylko na wypadek awarii.

Po dotarciu do domu zwykle zbliżała się już pora obiadowa. Dziadek przebierał się – do kościoła niezmiennie, bez względu na pogodę chodził w garniturze, pod krawatem i w filcowym kapeluszu – a następnie kładł na łóżku pykając fajkę, odpoczywając po wyczerpującej drodze z kościoła. Na obiad tradycyjnie w niedzielę babcia robiła przepyszne pyzy – na zmianę z tartych lub wyciskanych ziemniaków. Nie chcąc przeszkadzać dziadkowi w jego odpoczynku zawsze obserwowałem procedurę przygotowania pyz. Babcia przez lata korzystała z tej samej ściereczki – pranej po każdym użyciu – do wyciskania ziemniaków – zwanych wówczas wszędzie poza Krakowem kartoflami – utartych na ręcznej tarce. Komu by się dzisiaj chciało tak męczyć w dobie powszechności sokowirówek? Gotowane ziemniaki również przechodziły przez wyciskarkę a w tym czasie dochodziło duszone mięso – clou obiadu. Jakiegolwiek mięso babcia przygotowała – zawsze było to najlepsze z najlepszych a na samym szczycie znajdowała się rolada. Gdy obiad był gotowy, babcia wysyłała mnie i Mikę do pokoju dziadka, gdzie po otwarciu drzwi chórem wypowiadaliśmy nauczona przez babcię lub ciocię Ritę, formułkę:

- Opapa kommen bitte essen, aber das Essen ist immer noch heiß (Dziadku, proszę chodź na obiad, ale jeszcze jest gorący.)

Na zupe nie zwracałem uwagi – mimo, iż zawsze była wspaiała a repertuar ich był nieograniczony, (z tym że najlepiej mi smakowała zupa z kalarepy) - nie mogąc się doczekać postawienia na stole półmiska ze świeżutkimi, dymiacymi pyzami. Kiedyś, na początku okresu dojrzewania, ustanowiłem niepobity przez nikogo, aż do śmierci babci rekord 14 pyz z tartych kartofli. Ciekawostka jest iż ślązacy nazywają pyzy, wykonane wyłącznie z gotowanych ziemniaków i ziemniaczanej mąki „polskie” pyzy. Poza śląskiem nazywane są one pyzy śląskie a w barowomlecznym

żargonie po prostu śląskie.

Mięso zawsze odkładałem na koniec jako swego rodzaju deser, co wywołało u babci błędne wrażenie, iż nie lubię mięsa. To fakt, że wspianiałymi pyzami z cudownym sosem, można się było najeść do syta ale stwierdzenie babci było bardzo ale to bardzo, dalekie od prawdy. Tradycyjny śląski obiad niedzielny, oprócz pyzów i rolady zawierał jeszcze czerwona kapusta zwaną tu „modro kapusta”. Babcia miała ogromną inwencje w przygotowywaniu wszelkiego rodzaju jarzynek i sałatek a zatem modro kapusta występowała nie zawsze na niedzielno obiadowym stole. Zawsze natomiast był deser, składający się niemal zawsze z kompotu własnej roboty, których zapas babcia zawsze miała w spiżarni. Po obiedzie, gdy pogoda tylko sprzyjała, wybieraliśmy się z dziadkiem do lasu, na długi spacer, czasami powyżej 5 km w jedną stronę. Zwiedziłem wszystkie pobliskie okolice w takim zakresie w jakim pozwalało ogrodzenie lasu przez „ściśle tajny” poligon, na którym testowano wyprodukowane w Zakładach Mechanicznych Łabędy (za życia dziadka noszące nazwę ZMIS czyli Zakład Mechaniczny im. Stalina) czołgi T-34 i późniejsze modele. W okolicach wioski Bezchlebie (po niemiecku Sandwisden) ogromne wieloczerpakowe koparki wydobywały piasek, który następnie ładowano do wagonów-piaskarek i wywożono do kopalń w celu zasypania wykorzystanych wyrobisk. W powstałych w ten sposób jeziorkach kąpałem się latem z kolegami ale dopiero po nauczaniu się pływać – co miało miejsce w wieku 8 lat. Dziadek, z uwagi na niebezpieczną głębokość i zdradliwy spadek na te wyczyny nie pozwalał. Podczas tych dalekich spacerów dziadek nauczył mnie wielu rzeczy jak np; rozróżnianie między wieżą triangulacyjną a obserwacyjną dla leśników, wyjaśniał w jaki sposób pobiera się żywice z drzew, jak się zakłada szkółki leśne, po czym poznać strony świata w lesie przy

pochmurnej pogodzie, jak obliczyć wysokość drzewa odmierzając długość cienia krokami – wiedza absolutnie niezbędna dla drwali, nie znających twierdzenia Pitagorasa, ocenę odległości przy pomocy lornetki i oficerskich okularów i wiele innych. Kiedyś nauczycielka w III klasie – pamiętam, że nazywała się Henryka Stańczyk – mówiła nam o znakach topograficznych. Podniosłem palce do góry i powiedziałem:

- *A mój dziadek mówił, że to są znaki trygonometryczne.*

- *Dziadziuś musiał się pomylić, wszyscy ludzie czasami się mylą* – powiedziała pani Stańczyk.

- *Niech sobie mówi co chce, a ja wierzę dziadkowi* – pomyślałem podkopując tym samym zaufanie do wiedzy Pani Stańczyk.

Później dowiedziałem się, iż oboje mieli rację, tylko mówili o dwóch różnych rzeczach a mój 9-letni umysł, nie był jeszcze w stanie tego ogarnąć.

Dziadek zawsze chodził swoim tempem, podczas, gdy ja często biegałem znacznie go wyprzedzając a następnie wracając. Podziwiam po latach jego cierpliwość do mnie, ale jako nauczyciel miał zawodowe predyspozycje a ponadto, jak już wspomniałem, miał do mnie słabość. Często podkreślał:

- *Pamiętaj Bolko, że jesteś mężczyzną i na tobie spoczywa obowiązek kontynuacji Rodu Skowronów.*

Niestety, nie wywiązałem się z tego zadania mając tylko jedną córkę. Mimo słabości do mnie, dziadek był surowy, wymagający i zarazem sprawiedliwy. W przypadku nieposłuszeństwa pytał zawsze:

- *Ile razy dziadek mówi?*

- *Raz* – było jedyną odpowiedzią, jakiej można było na to pytanie udzielić.

Początkowo dziadek pracował w Urzędzie Gminy Łabędy,

usytuowanym w pobliżu dworca kolejowego. Czasami przychodziliśmy z Miką do biura i do dziś pamiętam ogromny pokój z biurkiem, na którym stały: kałamarz z podstawką na pióra i ołówki, suszka i jakieś dokumenty. W pokoju unosił się zapach dymu tytoniowego od fajki dziadka i papierosów interesantów. Zdaje się, że dziadek pracował tylko na pół etatu ale nie jestem tego pewien a miał za zadanie tłumaczenie niemieckich dokumentów gminnych na język polski. Po przejściu na emeryturę został mianowany Opiekunem Społecznym i często zabierał mnie ze sobą na wizytacje do swoich podopiecznych. Umiał rozmawiać z ludźmi chorymi, w podeszłym wieku, żyjącymi w ubóstwie, z rodzinami więźniów, osadników z dawnych Kresów Wschodnich i wysiedleńców.

Re-polonizacja Górnego śląska po kilkuset latach panowania czeskiego i niemieckiego (pruskiego) na zmianę nie była procesem łatwym. Większość mieszkańców, którzy żyli tu „za Niemca” posługiwała się językiem niemieckim ale przeważnie mówili śląską gwara, której akcent przypomina wymowę czeską, a która dodatkowo była „ozdabiana” spolonizowanymi germanizmami, jak fuzechle, sztrachecele, Szlinzuchy, tinta, fara, kaja, hut itd. Gdy ktoś pokazał się publicznie przyodzian w nietypową czapkę, stosowano do niego powiedzonko:

„Wyciep to kapa, kup sie nowy hut.”

Ślązacy używali do gier – głównie w psa (po polsku w durnia) albo w zechcyka (odp. Polskiego Sześćdziesiąt sześć), niemieckich kart, różniących się wyglądem od stosowanych w Polsce czy w USA, a kolory nazywali krojcz, grin, herc, szel (niem: Kreutz, grün, Hertz, Schelle. Dosł: krzyż, zielony, serce, dzwonek, po polsku: żołądz, wino, czerwień, dzwonek) . Przystawianie zarówno śląskiej gwary jak i niektórych niemieckich zwrotów przychodziło mi stosunkowo łatwo, jako że dzieci do lat 18 z reguły bez

problemów chłoną do swej pamięci obce języki. Po powrocie do Warszawy bez problemów przechodziłem na warszawski żargon i tak aż do następnych ferii, wakacji, czy innej okazji wyjazdu na Śląsk. Struktura demograficzna bynajmniej nie była w Łabędach jednolita. Główny trzon stanowili ślązacy, zamieszkujący te ziemie od dziada, pradziada. Należy im się podziw i ogromny szacunek za to, iż przez setki lat, które upłynęły od momentu utraty tych ziem początkowo na rzecz Czech a następnie Prus, udało im się zachować polski język, tradycje i obyczaje. Germanizacja odniosła skutek tylko częściowy, wyrażający się wspomnianymi germanizmami, mimo, iż dzieci od podstawowej szkoły musiały uczyć się po niemiecku. Msze święte, w Starym Kościele oraz katechizacja, odprawiane były po polsku a w Nowym czyli u św. Jerzego – po niemiecku. Ostatni niemiecki proboszcz nazywał się Lischka, ale kazano mu zmienić nazwisko na Liszka a odkąd ja pamiętam, odprawiał Msze święte już po polsku. Kościół, który obecnie jest tak zaciekle atakowany przez t.zw. „siły postępu”, był przez wieki ostoja polskości pod zaborami i w okresach niewoli. Ślązacy to gorący patrioci ziemi śląskiej, a na pytania:

„*Kim jesteś Niemcem czy Polakiem?*” – zwykle odpowiadali: „Jo jest Ślójzok” - i w ten sposób odpowiadali również w czasach, do których się odwoływali jako „za Niemca”.

Administracja PRL nie doceniała albo nie była w stanie docenić gorącego patriotyzmu ślązaków i oprócz zmian nazw miejscowości, dokonywała na siłę źle pojętej, narzucanej odgórnie polonizacji nazwisk osób posiadających niemieckie nazwiska. Gdy po raz pierwszy zjawiłem się w Łabędach, bawiłem się z kolegą zamieszkałym na parterze tego samego domu o nazwisku Günther Becker, który nazywał się Günther Kapica w kilka lat później. Brückner został Błaszczyk, Roter – Molenda, Schiller – Szafarczyk, itd. Nie

wiem, jakich nacisków używały władze by zmusić ludzi do zmiany nazwisk, branych z nazwiska panieńskiego teściowej, sasiada lub po prostu z sufitu. Nie takiej nagrody oczekiwali za zachowanie polskiej mowy, tradycji, kultury i obyczajów przez dziesiątki pokoleń.

Do grupy mniejszości należeli w Łabędach wysiedleńcy z Kresów Wschodnich, na których miejscowa ludność mówiła Chadziaje a oni z kolei odwzajemniali się określeniem Hanysy, w stosunku do tubylców. W Łabędach mieszkało kilkadziesiąt rodzin „repatriantów” z Francji, przymusowo wysiedlanych, gdy konserwatywny francuski rząd postanowił pozbyć się komunistycznej piątej kolumny obcego pochodzenia. W tej grupie powrócił do Polski m.in. późniejszy I Sekretarz KC PZPR Edward Gierek. Francole – jak ich nazywano, stanowili wyizolowaną społeczność, ponieważ niemal wszyscy natychmiast wstąpili do PPR a później PZPR, wskazując na pozycje etatowych sekretarzy POP oraz komitetów gminnego i powiatowego. Część z nich znalazła zatrudnienie w Urzędzie Bezpieczeństwa jako funkcjonariusze i płatni donosiciele. Miejscowa ludność bardzo nieufnie traktowała komunistyczną władzę i rekrutacja do szeregów partyjnych przebiegała początkowo bardzo opornie.

Wzrastającą systematycznie grupę stanowili przybysze z centralnej Polski, zwabieni niemal nieograniczonymi możliwościami zatrudnienia w samych Łabędach i w regionie - oraz mieszkaniami, zwolnionymi przez Niemców, którzy przenieśli się w głąb Reichu – jak wciąż nazywano Niemcy Zachodnie.

„Jo jada” – słyszało się powiedzonko. „Kaj jedziesz?” „Do Konrada” – odpowiadali pytani, którzy uzyskali zezwolenie na emigrację w ramach łączenia rodzin.

Do Konrada, oznaczało do zachodnich Niemiec, w których w

latach 1949-1963 urząd kanclerza sprawował Konrad Adenauer. Starania o emigrację trwały długo i tylko nielicznym udało się je uwieńczyć sukcesem. Masowych zezwoleń na emigrację w ramach łączenia rodzin zaczęły komunistyczne władze udzielać dopiero po t.zw. odwilży październikowej, która trwała bardzo krótko i po roku 1957 śruba na odcinku liberalizacji w sprawach paszportowych, została ponownie dokręcona. Spora liczba mieszkańców Łąbęd miała rodziny na zachód od Odry i Nysy, większość oczywiście również na zachód od Łaby, przeważnie w Westfalii – Nadrenii, gdzie sporo mieszkańców Śląska jeździło „za Niemca” na „saksy”, a część się tam osiedliła. Również bratowa mojej babci Klara Roter mieszkała wraz z dziećmi Inge, Gisela i Horstem w Bochum położonym w samym centrum Nadrenii-Westfalii. Na śląsku obchodzi się trzy święta na litere „G”: Geldtag, Geburtstag i Groß Paket z RFN (Geldtag – dzień wypłaty, Geburtstag – dzień urodzin, Groß Paket – wielka paczka.)

Górny Śląsk, w odróżnieniu od Dolnego śląska, Ziemi Lubuskiej, Zachodniego Pomorza lub Mazur (przedwojennych Prus Wschodnich), nie podlegał - przynajmniej w tamtym czasie, czyli w ciągu pierwszych 10 lat od zakończenia wojny – masowym wysiedleniom ludności niemieckiej. Rodowitych Niemców, słabo albo wcale nie mówiących po polsku, mieszkało w Łąbędach stosunkowo niewiele. M.in. pod mieszkaniem moich dziadków mieszkała starsza wdowa pani Fritsch, której kazano zmienić nazwisko na Frycz. Czasami prosiła babcię lub dziadka o pomoc w przetłumaczeniu różnej urzędowej korespondencji.

Jedną z pasji dziadka po przejściu na emeryturę był ogródek, w którym spędzał wszystkie wolne chwile. Wielu mieszkańców osiedla miało przydomowe ogródki w których mieli chlewiki, gdzie trzymali drób i króliki oraz gołębniki – zupełnie jak w piosen-

ce „Starzyk”, w wykonaniu Zespołu Pieśni i Tanca śląsk: „...mam króliki we chlewiku i gołąbki w gołębniku. Fajecka – gołąbeczek, ławecka – ogródeczek, i w kałużku kos – to starzyka los”. Dziadkowi brakowało tylko gołębi w gołębniku i kosa w kałużku, bo po skończonej pracy w ogródku, lubił usiąść na ławce i pykać fajkę. Dziadek hodował w ogródku – oprócz królików – wszystkie niezbędne jarzyny, z owoców truskawki, porzeczek, czarne porzeczek, agrest – zwany tutaj jako wieprzki, oraz mnóstwo pięknych i cudownie pachnących wieczorami kwiatów, z których zapamiętałem głównie lwie paszcze, którymi lubiłem się bawić, ściskając i odpuszczając je tak by otwierały i zamykały swe „paszcze”. Ogródek dziadka był, jak się nietrudno domyśleć – najpiękniejszy i najlepiej utrzymany w okolicy. Lubiłem w nim przebywać, ale nie bardzo lubiłem dziadkowi pomagać, z wyjątkiem karmienia królików, które fajnie poruszyły noskami, oraz zbierania owoców.

Z wiekiem dziadkowi pogarszał się słuch i trzeba było mu wiele rzeczy powtarzać by usłyszał. Pewnego razu, wykorzystując słaby słuch i koncentrację na pracach ogródkowych dziadka, rozpoczęliśmy rozmowę na tematy tabu, czyli wymieniając obserwacyjne „doświadczenia” dotyczące seksu uprawianego przez psy i króliki. Po skończonej pracy w ogródku i po odejściu kolegów i koleżanek, dziadek kazał mojej siostrze i mnie usiąść na ławce, usiadł obok nas, nabił fajkę, zapalił, pyknął kilka razy i dał nam wykład na temat interesowania się sprawami, o których się mówić nie powinno, bo są naturalne i rozmowa o nich nic nie zmieni w naszych młodych głowach. Zainteresowania nasze powinniśmy skoncentrować na nauce religii i obserwacji piękniejszych zjawisk przyrody, niż seks, czy wypróżnianie. Choćby zainteresowanie uprawą ogródka, pomocą w równaniu grządek, gromadzeniem kompostu, które to czynności są znacznie bardziej pożyteczne, niż niezdrowo-

we zainteresowanie sprawami, o których i tak się dowiemy, gdy przyjdzie na to czas. Zrobiło nam się okropnie głupio, bo przekonaliśmy się, iż z tą głuchotą dziadka wcale nie jest tak, jak nam się wydawało. Innym razem dziadek wysłał mnie do piwnicy po jakieś narzędzie i w tym celu dał mi swoje klucze. Po powrocie z piwnicy włożyłem klucze do kieszeni marynarki dziadka. Po skończonej pracy dziadek spytał:

- *Gdzie są klucze?*

- *Włożyłem dziadkowi do marynarki* – odpowiedziałem.

Dziadek trzepnął ręką po marynarce, klucze zadźwięczały ale dziadek tego nie usłyszał.

- *Gdzie są klucze?* – powtórzył dziadek.

- *Włożyłem dziadkowi do kieszeni marynarki* – powtórzyłem.

- *Nie kłam, przecież sprawdzałem, nie mam ich w żadnej kieszeni* – powiedział dziadek.

Dziadek bardzo nie lubił kłamstw i od tego momentu spuściłem głowę, i przestałem się odzywać. Zrobił się sajgon, wszyscy, t.zn. dziadek, babcia i ciocia, zaczęli na mnie krzyczeć, zdaję się, że nawet oberwałem trzepaczką do dywanów po grzbiecie, babcia doznała ataku hysterii wykrzykując: „Klucze od antryjki, zginęły klucze od antryjki czy wiesz co to znaczy? Taka wasza polska natura, że nic nie uszanujecie, to jest typiczne dla was, Polaków...”

Z płaczem musiałem przejść kilkakrotnie drogę z ogródka do piwnicy, na górę i z powrotem, towarzyszyły mi babcia i ciocia z latarką i trzepaczką a babcia wciąż gderала o antryjce^[50] oraz o tym, że nie można się na mnie spuścić.

Ocalenie przyszło ze strony wujka Lola, który właśnie wrócił z Krakowa, gdzie studiował i zebrani opowiedzieli mu o całym

50 Antryjka – niem. Eintritt – wejście, w tym przypadku, drzwi wejściowe do mieszkania

zajściu. Wujek miał inżynierski rozum, który nie dopuszczał niewyjaśnionych przypadków a ponadto był z natury flegmatykiem. Przysunął sobie krzesło, mnie kazał usiąść naprzeciwko siebie i zaczął przesłuchanie:

- *Opowiedz dokładnie jaki miałeś kontakt z kluczami dziadka.*

- *Dziadek mnie wysłał do piwnicy, poszedłem do piwnicy, wziąłem narzędzie, które dziadek potrzebował i wróciłem do ogródka.*

- *Czy zamknąłeś drzwi od piwnicy?*

- *Tak* – odpowiedziałem. W owych czasach nie było jeszcze klódek samozatrzaszczających się, a zatem zamykając piwnice musiałem użyć kluczy, co było sprawdzone przez ciocię i babcię.

- *Czyli nie zostawiłeś kluczy w klódkce* – stwierdził wujek Lolo – *a co było dalej?*

- *Wróciłem do ogródka, dałem dziadkowi to, co przyniosłem z piwnicy a klucze włożyłem do kieszeni marynarki* – odpowiedziałem.

- *Czy do tej marynarki?* – spytał wujek podnosząc marynarkę dziadka?.

- *Tak* – odpowiedziałem.

- *To dlaczego ich nie ma w żadnej kieszeni?* – spytał wujek wkładając ręce kolejno do obu kieszeni marynarki.

- *Nie wiem* – odpowiedziałem – *ale wiem, że zabrzączały gdy dziadek potrząsnął marynarką.*

Wujek potrząsnął marynarką i... klucze zabrzączały, ku zdziwieniu wszystkich świadków. Wujek Lolo ponownie włożył dłoń do kieszeni marynarki i tym razem wymacał dziurę, przez którą klucze wpadły pod podszewkę, gdzie znalazł klucze i szybko wydobyl je na powierzchnię. Dziadek używał do prac w ogródku bardzo

zużytej marynarki a noszone w kieszeni klucze po długim okresie użytkowania zrobiły swoje mimo, iż marynarka nie była wyprodukowana w Chinach, jak wszystkie dzisiejsze wyroby.

- *To dlaczego od razu nie powiedziałeś?* – zaatakowała mnie babcia.

- *Powiedziałem dziadkowi ale dziadek nie słyszał i powiedział mi, żebym nie kłamał, to przestałem mówić* – powiedziałem i znowu rozplakałem się.

Mimo powszechnej ulgi z powodu pomyślnego zakończenia sprawy, zostałem uznany winnym całego zamieszania, ponieważ dziadek miał prawo do znacznie posuniętej utraty słuchu a ja powinienem oddać mu klucze do ręki. Byłem wdzięczny wujkowi za wybawienie mnie z opresji.

Wujek Lolo był bardzo zdolny i pracowity. Wkrótce po powrocie z Anglii wyjechał do Krakowa gdzie ukończył Akademię Górniczo-Hutniczą. Mimo fascynacji kopalnią głębinową, do której trafił w 1939 roku, skończył specjalizację kopalni płytkich i odkrywkowych. Nie wiem, czy była to jego praca magisterska, czy też napisany po ukończeniu studiów podręcznik – pamiętam książkę zatytułowaną „Przenośniki zgrzeblowe” autor mgr. inż. Leonard Skowron, stanowiącą dumę księgozbioru dziadka. W Krakowie poznał przyszlą żonę mgr. Danutę Skórnóg – córkę właściciela masarni w Nowym Sączu, z którą pobrali się 15 sierpnia 1953 roku. Nie pamiętam jak długo mieszkali w Krakowie, gdzie wujek robił pace doktorską na AGH, ale później otrzymał pracę dyrektora technicznego kopalni odkrywkowej w Miękinii oraz katedrę na Politechnice Gliwickiej, gdzie został docentem na wydziale górniczym i gdzieś pod koniec lat 50-tych przenieśli się do Gliwic. Zamieszkali w dzielnicy Trynek, dokąd kursował bezpośredni autobus WPK spod dworca PKP w Łabędach.

Stryj Leonard pracował zarówno naukowo jak i w projektowaniu kopalni odkrywkowych i w latach 70-tych i 80-tych był wysyłany na kilka lat do Indii, gdzie nadzował zaprojektowane przez siebie kopalnie. Jedną z kopalń usytuowaną była w niewielkiej – jak na Indyjskie warunki – odległości od miasta Bhopal, w którym w 1984 roku nastąpiła najtragiczniejsza odnotowana katastrofa przemysłowa^[51]. Zrozumiałby zatem niepokój rodziny o losy wujka Lola, od którego przez kilka dni nie było żadnej wiadomości. Było to w czasach przed-internetowych, międzykontynentalne rozmowy telefoniczne kosztowały majątek a ponadto ani Polska ani India nie dysponowały wówczas tak gęstą siecią łączności jak obecnie. W każdym razie Stryj w momencie katastrofy znajdował się w bezpiecznej odległości od Bhopalu. W rodzinach górniczych tradycją jest iż pierwsza córka musi mieć na imię Barbara, jako że św. Barbara jest patronką górników, a w dniu jej święta, 4 grudnia odbywa się tradycyjna Barbórka. Większość tradycyjnych górniczych rodzin, oprócz oficjalnych uroczystości wyprawia w tym dniu Imieniny dla swoich Baś, by przypadkiem nie mieć zbyt wiele okazji do wytrzeźwienia. Tak się stało również u państwa Stryjostwa Leonardostwa Skowron, gdzie pierwsza córka otrzymała imię Barbara. Basia była śliczną dziewczynką, szybko się rozwijającą;

51 Katastrofa w Bhopalu miała miejsce we wczesnych godzinach rannych 3 grudnia 1984, w sercu miasta Bhopal, Indie, w stanie Madhya Pradesh. W wyniku wypadku doszło do uwolnienia 40 ton izocyjanianu metylu w postaci gazu z fabryki pestycydów firmy Union Carbide.

Według władz rządowych stanu Madhya Pradesh, w momencie katastrofy zmarło około 3800 osób, a kilka tysięcy doznało trwałego uszczerbku na zdrowiu. Dane BBC mówią o około 3 tys. osób zmarłych natychmiast i 15 tys. w wyniku powikłań po kontakcie z uwolnioną substancją. Według ocen organizacji Greenpeace, zmarło 20 tys. osób. Katastrofa w Bhopalu jest obecnie uważana za najtragiczniejszą w skutkach awarię przemysłową. Mimo że katastrofa odbiła się mniejszym echem na świecie niż katastrofa w Czarnobylu, to miała ona dużo tragiczniejsze skutki

litere „r” wymiawiała od samego początku w odróżnieniu od większości rówieśników i kilkakrotnie przypadała mnie w udziale funkcja baby sitter, gdy Stryjostwo przyjeżdżali do Łabęd i chcieli mieć wychodne. Kiedyś poszliśmy z Basią do lasu gdzie straszylem ją wilkiem. Nie wiem czemu to robiłem i do tej pory jest mi z tego powodu głupio, a Basia do dziś mnie ten incydent wypomina. Dwa lata później przyszedł na świat kolejny Skowron tym razem płci męskiej, a zatem potencjalny kontynuator Rodu, któremu nadano imię Dariusz.

Basia skończyła filologię klasyczną na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Podczas studiów poznała studenta antropologii, Donalda Ndolo z Kenii, który studiował w Polsce, będąc sponsorowany przez UNESCO (United Nations, Educational, Scientific and Cultural Organization czyli Organizacja szkolenia, nauki i kultury przy ONZ). Basia z Donaldem przypadli sobie do gustu, zakochali w sobie ze wzajemnością i postanowili pobrać, co nie napotkało na aprobatę rodziców. Ponieważ oboje znali niemiecki a Basia z uwagi na niemieckie korzenie ze strony babci miała możliwość przyjęcia niemieckiego obywatelstwa, tuż przed stanem wojennym wyjechali do Republiki Federalnej Niemiec. Basia przyjęła obywatelstwo niemieckie i została tam przynajmniej po dziś dzień. Gdy przed wyjazdem do Stanów na stałe pojechałem na śląsk by pożegnać się z rodziną, odwiedziłem Stryjostwo Leonardostwo w ich nowym mieszkaniu w Gliwicach. Ciocia Danka oprowadzając mnie pokazała pokój, który, jak powiedziała, czeka na Basię. Na pytanie:

- *A gdzie jest Basia?* – odpowiedziano mi:

- *Basia popełniła największą pomyłkę w swoim życiu.*

Mam taką zasadę, iż jak ktoś nie ma ochoty mnie czegoś powiedzieć to się nie dopytuję. W marcu 1983 r. będąc w obo-

zie przejściowym w Bad Soden – Salmünster, spotkaliśmy się z Jędrkiem, który wówczas pracował w Mannheim nad Renem i on nam opowiedział historię Basi i Donalda, którzy osiedlili się w Bayreuth w Bawarii, w mieście znanym z dorocznych Festiwalu Wagnera. Mieli już córkę Rose Marie, na którą wołali Roma, śliczną dziewczynkę o czarnych, kręconych włosach, niebieskich oczach i europejskich rysach. Podczas krótkiego, zaledwie 3-tygodniowego pobytu w Niemczech nie zdążyliśmy się spotkać. Udało nam się tylko porozmawiać telefonicznie z Basia oraz z Kasią – siostrą Jędrka, która w owym czasie przebywała w Hamburgu. W kilka lat później urodziła się kolejna panna Ndolo, Alexandra, zwana w skrócie Sandra, równie urocza jak jej siostra a z nosa i ust bardzo podobna do Rodziny Skowronów, której się nie wyprze. Stryj Leonard nie mógł pogodzić się z utratą ukochanej córki i po przejściu na emeryturę również przeniósł się do Bayreuth, korzystając z bilateralnej umowy niemiecko-polskiej, według której emeryturę wypłaca się w kraju zamieszkania w walucie oraz według stawek obowiązujących w tym kraju. Ciocia Danką dołączyła do niego kilka lat później. Zmarła 7 kwietnia 2014 r. przeżywszy lat 90, a jej pogrzeb dał pretekst do zjazdu rodzinnego w nowym Sączu.

Donald był bardzo sympatycznym facetem ale brakowało mu trochę przedsiębiorczości i zaradności a ponadto bardzo lubił piwo. Miał trudności w znalezieniu pracy, ponadto mieszkanie zbyt blisko teściów, którzy nie specjalnie go akceptowali, nie umiało mu życia, a zatem postanowił szukać szczęścia w USA. W dalszej części wróć do serii wizyt Donalda u nas, w każdym razie popełnił kolosalny błąd, gdy po zaklepaniu pracy na Delta College w Saginaw, Michigan, gdzie wówczas mieszkaliśmy nie poszedł na miejscu spraw w Biurze Imigracyjnym, zwanym wówczas INS^[52],

52 INS – Immigration and Naturalization Service, obecnie przemianowane w

tylko natychmiast wyjechał do Bayreuth i wrócił na dwa dni przed przewidywanym rozpoczęciem pracy. Przed wyjazdem powiedział, iż pozatratwia sprawy w konsulacie w Norymberdze - mimo, iż uprzedzałem go by nie ruszał dupy, dopóki nie będzie miał zezwolenia na pracę, bo zezwolenie może dostać tylko na terenie USA - gdzie mu powtórzono dokładnie to co mu powiedziałem. Pojechał autobusem do biura INS w Detroit, gdzie po całodziennym oczekiwaniu - tam bynajmniej nie traktują interesantów z amerykańską uprzejmością - dowiedział się, iż czas oczekiwania na tymczasowe zezwolenie na pracę potrwa co najmniej sześć tygodni. Jego przełożona, gdy dowiedziała się, iż Donald nie ma zezwolenia na pracę, skreśliła jego przedmiot z programu zajęć, powierzając mu jedynie zastępstwo w wysokości dwóch godzin tygodniowo. Nie mając innego wyjścia, Donald wrócił do Bayreuth, gdzie już bynajmniej na niego nie czekali ze zbytnim entuzjazmem. Nie znam szczegółów, wiem tylko, iż małżeństwo Basi i Donalda rozpadło się i zakończyło rozwodem. Donald umarł na odnowiona gruźlicę, na którą już leczył się w przeszłości, w lutym 1997 roku, w wieku 43 lat. Basia po kilku latach wyszła ponownie za mąż za Eckharda Sabarth, z którym ma dwie uroczę dziewczynki, tym razem blondynki, jak niemal wszystkie Skowronówny - Sylwię i Laurę. Roma, najstarsza córka Basi i Donalda, będąc w szkole średniej uprawiała pięciobój nowoczesny, który kontynuowała w czasie studiów w Deutsche Sporthochschule Köln^[53]. Międzynarodowej kariery sportowej nie zrobiła, natomiast po skończeniu studiów podążyła śladami ojca i przyjechała do Stanów w poszukiwaniu pracy.

2003 roku na US Citizenship and Immigration Service USCIS. Instytucja podlegała Departamentowi Sprawiedliwości, do której zadań należa m.in. obsługa punktów granicznych, przeprowadzanie procesów naturalizacji, wydawanie zezwoleń na pobyt stały, i wiele innych.

53 Deutsche Sporthochschule Köln Niemiecka Szkoła Sportu w Kolonii - odpowiednik polskiej Akademii Wychowania Fizycznego.

W 2006 roku uzyskała zatrudnienie w biurze prasowym siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych w New York, NY, a jako pracownik zagraniczny miała co pół roku odnawiany kontrakt, uzgadniany za każdym razem z USCIS. W 2012 roku, kontrakt nie został przedłużony a Roma, wykorzystując wrodzony talent i zdobyte na studiach umiejętności otworzyła własny salon Chitta Wellness Yoga & Pilates, Physical Fitness^[54] na Brooklynie. W tym samym roku wstąpiła w związek małżeński z pochodzącym z Południowej Afryki, wychowanym w Australii, poznanym w pracy w ONZ Chrisem van der Walt, który prowadzi firmę Change Assembly. Z uwagi na przejściowe trudności zdrowotne nie uczestniczyłem w przesuniętym na 18 maja 2013 roku przyjęciu weselnym Romy i Chrisa w Southhampton, NY. Obie starsze córki Basi są piękne i zgrabne ale każda w swoim stylu; Roma jest szczupła i wysoka natomiast Sandra posiada bardziej wydatne kobiece zaokrąglenia. Wzrostem co najmniej dorównuje Romie ale przy okazji jest bardziej muskularna. Jest niezwykle urodziwą dziewczyną, wie o tym i często pozuje do fotografii a z urody do złudzenia przypomina swego dziadka Leonarda a także mego Ojca Gerda. Po skończeniu nauki w Ansbach University of Applied Sciences, podczas których z powodzeniem uprawiała floret, Sandra wstąpiła do Bundeswehry gdzie jest objęta programem Sportfördergruppe Bundeswehr^[55] w byłej stolicy RFN Bonn. Dziadek wcielony przymusowo do Wehrmachtu, wrócił z frontu w mundurze British Royal Army a jego wnuczka jest ochotnikiem Bundeswehry – zwrot o 180°.

Sylvia, córka Basi i Eckharda jest kolejną piękną w rodzi-

54 Salon jogi, aerobiku i ćwiczeń uzdrawiająco-odchudzająco-upiększających dla kobiet.

55 Sportfördergruppe Bundeswehr – formacja paramilitarna w ramach Bundeswehry, przeznaczona dla sportowców najwyższej klasy, stwarzająca możliwości treningowe i ułatwiająca finansowo uprawianie sportu.

nie, wysoka, zgrabna blondyneczka o czarującym uśmiechu. Widziałem ją oraz jej młodszą siostrę Laurę dwa razy: w Monachium w 2005 roku, gdy spotkałem się z Basia i jej rodzina w drodze do Szwajcarii, oraz w Łabędach, 10 grudnia 2011, podczas 90-lecia urodzin mojego Stryja Leonarda i dziadka Sylwii w jednej osobie. Sylvia zrobiła już maturę i studiuje na Universität zu Köln czyli na Uniwersytecie w Kolonii.

Laura, która jest wykapaną córką swego taty, a do Skowronów pasuje nie przez podobieństwo tylko przez urodę. Wciąż uczęszcza do Graf Münster Gymnasium w Bayreuth.

Darek – kontynuator rodziny Skowronów, skończył śląski Uniwersytet Medyczny w Katowicach i pracuje w stacji Pogotowia Ratunkowego w Gliwicach. Ożenił się z Marią Krupą – która prowadzi sklep z profesjonalnym sprzętem fotograficznym i wyposażenia studiów.

Ich starszy syn Artur skończył Wyższą Szkołę Businessu w Nowym Sączu i pracuje w General Motors w Gliwicach. Mieszka razem z Aleksandrą Rollauer – absolwentką Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Katowicach, zatrudnioną, podobnie jak Artur w General Motors - w Gliwicach. 26 marca 2012 roku zrodzony z ich związku Jakub, zwany na razie Kubusiem, otworzył nową generację rodziny Skowronów.

Młodszy syn Marysi i Darka Marek jest absolwentem UJ, robił doktorat z fizyki w Finlandii, obecnie wrócił do Polski, mieszka i pracuje w Krakowie. Jego pasją są skoki spadochronowe, których wykonał ponad 1000, skacząc z różnych miejsc w różnych sytuacjach.

Najmłodsza córka Pawła Skowrona II Eleonora Rita, zwana od dziecka Ritą, przyszła na świat kilka lat po Leonardzie gdy Dziadek znajdował się już w wieku przedemerytalnym, czyli mając

62 lata. Pewnego razu odwiedzając rodziców pielęgnujących kilkuletnie dziecko, zrobił niezbyt pochlebny komentarz w rodzaju: „na starość wam się dzieci zachciało” czy coś w tym rodzaju, z co otrzymał od dziadka siarczysty policzek. Następnie musiał swych rodziców przeprosić, uklęknąć i pocałować oboje w rękę. Mój tata był już po studiach, pracował jako redaktor poważnej gazety a ponadto był o głowę wyższy od swego ojca.

Można sobie tylko powzdychać do takich metod wychowawczych.

Ciocia Rita szkołę średnią kończyła podczas II wojny światowej, a następnie studiowała Farmację na Akademii Medycznej w Warszawie, mieszkając w okresie studiów u swego brata a mojego stryja Egberta. Po skończeniu studiów wróciła do Łabęd, gdzie podjęła pracę w jedynej wówczas aptece przy Rynku. Pewnego dnia ciocia wróciła trochę później niż zazwyczaj z pracy i zwracając się do babci i do mnie, zapytała:

- *Czy wy wiecie z kim wy rozmawiacie?*

- *Jak to z kim? – zdziwiła się babcia – z tobą, nieprawdaż?*

- *Z kierownikiem nowej apteki!* – zawiadomiła tryumfalnie ciocia Rita.

Na to konto babcia chyba zrobiła specjalny obiad a ciocia, przygotowując się do objęcia nowej placówki, wystąpiła do administracji o przydział mieszkania bliżej nowej apteki, zlokalizowanej na rogu ulic Wolności i Karola Marksa na Dużym Osiedlu. Przeprowadzał nas jeden z nielicznych, pozostałych w okolicy rolników, w obliczu rozbudowującej się okolicy, pan Kamuzela, który słynął z bardzo niewyraźnej mowy. Mówił bez przerwy mieszając słowa niemieckie z gwarą śląską a zrozumieć go nie szło. Kiedyś chodziliśmy do pani Kamuzeli po świeże mleko na Przyszówkę, gdzie mieszkali a dziś na miejscu, gdzie mieściło się gospodar-

stwo Kamuzelów – stoi Kościół pw. Św. Anny. W każdym razie pan Kamuzela przyjechał swoim wielkim wozem, zaprzężonym we dwa konie i razem z wujkiem Lolem oraz Zygmuntem – wówczas narzeczonym cioci – dokonali przeprowadzki do mieszczącego się na II piętrze mieszkania przy ul Wolności 9. Przeprowadzka do mieszkania przy aptece na ul. Karola Marksa odbyła się już bez mojego udziału. Ciocia objęła aptekę w 1956 roku i była jej kierowniczką aż do upadku komuny w 1989 roku. Później wykupiła aptekę na własność i prowadziła ją kolejnych 15 lat, a potem sprzedała.

Ciocia Rita, w 1945 roku, będąc jeszcze nastolatką, uratowała mi życie, ryzykując swym własnym.

„Wyzwoliciele” spod znaku Czerwonej Armii stacjonowali jeszcze przez jakiś czas na Śląsku kolekcjonując wajennije trofeje, zapominając przy okazji, iż należały one teraz do „bratniej” – jak twierdzili – Polszy. Łupem ich padało wszystko, co niepilnowane, poczynając od maszyn i urządzeń przemysłowych, które wywozili w głąb Rosji. M.in. splądrowali niemal w całości Zakład Mechaniczny, nazwany później imieniem Stalina, a kończąc na rowerach i drzewach, obfitujących w owoce a ścinanych pepeszą. Ponieważ jednak w związku sowieckim a) nie funkcjonował jeszcze system metryczny, b) obowiązywało inne napięcie i częstotliwość prądu elektrycznego – żadne ze zrabowanych urządzeń nie pasowały do uprzemysłowienia kraju rad, w związku z czym były one przemalowywane, obdarzane napisem „??????? ? ?????” i exportowane z powrotem do Polski. Nie wszystkie zrabowane urządzenia wróciły w ten sposób na ograbione tereny. Na Dolnym ślasku Niemcy rozpoczęli przed wojną elektryfikację kolei wokół węzła wrocławskiego, m.in. w całości była już zelektryfikowana linia Wrocław – Jelenia Góra (niem. Hirschberg im Riesengebirge) jako elektryfikowanej z dwóch stron magistrali Wrocław – Berlin. Rosjanie zdjęli wszystkie

miedziane przewody trakcji, wywożąc je w głąb imperium na złom, a pozostawiając tylko słupy i stacje transformatorowe. Ponowna elektryfikacja tej linii zakończona została na początku lat 70-tych, z wykonaniem wszystkich prac od początku, gdyż niekonserwowane przez kilkanaście lat słupy, zdążyły zardzewieć i zmienić się w złom.

Rosjanie rzadko włamywali się do mieszkań, ponieważ NKWD nie patrzyło na to zbyt łaskawym okiem, natomiast piwnice traktowali jak swoje. W wielu piwnicach chłodziło się własnej roboty wino a przede wszystkim trzymany był tam „cud techniki” jak Rosjanie traktowali rowery. Nie mieli jeszcze wówczas nawet nazwy dla tego uosobienia nowoczesności, używając tymczasowo „samobieżka” a dopiero kilkanaście lat później przechrzcili go z francuska na „Wielociopied”. Uczniowie sowieccy tak byli zafascynowani odkryciem tego szczytu techniki, iż czołowym sowieckim klubom sportowym nadano nazwy części rowerowych jak np. Dynamo Moskwa czy Torpedo Mińsk, obok innego technicznego cudu Lokomotiw. Aż trudno uwierzyć, iż w 15 lat po odkryciu przez jego rodaków roweru w śląskich, słowackich i węgierskich piwnicach, Rosjanin Wiktor Kapitonow zdobył złoty medal na Olimpiadzie w Rzymie w indywidualnym wyścigu szosowym! Sukces ten tak wbił w zachwyty sowieckich propagandzistów iż wynalezienie roweru zaczęli przypisywać rosyjskiemu kowalowi o nazwisku Artamonow. Rzekomo wynalazek Artamonowa miał być odrzucony przez cara jako wykonany przez zwykłego chłopca a nie członka wszechrosyjskiej akademii nauk. Żadne, solidne źródła tej teorii nie potwierdzają.

W czasach mojej wczesnej młodości uczono nas, iż wszystkich poważniejszych wynalazków dokonali Rosjanie i dopiero po zwycięstwie rewolucji październikowej, można było te fakty obja-

ścić nieświadomej ludzkości. Uczono nas m.in. iż żarówkę wynalazł Ładygin a Edison tylko wymyślił do niej gwint (w Polsce standardowy gwint do żarówki nazywa się gwint Edisona), radio wymyślił Popow a Micziurin był najwspanialszym pod słońcem przyrodnikiem – wychowanym już za Stalina – dokonującym wiekopomnych skrzyżowań różnych gatunków owoców. Ludzie mojego pokolenia wymyślili pytanie: „jaka była ostatnia krzyżówka Micziurina?”, na które odpowiedź brzmiała: „skrzyżował nogi i się zesrał”. Inna seria pytań: kto wynalazł radio? – Radiow, kto wynalazł tryb? – Trybow, kto wymyślił jodłowanie? – nie Jodłow tylko Trybow, któremu podczas testowania wynalazku jądra się w tryby wkręciły.

Po wydostaniu samobieżek z piwnic, krasnoarmiejcy uczyli się jazdy na tych „cudownych” maszynach, a po przebicciu dętek kontynuowali jazdę na obręczach. Jeden z moich kolegów z pracy, który przeszedł szlak bojowy w szeregach podległej sowietom I Armii WP, opowiadał, iż zaopatrzenie jednostek bojowych funkcjonowało różnie: bywało, że nie dostarczano żywności, amunicji, ubrań na zmianę, środków opatrunkowych ale zawsze dostarczany był spirit, w związku z czym żołnierze Armii Czerwonej rzadko bywali trzeźwi.

Pewnego dnia, bawiąc się z dziećmiakami przed domem zauważyłem, niestety zbyt późno rosyjskiego żołnierza jadącego zygzakiem na skradzionym rowerze bez przedniej opony. Moi koledzy zdążyli się rozpierzchnąć, ja się zatrzymałem licząc, iż mnie ominie ale on zachowywał się jakby właśnie mnie sobie upatrzył. Obaj upadliśmy na jezdnię, ja podniosłem się pierwszy, russek gramilił się wolno, padając raz po raz a gdy wreszcie udało mu się stanąć na obu nogach, chwielejąc się zaczął grzebać wokół kabury pistoletu wyklinając: „Ubiju kak sobaku, ty prakiłjatyj giermanskij mierziawiec!”

Był tak pijany, iż wydawało mu się, iż potrącił dorosłego człowieka a nie 3-letnie dziecko. Zrobił się wrzask, przed dom wybiegła ciocia Rita i zasłaniając mnie własnym ciałem zawołała:

Co z was za oswobodzicie, skoro polskie dzieci chcecie zabijać? W zeszłym roku Niemcy zabili mu ojca a teraz wy chcecie wykończyć jego syna? Co on takiego zrobił oswobodzicielom, że chcesz go zabić?

Pijany krasnoarmiejec zaczął głupio obracać oczami a zrozumiawszy słowo „oswobodziciel” czknął:

„To ty nie giermanka? Polska zieńszczyzna?”

Nie wiadomo jak by się sprawa skończyła bo rusek przy upadku rozdarł spodnie i poobcierał sobie skórę, a w rękę wciąż trzymał naganą, gdy w tym samym czasie nadjechał wojskowy trofiejny Volkswagen z NKWD-istami.

- *Szto słucziłos’ ?* - zapytał oficer w niebieskiej czapce.

- *Wasz żołnierz potrącił rowerem dziecko a teraz chce go dobić* – wyjaśniła ciocia.

NKWDzista chyba niewiele z tego rozumiał, poza tym, że ciocia mówiła po polsku, a widząc szczątki roweru, mnie z poobcieranymi kolanami i kompletnie ubzdryngolonego, wymachującego naganą, krasnoarmiejca rozkazał.

- *Dawaj orużjo, dawaj ramię, bystro* - a po odebraniu pistoletu i pasa pijanemu żołnierzowi, wskazał mu głową miejsce na tylnym siedzeniu. Po usadowieniu się obok kierowcy powiedział:

- *Pajechali.*

I tak, groźnie zapowiadająca się sytuacja, dzięki bohaterkiej postawie cioci Rity, zakończyła się tylko opatrzeniem niegroźnych obcierek.

W związku z tą sytuację przypomniała mi się, oparta na autentycznej historii, anegdota pochodząca z pierwszych miesięcy

po „wyzwoleniu”. Pewien Żyd zgłosił się do komendantury NKWD ze skargą:

- *Towarzyszu komendancie, zgłaszam, że szwajcarscy żołnierze zabrali mi rosyjski zegarek.*

- *Nu szto z taboj Jewriej? – zdziwił się komendant – zdzies' niet nikakich szwajcarskich sałdatow ani ruskich cziasow.* Żyd grzecznie powtórzył skargę:

- *Towarzyszu komendancie, zgłaszam, że szwajcarscy żołnierze zabrali mi rosyjski zegarek.*

- *A możet eta byli russkije sałdaty, szto ukrali wam szwajcarskije cziasy? – zapytał kamandir.*

- *Ja tego nie powiedziałem, ja tego nie powiedziałem* – zastrzegł się skarżący.

Pan Bóg z jakiś powodów wysłał za mną Anioła Stróża, który wielokrotnie wybawił mnie z poważnych kłopotów. Mimo, iż przez Łabędy front nie przechodził, musiały się tam toczyć jakieś walki, skoro w całej okolicy znaleźć można było liczne niewypały. Szczycem luksusu, jeżeli chodzi o zabawki była wówczas hulajnoga wykonana przez tatusiów z łożysk i kilku desek. Do innych chłopięcych zabawek tamtego okresu należało bieganie z zakrzywionym grubym drutem napędzającym fajerkę lub obręcz z roweru. Po czystce jakiej dokonali rosyjscy oswobodziciele w piwnicach, odrodzenie liczby rowerów musiało zająć kilka lat. Najbardziej zakazaną zabawą – a który z chłopców nie pasjonował się sprawami zakazanymi ? – należało rozmontowywanie znalezionych niewypałów, wrzucanie ich do ognisk a następnie szybka ucieczka i obserwacja wybuchu. Niestety, ani przepisy bhp, ani saperskie kwalifikacje nie były wówczas dobrze znane chłopcom w wieku 5 – 15 lat. Nie było tygodnia a często nawet dnia, żeby po którejś z dokonanej w ten sposób eksplozji nie dowiadywaliśmy się o kolejnych ofiarach,

okaleczonych lub śmiertelnych - wśród moich rówieśników i starszych chłopaków. Jeszcze w 1955 roku miała miejsce ostatnia, znana mi tragedia tego typu, której ofiarami padło dwóch 15-latków Franek Skurski i Erwin Durski. Pierwszy zginął na miejscu a drugi, oślepiiony i potwornie okaleczony zmarł po kilku dniach. Pani Durska – matka Erwina również miała miejsce w tej samej ławce co moja babcia. Ja miałem chyba 5 lat, gdy doświadczyłem wydarzenia, które na zawsze kazało mnie trzymać się zdaleka od niewypałów, lub jakichkolwiek przedmiotów zbliżonych do nich wyglądem. Znalazłem kiedyś jakiś nieduży przedmiot, z którego wystawał niewielki, miedziany walec. Reszta tego urządzenia wydawała mnie się niewarta zainteresowania i postanowiłem ten walec wydostać z całości. Ponieważ ciągnięcie palcami nie dawało rezultatu, usiadłem na krawężniku i postanowiłem uderzając miedzianą końcówką o kamień, wydobyć go. O ile pamiętam, drugiego uderzenia już nie było. Rozległ się huk, który ogłuszył mnie na kilka minut, otoczony byłem chmurą dymu, miałem trudności z wyprostowaniem lewej nogi i z podniesieniem się. Babcia, gdy usłyszała huk, zaczęła się modlić:

„Boże spraw, żeby to nie był Bolko. Dopiero co, jego ojciec tak tragicznie zginął. Nie zabieraj mi tego, co po nim zostało.”

W tym samym momencie wbiegłem na jednej nodze do mieszkania wołając:

- Babciu, ratuj, Rusek do mnie strzelał! – byłem bowiem święcie przekonany, iż ten Rusek, który mnie potrafił na rowerze, zawrócił by dokończyć to co mu się, dzięki interwencji cioci nie udało. Jakoś wogóle nie kojarzyłem tego wydarzenia z majstrowaniem przy tajemniczym obiekcie.

Nadbiegł dziadek, który najpierw obejrzał mnie dokładnie, bo babcia popadła w histerię widząc mnie całego we krwi, i z mo-

jej zaciśniętej dłoni wyjął odłamek który rozpoznał jako część zapalnika od granatu. Następnie wyciągnął z piwnicy wózek, do którego babcia włożyła poduszkę, na której mnie złożono. Następnie dziadek szybkim krokiem zaciągnął mnie do doktora Wollny'ego, który miał gabinet przy ul. Plebiscytowej – obecnie Narutowicza. Ponieważ byłem dzieckiem, zgłoszonym jako ofiara zabawy z niewypałem, całym pokrwawionym – zostałem przyjęty poza kolejnością i położony na stole operacyjnym, gdzie mnie rozebrano, obmyto i rozpoczęto żmudną operację wyciągania 27 odłamków głównie z mojego lewego pośladka oraz z lewej nogi w kostce. Miałem również poważnie uszkodzony palec lewej dłoni i od tamtej pory nigdy nie miałem problemów z rozróżnieniem lewej i prawej strony. Doktor Wollny był Niemcem, podobnie jak część jego personelu. Jedna z pielęgniarek, słabiutko znająca polski, postraszyła mnie:

- *Być cicho oder klaps na pups.*

Pamiętam, że na pewno nie byłem pod narkozą a wielkiej pielęgniarki się bałem prawie tak samo jak Rusków i całą trwającą prawie dwie godziny operację przeleżałem spokojnie i cichutko jak trusia. Muszę przyznać, iż groźna Niemka znalazła się po zabiegu, pogłaskała mnie tam, gdzie nie było bandażu i powiedziała:

- *Sehr gutt, dobra kinder, nie płakać, być zgracna.*

Dr. Wollny kilka lat później wyjechał do Reichu, co nie udało się drugiemu lekarzowi w miasteczku o nazwisku Dr. Pollock. Może nazwisko brzmiało zbyt polsko? W każdym razie Dr. Pollock, który miał swój gabinet na Starych Łabędach, przyjmował pacjentów aż do emerytury i był dobrym znajomym cioci Rity, która realizowała jego recepty. Przy ulicy Narutowicza (wówczas Plebiscytowej) stoją po dziś dzień piękne wille z ogródkami a tuż obok willi D-ra Wollny'ego mieszkał i przyjmował pacjentów Dr.

Stomatolog Klemens Kurek. Najstarszy syn D-ra Kurka, Rajmund to mój serdeczny przyjaciel ze szkolnej ławy, z którym utrzymuję kontakty po dzień dzisiejszy a w styczniu 2013 roku odwiedziłem go w Australii i razem poleciliśmy na niezapomniana wycieczkę do Nowej Zelandii. Szczegóły tej wycieczki opisałem na dalszych stronach. Młodszy brat Mundka Janek, skończył studia stomatologiczne i przejął po ojcu gabinet oraz praktykę. Mimo kiepskiego zdrowia i przejścia na emeryturę, jeszcze sporadycznie przyjmuje pacjentów. M.in. w maju 2013 poleciała tam żona Mundka Teresa. Pamiętam czasy, gdy po Łabędach jeździły tylko 3 samochody osobowe, będące w posiadaniu trzech ówczesnych lekarzy. Doktorzy Wollny i Pollock mieli jeden BMW a drugi Opla, a Dr. Kurek dwusuwową DKW, zwana „dekawką” a skrót odczytywany był jako Dykta-Klej-Woda. DKW powstała w Zwickau, które po układzie Poczdamskim znalazło się w NRD, fabrykę komuniści upaństwowili a produkowane w niej samochody o niemetalowej karoserii nazwali początkowo P-70, a później Trabant, który nosił przydomek Ford Carton. Podejrzewam, iż moja dwusuwowa obcinarka do gałęzi ma większy silnik, niż te „cuda” niemieckiej techniki motoryzacyjnej. Niemcy mają prawo być dumni z Mercedesa, BMW czy Audi ale nie mogą się wyprzeć dekawki i jej kontynuatorów.

Zaraz po moim wypadku dziadek wysłał do mojej mamy telegram o treści: BOLKO SIĘ SKALECZYŁ STOP PRZYJEDŹ NATYCHMIAST STOP OJCIEC. I rzeczywiście moja mama przyjechała w kilka dni później, nastawiona ofensywnie do dziadka, że jej zawracał głowę jakimś głupim skaleczeniem a następnie wystraszyła się widząc tylko te fragmenty ze mnie, które wystawały spod bandażu.

Ciocia Rita jest osobą bardzo zasadniczą o surowych obyczajach. Bardzo pobożna, śpiewała przez długie lata w chórze kościelnym i przez długi czas unikała męskiego towarzystwa. Do tego

stopnia, iż chodziła na zabawy sylwestrowe ze swoim bratem Leonardem. Pewnego razu, wracając pociągiem z wycieczki do Warszawy spotkała się w jednym przedziale z przystojnym wysokim, ciemnowłosym, śniadym poznaniakiem Zygmuntem Tyrakowskim. Dyskutowali w gronie znajomych na różne tematy i prawie w każdym z nich mieli dokładnie odmienne zdanie, co niemal doprowadziło do kłótni a w każdym razie ciocia była na tyle zdegustowana, iż na pytanie Zygmunta po wyjściu z wagonu.

- *Kiedy się znowu spotkamy, bo tak się fajnie z panią dyskutuje?* – odpowiedziała

- *Ja, z panem? Nigdy!*

Niech się pani nie zarzeka, nigdy nic nie wiadomo – odpowiedział flegmatycznie.

I chyba miał rację bo zaczęli się spotykać a przeważnie Zygmunt przychodził na Dzierżyńskiego a później na Wolności, przeemykając chyłkiem przez przedpokój do dużego salonu, gdzie razem spędzali długie godziny, przerywane przyjściem cioci do kuchni po kawę, kanapki czy kołacz. Zygmunt był bardzo nieśmiały, przez dłuższy czas nie pokazywał się w kuchni-centralnym punkcie mieszkania, gdy przypadkowo otworzyłem mu drzwi, kulił się, bąkał coś pod nosem a ja po prostu wskazywałem mu drzwi do salonu i zawiadamiałem ciocię. Stopniowo i powoli Zygmunt się zaczął do nas przyzwyczajać i nawet jedziliśmy razem na Kąpielisko Leśne, w połowie drogi między Gliwicami i Łabędami. Skończył technikum mechaniczne i po przepracowaniu kilku lat w ZiSPO – czyli u Cegielskiego w Poznaniu, postanowił szukać pracy (i szczęścia) na Śląsku a ściślej w Zakładach Mechanicznych im. Stalina, późniejszych Zakładach Mechanicznych Łabędy – obecnie Bumar Łabędy. Zamieszkał w Gliwicach, przy ul. Toszeckiej, ciocię Ritę poznał podczas wycieczki do Warszawy a następnie podczas jej dyżurów

w składzie aptecznym na terenie ZMiS. Jego brat Jan Tyrakowski był oficerem MO i w swej karierze doszedł do stanowiska Z-cy komendanta Komendy Głównej MO d/s kryminalnych. Pisywał często do „Przekroju” różne historie kryminalne oparte na autentycznych wydarzeniach. Mieszkał przy ul. Kaliskiej pod numerem 1, a my pod 17. Zmarł 10 lat temu a w kilka lat później jego żona Edyta.

Dopóki nie poznałem Jagody, to narzeczeństwo cioci Rity z Zygmuntem wydawało mnie się najdłuższym z możliwych. Ciocia Rita nie znosiła alergicznie dymu tytoniowego i postawiła Zygmuntowi warunek, żeby mogli się spotykać to musi rzucic palenie – i Zygmunt rzucił.

Pewnego letniego dnia pojechaliśmy (albo poszliśmy, bo to był 2 km. spacer) do Kąpieliska Leśnego. Małomówny jak zwykle Zygmunt, odezwał się w pewnym momencie:

- *Ale bym sobie teraz zapalił papierosa* – na co ciocia odpowiedziała:

- *Nawet o tym nie myśl, jeżeli chcesz się jeszcze ze mną spotykać.*

Zygmunt przez dłuższy czas się nie odzywał a wreszcie powiedział:

- *Największy błąd jaki popełniłem w życiu to mój przyjazd do Łabęd.*

Pomilczał chwilę i dodał:

- *A popełnię jeszcze większy, gdy się ożenię.*

Do domu wróciliśmy w kompletnym milczeniu. Małomówny zwykle Zygmunt próbował ciocię zagadać, ale odparła mu ostro:

- *Zostaw mnie w spokoju, nie odzywam się do ciebie.*

Pobrali się kilka lat później i w roku 2008 obchodzili Złote Gody.

PP Tyrakowskcy mają dwóch synów, jeden wyższy od dru-

giego. Paweł, który jest wujkiem dla mojej Iwonki – jest od niej starszy zaledwie o 3 lata a Tomek, o rok młodszy. W 1978 roku podczas obozu na Węgrzech Paweł zapraszał Iwonkę słowami:

- *Iwona, pójdziesz z wujkiem na dyskotekę?* – na co odpowiedziała:

- *Pójde jak mnie tata puści.*

Paweł, masz dopilnować, żeby twoja cioteczna bratanica nie degustowała węgierskich win, bo jeszcze jest małolata, a poza tym bawcie się dobrze – udzielałem zezwolenia.

Paweł skończył Wydział Mechaniczny na Politechnice Gliwickiej i przez kilka lat pracował razem z ojcem w Zakładach Mechanicznych Łabędy a po restrukturyzacji i przemianowaniu ZMŁ na Bumar, musiał szukać pracy poza Łabędami – od roku 1956, stanowiącymi dzielnicę Gliwic. Obecnie piastuje stanowisko dyrektora w biurze projektowym w Zabrze. Ożenił się z piękną, wysoką Danutą Pietrzak, pochodzącą, podobnie jak inna Danka Skórnoń-Skowron, z Nowego Sącza. Gdy Paweł z Danką ogłosili datę swego ślubu, Tomek nabijał się z brata, iż ten dobrowolnie pozbawia się kawalerskiej wolności. Tymczasem, zanim rozbrzmiał marsz Mendelсона dla Danki i Pawła, Tomek zaczął drukować zaproszenia na ślub z Alicją Musiał. I okazało się wkrótce, iż rzeczywiście musiał, ponieważ Magdalenka przyszła na świat zanim u Danki i Pawła urodziła się Matylda – obecnie studentka ekonomii na Uniwersytecie śląskim w Katowicach. Paweł i Danka mają jeszcze syna Mikołaja – bardzo utalentowanego muzyka, który wybrał karierę inżyniera – akustyka na Politechnice Warszawskiej. Oboje, Matylda i Mikołaj wrodzili się w rodziców pod względem wzrostu. Paweł, podobnie jak jego mama oraz stryj Leonard, pięknie wymawia literę „r”. Bezskutecznie usiłowałem ich naśladować ale, żeby się takiego „r” nauczyć, to trzeba się urodzić i mieszkać na śląsku.

Gdy Iwonka miała 3 lata, pojechaliśmy razem do Łabęd, gdzie miała okazję poznać, młodszego od niej wujka Tomka, przebywającego pod opieką babci. Ciocia wprowadzie do pracy miała tylko przez korytarz, mieszkając przy aptece, ale babcia stanowiła ogromną wygodę umożliwiającą obojgu normalne obowiązki zawodowe. Gdy ciocia przyszła się z nami przywitać, Iwonka stała nieśmiało w kącie z paluszkami w buzi, a ciocia przypominała sobie, iż wyglądałem bardzo podobnie gdy pierwszy raz się zjawiłem w Łabędach w 1945 roku. Było to wrótce po tym, gdy Tomek rzucił sobie na główkę żelazko, co spowodowało pęknięcie kości czaszki. Gdy Iwonka pokonała pierwszą nieśmiałość, chciała się z Tomkiem pobawić, ale babcia nie puszczała go z kolan i razem tłumaczyliśmy Iwonce, iż Tomek nie może się z nią bawić bo ma pękniętą kość. Po powrocie do Warszawy, Iwonka wyjaśniła Joli, iż nie mogła się bawić z Tomkiem, gdyż miał on kość.

Danka i Paweł wzięli ślub tuż przed a Ala i Tomek tuż po, moim pierwszym przyjeździe do Wolnej Polski w 1991 roku. Niestety, nie mogłem sobie zaplanować inaczej urlopu, w związku z czym nie byłem na żadnym z nich. Imienniczka naszej babci, Magda po zrobieniu matury pracowała przez jakiś czas w Grecji a obecnie w Tilburgu w Holandii, w tamtejszym zakładzie Sony. Od października 2013 rozpoczęła studia zarządzania firma i zasobami ludzkimi w Chorzowie. Małżeństwo Ali i Tomka rozpadło się w 2006 roku, piękne mieszkanie, które razem urządzali, musieli sprzedać i kupić dwa oddzielne; Tomek w Gliwicach a Ala w Miasteczku śląskim – tym samym, do którego przybył nasz pra-pradziadek Mateusz Skowron ponad 150 lat temu uciekając z Rosji przy pomocy balii do prania. Podzielili się – o ile to właściwe określenie – dziećmi: Ala wzięła ich syna Igora a Magda została z Tomkiem. Igor uczęszcza do technikum weterynaryjnego a fryzurę nosi jak

członkowie gangów na Jamajce.

Dziadek „śląski” Paweł Skowron zmarł 11 lutego 1956 roku na zapalenie płuc, które się wywiązało po niewyleczonym przeziębieniu. Babcia „śląska” Magdalena Roter Skowron przeżyła męża o 18 lat i zmarła 21 października 1973 roku, po dwukrotnym wylewie. Pochowani są obok siebie na przykościelnym cmentarzu parafii św. Jerzego w Łabędach – Gliwicach.

Oprócz wyżej wymienionych Państwo Magdalena i Paweł Skowron mieli jeszcze troje dzieci: dwie dziewczynki Joannę ur. 26 września 1915 r, zmarłą w 1918 roku i Edeltraudt Magdalenę, ur. 9 listopada 1920 r. , zmarłą 15 sierpnia 1921, oraz syna Gerda Dietricha, ur. 19 września 1913r. w Piekarach śląskich - Szarleju, który był moim ojcem.

Według zgodnych opinii babci, dziadka i cioci Gerd był ze wszystkich najbardziej uzdolniony, najbardziej obiecujący i stawiano mu największe oczekiwania. W domu u dziadków stało pianino, na którym wszyscy grali – nawet ja się na nim nauczyłem wystukiwać znane melodie jednym palcem – ale zgodnie ze wszystkimi opiniami mój tata grał ze wszystkich najlepiej i coraz częściej z pamięci niż z nut. Komponował również własne utwory klasyczne – niestety nie zachowały się z tej twórczości żadne nuty. Posługiwał się biegle 8-ma językami, pisał wiersze po polsku i po grecku, a poza przymiotami umysłowymi był bardzo sprawny fizycznie: był najwyższy spośród braci i odznaczał się masywną budową ciała. W czasie manewrów wojskowych w szkole oficerów rezerwy własnoręcznie przeniósł ckm^[56] przez rzekę z zagrożonego terenu. Zachowały się zdjęcia mojego taty jednocześnie dźwigającego bez wysiłku moją mamę i jej koleżankę. Gerd Skowron po maturze zdał na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego,

56 Ckm – ciężki karabin maszynowy, ważący ok 100 kg.

które ukończył w 1936 roku. W podchorążówce – podobnie jak na studiach – miał same celujące oceny i dlatego bez trudu znalazł pracę w gazecie wydawanej przez Ministerstwo Obrony „Polska Zbrojna”. Była to gazeta propagująca podtrzymujące ducha w narodzie hasła jak: „jesteśmy silni – zwarci – gotowi”, „nie oddamy guzika od munduru”, itd. Zarabiał również na życie tłumaczeniami i korepetycjami. Zaprzyjaźnił się z attache Ambasady USA Joe Kożuchovsky’em, któremu był przewodnikiem po Warszawie, nauczycielem języka polskiego i przedstawiał go w towarzystwie, m.in. swemu starszemu bratu Egbertowi. W 1939 roku, gdy Amerykanie wiedzieli już, iż wojna z Niemcami jest nieunikniona, Joe powrócił do Stanów a przed wyjazdem proponował memu tacie, z którym się bardzo zaprzyjaźnili – by wyjechał wraz z nim:

- *Gerd, znasz doskonale angielski, jesteś wszechstronnie uzdolniony, wykształcony, ambitny, na pewno zrobisz w USA karierę, o jakiej tutaj tylko będziesz mógł pomarzyć. Wojna wszystko zniszczy, razem z tobą. Proszę cię, jedź ze mną, nie zmarnuj swojej szansy.*

- *Tu mieszkają moi rodzice, rodzeństwo, przyjaciele, tutaj się czuje u siebie a poza tym, gdy nadejdzie niebezpieczeństwo, Ojczyzna będzie mnie potrzebowała* – replikował.

- *Będąc wolny, w kraju niezagrożonym wojną, zrobisz dla Polski więcej, niż na miejscu, a po skończonej wojnie będziesz mógł wrócić* – przekonywał Joe.

Po wyjeździe Joe zmienił nawisko na bardziej wymawialne Doliva i utrzymywał z mym Ojcem korespondencję aż do końca. Po wojnie przez jakiś czas przysyłał nam paczki, korespondował z moją mamą a później już tylko ze stryjcem Egbertem, który w odróżnieniu od mojej mamy znał angielski. Zamieszkał w okolicach San Diego w Kalifornii a po moim przyjeździe do Stanów na-

wiązaliśmy kontakt telefoniczno – listowny. Joe zapomniał języka polskiego, który znał słabo a którym nie posługiwał się przez 50 lat, ale chwalił mój angielski twierdząc, iż wyrażam się językiem dobrze wyuczonym, literackim. Opowiadał mi dużo o moim ojcu, którego doskonale pamiętał, między innymi od niego właśnie dowiedziałem się, iż bezskutecznie namawiał ojca do wyjazdu z Polski.

- *Gerd was my very best friend, and I am happy to talk to his son* (Gerd był moim najlepszym przyjacielem, cieszę się, iż mogę rozmawiać z jego synem)– powiedział Joe, w trakcie jednej z pierwszych rozmów telefonicznych

Joe Doliva, który pod koniec życia zaczął stopniowo tracić wzrok, zmarł pod koniec ubiegłego stulecia, dożywając dziewięćdziesięciu kilku lat. Nie zdążyliśmy się poznać osobiście. Początkowo nie stać mnie było na podróż do dalekiej Kalifornii a później musiałem bardzo oszczędnie planować urlop.

Pewnego dnia, na imieninach u kolegi, gdzie wśród zaproszonych gości znajdował się również wspomniany attache Ambasady amerykańskiej, mój ojciec poznał atrakcyjną, ciemną blondynkę o niebieskich oczach, lekko zaciągającą kresowo-rosyjskim akcentem. Zostali sobie przedstawieni:

„Janeczka Żbikowska, Gerd Skowron”

- *My name is Gerd Skowron, please to meet you Miss Żbikowski* (Nazywam się Gerd Skowron – miło Cię poznać, panno Żbikowska)– uklonił się szarmancko wysoki, przystojny mężczyzna, którego „r”, oraz gęste, falujące włosy, które rozsypały się, podczas pocałunku w rękę, zaimponowały pięknej nieznanym.

- *Je suis Janina Żbikowska et je ne parle pas anglais, Monsieur Skowron* (Nazywam się Janina Żbikowska i nie znam angielskiego, panie Skowron) – dygnęła grzecznie moja przyszła mama.

- *Mademoiselle Jeanette, vous etes coquette* (Kokietka z pani, panno Janko) – odpowiedział wierszem po francusku przystojny nieznajomy.

Po bliższym zapoznaniu moj tata opowiedział mamie, na pytanie, skąd tak dobrze zna angielski – wówczas jeszcze niezbyt popularny w Polsce - iż urodził się w miasteczku Sharley, hrabstwo Sussex, w południowej Anglii. Ponieważ dobrze znał geografię Anglii a do tego biegle posługiwał się angielskim, obok niemieckiego i francuskiego, który dobrze znała mama – upłynęło trochę czasu, zanim się wydało, iż rzekomy Sharley czyli Szarlej stanowi dzielnicę Piekar Śląskich.

PO KĄDZIELI

Niestety, ze strony mamy, nie było tak wnikliwego kronikarza jak Stryj Egbert i jego syn Jędrrek – nie będę zatem w stanie przedstawić moich przodków ze strony mamy z taką dokładnością, jak to miało miejsce w rodzinie Skowronów i Roterów. Moja mama wiele razy tłumaczyła mi zawile koligacje rodzinne ale wówczas

mnie one nie interesowały. Gdy zacząłem się wreszcie interesować genealogią, mamie już nie dopisywała pamięć na tyle by stworzyć jakieś porządne drzewo. Zacznę w tej sytuacji od rodziny mojej mamy po kądzieli, bo ta gałąź nie sięga głęboko. Dziadek mojej mamy ze strony matki Feliks Bohdziewicz, obywatel ziemi wileńskiej, urodził się w roku 1858, jego przodkowie pieczętowali się herbem Starykoń, był dzierżwcą majątku na peryferiach miasteczka Olkieniki, położonego ok. 40 km na południowy zachód od Wilna oraz 10 km od stacji kolejowej o tej samej nazwie na trasie Warszawa – Wilno. Moj pradziadek ożenił się z Teklą – niestety nie znam nazwiska panieńskiego, z którą mieli jedną córkę, Helenę ur. 1 listopada 1888r. w Janczunach k/Ejszyszek (zmarła 30 sierpnia 1972 r. w Warszawie). Tekla zmarła gdy Helena była jeszcze dzieckiem a wdowiec ożenił się ponownie z kobietą, o której moja babcia nie wyrażała się inaczej niż „macocha”. Babcia opowiadała więcej historyjek z życia parobków niż z życia dworskiego. Szkołę ukończyła na poziomie czwartej klasy ale nie miała kłopotów ani z rachunkami, w których była bardzo skrupulatna ani z literaturą. Opowiadała mnie i siostrze bajki litewskie, zarówno zasłyszane od parobków, jak i przeczytane w książkach z miejscowej biblioteki. Wśród opowiadań babci znajdowały się m.in. bajki i ballady Adama Mickiewicza – bardzo w tamtych okolicach popularnego – m.in. Świeżianka, Pani Twardowska, Lilie, Chłop i Żmija a także niektóre spośród Sonetów Krymskich i Pana Tadeusza. Gdy w siódmej klasie zacząłem przerabiać utwory Mickiewicza w ramach lektury obowiązkowej, skojarzyłem sobie, iż większość z nich skądś znam. Moje uczestnictwo w VII klasie zbiegło się w czasie z Rokiem Mickiewiczowskim, proklamowanym z okazji 100 – lecia śmierci naszego Wieszczą, o którym sobie wreszcie przypominano. Marysia, dwa lata starsza ode mnie siostra, była jeszcze katowana „przodu-

jącą” literatura sowiecką a w obowiązkowej lekturze miała takich „klasyków” jak Mstisławskij, Polewoj, Katajew, Szołochow, Gorkij.

Babcia opowiadała nam również fragmenty Trylogii Henryka Sienkiewicza, która była drukowana w odcinkach w warszawskim „Słowie”, docierającym do Olkieników nieraz regularnie i z opóźnieniem. O swoim dzieciństwie i młodości mówiła raczej niewiele, przytaczając historie, które wydarzyły się w Olkienikach, Ejszyskach lub Gumnach. Babcia niechętnie wspominała dzieciństwo i młodość – widocznie najlepiej się jej nie wiodło w domu, którym rządziła niezbyt kochająca ją macocha. Sporo czasu spędzała w folwarku, gdzie uczyła się brzydkich zwrotów, którymi później gorszyła swą przybraną matkę.

- *Helciu, kochasz mnie?* – spytała kiedyś sześciolletnią Helenkę biorąc ją na kolana, pani Bohdziewiczowa.

- *Tak pani matko* – odpowiedziała i dodała zasłyszane w folwarku „pozdrowienie” - *żeby cie franca zjadła.*



Zdjęcie: Dziadek Jan Żbikowski II po wojnie rosyjsko-japońskiej. Wilno, Rok 1905 . foto A. Cinowiec

Z powodów, których nigdy nie poznałem, państwu Bohdziewiczom nie udało się wydać córki bogato za męża, a ona sama postanowiła wyjść za pierwszego mężczyznę, który jej się oświadczy. Okazał się nim, stacjonujący w Wilnie, a pochodzący z zubożałej szlachty mazowieckiej, oficer armii Jego Carskiej Mości, Jan Żbikowski II.

Ojciec Jana II – Jan Żbikowski I dzierżawił gospodarstwo w okolicach Mińska Mazowieckiego i miał, wraz z moją prababcią, której nazwiska panieńskiego nie udało mnie się ustalić, czworo dzieci: dwie córki Florentynę i Marię oraz dwóch synów: Adama i Jana II.

Florentyna Żbikowska wyszła za mąż za pana Ignacego Kurzelę, z którym miała syna Aleksandra oraz córki Apolonię i Kazimierę. Aleksander ożenił się z Wacławą – znaną mnie jako Ciocia Wacia a ze związku tego urodziło się dwóch synów Jacek i Wojtek oraz córka Maria. Niestety nikt z żyjących nie jest w stanie podać mi ich obecnych losów a pamiętam tylko Jacka, który jest ode mnie o kilka lat starszy i miał przyjemność udzielać korepetycji z matematyki mojej siostrze Marysi.

Apolonia Kurzela wyszła za Piotra Sadrena, z którym miała córkę Lucynę, następnie dwie biźniaczki Irenę i Stanisławę oraz syna Marka. Marek był z zawodu księgowym, zajmował wiele kierowniczych stanowisk, pracował m.in. jako prezes spółdzielni mieszkaniowej i miał w rodzinie opinię osoby wpływowej. Ciocię Florcię pamiętam, z mieszkania przy ul. Kawczej na Grochowie - gdzie mieszkała ze swą córką Ciocią Polą - jako starszą panią, która zapytała mnie kim chciałbym zostać, gdy dorosnę. Służyłem wówczas do Mszy św., bardzo szanowałem księdza Jana Durkę – opiekuna ministrantów, który mał świetny kontakt z młodzieżą i był dla mnie wzorem.

- *Księdzem* – odpowiedziałem bez wahania.

- *Księdzem?* - zdziwiła się sepleniąc bezzębnymi dźwiękami ciocia Florcia. – *będziesz chodził z tacą i mówił: - Panie Boże łap-cap, panie Boże łap-cap.*

Wcale mnie to nie rozśmieszyło; wprost przeciwnie, poprosiłem mamę, żeby mnie więcej nie zabierała do cioci Florci, bo się

naśmiewa z księży. Takiej potrzeby zreszta nie było bo ciocia Florcia była najpierw umieszczona w domu starców a wkrótce później zmarła. Jej córka, ciocia Pola odwiedzała nas czasami na Kaliskiej a po jej śmierci Lucyna, Irena i Stasia pokłóciły się o spadek. Sprawa trafiła do sądu a moja mama niepotrzebnie się wtrąciła, usiłując pogodzić zwaśnione strony, czym naraziła się każdej z nich. Od tamtej pory nic mnie nie jest wiadomo o losach Sadrenów i ich potomkach.

Kazimiera Kurzela (1902 – 1938), wyszła za Waleriana Zimińskiego (1897 – 1952), z którym mieli tylko jednego syna Macieja. Maćka po raz pierwszy poznałem u Cioci Florci, gdy był już wyrostkiem a ja miałem 6 lat, a drugi raz miałem okazję widzieć go tuż przed wyjazdem z Polski. Oczywiście, wraz z milionami telewidzów miałem okazję oglądać go podczas prowadzenia programu dla dzieci „Ekran z bratkiem”, który Iwonka uwielbiała. Maciek ożenił się z Joanną Płońską, z którą mają dwóch synów: Wojciecha i Bartłomieja. Joanna Płońska – Zimińska zmarła w 2012 roku a w rok później Maciek 7 października 2013. Wojtek poszedł w ślady ojca i również pracuje w telewizji, prowadząc program „Szkło kontaktowe”, który Iwonka też uwielbia. Wraz z żoną Joanną z domu Jaczewską mają córkę Julię. Bartek ma żonę Dorotę, z którą mają córkę Natalię.

Maria Żbikowska – siostra Florentyny, wyszła za mąż za Macieja świetlika, którego przodkowie byli Czechami o nazwisku Svetlik, a oryginalne nazwisko uległo spolszczeniu po osiedleniu w Polsce. Państwo świetlik mieli dwie córki Zofię i Irenę, oraz trzech synów Romana, Konrada i Ferdynanda.

Ciocie Zosię (ur. 1903, daty śmierci nie pamiętam) dobrze znałem bo często przychodziła do nas na Kaliską, prowadząc długie rozmowy z moją babcią. Będąc młodą dziewczyną zakochała

się we Franciszku Orzechowskim, który miał już narzeczoną, pannę Podgorzyn. Ta ostatnia widząc zagrożenie doprowadziła szybko Franciszka do ołtarza sugerując, że jest w ciąży, co się okazało nieprawdą. Ciocia Orzechowska również nas odwiedzała ale rzadziej niż Zosia i oczywiście w różnym czasie. Zapamiętałem ją z tego iż starszliwie przeklinała, dwa na trzy słowa, przez nią wypowiedane zaczynały się na literę „k” „p” lub „j”, np. Kurwa, dzień, pierdolony, dobry, kurwa jak się jebańce, macie.. itd. Państwo Orzechowscy mieli jedną córkę Alinę, o której whereabouts nic mnie nie wiadomo, poza tym iż wyszła za mąż za Henryka Związka. Małżeństwo ich trwało ponad 30 lat, podczas których niezmiennie zakochana we Franciszku Zosia nie wyszła za mąż. Po śmierci cioci Orzechowskiej, jak ja nazywałem, Ciocia Zosia wyszła za Franciszka, z którym żyli może niezbyt długo ale na pewno szczęśliwie.

Roman świetlik (1905-1997) był dwukrotnie żonaty. Pierwsza żona Janina zginęła w powstaniu warszawskim w 1944 roku, osierocając urodzoną w tym samym roku Teresę, o której losach nic mnie nie wiadomo. Ponownie ożenił się z Rosjanką Tamarą Gisicz (1924-2006) i zamieszkali w Bliżynie k/Kielc, gdzie Roman był dyrektorem jakiejś fabryki, aż do emerytury. Mają syna Grzegorza, który ma syna Macieja z żoną Krystyną.

Irena świetlik (1908-1992) była z zawodu nauczycielką, mieszkała w pobliżu, przy ul. Grójeckiej, tuż obok budynku, w którym mieścił się kiedyś Urząd Dzielnicy Warszawa-Ochota, i tego powodu często nas odwiedzała. Nigdy nie wyszła za mąż, żyła i zmarła samotnie. O jej śmierci zawiadomili policję sąsiedzi, gdy ciało zaczęło się już rozkładać. Okoliczności jej zgonu wpłynęły na decyzję mojej mamy wyjazdu do Stanów, której to decyzji wszystkie zainteresowane strony później pożałowały. Ciocię Irenę pamiętam jako osobę o surowych zasadach, lubiącą karcić

i pouczać biżnich, zgodnie z nauczycielskimi nawykami. Pamiętam również, iż doskonale posługiwała się językiem rosyjskim i czasami przepytывała mnie z wierszy, które musieliśmy w szkole wkuwać na pamięć częściej, niż polskie. W młodości Irena miała romans z Francuzem Jacques'em ale z jakiś powodów nie doszło do trwałego związku między nimi.

Konrad Świetlik^[57], podobnie jak jego starszy brat Roman,

57 Konrad Świetlik (ur. 15 września 1911 Kolebiatino/ Koliubiakino, gubernia moskiewska, zm. 4 września 1998 w Warszawie) – generał brygady WP, członek Komitetu Centralnego PZPR. Był synem robotnika emigranta z Warszawy. Powrócił do Warszawy w 1919, ukończył ogrodniczą szkołę zawodową i pracował jako ogrodnik. W 1933 odbył służbę wojskową w 35 pułku piechoty. W kampanii wrześniowej walczył jako szeregowy. Nie poszedł do niewoli niemieckiej i pracował na Białostocczyźnie w leśnictwie. Od 1931 członek KZMP, a od 1935 – KPP. Od 1941 przebywał w ZSRR. W 1941 był słuchaczem kursu NKWD w Gorkim. W 1943 wstąpił do 1 Dywizji Piechoty i został oficerem oświatowym 3 pułku piechoty. Uczestnik bitwy pod Lenino. W 1944 został zastępcą dowódcy 4 Zapasowego Pułku Piechoty do spraw polityczno-wychowawczych, później zastępcą dowódcy 1 Dywizji Piechoty w stopniu majora, a w lipcu tego roku szefem Zarządu Polityczno-Wychowawczego 1 Armii WP. Na tym stanowisku współpracował z płk Piotrem Jaroszewiczem, zastępcą dowódcy armii do spraw polityczno-wychowawczych.

Brał udział w walkach o wyzwolenie Pragi. W okresie od lipca do listopada 1945 był zastępcą dowódcy Wojsk Lotniczych do spraw polityczno-wychowawczych, a od grudnia 1945 do listopada 1946 szefem Głównego Zarządu Politycznego WP. Podpułkownik i pułkownik z 1945. 10 października 1945 na Walnym Zgromadzeniu Aeroklubu Rzeczypospolitej Polskiej wybrany został wiceprezesem Zarządu Tymczasowego. 14 grudnia 1945 awansowany na generała brygady ze starszeństwem z 1 stycznia 1946. W latach 1946–1948 był dowódcą Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, który toczył walki z podziemiem niepodległościowym. 31 sierpnia 1948 zaatakował Władysława Gomułkę za krytykę stosunku KPP do niepodległości Polski. W latach 1948–1959 był członkiem Komitetu Centralnego PZPR, a od 24 lutego 1949 także członkiem Komisji Bezpieczeństwa KC PZPR, nadzorującej aparat represji stalinowskich w Polsce. Od 1 sierpnia 1948 do 30 listopada 1954 był wiceministrem Bezpieczeństwa Publicznego. Później do 1958 wiceminister Spraw Wewnętrznych. Przeniesiony do rezerwy ukończył studia historyczne i ekonomikę rolnictwa i pracował w Komitecie Centralnym PZPR w dziedzinie rolnictwa. Od 1970 w stanie spoczynku. Mieszkał w Warszawie, gdzie zmarł w następstwie złamania szyjki kości udowej. Pochowany na Cmentarzu Powązkowskim. Był odznaczony m.in. Orderem Krzyża Grunwaldu II i III klasy, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Walecznych i Medalem „Za

również był dwukrotnie żonaty: z Heleną Kośmider, z którą miał syna Krzysztofa (brak danych) oraz z Franciszką – dzieci Elżbieta, po mężu Tkaczyk i Marcin – żonaty z Wandą – nazwiska panieńskiego nie znam.

Najmłodszy z rodziny Świetlików Ferdynand (1913-1999) ożenił się z Elżbietą Wodnicką (1917-1991), z którą mieli jedynego syna Andrzeja. Andrzej, obok Maćka Zimińskiego, dostarczył mnie najwięcej informacji o rodzinnych koneksjach świetlików, Zimińskich i Kurzeli.

Ferdynand, który zajmował wysokie stanowiska w administracji PRL, mieszkał kiedyś wraz z rodziną w willi przy ul. Gimnastycznej na Mokotowie, a w latach 60-tych ub. stulecia piastował m.in. funkcję przewodniczącego Dzielnicowej Rady Narodowej Warszawa-Mokotów (odpowiednik dzisiejszego burmistrza).

Andrzej po skończeniu szkoły podstawowej wstąpił do Korpusu Kadetów^[58], którego z powodów zdrowotnych nie ukończył, robiąc maturę w „zwykłym” ogólniaku. Ukończył Politechnikę Warszawską Wydział Mechaniczny i przepracował wiele lat w Urzędzie Dozoru Technicznego. Po przejściu na emeryturę brał często prace zlecone nadzorując remonty i instalacje wind osobowych. Andrzej ma wiele pasji, m.in. działka, krótkofalarstwo, kolekcjonowanie starych aparatów radiowych i fotograficznych. Ponieważ jest starszy ode mnie równo o 5 lat, to zawsze się wychwala przekroczeniem kolejnej bariery wiekowej o 5 lat przede mną.

udział w walkach w obronie władzy ludowej”.

58 W latach 1945–1956 działał Korpus Kadetów im. gen. Karola Świerczewskiego. Szkołą o charakterze korpusu kadetów było Liceum Lotnicze w Dęblinie kształcące na poziomie zawodowego liceum, z jednoczesnym przygotowaniem kandydatów na studia w WOSL. W programie była m.in. nauka pilotażu szybowców, meteorologia, skoki spadochronowe, szkolenie ogniowe. Wysocki poziom kształcenia zapewniali wykładowcy akademicki z WOSL. Szkoła funkcjonuje do dziś, zmniejszone zostały jednak programowe zajęcia typu wojskowego i lotniczego.

Andrzej Świetlik wchodził w związki małżeńskie dwukrotnie: z Wandą Ołdakowską, z którą ma syna Andrzeja Juniora, oraz z Krystyną Zdunik, z którą mieli syna Tomasza. Andrzej Jr. Ożenił się z Mariolą Pietrzak, z którą mają córkę Milenę. Ze związku Andrzeja z Krysią urodził się w roku 1977 Tomasz, który po studiach usamodzielniał się. Samotność, po odejściu Tomka tak im dokuczała, iż zdecydowali się na adopcję 10-letniego wówczas Przemysława Wojtkowskiego, pochodzącego z rozbitej rodziny, którego zabrali z obokórnego sierocińca. Tomek zmarł nagle na zawał serca w ieku lat 30 a Przemek niedawno poszedł „na swoje”. Krystyna Świetlik z d. Zdunik, ukończyła Szkołę Główną Planowania i Statystyki, która obecnie wróciła do przedwojowej nazwy Szkoła Główna Handlowa, zrobiła tam doktorat a następnie uzyskała tytuł profesora. Wykłada zarówno na SGPiS jak i w Instytucie Ekonomii Rolnictwa.

Pierwszy z synów Jana Żbikowskiego I, Adam ożenił się ze Stryjną Adamową. Nie udało mnie się dowiedzieć od babci za jej życia jak miała na imię i jakie miała nazwisko panieńskie. Stryj (dla mojej mamy oczywiście) Adam zmarł jeszcze przed wojną a Stryjna zaraz po. W każdym razie znam oboje tylko z opowiadań. Stryjostwo Adamostwo mieli dwie córki: Irenę i Apolonię oraz syna Stanisława. Irena Żbikowska mieszkała „Na Budach” jak się w żargonie warszawskim nazywały okolice ulicy Młynarskiej, wyszła za mąż za Jana Pawłowskiego, zarabiającego na życie malarstwem pokojowym. Przy okazji ciocia Irena była wartowniczką jakiegoś magazynu, położonego przy ul. Młynarskiej, gdzie miała służbowy pokój. Właściwe mieszkanie mieli przy ul. Dobosza. Syn Ireny i Jana Jakub jest kilka lat młodszy ode mnie i bawiliśmy się razem w podwórzu posesji, gdzie mieli służbowy pokój. Pewnego razu weszliśmy do kabiny stojącej na podwórzu ciężarówki i udawaliśmy na zmianę kierowców. Z uwagi na wzrost nie mogliśmy

siegnąć nogami do pedałów a poza tym, chyba nie było kluczyka w stacyjce i to był raczej jedyny powód, że nie rozwaliliśmy bramy i nie wyjechali na ul. Młynarską, po której jeździł wówczas tramwaj linii 22 bezpośrednio z Placu Narutowicza. Udało nam się jednak włączyć światła i uruchomić klakson, co przywołało Kubę ojca, który przerwał nam zabawę. Biedny Kuba dostał od taty paskiem po tyłku a mnie wujek Janek zagroził:

Jakbyś był moim synem to byś też oberwał.

Jan Pawłowski, który, jak na malarza przystało lubił zaglądać do kieliszka, zmarł w 1954 roku, przeżywszy zaledwie lat 40. Podobno przedawkował i udławił się własnymi wymiotami. Ciocia Irena przyjechała do nas osobiście z zawiadomieniem o tym tragicznym wydarzeniu. Otworzyłem jej drzwi i powiedziałem:

Dzień dobry, ciociu – na co odpowiedziała:

Niedobry dzień, bardzo niedobry. Mój mąż Janek umarł dzisiaj.

Byłem na pogrzebie i pamiętam, że Kuba miał na sobie marynarskie ubranko, typowe w tamtych czasach w modzie dziecięcej. Dzisiaj Kuba, który ukończył technikum fotograficzne ma zakład przy Pl. Wilsona na Żoliborzu a sam mieszka na osiedlu Dolinka Służewiecka. Po zbudowaniu metra – idealny dojazd do pracy.

Siostra Ireny Apolonia pozostała na gospodarce rodziców w Mrozach k/Mińska Mazowieckiego, a ściślej w Woli Rafałowskiej, położonej ok 3 km od Mrozów. Wyszła za mąż za Wacława Piecha, który poza uprawą ziemi miał również olejarnię i gręplarnię wełny. Dzierżawili przy okazji działkę Ireny, na której to działce miała domek letniskowy. Ciocia Pola nie była bynajmniej pedantką, w ich gospodarzenie nie było zbyt czysto i dlatego nie bardzo lubiłem jeździć nam na wakacje. Apolonia i Wacław Piech mieli czworo dzieci: Zbigniewa, Artura, Marię, Janinę (Niuńkę) i Stanisława.

Zbyszka poznałem gdy jeszcze służył w marynarce wojennej, u cioci Ireny na Dobosza, natomiast Artka, Maryskę i Staśka podczas letniska. Ze Zbyszkciem widziałem się ponownie gdy pojechaliliśmy do Mrozów po jabłka z ich pięknego sadu, na początku lat 70-tych ub. 100-lecia, Niuńka skończyła technikum kolejowe, Stasiak wstąpił do MO, Maryśka była kiedyś naczelnikiem poczty a o losach Artka nic nie wiem.

Syn Adama Żbikowskiego Stanisław ożenił się z Bronisławą Haran, z którą mieli jedną córkę Jolantę. Jola miała jakieś kłopoty ale o losach jej wiem niewiele. Wujek Stasiak był bardzo sympatycznym facetem, zawsze uśmiechnięty, sypiaczy kawalami, w przeciwieństwie do cioci Bronki, która była osobą skryta i mało mówną.

I tak doszliśmy do Jana Żbikowskiego II czyli mojego dziadka. W carskiej Rosji armię tworzone na zasadzie t.zw. branki. Branka, zainicjowana w 1863 roku przez Margrabiego Wielopolskiego doprowadziła do wybuchu powstania styczniowego a inną opisał Henryk Sienkiewicz w noweli „Szkice węglem”. W carskiej armii służba trwała 25 lat, po jej ukończeniu rezerwiści otrzymywali na własność mundur, szablę a zasłużeni kawałek pola. O wojskowych emeryturach w tym Imperium Zła nikt oczywiście nie słyszał. Dla uniknięcia branki można było a) wywołać powstanie, b) wysłać żonę do gminnego rachmistrza ustalającego liste poborowych, jak to miało miejsce w noweli Sienkiewicza, c) wstąpić ochotniczo do armii JCM i zawrzeć ograniczony czasowo kontrakt, z możliwością uzyskania stopnia oficerskiego. Mój dziadek wybrał wariant c. Po 8-miu latach w służbie armii cara Mikołaja II, wybuchła wojna rosyjsko-japońska^[59], na którą wysłano m.in. oficera Jana Żbikow-

59 Wojna rosyjsko-japońska – wojna pomiędzy Imperium Rosyjskim a Cesarstwem Japonii toczona w okresie od 8 lutego 1904 do 5 września 1905 na Dalekim Wschodzie, zakończona traktatem z Portsmouth i zwycięstwem Ja-

skiego II, na pokładzie transportowego okrętu floty bałtyckiej. Flota rosyjska – bałtycka i czarnomorska nie mogła przepłynąć przez Kanał Sueski – kontrolowany przez Anglików, trzymających stronę Japonii w konflikcie – a zatem została skierowana do Japonii po opłynięciu Afryki naokoło. Zanim flota dopłynęła do wybrzeży Japonii – wojna już zdążyła się zakończyć klęską Rosji. Droga powrotna zajęła tyle czasu, iż dziadek powrócił po upadku rewolucji 1905 roku. W 1910 roku Jan Żbikowski II poślubił młodszą od siebie o 11 lat pannę Helenę Bohdziewiczównę, z którą zamieszkali w Wilnie, gdzie dziadek stacjonował, aż do wybuchu I wojny światowej. W tym czasie przyszła na świat trójka ich dzieci: w 1911 Janina, która została później moją mamą, w 1913 Leon a w 1915 Jan III Żbikowski. Po wybuchu wojny dziadek został odkomenderowany na front a babcia z dziećmi była zmuszona ewakuować się do Symbirsk, gdzie zastała ich rewolucja bolszewicka. Uciekając przed bolszewikami, mordującymi bezlitośnie wszystkich członków polskich rodzin, babcia z dziećmi przeniosła się na daleką Syberię, aż za jezioro Bajkał między Czelabińskiem i Habarowskiem, gdzie przebywali na przymusowym zesłaniu aż do zakończenia wojny polsko-bolszewickiej. Babcia często mówiła, iż wywieźli ich ciortu na kuliczki (Diabłu za kołnierz)

Pierwszym językiem Leona i Jana III był rosyjski, w którym przezywali się wzajemnie:

Ljowka, oboszczana wierowka (Leon, obszczana wierowka. Nigdy nie dowiedziałem się co to znaczy słowo wierowka) – doku-

ponii, która dzięki temu awansowała do grona światowych potęg. Japońska armia o stosunkowo małym doświadczeniu bojowym uzyskała miażdżące zwycięstwo nad siłami Rosji, co było dużym zaskoczeniem dla wielu obserwatorów konfliktu. Poniżający szereg klęsk armii rosyjskiej w ogromnym stopniu przyczynił się do niezadowolenia społecznego w Rosji i był główną przyczyną rewolucji w 1905. Wojna była jednym z lokalnych konfliktów wybuchających przed I wojną światową.

czał bratu Janek a Leon mu odpowiadał:

Iwan – bałwan, tri goda kاتاśsia, w żopu zakатаśsia.(Iwan – bałwan, trzy lata się toczył, zatoczył się do dupy)

Pewnego razu Jan III miał przygodę, która wymagała zdjęcia majtek i obmycia pupy. Podczas tej czynności, dokonywanej przez moją babcię, Janek pochylił się głęboko i zawołał do brata przez rozchylone nogi:

Lońka, idi siuda, posmotri, kak mienja żopu mojut. (Leonku, podejdz i zobacz jak mi dupę myją) W tym momencie babcia sięgnęła garścią po wiązkę pokrzyw i przeciągnęła nią po wypiętej pupie Janka, który zaczął biegać po podwórzy z opuszczonymi majtkami krzycząc:

Ljudi spasajtie, maja żopa zagariela, maja żopa zagariela! (Ludzie ratunku, moja dupa się zapaliła)

Jan III Żbikowski bardzo późno zaczął mówić i był bardzo spokojnym chłopcem, mogącym godzinami siedzieć i obserwować bliźnich, podobnie jak później jego syn Jacek. Pierwsze jego słowa ponoć brzmiały:

Kuszat' dawajtie, ja gałodnyj, (Dawajcie jeść, jestem głodny) - które wypowiedział pełnym zdaniem.

Babcia często opowiadała o rozmaitych przygodach z pobytu na Syberii, śpiewała również rosyjskie ballady, jak „Stienka Razin”, „Bradiaga”, obok polskich, z których najczęściej pojawiały się „Pąki białych róż”. Niewykluczone, iż niezwykle trudne warunki życia jakie panowały na Syberii zahartowały całą rodzinę do tego stopnia, iż poradziły sobie w warunkach ewakuacji Warszawy po powstaniu, ucieczce z obozu a następnie budowania życia od nowa na gruzach. Do końca życia babcia żyła z wyrzutami sumienia. Pewnej zimowej rozległo się kołatanie do drzwi, podpartych kołkiem. Babcia nie otworzyła mimo błagalnego wołania mężczyzny

na zewnątrz, w trosce o bezpieczeństwo własne i dzieci. Rano, na progu znalazła zamarznietego na kość trupa. Wielokrotnie się z tego spowiadała ale sumienie dręczyło ją zawsze. Innym razem intuicja kazała jej wyrzucić z pociągu w śnieg trójkę dzieci po kolei a następnie wyskoczyła sama. W chwilę później pociąg się wykoleił.

Rosyjskie kawały, piosenki, przysłowia gościły w moim domu tak często, iż nie miałem w szkole żadnych problemów z nauką tego języka, a nauczyciele a później poznani Rosjanie chwalili mnie za otlicznioje udarienije (Doskonały accent).

Po zakończeniu działań I wojny światowej w Rosji, wciąż trwała wojna domowa między bolszewikami a armią generała Kołczaka, w szeregach której walczył mój dziadek. Gdy wojska białogwardyjskie zbliżyły się do granicy nowo powstałego Państwa Polskiego, Jan II Żbikowski wraz z całym szwadronem zdezerterował i przedostał się do Warszawy. Wkrótce rozpoczęła się wojna polsko-bolszewicka i dziadek ponownie ruszył na front, tym razem już bez epoletów ale za to w czapce z orzełkiem. Po zakończeniu wojny skontaktował się z żoną i sprowadził ją wraz z dziećmi do Warszawy, gdzie podjął pracę jako przodownik policji. Rodzina Żbikowskich zamieszkała przy ulicy Ogrodowej na Muranowie a dziadek pracował w komisariacie przy ul. Dzielnej. Po ukończeniu szkół podstawowych chłopcy poszli do państwowego gimnazjum natomiast Janina – czyli moja mama, do Żeńskiego Gimnazjum im. Królowej Jadwigi, mieszczącego się wówczas przy placu Trzech Krzyży. U „Królówki”, jak popularnie nazywano to renomowane gimnazjum, mama poznała kilka późniejszych osobistości, m.in. Ewę Praussówną, po mężu Płoską, matkę Zosi Romaszewskiej, która wraz z mężem Zbyszkciem – późniejszym Senatorem tworzyła podczas stanu wojennego Radio Solidarność. Ewę Otwinowską pisarkę i żonę pisarza Stefana, Halinę Grubert z d. Turobojską,

redaktorkę Expressu Wieczornego i jeszcze kilka innych, których nazwisk nie pamiętam. Tramwaje i bilety do kina były drogie jak na kieszonkowe gimnazystki, co zmuszało do dokonania wyboru, w rezultacie którego mama najczęściej chodziła do szkoły piechotą: do szkoły Ogrodową do placu Bankowego, Marszałkowską i Żurawią, Wspólną lub Hożą a wracała Nowym światem, na którym po południu można było oglądać wystawy a od wielkiego święta wpaść na pączki do Blikle'go, Krakowskim Przedmieściem do Królewskiej, przez Ogród Saski do Placu Bankowego.

Po zrobieniu matury mama studiowała psychologię na Uniwersytecie Warszawskim ale z powodów czysto ekonomicznych przerwała podejmując pracę początkowo w Banku Handlowym gdzie tłumaczyła francuskie dokumenty po skończeniu zaawansowanego kursu francuskiego (a po wojnie w instytucji noszącej wówczas nazwę Telefon Międzymiastowy, Telegraf i Radjotelegraf przy ul. Nowogrodzkiej 48. Napis z kamienia o oryginalnej nazwie mieści się do dzisiaj nad wejściem do tego budynku, gdzie później mieścił się Główny Urząd Telekomunikacji Międzymiastowej. Obsługiwała tam połączenia międzynarodowe z językiem francuskim)

Leon Żbikowski, starszy z synów Jana II, studiował Farmację na Akademii Medycznej i z tych samych powodów co siostra zrezygnował po dwóch latach i skończeniu podchorążówki. Był bardzo inteligentny, zaradny i miał głowę do interesów. Pracował jako akwizytor lekarstw zaopatrujących warszawskie i okoliczne apteki. Mimo niskiego wzrostu i drobnej postury, był bardzo sprawny fizycznie, uprawiał czynnie boks w wadze muszej. Doszedł kiedyś nawet do finału mistrzostw Warszawy, gdzie przegrał z późniejszym reprezentantem Polski Szapsem Rotholcem z klubu Makabi. Po zakończeniu czynnego uprawiania sportu był sędzią bokserkim. Od początku szkoły był harcerzem. Ożenił się

z czarnowłosą piękną farmaceutką, którą poznał podczas wizyt w aptece gdzie pracowała, Marią ścibor, zwana przez rodzinę Muszką. Leon wciąż był zabiegany za interesami a Muszka była bardzo o niego zazdrosna co zaowocowało późniejszą tragedią. Po wybuchu wojny został zmobilizowany do obrony cywilnej Warszawy a po klęsce wrześniowej przeszedł do cywila. Jego zdolności do handlu, interesu oraz umiejętności produkcji sacharyny i pędzenia bimbru zapewniały naszej rodzinie utrzymanie w czasie okupacji. Po utworzeniu harcerskich formacji Szarych Szeregów jako harcerz od czasów gimnazjum, wstąpił do nich a następnie jako oficer rezerwy zasilił szeregi działającego w konspiracji początkowo Związku walki Zbrojnej przemianowanej na Armię Krajową. Wiedzieli o tym w całej rodzinie tylko on i Gerd – mój ojciec, również oficer AK.

Po utworzeniu getta na terenie dzielnicy Muranów, komisarjat dziadka został przeniesiony na ulice Elektoralną a dziadek wraz z rodziną zmuszony był przeprowadzić się na ulice Wronią 68 w mieszkaniu na trzecim piętrze z balkonem. Pewnego dnia, wkrótce przed wybuchem powstania, rodzina Skowronów czyli mama, Marysia – zwana przez tate Mika i ja, zawitała w mieszkaniu dziadków na Wroniej. Bedąc ciekawy świata wspiałem się na balustradę i usiłowałem przedostać na drugą stronę. Tylko błyskawicznemu refleksowi wujka Leona, byłego boksera zawdzięczam, iż jeszcze mogę pisać te wspomnienia. Leon złapał mnie za nogi w mostatniej chwili a następnie podobno przyłał mi klapsa dla lepszego zapamiętania. W książce Władysława Smólskiego „Za to groziła śmierć” wydanej nakładem PAX-u w 1981 r. na stronie 136 znajduje się następujący ustęp w rozdziale zatytułowanym: TAJEMNICA „WRONIEJ” SZOPY:

„....Stara, prowizorycznie wyremontowana szopa przy ulicy

Wroniej 68, w sąsiedztwie getta. Zamarł ruch: pusto i smutno. Ale nocą, ciemną, bezksiężycową nocą od czasu do czasu wysuwa się z niej jakaś postać, rozgląda się, po czym szybko ginie w mroku. Szopa jest własnością Leona Żbikowskiego, który hoduje tam króliki. Ale czy tylko do tego celu służy ta przylegająca do getta rudera?

Nie tylko do tego. Leon Żbikowski, harcerz (pseudonim konspiracyjny „Wrzos”), zrobił w murze dziurę. W ten sposób powstało jeszcze jedno wyjście z getta. Ojcem Leona jest Jan Żbikowski, przodownik policji (oficer rezerwy). Wraz z synem zorganizowali ratunek dla uciekających Żydów. Dzielnicowy Żbikowski służbowo strzeże w dzień jednej z bram getta. Raczej symbolicznie jednak, gdyż bramy strzegą niemieccy żandarmi. Tędy nie wyjdzie nikt żywy.

Ale są inne wyjścia. Podczas, gdy dzielnicowy Żbikowski nawiązywał kontakty z mieszkańcami getta, jego syn kupił bezużyteczną szopę i sam wykonał dyskretną pracę wykucia i zamaskowania połączenia z gettem.

Taki jest powód tajemniczego ruchu koło „wroniej szopy” i wysuwających się z niej postaci, które wsiadają w ciemną noc. Dzielnicowy Żbikowski pełni nocą swą drugą służbę – służbę skazanym na śmierć Żydom.

Co dzień, a właściwie co noc wydostaje się w ten sposób kilka, a czasem nawet – zwłaszcza w okresie powstania – kilkanaście osób. Spieszą do zamówionych przez panów Żbikowskich lokali swoich „aryjskich” znajomych i przyjaciół. Cóż, że przy tym narażają życie, jeszcze bardziej naraża je dzielnicowy Żbikowski. W nocy, wraz z synem wypuszcza z getta Żydów, w dzień ułatwia spotkania w Sądach na Lesznie, zanoszący lekarstwa... a wszystko to czyni bezinteresownie...”

Długo zastanawiałem się czy napisać fragment rzutuający nieprzyjemnie na jednego (a ściślej jedną) z członków mojej rodziny ale doszedłem do wniosku, iż lukrowanie faktów prawdy nie przysłoni. Dziadek Żbikowski przeszedł na emeryturę w roku 1943, po upadku powstania w getcie warszawskim, gdzie jego rola w umożliwianiu ucieczki setkom Żydów dobiegła końca. Zakończyła również działalność „wronia szopa” po zniszczeniu przez Niemców getta i wywiezieniu pozostałych przy życiu mieszkańców. Tymczasem działalność konspiracyjna podchorążego AK Leona Żbikowskiego bynajmniej nie była skończona. Wprost przeciwnie; im bardziej front przesunął się w kierunku Warszawy tym pilniejsza była potrzeba przejęcia władzy przez Polaków w stolicy. Na nasilające się represje wobec ludności cywilnej należało odpowiedzieć tak, by niemieccy oprawcy czuli się jak w oblężonym mieście, nie znając dnia ani godziny. Od skutecznego zamachu na Kutscherę ustały uliczne łapanki i publiczne egzekucje.

Leon Żbikowski aktywnie działał w konspiracji, znikając na wiele godzin w dzień i w nocy, często na kilka dni. Po powrocie Muszka – jego żona, która zostawała w domu sama z córką Elżbietą, robiła mu sceny zazdrości. Aż do wybuchu Powstania w sierpniu 1944, dziadek – mimo przejścia na emeryturę, pracował na pół etatu wykonując przez kilka godzin w tygodniu robotę papierkową na komisariacie.

Pewnego ranka, dyżurny oficer zameldował:

Panie przodowniku, był telefon z Aleji Szucha, że ma pan się pilnie zgłosić na Gestapo.

Z duszą na ramieniu dziadek wsiadł na służbowy rower i pojechał do siedziby Gestapo, znajdującej się przy Alei Szucha. Po wejściu do wskazanego pokoju zastał znanego mu służbowo oficera Gestapo.

- *Niech pan siada Herr Żbikowski* – powiedział gestapowiec, wyciągnął z szuflady jakiś papierek i podsuwając mu dodał: - niech pan przeczyta.

Był to anonimowy donos na jego syna Leona, wyrażający przypuszczenie, iż pewnie działa w konspiracji, ponieważ znika po nocach. Zarówno styl jak i źle udawany charakter pisma nie pozostawiały żadnych wątpliwości: to było pismo jego synowej Muszki! Dziadek zamarł ze zgrozy i spojrzał pytająco na gestapowca, który powiedział:

- *Znam pana i lubię, Herr Żbikowski ale ja mam służbę i muszę ten donos przekazać wyżej. Po przekazaniu zrobimy nakaz aresztowania, ale nie zrobię tego dzisiaj, verstanden?*

- *Jawohl, herr Lemke, Danke schon* - odpowiedział dziadek i szybko wyszedł.

Oczywiście natychmiast zawiadomił Leona, który szybko spakował się a wychodząc powiedział do Muszki:

- *Nie chcę cię więcej widzieć po tym co zrobiłaś. Masz się wynosić i nie obchodzi mnie gdzie. Jak się to wszystko skończy to odszukam Elżunię i ci ją zabiorę, a teraz wynocha!*

Ponieważ jej teść stał obok męża i tylko zaoferował pomoc w wezwaniu dorożki, nie miała innego wyjścia tylko z płaczem zabrała się i wyjechała do rodziców, zamieszkałych w Szymanowie.

Gdy dowiedziała się o śmierci Leona, popełniła samobójstwo, osierocając kompletnie 3-letnią Elżunię, która przez kilka lat wychowywała się razem z nami.

Sierżant podchorąży Leon Żbikowski – Wrzos, walczył w powstaniu warszawskim w batalionie AK Żywiciel (ppłk. Mieczysław Niedzielski), zgrupowanie Żaglowiec (kpt. Marian Kamiński), pod bezpośrednim dowództwem ppor. Topora (Władysław Jasiński). Kilkanaście lat po powstaniu odwiedził moją babcię major

Jasiński-Topór, (do stopnia majora awansował uczestnicząc w partyzantce po zakończeniu powstania. Po wyjściu z lasu nie ujawnił się, przez co uniknął uwięzienia i być może nawet kary śmierci, zrehabilitowany po 1956 roku) który opowiadał jej jak wielkim bohaterstwem i poświęceniem odznaczał się w walce jej syn, który ponadto był w plutonie niezwykle lubiany za swą zaradność i poczucie humoru. M.in. opowiedział, iż pewnego wieczoru zgłosił się do niego sierżant podch. Wrzos z propozycją:

- Panie poruczniku, słyszałem, że jutro są pana urodziny. Ja załatwię mięso a pan niech zorganizuje flaszkę, trzeba się czegoś napić z tej okazji, co nie?

Ppor. Topór pogadał z sanitariuszkami i przyszedł w miejsce, w którym piekło się na rożnie mięso królika - z butelką spirytusu. Uczta się udała, wszystkim bardzo smakowało a dowódca pochwalił sprytnego podchorążego za zdobycie mięsa w tak trudnych warunkach. Na drugi dzień ponownie natknął się na sierżanta podchor. Wrzosa, który zapytał:

- No i jak panie poruczniku, czekał pan?

- Dlaczego niby miałem czekać? - zdziwił się Topór.

- Bośmy wczoraj wtrząchnęli psa, którego zarekwirowałem i zlikwidowałem w imię Wolnej Polski.

- To był człowiek, na którego nie można się było gniewać - wyjaśnił babci major Jasiński - zwłaszcza, że głód wszystkim się dawał we znaki.

Major Jasiński opowiedział również o okolicznościach śmierci bohaterskiego sierżanta podchorążego Wrzosa, które mniej więcej pokrywają się z opisem zamieszczonym w książce Władysława Podlewskiego RAPSODIA ŻOLIBORSKA, gdzie w wydarzeniach z dnia 13 września 1944 r. czytamy:

„....Dopiero po wyparciu oddziałów powstańczych z Mary-

montu na Dolny Żoliborz pluton został poważnie zagrożony. Dla wzmocnienia tego ważnego odcinka obrony kpt. Żagłowiec, dowódca zgrupowania, przydziela z plutonu ppor. Żytomirskiego ciężki karabin maszynowy pod dowództwem sierż. Strusia (Jerzy Strzelecki). Obsługa zajmuje stanowiska na ulicy Krasińskiego. Stanowiska plutonu i okoliczne domy znajdują się pod nieustannym ostrzałem granatników i moździerz, mających stanowiska pod wałami Cytadeli. Ulica Kaniowska jest odcięta od Żoliborza bezpośrednim ogniem cekaemów z Cytadeli; jedynym bezpiecznym przejściem jest wykop pod jezdnią. Nie wykorzystał go sierż. pchor. Wrzos (Leon Żbikowski) i gdy przebiegał przez ulicę, dosięgła go śmiertelna kula cekaemu...”

W chwili śmierci wujek Leon Żbikowski liczył sobie 31 lat. Po ekshumacji został pochowany wraz z ojcem, Janem Żbikowskim II na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w kwaterze A27. Później major Jasiński przysłał babci list, w którym zawiadamiał o złożeniu wniosku o nadanie pośmiertne Leonowi Żbikowskiemu – Wrzoso-
wi Krzyża Powstańczego i Krzyża Walecznych. Babcia wielokrotnie czytała ten list zanosząc się za każdym razem od płaczu. Ja również go czytałem i zapamiętałem fragment, który musiał wzruszyć każdego: „... gorący patriota i bohaterski żołnierz Leon Żbikowski – Wrzos złożył na ołtarzu Ojczyzny największą ofiarę – swe młode życie...”. Tymczasem zarówno babcia jak i major Jasiński zmarli zanim wniosek został rozpatrzony. W Muzeum Powstania Warszawskiego przy ul. Przyokopowej, na tablicy, upamiętniającej nazwiska poległych, w kolumnie 70 pod pozycją 124 wyryte jest:

sierż. pchor. LEON ŻBIKOWSKI „Wrzos”

Elżbieta Żbikowska, nazywana przez nas Elżunią, początkowo mieszkała z nami na Kaliskiej a później z babcią i Gieńkiem – młodszym bratem Muszki, w Szymanowie. Po maturze poszła

pracować w Urzędzie Pocztowym, a po przepracowaniu kilkunastu lat w różnych urzędach uzyskała awans na naczelnika UP na Pradze. Wyszła za mąż za Jana Szymczaka, z którym miała tylko jednego syna Sławomira. Sławek ożenił się z Violetą Mazurek, z którą mają jak dotąd tylko jedną córkę Martę. Mieszkają w Błoniu k/Warszawy, gdzie Sławek prowadzi business komputerowy. Jan Szymczak – długoletni pracownik Państwowej Mennicy, zmarł nagle na zawał, kilka miesięcy po śmierci Joli w 2003 roku. Elżunia mieszka samotnie przy Placu Hallera na Pradze.

Dziadek, który był oficerem armii carskiej, przodownikiem granatowej policji, zginął na początku powstania śmiercią cywila. Z uwagi na toczące się zaciekle walki na Woli, mieszkańcy kamienicy przy ul. Wroniej, wraz z moją babcią, dziadkiem, mamą, Marysią i mną, schronili się w piwnicy. Gdy przez kilkanaście minut nie było słychać żadnych strzałów ani wybuchów, zgromadzeni w piwnicy zaczęli szukać ochotnika, by wyszedł na zewnątrz i zobaczył co się dzieje. Zgłosił się mój dziadek, który dość długo nie wracał a w międzyczasie dały się słyszeć pojedyncze wystrzały. Wysłano następnego ochotnika, którego po powrocie babcia i mamy wypytywały czy nie widział dziadka. Zapytany odpowiedział, iż w pobliżu bramy leży ciało młodego człowieka z widoczną raną klatki piersiowej. Gdy strzelanina wreszcie ustała, zgromadzeni w piwnicy zaczęli się rozchodzić do mieszkań, okazało się, iż młody człowiek przed bramą to był mój 66-letni wówczas dziadek, który miał otwarte usta i widać było, iż miał wszystkie zęby. Miało to miejsce 7 sierpnia 1944 roku, ciało dziadka zdążono pochować w podwórzu a następnego dnia Niemcy zaczęli wypędzać mieszkańców Woli w kierunku Dworca Zachodniego.

Jan III Żbikowski, ur. 7 listopada 1914 roku w Wilnie ukończył przed wojną pomaturalną szkołę ogrodniczą ale z jakiś

powodów nie pracował w zawodzie. Wstąpił ochotniczo do wojska, gdzie został przydzielony do żandarmerii wojskowej w Grudziądzu a w 1936 r. otrzymał awans na kaprała. Zmobilizowany 1.09.1939r., brał udział w kampanii wrześniowej w 21 pułku piechoty w obronie Warszawy. 25.09.1939 dostał się do niewoli. Więzień obozów jenieckich przez blisko 5,5 roku. Najpierw Oflag II B, a po przegrupowaniu podchorążych Stalag VI G - Bonn. Trzykrotnie uciekał z niewoli. Podczas jednej z tych ucieczek, walczył w Resistance (L'Armes Blanche) z najeźdźcą hitlerowskim. Po wyzwoleniu Francji w 1944 roku Jan III Żbikowski wstąpił do US Army, z którą brał udział w wyzwolaniu Paryża. Po wojnie wrócił do Warszawy i przez krótki okres czasu mieszkał z nami na Kaliskiej. Pamiętam jak przywiózł mleko skondensowane, gumy do żucia oraz elementy amerykańskiego umundurowania. Ukończył Szkołę Główną Służby Zagranicznej przy Akademii nauk Politycznych. Ożenił się z Marią Rozą w 1948 roku i po ślubie państwo młodzi zamieszkali na poddaszu willi rodziców Marii przy ul. Komorskiej na Grochowie. Parter był zajęty przez rodziców Marii, ich starszej, zamężnej córki Ireny i również żonatego brata Stanisława. Willa miała własną studnię a wodę do zbiornika pompowało się ręcznie pompą podobną do używanych w latach 40-ch i 50-tych na stacjach benzynowych. Podczas przyjęcia weselnego zwiedzałem ogródek i przypadkowo odkreśliłem zawór zasilający wąż ogrodowy, co w konsekwencji doprowadziło do opróżnienia zbiornika. Pani Roza, obdarzona nieznośnym, ochrypłym głosem wymyślała mi od łobuzów, przez których Stasiek musiał pompować wodę zamiast bawic się na weselu siostry.

W 1949 roku państwu Marii i Janowi III Żbikowskim urodził się syn Stanisław – nazwany przez rodziców Kubuś , który zmarł wkrótce po porodzie. Rok później wujek Janek przyszedł do nas

oznajmując tryumfująco:

Kubuś jest!

„Kubuś” w rzeczywistości ma na imie Jacek i był niezwykle spokojnym dzieckiem, gdy rodzice często zostawiali go u nas a sami mieli wieczorowe zajęcia w szkole. Później Jacek zostawał u nas na kilka lub nawet kilkanaście dni a mnie przypadało w udziale zapewnienie mu rozrywek i rekreacji. Jacek skończył Technikum Elektryczne i przepracował większość czasu w Elektromontażu. Ożenił się trzykrotnie; z pierwszą żoną Elżbietą ma syna Krystiana i córkę Marlenę. Krystian również jest ojcem 16-letniego już Patryka. Z Ewą i kolejną Elżbietą nie ma dzieci.

Kolejny Kubuś ma na imie Krzysztof, skończył szkołę zawodowa mechaniczną, przepracował ponad 20 lat w ZREMB a po rozwiązaniu tej firmy wyjechał do Irlandii, gdzie pracuje po dzień dzisiejszy w hrabstwie Cork. Krzysiek ożenił się z Wandą Powaga, z którą mają jedyną, jak dotąd córkę Małgorzatę. Małgosia skończyła pedagogikę i pracuje w przedszkolu. Wyszła za oficera pożarnictwa Jakuba Jakubca, z którym mają syna Wojtkę.

Jan III Żbikowski zmarł nagle w Krynicy na rozległy zawał serca w 1988 roku.

MIECZ I KĄDZIEL

Moi rodzice pobrali się w 1937 roku i początkowo zamieszkali u Taty przy ul. Raszyńskiej 8. Następnie nabyli na spłaty dużą kawalerkę w nowo założonej spółdzielni mieszkaniowej „Budowisko” przy ul. Kaliskiej 17 na III-cim piętrze. Mój ojciec pracował, jak już wspominałem, jako dziennikarz „Polski Zbrojnej” gdzie doszedł w roku 1939 do stanowiska Z-cy naczelnego. Po ojcu odziedziczyłem charakter pisma, trudny do odczytania bez ingerencji farmaceuty. Wszystkie artykuły i wstępniaki Gerd pisał na maszynie, ale to chyba było redakcyjne wymaganie bez względu na czytelność odręcznego pisma. Po wybuchu II wojny światowej na czołowej stronie Polski Zbrojnej, aż do kapitulacji ukazywały się artykuły wstępne napisane przez mego Ojca a podpisywane RON. 17 września 1939 roku ukazał się artykuł zatytułowany NÓŻ W PLECY, komentujący agresję sowiecką, realizującą postanowienia tajnego protokołu paktu Ribbentrop-Mołotow. Mama przez jakiś czas przetrzymywała egzemplarze Polski Zbrojnej z września 1939 roku a później przekazała je do Biblioteki Narodowej. Po upadku Warszawy przyjął nowe zajęcie szklarza, na których było ogromne zapotrzebowanie po licznych bombardowaniach. Później dostał pracę na zlecenie w sądzie w Siedlcach jako tłumacz, dokąd dojeżdżał, przywożąc z powrotem prowiant. Podobnie jak jego szwagier Leon, dość wcześnie zaangażował się w konspiracji, początkowo w Służbie Zwycięstwu Polski a następnie w Armii Krajowej. Obaj z Leonem bardzo się lubili i uzupełniali; niektórzy nazywali ich Flip i Flap. Gerd liczył sobie ok. 190 cm wzrostu i był atletycznej postawy a Leon to były bokser wagi muszej, z górnym limitem 51 kg.

11 lutego 1940 roku Państwu Janinie i Gerdowi Skowron narodziła się córka Maria Eleonora, nazywana przez tatę Mika. Rodzicami chrzestnymi byli: przyjaciel taty, były attache Ambasady USA w Warszawie Joe Kozuchovsky – Doliva, przebywający już w tym czasie w Stanach, oraz przyjaciółka mamy z „Królówki” Ewa Otwinowska, zamieszkała w Krakowie. Imię Maria siostra przyniosła sobie z urodzeniem, gdyż 2 lutego – przypuszczalna data narodzin – w kalendarzu wypadało Marii, a Eleonora na cześć siostry, którą tata bardzo kochał. Mój tata był zakochany w swej pierworodnej, obiecywał sobie, że jak podrośnie to będzie z nią chodził na bale.

Niecały rok później u Leona przyszła również na świat córka, której dano na imię Elżbieta – do tej pory nazywania Elżunią. Oczywiście Gerd bardzo chciał przedłużenia nazwiska Skowron na następne pokolenia i jak każdy mężczyzna marzył o synu. Marzenie to spełniło się niespodziewanie 2 stycznia 1942 roku, kiedy mama podczas wizyty w łazience zdała sobie sprawę, że nie taki był cel jej wizyty w tym przybytku. W domu był tylko ojciec, który musiał sobie poradzić nie tylko z przyjęciem porodu, wrzeszczącą w niebogłoty i wyklinającą żoną ale również z przecięciem pępowiny. Wszystko udało się nadspodziewanie dobrze, jak można sobie wyobrazić czytając niniejsze wspomnienia. J

Szczęśliwy tata natychmiast pobiegł na pocztę, skąd wysłał do rodziców depezę, zawierającą tylko dwa słowa: HEUTE SOHN (dzisiaj syn). Bardzo chciał by imię jego syna spełniało dwa warunki: 1. Było nietypowe 2. Miało śląskie korzenie. Nie tylko mój tata miał problemy z przekonaniem wszystkich, że ja nie jestem ani Bolek ani Bolesław tylko Bolko. Nie zliczę ile razy różni ludzie usiłowali mnie przekonać, iż wiedzą lepiej ode mnie jak mam na imię, ponieważ „takiego imienia nie ma”. Pierwszy problem zaczął się w Kościele parafialnym pw. Św. Jakuba przy pl. Narutowicza,

gdzie ksiądz również chciał mnie ochrzcić Bolesław twierdząc, iż takiego świętego nie ma.

- *Jak to, nie ma?* – oburzył się mój ojciec. – *Przecież właśnie go przyniosłem!*

Ksiądz – a był nim wieloletni proboszcz, późniejszy infułat Stanisław Mystkowski – popatrzył na mnie i chyba nie za bardzo dał się przekonać do mojej świętości skoro odparł:

- *Ale przynajmniej drugie imię musi być po uznanym świętym.*

I tak otrzymałem na drugie imię Jerzy, a inicjałami BJ (wym. bidżej) posługuję się na Południu USA, gdzie prostota wymowy imion jest szeroko przestrzegana. (np. Bo, Sue, Al, lub inicjały pierwszego i drugiego imienia są tu bardzo popularne).

Rodzicami chrzestnymi byli: starszy brat Gerda Egbert, który siedział w tym czasie w Oświęcimiu oraz niedawno poślubiona żona przyjaciela Rodziców Juliusza – Wanda Ossowska, piękna pół-Węgierka, z domu Wasilewska. Wybór Egberta na Ojca Chrzestnego podyktowany był wiarą ojca w ocalenie brata z tego strasznego miejsca kaźni milionów, któremu Opatrzność nie pozwoli zginąć zanim nie obejrzy swego chrześniaka. I nie pomylił się. Juliusz Ossowski również walczył w powstaniu, był nawet odznaczony za wyniesienie rannego spod obstrzału, po kapitulacji dostał się do niewoli i przepadł bez wieści.

Mój tata, podobnie jak jego szwagier Leon, często znikał, wyjeżdżając jakoby służbowo do Siedlec, ale późniejsze jego losy sugerują, iż jako oficer rezerwy zajmował się szkoleniem żołnierzy i przygotowywaniem ich do walki zbrojnej. 1 sierpnia 1944 roku przyszedł do domu w niemieckim hełmie z białą-czerwoną opaską i gwiazdką, z białą-czerwoną opaską na rękawie marynarki, przez pierś miał przewieszony automatyczny pistolet zwany w konspi-

racyjnym żargonie rozpylaczem. Mama zamarła z przerażenia a ojciec powiedział:

- Przyszedłem się pożegnać, nie wiem kiedy i czy wrócę. Nie pytaj o nic, taka jest konieczność. Za chwilę wybuchnie Powstanie i byłoby lepiej, żebyś była razem z rodzicami. Spakuj się, na dole czeka dorożka.

- Czyś ty zwariował?! – wykrzyknęła moja matka – Przecież ty masz żonę i dzieci. Co się z nami stanie?

Gerd mówił niewiele, uściskał Mikę i mnie, pomógł mamie znieść walizkę i dzieci do dorożki, po czym zniknął z naszego życia na zawsze. Mama opowiadała nam wielokrotnie ten fragment a ja zobaczyłem ich oboje w scenie pożegnania Maji Ostaszewskiej z Arturem Żmijewskim w filmie „Katyń” Andrzeja Wajdy. To chyba właśnie tak musiało wyglądać i trudno sobie wyobrazić ile takich scen wydarzyło się w tamtym okresie?

O uczestnictwie ojca w Powstaniu wiem niewiele, poza tym, co jest napisane w Powstańczych Biogramach:

Armia Krajowa - Grupa „Północ” - zgrupowanie (odcinek) „Sosna” - przydział nieznany.

W innej książce Adama Borkiewicza „Powstanie Warszawskie”, na str.153, pod datą 6 sierpnia 1944 r. znajduje się wzmianka:

„...Okolo godz. 7:30 rozpoczęło się niemieckie natarcie wzdłuż Ogrodowej, Chłodnej i Krochmalnej. Najsilniejszy napór szedł na barykadę przy skrzyżowaniu Chłodnej z Wronią...”

(Przypominam, iż w tych okolicach przebywalismy w piwnicy z babcią, dziadkiem, mamą, Miką i innymi lokatorami domu przy ul. Wroniej, gdzie dwa dni później zginął dziadek)

„...Ranni tam zostali kolejno dowódcy por. Lis i por. Konar. Dowództwo tego odcinka objął por. Ostoja, obsadzając barykadę

na skrzyżowaniu Chłodnej z Żelazną plutonem por. Wilczka z kompanii „Iskra”. Ppor. Dębosławski, gdy otrzymał rozkaz odwrotu, z częścią kompanii ruszył do przeciwnatarcia. Po desperatach wszelki słuch zaginał..” Relacja kpt. Osoi-Gajdowskiego.

W każdym razie udało mu się przedrzeć do Starówki, którą Niemcy usiłowali odizolować od reszty miasta, opanowanego przez powstańców.

Jedna z wersji śmierci podporucznika Gerda Skowrona pseudonimy Janusz i Dębosławski, w którą przez wiele lat wierzyła mama, mówiła o tym, iż będąc ciężko ranny dostał się do polowego szpitala przy ul. Miodowej 23, który po przejęciu przez Niemców został spalony wraz z personelem i pacjentami. Wersja zamieszczona w Powstańczych Biogramach w Muzeum Powstania Warszawskiego podaje w rubryce Miejsce śmierci: „poległ na Miodowej 23”. Przed samym wyjazdem do Stanów spotkałem się z moją Chrzestną Wandą Ossowską u mamy na Kaliskiej, która wyposażyła mnie na drogę banknotem 100-dolarowym a przy okazji wspominała ostatnie chwile, gdy widziała mego ojca. Mieszkała wówczas przy ulicy Senatorskiej róg Miodowej, w jednym z nielicznych ocalałych jeszcze domów.

Tuz przed upadkiem Starówki przyszedł do nas Twój Ojciec, był ranny, bardzo wyczerpany i poprosił o wodę – opowiadała moja Chrzestna.

- *Z wodą u nas krucho, zbieramy deszczówkę* – odpowiedziałam – *a po co ci woda?*

- *Chcę się ogolić* – powiedział twój ojciec – *bo idę na spotkanie z Panem Bogiem.*

Po ogoleniu i pożegnaniu się z nami pokuśtykał Miodową w kierunku placu Krasińskiego, gdzie najprawdopodobniej wszedł do kanału, którym powstańcy ewakuowali się do Śródmieścia – do-

kończyła Wanda Ossowska.

Nie była w stanie określić daty tego spotkania. Powstańcze Biogramy Instytutu im. Stefana Starzyńskiego podają datę śmierci taty 28 sierpnia 1944, i to by się mniej więcej zgadzało z przebiegiem walk na Starówce. W każdym razie Wanda Ossowska była ostatnią osobą spośród znajomych, która widziała go żywego. W roku 1946 po zamieszczeniu wezwania do osobistego stawiennictwa w prasie, Sąd Grodzki dla m.st. Warszawy uznał Gerda Dietricha Skowrona za zmarłego. W Muzeum Powstania Warszawskiego przy ul. Karolkowej, na tablicy, upamiętniającej nazwiska poległych, w kolumnie 56 pod pozycją 67 wyryte jest:

Gerd Skowron „Janusz Dębosławski”

Po śmierci dziadka, mama z babcią, Miką i ze mną, ubrane w futra i dźwigające wyłącznie niezbędne rzeczy dołączyły do gigantycznej kolumny mieszkańców Woli wypędzanych ze stolicy w kierunku Dworca Zachodniego a stamtąd do Pruszkowa. W artykule „Zbrodnie niemieckie w powstaniu warszawskim” czytamy:

„Podczas narady, która odbyła się wieczorem 1 sierpnia 1944 lub następnego dnia rano, Hitler wydał Himmlerowi oraz szefowi sztabu generalnego Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych (OKH), generałowi Heinzowi Guderianowi, ustny rozkaz zrównania Warszawy z ziemią i wymordowania wszystkich jej mieszkańców. Zgodnie z relacją SS-Obergruppenführera Ericha von dem Bach-Zelewskiego, którego mianowano dowódcą sił wyznaczonych do stłumienia powstania, rozkaz brzmiał następująco: „każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców. Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy”[4]. Z kolei szef sztabu von dem Bacha, SS-Brigadeführer Ernst Rode, zeznał po wojnie, że SS-Oberführer Oskar Dirlewanger – dowódca jednej z jedno-

stek skierowanych walki z powstaniem – otrzymał od Himmlera napisany odręcznie ołówkiem rozkaz, w którym Reichsführer-SS zapowiadał mu w imieniu Hitlera, że Warszawa zostanie zrównana z ziemią, a sam Dirlewanger jest upoważniony „zabijać kogo zechce, według swego upodobania.

Masowa i systematyczna rzeź ludności Woli rozpoczęła się na pełną skalę w dniu 5 sierpnia 1944. Dzień ten przeszedł do historii jako „czarna sobota”. Od godziny 7:00 rano oddziały Reinefartha i Dirlewangera szturmowały polskie barykady na ulicach Wolskiej i Górczewskiej, których bronili żołnierze AK i AL[30]. Jednocześnie w świeżo opanowanych kwartałach Woli – podobnie zresztą jak w tych rejonach dzielnicy, które od pierwszych godzin powstania znajdowały się pod kontrolą Niemców – żołnierze „sił odsiecz” masowo mordowali polską ludność cywilną. Wypełniając literalnie rozkaz Hitlera, zabijano bez względu na wiek i płeć każdego schwytanego Polaka.

Początkowo ludność Woli mordowano w sposób chaotyczny i bezładny – w mieszkaniach, w piwnicach, na podwórzach kamienic, na ulicach. Szereg domów podpalono, a uciekającą w panice ludność wybijano ogniem broni maszynowej . W ten sposób zginęły m.in. tysiące mieszkańców tzw. domów Hankiewicza przy ul. Wolskiej 105/109 (ok. 2000 ofiar) oraz domów Wawelberga przy ul. Górczewskiej 15 (ok. 2000–3000 ofiar) . W niektórych miejscach ludność stłaczano na podwórzach bądź w piwnicach kamienic, po czym mordowano za pomocą granatów . Dochodziło do aktów wyjątkowego bestialstwa – m.in. wrzucania żywcem małych dzieci wraz z matkami do płonących budynków . W prawosławnym sierocińcu przy ul. Wolskiej 149 SS-mani z brygady Dirlewangera zamordowali kilkadziesiąt dzieci, rozbijając im głowy kolbami karabinowymi (zginął wówczas także proboszcz prawosławnej pa-

rafii św. Jana Klimaka, archimandryta Teofan, oraz inni duchowni, chórzyści i mieszkańcy parafialnego domu przy ul. Wolskiej) . Ludobójstwu na Woli towarzyszyły gwałty na kobietach oraz masowa grabież . Cywilów, których nie zamordowano od razu, pędzono w charakterze „żywych tarcz” na powstańcze barykady.

5 sierpnia w godzinach popołudniowych na stanowisku dowodzenia Reinefartha pojawił się przybyły z Sopotu SS-Obergruppenführer Erich von dem Bach-Zelewski, który przejął dowodzenie nad siłami wyznaczonymi do stłumienia powstania. Podczas wieczornej odprawy zwrócił on uwagę swoich oficerów na panujące wśród niemieckiego wojska „wielkie zamieszanie i bezhołowie”. Jeszcze tego samego wieczoru von dem Bach doprowadził – zapewne za wiedzą i zgodą nazistowskich przywódców – do złagodzenia eksterminacyjnego rozkazu Hitlera. Zakazał mianowicie mordowania kobiet i dzieci, utrzymując jednak w mocy rozkaz likwidacji wszystkich polskich mężczyzn oraz ujętych powstańców[60]. W swoim dzienniku von dem Bach zapisał tego dnia: „uratowałem życie tysiącom kobiet i dzieci, choć to byli Polacy”

W rzeczywistości decyzja von dem Bacha nie wynikała z pobudek humanitarnych, lecz z pragmatycznej kalkulacji. Bach szybko zorientował się bowiem, że zbiorowe mordy wzmagają tylko wolę oporu Polaków, a zajęci mordowaniem, gwałtami i grabieżą żołnierze „sił odsieczy” nie są w stanie prowadzić działań ofensywnych przeciw powstańcom . Ponadto od samego początku zamierzał stłumić powstanie za pomocą kombinacji czynników natury politycznej i militarnej, gdyż obawiał się, że zastosowanie rozwiązań czysto siłowych uniemożliwi mu osiągnięcie tego, co uważał za swój podstawowy cel – tzn. szybkiej likwidacji niebezpiecznego punktu zapalnego na tyłach frontu wschodniego, którym stała się ogarnięta powstaniem Warszawa.

Na mocy rozkazu von dem Bacha polskie kobiety i dzieci miały być odtąd kierowane do obozu przejściowego, który zorganizowano na terenie nieczynnych Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w podwarszawskim Pruszkowie (tzw. Durchgangslager 121). Pierwszy transport wypędzonych warszawiaków dotarł do obozu w dniu 7 sierpnia. Znalazło się w nim około 5000 ocalałych z rzezi mieszkańców Woli, których najpierw zgromadzono w zamienionym na punkt zborny kościele św. Wojciecha przy ul. Wolskiej 76, a następnie pieszo pognano do Pruszkowa⁶⁰.

Czytając powyższe doszedłem do wniosku, iż śmierć dziadka, w pewnym sensie uratowała nam życie. Opóźnienie ewakuacji związane z koniecznością pogrzebu wiązało się w czasie z przybyciem do Warszawy Von dem Bacha, który od 8 sierpnia zalecił wstrzymanie masowych egzekucji ludności cywilnej Woli, kierując wypędzonych do Pruszkowa⁶⁰.

Tysiące ludzi zgromadzonych w halach zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego w Pruszkowie oczekiwało na niezany

60 Ustalenie dokładnej liczby ofiar ludobójstwa dokonanego na Woli nie było możliwe ze względu na spalenie większości zwłok przez Niemców oraz niewielką liczbę ocalałych świadków, którzy mogliby wskazać nazwiska zamordowanych (w trakcie rzezi ginęły bezimiennie całe rodziny). Antoni Przygoński oceniał, że liczba ofiar wyniosła ponad 65 000, z czego 59 400 miało zginąć w dniach 5–7 sierpnia. Zdaniem Adama Borkiewicza, Władysława Bartoszewskiego oraz Krzysztofa Dunina-Wąsowicza w trakcie rzezi Woli zamordowano około 38 000 Polaków. Joanna K. M. Hanson oceniała, że liczba ofiar oscylowała między 30 000 a 40 000, podczas gdy Maria Turlejska, Marek Getter i Andrzej Janowski szacowali ją na co najmniej 20 000. Z kolei zdaniem zachodnioniemieckiego historyka Hansa von Krannhalsa w trakcie rzezi Woli zamordowano jedynie ok. 15 000 polskich cywilów^[91].

Eksterminacja ludności Woli dokonana przez oddziały Reinefartha i Dirlewangera była bezpośrednim następstwem oraz wykonaniem rozkazów Hitlera i Himmlera, nakazujących zburzenie Warszawy i wymordowanie wszystkich jej mieszkańców. Szymon Datner określił rzeź Woli jako „jedną z najkrwawszych kart w dziejach martyrologii narodu polskiego”. Norman Davies uznał natomiast 5 i 6 sierpnia 1944 za „dwa najczarniejsze dni w historii Warszawy

dalszy los. Niemcy również nie byli jeszcze przygotowani do dalszych akcji a zatem zabezpieczenie terenu tymczasowego obozu było bardziej niż prowizoryczne. Ludzie masowo uciekali przez 2,5-metrowy mur okalający teren ZNTK, na co nie mogły sobie pozwolić mama i babcia, obarczone ponadto dwójką dzieci w wieku 2 i 4 lata. Babcia spytała wprost jednej z sanitariuszek Czerwonego Krzyża w jaki sposób można się stąd wydostać. Po pewnym czasie sanitariuszka powróciła z wiadomością, iż wartownicy nas przepuszczą za 1 litr spirytusu. Mama zdjęła z palca obrączkę ślubną i poprosiła sanitariuszkę o dokonanie zamiany na spirytus. Transakcja została dokonana i opuściliśmy obóz w Pruszkowie udając się w kierunku Brwinowa.

Podobno całą drogę aż do Brwinowa dzielnie pokonałem na piechotę. Po noclegu w przydrożnym rowie udaliśmy się w dalszą drogę do Grodziska Mazowieckiego, gdzie znaleźliśmy schronienie u dalekich krewnych, niejakich Państwa Truszkowskich. Stamtąd czekała nas kolejna podróż, tym razem już koleją do wioski Mokra Prawa w pobliżu Skierniewic, do znajomych państwa Truszkowskich. Późną jesienią udaliśmy się w długą podróż do Krakowa, gdzie zatrzymaliśmy się u przyjaciela ojca Juliusza Hanasiewicza. Gdy zimą 1945 roku Armia Czerwona zbliżała się do Krakowa, liczne bombardowania i ostrzał artyleryjski powybiły szyby w oknach. Dla zabezpieczenia przed zimnem mama zdjęła z podłogi perski dywan, którym zasłoniła pozbawione szyb okna. Wywołało to bardzo negatywną reakcję gospodarza, którą mama długo wspominała. Po wycofaniu się Niemców z Krakowa mama wyszła na miasto w poszukiwaniu czegoś do jedzenia i akurat trafiła na scenę rozbijania sklepu przez krasnoarmiejców. Jeden z nich po wyjściu ze sklepu dźwigał ogromny, żółty ser szwajcarski a po zauważeniu mojej mamy i złapaniu jej wygłodniałego spojrzenia,

wyciągnął zdobycz w jej kierunku, mówiąc tylko jedno słowo:

Na.

Podobno starczyło nam tego sera na kilka dni.

Do Warszawy powróciliśmy w marcu 1945 roku (w dowodzie osobistym miałem wpisane zameldowanie od 16 marca 1945). Podobno Julek Hanasiewicz (zmarł w 1989 roku) i Ewa Otwinowska – żona pisarza Stefana (1910-1976) - namawiali mamę do pozostania w Krakowie i urzędzenia się tam ale obie z babcią odmówiły tłumacząc się koniecznością dokonania exhumacji i godnego pochowania dziadka i Leona a mama wciąż wierzyła, iż jej mąż się odnajdzie. Nie było również jeszcze wieści od wujka Janka, przebywającego we Francji. Wracaliśmy do Warszawy pociągiem towarowym w pierwszym wagonie za odwrotnie ustawioną lokomotywą. Początkowo bałem się, iż parowóz pojedzie w naszym kierunku i zmiążdży nasz wagon z uszkodzoną przednią ścianą. Od tamtej pory zawsze miałem szacunek dla parowozów a kolejnictwo znalazło się na czele moich zainteresowań.

Z domu przy ul. Wroniej, gdzie przed powstaniem mieszkali dziadkowie, niewiele zostało, nie mówiąc już o poprzednim mieszkaniu przy ul. Ogrodowej, które wraz z całym obszarem getta było zrównane z ziemią. Mieszkanie w budynku przy ul. Kaliskiej 17, w którym mieszkaliśmy przed powstaniem było spalone i nie nadawało się do zamieszkania. Na pierwszym piętrze, w tym samym pionie podobne mieszkanie było wprawdzie słabo umeblowane ale za to miało szyby. Drzwi wejściowe były w samym środku podziurawione pociskami, którymi Rosjanie z brygady Bronisława Kamińskiego^[61] zastrzelili poprzedniego lokatora. Dziurę tą zakrył pan

61 4 sierpnia 1944 r. o godzinie 10 na Ochotę wkroczyły siły SS RONA pod dowództwem płk. Bronisława Kamińskiego. Sztab RONA, dowodzący łącznie 1700 żołnierzami, ulokował się w budynku Wolnej Wszechnicy Polskiej na ul. Opaczewskiej 2a (dzisiaj ul. Banacha 2), a jeden batalion RONA w budynku Liceum im. Hugona Kołłątaja przy ul. Grójeckiej 93, z zadaniem zwalczania

Mańko – ówczesny dozorca – kawałkiem dykty, która przetrwała ponad 25 lat. Pan Mańko znalazł również dla mnie i zaadoptował do użytku, 3-kołowy rowerek na obręczach i z drewnianym siodelkiem, na którym doskonalilem swoje przyszłe zainteresowania. Ze spalonego mieszkania na trzecim piętrze udało się mamie i babci wygrzebać trochę garnków, talerzy, album fotograficzny, który dziwnym trafem ocalał, stojącą lampę, która później stanowiła kość niezgody między mamą a stryjem Egbertem, żelazko z duszą. Zanim stać nas było na materace, spaliliśmy na siennikach, czyli wypchanych słomą (jak sama nazwa wskazuje) płóciennych workach. Kuchnię zastępowała t.zw. koza, czyli żelazny piecyk z fajerkami połączony metalową rurą z ogromnym, kaflowym piecem, za oświetlenie służyła karbidówka. Po wodę chodziliśmy do studni przy ul. Sękocińskiej a na obiady czasami do Caritasu zlo-

powstańczej Reduty Kaliskiej.

Początkowo oddziały RONA miały realizować rozkazy zwalczania tylko sił powstańczych, zgodnie jednak z wcześniejszym rozkazem Himmlera z 1 sierpnia 1944 roku, już 4 sierpnia oddziały z RONA rozpoczęły serię gwałtów, rabunków i morderstw na ludności cywilnej z ul. Opaczewskiej. Luźne grupy RONA wpadały do mieszkań, wyrzucając lokatorów, strzelając do starców lub ociągających się z opuszczeniem lokalu. Morderstwa na cywilach były połączone z rabunkami mienia, niszczeniem i podpaleniami budynków[3] – większość budynków ul. Opaczewskiej w tym dniu spłonęła. W dniach 4–5 sierpnia 1944 r. ludzi mordowano także w pobliskich ogródkach działkowych, a do piwnic okolicznych domów, w których ukrywali się ludzie, wrzucano granaty.

Masowych mordów RONA oraz oddziały niemieckie dopuściły się, pacyfikując w dniach 4–5 sierpnia okolice ul. Grójeckiej. Zginęli wówczas m.in. lokatorzy domów: Grójecka 20B (160 ofiar), Grójecka 24 (około 40 ofiar), Grójecka 62 i Grójecka 81 (kilkanaście ofiar). Zabijano głównie młodych mężczyzn podejrzewanych o udział w powstaniu. Około 70 mieszkańców domu przy ul. Grójeckiej 104 zabito, wrzucając granaty do piwnicy, w której się ukrywali.

Należy mieć na uwadze, że według badań oddziałom RONA można przypisać ogółem w toku powstania około 700 mordów, często natomiast kolaboracyjne formacje na służbie niemieckiej były w relacjach utożsamiane i nawzajem mylone (RONA była praktycznie czysto rosyjska, bez Ukraińców i innych wschodnich narodowości)

(RONA – Rosyjska Wyzwoleńcza Armia Ludowa (ros. Русская освободительная народная армия) – kolaboracyjna formacja zbrojna złożona z Rosjan podczas II wojny światowej.)

kalizowanego przy kościele św. Jakuba. Powrót Stryja Egberta, który szybko stanął na nogi dzięki przedwojennym i oświęcimskim znajomościom - bardzo nas wspomógł. Matka Muszki tragicznie zmarłej żony Leona - pani ściborowa, przywiozła do nas Elżunię, gdyż miała na utrzymaniu młodszego syna Gieńka, który był wówczas jeszcze wyrostkiem. Stryj Egbert w tej sytuacji zawiózł mnie do Łabęd do dziadka i babci śląskich – jak ich nazywaliśmy w odróżnieniu od babci Warszawskiej. W Łabędach czułem się dobrze, bo nie było tam takiej biedy a ponadto byliśmy z Marysią traktowani jednakowo, podczas gdy babcia warszawska wyraźnie faworyzowała Marysie i Elżunię. Na parterze, tuż pod nami mieszkało młode małżeństwo ze służącą (może członkiem rodziny) państwo Borowscy. Pana Tadeusza pamiętam ubranego latem w szorty, z gęstą, czarną czupryną, chodzącego szybkimi krokami i krótko odpowiadającego na nasze „dzień dobry”, którym pozdrawialiśmy wszystkich, przechodzących przez podwórze lokatorów. Tak byliśmy wychowani i nauczeni. Mama mówiła, że jest bardzo zaangażowanym komunistą ale wówczas jeszcze nie wiedziała jak bardzo. Latem 1951 roku, będąc w Łabędach na wakacjach otrzymałem od mamy list, w którym donosiła m.in.: „pod nami pan Borowski otruł się gazem, podobno zapomniał, że wstawił wodę na herbatę. Woda wykipiała i zagasiła płomień”. Późniejsza wersja mówiła, iż popełnił samobójstwo. Po latach dowiedziałem się, iż Tadeusz Borowski był bardzo obiecującym, młodym poetą, o bogatym zyciorysie mimo młodego wieku.

„Zadebiutował tomikiem Gdziekolwiek ziemia, wykonanym własnoręcznie techniką powielaczową w 1942 r. W wykonaniu tomiku pomagał mu przyjaciel Piotr Słonimski. W 1943 Borowski został aresztowany w „kotle” i uwięziony na Pawiaku. Potem został wywieziony do niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz.

Otrzymał numer obozowy 119198. Kontynuował tam twórczość literacką, pisząc m.in. wiersze, piosenki i kolędy, a także listy do narzeczonej Marii, która również znajdowała się w oświęcimskim obozie. Obozowa rzeczywistość została opisana w opowiadaniu U nas, w Auschwitzu..., którego podstawą były wspomniane już listy do Marii Rundo. W sierpniu 1944 roku przewieziono go wraz z innymi więźniami do Natzweiler-Dautmergen, a potem do Dachau. 1 maja 1945 r. więźniowie zostali wyzwoleni przez armię amerykańską. Lecz nie był to koniec męki Borowskiego, gdyż został przeniesiony do obozu dla dipisów, w którym pozostawał do września 1945.

Po wojnie przebywał w Monachium. W maju 1946 roku wrócił do kraju. Współpracował z wieloma pismami. Był w awangardzie młodych bezkompromisowych twórców (był zaliczany do grupy „Pryszczatych”), wychwalających nowy ustrój. Brał udział w Kongresie w Obronie Pokoju we Wrocławiu w 1948 r., jako wicedyrektor biura prasowego i redaktor gazety kongresowej. Cztery lata po powrocie do Polski, jego twórczość zaowocowała Państwową Nagrodą Artystyczną.

W 1948 wstąpił do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (PZPR). W okresie od czerwca 1949 do marca 1950 przebywał w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie. Oficjalnie jako referent kulturalny, nieoficjalnie jako współpracownik wywiadu wojskowego.

26 czerwca urodziła mu się córka Małgorzata. Jeszcze 1 lipca Borowski odwiedził żonę w szpitalu. Dzień później trafił z objawami zatrucia do szpitala. Był w stanie zamroczenia gazem i środkami nasennymi. Zmarł 3 lipca 1951, przeżywszy zaledwie 29 lat. Przyczyną śmierci było najprawdopodobniej samobójstwo. W spekulacjach na temat przyczyn tego kroku wymienia się z jednej strony rozczarowanie komunizmem i depresję z powodu własnej

roli w jego propagowaniu, a z drugiej strony nieszczęśliwy romans, w który się uwikłał właśnie, gdy rodziło mu się dziecko. Śmierć Borowskiego była wstrząsem dla współczesnych mu ludzi pióra, porównywanym do samobójstwa Majakowskiego 21 lat wcześniej. Legenda uczyniła z niego pierwszą ofiarę własnej komunistycznej przeszłości..”

Na marginesie przypomniała mnie się odpowiedź Radia Erywań na dwa pytania zadane przez słuchacza:

1. Czy to prawda, że Włodzimierz Majakowski popełnił samobójstwo?

2. Jakie były jego ostatnie słowa?

Odpowiedź na pierwsze pytanie: prawda, na drugie: „towariszci, nie strielajtie”.

Życiorys Tadeusza Borowskiego wykorzystał Andrzej Wajda w filmie „Krajobraz po bitwie”, w którym w roli poety wystąpił Daniel Olbrychski.

Dzisiaj nad bramą domu, w którym przyszedłem na świat widnieje tablica o treści:

W tym domu mieszkał i tworzył

W latach 1947 – 1951

Tadeusz Borowski

(1922 – 1951)

Poeta i prozaik

Twórca m.in. zbiorów opowiadań

„Pożegnanie z Marią” i „kamienny świat”

Po śmierci Tadeusza Borowskiego jego żona z dzieckiem wyprowadziła się a mieszkanie zostało zasiedlone przez pp. Włodarkiewicz z dwójką dzieci Wandą i Jurkiem. Jurek był bardzo chudy, miał cienkie nogi i Marysia – moja siostra nazywała go „Sarenka”. Ksywa się przyjęła i po modyfikacji wszyscy już na niego mówili

„Sarna”.

W 1950 roku lokatorzy ufundowali kapliczkę Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, która do tej pory stoi na środku podwórza w samym centrum trawnika. W rogu podwórza było ogrodzone murem pomieszczenie, gdzie stały pojemniki na śmiecie oraz trzepak, służący nam dzieciakom jako ulubione miejsce zabaw. Nie pamiętam już czy pierwszy dozorca pan Mańko przeszedł na emeryturę, czy mu się zmarło, w każdym razie nowym dozorcą został pan Bieńko, który zamieszkał w podwórzu wraz z żoną i trójką dzieci: Ryśkiem – rok starszym od Marysi, Jasią – rok młodszą i Staśkiem 3 lata młodszym ode mnie. Później przyszli jeszcze na świat Andrzej i Zdzisiek, Bieńkowie pochodzili z Jagodnego na Podlasiu, skąd wygnała ich chęć lepszego życia w Warszawie. Pani Bieńkowa była niezwykle pracowita osobą; oprócz normalnych obowiązków, czyli zamykania klatek schodowych, robiła lokatorom pranie w pralni usytuowanej tuż obok ich mieszkania wraz z maglem, sprzątała mieszkania na indywidualne zamówienia. Pan Bieńko w ciągu dnia pracował na budowie a po południ zamykał podwórce, ładował węgiel do piwnicy, dbał o trawnik i mini-ogródek. Dla zasłonięcia niezbyt reprezentacyjnego muru śmietnika zasadził dwie małe wówczas topole, które natychmiast uznaliśmy jako słupki do bramki. Pan Bieńko miał zupełnie inne zdanie i skutecznie wyperswadował nam grę w tym miejscu gdzie można było wybić szybę lokatorom i przenieśliśmy się na puste wówczas pole, gdzie obecnie biegnie ul. Białobrzeska, łącząca się z ul. Niemcewicza.

Nasz dom usytuowany był na rogu Kaliskiej i Sękocińskiej i z obu stron początkowo nie przylegał doń żaden budynek. Wzdłuż Kaliskiej po naszej stronie ciągnęły się ogródki z inspektami aż do ul. Niemcewicza, po której z hałasem toczyła się kolejka EKD. Na przeciwko, obok budynku Kaliska 18, straszyły niewykończo-

ne fundamenty narożnego domu, którego budowę rozpoczęto tuż przed wybuchem powstania. Podczas opadów zbierała się tam woda, w której kumkały latem żabki. Zaletą pustego miejsca na rogu ulic Słupeckiej i Kaliskiej był fakt, iż do południa mieliśmy w domu słońce, a po zbudowaniu domu Kaliska 16 w latach 50-tych przywilej ten nam odebrano. Wkrótce jednak zostały zbudowane dwa 4-piętrowe domy przy ul. Sękocińskiej i jeden przy ul. Kaliskiej, noszący numer 19/21.

W pierwszym domu, przylegającym do naszego, a noszącym adres Sękocińska 4 albo 6, mieszkali na parterze Państwo Morawscy. Pani Morawska była siostrą pisarza Melchiora Wańkowicza a jej dzieci chodziły z nami do szkoły. Najstarsza Dorota była ode mnie starsza chyba o 4 lata, Klara - o rok, a Elżbieta zwana Beta była moją rówieśnicą i chodziliśmy do tej samej klasy. Odwiedzając Betę w sprawach szkolnych poznałem jedynaka Państwa Morawskich - Janka, o 2 lata młodszego ode mnie i zostaliśmy kolegami. Gdy Janek był w 2-giej klasie, został po szkole zwabiony do Parku przy ul. Dantyszka przez trzech kolegów z klasy i tam pobity na śmierć. Młodociani zabójcy zostali oddani pod nadzór kuratora ponieważ wiek nie kwalifikował ich do domu wychowawczego.

Następny budynek wzdłuż ul. Sękocińskiej powstał rok później i stał się rezydencją pracowników Ambasady Czechosłowacji. Przed budynek ten zajeżdżały często Tatry o dziwnym kształcie z silnikiem z tyłu. W każdym razie Tatra była autem wysokiej klasy i niewiele ich jeździło wówczas po mieście. Dzieci pracowników chodziły przez jakiś czas z nami do szkoły ale po kilku miesiącach albo utworzono dla nich specjalną szkołę albo uczyli się w budynku ambasady. Kolejny budynek przy ul. Sękocińskiej stał się siedziba Wojskowej Komendy Rejonowej Warszawa-Ochota. W domu pod numerem Kaliska 19/21 mieszkali między innymi państwo Nawa-

ra. Z moją rówieśnicą Elżbietą chodziłem do tej samej klasy a po kilkudziesięciu latach odnaleźliśmy się ponownie na portalu Nasza Klasa. Elżunia przyjaźniła się z moją siostrą Marysią a razem opiekowały się jej młodszym o 14 lat od nas bratem Wojtkiem. Wojtek obecnie mieszka w Holandii, gdzie się ożenił z Holenderką, z którą ma trójkę dorosłych już dzieci. Podczas częstych wizyt w Polsce pomaga siostrze w sprawach komputerowych. Od momentu postawienia budynku Kaliska 19/21 nasze mieszkanie, którego zewnętrzna ściana zię z nim łączyła – optrzymało dobrą izolację, szczególnie cenna w okresie zimy. Zanim powstał Szpital Chirurgii Urazowej przy ul. Barskiej, bawiliśmy się na znajdujących się w tym miejscu gruzach, które zima służyły nam jako zjeżdżalnia na desce. Snowboarding nie był jeszcze w Polsce zbyt popularny. W 1952 roku Kazimierz Koźniewski napisał socrealistyczna powieść „Piątka z ulicy Barskiej”, której akcja umiejscowiona była w dobrze mi znanych okolicach. Niestety z treści wynikało, iż autor nigdy nie pofatygował się w te okolice podczas pisania tej książki - tak wiele lokalizacyjnych nieścisłości zawierała.

Jedną z poważniejszych inwestycji końca lat 40-tych ubiegłego stulecia była budowa hali handlowej przy zbiegu ulic Węgierskiej, Białobrzeskiej i Kopińskiej. Przedtem w tym miejscu zlokalizowane były stajnie perszeronów, wykorzystywanych do wożenia węgla na ogromnych, kilkutonowych platformach. Hala ta funkcjonuje po dzień dzisiejszy.

Mając w domu dwie starsze siostry rozwijałem się umysłowo wraz z nimi i w zasadzie byłem gotów pójść do szkoły razem z nimi. Czytać umiałem w wieku lat pięciu – potrafiłem również pisać drukowanymi literami. To znaczy tak mnie się wówczas wydawało. W każdym razie rozpoczęliśmy naukę w pierwszej klasie we troje: Marysia, Elżunia i ja w Szkole Ogólnokształcącej Stopnia Podsta-

wowego Nr. 16 przy ul. Raszyńskiej 22, róg Niemcewicza. „Sześćnastka” ulokowana była na pierwszym piętrze, na drugim szkoła nr. 13 a na trzecim 97. Szkoła nr. 16 w roku 1954 została przeniesiona do nowego budynku przy ul. Radomskiej a konieczność rozbudowy szkół miała ścisły związek z wejściem w okres szkolny pierwszych roczników powojennego wyżu demograficznego. Na miejscu przez rok pozostały szkoły 13-ka i 97-ma, która przeniosła się do nowego budynku na rogu ulic Spiskiej i Grójeckiej. Po kilku miesiącach i prawdopodobnie po wizycie u psychologa, zdecydowano, iż mimo wystarczającego poziomu rozwoju umysłowego, byłem jeszcze zbyt dziecinny na pójście do szkoły. Wysłano mnie zatem do Łabęd, gdzie chodziłem do czegoś odpowiadającego dzisiejszej „zerówce”, w szkole mieszczącej się na Przyszówce. Pamiętam, że pewnego dnia przyszła po mnie nauczycielka szóstej klasy, żebym tam przeczytał fragment jakiejś książki, po to by zawstydzić szóstoklasistów, którzy niezby sobie z czytaniem radzili.

ADHD

Do I-wszej klasy poszedłem z moim rocznikiem i w odróżnieniu od moich sióstr, nie byłem odprowadzany przez babcię, co mi bardzo odpowiadało. Do szkoły chodziłem najkrótszą drogą: przez bramę domu Kaliska 20 a następnie wspólne podwórze z domem przy ul. Andrzejowskiej 4, wychodziłem na Andrzejowską do Niemcewicza. Po drodze było do sforsowania skrzyżowanie ulic Niemcewicza i Grójeckiej, po której nawet w tamtych czasach odbywał się intensywny ruch samochodowy i tramwajowy. Przystanki tramwajowe nie posiadały wysepek; podchodziło się do nadjeżdżającego tramwaju bezpośrednio z chodnika. Tylko na Grójeckiej jezdnia była wyłożona kostką, na Kaliskiej, Niemcewicza i Andrzejowskiej były „kocie łby”. Raszyńska, jako droga wiodąca na lotnisko, miała nawierzchnię asfaltową.

Czasami udawało mnie się wskoczyć w biegu do kolejki EKD gdy ruszała z przystanku przy ul. Grójeckiej, przeciać bezkolizyjnie Grójecką i wyskoczyć przed skretem w ul. Tarczyńską. Od momentu, gdy kolega ze starszej klasy Wojtek Oszczyk stracił przy jednym z takich skoków rękę, zrezygnowałem z tego rodzaju ćwiczeń rekreacyjnych. Kolejka EKD, później WKD, składająca się z niebiesko-białych wagonów, dużo większych od tramwajowych, aż do roku 1963 hałasowała tocząc się wolno po brukowanych ulicach Nowogrodzkiej, Tarczyńskiej, Niemcewicza i Śczęśliwickiej, aż do Opaczewskiej, gdzie biegła już wydzielonym torowiskiem. Z uwagi na to, iż dwukrotnie krzyżowała się z linią tramwajową Chałubińskiego i Grójecka oraz raz z linią trolleybusową – również przy Chałubińskiego – kolejka ta do tej pory wykorzystuje takie samo napięcie zasilania jak w trakcji tramwajowej czyli 600V.

Warszawska Kolej Dojazdowa, WKD (wcześniej Elektryczna

Kolej Dojazdowa lub Elektryczne Koleje Dojazdowe – EKD) – spółka zarządzająca wydzielonym systemem kolei miejskiej wykonująca przewozy pasażerskie na linii kolei normalnotorowej na odcinku-Warszawa Śródmieście WKD – Podkowa Leśna Główna – Grodzisk Mazowiecki Radońska (linia 47) z odgałęzieniem Podkowa Leśna Główna – Milanówek Grudów (linia 48). Jest to najstarszy działający obecnie w Polsce tego typu system transportu publicznego. Budowę linii rozpoczęto w 1925 w Komorowie i równocześnie poprowadzono ją w kierunku Warszawy oraz Grodziska Mazowieckiego. W 1963 od ul. Szczęśliwickiej linię WKD skierowano nowymi torami wzdłuż torów PKP przez przystanek Warszawa Ochota WKD do nowo wybudowanej stacji Warszawa Śródmieście WKD (przy Dworcu Centralnym). Od stycznia 1975 WKD od przystanku Raków biegnie wiaduktem nad linią radomską i dalej wzdłuż torów PKP przez nowe przystanki Warszawa Aleje Jerozolimskie, Warszawa Reduta Ordona oraz stację Warszawa Zachodnia (nowy, własny peron).

Droga powrotna prowadziła albo Raszyńską albo Asnyka do Filtrowej. Raszyńską wracałem tylko gdy chciałem się przejechać tramwajem na „cycku” albo „na odwrocie”. Cyckiem nazywano sprzęg służący do łączenia wagonów a w ostatnim wagonie swobodnie oparty o zawsze pokrytą świeżym smarem podporę. Przy słabym obciążeniu ciężarem 7-latka sprzęg poruszał się w lewo i w prawo. Niektóre wagony posiadały niewielki zderzak, na którym można było od biedy usiąść a nogi oprzeć na cycku. Aż do wprowadzenia wagonów N13 pod koniec lat 50-tych, wagony tramwajowe posiadały drzwi na obie strony i można było wykorzystywać stopień do jazdy na zewnątrz i oczywiście na gapę. Wzdłuż ulicy Filtrowej często stały przekupki handlujące czym popadło oczywiście bez zezwolenia. Patrolujący kilka razy dziennie milicjanci

zatrzymywali te panie domagając się „prowizji” wzamian za przy-
mknięcie oka na nielegalną wówczas działalność. Robiliśmy sobie
zabawę, przechodząc obok handlarek głośno szeptaaliśmy: „glina!”,
i panie rozpięzchały się na wszystkie strony. W bramie przy ul.
Filtrowej 68 stał pan z wagą, odznaczający się niskim wzrostem,
który na okrzyk „glina!”, szybko chował się do bramy. Filtrową
dochodziłem do Placu Narutowicza a stamtąd, po przekroczeniu
Grójeckiej, Słupecką do Kaliskiej. Do szkoły przez dłuższy czas
chodziłem na drugą zmianę, przeważnie na godzinie 13:00 i zimą
często wracałem po ciemku. Na ulicy Słupeckiej, podobnie jak na
Flitrowej działo się wiele ciekawych rzeczy. M.in. przechadzał się
nią niejaki pan Władzio, na którego mówiliśmy pan Dziad, z długą,
niepielęgnowaną brodą, w okularach przeciwsłonecznych z jed-
nym szkieletem, ubrany w straszliwe łachmany i zawsze otoczony
sforą psów. Niedawno wymieniłem korespondencję z koleżanką z
podstawówki, Ewą Zglińską wychowaną na Słupeckiej, która po-
dała mi następującą charakterystykę pana Dziada:

„...- pan Dziad, jak go nazywasz, to rzeczywiście bardzo ma-
lownicza i trochę niezwykła postać. Tak się składa, że sporo wiem
na jego temat - był naszym sąsiadem z I piętra i moja mama
była dobrą znajomą jego siostry Jadwigi (pracowała w banku na
dość odpowiedzialnym stanowisku), oraz drugiej siostry Poli. On
nazywał się Władysław Dziegieć, pochodzili z drobnej szlacheckiej
rodziny ze wschodnich kresów, wszyscy oni otrzymali staranne
wykształcenie, pan Władzio (tak go nazywaliśmy) wprawdzie miał
tylko maturę (ale przedwojenną maturę !!!). Jako dziecko , a po-
tem młody człowiek był tzw „oczkiem w głowie” swojej mamusi
bo był najmłodszy, no i ponad wszystko kochał zwierzątka i ni-
czym się nie zajmował. Kiedy wybuchła wojna i mamusia zmar-
ła, a po wojnie nastał inny ustrój w którym chamstwo stało się

cnotą , Władziowi trochę wysiadła psychika. Jako protest przeciwko wszystkiemu i wszystkim przyjął postawę całkowitej abnegacji, kochał tylko zwierzaki, utrzymywał się handlując starzyzną na bazarze Różyckiego (właściwie zarabiał na dokarmianie psów, ptaków, żywiły go siostry, ale ubrać się nie dał). Przyjęty przez Władzia model życia doprowadzał siostry do rozpacz, szczególnie Jadwigę, która wprost przesadnie dbała o higienę a pech chciał, że z Władziem dzieliła mieszkanie . Kiedy Władzio poważnie zachorował i nie mógł już wychodzić z domu Jadwiga doprowadziła go do przyzwoitego stanu - ogolony, ostrzyżony, schludnie ubrany i zawsze dokładnie umyty - takiego Władzia nikt by pewnie nie poznał. Wcześniej, niestety, nie udało się tego w żaden sposób przeprowadzić...”

Napisałem Ewie, że z ulicy Słupeckiej zapamiętałem po dziś dzień zapach maciejki, kwitnącej przed Domem Starców. Dodałem też, iż nigdzie nie mogłem dostać nasion a Ewa niedawno przekazała mi kilka torebek maciejki przez Dorotę, która właśnie wracała z Polski.

Ulica Słupecka – łącząca mnie z placem Narutowicza, posiadała jeszcze wiele innych ciekawych uroków i malowniczych postaci. Jedną z nich był właściciel mydlarni pan Ziętek, którego nigdy nie widziałem trzeźwego. Stojąc przed swoim sklepem kołysał się miarowo, kłaniał grzecznie wszystkim przechodniom i zapraszał do sklepu, który przeważnie prowadziła jego żona – pani Ziętkowa. Ulicą Słupecką wracał do domu z mordowni przy ul. Grójeckiej nie tylko nasz dozorca pan Bieńko ale również rzeźnik Rumowski, który miał sklep na roku Sękocińskiej i Kaliskiej, naprzeciwko naszego domu. Zanim nastały czasy t.zw. realnego socjalizmu, nad sklepami mięsnymi widniał napis „Rzeźnik” a wewnątrz było mięso. Później sytuacja się odwróciła. Pan Rumowski bynajmniej nie

wracał sam, tylko był holowany przez żonę, która biła go pięściami po plecach i po głowie, zmuszając w ten sposób do nadania mu właściwego kierunku. Baba wrzeszczała wymyślając mężowi od pijaków a on ryczał: „ludzie ratujta, baba mnie bije!”. Ulicą Słupeczką wchodzili w głąb dzielnicy rozmaici domokrażcy. Szlifierz nosił na ramieniu napędzana nożnie szlifierkę z przymocowaną do niej metalowa sztabką, w którą uderzając młotkiem dzwonił, krzycząc:

- *Ostrzyć noże, nozyczki, ostrzyć noże, nozyczki!*

Facet targający na plecach warsztat, w skład którego wchodził m.in. beznynowy palnik, służący do rozgrzewania lutownicy, śpiewem nawoływał klientów:

- *Kotłyyyyyyy, Garnkiiii, miskiiii, balieeee. Blacharz lutuje repe-ruje. Do lutowania, do reperac!*

Inny pan z ogromnym workiem na plecach skupował starzyzną zachwalając swoje usługi:

- *Stare obuwiaaaa, stare ubraniaaaa, kupujeeee!* – w ostatnim słowie handlarz kładł akcent na ostatnia sylabę.

Najbardziej jednak utkwił mnie w pamięci facet jeżdżący bardzo wolno rowerem po ulicy Łukowej – Daszyńskiego – Dzierżyńskiego w Łabędach, krzyczący:

- *Skórkiiiiiiii, z królików, z kozów!*

Nad brama naszego domu – i nie tylko nad nią – wisiała tabliczka:

Żebrakom, handlarzom, muzykantom i domokrażcom wstęp wzbroniony.

Nietrudno się domyślić, iż zakaz ten był totalnie ignorowany. Dostawcy węgla wnosili go w ogromnych koszach, dźwiganych na plecach i albo zrzucali pod okna piwnic z oknami wychodzącymi na podwórze, albo – za dodatkową opłatą – bezpośrednio do piwnic. Gdy trochę podrosłem, wrzucanie węgla do piwnicy przy pomocy

łopaty stało się moim udziałem. Węgiel dostarczany był do naszego domu ogromnymi platformami, ciągnionymi przez równie ogromne perszerony – zwane również końmi belgijskimi. Aż do roku 1960 ulica Kaliska była oświetlona niewysokimi latarniami gazowymi, uruchamianymi przez faceta, chodzącego z kijkiem, którym pociągał za umieszczone u dołu lampy kółeczko. Nie pamiętam w jaki sposób latarnie te były gaszone, bo tak wcześniej nie wstawałem. Ulice Słupecka i Sękocińska oświetlone były klasycznymi latarniami elektrycznymi z początku XX wieku ze zdobionym w kształcie kwiatu, kutym prętem metalowym u góry. Po wymianie latarni gazowych przy ul. Kaliskiej na świetlówki, stare latarnie przy ulicach Słupeckiej i Sękocińskiej, trzymały się jeszcze przez kilka lat. Już nie pamiętam na której ulicy, poza Kaliską, w najbliższej okolicy były gazowe latarnie. Joteyki, Węgierska?

Pamiętam, gdy z okazji otwarcia Trasy W-Z w 1948 roku przejechaliśmy całą trasę nowej linii tramwajowej „30”, która na tabliczce miała kierunek „MOSTY”. Trzydziestka jeździła po obwodzie: Most śląsko-Dąbrowski, Targowa, Zieleniecka, Waszyngtona, most Poniatowskiego, Aleje Jerozolimskie, Żelazna do trasy W-Z, zwanej wówczas świerczewskiego obecnie Aleja Solidarności, przez tunel do mostu śląsko-dąbrowskiego. „Trzydziestkę” obsługiwały nowe, kanciaste wagony tramwajowe z Chorzowskiego Konstalu, przeznaczone głównie do przewozu pasażerów na stojąco, które krążyły po ulicach polskich miast aż do wyparcia ich przez budowane na czeskiej licencji N13 zwanymi potocznie „parówkami” lub „kabanami”.

Gdy byłem w pierwszej klasie Mama otrzymała z pracy przydział na działkę pracowniczą w Alei Żwirki i Wigury, gdzie początkowo udzielałem się trochę w kopaniu i pieleniu ale znacznie częściej w zbieraniu plonów jak truskawek, poziomek, jabłek czy

brzoskwiń. Teren ogródków sąsiadował bezpośrednio z budowanym wówczas cmentarzem żołnierzy sowieckich, poległych w wyzwaniu Warszawy. Zbudowany w centrum cmentarza obelisk wyznaczał kierunek zarówno w ciągu dnia jak i po zapadnięciu zmroku, gdyż na jego szczycie świeciła czerwona lampka. W drodze powrotnej widać było błyski wydawane przez spawaczy montujących konstrukcje Pałacu Kultury i Nauki, ukończonego w 1955 roku. Pamiętam jakim zaszczytem było dostać się na pływalnię usytuowaną w pałacu młodzieży, w północno-zachodnim skrzydle PKiN, gdzie trenowałem skoki do wody pod kierunkiem trenera Rękasa. Wraz ze mną trenował, wówczas już mocno zaawansowany technicznie Jurek Kowalewski, późniejszy, wielokrotny mistrz Polski. Pływalnia w pałacu miała doskonałe zaplecze jak szatnie i natryski oraz ciepłą wodę, której na próżno uświadczyc w innych stołecznych basenach, na które uczęszczałem ze szkółka pływacka trenera Paska: Akademik przy pl. Narutowicza, Młodzieżowy Dom Kultury przy ul. Konopnickiej czy pływalnia AZS-AWF przy ul. Konwiktorskiej. Do MDK, przeniesionego później na Łazienkowską uczęszczałem również na lekcje gry na ksylofonie. Grałem w duecie z 8-letnią Iwonką Litych i kilka razy jeździliśmy z zespołem na koncerty. Nasz duet występował poza główną orkiestrą a z utworów, które pamiętam graliśmy serenadę cygańską, suitę hiszpańską i marsz turecki.

Byłem, jak to się wówczas określało – trudnym dzieckiem. Moja mama studiowała psychologię i określała mój przypadek jako „nadpobudliwość psychoruchowa” dzisiaj znany jako ADHD czyli Attention Deficit Hyperactivity Disorder. Zamiast skierować mnie do całego szeregu specjalistów i poddać intensywnej terapii, po prostu wlepiano mi dwóje albo wpisywano uwagi do dzienniczka. Takie to były czasy. Miałem dobrą pamięć i nauka nie sprawiała mi

żadnych kłopotów – gdy zapamiętałem o czym była mowa na lekcji, nie musiałem tego powtarzać. Oczywiście pod warunkiem, że na lekcjach uważałem a nie zajmowałem się „hyper-aktywnością”. Ponieważ miałem w domu siostry ze starszej klasy zapamiętywałem czego się uczyły i w związku z tym początkowo wyprzedzałem moich rówieśników, co m.in. zaowocowało niezbyt pilnym przykładaniem się do nauki. Aż do piątej klasy jakoś mi szło bezproblemowo kiedy to „zarobiłem” pięć dwój na półroczu.

Przyjechała wówczas do Warszawy ciocia Gienia Bychowiec ze Strzegomia, która zaproponowała, iż weźmie mnie do siebie, żeby trochę wyprostować. Nie wiem jaki był między nami stopień pokrewieństwa – wiem tylko, że wujek Janek Bychowiec mówił do babci warszawskiej „ciociu”. Wujek pochodził z Kresów, - co można było poznać po akcencie - a ciocia z „Kongresówki” i dla wujka rzuciła klasztor. Mieli jedynego syna Alfreda, urodzonego w 1933 roku. 17-ty września 1939 roku zastał ich na obszarze, który zgodnie z postanowieniami Paktu Ribbentropp-Mołotow przypadł w udziale Rosji. Wujek dostał się do niewoli niemieckiej a ciocia z Alfredem została wywieziona wgłąb Nieludzkiej Ziemi. Układ Sikorski-Majski przerwał ich gehennę i wraz z kilkuset tysiącami wygnańców wydostali się u boku Armii generała Władysława Andersa ^[62]do Iranu a stamtąd do Indii. W Indii, wycieńczony niehumanitarnymi

62 Polskie Siły Zbrojne w ZSRR – potoczna nazwa: Armia Andersa (utworzona od nazwiska dowódcy – generała Władysława Andersa) – oddziały Wojska Polskiego podporządkowane legalnemu rządowi RP na emigracji, utworzone po wybuchu wojny III Rzeszy z ZSRR, zawarciu układu Sikorski-Majski i tzw.amnestii dla obywateli polskich z Rzeczypospolitej: zesłanych, uwięzionych w więzieniach śledczych NKWD i deportowanych do obozów koncentracyjnych Gułagu.11 sierpnia 1941 roku Naczelnny Wódz powierzył dowodzenie armią gen. Władysławowi Andersowi, przetrzymywanemu w więzieniu NKWD na Łubiance. 14 sierpnia 1941 roku podpisano umowę wojskową, która dała podstawę do rozpoczęcia formowania Armii Polskiej w ZSRR. W okresie ofensywy niemieckiej na Kaukaz i bitwy o Stalingrad generał Anders uzyskał zgodę Stalina na ewakuację już sformowanych oddziałów do Iranu, przy po-

syberyjskimi warunkami i niedożywiony Alfred zapadł na malarię. Z Indii przedostali się do Palestyny, gdzie doczekali do końca wojny. Wujek Janek otrzymał posadę wiejskiego nauczyciela w pobliżu Strzegomia, na t.zw. Ziemiach Odzyskanych a ciocia z Alfredem dołączyli wkrótce potem. Wioska, położona w odległości 1 km od Strzegomia nazywała się Międzylesie i zamieszkała była w całości przez przesiedleńców z Kresów Wschodnich. Wszyscy zaciągali charakterystycznym kresowym akcentem, podobnym do babci Warszawskiej. Gdy przyjechałem do Międzylesia nikt nie miał już nadanych im z „reformy rolnej” gospodarstw, które zostały scalone i przejęte przez spółdzielnię produkcyjną – odpowiednik rosyjskiego kołchozu. Rolnikom pozostały t.zw. działki przyzagrodowe, z której wujostwu przypadło 80 arów. Ciocia hodowała indyki i prosiaka, które po utuczeniu a moim wyjeździe zostały im skradzione. Mieszkaliśmy w służbowym mieszkaniu mieszczącym się w budynku szkolnym, gdzie wujek był dyrektorem i jedynym nauczycielem czteroklasówki. Od piątej klasy dzieciaki chodziły do odległego o 1 km Strzegomia. Nie było to daleko a czasami, któryś z kolegów podwoził mnie na ramie roweru. Kilka kilometrów od Strzegomia była miejscowość Rogoźnica^[63] gdzie w czasie wojny znajdował się obóz koncentracyjny. Podczas mojego pobytu teren jeszcze nie był uporządkowany i w wielu miejscach można było znaleźć ludzkie

zostawieniu ośrodków rekrutacyjnych wojska polskiego w ZSRR. W konsekwencji Armia Andersa została ewakuowana z Krasnowodska przez Morze Kaspijskie do Pahlavi w Iranie (okupowanym wówczas wspólnie od sierpnia 1941 przez wojska sowieckie i brytyjskie).

63 Rogoźnica (niem. Groß Rosen, w latach 1945–1948 Rogozienko) – wieś w Polsce położona w województwie dolnośląskim, w powiecie świdnickim, w gminie Strzegom. Wieś znajduje się w paśmie Przedgórze Sudeckiego (tzw. Wzgórze Strzegomskie), w dolinie potoku Wierzbak. W latach 1975–1998 miejscowość położona była w województwie wałbrzyskim. Przemysł wydobywczy – liczne kamieniołomy granitu. Stacja kolejowa na Podosudeckiej Magistrali Kolejowej. teren obozu koncentracyjnego Groß-Rosen, działającego na terenie wsi w latach 1940–1945. wyrobisko granitu w kamieniołomie.

czaszki. Później na terenie obozu utworzono muzeum.

Połowa uczniów w mojej klasie była narodowości żydowskiej, którzy wraz z rodzicami zostali wysiedleni z Rosji a wśród pozostałych, ogromną większość stanowili przesiedleńcy z dawnych Kresów Wschodnich. Autochtonów, czyli Niemców ani w Strzegomiu ani w okolicy wogóle nie było, czyli wysiedlenie było stuprocentowe. Tyle narodowości, rodzin i pojedynczych ludzi musiało się przemieszczać tysiące kilometrów w tamtych czasach, gdyż wysiedleniu w ramach akcji „Wisła” ^[64] podlegali również mieszkańcy Bieszczad i Beskidu Niskiego m.in. Łemkowie i Bojkowie. Ciocia Gienia była osobą energiczną, zaradną i pracowitą. Wychowana była w starej szkole i taką też stosowała w stosunku do mnie. Na odcinku wdrażania dyscypliny istotną rolę pełniła „kozia nóżka” czyli zespół cienkich rzemyków solidnie przymocowanych

64 Akcja „Wisła” (Operacja „Wisła”) – akcja militarna o charakterze międzynarodowym, wymierzona w struktury Ukraińskiej Powstańczej Armii i Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, oraz przesiedleńcza, dokonana w celu usunięcia wybranych grup ludnościowych, m.in. Ukraińców, Bojków, Dolinian i Łemków, jak również rodzin mieszanych polsko-ukraińskich, głównie z terenów Polski południowo-wschodniej (obszary na wschód od Rzeszowa i Lublina), głównie na Ziemi Odzyskanej, która miała miejsce w dwa lata po zakończeniu II wojny światowej. Przeprowadzona została przez formacje wojskowe Rzeczypospolitej Polskiej, oddziały Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Milicję Obywatelską, Ochotniczą Rezerwę Milicji Obywatelskiej), jak i jej agendy cywilne (Państwowy Urząd Repatriacyjny).

Decyzję w sprawie podjęcia Akcji „Wisła” podjęło Biuro Polityczne KC PPR. Przyjmuje się, że trwała od 28 kwietnia do końca lipca 1947, chociaż ostatnie wysiedlenia miały miejsce w roku 1950. Szacuje się, iż w wyniku akcji wojskowej rozbito siły UPA w liczbie 1500 ludzi (17 sotni), oraz uwięziono 2 900 aktywnych lub domniemyanych członków OUN, a przesiedlenia objęły ponad 140 tysięcy osób cywilnych. Pierwotnym kryptonimem tej akcji był „Wschód”, zmieniony później na „Wisła”.

Akcja „Wisła” nie była tożsama z repatriacją ludności ukraińskiej w latach 1944–1946, w dalszym ciągu budzi liczne kontrowersje i jest różnie interpretowana przez historyków, z których część twierdzi, że jej głównym zadaniem nie było zniszczenie UPA – wskazują oni m.in. na fakt, iż objęła ona również obszary, gdzie UPA w ogóle nie działała.

do drewnianego kołka. Przecignięcie „kozia nóżką” przez spodnie doprowadzało w szybkim tempie rozum do właściwego miejsca, wyganiając zeń jednocześnie głupie pomysły. Na dalszym etapie resocjalizacji reagowałem prawidłowo na samo postraszenie „kocią nóżką”. Syn wujostwa Alfred był bardzo uzdolniony do rysunków i w związku z tym bez trudu dostał się na Wydział Architektury Politechniki Wrocławskiej. Poznałem go gdy przyjechał na krótkie ferie Wielkanocne w roku 1954. Po zaliczeniu II roku i sprawdzeniu życiorysu uznano go za „element niepewny”, w związku z opuszczeniem pokój miłującego związku sowieckiego z wrażą Armią Andreasa i zaproponowano mu wstąpienie do PZPR. Alfred kategorycznie odmówił, w związku z czym został zmuszony do odbycia zasadniczej służby wojskowej, co było równoznaczne z przerwaniem studiów. Po odbyciu służby wojskowej wrócił na studia ale już nie na architekturę tylko na wydział mechaniczny. Nadwątlone przebytą w dzieciństwie malarią a następnie służbą wojskową zdrowie nie pozwoliło mu na ukończenie studiów ale przez dłuższy czas pracował jako inżynier.

Często przyjeżdżał w delegacje do Warszawy i albo się u nas zatrzymywał albo przynajmniej nas odwiedzał. Wujek Jan Bychowiec miał piękny charakter pisma, używał bardzo starannej kaligrafii a Alfred odziedziczył tę zdolność po ojcu a nawet go przewyższył. Ożenił się w wieku 40 lat z dziewczyną młodszą o 15 lat a owocem tego małżeństwa jest urodzony w roku 1974 Adam, z którym przez pewien czas utrzymywałem kontakt za pośrednictwem Skype. Alfred zmarł w 2003 roku, w tym samym co Jola, na rozległy zawał serca.

Wracając do mojego pobytu w Miedzylesiu k/Strzegomia, to dzięki dyscyplinie i dopilnowaniu na przemian przez oboje wujostwa, nie tylko nadrobiłem zaległości ale skończyłem piątą klasę z

nagrodą a na świadectwie miałem same czwórki i piątki.

Po powrocie do Warszawy okazało się, iż „szesnastka” przeniosła się na ulicę Radomską a w budynku przy ulicy Raszyńskiej 22 pozostały „13-ka” i 97-ma. Dzisiaj w tym budynku mieści się Społeczne Gimnazjum Nr. 20.

Mama przeniosła mnie do 97-ej, dla zmiany środowiska. Przed moim wyjazdem do wujostwa Bychowiec, uległa likwidacji Szkoła Nr. 9, mieszcząca się przy ul. Filtrowej a zanim przeniosła się na ulicę Białobrzeską 44, uczniowie byli rozlokowani w trzech szkołach mieszczących się w budynku przy ulicy Raszyńskiej 22. „Dziewiątka” nosiła nazwę „Szachtmajerówki” od nazwy fundatorki Wandy z Posseltów Szachtmajerowej^[65]. Szóstą klasę ukończyłem

65 Szkoły Fundacji im. Wandy z Posseltów Szachtmajerowej – szkoła powszechna, gimnazjum i liceum żeńskie założone w Warszawie w 1908 r. przez siostry Posseltówny. W 1908 r., gdy w Warszawie, będącej jeszcze pod zaborem rosyjskim, zezwolono na prowadzenie nauczania w języku polskim, pięć siostr Posseltówn – Wanda, Zofia, Janina, Jadwiga i Irena – założyło szkołę siedmioklasową przy ul. Chmielnej 65. Szkołę tę prowadziła Wanda.

Po 1918 r., już w niepodległej Polsce, szkoła ta została przekształcona w prywatne gimnazjum żeńskie.

W 1930 r., po wyjściu za mąż Wandy Posselt za Kazimierza Szachtmajera, założona została Fundacja Szkół im. Wandy z Posseltów Szachtmajerowej. Rozpoczęto wtedy starania o budowę nowej, dużej i nowoczesnej szkoły żeńskiej. Na terenie niezabudowanej jeszcze wtedy dzielnicy Ochota Fundacja zakupiła plac przy ul. Białobrzeskiej 44. Kamień węgielny pod budynek nowej szkoły wmurował marszałek Józef Piłsudski. Według projektu architektów Tadeusza Tołwińskiego i Romualda Gutta wybudowany został nowoczesny gmach szkolny, w którym powstała prywatna pensja dla dziewcząt: „Gimnazjum Żeńskie im. Wandy z Posseltów Szachtmajerowej w Warszawie”. Przełożoną Szkoły była Wanda Szachtmajerowa, a dyrektorką – najmłodsza z siostr Posseltówn – Irena. Pozostałe siostry były nauczycielkami. Wysoki poziom kształcenia, jak też sama architektura budynku szkoły, dobitnie ilustrowały zmiany, jakie zachodziły w tym czasie w odrodzonej Warszawie. Dzielnica Ochota przekształcała się szybko z zacofanego, pokrytego polami uprawnymi przedmieścia w nowoczesną dzielnicę, zamieszkaną w znacznym stopniu przez inteligencję.

Dziewczęta z Gimnazjum Fundacji im. Szachtmajerowej chodziły do szkoły w charakterystycznych zielonych mundurkach, które zamówiono w Domu Handlowym Braci Jabłkowskich. Do kompletu należały zielone spódniczki, białe bluzki z marynarskimi kołnierzami, ciemnozielone berety z czarnym pompo-

z poprawką z matematyki. Do egzaminu poprawkowego przygotowała mnie zamieszkała w Sulejówku pani Dioskora Wojnikonis, u której pielilem ogródek. W siódmej klasie początkowo wszystko szło mi bez problemu, zdążyłem nawet polubic matematykę, mimo, że z matematyczką pania Fałatową nie miałem najlepszych stosunków. Był to Rok Mickiewiczowski proklamowany z okazji 100-ej rocznicy śmierci wieszczki i na siódmej klasie spoczywał obowiązek przygotowania akademii z tego tytułu. Dało mi to znakomitą okazję wykorzystania moich zdolności aktorskich połączonych z dobrą pamięcią. Do tej pory wykorzystywałem je na przdrzeźnianie i naśladowanie bliźnich co nie zawsze przynosiło mi zaszczyty. Robiliśmy inscenizację fragmentu II Części „Dziadów”, a mnie przypadła rola Widma. Ponadto przygotowując się do tej inscenizacji jeździłem na ulicę Żurawią do Pani Znajdowskiej – byłej śpiewaczki operowej, która zaczynała karierę w Petersburgu – na lekcje dykcji. Przy okazji nauczyłem się kilku bajek Mickiewicza w tym „Golono – strzyżono”. Polonistka, której nazwiska niestety nie pamiętam uznała, iż właśnie „Golono – strzyżono” będzie moim numerem popisowym i po zejściu ze sceny pozostałych odtwórców ról w „Dziadach” ukloniłem się i z ekspresją zadeklamowałem ten wiersz wzbudzając powszechny aplauz. Nie wiem czemu ale nie podziałało to na mnie zachęcająco do wybrania kariery aktora. Po tym sukcesie osiadłem na laurach i przestałem wogóle się uczyć. Siedziałem w jednej ławce z wyższym ode mnie o głowę i rok star-

nem, a także odpowiednio zaprojektowany kostium gimnastyczny i obuwie sportowe. Mundurek zdobiła koniczynka – znak Szkoły. Stroje te cała Warszawa rozpoznawała jako mundurki „Szachtmajerek”.

Do tej prywatnej szkoły uczęszczały dziewczęta z różnych środowisk: „pierwsze córki Rzeczypospolitej” – Wanda i Jadwiga (Jagoda) Piłsudskie, hrabianka Anna Branicka z Wilanowa, przyszła poetka – Wanda Chotomska, a także dziewczęta z rodzin ubogich, którym udzielano zniżek w czesnem. Dzięki dyskrecji dyrekcji szkoły oraz jednolitym strojom dziewczęta biedniejsze nie odróżniały się od bogatych

szym Jurkiem Jackiewiczem – zwanym Gackiem, z którym prowadziłyśmy swoje współzawodnictwo w ilości otrzymanych dwój. W rezultacie wyszliśmy na remis i jak było do przewidzenia wyrok był jeden: powtórzenie klasy. Marysia – już nie nazywaliśmy ją Mika a ona sama kazała się nazywać Monika, po obejrzeniu filmu „Wakacje z Moniką” – chodziła w tym czasie do VII Liceum Ogólnokształcącego im. Juliusza Słowackiego mieszczącego się do dzisiaj przy ul. Wawelskiej. Jej klasa była ostatnia, wyłącznie żeńska i chcąc chodzić razem z chłopakami, postanowiła na nich zaczekać, powtarzając IX klasę. To już naszą mamę zmusiło do działań nadzwyczajnych; dla Marysi załatwiła korepetycje a mnie wyłała na reedukację do Łabęd.

DALTONIZM – NIEZDATNY

Dziadek zmarł w lutym 1956 roku a ja przyjechałem w czerwcu, by zostać cały rok. Objąłem po dziadku pokój, w którym przez dłuższy czas unosił się smród dymu z fajki i cygar. Zacząłem już wtedy palić, o co ciocia Rita prowadziła ze mna uporczywą walkę i podprowadzałem pozostałe zapasy cygar i papierosów, które dziadek schował na poczęstunek.

Udało mnie się skutecznie rzucić palenie dopiero 44 lata później. Wówczas było to coś w rodzaju testu na dorosłość, jako że większość dorosłego społeczeństwa paliła, a w rzeczywistości był to test na głupotę. Staram się obecnie tłumaczyć młodym ludziom, że im dłużej będą zwlekać z rzuceniem tego nałogu, tym trudniej przyjdzie osiągnięcie sukcesu.

Beztroskie wakacje, podczas których m.in. nauczyłem się jeździć na rowerze i bardzo w tym zasmakowałem, dobiegły końca i zaczął się rok szkolny 1956/57 w szkole ogólnokształcącej TPD w Łabędach. Kiedy kilka lat temu jechaliśmy obok tej szkoły z Kasią – moją stryjeczną siostrą, taksówką z dworca w Gliwicach – pokazałem jej, że tu właśnie chodziłem do szkoły, o czym dowiedziała się po raz pierwszy.

Wikipedia określa TPD jako „Towarzystwo Przyjaciół Dzieci skrót: TPD jest ogólnopolskim, pozarządowym stowarzyszeniem prowadzącym działalność pożytku publicznego na rzecz dzieci. W ramach działalności służy dzieciom - przede wszystkim wymaga-

jącym ratunku i pomocy. Walczy o dobro dzieci: powracających z zesłania i obozów koncentracyjnych, osieroconych i zagrożonych sieroctwem, żyjących w skrajnej nędzy i poniżeniu, głodnych, żebrzących, bezdomnych, nieślubnych, wykorzystywanych, zaniebanych edukacyjnie i wychowawczo, maltretowanych fizycznie i psychicznie, sprawiających trudności wychowawcze, wykolejonych, zagrożonych uzależnieniami i uzależnionych (od alkoholu, narkotyków i nikotyny), o złym stanie zdrowia i niepełnosprawnych” . koniec cytatu.

Reaktywowane po wojnie w roku 1949 TPD w rzeczywistości narzucało szkołom t.zw. socjalistyczny model wychowania, polegający na przekłamywaniu historii i pro-komunistycznej oraz pro-sowieckiej indoktrynacji. Szkoły TPD miały charakter świecki – były pierwszymi, z których wyrzucono naukę religii (po roku 1952 wyrzucono ją ze wszystkich szkół, wraz z krzyżami, zastąpionymi portretami Stalina). Mimo, iż Wikipedia w żadnym wypadku nie może służyć jako wiarygodne źródło informacji, z którego korzystam tylko sporadycznie oraz cytując tylko informacje, co do których autentyczności mam stuprocentowa pewność – dziwię się, iż obecne TPD nie odcina się od okresu 1949-1956, podczas którego organizacja ta miała niewiele wspólnego z jej założeniami. Podobnie jak wszystkie organizacje w tamtym okresie, działalność TPD była w pełni kontrolowana przez instancje PZPR wszelkich stopni, a władze towarzystwa były „przywożone w teczkach” z powiatowych (miejskich, dzielnicowych) komitetów.

W każdym razie, szkołę widać było z okien „na przodku” czyli wychodzących na ulicę (przestrzeń widoczna z okien ze strony przeciwnej, gdzie mieściły się ogródki z typowymi gołębnikami i chlewikami, nazywa się po śląsku „na zadku”) a do przejścia miałem niewiele ponad 240 metrów przez łąkę, na której pasły się

barany.

Po zakończeniu zajęć szkolnych rzucałem teczkę w kąt i krótkim „*No to ja idę*” – ruszałem w kierunku drzwi wyjściowych.

- *A lekcje odrobiliś?* – pytała ciocia Rita, albo babcia.

- *Nic nie było zadane* – odpowiadałem coraz bardziej zniecierpliwiony, że mi ucieka czas „smykania z karlusami”.

- *No to pokaż jakie miałeś dzisiaj lekcje i o czym było.*

Rad nierad, musiałem otworzyć teczkę i pokazać zeszyty oraz książki.

- *Widać, że masz coś zadane a poza tym czy już nauczyłeś się tego co wam kazano?*

- *Pewnie, wszystko pamiętam* – odpowiadałem.

- *No to opowiedz* – mówiła babcia lub ciocia siadając z książką w rękę.

Gdy z mojego dukania nic nie wychodziło, wskazywano mi drzwi do pokoju, gdzie musiałem wszystko wkuwać. Babcia wymagała, żebym uczył się na pamięć, ponieważ nie chciało jej się przeczytać całego rozdziału i wybrać kwintesencję. Myślałem naiwnie, iż z rosyjskim pójdzie mi najłatwiej, gdyż ani ciocia ani babcia nie znały rosyjskich „bukw” ale i w tym się pomyliłem, ponieważ ze słówek byłem przepytywany odwrotnie, czyli z polskiego na rosyjski. Wymagało to ode mnie podwójnego skupienia pamięci, bo tłumaczenie z rodzimego języka na obcy jest zawsze dla początkujących trudniejsze. W rezultacie byłem w klasie najlepszy z „ruska” zwłaszcza, iż z rodzinnego domu wyniosłem także akcent. Nauczycielką rosyjskiego i polskiego zarazem była, pochodząca z Kresów pani Topolewska – ciocia mojego przyjaciela Rajmunda Kurka, z którym siedzieliśmy w jednej ławce – a swój rosyjski akcent zdobyła w podobnych okolicznościach jak moja mama i babcia Warszawska. Z matematyki ani babcia ani ciocia nie były

zbyt mocne i w sukurs przychodził im stryjek Lolo, który, mieszkając w Krakowie i pracując w Gliwicach, odwiedzał nas dość często. Po przeprowadzce do Gliwic odwiedzał nas jeszcze częściej. Oprócz przepytywania i nadzorowania odrabiania prac domowych Lolo zadawał mi różne zadania tekstowe do układania równań. Chcąc – nie chcąc, nie miałem innego wyboru jak tylko polubić matematykę tak dalece, iż zająłem drugie miejsce podczas Olimpiady Matematycznej dla szkół podstawowych, na szczuble powiatu gliwickiego.

Mundek, podobnie jak ja, miał zdolności rysunkowe i często obaj coś podczas przerw rysowaliśmy. Mundek był staranny a ja leniwy i ograniczałem się do wykonywania karykatur kilkoma kreskami albo innych obiektów. Mundek poszedł w tym kierunku i skończył architekturę. Był na naszym ślubie, gdzie poznał moja siostrę Marysię, z którą spotykał się aż do jej tragicznej śmierci.

Przyjaźń z Mundkiem przetrwała po dzień dzisiejszy a w styczniu 2013 roku wybraliśmy się razem na wycieczkę życia do Nowej Zelandii. Podczas tej wycieczki wzajemnie przyznaliśmy się, iż podkochiwaliśmy się w tej samej dziewczynie – drobnej, urodziwej blondynce, Dance Rychlik.

Jesienią 1956 roku zaszły poważne zmiany polityczne a po wyborze Władysława Gomułki na I sekretarza PZPR, nastąpiła długo oczekiwana odwilż. Stalinogród ponownie odzyskał nazwę Katowice, Huta im. Stalina stała się Hutą Łabędy a Zakład Mechaniczny im. Stalina Zakładem Mechanicznym Łabędy. Likwidacji – jak się później okazało tymczasowej – uległo TPD i dotychczasowa Szkoła TPD zmieniła nazwę na Liceum Ogólnokształcące w Łabędach, do szkoły – też na krótko - przywrócono naukę religii, harcerstwo powróciło do tradycji przedwojennych pozbywając się znienawidzonych czerwonych hust i przyrzeczenia wierności „ludo-

wej” (czytaj komunistycznej) Ojczyźnie, na pewien czas zawieszono zagłuszanie Radia Wolna Europa.

24 października 1956 Gomułka wygłosił na wiecu ludności Warszawy na placu Defilad emocjonalne przemówienie, które zyskało mu powszechną sympatię. Po dramatycznych pertraktacjach z przybyłymi do Warszawy władzami sowieckimi, zdołał uzyskać wycofanie do baz zmierzających na Warszawę oddziałów radzieckich i częściową akceptację władz ZSRR dla umiarkowanych reform. W dniach 16–18 listopada przewodniczył udającej się do Moskwy polskiej delegacji, która uzyskała znaczne ustępstwa strony radzieckiej. W początkowym okresie swoich rządów realizował politykę umiarkowanych reform i odprężenia (zwaną odwilżą gomułkowską), czemu towarzyszyła dekollektywizacja rolnictwa, poprawa stosunków z Kościołem katolickim i pierwsze próby uzyskania od Niemiec potwierdzenia granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. W pierwszym okresie po październikowym przełomie Gomułka zyskał powszechną sympatię społeczeństwa. Pamiętano mu, że przesiedział lata w więzieniu za wierność swoim poglądom, a wybaczano to, że sam przyczynił się do powstania ustroju, w którym można było więzić za poglądy. Oczekiwano od niego spełnienia obietnic, gdy zaczął się z nich wycofywać - szybko stracił popularność.

O tragicznych wydarzeniach na Węgrzech, gdzie Rosjanie zdecydowali się powstrzymać rozprzestrzenianie „polskiej odwilży” za wszelką cenę – niewiele można się było dowiedzieć z oficjalnych środków przekazu. Babcia, ciocia lub Stryjek Lolo słuchali zachodnioniemieckich stacji a ja z tego nic albo niewiele rozumiałem. Tylko z ich poważnych min i powtarzanych często *Oh mein lieber Gott*, wywnioskowałem, iż działo się tam bardzo źle.

Stopniowo, dyskusje w języku niemieckim, nieprzeznaczone dla moich uszu zaczynałem pomалу rozumieć. Pamiętam zasko-

czenie babci i cioci, gdy zacząłem się śmiać jakiegoś sprośnego kawału. Udawałem, że właśnie przeczytałem coś śmiesznego, by się nie zdekonspirować ale od tej pory starano się unikać dyskusji po niemiecku w mojej obecności.

„Popaździernikowa odwilż” ujawniła się również w wydaniu zezwoleń na wyjazd do Niemiec Zachodnich rodzin pochodzenia niemieckiego, na siłę spolszczonych, lub rodzin polskich czy mieszanych, gdyż akcję tą nazwano „łączenie rodzin”. Kilka razy przez Łabędy przejeżdżały pociągi specjalne, długo oczekiwane przy szlabanie na przejeździe w okolicy dworca, gdzie następowało ostatnie pomachanie chusteczką, czasami z okien pociągu ktoś wyrzucił jakieś cukierki czy ciasteczka.

Erika Steinbach nadała tym rodzinom status „wypędzonych”^[66] mimo, iż w tym okresie na pewno wyjeżdżali dobrowolnie.

Również władze „pokój miłującego związku sowieckiego” zgodziły się na zaproponowaną przez Gomułkę a następnie szumnie rozdmuchaną przez reżimową propagandę, akcję „repatriacyjną”^[67], która w rzeczywistości oznaczała kolejną czystkę żydowską

66 Związek Wypędzonych (niem. Bund der Vertriebenen, BdV) – niemieckie stowarzyszenie skupiające:

- osoby deklarujące narodowość niemiecką, wysiedlone w konsekwencji postanowień konferencji poczdamskiej z byłych terenów niemieckich[1] Polski (Ziemie Odzyskane) i ZSRR oraz z terytorium Czechosłowacji, po zakończeniu II wojny światowej,
- osoby zamieszkujące ww. terytoria w trakcie wojny i ewakuowane lub zbiegłe przed Armią Czerwoną,
- tzw. „późnych przesiedleńców” (Spätaussiedler), czyli osoby, które zadeklarowały narodowość niemiecką i wolę wyjazdu do RFN po 1 stycznia 1993,
- wysiedlonych członków niemieckich mniejszości narodowych zamieszkających uprzednio w innych państwach Europy Środkowo-Wschodniej (w tym mniejszość niemiecka w Polsce, w granicach z 1 września 1939) – niezależnie od obywatelstwa posiadanego przed nabyciem obywatelstwa Republiki Federalnej Niemiec.

Ogółem związek zrzesza dwa miliony członków. Od roku 1998 Prezydentem organizacji jest Erika Steinbach.

67 W roku 1955 w okresie „odwilży” po śmierci Stalina nowa ekipa rządzą-

i polegała na pozbyciu się z Rosji oraz Republik wcielonych do imperium w wyniku II wojny światowej, niektórych Żydów, uznanych za „element niepewny”.

Na przedłużeniu ul. Sękocińskiej poza Szczęśliwicką w kierunku Dworca Zachodniego, w prymitywnym baraku, w którym uprzednio znajdował się hotel robotniczy, zorganizowano dla repatriantów (w rzeczywistości wysiedleńców) przejściowy obóz uchodźców, w którym oczekiwali na wizy austriackie – gdzie znajdował się kolejny obóz uchodźców, oraz gdzie mogli się starać o wizy do Izraela, z którym PRL nie utrzymywała wówczas stosunków – albo na warunki osiedlenia w Polsce. Będąc w Warszawie podczas ferii odwiedzałem ich, szukając rówieśników a zaprowa-

ca ZSRR zainspirowała kampanię powrotu więźniów politycznych przetrzymywanych w łagrach do ich krajów macierzystych. Wstępem do akcji uwalniania więźniów była zawarta w 1955 roku umowa między Chruszczowem a Adenauerem o powrocie z ZSRR niemieckich jeńców wojennych. Ponieważ akcja objęła również przetrzymywanych Polaków, to już w końcu 1955 roku w granicach Polski znalazło się kilka tysięcy ludzi. Komunistycznemu rządowi polskiemu chodziło jednakże nie tylko o więźniów, ale i o ludność zamieszkałą na dawnych Kresach Wschodnich II RP, która nie została stamtąd przesiedlona w latach 1944–1946. W celu wyjednania u władz sowieckich zgody na ich przesiedlenie, do Moskwy udali się 15 listopada 1956 roku Władysław Gomułka oraz Józef Cyrankiewicz. Ich działania (do końca 1956 roku) doprowadziły do sprowadzenia w granice Polski następnej grupy 29 tysięcy Polaków. Ostateczne „porozumienie repatriacyjne” zawarli 25 marca 1957 roku ministrowie spraw wewnętrznych Władysław Wicha i Nikołaj Dudorow. Przewidywało ono przesiedlenie wszystkich osób, które przed 17 września 1939 posiadały obywatelstwo polskie oraz ich współmałżonków i dzieci. Posiadanie takiego obywatelstwa należało jednak udowodnić, co spadało na stronę polską. Mimo że porozumienie przygotowano od strony formalnej całkiem dobrze, to jednak akcja przesiedleńcza nie przebiegała sprawnie. Brakowało dokumentów – często zniszczonych w okresie stalinowskim, które miały udowodnić posiadanie polskiego obywatelstwa. Bardzo trudno było dotrzeć do rozrzuconej na kresach oraz w całym ZSRR ludności polskiej i poinformować ją o możliwości wyjazdu. Sprawę sabotował też „nadzwyczajny pełnomocnik rządu do spraw repatriacji” Stanisław Kalinowski, który jako stalinowski prokurator sam przyczyniał się wcześniej do wywożenia ludzi na wschód. Pomimo wynikłych problemów z roku na rok wzrastała liczba przesiedlonych.

dziła mnie tam Wanda Włodarkiewicz, sąsiadka z parteru, szukająca znajomości mówiąc: „chodźmy do „Kacapów”.

Po polsku tylko niektórzy z dorosłych osób byli w stanie powiedzieć kilka słów a porozumiewali się między sobą głównie po rosyjsku lub w języku jidysz. Poznałem wówczas kilku chłopaków co pozwoliło mi podszkolic mój rosyjski, z jednym z nich nawet później korespondowałem, gdy jego rodzina osiedliła się w Częstochowie. Po roku kontakt się urwał – prawdopodobnie wyemigrowali do Izraela.

Okolice Dworca Zachodniego, nazywane w potocznej mowie „zachodniakiem”, zbudowanego tuż przed wojną, stanowiły w latach 20-tych i 50-tych dziki, niezabudowany teren, pełen lejów po bombach, kilku rozwalonych bunkrów i krzaków, wykorzystywanych jako t.zw. „kuwridołek”. Lubilem po tych terenach szaleć na rowerze korzystając z ubitych i pofałdowanych ścieżek. Od dzieciństwa moim zainteresowaniem cieszyło się kolejniactwo z zwłaszcza pociągi, parowozy, później elektrowozy, rozkłady jazdy itp. Mogłem spędzać długie godziny na Dworcu Zachodnim, żegnać pociągi odjeżdżające, witać przyjeżdżające. Później zdobywałem się na odwagę wsiadając do pociągów i przejeżdżając jedna stacje na gapę do Włoch albo do najbardziej wówczas oddalonej stacji Warszawa- Okęcie. Autobusy zaczęły jeździć do „zachodniaka” dopiero w latach 60-tych a przedtem prowadziła doń tylko jedna brukowana ulica Kopińska.

Po powtórce siódmej klasy, moje szanse kontynuowania nauki w kierunku aktorskim lub muzycznym spełżyły na panewce; do Liceum Ogólnokształcącego drugoroczników nie przyjmowano a z wyborem technikum nie miałem najmniejszych problemów: Technikum Kolejowe, zlokalizowane przy ul. Szczęśliwickiej 56, na skrzyżowaniu z ul. Bitwy Warszawskiej 1920 (zwanej uprzednio

Nowo-Opaczewską, później Wery Kostrzewy) , zbudowane bodajże w roku 1955. Obecnie mieści się tam Zespół Szkół im. inż. Stanisława Wysockiego.

Od dzieciństwa miałem bardzo dobry słuch i wzrok, a zatem pierwszy w życiu wynik badania wzroku przez D-ra Pollocka – pełniącego w Łabędach m.in. funkcję lekarza kolejowego - bardzo mnie i wszystkich zaskoczył. Gdy zasłoniłem lewe oko, odczytałem bezbłędnie nie tylko litery na samym dole ale również stopkę drukarni. Po zasłonięciu prawego oka, lekarz kazał mi zasłonić je całkowicie, nie byłem w stanie odczytać drugiego rzędu liter.

- *Ty chowie mosz ale wada zroku – powiedział – ty się nie nadajesz na kolejorza.*

Potrafiłem odczytać najdrobniejszy druk, nawlec najmniejszą igłę i jednocześnie odczytywałem numer tramwaju lub autobusu na odległość kilkuset metrów. Dopiero po wizycie u D-ra Pollocka uświadomiłem sobie, iż na lewe oko jestem krótkowidzem a na prawe dalekowidzem. Gdy czytałem półleżąc na lewym boku mówiono mi, iż robię zezą a leżąc na prawej przymykałem bezwiednie lewe oko. Używając obu oczu i patrząc na wprost, następuje u mnie automatyczne dopasowanie.

Ciocia Rita była przekonana, podobnie jak mama, że podczas tego badania byłem zmęczony i w związku z czym pojechałem do Warszawy na badanie bezpośrednio w Technikum Kolejowym przez tamtejszego lekarza. Pamiętam jak dziś sześćdziesięcioletniego faceta z siwą bródką i wąsami, który po otwarciu książeczki z kolorowymi kropkami, oraz mojej niemożności odczytania ułożonych z nich liter lub cyfr, napisał w poprzek mojego kwestionariusza dwa słowa:

Daltonizm – niezdalny.

Te dwa słowa zaważyły na całym moim dalszym życiu, po-

nieważ jestem pewien, iż zawód kolejarza był jedynym, który wykonywałbym nie tylko z przyjemnością ale i z pasją.

W budynku Głównego Urzędu Telekomunikacji Międzymiastowej, mieszczącym się przy ul. Nowogrodzkiej 48, w którym pracowała moja mama jako kierownik zmiany kontroli rozmów międzynarodowych, mieściło się również Technikum Łączności nr 1 podległe, podobnie jak GUTM, Ministerstwu Łączności. Obecnie Technikum Łączności Nr. 1 mieści się przy al. Stanów Zjednoczonych na Saskiej Kępie. Swego czasu mama wykładała tam przedmiot BHP (Bezpieczeństwo i higiena pracy) w technikum dla pracujących i była osoba znaną a zatem, mimo iż termin składania wniosków o przyjęcie już dawno minął, udało jej się umieścić mnie na liście kandydatów. Nie miałem już szans na staranie się na najbardziej popularne wydziały radiowy i transmisyjny, bo miejsca były już tylko na wydziale łączenia lub telekomunikacji. Wadą tego wydziału było, iż z uwagi na ciasnotę nauka prowadzona była na dwie zmiany i wydział transmisyjny miał zajęcia po południu.

Szkółę podstawową ukończyłem z wyróżnieniem – którego nie odebrałem osobiście z uwagi na kolizję ze składaniem papierów do Technikum Łączności – i z zadaniami z języka polskiego, matematyki oraz z fizyki na egzaminie wstępnym nie miałem żadnych problemów. Znalazłem się w pierwszej trójce. Do nauki nie rwałem się z wielkim zapalem ale przez pierwszy okres przebrnąłem bez większych problemów. Siedziałem w jednej ławce z Krzyśkiem Miszczakiem z Targówka, któremu imponowała ferajna, skoki do i z tramwajów jako sport, a który nie bardzo rwał się do nauki. Często pomagałem mu zrozumieć zadania z matematyki, fizyki, lub podstaw elektrotechniki. Rok 1957 zaznaczył się w historii PRL jako zakończenie, t.zw. odwilży październikowej, czego przejawem było zamknięcie tygodnika Po prostu. Wydarzenie to

wywołało manifestacje studenckie, brutalnie tłumione przez „gołędziniaków” czyli specjalne oddziały milicyjne przekształcone później w ZOMO rozkazem Komendanta Głównego MO z dnia 17 lipca 1957 (rozkaz nr 5/57). Byłem naocznym świadkiem rozpędzania demonstracji przed budynkiem Akademika przy pl. Narutowicza. Na budynku wisiał ogromny plakat z napisem WOLNOŚCI SŁOWA a przed nim zgromadził się kilkutysięczny tłum skandujący: „po prostu” albo „precz z cenzurą”. Kapitan MO w hełmie przez tubę nakazał rozejście się a następnie gołędziniaki – jak wówczas nazywano ZOMO – roszyli do ataku, uzbrojeni w długie pałki, którymi walili demonstrantów gdzie popadło. Rzucili również kilkadziesiąt granatów z gazem łzawiącym i udało się rozprościć tłum po kilku godzinach. Ponieważ kilku milicjantów oberwało od broniących się demonstrantów - z zemsty wrzucali granaty z gazem do przejeżdżających tramwajów, gazując Bogu ducha winnych pasażerów. Następnego dnia po placu Narutowicza krążyły milicyjne patrole z bronią długą a zamieszki przeniosły się do śródmieścia. W Życiu Warszawy ukazała się lakoniczna wzmianka, zatytułowana: CHULIGAŃSKIE WYBRYKI NA PL. NARUTOWICZA. Później okazało się, iż podobne zamieszki miały miejsce również w Bydgoszczy i w Szczecinie o czym doniosła Polska Kronika Filmowa, nie wspominając marnym słowem o wydarzeniach na Placu Narutowicza.

Krzysiek po szkole przyjechał do mnie po szkole i spał ze mną, bojąc się wracać na drugi koniec miasta; mieszkał przy ul. Św. Wincentego (wówczas tylko Wincentego). Pewnego dnia złożyliśmy z Krzyśkiem do spółki uciulane kieszonkowe i nabyliśmy drogą kupna butelkę wina owocowego, zwanego wówczas alpaga (inne nazwy jak barszcz, żur, kwaśniak, podpis Cyrankiewicza, patykiem pisane, łyżę sołtysa, awanturnik, mózgotrzep, jabcok i wiele, wiele innych powstawały z biegiem czasu) i spożyliśmy

solidarnie przed pójściem do szkoły na cotygodniowe warsztaty. Nawet na takich gówniarzy, jakimi wówczas byliśmy nie była to duża ilość ale Krzysiek musiał się wszystkim pochwalić, że jest pod wpływem alkoholu. Ktoś doniósł do instruktora, ten go zaprowadził do kierownika warsztatów, gdzie również wydał mnie jakło współnika. Mimo, iż po mnie nic nie było znać, wycofano mnie z hali warsztatowej i do końca zajęć musieliśmy pozostać w pokoju kierownika.

Kary, które na nas spadły były surowe: dwójka ze sprawowania i zawieszenie na okres 2 tygodni. Zawieszenie tuż przed półroczem oznaczało powtórzenie klasy – nie sposób bowiem było nadrobić straty. Ponieważ i tak nie miałem serca do tej szkoły, uznałem się za wyrzuconego mimo, iż w żadnych dokumentach taka adnotacja nie figurowała. Kontynuowałem jeszcze naukę w Liceum Ogólnokształcącym dla pracujących przy ul. Białobrzeskiej – w budynku dawnej „Szachtmajerówki” gdzie dochodziłem do IX-ej klasy ale miałem scysje z polonistką panią Suszyńską – przezywaną przez uczniów „Siuśką”. Podczas klasówki, Siuśka powiedziała:

- *Słyszę jakiś głosy – na co odpowiedziałem:*

Ja też, ale ja się leczę.

- *Bolko, wynoś mi się w tej chwili z klasy i nie wracaj bez wejścia do kierowniczk!*

Wyszedłem i więcej nie wróciłem. Ponieważ była to szkoła dla dorosłych a się czułem już dorosły, uznałem to za szczeniackie upokorzenie.

Walęsając się bez celu i sensu natrafiłem na kolegów z pierwszej klasy podstawówki Ździśka Markowskiego i Ryśka Kryckiego, zamieszkałych przy ul. Słupeckiej, oraz Tadeusza Borzymę z ulicy Kopińskiej, którzy razem uczęszczali do wieczorówki, nie mogąc się uporać z podstawówką. Zaraz po skończeniu podstawówki Ździ-

siek poszedł do pracy a ja wałęsałem się w ciągu dnia z Andrzejem Szymczakiem i Jurkiem Filipowiczem. Moje ówczesne towarzystwo było bardzo mało wymagające intelektualnie, co mnie odpowiadało, bo nie zmuszało do poważniejszych wysiłków umysłowych jednocześnie nadając status osoby wszystko-wiedzącej. Moi koledzy, synowie robotników mieli jednak nade mną przewagę w czynnościach manualnych, gdyż mając w domu ojców od dziecka uczyli się majsterkowania. W moim domu jedynymi narzędziami były szklarski młotek i obcęgi.

Po śmierci dziadka nie było komu uczyć mnie męskich czynności domowych. Był to jeden z powodów, obok posiadania własnych pieniędzy, że w wieku 15 lat poszedłem do pracy razem ze Ździśkiem Markowskim, który miał nade mną przewagę stażu jednego roku. Dokładnie 9 września 1958 roku, rozpocząłem pracę w Spółdzielni Pracy Elektryków, której zarząd i biura mieściły się przy ul. Pięknej 3, vis-a-vis pustego terenu, na którym później zbudowano Ambasadę Stanów Zjednoczonych z wejściem do Konsulatu od strony Pięknej. Zostałem zatrudniony w charakterze pomocnika elektromontera, ze stawką 3 zł na godzinę (ówczesna cena paczki „Sportów”) początkowo na budowie rozdzielni sieci miejskiej wysokiego napięcia przy ul. Cieszkowskiego na Żoliborzu. Praca była w akordzie, przekraczając normy można było wyciągnąć t.zw. mnożnik akordowy, wynoszący w porywach do 2,5. Budowa rozdzielni obejmowała wszystkie, z wyjątkiem murarskich i malarskich, czynności montażowe: konstrukcje, montaż izolatorów, wyłączników, odłączników, przełączników napięciowych i prądowych, szaf sterowniczych, montaż osprzętu itd. Do nas czyli „chłopaków”, jak monterzy nazywali pomocników, należały najgorsze czynności: czyszczenie i malowanie konstrukcji, wiercenie i gwintowanie otworów pod izolatory, wyłączniki i inną aparaturę,

dźwiganie i montaż aparatury, z której wyłączniki olejowe ważyły do 200kG, kucie otworów przez betonowe stropy, cięcie kształtowników metalowych itd. Niektórzy monterzy, czyli wyzwoleni czeladnicy traktowali nas gorzej, niż można sobie wyobrazić. Rozumiem, iż dyscyplina w miejscu pracy jest niezbędna, ale niekoniecznie musi być wdrażana przy pomocy wrzasków, połączonych z najgorszymi wyzwiskami. Mając ten negatywny przykład postanowiłem sobie, iż nigdy nie będę traktował podwładnych w ten sposób, w jaki traktowano mnie w pierwszej pracy. W ostatnim miejscu pracy moimi podwładnymi byli skazani kryminaliści: mordercy, gangsterzy, gwałciciele, włamywacze, notoryczni złodzieje, handlarze narkotyków i do każdego z nich zwracałem się per „pan”, starałem się nie podnosić głosu i nigdy nie używałem wyzwisk. Okres niezbędny do wyzwolenia, czyli usunięcia słowa „pomocnik” z przed „elektromonter” wynosił 5 lat. Jedynym sposobem na skrócenie tego okresu było pójście do zawodówki, co uczyniłem a ze mną część innych chłopaków, m.in. Ździsiek.

17 ZAMIAST 24

W ośrodku Robotniczego Klubu Sportowego Skra, przy ul. Wawelskiej czyli 10 minut piechotą ode mnie, zorganizowano szkołę bokserską, prowadzoną przez trenerów Zygmunta „Munia” Małeckiego, pana Pernaka (nie pamiętam imienia) i samego Feliksa Stamma. Sekcja bokserska RKS Skra (nazwa powstała od czytania wspak skrótu od: Akademicko Robotniczy Klub Sportowy), właśnie ulegała rozsypce po likwidacji II Ligi, a działacze mieli ambicje zacząć od początku. Jedną nadzieję polskiego boks w wadze ciężkiej Ryszard Mańka wybrał wolność po wyjazdowym meczu juniorów Anglia-Polska, jego następca Władysław Komar, po dotkliwej porażce z Włochem Mastheginem zrezygnował całkowicie z boks, przerzucając się na pchnięcie kulą, w której to konkurencji zdobył złoty medal na XX Igrzyskach Olimpijskich w Monachium w 1972 roku. Stanisław Pełka, Bogusław Niedźwiedź (zmienił później nazwisko na Niedziński), bracia Andrzej i Stanisław Łukomscy oraz Zbigniew Szymaniak zasilili milicyjny klub WKS Gwardia Warszawa a Sergiusz Mazurek po powołaniu go do służby wojskowej przeniósł się do Legii Warszawa, gdzie walczył do zakończenia kariery, po której został sędzią.

Andrzej Łukomski, Zbyszek Szymaniak i Sergio Mazurek zdobywali tytuły mistrzów Warszawy przy czym Zbyszek dotarł nawet do finału mistrzostw Polski. Nie znam szczegółów ale bardzo utalentowany Zbyszek podpadł kiedyś ówczesnemu prezesowi PZB Stanisławowi Cendrowskiemu, który raz na zawsze wyrzucił go z kadry. W wieku 16 lat miałem 175 cm wzrostu i ważyłem za-

ledwie 55kg, czyli miałem idealną figurę na ówczesne warunki polskiej szkoły boksu polegającej na utrzymywaniu przeciwników na dystans lewym prostym i kontrowaniu prawym wykorzystując duży zasięg ramion. Szkołę tą reprezentowali m.in.: mistrzowie Europy Jerzy Adamski, Leszek Drogosz (3-krotnie), Zbigniew Pietrzykowski (4-krotnie), Bogdan Gajda, mistrz Europy i olimpijski Kazimierz Paździor, mistrz olimpijski Jurek Rybicki, mistrz Europy, wicemistrz olimpijski i świata Wiesław Rudkowski oraz dwukrotny medalista olimpijki i wicemistrz Europy Janusz Gortat. Po stoczeniu kilku walk z różnym szczęściem i opuszczeniu kilku dni w szkole przeprowadziłem rozmowę ze Ździśkiem - z którym spędzałem najwięcej czasu, w pracy, w szkole i na Sali treningowej - stawiając kwestię: albo szkoła, albo boks.

- *Boks* – odpowiedział Ździsiek bez chwili wahania.

- *Szkoła* – dokonałem wyboru i chyba trafnego.

Ździsiek nie zrobił kariery na miarę Jurka Kuleja – któremu służyliśmy za worki (oficjalnie sparring-partnerzy) do obijania podczas zgrupowań kadry na Skrże, a powołany wkrótce do wojska musiał jeszcze dwa lata po „woju” pracować jako „chłopak”, zanim skończył zawodówkę. Całkiem jednak z boksu nie zrezygnowaliśmy. Złożyliśmy się z naszych zarobków na parę używanych rękawic 8-uncyjnych, przy pomocy których odbywaliśmy „treningi” u Ździśka w piwnicy przy ul. Angorskiej na Saskiej Kępie. Ojciec Ździśka –sympatyczny facet, który mnie bardzo lubił z pełną wzajemnością zresztą - po przejściu na emeryturę otrzymał wraz z małżonką posadę dozorczy w nowym domu przy ul. Angorskiej w pobliżu skrzyżowania Alei Waszyngtona z ulicą Międzynarodową a do posady tej dołączone było również mieszkanie na parterze. Razem ze Ździśkiem „obłowiliśmy się” w trakcie zasiedlania nowo oddanego budynku, instalując żyrandole, których podłączenie

(trzy przewody wychodzące z rurki miały być podłączone do trzech przewodów wychodzących z żyrandola, przy pomocy kostki zaciskowej) stanowiło dla niektórych lokatorów problem. 25 lat później i kilka tysięcy kilometrów na zachód, wraz z Jolą objęliśmy również posadę, z której wówczas tak zadowoleni byli pp Markowscy.

Pewnego wieczoru – a było to dokładnie 14 marca 1961 roku – po „treningu” u Ździśka wracaliśmy z Ryśkiem Kryckim, zamieszkałym przy ulicy Słupeckiej do domu, czekając na tramwaj 24, którym mogliśmy dojechać aż do okolic Dworca Głównego, czyli skrzyżowania Alej Jerozolimskich z Towarową, a stamtąd mogliśmy już podejść piechotą. Tymczasem nadjechała 17-ka, kursująca wówczas na trasie Wiatraczna – Pl. Trzech Krzyży, która mogła nas dostarczyć do Nowego świata a stamtąd albo 25 albo 9-kę, kursującą na trasie Solec-Wiadukt – Opaczewska. W każdym razie mogliśmy albo wsiąść albo poczekać na 24, a ja nie zdawałem sobie sprawy, że oto stanąłem przed wyborem decydującym o reszcie mojego życia.

- *Zobacz jaka dupa na tylnim pomoście* – zauważył Rysiek - *wskakujemy.*

„Dupa” znaczyło w tamtych czasach to samo, co obecnie laska, a przedtem kociak, flama (po śląsku), cizia, a później cipa, panna, dziewczyna, holka. Wiem, iż wszystkie osoby płci żeńskiej czytające ten fragment, wpadły teraz w furję ale nic na to nie poradzę, iż taka wówczas obowiązywała gwara wśród chłopaków. Oczywiście żadna dziewczyna nie miała o tym żargonie pojęcia bo inaczej musieliby powtarzać w nieskończoność: *„noc spędziłem nadaremnie, była dupa, ale ze mnie”*. Nie tak dawno, jedna z moich znajomych na Facebook spierała się ze mną, iż amerykańskie określenie dziewczyny „chick” czyli pisklak, jest obraźliwe, bo tak jej powiedział „znajomy Amerykanin”. Dla mnie jest obraźliwe

określenie dziewczyny „laska”.

Na tylnym pomoście drugiego wagonu stała dziewczyna średniego wzrostu w zielonym palcie, o piegowatej buzi i niebieskich oczach. Rysiek natychmiast „zaatakował” ją pytaniem, co taka piękna pani robi samotnie o tej porze oraz czy ma coś przeciwko temu, żebyśmy jej dotrzyмали towarzystwa a wówczas nie będzie się czuła samotnie. Zaczepiona uśmiechnęła się a ośmielony tym Rysiek kontynuował:

- *Ja jestem Rysiek* – powiedział wyciągając rękę a gdy nieznajoma wyciągnęła swoją, z namaszczeniem ją ucałował - *a to jest Bolek* – dodał wskazując na mnie.

- *Bolko* - poprawiłem, również całując rękę dziewczyny obdarzonej noskiem o najpiękniejszym kształcie jaki kiedykolwiek przedtem i potem widziałem.

- *Jola* – przedstawiła się piegowata, śliczno-nosa piękność – *ma pan ładne imię* - dodała.

- *Dziękuję a pani jeszcze piękniejsza* – odpowiedziałem zawstydzony.

- *A dokąd pani jedzie?* – zapytał Rysiek,

- *I czy możemy pani towarzyszyć?* - Dodałem, co wywołało kolejny uśmiech Joli.

Okazało się, że Jola jechała na przystań Skry, położoną mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie dzisiaj znajduje się wlot do tunelu pod Wisłostradą. Wysiedliśmy razem na przystanku przy Solcu i ruszyliśmy w kierunku południowym. Gdy Ryśkowi wyczerpał się oklepany repertuar p.t.: „jak zagaic rozmowę z nieznajoma dziewczyną”, do akcji przystąpiłem ja, starając się tak pokierować rozmową, by jaknajwięcej się o naszej nowej znajomej dowiedzieć. Mineliśmy przystań Skry, na której Jola miała trening, t. zw. suchą zaprawę. Uprawiała kajakarstwo a my boks,

i wszyscy należeliśmy do tego samego klubu. Doszliśmy prawie do Torwaru, gdy Jola zauważyła, iż przystań Skry została daleko za nami, gdy byliśmy pochłonięci rozmową. Zawróciliśmy, mijając przystań Skry ponownie ale w końcu Jola zdecydowała, iż i tak już się na trening spóźniła i kontynuowaliśmy nasz spacer wzdłuż Wybrzeża Kościuszkowskiego aż do mostu śląsko-Dąbrowskiego. Siąpił drobniutki kapuśniaczek, zwany po angielsku mist, było w miarę ciepło zwłaszcza, że nasze 17-18-19-letnie nogi (Joli – Ryśka-moje) pozwalały na utrzymanie tempa zbliżonego do marszu. Nie pamiętam kiedy przeszliśmy na Ty, ale wiem tylko, że nie trwało to zbyt długo. W owych czasach przejście na Ty wymagało dłuższej znajomości, uwieńczonej wypiciem bruderszaft. Nie pamiętam już nawet o czym rozmawialiśmy, pamiętam tylko, że usta mi się nie zamykały a małomówna z natury Jola coraz chętniej i coraz szerzej odpowiadała na moje pytania lub komentowała moje wypowiedzi. Ja się rozkręcałem a Rysiek stopniowo wyciszał gdy cała rozmowa toczyła się później niemal wyłącznie między Jolą a mną. Przeszliśmy przez Most śląsko-Dąbrowski, później zeszliśmy w dół do Wybrzeża Szczecińskiego, omijając niesympatyczną Targową a Zamoyskiego dotaliśmy do Zielenieckiej, gdzie wsiedliśmy w „trójkę”.

Tramwajem dojechaliśmy do Wiatracznej – gdzie jeszcze nie było ronda tylko pętla tramwajowa, a stamtąd Majdańską do Grenadierów, gdzie pod nr 33 mieszkała Jola z rodzicami i z bratem Andrzejem. Na pożegnanie spytałem o numer telefonu, o ile ma takowy i okazało się, że miała, nawet bardzo łatwy do zapamiętania 11-22-33, znacznie łatwiejszy niż numer lokomotywy w Peczkach 4268, którą pewien maszynista miał odprowadzić do remontu w Lysej nad Łabą. (Jaroslav Haszek „Dole i niedole dzielnego żołnierza Szwejka podczas wojny światowej”, przełożył

Józef Waczków, Tom III i IV, Książka i Wiedza, Warszawa 1991, s. 347.) Ponieważ nie bardzo chcieliśmy odejść, Jola powiedziała, że wróci za 10 minut z psem na spacer. Rzeczywiście za 10 minut Jola wyszła prowadząc na smyczy zgrabnego, razowego owczarka niemieckiego, płci żeńskiej, wabiącej się Diana. Uprzedziła nas z góry, żeby, broń Boże nie wyciągać do Diany ręki. Mądrej głowie dość dwie słowie i przezornie złożyłem obie dłonie na plecach, natomiast Rysiek uważał, że jest wyjątkiem i gdyby nie kaganiec na pysku Diany to nie wspominałby tego wieczoru zbyt miło. Po półgodzinnym spacerze w towarzystwie Diany, która po dwóch wizytach mnie zaakceptowała, a tymczasem uważnie obserwowała, rozeszliśmy się do domów.

Po przybyciu do domu natychmiast skorzystałem z podanego numeru telefonu i przegadaliśmy jeszcze z godzinę, umawiając się na następną niedzielę 19 marca przy rogu Alej Jerozolimskich i Emilii Plater, dokąd Jola miała bezpośredni autobus 102 a stamtąd poszliśmy piechotą do kina OKA, mieszczącemu się na terenie jednostki wojskowej w pobliżu skrzyżowania Koszykowej i Chałubińskiego. Obejrzeliśmy western „Mściciel z Laramie” z Jamesem Stewartem w roli głównej. Jola później opowiadała, iż była rozczarowania tą naszą pierwszą randką. O ile podczas naszego poznania w tramwaju bardzo jej wpadłem w oko – spodobał jej się zwłaszcza mój nos – o tyle tym razem wydałem jej się niski i nieciekawym.

Był chłodny wiatr, wtuliłem głowę w kożuch i przez to być może miała problem z moim wzrostem. Po kilku spotkaniach Jola nabrała dla mnie więcej sympatii. Nasze spotkania musiały być ograniczone z uwagi na konieczność przygotowania do matury. Jola uczęszczała wówczas do 11-ej klasy Żeńskiego Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Curie-Skłodowskiej na Saskiej Kępie i do

egzaminów maturalnych zostały jej niecałe dwa miesiące. Pewnego dnia przeziębila się i była zmuszona odwołać naszą randkę a przy okazji potrzebowała jakąś książkę z biblioteki. Wprawdzie uprzedzała mnie, że będę miał „pieriepałkę” z jej tatą ale do odważnych świat należy – powiedziałem sobie i zawiozłem jej tę książkę osobiście. Wraz ze czekającą na mnie Dianą wszedł dom pokoju Joli jej tata i zapytał basem:

- *A pan to co za jeden?*

- *Nazywam się Bolko Skowron, przepraszam, że się nie przedstawiłem,* - odpowiedziałem przezornie nie wyciągając ręki, by nie rozdrażnić Diany, która na dźwięk mojego głosu się uspokoiła – *przywiozłem książkę, którą Jola potrzebuje* – dodałem unosząc w górę dowód mojej prawdomówności.

- *A skąd pan zna moją córkę?* – padło następne pytanie ale już mniej rozgniewanym tonem.

- *Z klubu* – zmyśliłem na poczekaniu – *należymy do tego samego klubu; Jola jest w sekcji kajakarskiej a ja w boksterskiej* – mając nadzieję, iż nie przyjdzie mojemu przyszłemu teściowi do głowy ustalenie, iż obie sekcje mieszczą się w różnych częściach miasta.

- *Wie pan, że Jola ma niedługo maturę i musi się uczyć?* – zapytał pan Tadeusz Poźniak, urzędnik w Departamencie Wojskowym Ministerstwa Łączności.

- *Wiem, ja tylko na chwilę, zaraz uciekam* – odpowiedziałem, po czym tata Joli wyszedł wraz z Dianą, która znów zaczęła szczekać.

- *Ale żeś wymyślił z tym klubem* – pokręciła głową uśmiechając się Jola – *nigdy bym na to nie wpadła.*

Ojciec Joli nie mógł pogodzić się z faktem, iż mając 17-letnia córkę będzie musiał zaakceptować jej kontakty z chłopaka-

mi. Prawdę mówiąc, liczba tych chłopaków, od momentu gdy Jola mnie poznała, ograniczyła się do jednego.

RODZINA JOLI

Drzewo genealogiczne Joli ograniczę do jej najbliższej rodziny zwłaszcza, że ustalenie wszelkich powiązań było bardzo trudne z uwagi na luki w pamięci osób przepytanych. Tadeusz Poźniak miał wileńskie korzenie ale przyszedł na świat w Markach pod Warszawą, jako jeden z czwórki chłopaków. Najstarszy Mieczysław (1908-1982), żonaty z Jadwigą Lipską (1908-1968) miał troje dzieci: Wojciecha (1931 – 1969), Małgorzatę(ur. 1936) po mężu Węgrowską oraz Bożenę (ur. 1941) po mężu Herman. Wojciech nigdy nie zapamiętał ani mojego imienia ani stopnia pokrewieństwa, gdy czasami spotkaliśmy się na imieninach u kogoś z rodziny Stryjka Wacka, zwracał się do mnie per „pan”. Był kelnerem w restauracji Hotelu Europejskiego, powodziło im się bardzo dobrze, z niewyjaśnionych powodów popełnił samobójstwo. Mieli wraz z żoną Elżbietą jedną narodziła się Kinga, która młodo została matką Julii. Małgosia wyszła za mąż za Tadeusza Węgrowskiego, pracownika administracyjnego Politechniki Warszawskiej. Mają jedną

córkę Beatę, która zrobiła naukową karierę. Studiowała kiedyś na Akademii Rolniczej i na ślubie Iwonki rozpoznała się z moim stryjeczynym bratem Jędrkiem. Beata po mężu Burzyńska ma dwóch synów Tomasza i Wojciech, obaj posiadający własne rodziny. Najmłodsza córka stryjka Mietka Bożena wyszła za mąż za Leszka Hermana, z którym po raz pierwszy pokazała się publicznie na naszym ślubie. Leszek zmarł na chorobę nowotworową w 1991 roku, mieli jednego syna Artura, który również założył własną rodzinę.

Jan Poźniak należał do czwórki braci ale o nim, poza tabliczką znaleziona w szopie u teściów „Jan Poźniak - Warsztat Elektrotechniczny” nic mi nie wiadomo. Za każdym razem, gdy pytałem o jego whereabouts zagadnięte osoby natychmiast zmieniały temat, lub zbywały mnie określeniami: „zaginał”, „nic nie wiem”, „a to długa historia” itd.

Najmłodszy z Poźniaków Wacław (1912-1986), zwany Strypek Wacek pracował przez długie lata jako pracownik a później kierownik ambulansów pocztowych na kolei. Często wyjeżdżał za granicę i jako pierwszy z rodziny stał się posiadaczem 11-calowego telewizora marki Wisła. Był to ogromny, ciężki mebel ze skrzynią z twardego drzewa i podnoszoną klapą, wykonany na licencji rosyjskiego „Awangarda”, o wadze 55kg. Wacek miał porządne poglądy polityczne, regularnie słuchał Wolnej Europy. Z żoną Wiktorią z d. Popiołek (1918-1993) mieli trzy córki: Krystynę, Elżbietę i Katarzynę. Lubił konkurować z moim teściem w każdej dziedzinie i nawet kiedyś musiałem stanąć obok Janusza by udowodnić, że jestem wyższy od jego zięcia. Przy każdym spotkaniu spierali się niemal o wszystko ale żyć bez siebie nie mogli. Stryjostwo Wackostwo mieszkali przy ul. Dobrowoja czyli 10 minut piechotą od domku moich teściów a zatem ich a później nasze kontakty były dość częste. Krysia, która jest matką chrzestną Iwonki wyszła za

mąż dopiero gdy jej młodsze siostry miały już dzieci. Niestety jej małżeństwo z Markiem Nowakiem (1935- 1998) trwało zaledwie kilka lat, a ponieważ było zawarte po naszym wyjeździe, nie miałem okazji go poznać osobiście za jego życia. Ela wyszła za mąż za Jana „Janusza” Gruszę (1943-2001), z którym miała jedynaczkę Monikę. Monika wyszła za Artura Pokorskiego, z którym mają Adriana i Natalię. Janusz długo chorował, leczony był na płuca a zmarł na rozległy zawał. Kasia skończyła Technikum Gastronomiczne, w którym później została nauczycielką aż do emerytury. Została ciotką (dla naszej Iwonki) w wieku 11 lat i z tego powodu zwracałem się do niej per „ciotka”. Ciozia Kasia wyszła za Leszka Czochrę, z którym ma dwoje już dorosłych dzieci Grześka i Agnieszkę – oboje po studiach; Grzesiek po informatyce a Agnieszka po medycynie. Grzesiek ożenił się z wdową z dwójką dzieci Katarzyną Barszcz (1974-2011), która zmarła po krótkiej lecz gwałtownej chorobie tuż przed moim przyjazdem po odbiór Krzyża Wolności i Solidarności.

Mój teść Tadeusz Poźniak (1908-1987) skończył Gimnazjum Ojców Marianów na Bielanach. Pracował jako kierownik ambulan-sów pocztowych a później, aż do emerytury w Ministerstwie Łączności, gdzie doszedł do stanowiska starszego inspektora. Pobrali się z Janiną Prusinowską (1906-1992) w 1936 roku a rok później przyszedł na świat ich syn Andrzej. Moja teściowa odziedziczyła po rodzicach piętrowy dom przy ul. Grenadierów 33 na Grochowie, który dzieliła wraz z bratem Władysławem (1903-1955). Budynek ten posiadał trzy mieszkania: 2-pokojowe (zajmowane przez moich teściów z dziećmi), 3-pokojowe przez brata teściowej z żoną Feliksą(1907-1984), ich synem Bogdanem(1936-2013) i córką Haliną, oraz 2-pokojowe na piętrze, przed wojną zajmowane przez Jana Poźniaka. Po nastaniu władzy „ludowej”, dom upaństwowio-

no, do pustego mieszkania po zaginionym Janie Poźniaku zakwaterowano dwie rodziny a do trzeciego pokoju na parterze dokwaterowano pana Leona. W suterenie znajdowała się kiedyś pralnia, w której podczas naszego wesela składowano płaszcze gości a później Andrzej zagospodarował ją na pokój z wydzieloną kuchnią i ubikacją. Janina Prusinowska miała kilku braci i kilka siostr stryjecznych. Jeden z nich Stanisław Prusinowski (1916-2003) – zwany Staśkiem z Olsztyna, osiedlił się w Gąglawkach k/Olsztyna gdzie był dyrektorem PGR i miał trzy córki: Hannę, Alinę „Lilkę” i Teresę, oraz jednego syna Andrzeja. Kilka lat temu usiłowałem rozbudować tą gałąź ale z braku zainteresowania potomnych dałem sobie spokój. Inny brat stryjeczny mojej teściowej – rodzony brat Staśka z Olsztyna, Franciszek(1913-1999) w czasie wojny zdołał uciec przed sowiecką inwazją na Węgry, był żołnierzem II Korpusu generała Andersa, walczył m.in. pod Monte Cassino a po wojnie zamieszkał w Londynie gdzie ożenił się z pielęgniarką Teklą Kaletą (1913-1985).

W Londynie przyszła na świat jedyna córka Teresa a po emigracji do Stanów w 1950 roku urodzili się Janek (ur. 1952) i Tomek (1956-2006), obaj w Detroit. Teresa w krótkce po ukończeniu szkoły średniej poznała Williama „Billa” Fields, który po ojcu odziedziczył w Fort Myers na Florydzie business konserwacji basenów, przekwalifikowany przez Billa na instalacje baterii słonecznych do ogrzewania tychże basenów i boilerów na ciepłą wodę. Teresa i Bill mają dwoje dzieci Yvette i Aarona, oboje już pozakładali rodziny i obdarzyli państwa Fields wnukami, wyprowadzając się do New Mexico. Po przepracowaniu 30 lat w odlewni i przejściu na emeryturę, Frank wraz z żoną i Tommy przeprowadzili się na do Fort Myers na Florydę zostawiając Jankowi dom w Dearborn, Michigan. Janek skończył studia medyczne i pracuje jako pielęgniarz w szpi-

talu Henry Forda w Detroit, jest żonaty z Rebeccą, mają dwie córki Lydia i Elene. Po śmierci Tekli Teresa opiekowała się ojcem, pomagając mu w rachunkach, załatwiając sprawy w urzędach, ponieważ przebywając większość życia w środowisku polskim nigdy dobrze nie nauczył się angielskiego.

Tommy nigdy się nie ożenił, zmarł przeżywszy lat 50. Inna siostra stryjeczna Janiny miała dwoje wnucząt Hannę i Andrzeja Sosińskiego, absolwenta technikum samochodowego, który po ojcu odziedziczył warsztat samochodowy w Henrykowie pod Warszawą. Andrzej czuł, że może znacznie więcej zwojować za Oceanem i podążył śladami swojej szwagierki do Chicago, gdzie zamieszkał z żoną Basią oraz synami Adamem i Michałem. W Chicago prowadził t.zw. chop-shop, polegający na kupowaniu w miarę nowych, rozbitych samochodów na giełdzie a następnie rozdzielaniu i połączeniu nierozbitych fragmentów z dwóch lub więcej aut.

Z biegiem czasu Andrzej prowadzący business wraz ze starszym synem Adamem i synową Marysią, która prowadziła wszystkie sprawy administracyjno- księgowo-podatkowe, zarejestrował firmę A&A jako licencjonowany dealership używanych samochodów. Po osiągnięciu wieku emerytalnego Andrzej z Basią sprzedali business i wyprowadili się z Chicago w okolice niezbyt odległe zarówno od Michała jak i Adama. Pochodząca z Podhala – jak większość Polaków w Chicago Marysia, która ma głowę do interesów i umie walczyć o klienta, odciągnęła Adama od businessu ojca i razem zajęli się czyszczeniem mebli po pożarach na zlecenie firm ubezpieczeniowych. Michał w tym czasie studiował a po studniach nieszczęśliwie się ożenił. Do tej pory pozbierał się, kupił ładny segment w dobrej dzielnicy i pracuje jako ekspert od japońskich maszyn sortujących tabletki w dużych aptekach, większość czasu spędzając na wyjazdach po wszystkich Stanach, Kanadzie i Japo-

nii. Business Marysi i Adama prosperuje, jak dotąd, znakomicie, kilka lat temu zbudowali ogromny dom, każde z nich ma Hummerra. Siostra Andrzeja Hanka wyszła za mąż za Waldemara Opydo (1944-1991) z którym miała dwie córki Alicję i Renatę. Po śmierci Waldka również wyemigrowała do Stanów i wraz z drugim mężem mieszkała w Chicago aż do śmierci w połowie stycznia 2014. Brat mojej teściowej Władysław i jego żona Felicja mieli dwoje dzieci Bogdana i Halinę. Bogdan miał zamiłowania sportowe; gimnastykował się, pchał kulę w ogródku, po skończeniu technikum budowlanego pracował jako kierownik ekipy tynkarskiej w Przedsiębiorstwie Robót Elewacyjnych. Ktoś mądry wpadł na pomysł by o tynkowanie domów zawierać umowę o dzieło w każdym przypadku z brygadą tynkarzy. Efekt tej nietypowej w socjalistycznym ses-temie formy wykonywania zleceń był ze wszech miar pozytywny: Warszawskie osiedla w ciągu kilku lat pozbyły się gołych murów a pracownicy PRE zarabiali tak jak się zarabiało tylko na Zachodzie. Dzięki temu Bogdan dość szybko dorobił się „warszawy” i placu we Włochach a za swa część po przejęciu domu pod budowę Trasy Łazienkowskiej postawił tam dom, gdzie mieszkał aż do śmierci w grudniu 2013r. wraz z żoną Anną i córką. Bezdzielne małżeństwo Haliny z Józefem „Adamem” Piłką nie było zbyt udane i rozpadło się po kilkunastu latach.

Starszy brat Joli Andrzej Poźniak (1937-1992) był bardzo zdolnym inżynierem i posiadał cechy „złotej rączki” odziedziczone po ojcu. Potrafił zaadaptować pralnię na pomieszczenie mieszkalne samodzielnie wykonując roboty murarskie, malarskie, hydrauliczne i elektryczne, z szopy zrobił garaż. Podczas adaptacji zainteresował się kuchnią węglową z piekarnikiem wystawioną do ogródka przez pana Leona – sublokatora Bogdana i Haliny. Pan Leon, który i tak nie miał większych planów w stosunku do kuch-

ni, należącej do mijającej epoki, zaproponował Andrzejowi cenę 800zł, co stanowiło chyba połowę miesięcznego wynagrodzenia stażysty u świerczewskiego. Do budowy garażu Andrzej potrzebował sporo piasku, który po prostu wykopał w ogródku pozostawiając głęboki na 2 metry dół. Nie pamiętam komu przyszedł do głowy pomysł wypełnienia dołu kuchnią pana Leona, którą i tak trzeba było omijać. Było nas kilku chłopów: Andrzej, Bogdan, Adam i ja i nie zastanawialiśmy się dwa razy; nie minęło pół godziny gdy ani po dole ani po kuchni pan Leona nie zostało śladu, zastąpionego piaskownicą dla naszych dzieci. Pan Leon zauważył brak kuchni po kilku latach i zastanawiał się tylko w jaki sposób złodzieje mogli wywieźć taki ciężki przedmiot. 10 lat później koparka wyrównująca teren pod budowę przyszłej Trasy Łazienkowskiej natrafiła na kanciasty, twardy przedmiot nieznanego pochodzenia i operator wstrzymał pracę zawiadamiając o znalezisku saperów.

Andrzej skończył Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej a po skończeniu stażu u świerczewskiego pracował w Państwowym Instytucie Hydrologiczno-Meteorologicznym,, przemianowanym później na Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej. W czasie studiów wielokrotnie razem instalowaliśmy na dachach klientów z ZURT-u gdzie przez 2 lata pracowałem, anteny telewizyjne, wzmacniając domowe budżety. Obaj z Bogdanem lubili rywalizację. Gdy Bogdan kupił motocykl MZ, Andrzej odpowiedział Jawą CZ. Gdy Bogdan zamienił motor na Syrenkę 102– Andrzej odpowiedział Syrenką103, której spłaty pochłaniały Iwią część ich dochodów. Gdy Bogdan przesiadł się z Syrenki na Warszawę – odpowiedzi nie było. Będąc jeszcze bardziej małomówny i nieśmiały od Joli, nie miał wielkiego powodzenia u dziewcząt. Podczas jakiegoś wesela poznał swoją daleką kuzynkę Zosię Kucharek (1941-2008), z którą zaczął chodzić a następnie zamieszkali razem w za-

adoptowanej suterenie, biorąc ślub w maju 1962. Zaskoczył całą rodzinę i wszystkich znajomych ujawniając, iż był ostatnią osobą, która dowiedziała się, że Zosia jest w ciąży. Mimo, iż Zosia ścisnęła się, dla nikogo nie mogło być wątpliwości co jest grane. Jak mógł tego nie zauważyć człowiek, z którym spędzała dni i noce, pozostanie dla mnie nieodgadnietą tajemnicą. Pewnej nocy kazała się zawieźć do szpitala na Solcu, gdzie przyjęto ją na wydział położniczy, natomiast Andrzejowi – który chyba umiał czytać – wmówiła, że to wydział ginekologiczny a rozpoznanie to ostre zapalenie jajników. Po powrocie z pracy mój szwagier pojechał do szpitala, będąc bardzo zdziwiony, iż nie może zobaczyć się z żoną, tylko musi zadzwonić na wydział położniczy, gdzie mu powiedziano:

- *Gratulacje, ma pan córeczkę.* – Andrzej zamurowało, nie odzywał się i po chwili pani dodała:

- *Wolałby pan pewnie syneczka, ale proszę z żoną popracować, będzie następny.*

Nie wiedział co ma ze sobą zrobić i zadzwonił do mamy, która również nie mogła uwierzyć, iż 25-letni facet z wyższym wykształceniem mógł nie zauważyć ciąży u swej żony, z którą od roku spał. Długo trwało zanim się pozbierał i jeszcze dłużej zanim Dorotka zaczęła się rozwijać z zabiedzonego zniekształconego ścisaniem matki niemowlęcia. 7 lat później Zosia ponownie zaszła w ciążę i ponownie Andrzej był jedyną osobą z otoczenia, która o tym nie wiedziała, aż mu rodzona siostra czyli Jola musiała powiedzieć, żeby się przestał ośmieszać. Zośka nadal szła w zaparte ale w końcu wydała na świat syna Marka.

Dorota gdy tylko zaczęła chodzić, ściągnęła na siebie duży garnek z wrzątkiem odnosząc rozległe oparzenia. Zośka zrobiła najgłupszą rzecz, jaką można w takiej sytuacji, czyli zdarła z niej ubranko razem ze skórą a poparzeliny posmarowała masłem. W

rezultacie Dorota ma trwałe uszkodzenie mięśni ręki, co czyni ją w dużym stopniu niesprawną. Wkrótce po przyjściu na świat Marka wyszło na jaw, iż Zosia ma romans na boku i mimo długotrwałego uporu Andrzeja doszło między nimi do rozwodu. Andrzej popadł w depresję i po podziale dzieci Marek przypadł matce a Dorota dziadkom. Było to już po rozebraniu domu przy ul. Grenadierów, teściowie otrzymali wzamian za dom mieszkanie przy ul. Nubij-skiej na Saskiej Kępie oraz kredyt, o wysokości którego nie chcieli nas poinformować. W każdym razie starczyło go na 3-pokojowe mieszkanie na Kępie Gocławskiej, w którym Andrzej zamieszkał z Dorotą, oraz z Markiem, po osiągnięciu przezeń pełnoletności. Pozostałe z odszkodowania za dom pieniądze teściowie przepuścili na liczne rozprawy sądowe z Zośką; a to o alimenty, a to o ustalenie opieki nad Markiem, a to o podział mieszkania, które Andrzej konsekwentnie przegrywał.

Wykorzystując chorobę, łatwowierność i koneksje nowego męża – prawnika i funkcjonariusza SB, Zośka wyciskała co tylko się dało z ex-męża a ściślej ze schedy po jego rodzicach. Dorota wyszła za mąż za Andrzeja Kasińskiego, który wraz z nimi zamieszkał. Związek ten nie był specjalnie udany w przeciwieństwie do jego owoców Marty i Witolda. Marta skończyła pedagogikę, w roku 2012 wyszła za mąż z Rafała Sentarka i równo rok później urodziła się im śliczna córeczka Alutka. Witek skończył prywatną wyższą Szkołę Cła i Logistyki i pracuje jako prezes i właściciel firmy zajmującej się przeprowadzkami na terenie Unii Europejskiej. Dorota po rozejściu z Andrzejem weszła w związek z Grześkiem Kostrzewą – parającym się przeprowadzkami a ze związku tego narodziła się im śliczna Sylwia, uczęszczająca do gimnazjum.

Po upadku komuny Andrzej znalazł się w gronie pracowników, których etaty nie były dla IMGW niezbędne. Proponowałem

mu przyjazd do Stanów, żeby trochę popracował i odkuś się finansowo ale po pierwsze nie zauważył, iż pewna epoka dobiegła końca bezpowrotnie i bał się utraty ciągłości pracy a po drugie wciąż jeszcze nie wyczerpał wszystkich funduszy matki na prowadzenie starych i otwarcie nowych spraw. Skarżył m.in. IMGW a) o bezprawne zwolnienie, mimo, iż zachowano 3-miesięczny okres wypowiedzenia b) o wypłacenie nagród za opracowane patenty, zapominając, iż patent wykonany na terenie jakiegokolwiek firmy z użyciem sprzętu i godzin pracy tej firmy, jest jej własnością, i to na całym świecie.

Podczas mojej pierwszej wizyty w Polsce przywiozłem mu kilka ofert otwarcia w Polsce przedstawicielstw sprzedaży napędów elektrycznych, w momencie gdy jeszcze polski rynek był na wszystkie nowinki otwarty. Andrzej poprosił o zwłokę ponieważ musiał, jak twierdził, pokończyć sprawy mimo, iż w swoim życiu ani jednej nie zaliczył po stronie wygranych. Poradziłem mu, żeby je zakończył od razu, jednym telefonem do adwokata, z zawiadomieniem, iż wszystkie wycofuje, ale co ja, przybysz z obcego kraju mogłem wiedzieć?

W następnym roku zmarła teściowa, wspierająca go finansowo i moralnie w prowadzeniu spraw, w których z góry stał na straconej pozycji. Będąc od dwóch lat bezrobotny, na utrzymaniu córki, pracującej dorywczo i obciążonej dwójką dzieci, doznał nawrotu depresji i popełnił samobójstwo. Jeżeli przyjąć skalę pecha w życiu od 1 do 10 to Andrzejowi „należała się” dziewiątka. Po śmierci Tadeusza Poźniaka, moja teściowa napisała do Joli, żeby rzekła się prawa do spadku w celu ułatwienia przeprowadzenia procesu postępowania spadkowego. Twierdziła, iż to tylko niezbędna formalność, w żadnym wypadku nie ograniczająca praw Joli, itp. brednie, w które Jola uwierzyła. Niewielu decyzji podję-

tych w moim życiu załuję a zgoda ta zrzeczenie Joli praw do spadku była jedną z nich. Po śmierci teściowej a następnie Andrzeja, mieszkanie na Nubijskiej przejął Marek, który zadzwonił do nas z ofertą zrzeczenia się Joli praw do spadku, żeby umożliwić mu przejęcie pełnych praw własnościowych. Tym razem powiedziałem NIE i zamiast oświadczenia o zrzeczeniu zreagowaliśmy oświadczenie zezwalające Markowi na użytkowanie mieszkania zgodnie z przeznaczeniem. Każdorazowa zmiana statusu mieszkania jak wynajęcie czy usiłowanie sprzedaży miało unieważnić to zezwolenie. Rodzice mojej teściowej wydali dorobek swego życia na wybudowanie domu dla swych dzieci.

Poźniakowie i Prusinowscy włożyli dużo pracy, pieniędzy i serca w zagospodarowanie, utrzymanie i konserwacje, Andrzej dorobił pomieszczenie mieszkalne i garaż, a następnie czekał kilka lat w kolejce na mieszkanie na Kępie Goćławskiej. Tymczasem Marek dostał 2-pokojowe mieszkanie na I-wszym piętrze w dogodnym punkcie miasta, bez włożenia w to jednej, marnej złotówki czy jednej minuty pracy. Potwierdził tym samym słuszność porzekadła: „Nikt nie szanuje tego co przychodzi łatwo”. Po blisko 10-ciu latach Jola otrzymała telefon od Zosi – pierwszy kontakt od naszego wyjazdu – z błaganiem o pomoc w ratowaniu mieszkania. Okazało się, że Marek nie tylko nie kiwnął palcem w sprawie uzyskania statusu członka spółdzielni ale również nie zapłacił ani grosza czynszu mimo wielokrotnych upomnień. Wspólnota mieszkaniowa (wówczas jeszcze spółdzielnia) wykorzystała moment jego nieobecności, plombując mieszkanie. Warunkiem zdjęcia plomb było uregulowanie zaległych należności. Poprzez adwokata sprawdziliśmy status mieszkania i wynikało z niego, iż Zosia dysponuje (prawdziwym lub sfałszowanym) odręcznym testamentem, w którym teściowa rzekomo przepisała mieszkanie

na Marka. W tej sytuacji Joli należało się wyłącznie prawo do zachówku lub długotrwały i kosztowny proces obalenia testamentu a następnie egzekucja eksmisji Marka. Jola już wówczas była chora i prowadzenie tak skomplikowanej sprawy było ponad jej siły. Dorobek kilku pokoleń i kilkudziesięciu lat Marek spuścił tak jak się spuszcza nieczystości w toalecie. Jego obecne losy są mi nieznane a ponadto nie wzbudzają cienia mojego zainteresowania.

NA DOBRE I NA ZŁE

Teresa Jolanta Poźniak urodziła się pod koniec 1943 roku ale w akcie urodzenia wpisaną ma datę 1 stycznia 1944. Państwo Poźniakowie uzgadniali ze swym 7-letnim synem Andrzejem imię jakie powinna nosić jego siostrzyczka. Każde popularne imię związane było z przezwiskiem i w końcu okazało się, że w okolicy żadna dziewczynka nie nosi imienia Teresa. Tadeusz Poźniak chciał, żeby jego córka miała na imię Jolanta ale Andrzej sprzeciwił się twierdząc, że będą na nią wołali Jola-srola. Otrzymała zatem na chrzcie imiona Teresa-Jolanta ale od wczesnego dzieciństwa wszyscy na nią mówili Jola.

Po pomyślnym zdaniu egzaminów maturalnych przez Jolę spotykaliśmy się coraz częściej aż w końcu nie mogliśmy już żyć

bez siebie. Nasze fizyczne zbliżenia ograniczały się do pocałunków i przytulań ale znacznie silniejsza więź między nami miała podłoże duchowe. Potrzebowaliśmy się wzajemnie i coraz bardziej rozumieliśmy a używając języka poetyckiego nasze serca były zgodnym rytmem. Kiedyś zaskoczyła nas ulewa, przed którą schroniliśmy się do budki telefonicznej. Zdjąłem marynarkę, przykryłem przemoczona sukienkę Joli a potem przytuliłem mocno do siebie.

- *Chciałbym już tak pozostać z toba razem* – powiedziałem.

- *Ja też* – odpowiedziała Jola przytulając się mocniej do mnie.

- *Chciałbym, żebyśmy się już nigdy nie rozstawali* – powiedziałem, a Jola wypowiedziała zdanie, które jej wiele razy przypominałem – szczególnie z okazji rocznic ślubu – a którego nigdy nie zapomnę.

- *Moja pierwsza miłość, może się skończy małżeństwem.*

Pod wieloma względami stanowiliśmy przeciwieństwo: Jola nieśmiała a ja bezczelny, Jola małomówna a ja gadałem za nas oboje, Jola ostrożna a dla mnie nie było ryzykownych sytuacji, Jola zastanawiała się nad każdą decyzją, które ja podejmowałem błyskawicznie, i tak można by mnożyć. Ja potrzebowałem jej delikatności, wrażliwości, dobroci i spokoju a ona mojego temperamentu i ta harmonia chyba zadecydowała, iż następne 42 lata spędziliśmy razem. Definicji miłości jest wiele ale mnie przekonuje ta, która mówi, iż ciągłe wzajemne uzupełnianie się decyduje o jej dynamice. Niezwykle ważnym elementem w trwałości naszego związku były wspólne zainteresowania, sposób spędzania wolnego czasu, lubiliśmy czytać te same książki, oglądać podobne (nie wszystkie) filmy.

Wracając do roku 1961, wakacje Joli i mój urlop razem wzięte spowodowały, iż mogliśmy przebywać razem w jej mieszkaniu, podczas gdy rodzice i Andrzej byli w pracy. Nasze wzajemne

pragnienie zbliżenia fizycznego spełniło się w sposób spontaniczny i naturalny zarazem. Nie czuliśmy ani wstydu ani poczucia popełnienia grzechu mimo, iż oboje byliśmy praktykującymi katolikami. Zarówno spontaniczność naszych stosunków jak i kompletny brak doświadczenia doprowadziły do tego, iż pewnego jesiennoego dnia, na ławce w parku Skaryszewskim, Jola długo nic nie mówiła aż wreszcie powiedziała ze smutkiem w głosie:

- *Wszystko wskazuje na to, że jestem w ciąży. Co my teraz zrobimy?*

- *Po prostu pobierzemy się* – odpowiedziałem bez namysłu – *a później będzie co Bóg da.*

W tym momencie Jola objęła mnie, przytuliła i zalewając się łzami powiedziała:

- *A ja się bałam, że mnie zostawisz gdy się dowiesz i dlatego bałam ci się powiedzieć, mój kochany.*

- *Jak bym mógł zostawić moją ukochaną z naszym dzieckiem? Co ci przyszło do głowy?*

Nasz związek spełniał wszystkie warunki by nie mieć powożenia. Ja zarabiałem niecałe 2000zł miesięcznie brutto, Jola chodziła do Szkoły Pielęgniarstwa przy Szpitalu Przemienienia Pańskiego, nie mieliśmy ani mieszkania ani jakiegokolwiek wyposażenia. Poza tym Jola była niepełnoletnia i w celu zawarcia związku małżeńskiego trzeba było otrzymać zgodę sądu. Mieszkanie na „karcie rowerową” w tamtych czasach nie było jeszcze popularne. Pierwszą reakcją moich przyszłych teściów było: usunąć ciążę. Pan Poźniak jeszcze chciał mnie wsadzić do więzienia za gwałt na nieletniej, ale małżonka, zatrudniona w Generalnej Prokuraturze mu to wyperswadowała. Po pierwsze granica wieku, w którym każdy przypadek seksu z osobą nieletnią kwalifikuje się jako gwałt wynosiła 15 lat. Po drugie Jola zagroziła iż w takim przypadku nigdy się

do ojca nie odezwie. Na żądanie „usunięcia” naszego dziecka, odpowiedziałem stanowczo NIE, mając racje pod każdym względem. Okazało se bowiem, iż mamy konflikt serologiczny a zatem każda następna ciąża mogła zakończyć się bardzo źle tak dla Joli jak i ewentualnego potomka. Wzięliśmy skromny ślub w pożyczonych strojach w Parafii Joli czyli w Kościele pw. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, przy ul. Nobla na Saskiej Kępie 6 stycznia 1962 roku. Pamiętam, iż powtarzałem słowa przysięgi tak głośno, że byłem słyszany na końcu kościoła:

Ja Bolko Jerzy biorę sobie Ciebie Tereso Jolanto za żonę i ślubuję Ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz, że Cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż Panie Boże Wszechmogący w Trójcy Jedyny i Wszyscy Święci. Następnie Jola powtórzyła ze wzruszeniem: ***Ja Teresa Jolanta biorę sobie Ciebie Bolko Jerzy za męża i ślubuję Ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz, że Cię nie opuszczę aż do śmierci. Tak mi dopomóż Panie Boże Wszechmogący w Trójcy Jedyny i Wszyscy Święci.***

Oboje wypełniliśmy zawarte wówczas slubowanie do końca.

Zamieszkaliśmy w jednym pokoju z mamą i Marysią przy ul. Kaliskiej w wygrodzonej przeze mnie wnęce, prowadzącej do łazienki. Tam wkrótce wstawiliśmy dziecięce łóżeczko, do którego „wprowadziła się” członkini naszej rodziny i owoc naszej miłości Iwonka Małgorzata Skowron. Iwonka do tej pory nie uznaje zwracania się do niej per Iwona. (Zupełnie jak jej tata, który nie cierpi „poprawek” swego imienia. Mam na imie Bolko i musisz to zaakceptować.) Z uwagi na spodziewane komplikacje Jola została przyjęta do szpitala przy ul. Kasprzaka kilka dni przed spodziewanym rozwiązaniem. W owych czasach oddziały położnicze w polskich szpitalach były całkowicie zamknięte dla odwiedzających.

Jedyny kontakt z pacjentkami był przez okno albo przez portiera, „wspomaganego” 10-złotową monetą. Po przekazaniu dziewczętom sznurka z ciężarkiem prowadziliśmy odtąd korespondencję bez tego pośrednictwa. Trwało to dłużej niż tydzień, dłuży się niepomniernie, skoro od roku nie spędzaliśmy jednego dnia zdaleka od siebie. Zajeżdżałem na Kasprzaka codziennie po pracy, o sprawach ogólnych rozmawialiśmy przez okno a bardziej intymne zwierzenia przekazywaliśmy specjalną „pocztą”. 6 czerwca 1962 roku nie mogłem usiedzieć w pracy by doczekać się fajerantu, aż mój szef ulitował się i wysłał mnie do szpitala ok. godz. 15:00 czyli 45 minut przed zakończeniem pracy. Gdy zajechałem pod okno, Jola do niego nie wyszła a portier, zapytany o nazwisko po kilku minutach powiedział:

- Tak, urodziła córkę o godz. 15:30. Waga 3750g, długość 54cm

Imię dla córeczki mieliśmy przygotowane: Iwonka na pierwsze, Małgosia na drugie, a akt urodzenia załatwiłem w Urzędzie Dzielnicowym Warszawa-Wola przy ul. Bema. Chyba po trzech dniach odbierałem moje dziewczynki taksówką a trzymając na rekach moją córkę patrzyliśmy sobie w oczy. Iwonka miała ciemne, duże oczka, którymi spokojnie, nie płacząc wpatrywała się we mnie. Kilka miesięcy po narodzeniu Iwonki mieszkaliśmy na Grenadierów a gdy wróciliśmy na Kaliską, było już po wstępnej komisji, zgodnie z której orzeczeniem nie kwalifikowaliśmy się na przydział mieszkania. Zakwalifikowałem się natomiast na mieszkanie spółdzielcze z Libelli ale z powodu utraty pracy na skutek redukcji zatrudnienia, wypadłem z listy.

Ktoś kiedyś powiedział zdanie, przypisywane Winstonowi Churchilowi: „jeżeli nie byłeś socjalistą w wieku 20 lat, to znaczy, że nie masz serca. Jeżeli pozostałeś nim w wieku lat 40 lat to zna-

czy, że nie masz rozumu". Okazało się, że miałem jedno i drugie, bo wówczas wierzyłem naiwnie, iż zapewnienie nam mieszkania należy do Wydziału Kwaterunkowego dzielnicy Warszawa-Ochota, oraz, im gorsze będziemy mieli warunki tym mamy większe szanse na jego otrzymanie. Nie będę opisywał warunków, w jakich przyszło nam wegetować przez 5 lat, nadmieniając jedynie, iż były one dalekie od komfortu i wzajemnej harmonii.

Moja siostra stawiała swoim chłopcom wysokie wymagania, spóźniała się na randki, traktowała ich z góry i z żadnym, których udało mi się poznać nie wiązała się na poważnie. Okazało się po blisko 50 latach, iż skrywała przed nami wzajemną miłość jaka łączyła ją z moim przyjacielem ze szkolnej ławy Mundkiem Kurkiem. On również wysyłając listy do Marysi pisał na odwrocie koperty tylko LECH a ze mną nigdy na ten temat nie rozmawiał, aż do naszego spotkania w Australii i Nowej Zelandii w styczniu 2013. Marysia lubiła podróżować po Polsce modnym wśród młodzieży Auto-Stopem. Posiadacze książeczek Auto-Stop byli ubezpieczeni a kierowcy, wycinający z tych książeczek kupony, brali udział w losowaniu cennych nagród. Oboje z Mundkiem uwielbiali tą formę spędzania wakacji z przenoszeniem się z jednego krańca Polski na drugi. Pewnego dnia Marysia przed pójściem do Komunii przyszła do nas żeby się pogodzić i wyszła z domu by już nigdy nie powrócić. Późnym popołudniem zapukał do naszych drzwi depeszowy, który po otwarciu mu drzwi szybko zbiegł po schodach nie czekając na napiwek. Telegram zaadresowany był Janina Gerd Dietrich, czyli imiona moich rodziców, co było dziwne skoro tata nie żył od 20 lat. Po otwarciu przeczytałem głośno tragiczna treść, w którą nie mogłem uwierzyć:

Skowron Maria uległa wypadkowi i zmarła 22 września 1964 o godz 1640. Proszę przyjechać, szpital Radomsko.

Wszelkie starania o przydział mieszkania okazały się bezowocne aż do roku 1966, kiedy wydane zostało rozporządzenie obniżające górną granicę zarobków, kwalifikujących do mieszkania kwaterunkowego. Pracowałem wówczas w Elektromontażu a Jola w GUTM i nasze zarobki zawierały się powyżej tej granicy. Oczekiwanie na mieszkanie spółdzielcze trwało niecały rok i 14 marca 1967 roku przeprowadziliśmy się do pierwszego samodzielnego mieszkania przy ul. Śniardwy 2 na Służewcu Przemysłowym. W tym czasie brali mieszkania tylko ci, którym bardzo zależało, gdyż większego dziadostwa ani przedtem ani później już nie budowano. W założeniu blok nasz miał być oddany do kwaterunku ale po zmianie granicy zarobków kwalifikacyjnych przekazano go do spółdzielni Mieszkaniowej Mokotów. Na mieszkanie o wyższym standardzie, na osiedlu przy ul. Batorego musielibyśmy czekać jeszcze rok a mieliśmy już zdecydowanie dość mieszkania „na kupie”.

Wkrótce po urodzeniu Iwonki Jola doszła do wniosku, iż nie będzie kontynuować kariery pielęgniarki z uwagi na wyjątkowo niskie zarobki w tej branży. Początkowo pracowała jako kalkulator w Zakładzie Usług Radio-Telewizyjnych przy pl. Konstytucji a następnie ukończyła pomaturalne technikum łączności przy GUTM gdzie uzyskała zatrudnienie na telefonii wielokrotnej, a następnie rozpoczęła studia zaoczne na Wydziale Elektroniki Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Bydgoszczy. Po ukończeniu zawodówki uczęszczałem przez 3 semetry do Technicznych Zakładów Naukowych, po czym przeniósłem się do Technikum Energetycznego dla pracujących przy ul. Puławskiej, które ukończyłem w 1968 roku. Tego samego roku zdałem pomyślnie egzamin wstępny na Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej. Ponieważ przeszedłem przez technikum bez większego wysiłku, nie przykładałem się specjalnie do nauki co zaowocowało oblanym „komisem” z matematyki

i koniecznością ponownego zdawania egzaminów wstępnych. Rok 1968 stanowił zarazem zasadniczy przełom w podejściu do otaczającego mnie świata. Wydarzenia marcowe w Polsce a zwłaszcza inwazję sowiecką na Czechosłowację odebrałem jako zamach na podstawowe prawa obywatelskie. Uczęszczałem wówczas na kurs języka włoskiego organizowany przez Ambasadę Italii i miałem dostęp do zachodniej prasy komentującej te wydarzenia zupełnie inaczej, niż czyniły to Dziennik Telewizyjny i oficjalne doniesienia prasowe. Oficjalna wersja zamieszek, którą sprzedawano społeczeństwu donosiła o nielegalnym wiecu studenckim, który zaniepokoił robotników z kilku zakładów pracy.

Gdy t.zw. „aktyw robotniczy” znalazł się na dziedzińcu uniwersytetu, poleciały w ich stronę wyzwiska typu: „chamy”, „parobki” itd. Jeden z kolegów, z którym uczęszczałem na kurs przygotowawczy do egzaminów na PW przypadkowo załapał się z „aktywem”, jako jedyny bezpartyjny. Zwieziono partyjniaków z różnych zakładów, zgromadzono wszystkich w kinie na Krakowskim Przedmieściu, gdzie otrzymali darmową kiełbasę, piwo i... pocięte na 40cm odcinki kable OW, grubości milicyjnych pałek. Na hasło „wisła” mieli walic kogo popadło, głównie w zgięcie kolan tak, aby bite osoby upadły a następnie tłuc leżących. Oczywiście było, iż w grono wiecujących studentów, protestujących przeciwko relegowaniu Adama Michnika i Henryka Szlajfera, wmieszani byli prowokatorzy.

W systemie tym czułem się obco, jakkolwiek nie miałem zamiaru czynnie się mu przeciwstawiać. Mój bierny opór to systematyczne ignorowanie wszelkich akcji werbunkowych początkowo do ZMS a później do PZPR, oraz wyszukiwanie wszelkich źródeł literatury spoza oficjalnego obiegu. O wydarzeniach marcowych było głośno we wszystkich środowiskach, włączając to przedszkole, do

którego uczęszczała Iwonka, w tym samym budynku co GUTM tylko z wejściem od ul. Barbary (obecnie św. Barbary.) Pewnego dnia Iwonka spytała Jolę:

- *Mamo, czy ty jesteś studentką?*
- *Tak, a dlaczego się pytasz?*
- *To dlaczego ciebie nie „uaresztowali”?*

Ja też byłem studentem i byłem „uaresztowany” ale nie za udział w rozruchach tylko, za „używanie wobec osób trzecich słów powszechnie uznanych za obraźliwe”. Przetrzymano mnie w areszcie komendy dzielnicowej MO Warszawa-Śródmieście przy ul. Wilczej a następnego dnia przewieziono do gmachu Sądów na Lesznie (wówczas Świerczewskiego, obecnie Solidarności) gdzie miałem rozprawę „z bomby” czyli bez dopuszczenia obrony. Był to okres orzekania w sprawach osób sądzonych za wypadki marcowe i sądy funkcjonowały w trybie przyśpieszonym. Tym razem sędzia okazał się być trochę normalny i skazał nas (czyli mnie z kolegą) za zwykłą pyskówkę na 1000zł grzywny z zamianą na 20 dni aresztu mimo, iż prokurator wnosiła o „przykładne ukaranie” oskarżonych, nie zadając sobie przedtem trudu otwarcia teczek z naszymi aktami.

Jola ukończyła studia w 1970 roku zdobywając tytuł inżyniera-elektronika i po kilku latach pracy w Biurze Dyspozycyjnym przeniosła się do Ministerstwa Łączności przy pl. Małachowskiego, dwa piętra powyżej Departamentu Wojskowego, gdzie był zatrudniony jej ojciec. Już zapomniałem w jakim departamencie pracowała, wiem tylko, że miała coś wspólnego z wdrażaniem systemu

~~Pentaconta~~^[68]

68 Pentaconta – centrala telefoniczna elektromechaniczna rejestrowa oparta na wybierakach krzyżowych Pentaconta. Idea powstania systemu tego typu powstała pod koniec lat 50. XX wieku. Producentem central Pentaconta były francuskie towarzystwa Le Matériel Téléphonique (LMT) i Compagnie Generale de Constructions Téléphonique (CGCT). Nazwa pochodzi z języka greck-

Wydarzenia marcowe stanowiły mieszaninę protestu przeciw knebłowaniu wolności słowa, wewnątrz-partyjnej rozgrywki wśród czołowego establishmentu, oraz kolejnej czystki żydowskiej, sterowanej z Kremla w odwecie za niepowodzenia polityczno-militarne Rosjan na Bliskim wschodzie w wojnie 1967 roku. Przykręcenie śruby wywołane było tymczasowym wymknieniem spod kontroli sytuacji w Czechosłowacji, co zaowocowało pierwszym etapem wdrażania t.zw. doktryny Breżniewa; tam sięga władza sowiecka dokąd sięgają rosyjskie czołgi.

Grudzień 1970 roku był naturalną reakcją na drastyczną podwyżkę cen wprowadzoną tuż przed świętami Bożego Narodzenia, mającą na celu totalny drenaż zasobów gotówkowych społeczeństwa. W kapitalizmie postępuje się dokładnie odwrotnie dla osiągnięcia tego samego celu, czyli rzuca na rynek maksymalną ilość towarów zachęcając kupujących wszelkiego rodzaju promocjami. Poniewierany, lekceważony i stłamszony naród nie miał żadnego zaufania do jakichkolwiek poczynań władzy, pochodzącej z obcego nadania i reprezentującej obce interesy. Niewydolny system scentralizowanej gospodarki nie był w stanie wypracować ani oczekiwanej wydajności pracy, pozwalającej na zarzucenie rynku pożądanymi towarami, ani wytworzenia naturalnych mechanizmów rynkowych z regulacją cen w obie strony włącznie.

Podwyżki cen odebrane zostały przez społeczeństwo jako szczególny rodzaj represji i spotkały się z najsilniejszym od roku 1956, protestem we wszystkich większych miastach Polski ze

Kiego – określa pojemność wybieraków krzyżowych (52). System Pentaconta rozwijał się, a kolejne jego odmiany były oznaczane literami A, B, C. Polska zakupiła licencję na system Pentaconta 1000C 28 września 1972 roku, a od 1974 roku łącznice PC 1000C były produkowane przez Zakłady Wytwórcze Urządzeń Telefonicznych. W roku 1977 wdrożono do eksploatacji centrale PC-GCI jako międzymiastowe/międzynarodowe w Warszawie, Gdańsku, Poznaniu i Krakowie.

szczególnym natężeniem na Wybrzeżu: w Gdańsku, Gdyni, Szczecinie oraz w Elblągu. Odpowiedzią na protesty była, z góry zaplanowana, brutalna akcja specjalnych oddziałów wojska i milicji z rozkazami zezwalającymi na użycie broni palnej, wydanymi osobiście przez ówczesnego I sekretarza KC PZPR Gomułkę. Żołnierzy służby czynnej świadomie oszukano, iż będą tłumić antypolskie powstanie rzekomo uzbrojonej mniejszości niemieckiej i w związku z tym mają strzelać bez ostrzeżenia do demonstrujących. Po pierwszym, krwawym dniu zamieszek, podczas których zginęło w samym Gdańsku, według oficjalnych danych, ponad 14 osób a setki zostało rannych, wojsko otrzymało rozkaz bezpośrednio od ówczesnego ministra obrony narodowej Wojciecha Jaruzelskiego, zamknięcia i zablokowania stoczni im Komuny Paryskiej w Gdyni a kierownictwo zawiadomiło pracowników by nie przychodzili do pracy 17 grudnia.

Wieczorem 16-go grudnia Polskie Radio i I Program TV w Gdansk wyemitowało przemówienie członka Politbiura KC i I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego Stanisława Kociołka, który nakazał robotnikom stoczni powrót do pracy. Wszystkie decyzje zapadały wówczas na posiedzeniu Politbiura w obecności a przynajmniej z zawiadomieniem ministra obrony narodowej i władz politycznych Trójmiasta.

Nie może być zatem żadnych wątpliwości, iż masakra w Gdyni została zaplanowana z udziałem nie tylko I sekretarza Gomułki ale również generała Jaruzelskiego i Kociołka. Nie było takiej możliwości, by Kociołek odczytał swój apel bez uzgodnienia go na najwyższym szczeblu oraz nie posiadając świadomości wynikających z tego konsekwencji. Pracownicy Stoczni, którzy wysłuchali apelu Kociołka udali się do pracy i nie byli w stanie opuścić peronu przystanku kursującej co 10 minut Kolejki Trójmiejskiej Gdynia-Stocz-

nia, zagrodzonego czołgami i SKOT-ami. W momencie, gdy tłum na peroni zgęstniał na tyle, że ludzie musieli znaleźć jakieś wyjście, oraz gdy się rozwidniło na tyle by można było oddawać celne strzały, do bezbronnego tłumowi oddano ogień z broni maszynowej z krążących nad peronem helikopterów oraz blokujących wyjście pojazdów opancerzonych. Liczba ofiar nie mieściła się w ludzkiej wyobraźni, uwzględniając takie kroki władz jak: zamiana szkół na tymczasowe prosektoria, wysiedlenie z miasta większości rodzin pomordowanych, organizacja pogrzebów ofiar w środku nocy bez możliwości zawiadomienia dalszej rodziny lub znajomych, szantażowanie i zastraszanie rodzin zmuszając je do milczenia i wiele innych, służących zatajeniu rzeczywistych danych. Oficjalna liczba zamordowanych w rezultacie ataku z broni pancernej i z powietrza na stłoczony tłum na peronie wynosiła 17 osób, a uwzględniając powyższe działania można śmiało uznać, iż była ona conajmniej dziesięciokrotnie wyższa.

Nie wszystkim członkom politbiura zastosowane metody dialogu ze społeczeństwem przypadły do gustu, a przy okazji zaistniałą sytuację wykorzystano do przetasowań w ramach nomenklatury. Bez jednego słowa potępienia Gomułkę odesłano na zdrowotną emeryturę, Kliszkę – autora słów: „z kontrrewolucja się nie rozmawia – do kontrrewolucji się strzela” na emeryturę nie-zdrowotną, Kociołka posłano „w ambasadory”, Moczara zrobiono prezesem Najwyższej Izby Kontroli, Jaruzelski pozostał ministrem obrony a nowym gensekiem został Edward Gierek, który robił wrażenie jakby na taki rozwój wypadków czekał. Po trwającym 18 lat procesie, rzekomo niezawisły sąd nie dopatrzył się winy ani u Jaruzelskiego ani u Kociołka wydając nie tylko wyroki uniewinniające ale ponadto oczyszczające ich z zarzutów. Dwóm dowódcom wojskowych jednostek pacyfikacyjnych postawiono zarzut pobicia

i skazano na wyroki w zawieszeniu. Nie spełniła się obietnica, zawarta w Balladzie o Janku Wiśniewskim:

*Krwawy Kociołek to kat Trójmiasta
Przez niego płaczą dzieci, niewiasty
Poczekaj draniu, my cie dostaniem
Janek Wiśniewski padł*

Gierek starał się robić wrażenie liberała. Uległy złagodzeniu warunki wydawania paszportów, nie było procesów politycznych, zastąpionych nieoficjalnym nękaniami osób niepokornych przez SB lub bojówki AWF, Polska ratyfikowała Międzynarodowy Pakt Praw Obywatelskich i Politycznych, zakupiono licencje mające w założeniu zmniejszenie przepaści technologicznej między Polską a Zachodem, poprzez eliminacje i tak fikcyjnego podatku od wynagrodzeń zwiększono płace realne, rozwinięto budownictwo mieszkaniowe. Wszystkie te posunięcia ówczesnej ekipy spolaryzowały społeczeństwo, którego milcząca większość uznała je za dobrą monetę. Natomiast pozostała część w dalszym ciągu dostrzegała w sferze politycznej m.in. walkę z Kościołem, niezmiennie funkcjonowanie cenzury, poprawki do Konstytucji zawierające „przewodnią rolę PZPR” oraz uzależnienie Polski od ZSRS, bezwzględnie egzekwowany wpływ PZPR na funkcjonowanie wszelkich organizacji społecznych, a w sferze ekonomicznej utrzymywanie braku jakichkolwiek mechanizmów napędzających gospodarkę, skupienie w jednym ręku środków produkcji i jej dystrybucję, niewymienialność złotego czy postępujące zadłużenie.

Podróżując po Polsce często zachodziliśmy do zagród na wsiach chcąc kupić mleko, jajka, ser i ze zdziwieniem stwierdzaliśmy, iż oferowano nam znacznie wyższe ceny niż w sklepach. Okazało się, iż ceny skupu były wyższe od cen detalicznych, czyli elementarne zasady ekonomii były postawione na głowie. Np. za

jajko płacono się u gospodarza w Mszanie Dolnej 6zł a w pobliskim sklepie GS 3,50zł., podobnie było z cenami mleka, masła, twarogów. W rezultacie rolnicy masowo odchodzili od hodowli trzody chlewniej i bydła, skoro mogli znacznie taniej kupić mięso w sklepach, niż od sąsiada na „świniobiciu”. Hodowla nowalijek, pomidorów pod szklarnią czy kwiatków okazała się bardziej opłacalna i mniej pracochłonna.

Podróżując do innych krajów „bloku” zwanych w skrócie „demoludami” można było zauważyć, iż większość polskich reform miała niewielki wpływ na poprawę bytu społeczeństwa; Węgrom, Czechom, Słowakom, nie mówiąc już o Niemcach z DDR powodziło się znacznie lepiej, półki sklepowe były wypełnione, na drogach poruszało się więcej samochodów osobowych, ceny były bardziej przystępne. Wstawiłem tę dygresję ponieważ wiele osób, żyjących w tamtych czasach cierpi na częściową amnezję twierdząc, że za Gierka przynajmniej była praca i wprawdzie nic nie można było dostać ale za to było tanio.

Osoby, dla których tamte czasy stanowią historię nierzadko kupują tą wersję oceny komunizmu. Praca, owszem była ale po pierwsze: zatrudnienie było sztucznie podtrzymywane przez dublowanie niektórych stanowisk, po drugie: funkcjonowała codzienna migracja mieszkańców małych miasteczek, w których pracy nigdy nie było i nie ma do dziś. Ludzie albo byli dowożeni ciężarówkami pod plandeką z napisem PRZEWÓZ PRACOWNIKÓW, albo kołatali się kilka godzin pociągami lub autobusami PKS do Warszawy i większych ośrodków miejskich. Dzisiaj po prostu zgłaszają się do miejscowego urzędu po zasiłek lub co bardziej ambitni wyjeżdżają do Niemiec, Irlandii, Hiszpanii czy Szwecji „na saksy” i z westchnieniem wspominają dawne dobre czasy, popijając zagraniczne wina, na które w „tamtych dobrych czasach” nie mogli na-

wet popatrzyć. Wyjazd poza granicę bloku sowieckiego wymagał posiadania promesy wizowej, którą otrzymać można było po okazaniu w odpowiednim konsulacie środków dewizowych w wysokości minimum 30\$ na każdy dzień pobytu. W okresie najniższego kursu dolara zarabialiśmy łącznie z Jolą 60\$ miesięcznie po kursie czarnorynkowym, przy czym nasze zarobki w połowie lat 70-tych ub. stulecia mieściły się powyżej średniej krajowej. Inną, poza czarnorynkową, możliwością nabycia obcych walut były: wspomnienie od krewnych za granicą, wyjazd na saksy po uprzednim zapożyczeniu się, lub wyjazd na placówkę zagraniczną. Ta ostatnia możliwość dostępna była niemal wyłącznie dla osób „ustosunkowanych” a jednym z podstawowych kryteriów skierowania „na wyjazd” była przynależność do PZPR, ZMS lub SZSP i aktywna działalność w ramach jednej z nich.

Studiując wieczorowo mogłem zwalniać się 6 godzin tygodniowo z pracy, przysługiwało mi dodatkowo 28 dni urlopu na przygotowanie i udział w sesji egzaminacyjnej a ponadto, a może przede wszystkim, mogłem spokojnie poświęcić dwie godziny czasu dziennie na naukę podczas godzin pracy bez konieczności wchodzenia w kolizję wykonywania obowiązków pracowniczych. Pełne wynagrodzenie przysługiwało mi bez względu na to „czy się stoi, czy się leży” a ponieważ wówczas wszystko było państwowe czyli niczyje, ani ja ani większość społeczeństwa nie zdawała sobie sprawy, że w konsekwencji wszyscy za to musieliśmy prędzej czy później zapłacić.

Jednym z moich pierwszych zakupów po rozpoczęciu pracy był rower, kupiony za 360zł od Andrzeja Wyszynskiego, kolegi z ulicy Słupeckiej, który zdecydował się ożenić w wieku 19 lat i uprawiać odtąd inny rodzaj ćwiczeń cielesnych. Zanim stać mnie było na kupno nowej opony, zakleiliśmy widoczną dziurę taśmą

izolacyjną. Siodełko pozostawiało sporo do życzenia a najbardziej dokuczliwy był brak hamulca. Przy asyście Andrzeja dokonałem pierwszego w życiu zabiegu rozebrania torpedy, wymiany bębna hamulcowego i złożenia spowrotem. Mój rower wyróżniał się od posiadanych przez kolegów trybikiem o 16-tu ząbkach, podczas, gdy standard w zwykłych rowerach wynosił 21, a w rowerach „na trybik” czyli bez-torpedowych 18. Powodowało to, iż rozkręcałem się wolniej od innych ale za to po rozpędzeniu mało kto mógł mi dotrzymać koła. Poza wertepami Zachodniaka, gdzie istniały warunki do ograniczonego kolarstwa górskiego, robiliśmy wycieczki, głównie ze Żdziśkiem Markowskim, Ryśkiem Kryckim i Jerzykiem Siłanowem (ze stryjeczną siostrą Jerzyka chodziłem do podstawówki a mama Andrzeja Wyszynskiego była siostrą ojca obojga) wzdłuż kolejki WKD, dojeżdżając najdalej do Podkowy Leśnej. Woziliśmy również na ramie dziewczyny ale na krótsze dystanse, żeby im się tyłki za bardzo nie odgniotły, najdalej na Glinki, jak nazywano glinianki w okolicach wysypiska śmieci na Szczęśliwicach i niedokończonego wiaduktu kolejowego nad torami kolejki WKD. Dzisiaj w tym miejscu znajduje się Park Szczęśliwicki a góra stworzona z wysypiska śmieci wyposażona jest w wyciąg krzesełkowy i służy zimą narciarzom.

W roku 1959 po raz ostatni w PRL święto Wniebowzięcia NMP było dniem wolnym od pracy i wypadało w sobotę. (w tamtych czasach obowiązywał 46-godzinny tydzień pracy, w sobotę pracowało się tylko 6 „lekcji”) Wykorzystując 2 i pół dnia wolnego wybraliśmy się w piątek po pracy do Nowego Miasta nad Pilicą, gdzie mieszkała rodzina Jerzyka. Nasze rowery nie posiadały bagażników, sakwy nie były jeszcze znane a takie rzeczy jak kanapki i napoje na drogę przewoziło się w skórzanych teczkach zapinanych przez ramię. Trochę to było niewygodne, gdyż wymagało rozsze-

rzania nóg w kolanach w czasie jazdy ale był to sposób powszechnie wykorzystywany. Każdy z nas miał zestaw łątek do wulkanizacji dętek a aparat ściskający wiozł jeden z nas, chyba Ździsiek ale nie jestem teraz tego pewien. Późnym popołudniem wyruszyliśmy w drogę ulicami Grójecką, Szosą Krakowską, minęliśmy Okęcie, Raszyn i Janki, gdzie skręciliśmy w dzisiejszą drogę E77, wówczas dwukierunkową, bez rozdzielonego ruchu, z wybrukowaną kostką, w kierunku Grójca. Na kostce najlepiej się jechało Ryśkowi, który miał opony t.zw. „balonówki” czyli o 1 cal grubsze od standardowych a najgorzej Jerzykowi, który miał pół-wyścigówkę. „Peleton” uzupełniał Ździsiek na „Bałtyku”.

Wkrótce za Jankami Ździsiek złapał gumę i zgodnie z umową wszyscy się zatrzymaliśmy asystując w wulkanizacji dętki. Przed Tarczynem sytuacja się powtórzyła, i jeszcze raz i jeszcze raz. Nie pamiętam dokładnie ile razy stawaliśmy w celu wulkanizacji najbardziej chyba wówczas połatanej dętki na świecie, ale za każdym razem operacja ta trwała dobre 15 minut. W każdym razie postanowiłem sobie, iż nie wyruszę nigdy z domu bez zapasowej dętki a ponadto pozbędę się raz na zawsze dziurawych opon. Gdy po zapadnięciu zmroku jechaliśmy ponad godzinę, a gdy jakiś samochód z piskiem opon w ostatnim momencie nas wyprzedził, postanowiliśmy się zatrzymać i odpocząć. Nie tylko żaden z nas nie miał lampki ale chyba nawet światełek odbłaskowych co czyniło dalszą jazdę śmiertelnie niebezpieczną. Było to na skraju lasu, miękkie podłoże zachęcało, żeby się na nim położyć i nikt z nas nie pamięta kiedy wszyscy zasnęliśmy. Gdy się pobudziliśmy słońce już było wysoko i wystarczyło wyjść na polankę by się rozgrzać po chłodnej nocy, spędzonej bezpośrednio na matce ziemi. Okazało się, iż nasz nocleg miał miejsce już na przedmieściach Grójca, od którego do Nowego Miasta było conajmniej 3 godziny jazdy pod

warunkiem braku postojów na łątanie dętek. Zdecydowaliśmy na powrót do domu a w drodze do Warszawy postoje wulkanizacyjne miały miejsce już tylko dwa razy – oczywiście o dwa za dużo. Nie pamiętam, żebyśmy się jeszcze raz wybrali na dłuższą wycieczkę w tym gronie. Za dwa lata rower odstawiłem i przekazałem stryjecznemu bratu Jędrkowi a przez następne 12 lat nie miałem okazji do ulubionego rodzaju rekreacji powrócić.

Gdy Iwonka skończyła 10 lat kupiliśmy jej bardzo popularny wówczas składak, na którym każde z nas mogło pojeździć tylko wysuwając siodełko i kierownicę. Po przejechaniu kilku rund nakoło osiedla odżyły drzemiące we mnie rowerowe wspominki a przy okazji Jola również wyraziła ochotę na przedłużenie spacerów do Lasku Kabackiego o dystans, jaki można pokonać na dwóch kółkach. Pracowałem wówczas w Zakładach Wytwórczych Lamp Elektrycznych im. Róży Luxemburg (czyli u przedwojennego Philipsa) gdzie można było za grosze wypożyczyć sprzęt turystyczny włączając w to rowery. Rozpoczęliśmy od sobotnio-niedzielnych wycieczek po okolicach Służewca z przedłużeniem do Lasku Kabackiego, który wówczas jeszcze nosił leśne cechy. Po dojechaniu do Natolina, gdzie stały wiejskie zagrody i pasły się krowy, widać było na horyzoncie las wznoszonych budynków i żurawi budowlanych na osiedlach Ursynów i Służew nad Dolinką. Dziś w tym miejscu znajduje się stacja metra a w pozostałej części lasu panuje ruch jak na Marszałkowskiej.

Wkrótce kupiliśmy rowery z przerzutkami; ja miałem Rekord z kierownicą typu „baranek” a Jola i Iwonka po Kormoranie. Iwonka długo się z nami nie najeżdżała; pewnej soboty wracaliśmy z Ursusa pod silny wiatr. Staraliśmy się osłonić ją od wiatru na ile tylko możliwe ale po jej minie widziałem, co postanowiła: „nigdy w życiu nie wsiądę na rower”. W postanowieniu tym wytrwała pra-

wie 30 lat, a my wpisaliśmy rowery do stałego środka nie tylko rekreacji ale i komunikacji, jeżdżąc do pracy od wiosny do jesieni. Szukaliśmy jakiegoś klubu czy grupy, z którą możnaby się wybrać na wycieczkę i tak trafiliśmy na Wektor – staromiejski klub organizujący otwarte wycieczki sobotnio-niedzielne na odległość nie przekraczającą 30km.

Przypadkowo dowiedziałem się o pieszym obozie wędrownym w Sudetach, organizowanym przez PTTK Oddział Warszawa - Ochota i oboje z Jołą zapaliliśmy się do udziału w zorganizowanej formie wczasów na łonie natury. Obóz prowadził przodownik turystyki pieszej Andrzej Łyziak a oprócz nas wzięli udział ponadto Basia Kot, małżeństwo Andrzej i Wanda Olszewscy oraz maturzystą, którego nazwiska nie pamiętam a Andrzej nazywał go „Naukowiec”. Mieliśmy pożyczone plecaki i nowe, nierozchodzone buty ale mimo bolesnych doświadczeń debiut uznaliśmy w sumie za bardzo udany. Przeszliśmy czerwony szlak od Kudowy Zdroju do Szklarskiej Poręby, pokonując m.in. t.zw. Szlak Przyjaźni – przebiegający po obu stronach granicy polsko-czechosłowackiej - w jeden dzień.

Po obozie zaczęliśmy uczęszczać na spotkania klubu pod nazwą Towarzystwo Rozmarzonych Entuzjastów Perygrynacji, w skrócie TREP, chodzić na wycieczki, jeździć na rajdy, m.in. w Góry świętokrzyskie – z uwagi na odległość wielokrotnie – w Beskidy, Bieszczady, Gorce, Pieniny, Tatry, i pora roku przestawała mieć dla nas znaczenie, ponieważ zimą można było się wybrać do Puszczy Kampinoskiej, w okolice Garwolina, Zalesia, Modlina i innych okolic podwarszawskich. Powoli zaczęła się zawiązywać paczka starych bywalców spotkań na poddaszu budynku przy ul. Tarczyńskiej 1, gdzie mieściło się biuro Oddziału Ochota, wycieczek i rajdów, a później przyjaźni, które przetrwały do dziś. Podczas jednego z

pierwszych dłuższych rajdów w Beskidach poznaliśmy nestora klubu Józia Pasika, który był w wieku mojej mamy ale wiek nie przeszkadzał mu ani w dotrzymaniu nam kroku ani w dzieleniu z nami trudów i niewygód wędrówek po mało uczeszczanych szlakach. Nocowaliśmy albo w stodołach albo w schroniskach, a na krótsze wyprawy zabieraliśmy namioty. Poza Józiem w naszej grupie byli Ewa Wiszniewska, Ania Gruszczyńska – później Jońska, Andrzej Joński i Gosia Nowicka. Andrzej lubił nadużywać mało parlamentarnego języka, miał dość oryginalne maniere i z tego powodu przezwaliliśmy go Hrabia.

Na jeden z rajdów w Górach świętokrzyskich Andrzej Łyziak ściągnął sierżanta lotnictwa z kilkoma żołnierzami służby czynnej i kilkoma rezerwistami z tej samej drużyny. W ten sposób trafili do naszego klubu Andrzej Plichta i Boguś Dąbrowski, zwany przez Andrzeja Dziadek. Andrzej z uwagi na niski wzrost został przezwanym Konusem. Jola Bandurska ściągnęła do klubu brata koleżanki i zarazem kolegę szkolnego Hrabiego - Andrzeja Sułkowskiego zwanego Wacusem a ten z kolei sprowadził swego szwagra Jaśka Wołyńskiego. W roku 1975 już sam zorganizowałem obóz rowerowy po ziemi Lubuskiej, z którego trafił do nas Krzysiek Smogorzewski. Dziadek sprowadził swego kolege z pracy Piotrka Kwiatkowskiego, który po obozie na Węgrzech w 1978 roku, zaprzyjaźnił się tak dalece z Ewą Wiszniewską, że wzięli ślub 14 lipca 1979 roku. Ich małżeństwo przetrwało 33 lata aż do zaginięcia a później tragicznej śmierci Piotrka w kwietniu 2013 roku.

Z ich związku zrodziły się dwie córki Basia – rówieśnica mojej wnuczki Agnieszki, oraz Małgosia – rówieśnica Ewy. W roku 1975 zostałem wybrany prezesem TREP-a a Jola otrzymała dożywotni tytuł Prezesowej. Ponieważ coraz więcej członków klubu przesiadało się na rowery, postawiłem na walnym zebraniu wnio-

sek o zmianę nazwy klubu z Klubu Turystyki Pieszej na Klub Turystyki Kwalifikowanej, żeby były owce syte i wilk cały. Oczywiście nie zrezygnowaliśmy z innych form turystyki dołączając do tego kajakową i górską. Wraz z Jolą zorganizowaliśmy trzy obozy wędrownie na Węgrzech, w tym jeden podwójny: z grupą pieszą i rowerową, po różnych trasach ale ze wspólnym noclegiem. Poza kilkoma obozami wędrownymi, m.in. w ulubionych przez wszystkich Bieszczadach, nasz klub zorganizował w dniach 3 – 4 kwietnia 1976 roku wielki rajd „Wesele Boryny” z trzema trasami pieszymi i jedna rowerową z zakończeniem w Lipcach Reymontowskich. W Lipcach powstał amatorski zespół wystawiający inscenizację fragmentu powieści Władysława Reymonta, który tam właśnie umieścił akcję powieści „Chłopi” wyróżnionej literacką Nagrodą Nobla.

Doświadczenie organizacyjne zdobyte podczas tego rajdu bardzo nam się przydało i muszę przyznać, iż sukces rajdu zawdzięczać trzeba każdemu z członków klubu, równo zaangażowanych w to przedsięwzięcie. Ewa, Dziadek, Hrabia z Anką, Wacusz, Krzysiek, Baśka Kot, Jola Bandurska, Józio Pasik i inni. Przygotowania do rajdu przebiegały wielokierunkowo: zorganizowanie występu zespołu, zorganizowanie kucharek do zrobienia bigosu, zakup surowców do bigosu, o które wcale nie było tak łatwo. Na szczęście, prezesem Oddziału Ochota był wówczas dyrektor Miejskiego Handlu Mięsem, który wręczył nam kartkę, z którą udaliśmy się do wskazanego sklepu przy ul. Grójeckiej, gdzie sprzedano nam 40kg kiełbasy, za którą stłoczony w sklepie tłum stał od kilku godzin. Baliśmy się, iż tłum ten nas zlinčuje ale na szczęście trafiliśmy na pokojowo nastawiony zestaw uczestników kolejki.

Wielu młodych ludzi czytając tą scenę nie ma pojęcia o czym piszę; taka była codzienność życia w t.zw. Rzeczypospolitej kolejkowej. Za wszystkim trzeba było stać, nieraz po kilka godzin, za

meblami, telewizorami, lodówkami czy pralkami po kilkadziesiąt dni, za samochodem kilka, za mieszkaniem spółdzielczym kilkanaście lat, aż do osiągnięcia apogeum „raju mas pracujących miast i wsi” czyli równiutko poustawianych butelek z octem na jednej, czasami, dla zmylenia przeciwnika na kilku, półkach. Poza tym w sklepach nie było nic z wyjątkiem obsługi. Niestety nie brakuje w Polsce osób, którym odebrało pamięć i wzdychają do tamtych czasów, wciskając młodym ludziom ciemnotę, iż „za Gierka” żyło się wszystkim lepiej. Wprawdzie nic nie było w sklepach ale za to wszyscy mieli po równo.... rymu do tego słowa.

Opracowaliśmy wzór i zleciliśmy druk plakatów, wykonanie znaczków rajdowych, obeszlśmy i objechaliśmy trasy z załatwieniem noclegów po stodołach lub w szkołach i przeprowadziliśmy całą księgowość od preliminarza począwszy do rozliczenia z księgową skończywszy. Pani księgowa nie ułatwiała nam bynajmniej zadania czepiając się każdego rachunku, każdej nieprawidłowo (według niej) rozliczonej złotówki, nie udzielając żadnych rad i wskazówek jak powinniśmy postąpić, żeby ją zadowolić. Nauczony bolesnym doświadczeniem, następne rozliczenia robiłem już staranniej a mimo, iż kłamię babę w duchu, nauczyłem się przy niej sporo na temat gospodarowania społecznymi pieniędzmi. Sztandarowym rajdem Oddziału Ochota był Rajd Szlakami Ponurego – Jana Piwnika (1912-1944), legendarnego cichociemnego i dowódcy oddziałów partyzanckich operujących m.in. w Górach Świętokrzyskich.

Ponury walczył później na Nowogródczyźnie ale z wiadomych względów nie mogliśmy tam organizować rajdów. Były to rajdy, podczas których młodzież (stanowiąca większość uczestników) uczyła się prawdziwej historii w miejsce zakłamanej podrecznikowej, odwiedzając miejsca i osoby tą historię tworzące. Nasz klub

KTK TREP organizował również dwukrotnie nocny Rajd Duchów, mające bardziej zabawowy charakter, przypominający nocną zabawę w podchody. Pieśni rajdowe odtwarzane przy ogniskach nie zawsze mogły być zaakceptowane przez urząd cenzury czyli GUKPiW (Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk), z którym staraliśmy się unikać kontaktu. Satyryczna ballada o Leninie oraz stylizowana czastuszka o Czapajewie, kończąca się słowami:

*Rassija, Rassija, balszaja ty strana,
Nu taka mała Polska pabiedila tiebia,
Rassija, Rassija, nu kak tiebja zwat'
Pa ruskie i pa polskie: Job twoju mać...*

..stanowiły przejawy politycznej niepoprawności w tej enklawie wolnej myśli, jaką były niektóre kluby turystyczne.

Przy Oddziale Ochota funkcjonował wówczas Warszawski Klub Górski im. Walerego Goetla, z którym często robiliśmy wspólne imprezy jak np. Rajd Pusto w Górcach. „Górale” jak ich nazywaliśmy (oni o nas mówili „trep”) zorganizowali na przełomie roku 1975/76 imprezę „Sylwester w Górach” w schronisku PTTK na Wielkiej Raczy (1236 m.n.p.m.) w Beskidzie Żywieckim. Głównymi organizatorami byli ówczesny prezes WKG Włodek Tymowski oraz Małgosia Nowicka. Oprócz zabawy sylwestrowej planowane było powitanie nowego roku na zewnątrz z pochodniami. Wyjechaliśmy z Warszawy nocnym pociągiem do Katowic, gdzie przesiedliśmy się na podmiejski pociąg do Bielska-Białej, do Żywca a później do Zwardonia.

Organizatorzy zaplanowali dojazd do Rajczy a stamtąd PKS-em do Rycerki, a od Rycerki żółtym szlakiem na szczyt. W Warszawie było deszczowo i bezśnieżnie, gdy tymczasem już za Żywcem na ziemi leżało coraz więcej śniegu, co zapowiadało od-

powiednia scenerię na powitanie roku. Podczas jazdy oglądając mapę zacząłem zastanawiać się nad modyfikacją trasy. Było nas ponad 20 osób, myślałem, co będzie, gdy się nie zmieścimy wszyscy do PKS-u, albo autobus – jedyny kursujący w tym dniu na trasie Rajcza – Rycerka – będzie odwołany z powodu złych warunków pogodowych? Rzuciłem pomysł, żeby dojechać do końca trasy czyli do Zwardonia i stamtąd udać się czerwonym szlakiem wzdłuż granicy polsko-czechosłowackiej.

W przewodnikach czas przebycia szlaku określony był na 4,5 godziny, a zatem po śniegu mógł się wydłużyć do 6 godzin. Do Zwardonia mieliśmy przyjechać ok. południa czyli powinniśmy tuż po zapadnięciu zmroku znaleźć się na miejscu. Był to jeden z nielicznych pomysłów, których zawsze będę żałował a zwłaszcza lekkomyślności z jaką naraziłem na śmiertelne niebezpieczeństwo swoich najbliższych i przyjaciół. Zdecydowali się na alternatywną trasę: Jola, Iwonka, Ewa Wiszniewska, Ania i Andrzej „Hrabia” Jońscy, oraz dwóch „górali”, z których jeden miał ksywę Hombre – imion nie mogę sobie przypomnieć, a którzy beztrząsco poparli mój pomysł.

W miarę upływu pokonanego dystansu śnieg stawał się coraz głębszy, a w związku z tym spadało tempo. Hombre po pewnym czasie napomknął, iż czas przejścia szlaku podany w przewodnikach i na drogowskazach, w zimowych warunkach należy pomnożyć przez dwa. Rychło w czas – pomyślałem ale możliwości odwrotu nie mieliśmy. W miarę zapadania zmierzchu pogorszyła się widoczność a jedyną wskazówką potwierdzającą, iż wciąż znajdujemy się na szlaku były powtarzające się co kilometr słupy z tabliczkami: granica państwa – przekraczanie wzbronione. Na szczęście większość trasy wiodła przez las, gdzie śnieg był płytszy i brak drzew na ścieżce wyznaczał szlak. Zmienialiśmy się na

prowadzeniu, wyłączając z tego dziewczyny, które szły po naszych śladach. Pamiętaliśmy o jednym: nie wolno nam przystanąć, bo zmęczenie zwali nas z nóg i już nie będziemy mogli się podnieść. Plecaki robiły się coraz cięższe i napomknąłem o pozbyciu się z nich szampana. Hombre szybko przekonał mnie i innych, iż alkohol osłabi nas ostatecznie i dopóki tylko powłóczymy nogami musimy się wspinać. W końcu męska część grupy nie miała już dłużej sił prowadzić i zdecydowaliśmy się na krótki odpoczynek na stojąco, wyjmując z plecaków pochodnie a) dla rozgrzania, b) dla oświetlenia drogi. Hrabia padł w śnieg mówiąc, że już się stąd nie ruszy a Anka z Iwonką kontynuowały wspinaczkę. Gdy oddaliły się od nas na kilkaset metrów Anka zaczęła krzyczeć: Ratunku! W chwilę później zawtórowała jej Iwonka, co Jolę wprawiło w panikę i zaczęła iść w kierunku szczytu wzgórza przez otwartą polanę. My w tym czasie zgarnęliśmy trochę chrustu i zaczęliśmy rozpałać ognisko, gdy usłyszeliśmy dolatujące od szczytu głosy. Byli to Witek Kruszczyński, mąż Baški Kot i Marian, zwany Ciuńcia, którzy schodzili by pomóc nam na ostatnich metrach. Okazało się, iż załamanie przyszło kilkaset metrów od szczytu Wielkiej Raczy, na której znajdowało się schronisko. Przebywający w schronisku ratownicy GOPR już zakładali buty by wyjść nam naprzeciw.

Byliśmy tak przemarznięci i wyczerpani, że koledzy z drugiej grupy pomagali nam ściągnąć przemoczone i zeszywniałe od mrozu ciuchy. Dostaliśmy po kubku gorącej herbaty, ktoś otworzył jakieś puszki i po posileniu oraz rozgrzewce byliśmy gotowi rozpocząć zabawę sylwestrową na 2 godziny przed północą. Był to bal przebierańców, ja miałem marynarską koszulkę w paski i czapkę z napisem pijany szyper, od tytułu jednej ze sprośnych ballad ogniskowych: „pijanego szypra z kutra raz ponura myśl męczyła; facet myślał, że ma trypra a to była zwykła kiła”. Kierownictwo za-

powiedziało, iż poza szampanem, po butelce na parę, przywiezienie jakiegokolwiek alkoholu będzie surowo potępione. Tymczasem podszedł do mnie Józio Pasik i konfidencko szepnął:

- *Chcę, żeby tytuł na twojej czapce odpowiadał prawdzie. Wyjdź za mną za kilka minut.*

Kochany Józio, zawsze zabezpieczony. W swoim plecaku miał flaszkę wódki, z której pociągneliśmy po stakanie i zaraz zrobiło się weselej na duszy. Zabawa trwała w najlepsze, z tańcami i przyspiwewkami ale nie wytrzymaliśmy nie tylko do białego rana ale nawet do wyjścia z pochodniami, które zużyliśmy na rozgrzewkę. Zakwaterowani byliśmy w wieloosobowym pokoju z dwoma rzędami piętrowych prycz, ogrzewanym kozą, na której rozgrzewaliśmy w śnieg w miednicy do mycia. Hrabia, któremu wróciły nie tylko siły ale i dobry humor, zamoczył rękawy piżamy jednej z lokatorek i zawiązał na supły. Pamiętam, że nazywała się Berlińska i miała pełny sprzęt do narciarstwa zjazdowego. Solidarnie nie wydaliśmy Hrabiego i dostało się nam wszystkim od Berlińskiej, która niezbyt pochlebnie wyraziła się na temat naszych obyczajów kulturalnych.

Kilka lat po tym wydarzeniu, również w Beskidzie Żywieckim w okolicy Pilska wydarzyła się tragedia, która wstrząsnęła całą Polską, a mnie uświadomiła na jakie niebezpieczeństwo naraziłem moje Dziewczyny i innych uczestników tej nieodpowiedzialnej eskapady. 22 grudnia 1980 roku przybyła do Korbielowa 16 osobowa grupa młodzieży, ze szkoły mistrzostwa sportowego w Kaliszu. W grupie tej znajdowali się chłopcy i dziewczęta w wieku 12 – 17 lat, wśród których był 17 letni Mistrz Polski juniorów w chodzie sportowym na 10 km Ireneusz Langwierski. Zarówno koleżanki jak i koledzy Irka, oraz ich trener Krzysztof Kisiel pragnęli powtórzyć sukces kolegi, a obóz zimowy z planowanymi marszobiegami w ciężkim górskim terenie miał być jedynie rutynowym nabieraniem

kondycji. Grupa kilkunastu dziewcząt i chłopców poubieranych w lekkie treningowe dresy wyruszyła wraz z trenerem na Pilsko. Po dwóch godzinach nastąpiło gwałtowne załamanie pogody, sypanał śnieg, grupa zabłądziła i znalazła się po słowackiej stronie. Słowaccy funkcjonariusze ochrony granicy nakazali im powrót na stronę polską mimo, iż niektórzy z nich byli bliscy krańcowego wyczerpania. W rezultacie pięciu wysportowanych, sprawnych fizycznie chłopców w wieku 15 – 17 lat poniosło śmierć z zimna i wyczerpania. Szczegółowy opis tej tragedii można znaleźć na stronie Kwartalnika Turystycznego „W Górach” <http://www.wgorach.com/?id=66219&location;=f&msg;=1>, artykuł Tragedie Górskie – Pilsko. Nasza przygoda, która zakończyła się szczęśliwie oraz ta straszliwa tragedia uświadomiły nam dosadnie, iż z górami a zwłaszcza zimą nie ma żartów.

W każdym razie oddaliśmy się turystyce bez reszty zdobywając doświadczenie i przekazując go innym. Zdobyliśmy z Jolą m.in. srebrne odznaki GOT (Górska odznaka turystyczna), złote KOT (Kolarska Odznaka Turystyczna) i ukończyliśmy kursy Przodowników Turystyki Kolarskiej oraz wychowawców kolonii i obozów młodzieżowych. Nie wyobrażaliśmy już sobie spędzania weekendów czy wakacji inaczej, niż w sposób czynny, na łonie natury, z plecakiem, rowerem, śpiworem, namiotem, ogniskiem, jak w pioesence:

*Usiądzie ballada, przy boku wędrowca,
Dorzuci do ognia gałązkę jałowca.
Kto raz się zakrztusił podobnym zapachem,
Ten nigdy nie zaśnie pod dachem.*

Iwonka towarzyszyła nam w wyprawach tylko gdy musiała, nie wykazując specjalnego entuzjazmu dla naszych pasji. Była

m.in. z nami na Węgrzech, w Bieszczadach i kilku rajdach, które sobie chwaliła ale wydawało nam się, iż turystka z niej raczej nie wyrośnie. Zamiłowanie do roweru, turystyki górskiej, biegania i pływania odżyło u niej po trzydziestu latach.

Zdobywaliśmy również doświadczenie poprzez udział w imprezach organizowanych przez zasłużone kluby i komisje, m.in. przez Międzyuczelniany Klub Turystyki Kolarskiej Wagabundus, Komisję Turystyki Kolarskiej Stołecznego Zarządu PTTK oraz Zarządu Głównego. Braliśmy kilkakrotnie udział w Rajdzie Fanatyków, organizowanym przez Wagabundus w pierwszą sobotę grudnia, oraz w Międzynarodowym Zlocie Turystów Rowerowych organizowanym pod patronatem AIT w Kazimierzu n/Wisłą w 1977 roku. Na szlakach poznaliśmy wielu działaczy turystycznych a przy okazji nasza działalność została zauważona. W 1979 roku zostałem prezesem Komisji Turystyki Kolarskiej Stołecznego Zarządu Wojewódzkiego PTTK, zastępując na tym stanowisku Marka Dąbrowskiego – współzałożyciela Wagabundusa, późniejszego ministra finansów, a obecnie Dyrektora Biura Rozwoju Ekonomicznego w krajach rozwijających się CASE. Marek zrezygnował z funkcji prezesa w związku z przygotowaniami do obrony pracy doktorskiej, rekomendując mnie na stanowisko prezesa a Jolę na pozycję Sekretarza Komisji. Wprawdzie była to działalność społeczna ale mieliśmy dostęp do najwyższej jakości sprzętu rowerowego za złotówki i po cenie hurtowej. W ten sposób Kormoran Joli stał się hybrydową kombinacją oparta na ramie wyścigowego Jaguara, z przerzutkami, hamulcami i zębatkami Shimano, a z mojego Rekorda ostała się tylko oryginalna rama. Oba nasze rowery zostały z piwnicy skradzione po naszym wyjeździe do Stanów, zanim zaczęła pożerać je rdza.

Nadmiar zajęć nie pozwolił mi na ukończenie kursu przewod-

ników po Warszawie, na co miałem ogromną ochotę. Znałem w swym mieście niemal każdy zakątek i marzeniem moim od dawna było przekazywanie zamięłowania do Warszawy innym. Kolega z zarządu, który wraz ze mną zaczynał ten kurs, Edward O. (nie jestem pewny nazwiska) pewnego razu objaśniał wycieczkę ze Związku Sowieckiego genezę powstania i historię Grobu Nieznanego Żołnierza, gdy akurat tamtędy przechodziłem (pracowałem przy ul. Niecałej, ok. 200 metrów od Grobu):

- *Bolko, z nieba mi spadłeś* – zachwycił się Edward – *za pół godziny muszę być w Wilanowie, ja i tak robię zastępstwo za kolegę, który zna rosyjski, podczas gdy ja ani be ani me* – wyrzucał z siebie w tempie właściwym przewodnikom. - *Błagam cię, zastąp mnie na pół godzinki a ja ci się odwdzięczę jak tylko będę mógł.*

- *Czego ode mnie oczekujesz?* – spytałem.

- *Tu masz vauchery i rezerwację, zaprowadź ich do Victorii (dzisiaj Sofitel Victoria) na obiad, zjesz sam za darmo, następnie do Zachęty na wystawę jakiegoś ichniego malarza a potem ich rozpuścisz, niech idą gdzie chcą. Pokażesz im tylko drogę do Victorii, gdzie mają nocleg i pamiętaj, jestem twoim dłużnikiem* – rzekł Edek, nie czekając na moją odpowiedź i ściskając mnie serdecznie.

- *Ok, bez takich czułości* – odpowiedziałem przejmując dowodzenie grupą

- *Zdorowo, uważajemyje друзja* – zwróciłem się do audytorium - *wy gołodnyje?*

- *Da kanieczno, tawariszcz rukawaditel* – rozległo się.

- *Nu dawaj, abiedawat' paszli* – zaprosiłem grupę zawijając ręką w kierunku Victorii.

Natychmiast przykleiły się do mnie dwie damy w wieku tro-

lejbosowym^[69] i szczebiotały jaka to Moskwa maguczaja i piekna a Krasnaja Płoszczad' samaja bolsza we wsioj mirie.

- *Krasawice, Wy z Maskwy?* – spytałem.

- *Niet, tawariszcz, my z Czielabińska* – odpowiedziała jedna z dam, wyraźnie zadowolona ze słowa krasawice - *my tol'ko awtobusom jechali czieriez Krasniuju Płoszczad' iz aeroporta na wakzał, a patom pojezdom k' wam prijechali.*

Starałem się zachować najuprzejmiej jak tylko potrafiłem, słuchając jakie to w Sowieckim Sojusie wszystko jest większe, piękniejsze, lepsze – odpowiadając od czasu do czasu: „*da kanieczna*” - a humor popsuło mi wymyślanie od towarzyszy, co przeczytywałem za obelgę.

- *Mnie zawut pan Skowron* – przedstawiłem się.

- *Prijatna paznakomit' tawariszcz Panskowron* – *ja Wieroczka Stiepanowna*, - odpowiedziała jedna z dam – *kak wasze otciestwo?* - zapytała.

- *U mienia uże niet atca i ja nie tawariszcz, Wieroczka Stiepanowna* – wyjaśniłem z jadowitym uśmiechem numer 36.

- *Ani w Polsce wsie pany* – powiedziała do Wieroczki jej towarzysza, która również się przedstawiła ale nawet nie starałem się zapamiętać.

Gdy Wieroczka Stiepanowna pokazała mi, rozkładając szeroko rece, jak wielkie sa u nich pticy, nie wytrzymałem i spytałem czy to prawda, że u nich pszczoły kak gusi. Zapadło kłopotliwe milczenie, Rosjanki zorientowały się, iż ich propaganda nie robi na mnie wrażenia i zmieniły temat pytając o zawód, rodzinę na co odpowiadałem odwracając pytania. Okazało się, iż była to wycieczka pracowników instytutu naukowego, którzy po dokonaniu jakiegoś

69 Linie trolejbusowe posiadały w Warszawie numerację od 50 wzwyż i stąd się wzięło określenie „wiek trolleybusowy”.

„wiekopomnego” aczkolwiek okrytego największą tajemnicą, odkrycia, zostali nagrodzeni wycieczką do Europy. Pierwszym etapem była Warszawa, następnie przez Berlin, Drezno, Pragę, Budapeszt mieli się udać do Sofii i stamtąd spowrotem do Moskwy. Po obiedzie podano wuzetki, wrzątek w szklankach i herbatę w torebkach a ja zorientowałem się iż wszyscy czekają na mnie, by zorientować się, co z tym zrobię.

Na usprawiedliwienie dalszego zachowania muszę zaznaczyć, iż tuż przed wpadnięciem na Edka miałem spotkanie z wykonawcą i określenie mojego stanu jako idealnie trzeźwy byłoby lekką przesadą. Najpierw, rosyjskim zwyczajem zażyłem cukier na prikusku, wkładając dwie kostki do ust, a następnie potraktowałem torebkę z herbatą w ten sam sposób, pozostawiając sznurek ze zwisającą metką na zewnątrz. Jak na komendę wszyscy uczestnicy wycieczki powtórzyli po mnie dokładnie to samo. Następnie pociągnąłem łyk „wrzątku”, odstawiłem, po czym włożyłem do szklanki nóż i widelec, zamieszałem, wyjąłem i zakładając serwetkę na szyji potraktowałem tymi narzędziami wuzetkę, po każdym kęsie wycierając nóż o serwetkę. Kątem oka zauważyłem kelnerów, którzy spod ścian przygladali się widowisku, zasłaniając rękami usta i z trudem powstrzymując śmiech.

Po skończonym obiedzie i dopiciu herbaty w ten szczególny sposób, wyszliśmy wszyscy z metkami zwisającymi nam z podbródków, podczas gdy gorzka herbata dawno nam się zdążyła rozpuścić. Zamiast w lewo do Placu Małachowskiego - skręciłem w prawo, w kierunku Krakowskiego Przedmieścia, by sprawić uciechę większej ilości warszawiaków. Zachciało wam się chwalić, że Maskwa taka balszaja to zobaczycie, że Warszawa jest większa od waszego Czelabińska - pomyślałem jadownie, sepleniąc głośno po rosyjsku wymieniałem nazwy ulic, kościoła św. Krzyża,

budynku Polskiej Akademii Nauk. Krakowskim Przedmieściem doszliśmy do świętokrzyskiej, świętokrzyską do Marszałkowskiej aż do Królewskiej, którą doszliśmy do Zachęty, znajdującej się niecałe 50 metrów od Victorii. Przez całą drogę ściągaliśmy spojrzenia przechodniów, którzy po usłyszeniu rosyjskiej mowy kiwali ze zrozumieniem głowami. Przed samą Zachętą wyjąłem z ust sznurek z metką, uniosłem w górę i ze słowami:

- *Na pamiatku!* – włożyłem do kieszeni, po czym wszyscy uczestnicy powtórzyli mój gest a panie powkladały metki starannie do torebek.

Doszedłem do rogu Mazowieckiej i rozkładając rece wskazałem:

- *Wot miuziej, wot gastinica. Swabodnieje wriemja druzja!*

W chwili później spotkałem się z Jolą, która akurat wychodziła z pracy a widząc mnie w tym towarzystwie powitała swego męża słowami:

- *Tak żeś się uchlał, że się z Ruskami zadajesz?* - Na co odpowiedziałem:

- *Trzeba mnie było widzieć 10 minut temu.*

Po czym szybko oddaliliśmy się, zanim uczestnicy wycieczki zmiarkowali, że ich przeciągnąłem po dalszej trasie.

W 1976 roku zarysowały się pierwsze objawy katastrofy ekonomicznej systemu centralnego zarządzania, skupiania w jednym ośrodku decyzyjnym zarówno środków produkcji jak ich dystrybucji, cen i płac, a poza tym zaciągnięte kredyty zostały albo wykorzystane na bezpośrednią konsumpcję albo zmarnowane w inwestycjach, w których względy polityczne stanowiły czynnik nadrzędny w stosunku do rachunku ekonomicznego. Liberalizacja, po ratyfikacji Paktu Praw Człowieka i ustaleń konferencji w Madrycie, polegająca m.in. na braku więźniów politycznych, rozluźnienia po-

lityki paszportowej, częściowego otwarcia granic z „demoludami” (z wyjątkiem sowieckiej Rosji), wydawania zezwoleń na budowę kościołów w ograniczonym zakresie, była w rzeczywistości tylko pozorna. Nadal wydawano ciężkie dewizy na zagłuszanie zagranicznych rozgłośni radiowych z RWE na czele, dysydentów zamykano na ustawowe 48 godzin, wypuszczano i ponownie zamykano, dokonywano czynnych napaści bojówek SB na mieszkania znanych opozycjonistów (m.in. na Jacka Kuronia), cenzura działała na pełnych obrotach a przywóz zagranicznych publikacji karany był w najlepszym wypadku konfiskatą, zezwoleniom na budowę kościołów towarzyszyły biurokratyczne utrudnienia w ich realizacji, a już szczytem arogancji wobec społeczeństwa były poprawki do Konstytucji PRL, narzucające niezmiennosc ustroju komunistycznego (obłudnie nazywanego socjlistycznym) oraz zależność Polski od sowieckiej Rosji.

Ustawą z 10 lutego 1976 wprowadzono zapis, że Polska jest państwem socjalistycznym (w miejsce dotychczasowego określenia – państwo demokracji ludowej), PZPR – przewodnią siłą społeczeństwa w budowie socjalizmu, zaś PRL w swej polityce umacnia przyjaźń i współpracę ze Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich i innymi państwami socjalistycznymi. Wszystkie te zjawiska zwiastowały znane m.in. z okresu następującego po gomułkowskiej odwilży, „dokręcanie śruby”. W sferze ekonomicznej katastrofa stawała się coraz bardziej odczuwalna. Obciążenie spłatami zagranicznych kredytów, zainwestowanych w niezyskowne przedsięwzięcia i konieczność ich spłacania spowodowały, iż zaprzestano importu niemal wszystkiego, z częściami zamiennymi do niezbędnych maszyn, nie wspominając już o przysłowiowym sznurku do snopowiazałek, kładącym każdą „kampanię żniwną” w nierentownych PGR-ach, a jednocześnie eksportując wszystko,

co tylko się dało wyeksportować, doprowadzając do огоłocenia rynku. Mieliśmy szczęście kupując nasze rowery wraz z osprzętem zanim do tego doszło, gdyż po roku 1976 w t.zw. „salonie Rowelowym” przy ul. Nowowiejskiej można było dostać tylko dętki i z rzadka opony. W artykuły gospodarstwa domowego i ciuchy zaopatrywać można było się jedynie na bazarach po czarnorynkowych cenach, w mięso tylko na wsi bezpośrednio u rolników a w wędliny w prywatnych wędliniarniach, m.in. w Konstancinie, dokąd jeździliśmy służbowo nadzorując budowę Domu Aktora Weterana. W roku 1976 roku symbolem totalnej niewydolności systemu stały się kartki na cukier, uzupełniane później stopniowo kartkami na wszystko. W tej sytuacji władze zdecydowały się na drastyczne podwyżki cen wszystkich artykułów, dochodzące do 70%. Już podczas VII zjazdu PZPR w grudniu 1975 roku Edward Gierek zdając sobie sprawę ze złego stanu gospodarki spowodowanego nadmierną konsumpcją na kredyt powiedział:

(...) problem struktury cen podstawowych artykułów żywnościowych wymaga (...) dalszej analizy (...)

Była to ukryta zapowiedź mającej nastąpić podwyżki cen. Władze PRL chciały jednak przygotować obywateli na mające nastąpić zmiany i rozpoczęły przystosowywanie do tego zadania całego aparatu propagandowego. Miał on przedstawić podwyższenie cen jako nieunikniony krok spowodowany głównie wzrostem cen na rynkach światowych. Od początku czerwca 1976 w prasie (lokalnej i ogólnopolskiej) pojawiały się informacje o wysokości bezrobocia w Europie i Ameryce Północnej, kryzysie żywnościowym i wzroście cen żywności na świecie. Pojawiały się także tak kuriozalne informacje jak ta, że Islandia radzi sobie z kłopotami żywnościowymi dzięki wprowadzeniu diety rybnej („Trybuna Ludu”). KC PZPR podjął nawet decyzję o tym by nie używać zwrotu: pod-

wyżka cen.

Bezpośrednią przyczyną strajków było przemówienie premiera Piotra Jaroszewicza. Było ono transmitowane na żywo w radiu i telewizji 24 czerwca 1976 roku. W przemówieniu premiera informacja o podwyżkach nie padała wprost. Była ukryta zgodnie z wcześniejszymi zaleceniami Komitetu Centralnego. Podwyżki miały sięgnąć 70%. W komentarzach prasowych do wydrukowanego w prasie przemówienia próbowano tłumaczyć podwyżki nazywając je konsekwentną realizacją założeń polityki pogrudniowej oraz kontynuacją postępu rozpoczętego na początku lat siedemdziesiątych.

Władze komunistyczne od początku liczyły się z masowymi wystąpieniami ludności, niezadowolonej z drakońskich podwyżek cen, o czym może świadczyć wczesne powołanie sztabu ćwiczeń Lato 76, na czele którego stanął wiceminister MSW i szef SB gen. Bogusław Stachura. Rozpoczęto tworzenie w komendach wojewódzkich MO specjalnych grup śledczych, których zadaniem była inwigilacja potencjalnych inspiratorów wystąpień. Wprowadzono tryb przyspieszony w postępowaniu przed sądami i kolegiami ds. wykroczeń, przygotowano wolne miejsca w aresztach.

23 czerwca 1976, w przeddzień wystąpienia Jaroszewicza podniesiono gotowość bojową jednostek podległych MSW, rozpoczęła się właściwa faza Operacji Lato 1976.

Odpowiedzią społeczeństwa stały się masowe strajki i akcje protestacyjne we wszystkich większych zakładach pracy a najbardziej spektakularne miały miejsce w Ursusie, gdzie strajkujący robotnicy ZM Ursus zablokowali linie kolejową Warszawa – Katowice, z odgałęzieniami do Łodzi, Krakowa i Wrocławia, . oraz w Radomiu, gdzie doszło m.in. do starć z oddziałami ZOMO oraz podpaleń komitetu wojewódzkiego PZPR.

26-30 czerwca – wydarzenia radomskie – rozszerzenie się strajków na wszystkie zakłady państwowe w Radomiu w odpowiedzi na brutalne pacyfikacje i aresztowania organizatorów pierwszych strajków. Władze lokalne ogłaszają stan wyjątkowy i czasowo zamykają wszystkie zakłady. W efekcie na ulice wychodzą zrewoltowane tłumy mieszkańców miasta, łącznie kilkadziesiąt tysięcy ludzi, które dokonują m.in. podpalenia budynku komitetu wojewódzkiego PZPR. Miasto zostaje całkowicie spacyfikowane przez liczne oddziały ZOMO, z użyciem gazu łzawiącego i amatek wodnych. Skala aresztowań osiąga znaczne rozmiary. Aresztowanych poddaje się m.in. torturom polegającym na przechodzeniu przez szpaler milicjantów tłukących aresztanta pałkami, znanej jako „ścieżka zdrowia”. Edward Gierek dowiedziawszy się o tego typu praktykach nakazał natychmiastowe ich zaprzestanie. Równolegle, w całym kraju narasta oficjalna propaganda nazywająca uparcie protestującą ludność miasta – chuliganami i wichrzycielami, organizowane są „spontaniczne” wiece protestacyjne przeciw działaniom „radomskich warcholów”.

Według raportu sporządzonego przez MSW na potrzeby Biura Politycznego na terenie 12 województw zastrajkowało 112 zakładów, w strajkach uczestniczyło ponad 80 tysięcy osób (w tym 20 800 w Radomiu i 14 200 w Ursusie).

28 czerwca wszystkie zakłady pracy w Warszawie zostały zobowiązane do przymusowego wysłania pracowników na stadion X-lecia, gdzie odbył się starannie wyreżyserowany wiec mający wyrażać poparcie dla władz oraz potępienie dla „warcholów”, jak nazywała strajkujących reżimowa prasa. Pracowałem wówczas w Warszawskiej Fabryce Mebli na Targówku na kierowniczym stanowisku Głównego Energetyka i dostałem po prostu polecenie służbowe nie tylko udania się na stadion ale nakłonienia moich

podwładnych. Poszedłem do warsztatu w towarzystwie sekretarza POP i powiedziałem wprost:

- *Przyszedłem was nakłonic do pójścia na stadion. Kto się decyduje to proszę się przygotować.*

Nikt się nie ruszył a stojący obok mnie sekretarz POP – polityczny imigrant z Grecji o nazwisku Wasilis Nolis – zaczął pleść bzdury o lojalności wobec partii, o konieczności podwyżek cen, cytując z pamięci wytyczne agitatorów partyjnych. Po dłuższej chwili jeden z elektryków się odezwał:

- *Ja wiem, że jak się nie zgłoszę to będę miał później problemy.*

- *Zapewniam was, że żadnych konsekwencji nie będzie, pójście na stadion jest całkowicie dobrowolne* – odpowiedział Nolis.

Zgłosił się tylko jeden operator kompresora, członek PZPR i nałogowy alkoholik, którego tylko przynależność partyjna chroniła przed dyscyplinarnym zwolnieniem. Zdażyłem jeszcze przed wyjściem zadzwonić do Joli i umówić się pod Kolumną Zygmunta. Podstawione autobusy zawiozły nas do placu Leńskiego (obecnie gen. Hallera), skąd maszerując czwórkami mieliśmy się udać na stadion. Tymczasem zamiast w kierunku Targowej, udałem się w kierunku mostu śląsko-Dąbrowskiego, mijając się po drodze z maszerującymi naprzeciw w milczeniu pracownikami lewobrzeżnej Warszawy. Jola również oderwała się od „stada” i czekała już na mnie pod Kolumną, skąd doszliśmy do Królewskiej a tam wsiedliśmy w autobus 175. Niestety, tych którzy wówczas mieli odwagę biernie przeciwstawić się władzy choćby poprzez bojkot „spędu” na stadionie, było jeszcze o wiele za mało.

Reakcją społeczeństwa zmęczonego zarówno pogarszającą się sytuacją ekonomiczną, przejawiającą się głównie drastyczny-

mi brakami w zaopatrzeniu, oraz represjami, cenzurą, kneblowaniem wolności obywatelskich i opluwaniem uczestników protestów na zorganizowanych ogólnie wiecach, stał się masowy rozwój opozycji. Powstanie Komitetu Obrony Robotników poprzedziła akcja pomocy osobom represjonowanym w Ursusie organizowana przez środowisko tzw. Gromady Włoczęgów działającej przy 1 Warszawskiej Drużynie Harcerskiej im. Romualda Traugutta Czar-na Jedyńka, któremu przewodził Antoni Macierewicz, i młodszych działaczy Klubu Inteligencji Katolickiej w Warszawie (m.in. Henryk Wujec) wspieranych także przez inne osoby, w tym przede wszystkim Jana Józefa Lipskiego. Pomoc ta polegała na zbiórce pieniędzy dla osób pozbawionych pracy i członków ich rodzin, koordynowaniu pomocy adwokackiej i lekarskiej dla osób represjonowanych. Symbolicznym jej początkiem był udział w tzw. I procesie ursuskim (16-17 lipca 1976 w Warszawie), w czasie którego nawiązano kontakt z rodzinami sądzonych robotników. Od września 1976 poza Ursusem uczestnicy akcji pomocy działali także w Radomiu.

W 1977 r. Po uwolnieniu większości represjonowanych KOR przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej KOR. W tym czasie powstały takie opozycyjne grupy jak Studenckie Komitety Solidarności (po zabójstwie współpracownika KOR Stanisława Pyjasa), Wolne Związki Zawodowe założone w Katowicach przez Kazimierza Świtonía, Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela a w listopadzie 1979 zawiązała się pierwsza od 1946 roku niezależna od komunistów partia – Konfederacja Polski Niepodległej, na której czele stanął Leszek Moczulski.

Wymienić można wiele innych organizacji i niezależnych od cenzury wydawnictw, z Niezależną Oficyną Wydawniczą NOWa, Mirosława Chojeckiego na czele. W każdym razie komuniści raz na

zawsze stracili monopol partyjny i wydawniczy, którego nie udało im się już odzyskać nawet po wprowadzeniu stanu wojennego. W USA powstał Ruch Społeczno Polityczny Pomost, który z jednej strony propagował idee niepodległej Polski wśród amerykańskich polityków oraz wśród Polonii a także wspierał propagandowo i finansowo rosnącą liczebnie i w znaczeniu opozycję niepodległościową w kraju. T.zw. opozycja demokratyczna, zmierzająca do zreformowania istniejącego systemu oraz odzyskania zagwarantowanych konstytucja i ratyfikowanymi Paktami Praw Obywatelskich praw, wspierana była przez umiarkowane środowiska emigracyjne w Wielkiej Brytanii, Francji, Australii, Kanadzie i USA. Oskarżanie działaczy opozycji o finansowanie przez zachodnie ośrodki wywiadu było oczywiście tanim chwytem propagandowym, wyssanym z palca. 16 października 1978 roku stanowił przełomowy dzień w historii nie tylko Polski ale i wszystkich narodów zdominowanych przez komunistyczne imperium rosyjskie, funkcjonujące jako Związek Sowiecki. Z balkonu pałacu watykańskiego rozległy się słowa:

„Annuntio vobis gaudium magnum: Habemus papam!” – a po przerwie wymuszonej aplauzem zgromadzonego tłumu, kardynał Percile Felici dodał:

„Eminentissimum ac reverendissimum dominum, dominum Carolum, sancta romana Ecclesia cardinalem, Wojtyła, qui sibi nomen imposuit Ioannis Pauli.”

Wprawdzie od wyboru biskupa krakowskiego Karola kardynała Wojtyły na Stolicę Piotrową do jego pamiętnej wizyty w Polsce minęło ponad siedem miesięcy ale już wówczas nasz naród stracił przygnębiające poczucie osamotnienia i zapomnienia w okowach obcej władzy i niechcianego totalitarnego systemu. Słowa Ojca świętego Jana Pawła II wypowiedziane podczas kazania

na pl. Zwycięstwa (obecnie Józefa Piłsudskiego): Wołam z całej głębi tego Tysiąclecia, wołam w przeddzień Święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi: Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi! odebrane zostały jako posłanie i natchnienie do wydarzeń, które nastąpiły rok później.

Najwcześniej z nas miała okazję poznać przyszłego Papieża Iwonka, która przebywając z moją Mamą na wczasach w Wiśle przyjęła sakrament bierzmowania z rąk ówczesnego biskupa krakowskiego. Ja witałem Jego świątobliwość podczas drogi z lotniska w Aleji Żwirki i Wigury i dane mi było oglądać go przez kilkanaście sekund. Mój teść zdobył skądś dwa bilety na mszę na placu Zwycięstwa, dokąd udali się razem z Jolą. Telewizja pokazywała sprawozdanie w interesujący sposób, starając się unikać obecności ogromnej ilości młodzieży skupiając się na pierwszych rzędach, gdzie siedzieli partyjni dygnitarze, księża i zakonnice. W każdym razie zarówno msza jak i homilia, ani spontanicznie odśpiewana pieśń: „ My chcemy Boga” nie były ocenzone. Jola wróciła ze mszy zmęczona i szczęśliwa, pełna wrażeń jakich nigdy przedtem nie doświadczyła. 8 lat później w Hamtramck, Jola znów była w gronie uczestników Mszy św. odprawionej po polsku dla Polonii Stanu Michigan, a ja miałem zaszczyt śpiewać w chórze i widzieć Ojca św. dosłownie na wyciągnięcie ręki.

W roku 1977 Politechnika Warszawska utworzyła eksperymentalny program studiów eksternistycznych, na które mógł uczęszczać każdy, po złożeniu opłaty wynoszącej 50 zł. Eksterni otrzymali materiał do przerobienia, mogli uczęszczać na comiesięczne trzydniowe sesje, składać prace kontrolne, a po sześciu miesiącach złożyć egzamin obejmujący program szkoły średniej oraz pierwszego semestru z matematyki. Do egzaminu przystąpiło ponad 6000 eksternów a lista osób, które zdały w pierwszym

podejściu mieściła się na pojedynczej kartce formatu A4 i zawierała 48 nazwisk, wśród których znalazło się moje! Kolejny semestr obejmował ekonomie polityczną, język rosyjski i rysunek techniczny a po złożeniu zaliczeń z tych przedmiotów stałem się studentem pierwszego roku, drugiego semestru Wydziału Elektrycznego. Do pamiętnego Sierpnia 1980 roku byłem przygotowany działając m.in w Komitecie Katyńskim, początkowo tylko pełniąc warty honorowe w Dolince Katyńskiej, znajdującej się naprzeciwko grobu mojego dziadka Jana Żbikowskiego, wujka Leona a po roku 1972 również babci Żbikowskiej (warszawskiej) na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Kolportowałem również „bibułę”, która mama przynosiła od pp Zofii i Zbigniewa Romaszewskich. Sporo czytałem niezależnych wydawnictw, w tym wskazówek dotyczących przeciwstawiania się czerwonemu z zachowaniem obowiązującego prawa.

Latem 1980 roku Iwonka wyszła za mąż i do naszego M-3 wprowadził się nasz zięć Zbyszek Dejnert a w grudniu 1980 przyszła na świat Agnieszka, czyniąc Jolę babcią w wieku 36 lat a mnie dziadkiem w wieku 38. W okresie olimpiady w Moskwie i po ślubie Iwonki wybraliśmy się z Jolą na wczasy rowerowe do NRD, gdzie przy okazji spędziliśmy kilka dni na naturystycznym campingu w Prerow nad Bałtykiem. Po powrocie w kraju było już gorąco. Wprawdzie lipcowe strajki w lubelskim ugaszone zostały obietnicami ale zaczęły się strajki na Śląsku, w kilku większych zakładach Warszawy, w Nowej Hucie, we Wrocławiu i w Łodzi. Komunistyczna propaganda używała wówczas określeń „niepokoje” lub „przejściowe przerwy w pracy”, które nasilały się w miarę pustoszenia półek sklepowych, których opróżnienie wiele osób kojarzyło ze wspomaganie olimpiady, zbojkotowanej przez USA i kilkanaście innych krajów. Fama glosiła – nigdy nie znalazłem

rzetelnego potwierdzenia - iż w porcie szczecińskim podczas załadunku „farby” na statek płynący do Rosji spadła paleta i po rozbiciu kilkunastu puszek okazało się że zamiast farby była w nich szynka konserwowa.

Podpisanie porozumień w Gdańsku i w Szczecinie stało się dla mnie sygnałem do utworzenia niezależnej organizacji związkowej w Dyrekcji Budownictwa Ogólnego, gdzie wówczas pracowałem. Okazało się, iż podobne zamiary mieli Zygmunt Staroń – koordynator zatwierdzeń projektów, oraz Ela Pacholczyk – prawniczka z wydziału prawnego. Korzystaliśmy z posiadanych przeze mnie materiałów oraz uzyskanych w punktach konsultacyjnych w Klubie Inteligencji Katolickiej na Kopernika oraz na strychu domu, przy ul. Bednarskiej, gdzie społecznie urzędował Antoni Macierewicz. Było to moje pierwsze spotkanie z Antkiem, następne miało miejsce rok później w obozie internowanych w Załężu, a kolejne kilka lat po ostatnim, w Detroit u Doktora Subczyńskiego.

Komisję Zakładową utworzyliśmy tak, żeby był wilk syty i owce całe. Pracowaliśmy w instytucji budżetowej, podległej bezpośrednio Prezydentowi m.st. Warszawy a pracownicy „budżetówki” traktują swoje zatrudnienie jako ciepłe posadki, na których można przed pójściem na emeryturę uzbierać odprawę za wysługę lat. Z takimi ludźmi raczej na barykady się nie pójdzie i dlatego byliśmy zmuszeni działać bardzo ostrożnie stosując zasadę „wilk syty i owce całe”. Cała nasza trójka legitymowała się zaledwie kilkuletnim stażem w DBO i szanse na to by któreś z nas zostało przewodniczącym ocenialiśmy niezbyt wysoko. Przewodniczącym Rady Zakładowej podległej CRZZ (Centrala Rada Związków Zawodowych bezpośrednio podległa KC a jej przewodniczącym zawsze był sekretarz albo członek

Politbiura) był Andrzej Zdrojewski, sąsiad z Ochoty, zamieszkały przy ul. Grójeckiej 20, z którym chodziliśmy do tej samej szkoły nr. 16, tyle tylko, że w różnych okresach. Andrzej był porządnym facetem, bezpartyjnym, pracował w DBO kilkanaście lat ciesząc się zaufaniem koleżanek i kolegów. Zaproponowaliśmy mu aby przyjął kandydaturę przewodniczącego Komisji Zakładowej niezależnego związku (nazwa Solidarność pojawiła się dopiero 17 września 1980 r.) jako czysty figurant a komisją miała de facto kierować nasza trójka, czyli Ela, Zygmunt i ja. Andrzej się zgodził i pewnie wygrał wybory a my weszliśmy do KZ zajmując odpowiednio funkcje: Ela jako sekretarz, Zygmunt jako wice przewodniczący, ja jako szef propagandy i kierownik biblioteki związkowej, Ewa – późniejsza żona Zygmunta jako skarbniczka. Komisję uzupełniali Tomek Grzechociński z mojego zespołu Piaseczno i Andrzej Czernicki.

Będąc łącznikiem między Zarządem regionu Mazowsze a naszą Komisją Zakładową, zawsze brałem podwójny zestaw materiałów, które w drodze powrotnej podrzucałem Joli. Działalność antykomunistyczna, którą w pewnym sensie była Solidarność była źle widziana w instytucjach państwowych i zupełnie nie akceptowana w rządowych a do takich zaliczało się Ministerstwo Łączności, w którym pracowała Jola. Wspomagałam ją jak tylko mogłam, nierzadko wpadaliśmy razem do Biura Interwencji prowadzonego przez Zbyszka Romaszewskiego ale jej upór, kontrastujący z delikatnym usposobieniem stanowił dominujący czynnik sukcesu jakim było utworzenie pierwszej Komisji zakładowej Solidarności w ministerstwie. Pracowaliśmy po dwóch, przeciwległych stronach placu Zwycięstwa: ja przy ul. Niecałej a Jola przy ul. Mazowieckiej róg Królewskiej, naprzeciwko Zachęty.

Solidarność stanowiła odpowiedź na oczekiwania sporej czę-

ści społeczeństwa, zmęczonego nie tylko pogarszającą się sytuacją rynkową ale również i kłamstwem, obłudą, zakłamaniem i arogancją władzy z obcego nadania. Nikt nie mógł mieć wątpliwości gdzie zapadają kluczowe dla Polski i innych krajów bloku, decyzje, po komunikatach PAP o „roboczej wizycie” w Moskwie sekretarzy i członków Politbiura, przed każdym posiedzeniem Sejmu czy plenum KC.

Wielu naiwnie wierzyło, iż lepsze zaopatrzenie z zachowaniem dotychczasowego wynagrodzenia można po prostu wystrajkować bez uruchomienia mechanizmów rynkowych, a tych z kolei bez dokonania radykalnych zmian systemowych. Od samego początku Solidarność była spolaryzowana wzdłuż kilku jeśli nie kilkunastu linii podziału, wśród których dominowały nurty związkowy i niepodległościowy. Nurt niepodległościowy w zasadzie ograniczał się do wywarcia presji na daleko idące zmiany ustrojowe, które można było osiągnąć poprzez wymuszenie, zagwarantowanych konstytucją PRL wolnych wyborów. Powszechny ruch społeczny, któremu nadano wspólne imię Solidarność nie powstał bynajmniej w próżni, a jego fundamenty tworzone były przez działaczy KSS KOR, ROPCiO, Ruchu Młodej Polski, WZZ świtonii i WZZ Wybrzeża, KPN, Towarzystwa Kursów Naukowych, całego szeregu wydawnictw niezależnych. Po Sierpniu 1980 r. Zaczęły powstawać organizacje niezależne od władz, niekoniecznie związane z Solidarnością a po uchwaleniu ustawy o cenzurze PZPR straciła monopol informacyjny, którego już nawet po wprowadzeniu stanu wojennego nie była w stanie odzyskać.

Jedną z organizacji pośrednio kontrolowanych przez PZPR było PTTK, gdzie prezesów poszczególnych oddziałów „przywożono w tęczkach”. Podczas walnego zebrania Oddziału Ochota

jesienia 1980 roku, w prezydium zasiadał m.in. delegat Zarządu Wojewódzkiego, który odczytał listę kandydatów do zarządu ze wskazaniem prezesa. Delegat następnie zaproponował jawne głosowanie na całą listę, na której znajdowało się również moje nazwisko, a przed przystąpieniem do głosowania delegat zadał niefortunne pytanie:

- *Czy ktoś ma jakieś pytania zanim przystąpimy do głosowania?*

- *Mam pytanie – powiedziałem wstając – czy statut Oddziału przewiduje głosowanie tajne w sprawach personalnych?*

- *Tak – odpowiedział delegat – pod warunkiem, że ktoś z zebranych zażąda tajnego głosowania.*

- *W takim razie zgłaszam formalny wniosek o przeprowadzenie głosowania tajnego na stanowisko prezesa.*

Demokracja dopiero raczkowała i nie wszyscy kandydaci zorientowali się o co chodzi a ponadto czasu na przeprowadzenie kampanii było niewiele. W rezultacie głosy się rozstrzeliły i najwięcej uzyskał ich dotychczasowy prezes, przywieziony w teczce z komitetu dzielnicy Ochota a Andrzej Łyziak o jeden głos mniej. Zarówno ja, jak i kilka osób z zarządu chcieliśmy odpartyjnić władze oddziału ale udało się to tylko połowicznie. Prezes wprawdzie przewodniczył zarządowi ale wszelkie uchwały musiały być podejmowane większością głosów członków zarządu. Podobnej demokratyzacji uległy inne organizacje kontrolowane dotąd pośrednio lub bezpośrednio przez czerwonego. Pierwszy numer Tygodnika Solidarność ukazał się dopiero w kwietniu 1981 ale wkrótce po uchwaleniu ustawy o cenzurze, która wprawdzie cenzury nie znosiła ale zezwalała na zaznaczanie w tekstach jej ingerencji, dotychczas funkcjonujące czasopisma zaczęły druk artykułów i autorów do tej pory całko-

wicie lub częściowo zakazanych. Do najodważniejszych czasopism należały Tygodnik Powszechny, dutygodnik Sudent, Czas, a z gazet codziennych Życie Warszawy oraz organ KW PZPR w Krakowie Gaze-ta Krakowska pod redakcją Macieja Szumowskiego (1939-2004). Po kilkutygodniowym strajku studenci utworzyli Niezależne Zrzeszenie Studentów, powstała Solidarność Wiejska oraz Komitet Założycielski Związku Zawodowego Funkcjonariuszy MO^[70].

Ta ostatnia organizacja postawiła sobie za cel przywrócenie mi-licji społeczeństwu a jako struktura powstała w samym centrum apa-ratu ucisku, spotkała się ze szczególną nagonką władz. Komuniści nigdy nie pogodzili się z powstaniem tak masowej organizacji przez nich niekontrolowanej i za wszelką cenę starali się wyłamać z zawar-tych porozumień prowokując kolejne kryzysy. Tak było z rejestracją Solidarności, uchwałą o cenzurze, legalizacji NZS, Solidarności Wiej-skiej oraz Komitetu Założycielskiego Związku Zawodowego Funk-cjonariuszy MO, który legalizacji nigdy się nie doczekał. Nierzadko szantażowi władz towarzyszyły manewry wojsk Układu Warszawskie-

70 Sierpniowe strajki w 1980 r. i powstanie Solidarności, głoszącej hasła re-form ustrojowych, wyzwoliły także w środowisku funkcjonariuszy postawy re-formatorskie. Narastało wśród nich przekonanie, że milicja powinna mieć cha-rakter służby publicznej, a nie „zbrojnego ramienia partii”, oraz obawa, że tota-litarna władza znów użyje przeciwko buntującemu się społeczeństwu siły, a mi-licjanci będą tego wykonawcą. Jednak środowisko milicyjne nie było w swych poglądach jednolite. Większość milicjantów widziała w Solidarności zagrożenie dla swojej pozycji oraz czynnik anarchizujący życie społeczne i gospodarcze. Dotkliwe było poczucie utraty władzy, jaką dotychczas dawała legitymacja służ-bowa. Choć po licznych incydentach, w których pokrzywdzonymi byli funkcyj-nariusze, narastało wśród nich przekonanie, że kierownictwo resortu spraw we-wnętrznych nie podejmuje działań w ich obronie, to nadal swą przyszłość wiąza-li z silną władzą i dotychczasowym ustrojem, tyle, że bez wypaczeń, których li-kwidację, w ramach partyjnej odnowy, zapowiadała także rządząca Polska Zjed-noczona Partia Robotnicza. Inni, należący do zdecydowanej mniejszości, uznawali Solidarność za ruch odnowy, który mógł przeprowadzić reformy ustro-jowe obejmujące również resort spraw wewnętrznych. Zdawali oni sobie sprawę z konieczności rozliczenia się służby milicyjnej z 35 lat socjalizmu. (Ruch refor-matorsko-związkowy funkcjonariuszy MO w 1981 r. na terenie kraju (zarys), w opracowaniu Wiktora Mikusińskiego)

go oraz mniej lub bardziej zawoalowane groźby dochodzące zza wschodniej granicy. Powstawanie samorządów, które w zasadzie stanowiły konkurencje dla NSZZ Solidarność stanowiło nieśmiały początek repywatyzacji zakładów pracy i przejęcia ich przez spółki pracownicze. Działania te wywołały furję czerwonego, który słusznie obawiał się zagrożenia podstaw ustrojowych skostniałego i niefunkcjonalnego systemu. Większość działaczy wszelkich niezależnych organizacji zdawała sobie sprawę, iż mogą osiągnąć tylko tyle, ile uda się nam wywalczyć bez stwarzania złudnych nadziei, iż czerwony dobrowolnie popuści. Nastroje te doskonale oddaje wiersz Jerzego Narbutta, który stał się nieoficjalnie hymnem Solidarności śpiewanym później w obozach internowanych:

*Solidarni, nasz jest ten dzień,
a jutro jest nieznane,
lecz czyńmy tak, jak gdyby nasz był wiek,
pod wolny kraj spokojnie kładź fundament.
A jeśli ktoś nasz polski dom zapali,
to każdy z nas gotowy musi być,
bo lepiej, byśmy stojąc umierali,
niż mamy klęcząc na kolanach żyć.
Solidarni, nasz jest ten dzień,
zjednoczmy się, bo jeden jest nasz cel!*

16 grudnia 1980 roku miało miejsce odsłonięcie pomnika Poległych Stoczniovców w Gdańsku a następnego dnia, podobnego pomnika w Gdyni. W tym czasie przygotowywałem się do sesji egzaminacyjnej a ponadto Iwonka została profilaktycznie przyjęta do szpitala Ginekologiczno-Położniczego przy ul. Karowej ponieważ jej lekarz prowadzący obawiał się komplikacji związanych z przyjściem na świat Perełki. Naszym delegatem na tą

uroczystość został Andrzej Czernicki, który po powrocie złożył nam szczegółowe sprawozdanie. Szczególnie wzruszającym momentem był apel poległych, podczas którego kolejno odczytywano nazwiska ofiar masakry popełnionej na strajkujących robotnikach Gdańska w dniach 14 – 16 grudnia 1970 roku. Po każdym wyczytanym nazwisku z tłumu padał okrzyk:

Jest wśród nas!

Zobaczyłem ten pomnik po ponad 30 latach, w lipcu 2012 roku podczas urlopu nad Bałtykiem spędzonym z Jagodą i jej córką Magdą. Usiłowałem wówczas przypomnieć sobie słowa pięknego wiersza, napisanego (a przynajmniej odczytanego przez radio) przez Andrzeja Zaorskiego, ale udało mnie się odtworzyć tylko pierwszą i ostatnią zwrotkę:

*W październiku była nasza Polska Wiosna
Ale szybko skuł mróz lodem kraj nasz cały.
Że listopad niebezpieczna dla nas pora,
Już od sierpnia pewne ptaszki nam ćwierkały*

.....

*Aby karku nam nie zgięto nigdy niżej
I by salwami nie rozbrzmiały już ulice,
Po to stoją te nadziei białe krzyże
I Walczącej Polski wznoszą trzy kotwice.*

Nie udało mnie się, mimo usilnych starań, natrafić na pełny tekst.

Dolinka Katyńska znajdowała się po przeciwległej stronie głównej aleji Cmentarza Wojskowego, gdzie pochowani są moi dziadkowie i wujek Leon. (po moim wyjeździe znalazły tam, miejsce również doczesne szczątki wujka Janka, zmarłego w 1987 roku). Za każdą moją wizytą grobów bliskich zachodziłem na kwatery powstańcze i Dolinkę Katyńską by złożyć wiązanek kwiatów

i zapalić znicze. Tam poznałem Stefana Melaka a przez niego Andrzeja Szomańskiego poprzez których nawiązałem kontakt również z innymi członkami KPN, m.in. z Antonim Hedą, braćmi Tomkiem i Grzegorzem Rossa, braćmi Goławskimi i Zygmuntem Łenykiem. O zbrodni katyńskiej przeczytałem kilkanaście książek spotkałem kilka osób, których bliscy zostali w Katyniu zamordowani i zaproponowałem powołanie zespołu wydawniczego, zajmującego się rozpowszechnianiem wiedzy zarówno o zbrodni katyńskiej jak i innych popełnionych przez Rosjan na Polakach głównie w latach 1939 – 1945. Inicjatywa została podjęta a zasady wcielania pomysłu w życie zostały podjęte na zebraniu Kierownictwa Obszaru Centralnego w listopadzie 1981 roku.

31 lipca 1981 roku potajemnie został postawiony krzyż w Dolince Katyńskiej na cmentarzu wojskowym na Powązkach. Tej samej nocy pomnik został usunięty. 1 sierpnia jak zwykle odwiedzając groby moich bliskich w rocznice powstania, poszedłem do Dolinki Katyńskiej, gdzie w miejscu krzyża widniał dół i ślady opon ciężkiego sprzętu. Spontanicznie zorganizowaliśmy zbiórke pieniędzy na nowy krzyż i umówiliśmy się następnego dnia w siedzibie Zarządu Regionu Mazowsze na Mokotowskiej, gdzie zawiązał się, tym razem już jawnie, Obywatelski Komitet Budowy Pomnika Ofiar Zbrodni Katyńskiej.

Po powstaniu Biura Obsługi Ruchu Turystycznego przy Oddziale PTTK Ochota i praktycznie przekształcenia go w biuro podróży, kierownik biura a później dyrektor Bogdan Czarnecki wykorzystał pokój, w którym odbywały się nasze spotkania na pomieszczenie biurowe a my musieliśmy poszukać sobie miejsca. Miałem wówczas dobre okłady ze Spółdzielnią Mieszkaniową Pruszkowska, która początkowo zezwoliła nam na spotkania klubowe w Klubie Osiedlowym w Al. Żwirki i Wigury przy ul. 17 stycznia, a następnie niewykorzystywane od lat pomieszczenie w suterenie budynku

przy ul. Mołdawskiej, które po własnoręcznie przeprowadzonym remoncie zaadaptowaliśmy na własne potrzeby nie musząc go z nikim dzielić. Pomieszczenia klubu wykorzystałem na zebrania Kierownictwa Akcji Bieżącej, Kierownictwa Obszaru Centralnego KPN oraz prowadzenie zajęć szkoleniowych.

Lata 1980 -1981 stanowiły najbardziej intensywny okres aktywności w moim dotychczasowym i późniejszym życiu.

Pracowałem zawodowo jako inspektor nadzoru doprowadzając m.in. do zakończenia, ciągnącej się latami budowy Urzędu Gminy w Lesznoli k/Piasieczna

Studiowałem wieczorowo na Politechnice dochodząc do IV-go, ostatniego roku, mając średnią ocen powyżej 3,5.

Prowadziłem – wraz z Jolą – Klub Turystyki Kwalifikowanej TREP, wliczając w to załatwienie lokalu i dwie przeprowadzki.

Oprócz czynnego wypoczynku pełniłem funkcję przewodniczącego Komisji Turystyki Kolarskiej Stołecznego zarządu Wojewódzkiego PTTK. Za tą działalność oboje z Jolą zostaliśmy odznaczni Dużymi Honorowymi Srebrnymi Odznakami PTTK.

Prowadziłem działalność propagandowo-uświadamiającą w Dyrekcji Budownictwa Ogólnego, dostarczając materiały szkoleniowe i przy okazji sam się szkoląc.

Wspólnie z Andrzejem Szomańskim, Stefanem Melakiem, Robertem Koleszo i innymi, powołaliśmy Obywatelski Komitet Budowy Pomnika Ofiar Zbrodni Katyńskiej, dla którego zasugerowałem nazwę, przedłużającego działalność funkcjonującego dotąd w konspiracji Komitetu Katyńskiego.

Brałem czynny udział w działalności Kierownictwa Akcji Bieżącej Obszaru Centralnego KPN, organizując zebrania w lokalu naszego klubu, czynnie uczestnicząc w patriotycznych uroczystościach i manifestacjach.

Nie wiem w jaki sposób udało mnie się to wszystko razem

pogodzić, w każdym razie była w tym ogromna zasługa Joli, która wzięła na siebie wszystkie obowiązki domowe, zwiększone po narodzinach naszej wnuczki Perełki.

W lipcu 1981 wybraliśmy się na nasz ostatni, wspólny wędrowny obóz rowerowy, po raz kolejny na Węgry, gdzie mieliśmy już przyjaciół w osobach Tâmasa Kőlcei oraz rodzinę Csorba, do których kiedyś zajechaliśmy prosząc o zimną wodę do bidonów. W każdym razie mieliśmy dwa noclegi zapewnione; jeden w Budapeszcie, drugi w wiosce Melykut, a resztę w ulubiony sposób czyli pod namiotem. W tamtą stronę poleciliśmy samolotem Iljuszyn-62 - tym samym, który 6 lat później uległ katastrofie w Łasku Kabackim. Miało to miejsce niecałe półtora roku po katastrofie innego Ił-62^[71] na Okęciu, w którym zginęła m.in. Anna Jantar i cała amatorska reprezentacja bokserka USA. Planowany był na nasz lot mały turbośmigłowiec Antonow-24 ale z jakiś powodów zamiast niego podstawiono feralnego Iliuszina.

Tâmasa – mojego rówieśnika poznaliśmy w 1970 roku w Rucianem na Mazurach, wymieniliśmy adresy i od tamtej pory odwiedzaliśmy się wzajemnie kilka razy. Tâmas z wykształcenia jest doktorem nauk rolniczych, odbywał praktyki m.in. u prof. Pieniążka w Skierniewicach, pracował kilkanaście lat w ministerstwie rolnictwa, później w wydawnictwach, do których w dalszym ciągu pisuje artykuły mimo przejścia na emeryturę. Ożenił się z Gyorgyi Kondorosi, lekarką, która po wyjściu za mąż zmieniła ~~nazwisko, zgodnie z węgierskim zwyczajem na Kőlcsei Tâmasne.~~

71 Ił-62 (ros.Ил-62) – czterosilnikowy samolot pasażerski dalekiego zasięgu produkcji sowieckiej, zaprojektowany w biurze konstrukcyjnym Iljuszyna. Stanowił on niezbyt udaną kopię brytyjskiego samolotu Vickers VC-10 oraz posiadał jeden z najwyższych w lotnictwie cywilnym wskaźnik katastrof wynoszący 12 na 292 wyprodukowane egzemplarze. Po kolejnej katastrofie w 1987 roku, piloci LOT-u odmówili startu, domagając się usunięcia fabrycznych usterek i w rezultacie LOT został zmuszony wydzierżawić samoloty Boeing-767, znajdujące się w eksploatacji po dzień dzisiejszy. Boeingi 767 są obecnie stopniowo zastępowane Dreamlinerem czyli Boeing-787.

Węgrzy wymieniają zawsze nazwisko na pierwszym miejscu a kobiety po wyjściu za mąż tracą imię przejmując mężowskie. Jola akurat była w delegacji w Budapeszcie gdy pp. Kölcsei brali ślub i zachowała niezapomniane wrażenia z węgierskiej tradycji. Niestety kilkanaście lat po naszym, ostatnim spotkaniu ich małżeństwo się rozpadło, Gyorgyi odzyskała imię po to tylko by je ponownie stracić na rzecz drugiego męża – jako ona lekarza. Ich córka Zsusi, która mówiła na mnie Bolko baci (wujaszek Bolko), skończyła germanistykę, zrobiła doktorat i wykłada język niemiecki na uniwersytecie w Budapeszcie. Z Támasem, który się nie ożenił po wtórnie, spotykając się z przyjaciółką, nadal utrzymuje kontakt, głównie przez telefon lub przez Skype.

Po dwudniowym pobycie w Budapeszcie, spędzonym w towarzystwie Tamasas, jego żony i 3-letniej wówczas Zsusi, udaliśmy się pociągiem do Pecs, a stamtąd rowerami przez Melykút, Szeged, Hódmezővásárhely, Szolnok, Törökszentmiklos, Debrecen, Nyíregyháza, Tokaj do Miskolca. W Mélykút odwiedziliśmy naszych znajomych z poprzedniej wyprawy, do których się wówczas wprosił, prosząc tylko o wodę do bidonów a zostaliśmy na noc, spędzona pod wiatą na sienie. Tym razem ugoszczono nas po królewsku, częstując m.in. wspaniałą házi kolbász^[72] i oferując nocleg w głównej sypialni, gdyż główni gospodarze nie byli obecni. Jeszcze po wyjeździe do USA utrzymywaliśmy przez kilka lat listowny kontakt z Csorba család^[73].

W drodze z Melykút do Szeged zbliżyliśmy się na odległość ok. 10 km. od granicy z Jugosławią (obecnie Serbia) i w pewnym momencie zostaliśmy zatrzymani przez ukryty w krzakach węgierski patrol graniczny. Młody żołnierz zażądał od nas paszportów,

⁷²Bezpłatna kiełbasa (węg.)

⁷³ Csorba család – Rodzina Csorba

na co wręczyliśmy mu wkładki paszportowe. Długo, długo studio-
wał i zapytał:

- *Honnan jöttél?*

- *Lengyelek vodjunk.*

- *Hova?* – na co odpowiedziałem: - *Szegedbe*^[74].

Nie będąc w stanie nic wymiarkować z naszych wkładek paszportowych, żołnierz wywołał z krzaków sierżanta, który otworzył książkę, gdzie miał wzory wszystkich paszportów i nie mógł natrafic na polskie wkładki paszportowe, stanowiące kuriozum nawed w „demoludach”. Wkładki zawierające tylko imię, nazwisko i nr. dowodu osobistego posiadacza były ważne tylko łącznie z dowodami. Wewnątrz znajdował się stały stempel w językach polskim i rosyjskim, uprawniający do podróżowania do Bułgarii, Czechosłowacji, NRD, Rumunii, Węgier i ZSRS. Wkładki, w odróżnieniu od paszportów nie należało zwracać po powrocie zza granicy. Sierżant powtórzył pytania, na które już lekko zniecierpliwiony odpowiedziałem jak poprzednio. Ponieważ w dalszym ciągu nie mógł natrafic na wzór polskich wkładek paszportowych, wezwał przez radio wyższą szarżę a nam kazał poczekać. Usiedliśmy w rowie, posililiśmy się otrzymanymi od pani Csorba brzoskwiniami, którymi poczęstowaliśmy również strażników a następnie wdałem się z nimi w romowę dziwiąc się, czemu nie mają w wykazie polskich wkładek paszportowych, skoro Węgry są odwiedzane rocznie przez tysiące Polaków. Żołnierze wymienili między sobą spojrzenia, rozejrzeli się wokół a następnie zniżonym głosem wyjaśnili, że to wcale nie chodzi o nasze wkładki, które są w najlepszym porządku tylko o koszulke, która mam na sobie a na której widniało charakterystyczne czerwone logo „Solidarność”. Każdy taki

74 Skąd jesteście? Jesteśmy Polakami. Dokąd? Do Szeged – wym. Seged (węg.)

przypadek mają obowiązek zgłaszać bezpiece. Pół godziny później zjawiała się czarna Wołga, z której wysadło dwóch smutnych panów. Wzięli do ręki nasze wkładki, porównali z książką a jeden z nich zapytał:

- *Hova?*

- *Segedbe*^[75] – odpowiedziałem z niewinna miną a żołnierz zasłonił w tym momencie usta ukrywając śmiech.

- *Szegedbe* – poprawił ubek.

- *Whatever* – odpowiedziałem po angielsku udając, że nie wiem o co chodzi.

- *Szolidaritási. Sztrajk*^[76] – powiedział tajniak, marszcząc brwi i pokazując na moja koszulkę, a następnie oddał nam wkładki i djechał. Żołnierze również odetchnęli i pozwolili nam jechać dalej.

W Tokaju mieliśmy degustację lokalnego wina w naturalnej piwnicy, którą odkryliśmy dopiero za drugim pobytem w tym miasteczku, oświetlonej słabymi żarówkami bez oprawek, z ogromnymi stołami zbitymi ze zwykłych desek, z pajeczyną w rogach. Obsługiwała gości zażywna jejmość w faruchu i chustce na głowie, uzbrojona w ogromną pipetę, którą zanurzała w otwory beczek a po czym zasysała do pipety wino w ilości ok. 1 litra za każdym pociągnięciem. Następnie pipety opróżniała do ustawionych na stole karafek, każąc sobie płacić 10 forintów za dwulitrową karafkę. Na zapytanie:

- *Próbálni lehet?* – odpowiedziała z uśmiechem:

- *lehet* ^[77] – i napełniła nam szklanki prosto z pipety.

Wkrótce pojawiła się wycieczka z Miskolca, której uczestnicy byli w dobrych humorach a kilka karafek Tokaju jeszcze bardziej

75 Segedbe – wym. Szegedbe, oznacza „do dupy”. Klasyczna gra słów w języku węgierskim, w którym „sz” wymiawia się jak „s” i vice versa.

76 Solidarność tylko strajkuje.

77 Czy może próbować? Może, może. (węg.)

te humory wzmocniło. Wkrótce rozpoczęły się śpiewy, w których staraliśmy się im pomagać, wdaliśmy się w wymianę kawałów na zmianę polskich i węgierskich, osiagając wzajemne zrozumienie w miarę kursów z pipetą, wykonanych przez gospodynie piwnicy. Właścicielka campingu rozpoznała nas z pobytu dwa lata temu całym 23 –osobowym obozem, pamiętała nawet interwencję jakiegoś kierownika wycieczki z Polski, narzekającego na nasze zbyt hałaśliwe zachowanie. Powiedziała nam, iż ów osobnik prosił ją o wezwanie policji, żeby nas uciszyć, na co kiwnęła głową kończąc na tym interwencję, a nam wyjaśniła, że ludzie po to przyjeżdżają do Tokaju, żeby się napić dobrego wina, pośpiewać i pożartować. Zaczął padać deszcz a my jeszcze nie rozbiliśmy namiotu, a prze-miła właścicielka dała nam domek licząc tak jak za miejsce na polu namiotowym. Spisałem dyskretnie adres i nazwisko właścicielki, a po powrocie wysłaliśmy jej podziękowania wraz z widokówką z Warszawy. Do Miskolca, gdzie oczywiście zrobiliśmy wypoczynek w kąpielisku z gorącymi źródłami, dojechaliśmy rowerami a statąq pociągiem do Budapesztu.

Po całej drodze napotykanii ludzie wyrażali słowa uznania i sympatii na wioq koszulek Solidarności, prosząc o znaczki, które rozeszły się nam w ciągu pierwszych kilku dni. Natomiast władze oficjalne, jak celnik na Keleti pályaudvar^[78] w Budapeszcie, reago-wały podobnie jak ubek pod jugosławiańską granicą.

Wróciliśmy do Warszawy wypoczęci, co bardzo nam się przda-ło przed czekającymi nas zadaniami. Oboje prowadziliśmy wzmo-żoną działalność propagandową, w Komisji Turystyki Kolarskiej ZS PTTK, a ja dodatkowo w Komitecie katyńskim, w KPN, nie mówiąc o zajęciach na uczelni. Jak pisałem poprzednio, użyczałem lokalu klubowego przy ul. Mołdawskiej na spotkania ścisłego kierownic-

78 Dworzec wschodni

two KPN, z wyjątkiem Leszka Moczulskiego, Tadeusza Stańskiego, Romualda Szeremietiewa, którzy byli aresztowani w związku z toczącym się procesem KPN. Czwarty z oskarżonych, nieżyjący już Tadeusz Jandziszak nie kontaktowała się z nami z obawy przed ściągnięciem ogona. Czasami udawało mnie się wyrwać z pracy i obserwować przebieg procesu. Trafiłem akurat na mowę Romka Szeremietiewa, który m.in. zacytował Antoniego Czechowa: „jedyny normalny człowiek w naszym miasteczku to prokurator. Niestety i on okazał się świnia”. Było to po tym, gdy sędzia Jankowski odczytał postanowienie uchylenia aresztu wobec oskarżonych a natychmiast po tym prokurator Bardonowa pobiegła do Sądu Najwyższego i po pół godzinie przyniosła uchylenie postanowienia sędziego. Tygodnik Solidarność zatytułował sprawozdanie z procesu „Sąd Najszybszy”. Rzeczywiście nigdy przedtem ani później w historii polskiego sądownictwa Sąd Najwyższy nie uporał się z rozpoznaniem sprawy, zebraniem się co najmniej pięciu sędziów, wydaniem postanowienia i przekazaniem go na piśmie prokuratorowi, bez pofatygowania powiadomienia o tej decyzji obrońców, w tak krótkim czasie.

Działaliśmy tak jak w cytowanej pieśni Jerzego Narbutta planując wszystko tak jakby nasz był wiek mimo, iż coraz więcej przesłanek świadczyło o tym, iż dni z takim trudem wywalczonej, ograniczonej wolności, są policzone. Podczas zebrania Centralnego Kierownictwa Obszaru Centralnego KPN, na które zjechali się działacze z całej Polski, a które miało miejsce pod koniec listopada, zostałem mianowany szefem szkolenia i wkrótce miałem wraz z moją partnerką Basią Leszczyńską opracować szczegółowy program z pierwszym tematem „Dzieje zbrodni Katyńskiej”. 4 grudnia został podpisany a 6 grudnia wmurowany, przy moim czynnym udziale, akt erekcyjny pod budowę Pomnika Ofiar Zbrodni Katyń-

skiej. Pomnik miał być gotowy w ciągu kilku tygodni a jego montaż przewidziany był na kwiecień 1982 r w 42-gą rocznicę pierwszych mordów popełnionych w lasu katyńskim. Ani Solidarność ani KPN ani jakakolwiek niezależna organizacja nie miała żadnego planu b), na wypadek uderzenia czerwonego. Jedynym wyjątkiem była akcja zorganizowana przez kilku działaczy Zarządu Regionu Dolnośląskiego, wybrania z banku 80 milionów złotych z konta Solidarności, uprzedzając w ten sposób działania czerwonego, który natychmiast po 13 grudnia zamroził wszystkie konta Solidarności, dokonując bezprawnej grabieży całego majątku Związku i innych organizacji jak NZS, Solidarność Wiejska i inne.

Na kilka dni przed 13 grudnia 1981 do siedziby Zarządu Regionu zgłosił się niejaki Paweł Fijałkowski, przedstawiając projekt uzbrojenia działaczy w gazurki, pałki, łomy na wypadek konieczności odparcia ataku na Związek. Nie pamiętam kto przyjął te „tezy obronne” ale natychmiast po wyjściu Pawła włożył je doteczki zatytułowanej „brednie”. Po rozbiciu siedziby Zarządu Regionu Mazowsze przez bandy SB i ZOMO, w ręce czerwonego wpadła m.in. teczka z propozycjami Fijałkowskiego a propaganda wrony wykorzystała zawartość jako uzasadnienie konieczności wprowadzenia stanu wojennego dla uprzedzenia ataku Solidarności. Dla uwiarygodnienia kłamstw, kontrolowane przez juntę Żołnierze Wolności i Trybuna Ludu „mianowały” Pawła Fijałkowskiego na członka Zarządu a prowadzący moją sprawę ubek umieścił go na liście członków ZR Mazowsze, których darzyłem szacunkiem. Paweł wpadł przypadkowo w lutym 1982, został internowany w Białogłębie, gdzie szybko okazało się, iż jest on zdrowo „nawiedzony”. Codziennie pisywał jakieś petycje, zakładał różne kluby, m.in. rozwoju osobowości i zachowaniem swym dowodził, że nie miał wszystkich klepek poukładanych według konwencjonalnych wzorców.

Po otrzymaniu informacji o planowanej akcji wyłączania te-

lefonów Jola udała się wraz ze mną do Biura Interwencji, gdzie przekazała sprawę Zbigniewowi Romaszewskiemu. Nie wyglądał na zbyt przekonanego ale gdy następnego dnia nastąpił atak na protestujących studentów Wyższej Szkoły Oficerów Pożarnictwa poprzedzony odcięciem telefonów na całym Żoliborzu, potraktował następną naszą informację poważnie. 10 grudnia 1981 Jola przejęła, opatrzony klauzulą „ściśle tajne” projekt ustawy o nadzwyczajnych uprawnieniach rządu w okresie wychodzenia z kryzysu. Udało nam się wykonać kilka kopii i zanieść je do siedziby Zarządu. Zbyszka Romaszewskiego już nie było ale zastaliśmy za to innego Zbyszka Bujaka, który spieszył się na naradę Komisji Krajowej do Gdańska. Złapał kopię rzucając: „poczytam w drodze”. Jedną kopią daliśmy Sewerynowi Jaworskiemu, który zrobił z niej dobry użytek zabezpieczając 10 tys. dolarów u ks. Popiełuszki.

Środki przekazu zachłystywały się przebiegiem posiedzenia Komisji Krajowej w Radomiu, nagrany przez podstawionego agenta Eligiusza Naszkowskiego^[79] a następnie spreparowanym

79 Eligiusz Naszkowski. (ur. 3 lutego 1956 w Sierakowie Wielkopolskim) Był przewodniczącym MKZ „NSZZ Solidarność” w Pile. Od lutego 1981 działał jako tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie Grażyna. Jego najbardziej znanym działaniem na rzecz SB było nagranie posiedzenia Komisji Krajowej „Solidarność” w Radomiu, za co otrzymał od SB 50 000 zł. Pokryto też koszty mandatu, który otrzymał, gdy pędził z nagraniem do oficera prowadzącego. W czasie współpracy z resortem otrzymał łącznie około 135 tys. zł. Na początku marca 1982. TW „Grażyna” opracował dokument „Bliżej prawdy o Lechu Wałęsie”. Analizował w nim osobowość i fenomen popularności przewodniczącego związku. W lipcu 1982 został oficerem SB w biurze studiów Służb Bezpieczeństwa MSW. W latach 1982–1983 brał udział w redagowaniu wydawanego przez Departament PESEL czasopisma „Bez dyktatu”, rzekomo wydawanego przez „podziemną” Międzyregionalną Komisję Obrony „Solidarności” (de facto stworzoną przez SB i kierowaną przez jej agenturę). Wiosną 1983 rozpoczął starania o wyjazd za granicę. Pod koniec maja 1984 zwrócił się z raportem do wiceministra Władysława Ciastonia. Prosił w nim o skierowanie do zaprzyjaźnionego kraju powodowany troską o zdrowie psychiczne

w taki sposób, by odbiorcy odnieśli wrażenie, iż Solidarność panuje frontalny atak na instytucje rządowe. Tymczasem podczas tej narady padł wniosek o wzięcie jaknajszerszego udziału w zbliżających się wiosną 1982 wyborach samorządowych. Przejęcie kontroli nad terenowymi jednostkami administracyjnymi mogło rzeczywiście stanowić pierwszy krok w przejmowaniu przez społeczeństwo władzy. Na to ani Kreml ani KC pozwolić sobie już nie mogło. Wszelkie deklaracje czynników rządzących oferujących gotowość porozumienia ze społeczeństwem stanowiły fałszywe obietnice i pozorowane działania, gdy w rzeczywistości od momentu powierzenia Wojciechowi Jaruzelskiemu wszystkich centralnych funkcji w państwie i wysłania t.zw. terenowych grup operacyjnych świadczyły, iż nad Solidarnością i nad całym narodem zawisły ciężkie chmury. Nieuchronnie zbliżał się „czas Apokalipsy”.

ne rodziny i własne bezpieczeństwo. Zaproponowano mu wyjazd wraz z rodziną na placówkę do Mongolii. Kilka dni przed planowanym wylotem zbiegł na zachód. W 1990 z Paryża udzielił telefonicznego wywiadu „Tygodnikowi Nowemu”. Przedstawił się w nim jako podwójny szpieg. Sugerował, że Lech Wałęsa był agentem SB o pseudonimie „Bolek”. Dalsze losy Naszkowskiego nie są znane.

Czas apokalipsy

*Więc zabrali ci przyjaciół
tak po prostu w środku nocy
którą sam przeżyłeś jakoś
w osobowym śpiąc pociągu
rano przywiózł cię do miasta
jakiś osobowy pociąg
dowiedziałeś się: przyjaciół
zabierali w środku nocy*

*A więc znowu nie wrócimy
na czas jakiś do mieszkania
- Przecież tak już chyba było
czy wciąż musi być tak samo?
Za trzy dni zabiją ludzi
wczoraj wzięli ci przyjaciół
puste okna naszych mieszkań
tajniak w bramie, fiat przed bramą
Za trzy dni zabiją ludzi
tak po prostu przed kopalnią
mundurowa kukła powie
że zginęli znowu ludzie
- Przecież tak już chyba było
czy wciąż musi być tak samo?
- O tym, że zabili ludzi
znowu będą mówić „Grudzień”?
Szkoda, że się znowu skończy
tak jak w wierszu przyjaciela
szkoda, widać tak być musi
krew w ubrania ludzi wsiąknie*

- *Więc te same znów napisy
na papierze i kamieniu?*
- *Więc znów musi ktoś umierać
by ktoś inny żyć mógł godnie?*
*Czy znów ludzie będą patrzeć,
w szklany ekran szklanym wzrokiem*
- *Szkoda, że się tak skończyło
przecież mogło być inaczej*
*Czy powiesz na latarniach,
czy potrafią wam wybaczyć,
czy po prostu w szklany ekran
szklanym wzrokiem będą patrzeć? ...*

Jan Krzysztof Kelus – Elegia Grudniowa

13 grudnia 1981 roku, Iwonka ze Zbyszkim wybierali się do Dęblina na przysięgę wojskową do chrzestnego Agnieszki i w związku z tym zamówili taksówkę na 7:00 rano. Z jakiś powodów nie zadzwonił telefon z zamówionym budzeniem lecz na szczęście udało mnie się wstać wystarczająco wcześniej by ich dobudzić. Szykowali się w pośpiechu i wyszli z domu kilka minut po 7:00. Jakież było nasze zdziwienie, gdy wrócili do domu niecałą godzinę później.

- *Bolko, stan wojenny* – krzyknął Zbyszek od progu.
- *Co takiego? Wojenny, nie wyjątkowy?* – spytałem.
- *Nie, stan wojenny* – odpowiedział Zbyszek – czołgi, wojsko na ulicach, wstrzymane odjazdy pociągów – wyliczał.

Zerwaliśmy się z Jolą na równe nogi, szybko włączyłem telewizor ale ekran był zaśniewany tak jakby była przerwa w nadawaniu mimo, iż powinien się niedługo zacząć Teleranek.

- *Telefon nieczynny* – powiedziała po chwili Iwonka podnosząc słuchawkę.

Włączyłem radio na program III i odpowiedział mi szum nieczynnego nadajnika. Szybko się ubrałem i razem ze Zbyszkciem wyszliśmy na ulicę w celu niszczenia tabliczek z nazwami ulic i numerami domów, ale spostrzegłszy, iż oprócz nas nikt tego nie robi – daliśmy sobie spokój a po powrocie do budynku zniszczyliśmy tylko listę lokatorów. Numery domów Śniardwy 2 i Śniardwy 4 oraz tabliczki z nazwami ulic Śniardwy i Niegocińska wrzuciliśmy w głęboki śnieg w okolicy śmietnika.

Po powrocie do domu okazało się, iż Jola przełączyła w międzyczasie radio na I-wszy program a z głośnika rozlegał się głos Jaruzelskiego, ogłaszającego stan wojenny na obrzasje całej Polski oraz o ukonstytuowaniu się Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego^[80]. O godz. 9:00 ukazał się obraz w telewizji i umundurowany lektor – chyba Andrzej Raclawicki, ale głowy nie daję – zapowiedział wystąpienie Jaruzelskiego, po czym szef junty ukazał się w generalskim mundurze, na tle flagi narodowej z orłem i zaczął powtarzać to, co już słyszeliśmy przez radio.

- *To sk...syny*, wycedziłem – wojsko na ulicach, wyłączone telefony, zamknięte programy radiowe; to wszystko wymagało wielomiesięcznych przygotowań. Tymczasem przez tyle miesięcy bełkotali o dialogu, konieczności porozumienia, wpuszczając nas wszystkich w maliny.

- *Nie było zatem sensu niszczyć tablic, skoro to nie Ruskie* – słusznie zauważył Zbyszek

- *Ano, to za darmośwa sie g...a najedli, kumie* – zacytowa-

80 Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego to organ administrujący Polską w czasie stanu wojennego. Powstała w nocy 12/13 grudnia 1981, a rozwiązana została 22 lipca 1983. Kierowana przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego WRON miała charakter całkowicie pozakonstytucyjny, posiadała cechy junty wojskowej. Polacy obraźliwie określali ten organ WRON-ą. Niektórym kojarzyło się to z określeniem niemieckiego orła z okresu II wojny światowej, również nazywanym „wroną”.

łem stary kawał o dwóch kumach, którzy zakładali się wzajemnie o zjedzenie krowiego łajna, leżącego na drodze.

Po skończeniu wystąpienia Jaruzela, dwóch prezenterów w mundurach oficerskich bez dystynkcji czytało punkt po punkcie treść dekretu o stanie wojennym. W wielu punktach dekret o stanie wojennym pokrywał się w treści z projektem ustawy o szczególnych uprawnieniach rządu w okresie wychodzenia z kryzysu, którego kopię Jola kilka dni temu zdobyła. Po skopiowaniu posiadanego, opatrzonego klauzulą „ściśle tajne”, dokumentu, zawieźliśmy je na Mokotowską do siedziby MKZ Mazowsze, gdzie wręczyliśmy po jednej kopii Zbyszkowi Bujakowi i Romaszewskiemu^[81], jedną Sewerynowi Jaworskiemu^[82], jedną zostawiliśmy sobie a zatem mieliśmy pod ręką materiał porównawczy. W dekreście o stanie wojennym znajdowały się artykuły przewidujące drastyczne

81 Zbigniew Romaszewski (ur. 2 stycznia 1940 w Warszawie) – polski polityk, działacz opozycji w okresie PRL, doktor fizyki, wieloletni senator, sprawujący nieprzerwanie urząd przez siedem kadencji od czasu ponownego powołania Senatu w 1989 do 2011 (I, II, III, IV, V, VI i VII kadencji), od 2007 do 2011 wicemarszałek Senatu VII kadencji. Od 2011 członek Trybunału Stanu. Kawaler Orderu Orła Białego. Żonaty z Zofią Romaszewską, ma córkę Agnieszkę Romaszewską-Guzy.

82 Seweryn Jaworski, ur. 22 V 1931 w Warszawie. Ukończył LO tamże (1950). 1950–1952 robotnik w Zakładach Aparatury Elektronicznej im. Georgi Dymitrowa w Międzyzlesiu k. Warszawy, od 1954 wychowawca w Szkole Szkutniczej w Pucku, następnie w zakładzie poprawczym w Warszawie, 1962–1970 administrator w ADM Żoliborz, 1970–1981 pracownik Huty Warszawa, członek Rady Robotniczej. Od 1954 w ZNP; od 1952 w PZPR, I sekretarz POP w Szkole Szkutniczej w Pucku, w 1956 usunięty z partii.

28 VIII 1980 uczestnik strajku w HW, przewodniczący KS; od IX 1980 w „S”, członek Prezydium MKZ Mazowsze; przewodniczący KZ w HW; w VI 1981 delegat na I WZD Regionu Mazowsze, wiceprzewodniczący ZR, delegat na I KZD, członek KK; we IX 1981 sygnatariusz deklaracji założycielskiej Klubów Służby Niepodległości; IX/XII 1981 z ramienia ZR Mazowsze wspierał strajk studentów-podchorążych Wyższej Ochotniczej Szkoły Pożarniczej w Warszawie. Bliski współpracownik ks. Jerzego Popiełuszki, m.in. zdeponował u niego 10 tys. dolarów z majątku Regionu Mazowsze (pieniądze te posłużyły do uruchomienia działalności podziemia po 13 XII 1981).

kary dla osób go łamiących, a zwrot: „... do kary śmierci włącznie”, powtarzany był niemal po każdym z nich. Czytany dokument zawierał m.in. nadzwyczajne uprawnienia nadane organom MO^[83] i SB^[84] dokonywania rewizji osób, ruchomości i nieruchomości bez nakazu sądowego, konfiskaty materiałów poligraficznych i innych, „służących do zakłócania ładu i porządku społecznego”. Pobiegłem natychmiast do sąsiadki naprzeciwko, pani Boczkowskiej, z prośbą o przechowanie maszyny do pisania. Odmówiła. Już nie pamiętam u kogo udało się maszynę przechować, na szczęście nie mieliśmy rewizji w ciągu całego stanu wojennego. Zabrakło wronie sił i środków.

Siłowe rozwiązanie nie było większym zaskoczeniem, nato-

83 Milicja Obywatelska – nazwa policji w okresie rządów komunistycznych.

84 Służba Bezpieczeństwa. Filia KGB (Kommissariat Gossudarstwiennoj Biezopastnosti – kontynuator działalności Narodowo Komistariata Wnutyriennych Dieł a przedtem Czeriezwydziajnnowo Komisariata Borby z Kontrrewoluciej, w śrócie Czeka, przed rewolucją Ochrańa) w Polsce. Zbrodnicza instytucja powołana do bezwzględnej egzekucji wszelkich przeciwników ustroju komunistycznego, do roku 1956 pod nazwą Urząd Bezpieczeństwa, o ponurej sławie tortur, porwań, skrytobójczych mordów. W końcowym okresie istnienia SB prowadziło bardziej wyrafinowaną działalność stosując najkrwawsze metody sporadycznie raczej niż seryjnie (najgłośniejsze mordy dokonane przez SB: Stanisław Pyjas, bł. Ks. Jerzy Popiełuszko, ks. Suchowolec) Po wybuchu nowej fali strajków w Polsce na początku lat 80. i wreszcie wprowadzeniu stanu wojennego przez władze komunistyczne w grudniu 1981, Służba Bezpieczeństwa przystąpiła do likwidacji wcześniej spenetroowanych za pomocą agentury SB środowisk kierowniczych Solidarności.

W nocy z 12 grudnia na 13 grudnia 1981 wiele osób zostało aresztowanych przez SB, przewiezionych do więzień, lub do tzw. ośrodków odosobnienia (zakładów internowania). SB inwigilowała obozy dla internowanych, umieszczając w tych ośrodkach swoich tajnych współpracowników. Służba Bezpieczeństwa brała udział obok wojska, MO, ZOMO, ORMO w pacyfikacji kopalni Wujek, na polecenie gen. Czesława Kiszczaka w czasie której zginęło 9 górników, i w innych działaniach tego typu, w tym w hucie im. Lenina w Krakowie, stoczniach Gdańskiej i Szczecińskiej, Hucie Warszawa, Podczas stanu wojennego za pomocą aparatu represji m.in. Służby Bezpieczeństwa internowanych zostało ok. 10 tys. osób. Liczba udokumentowanych ofiar zamordowanych przez SB podczas stanu wojennego wynosiła według różnych źródeł od 88 do 122.

miast nie taką formę rozważaliśmy podczas nocnych i nie tylko, rozmów Rodaków. Przewidywaliśmy dwa warianty: 1. przeфорsowanie na siły ustawy o środkach nadzyczajnych – co jak się później okazało, było również rozważane przez „czerwonego”, oraz 2. użycie wojsk rosyjskich, stacjonujących na terenie Polski nieprzerwanie od 1944 roku. Później okazało się, iż ten drugi wariant wogóle nie wchodził w rachubę, jeżeli chodzi o stronę rosyjską, nie tylko ze względów politycznych ale i militarnych. Zaangażowanie Rosjan w Afganistanie nie pozwalało im na przerzucenie stamtąd 70 dywizji do Polski, bo tyle było niezbędne dla rozbrojenia polskich sił zbrojnych i stłumienia demokratycznych dążeń Polaków.

To nie był rok 1956 a Polska to nie Czechosłowacja – powiedział ówczesny dowódca sił zbrojnych układu warszawskiego marszałek Kulikow w wywiadzie udzielonym twórcom dokumentalnego serialu „Gry wojenne”. – dowództwo rosyjskie ani przez moment nie rozważało zbrojnej inwazji, o którą bezskutecznie zabiegał Jaruzelski a wraz z nim najzagorzalsi zwolennicy siłowego rozprawienia się z Solidarnością jak: Czesław Kiszczak, Albin Siwak, Stanisław Kociołek, Grabski, Stefan Olszowski.

Bezpośrednie użycie rosyjskich sił zbrojnych w Polsce nie było również rozważane na Kremlu zarówno ze względów zarówno politycznych jak i ekonomicznych. Ewentualna akcja zbrojna pozbawiłaby „naród miłujący pokój” wszelkiej wiarygodności wśród rządów i ludności krajów, co do których Moskwa bardzo liczyła, na wciągnięcie ich do rosyjskiej strefy wpływów, jak Iran, Irak, Syria, Egipt i inne kraje afrykańskie. Nie wytrzymujący narzuconego przez administrację USA za prezydentury Ronalda Reagana tempa wyścigu zbrojeń, związek sowiecki gonił resztkami ekonomicznej wydolności a ewentualne rozszerzenie sankcji, dorznięło by ich gospodarce.

W swoim wystąpieniu Jaruzelski sugerował, iż wprowadzenie stanu wojennego miało uchronić Polskę przed „większym złem”, czytaj: rosyjską interwencją zbrojną, w co niestety wiele osób uwierzyło i nadal wierzy, wbrew oczywistym i niezbitym dowodom, kompletnie tą opcję wykluczającym.

Wykroczenie wobec dekretu o stanie wojennym praktycznie mógł popełnić każdy licząc się z konsekwencjami przekazania pod sąd wojenny. Nota bene dekret z 12 grudnia 1981 zmilitaryzował również całe sądownictwo i każdy sąd stawał się od tego dnia sądem wojennym (wojskowym).

Dekret zawierał również artykuły i paragrafy dotyczące nas bezpośrednio, cytuję:

- *Poborowi uznani za zdolnych do służby wojskowej oraz żołnierze rezerwy niezależnie od ich przeznaczenia mogą być w każdym czasie powołani do czynnej służby wojskowej, na zarządzenie Ministra Obrony Narodowej;*

- *Osoby przeznaczone do służby w określonych formacjach obrony cywilnej mogą być zobowiązane do pełnienia czynnej służby w obronie cywilnej w czasie i w zakresie wynikającym z wykonywanych zadań;*

- *Osoby mające ukończone lat 17, w stosunku, do których istnieje uzasadnione podejrzenie, iż pozostając na wolności prowadzić będą działalność zagrażającą bezpieczeństwu państwa mogą być internowane w ośrodkach odosobnienia na czas obowiązywania stanu wojennego – na podstawie decyzji komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej. - koniec cytatu.*

Zbyszek był rezerwistą a ja spełniałem wszelkie warunki osoby.. „w stosunku do której istniało uzasadnione podejrzenie, iż pozostając na wolności będę prowadzić działalność” przeszkadzającą wronie w wypełnianiu jej zdradzieckich i kryminalnych zadań.

Trzeba się będzie gdzieś zamelinować i przeczekać – powiedziałem, a zgromadzeni, czyli Jola, Iwonka i Zbyszek potwierdzili słuszność tej decyzji.

Agnieszka tymczasem rozkosznie gaworzyła, będąc w pełni wyłączona z problemów, które spadły niecałe dwie godziny temu, jak grom z jasnego nieba, na dorosłą część rodziny.

Z uwagi na fatalne zaopatrzenie sklepów, w domu było niewiele zapasów żywności ale i tak nie miałem na nic apetytu. Wziąłem ze sobą puszkę konserw, kawałek chleba i wybrałem się do klubu na Mołdawska, przedtem jednak postanowiłem pojechać na Mokotówkę, żeby zobaczyć co się dzieje w siedzibie Zarządu Regionu Mazowsze i ewentualnie spotkać jakiś znajomych. Miasto przedstawiało ponury widok, nieporównywalny ani z rozruchami w 1957 roku ani w 1968. Wtedy było (i było) tylko ZOMO a obecnie wyciągnięto na ulice Bogu ducha winnych żołnierzy czynnej służby, którzy w każdej chwili mogą otrzymać rozkaz strzelania do swych braci, ojców, kolegów, koleżanek, matek i siostr. Na większych skrzyżowaniach stały SKOT-y^[85] albo czołgi obracające wieżyczką i celujące naokoło lufami w przerażonych mieszkańców, w przejeżdżające tramwaje i autobusy. Patrole wojska i milicji zatrzymywały przejeżdżające samochody osobowe, legitymowali kierowców, zaglądali do bagażników. Sprzęt wojskowy i uzbrojone po zęby patrole jaskrawo kontrastowały z oślepiającym śniegiem w tle. Przed kinem „Moskwa” przy ul Puławskiej stały obok siebie SKOT i czołg z lufą wycelowaną w kierunku ul. Rakowieckiej, a w tle jak na pełną ponurej grozy ironię, widać było ogromny napis MOSKWA, a pod nim plakat z równie ogromnym napisem: CZAS APOKALIPSY.

85 SKOT (Střední Kolový Obrněný Transportér – Średni Kołowy Transporter Opancerzony) – kołowy, czteroosiowy transporter opancerzony, stanowiący wyposażenie wojsk Układu Warszawskiego.



Przed Zarządem Regionu zgromadził się tłum, liczący kilkadziesiąt, może około lub trochę ponad sto osób, w którym trudno było rozpoznać znajomych. Przez okno wyglądali znani mi pracownicy Zarządu, opowiadający o nocnym szturmie oddziałów ZOMO, niszczących co popadnie i dokonujących szeregu aktów grabieży mienia. SB, podążające za zo-

mowcami dokonało kilku aresztowań, których ofiary przewieziono do Komendy MO Warszawa- śródmieście mieszczącej się przy ul. Wilczej. Kolejny atak był w przygotowaniu, gdyż od strony Pięknej ustawiły się budy, którymi przewożono ZOMOWców, zagrażając zarówno wjazd do i wyjazd z ulicy Mokotowskiej. Plac Zbawiciela był obstawiony słabiej – widocznie wzięcie MKZ w kleszcze jeszcze na tym etapie nie było planowane. Pracownicy i działacze wynosili z budynku książki i dokumenty pakując je do dwóch „maluchów” czyli FIATów 126P. Krzyknąłem w tłum, żeby otoczyli zewsząd oba auta czyniąc je niewidoczne dla oczekujących ZOMOWców. Po kompletnym wypełnieniu wnętrza, maluchy zawróciły i odjechały w kierunku Nowowiejskiej. Jeden z kierowców auta, znany mi z częstych wizyt w ZR, wręczył mi plik świeżo wydrukowanych ulotek, przypominających o statutowej reakcji na siłowy atak wymierzony

w Związek, czyli przystąpienia do generalnego strajku. Rozprowadziłem większość ulotek wciskając kilkanaście z nich do kieszeni kurtki. Z bud powyłazili ZOMowcy, ustawiając się w tyralierę i powoli przesuwając w naszym kierunku. Mieli liczebną przewagę a poza tym za nimi podążał opancerzony pojazd wyposażony w armatkę wodną. Przy dwudziesto-stopniowym mrozie nikomu nie uśmiechało się dostać pod strumień lodowatej wody pod ciśnieniem. Zaintonowałem „Rotę”, którą większość z pozostałych podchwyciła i po odśpiewaniu dwóch zwrotek, z obowiązkowym zakończeniem: „...aż się rozpadnie w proch i pył, sowiecka zawierucha. Twierdzą nam będzie każdy próg. Tak nam dopomóż Bóg. Tak nam dopomóż Bóg.” - spokojnie się rozeszliśmy obiecując, iż jeszcze się razem zejdziemy i to nie my będziemy stroną wycofującą.

Dla utrudnienia mieszkańcom poruszania po mieście, na ulice Warszawy wyjechała tego dnia ograniczona liczba tramwajów i autobusów i w efekcie dotarłem do klubu na Mołdawskiej dobrze po południu, przebywając większość drogi piechotą. Na miejscu odgarnąłem łopatą śnieg ze schodów prowadzących do sutereny dla zatarcia śladów stóp a następnie zamknąłem się od wewnątrz. W dalszym ciągu nie mogłem nic jeść sfrustrowany grozą sytuacji, w której nie bardzo wiedziałem jak się odnaleźć. Umówiliśmy się, iż w przypadku, gdy będzie coś podejrzanego w domu, np. przyjadą mnie aresztować, to w oknie pokoju Dzieciaków będzie podwinięta do góry firanka. W każdym razie powinienem wrócić do domu przed godzina policyjną.

Wróciłem tuż przed godzina policyjną a zatem nie miałem rezerwy czasowej, na wypadek, gdybym musiał wracać na Mołdawską.

Noc minęła bez przygód a rano, w poniedziałek 14 grudnia,

oboje z Jolą udaliśmy się do pracy. Zamknęto redakcje wszystkich gazet i czasopism pozostawiając najmniej poczytne i najbardziej zniechęczone gadzinówki Trybunę Ludu i Żołnierza Wolności. Poza pełnym tekstem przemówienia Jaruzelskiego i dekretu o stanie wojennym, Trybuna podała również listę osób internowanych. Lista ta zawierała kilkadziesiąt nazwisk, najbardziej znanych działaczy Solidarności – z wyjątkiem Lecha Wałęsy – doradców i opozycjonistów. Widać było, iż lista ta była opracowana dużo wcześniej, gdyż znalazły się na niej osoby, przebywające aktualnie za granicą. Przykładem założyciel Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWa Mirosław Chojecki, przebywający w Paryżu, o czym doniosła Wolna Europa.

Opublikowanie tej listy miało zmylić opinię publiczną sugerując, iż internowanie posiadało bardzo ograniczony zasięg, gdy wkrótce okazało się, iż represją tą dotknięte zostało co najmniej 5 tys. osób. Informowano również o „pokajaniu się” przewodniczącego Solidarności Rolników Indywidualnych Jana Kułaja, oraz szefów Regionów Wielkopolskiego Zdzisława Rozwałaka i Słupskiego Zierke (nie zapamiętałem imienia tego pacholka SB), którzy złożyli oświadczenia potępiające Solidarność, chwalaące stan wojenny i wzywające innych związkowców do tego samego. Bez echa. Jak na 10-milionowy związek, niewielki to sukces wrony a Rozwałak, gdy się zorientował, iż pozostał sam, odszczekał później oświadczenie, chociaż niewiele mu to pomogło. Ani nie został aresztowany ani nie uzyskał wybaczenia zdradzonych kolegów. Niestety, pamięć ludzka jest krótka i zawodna, gdyż oto przeczytałem o w/w osobniku wzmiankę na łamach poznańskiego wydania Gazety Wyborczej z 4 lipca 2011 roku informującą o nadaniu Rozwałakowi tytułu honorowego laureata statuetki Hipolita Cegielskiego.

Autobusy kursowały w ograniczonym zakresie albo z uwagi

na aresztowanie części kierowców – działaczy Solidarności, albo na ograniczony strajk. W każdym razie, mimo, iż rozpoczynaliśmy pracę o różnych godzinach, postanowiliśmy jechać razem by Jola mogła wejść do swego pokoju przed innymi i oczyścić biurko z solidarnościowych materiałów. Pracowaliśmy po dwóch przeciwnych krańcach placu Zwycięstwa (obecnie i przed wojną Piłsudskiego): Jola w Ministerstwie Łączności przy pl. Małachowskiego a ja w Dyrekcji Budownictwa Ogólnego przy ul. Niecałej.

Z dekretu o stanie wojennym wiedzieliśmy, iż majątek Solidarności ma być przejęty przez kierownictwa zakładów pracy i dlatego postanowiłem uprzedzić grabież przynosząc do pacy plecak. Będąc szefem biblioteki związkowej, opróżniłem szafę z książek, pakując część do plecaka a to, co się nie zmieściło, porozdawałem wśród zaufanych koleżanek i kolegów. W międzyczasie wpadła do pokoju skarbniczka naszej Komisji Zakładowej Ewa Staroń ze zwitkiem banknotów i bloczkiem kwitów:

- *Bolko, szybko podpisz pokwitowanie na odbiór sumy, która ci właśnie wręczam. Nie damy nic tym złodziejom a nam się przyda na kontynuację działalności w ukryciu.*

- *Wstaw datę np 10 grudnia albo nawet wcześniejsza – doradziłem.*

- *Dobry pomysł – uśmiechnęła się Ewa.*

- *Nie pamiętam, jaka to była suma pieniędzy, wiem tylko, że Jola je przechowała i poszły w całości na opłacenie kosztów przejazdów między konspiracyjnymi działaczami.*

W chwili później pojawili się w moim pokoju oprócz Ewy i jej późniejszego męża Zygmunta, który i tak dzielił ze mną pokój: Andrzej Czernicki i Ela Pacholczyk. Do pełnego składu Komisji brakowało Tomka Grzechocińskiego, który urzędował w budynku przy ul. Fredry oraz przewodniczącego Andrzeja Zdrojewskiego, urzędującego na terenie budowy Biblioteki Narodowej w Alei Nie-

podległości. Wszyscy byliśmy zdecydowani kontynuować działalność polegającą w pierwszym rzędzie na pomocy represjonowanym, a następnie tworzeniu komórek i nawiązywaniu łączności z podobnymi ogniwami. Wiara w skuteczny opór wronie była tak silna jak uderzenie nocy generałów dwa dni temu. Uzgodniliśmy, iż działalność na terenie DBO i pokrewnych instytucji w budynku przy ul. Fredry jest zawieszona a spotykać się będziemy w mieszkaniach, nie zapisując adresów tylko je zapamiętując. Ja znałem adres Ewy i Zygmunta, Zygmunt znał adres Andrzeja, który znał adres Eli. Ten sposób budowania konspiracyjnych siatek funkcjonował skutecznie w okresie okupacji niemieckiej a wpadki zdarzały się w momentach zaniedbania środków ostrożności. Nie chcąc zwracać uwagi na mój pokój wypisałem się do Zespołu na Fredry żeby zobaczyć się z Tomkiem i spytać co o tym sądzi. Zgodził się bez wahania a tylko dwie dziewczyny z Zespołów Piaseczno i Konstancin, w tym jedna partyjna, nie krytkowały faktu wprowadzenia stanu wojennego. Tomek zobowiązał się skontaktować z Elą i wymienić adresy. Godzinę później zgłosił się do mnie Andrzej Zdrojewski, który z samego rana był na naradzie u Dyrektora oraz sekretarza POP^[86], inofmuując iż dostał polecenie przejęcia biblioteki. Zapytał również Ewę o pieniądze związkowe.

- Zostało 6 zł i 20 groszy, które możesz wziąć za pokwitowaniem oczywiście.

- Jak to? – zdziwił się Andrzej – dwa tygodnie temu podczas zebrania mieliśmy znacznie więcej . Co się z nimi stało?

Wypłaciłam Bolkowi na zakup książek, materiałów propagandowych, opłacenie prenumeraty Tygodnika Solidarność itd.

86 Podstawowa Organizacja Partyjna (POP) – najmniejsza jednostka (komórka) Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej sprawującej władzę w Polsce Ludowej (1948–1989). Podstawowa Organizacja Partyjna istniała w zakładach pracy, uczelniach i instytucjach kulturalnych. POP działały w latach 1949–1989

- *To gdzie są te pieniądze?* – zaniepokoił się Andrzej, zwracając się do mnie.

- *Wpłaciłem w Zarządzie Regionu a pokwitowanie zniszczyłem* – odpowiedziałem spokojnie.

- *No dobra, a gdzie są książki?*

- *W czytaniu* – odpowiedziałem – *listę czytelników i katalog zniszczyłem, żeby nie narażać czytelników na kłopoty.* - Tylko to ostatnie zapewnienie było zgodne z prawdą.

- *Słuchaj Andrzej* – powiedziałem – *zgodnie z dekretem o stanie wojennym, zawieszającym działalność Solidarności, przestałeś być z dniem dzisiejszym przewodniczącym Komisji Zakładowej, która właśnie uległa rozwiązaniu, na dotychczasowych warunkach. Gdybyś natomiast chciał działać na innej płaszczyźnie w krańcowo odmiennych warunkach, to możemy razem coś wymyślić* – powiedziałem, nie dając mu do zrozumienia, iż załączek tej działalności utworzył się przed godziną.

- *Pomyślę nad tym* – odpowiedział Andrzej – *na razie nie wiem co mam powiedzieć sekretarzowi POP i „staremu”* – jak nazywaliśmy Naczelnego, który w rzeczywistości nazywał się chyba Szydłowski.

- *Powiedz to, co usłyszałeś ode mnie – że związek został zawieszony i od tej pory nie masz żadnych regresji ani w stosunku do mnie, ani do Ewy, ani do żadnego członka. Mam nadzieję, że nie wspomnisz o mojej propozycji* – dodałem, - *bo ciężko by ci się funkcjonowało z piętnem donosiela.*

- *Nie martw się, spokojna głowa* – odpowiedział Andrzej i wyszedł.

Za pół godziny przyszedł sekretarz POP z jakimś innym czerwoniakiem i po sprawdzeniu, iż w bibliotece znajduje się zaledwie kilka egzemplarzy dublowanych broszurek o niewielkim znaczeniu,

zapakowali je w torbę, zabrali Ewie 6 zł 20 groszy i poszli rzucając na odchodnym:

- *Już nie będziecie tacy cwani, Skowron.*
- *Do usług, panie towarzyszu* – odpowiedziałem.

Niespodzianką stało się przyjście Joli, która siadając na krześle oznajmiła:

- *No to już jestem po pracy.*
- *Puścili cię wcześniej do domu?* – zdziwiłem się.
- *Tak, i to na dobre* – odpowiedziała – *nie jestem już pracownikiem Ministerstwa Łączności.*

Dyscyplinarka? – spytałem.

- *Nie, zostałam zawieszona z pełnienia obowiązków z uwagi na dobro służby, ale z zachowaniem wynagrodzenia przez okres 6 miesięcy. Jednocześnie nie mam prawa wstępu do budynku ministerstwa.*

Następnie Jola opowiedziała szczegóły rozwiązania z nią umowy o pracę. W pokoju czekali już na nią sekretarz partii i dwóch wartowników. Czerwoniak odczytał, a następnie wręczył jej pismo, zawiadamiające, iż z dniem 1-wszym stycznia 1982 roku umowa o pracę zostaje z nią rozwiązana z uwagi na dobro służby a jednocześnie udziela się jej awansem urlopu wypoczynkowego. Jako pracownik etatowy, będzie jej przysługiwało wynagrodzenie przez okres sześciu miesięcy. Następnie poproszono o zwrot kluczy do pokoju, biurka i szaf z dokumentami, po czym kazano opuścić budynek w asyście wartowników.

Później okazało się, iż ten sposób pozbawiania pracy – uzgodniony na najwyższym szczeblu, wiele miesięcy wcześniej – zastosowany był do wszystkich pracowników instytucji rządowych, zaangażowanych w działalność Solidarności. Dotyczyło to również milicjantów, usiłujących bezskutecznie zalegalizować związki za-

wodowy funkcjonariuszy MO. Portier w moim budynku znał Jolę i wpuścił ją warunkowo tylko na 10 minut, ponieważ jemu również wydano zalecenia nie wpuszczania osób niezatrudnionych. Ponieważ wyższe uczelnie zostały na mocy dekretu o sw zamknięte, nie miałem po pracy żadnych zajęć i umówiliśmy się na mieście po godz. 16:00. Sygnał z firanką obowiązywał w dalszym ciągu i starałem się przebywać poza domem jaknajdłużej wiedząc, iż po pierwszej nocy, gdy dokonano aresztowań na gigantyczną skalę, dalsze aresztowania będą dokonywane raczej w normalnych godzinach urzędowania agentów SB. Po spotkaniu z Jolą rozpoczęliśmy wędrowkę po znajomych sukając ewentualnej „mety” na wypadek, gdybym został zmuszony do ukrywania się. Przyjaciół poznajesz w biedzie a w okresie prosperity przyjaciele poznają ciebie – jak mówi zmodyfikowane porzekadło.

Okazało się po pierwszej wizycie u Grażyny i Krzyska Smogorzewskich, zamieszkałych przy ul. Korotyńskiego na Ochocie, z którymi spędziliśmy wiele wspólnych chwil na różnych, turystycznych szlakach, iż o ewentualne lokum nie muszę się martwić. Inną opcję zaproponował mi Zygmunt Staroń u jego rodziców zamieszkałych przy ul. Orlej na Muranowie. Ojca Zygmunta, przemiłego faceta i zatwardziałego antykomunistę zdążyłem już poznać wcześniej. Pan Bolesław Staroń miał bardzo ugruntowane poglądy, obciążające za wszystkie nieszczęścia Żydów. Pisał w tej sprawie listy do członków najwyższych władz, którzy nie byli Żydami, apelując o zrzućenie żydowskiego jarzma i wyzwolenie Polski dla Polaków. Tylko Żydzi, według niego, mieli utrzymywać więzi czerwonego z Moskwą, czyniąc Polskę podległą rosyjskiej „żydokomunie”.

- *No niech pan popatrzy – mawiał: Kociołek – Żyd, Kiszczak – Żyd, Siwak – Żyd, generałowie Baryła, Oliwa, Ciastoń – Żydy (wyliczanka trwała długo). Kto to słyszał o takich nazwiskach? –*

dziwił się. - *Specjalnie tak pozmieniali, żeby się wyróżnić. Jaru-
zelski musiał ulec ich naciskom, przecież oni otrzymują instrukcje
bezpośrednio z Moskwy a Moskwa z Tel Avivu.*

Trudno było z takimi poglądami dyskutować, ograniczałem
się zatem tylko do kiwania głową i zdawkowego uśmiechu. Zapy-
tany, co o tym sędzę, uprzejmie odpowiadałem:

- *Z panem, panie Bolesławie, to ja się nie mogę równać.
Pan posiada tak ogromna wiedzę w tej materii, która mnie wprost
przytłacza, że muszę przed panem chylic czoła.*

To wystarczyło, żeby uznał mnie za porządnego i zasługują-
cego na pełne zaufanie, człowieka, natomiast ja potraktowałem tą
metę jako ostatnią twierdzę.

Następnie starałem się nawiązać kontakt z innymi znajo-
mymi, m.in. Jaśkiem Wołyńskim, z którym chodziliśmy na różne
demonstracje i często spotykaliśmy się na Mokotowskiej. Jasiek,
mieszkający wówczas u teściów przy ul. Dickensa, gnieźdzący się
w jednym pokoju z żoną Grażką i dwójką dziewczynek, już miał
opracowany plan działania.

- *Organizujemy ściśle zakonspirowaną grupę - komórkę opo-
ru, której działania oparte będą na wzorach Związku Walki Zbroj-
nej i Armii Krajowej z okresu okupacji niemieckiej – powiedział
Jasiek. - Buforowy system łączności, zaprzysiężenie, działalność
będzie dopasowana do okoliczności, nie wykluczamy walki zbroj-
nej. Piszesz się? – zapytał.*

- *Kiedy i gdzie najbliższe spotkanie i jaki kontakt? – odpo-
wiedziałem ściskając mu mocno rękę na potwierdzenie.*

Czwartek, godzina 18:00, ul. Bema (nie pamiętam już nu-
meru a gdybym zapamiętał to i tak go nie ujawnię). Nie zapisuj,
tylko zapamiętaj. Sygnał: pukasz 5 razy, po 30 sekundach 3 razy.

Takich komórek powstało w kraju tysiące, w miejsce namie-

rzonych przez bezpieczeństwo powstawały nowe, a po aresztowaniach i internowaniach bynajmniej nie powstała próżnia. Już po roku od wprowadzenia stanu wojennego wrona wiedziała, a przynajmniej powinna wiedzieć, iż tej wojny, której jedynym celem było utrzymanie się na stołkach obecnej ekipy, z całym narodem nie wygra. Oczywiście w konspiracji i opozycji wszelkich odcieni nie działało więcej, niż kilka procent społeczeństwa ale z drugiej strony zadeklarowanych zwolenników wrony było zdecydowanie mniej. Przeciąganie stanu wojennego – trwającego, z różnymi wariantami praktycznie aż do rozpoczęcia obrad okrągłego stołu – wynikało z uporczywej, naiwnej wiary Jaruzelskiego i jego doradców, w „bratnią pomoc” Rosjan.

Jaruzelski nie może się zapisać w historii inaczej niż jako jeden z najgorszych zdrajców, nie tylko za wprowadzenie stanu wojennego na życzenie obcego mocarstwa, ale również za zgodę dowództwa sił zbrojnych PRL na utworzenie z Polski strefy pustyni atomowej w przypadku planowanej agresji wojsk układu warszawskiego na kraje NATO. Dokumenty planów operacyjnych, powstałych w naczelnym dowództwie UW w Moskwie i zatwierdzonych przez Sztab Generalny w Warszawie, zostały przekazane przez pułkownika Ryszarda Kuklińskiego na Zachód a następnie zweryfikowane i potwierdzone przez CIA. Niewykluczone jest, iż ujawnienie tych planów, zapobiegło planowanej agresji Rosjan na czele z podporządkowanymi im wojskami Układu Warszawskiego a co za tym idzie kompletnej zagładzie naszego kraju. Tymczasem nieobce są wypowiedzi osób, nawet powszechnie szanowanych, traktujących generała Kuklińskiego jako zdrajcę a generała Jaruzelskiego jako bohatera?! To się w pale nie mieści – jak mówił pewien milicjant szmuglujący cielęcinę.

Pamiętam jakim szokiem stał się dla nas na emigracji wybór

Jaruzelskiego na pierwszego Prezydenta niepodległej Polski. Porównywanie obrad okrągłego stołu do Konfederacji Targowickiej oczywiście uważam za krzywdzącą część ich uczestników, bzdurę, natomiast ta decyzja w żadnym przypadku nie powinna mieć miejsca. Miejsce Jaruzelskiego znajduje się na śmietniku historii wśród jego poprzedników-zdrajców: Opalińskiego, Radziejowskiego, Targowiczian z ostatnim królem Polski włącznie, Marchlewskiego, Dzierżyńskiego, i innych, których nazwiskami się brzydzę. Chyba rozumiem, czemu sądy różnych instancji odwołają skazanie Jaruzelskiego za dawno udowodnione zbrodnie popełnione przezeń w grudniu 1970 oraz podczas stanu wojennego. Gdyby został skazany prawomocnym wyrokiem, to nie przysługiwałyby mu ani pogrzeb z honorami ani miejsce w Alei Zasłużonych, do czego nieuchronnie się zbliża. No cóż, moi bliscy, polegli w powstaniu warszawskim są pochowani na tym samym cmentarzu gdzie leżą Bierut, Marchlewski, Świerczewski, Zawadzki, Gomułka. Będą się niestety musieli zgodzić na umieszczenie tam kolejnego zdrajcy.

Jasiek Wołyński jest szwagrem innego naszego przyjaciela Andrzeja Sułkowskiego, który po ślubie z Bożeną wyprowadził się z mieszkania rodziców. Mieliśmy w planach złożenie wizyty Andrzejowi lecz do realizacji tych planów miało nie dojść. Wracając od Wołyńskich wstąpiliśmy na Kaliską do mojej mamy, by pokazać się osobiście i przekonać, że jesteśmy zdrowi i cali, czym została mile zaskoczona. Mama już była u Romaszewskich na Kopińskiej, gdzie dowiedziała się iż zarówno Zosia, jak i Zbyszek cudem uniknęli aresztowania i ukrywają się, natomiast Agnieszkę zabrała milicja w nocy z 12-go na 13-go grudnia, a o jej losach nic nie wiadomo.

Uważaj na siebie synku, w nic się nie wdawaj, to i tak długo

nie potrwa a po co się masz narażać – usłyszałem na pożegnanie – są inni, młodszy i na nich kolej.

15 grudnia, jadąc do pracy czytałem znaną z autobusu, napisaną ręcznie ulotkę, donoszącą o represjach i aresztowaniach, z dopiskiem: „przekaż po przeczytaniu dalej”. Wysiadając przy Nowym świecie róg świetokrzyskiej położyłem ulotkę na siedzeniu, które właśnie zwolniłem i... siedzenie pozostało puste. Nie tylko ludzie bali się usiąść na „zakażonym wrogą propagandą” miejscu, ale wręcz poodwracali się od niego tyłem jakby obawiając się spojrzeć na nielegalny materiał. Za samo posiadanie „nielegalnej” (możnaby spytać co wówczas było legalne) ulotki groziła kara więzienia, czyli strach był uzasadniony ale właśnie na ten strach liczył czerwony paraliżujący wszelki opór.

- *Nie samym strachem człowiek żyje* - powiedziałem głośno w głąb autobusu – *do widzenia państwu* – po czym wysiadłem.

- *Do widzenia* – odezwało się kilka nieśmiałych głosów, co podniosło mnie na duchu.

Po skończonej pracy i kolejnej randce (spotykaliśmy się znowu ukradkiem jak z początków naszej znajomości) Jola namówiła mnie, by pojechać na Saską Kępę do jej rodziców, z którymi od kilku dni nie miała kontaktu. W ich mieszkaniu przy ul. Nubijskiej zastaliśmy oprócz rodziców Joli, jej brata Andrzeja i bratanicy Doroty, zamieszkujących tamże - bratanicę teściowej Halinę Piłkę oraz brata teścia, zwanego stryjkiem Mietek. Mieczysław Poźniak od śmierci żony w 1968 roku, zaczął coraz bardziej natrętnie zalecać się do młodszej od niego o 40 lat bratanicy - Joli, proponując by z nim zamieszkała, tak jakby mnie wogóle nie było. Przy tym był odrażająco brzydki, mówiąc ślinił się i

sepleniał a ponadto trzęsły mu się ręce. Jola początkowo grzecznie obracała te umizgi w żart, aż w końcu równie grzecznie ale stanowczo powiedziała, żeby poszukał sobie kobiety a) wolnej, b) w bardziej stosownym wieku. Gdy i to nie poskutkowało, poskarżyła się swym rodzicom prosząc by odwiedli go od tych niestosownych podchodów, zwłaszcza, iż robił się coraz bardziej nachalny, wydzwaniając do Joli do pracy, czekając na nią na przystanku, gdy tylko ja miałem zajęcia na uczelni, zapraszając na kawę, na obiad czy wręcz na wspólne wczasy. Gdy teść zwrócił mu uwagę - wyparł się wszystkiego oskarżając Jolę o zmyślenia i trudno się dziwić, iż siedział teraz przy stole z marsową miną, witając się z nami urzędowo. Jola miała do końca miesiąca opłacone obiady w stołówce ministerstwa i nie widziała żadnych powodów, żeby z nich nie korzystać.

Wartownik, widząc kartonik z kuponikami obiadowymi, wpuszczał ją po uprzednim zastrzeżeniu, iż wolno jej wejść tylko do stołówki, gdzie spotkało ją niemiłe zaskoczenie. Do jej stolika nie przysiadł się nikt a wszyscy, z wyjątkiem jednej osoby - Danki Rapackiej, z którą razem studiowały a Jola była chrzestną jej córki Agaty - udawali, że jej nie widzą. Strach paraliżuje niektórych do tego stopnia iż zapominają o elementarnych zasadach przyzwoitości. Jola była tą osobą, która natchnęła pracowników ministerstwa do podniesienia głów, odważnego upominania o prawa pracownicze itd. zakładając niemal samotnie pierwszą komisję zakładową Solidarności na terenie jakiegokolwiek ministerstwa. Gdy opowiedziała o incydencie w stołówce, Mietek zaczął krzyczeć ze złością właściwą odrzuconemu zalotnikowi:

No i bardzo dobrze, że nikt nie podszedł do stolika! Tak właśnie trzeba! Po co było się bawić w tą głupią Solidarność zamiast siedzieć spokojnie i robić swoje!

Przedtem toczyła sie dyskusja o stanie wojennym; wszyscy, z wyjątkiem Mietka, wyrażali głęboką troskę, nie mogli sie nadzieć skali represji, utrudnieniom w łączności itd. Mietek kontynuował wyrzucanie z siebie żalu:

A ja Jaruleskiego szanuję, bo dobrze zrobił. Ja dzisiaj bez stania w kolejce kupiłem mięso jak tą hołotę pozamykali! Dla mnie mogą wszystkich pozamykać – wybuchnął waląc jednocześnie pięścią w stół.

Tego już nawet mojej, zwykle spokojnej teściowej było za wiele:

- Mietek, zastanów się co ty mówisz, Jolę wyrzucili z pracy, u Andrzeja aresztowano kilku kolegów, telefony nie działają, co w tym widzisz dobrego?

- *Tak powinno być: złych pracowników powyrzucać, awanturników powsadzać do więzień* – kontynuował Mietek.

- *Mnie już tego wystarczy* – powiedziała Jola wstając. - *Mamy jeszcze wstąpić w kilka miejsc a nie będę wysłuchiwała impertynencji w moim własnym domu.* (mieszkanie rzeczywiście się Joli prawnie należało ale teściowie tak pokręcili, iż nie tylko Jola została wydziedziczona ale i samo mieszkanie przepadło, do czego wrócę później).

Halina próbowała nas zatrzymać pozostając neutralna, gdyż Mietek to dla niej żadna rodzina, Andrzej, upośledzony 90%-owa utrata słuchu nie wiedział o co chodzi. Pożegnaliśmy się ze wszystkimi z wyjątkiem Mietka, któremu Jola tylko rzuciła na odchodnym:

- *Ja się już do stryjka nigdy nie odezwę, żegnam.*

Rzeczywiście było to ostatnie pożegnanie z Mietkiem, który zmarł kilka miesięcy później, o czym Jola poinformowała mnie na widzeniu, czytając z kartki, na której spisała wszystko, co chciała

mi przekazać, słowami:

„Mietek umarł.”

- *Przeczytaj następną wiadomość, kochanie* – odpowiedziałem niewzruszony, gdyż nie obchodziło mnie ani kiedy ani w jakich okolicznościach.

Następnego dnia, 16 grudnia postanowiłem nawiązać kontakt z ludźmi z KPN: z zamieszkałym przy ul. Kopernika Andrzejem Szomańskim^[87], moim bezpośrednim przełożonym oraz, z zamieszkałym na Bródnie Stefanem Melakiem^[88]. Przed domem

87 Andrzej Szomański (ur. 6 czerwca 1930, zm. 29 października 1987) – polski historyk, publicysta, polityk. Działacz opozycji w okresie PRL, więziony z przyczyn politycznych. Współzałożyciel Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, założyciel Konfederacji Polski Niepodległej. Używał pseudonimu Zdzisław Kutnowski. Od 1961 uczestniczył w konspiracyjnym nurcie niepodległościowym. Od 1977 był uczestnikiem ROPCiO, a w 1979 – jednym z sygnatariuszy aktu założycielskiego KPN. Był współredaktorem pism „Opinia”, „Droga”, „Gazeta Polska”. Był jednym z inicjatorów ustawienia Krzyża Katyńskiego na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie w 1981. Wchodził w skład władz lokalnych (szef Obszaru Centralnego) oraz centralnych (członek Rady Politycznej) Konfederacji Polski Niepodległej. 9 marca 1985 był jednym z aresztowanych członków Rady Politycznej KPN w trakcie najścia Służby Bezpieczeństwa. W marcu 1986 został postawiony przed sądem razem z Leszkiem Moczulskim, Krzysztofem Królem, Adamem Słomką i Dariuszem Wójcikiem w drugim procesie KPN. Został skazany na 2 lata pozbawienia wolności. Opuścił więzienie po 16 miesiącach od zatrzymania w lipcu 1986, w wyniku amnestii. Po wyjściu z więzienia nie odzyskał zdrowia i po roku zmarł.

Jest patronem jednej z warszawskich ulic.

88 Stefan Melak, pseud. Jan Ostrogski, Lida A., Wilno Z. (ur. 13 sierpnia 1946 w Warszawie, zm. 10 kwietnia 2010 w Smoleńsku) – działacz opozycyjny okresu PRL, przewodniczący Komitetu Katyńskiego, dziennikarz. Od 1979 roku był członkiem niepodległościowej partii politycznej Konfederacja Polski Niepodległej, w latach 1980 – 81 był członkiem redakcji pism tej partii: Niepodległość oraz Gazeta Polska. Kierował głośną konspiracyjną akcją ustawienia 31 lipca 1981 w tzw. Dolince Katyńskiej na Cmentarzu na Powązkach w Warszawie pierwszego w Polsce „Pomnika Katyńskiego”, który był wykonany z granitu przez Arkadiusza Melaka i ważył kilka ton. Pomnik ten po kilku godzinach został usunięty po interwencji ambasady radzieckiej. Melak był internowany przez władze komunistyczne za działalność antykomunistyczną oraz udział w zjazdach Solidarności. Po zwolnieniu aktywnie uczestniczył w

Andrzeja zauważyliśmy kilka osób udających obojętność, co świadczyło, iż został u niego założony kocioł. Później dowiedziałem się, iż Andrzejowi udało się uniknąć aresztowania, ukrywał się i kilka razy przekazywał przez łączniczkę Basię, pieniądze dla mnie i rodziny.

- *Wiemy, że Bolko jest aresztowany a pani jest bez pracy, że macie maleńką wnuczkę* – przekonywała Basia wzdragającą się z przyjęciem Jolę. - *Poza tym to są pieniądze organizacyjne, przeznaczone właśnie na pomoc naszym, represjonowanym kolegom i koleżankom.*

Do spotkania z Andrzejem już miało nigdy nie dojść. Po moim wyjściu na wolność mieliśmy się spotkać w kawiarni tuż przy Generalnej Prokuraturze ale obawiałem się prowokacji. Kilka lat po naszym wyjeździe do Stanów otrzymałem wiadomość od Marka Ruszczyńskiego - przedstawiciela KPN na Amerykę Północną, iż zmarł na rozległy wylew krwi do mózgu. Byłem jedynym człowiekiem w Stanach, posiadającym zdjęcie Andrzeja, wykorzystane w ozdobnym nekrologu.

Jeden z członków naszej grupy miał zakład usługowy na zapleczu Nowego Świata, ale znaliśmy się tylko pobieżnie i raz spotkaliśmy się u niego ze Stefanem.

- *Czym mogę służyć?* – zapytał właściciel, po którego minie zorientowałem się, iż chyba mnie nie bardzo kojarzy.

- *Kilka tygodni temu byłem u pana ze Stefanem* – urwałem, czekając na reakcję, lecz nie zauważając żadnego wrażenia, kontynuowałem: - *Byliśmy w sprawie przewinięcia pompy głębinowej. Pan nas zaprosił na zaplecze, bo sprawa była skomplikowana.*

działalności podziemnej Solidarności, min. zajmując się wydawaniem w tzw. drugim obiegu książek o tematyce katyńskiej. Zginął w katastrofie polskiego samolotu Tu-154M w Smoleńsku 10 kwietnia 2010. 24 kwietnia 2010 został pochowany w Kwaterze Smoleńskiej na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach

- *Nie przypominam sobie* – odparł mój partyjny kolega.

- *Nic dziwnego, ponieważ nasza rozmowa nie miała nic wspólnego z pompą głębinową tylko ze szczegółami wmurowania aktu erekcyjnego pod pomnik Ofiar Zbrodni Katyńskiej na cmentarzu wojskowym na Powązkach, co miało miejsce dokładnie tydzień przed wprowadzeniem stanu wojennego.*

- *Szkoda, bo ja właśnie od ubiegłej soboty straciłem kontakt ze Stefanem, w domu go nie ma, więc myślałem, że u pana się czegoś dowiem* – zmartwiłem się na poważnie, gdyż był to jedyny ślad, który mnie mógł do Stefana zaprowadzić. Wrona tymczasem tak pokierowała naszymi losami, iż spotkaliśmy się 3 dni później w Białoleścu.

W tym momencie zza kotary wyszła koleżanka z naszej grupy operacyjnej, której nazwiska już nie pamiętam i rzucając w kierunku właściciela:

- *To swój* – a następnie dodała:

- *Państwo pozwolą* – i zaprowadziła nas na zaplecze.

- *Najmocniej przepraszam, nie poznałem* – powiedział nasz kolega.

- *Nie ma sprawy* – odpowiedziałem – *w dzisiejszych czasach ostrożności nigdy nie za wiele.*

Po wzajemnym przedstawieniu pań, usiedliśmy przy stoliku.

- *Czy masz jakieś wiadomości od Stefana albo od Andrzeja?*
– zapytałem.

- *U Andrzeja było kocioł* – powiedziała - *Tam mnie w poniedziałek aresztowali, spędziłam 24 godziny na Mostowie^[89] a po wyjściu nie pojechałam do Stefana bo czułam, że mi przyczepili*

89 Mostowo – w żargonie warszawskim Pałac Mostowskich, zlokalizowany przy skrzyżowaniu ulic Gen. Andersa (wówczas Nowotki) oraz Nowolipki, w którym mieściła się Komenda Stołeczna MO i wojewódzki wydział SB. Obecnie siedziba Komendy Stołecznej Policji.

ogon^[90]. Poza tym, skoro mnie niewiele pytali o Stefana, to domyślałam się, że go już mają.

- Pytali również o ciebie – dodała. – Nie mogłam im nic powiedzieć bo niewiele o tobie wiem. Pytali tylko jak długo jesteś w KPN i dlaczego tak szybko awansowałeś. (byłem szefem szkolenia na obszar centralny i przygowywałem się do organizacji serii wykładów na temat zbrodni katyńskiej).

W tym momencie Jola uściśliła moją dłoń pod stołem. Najwidoczniej czuła to co ja; iż moje dni a raczej już godziny, na wolności są policzone.

- I co im odpowiedziałś? – zapytałem.

- Odpowiedziałam, iż tyle wiem co i panowie. My się wzajemnie nie przesłuchujemy.

- Czy musiałś im coś podpisać? – zapytałem

- Tak, ale dopisałam, iż będę protestować w przypadku represji.

- Im chyba nie zależy co napiszesz, ważne, żeby mieli twój podpis pod lojalką.

- Ja się obawiam, iż w moim przypadku sama lojalka^[91] im nie wystarczy - dodałem. - Oni o mnie nic nie wiedzą a to jest dla nich nie do przelknięcia – odpowiedziałem i miałem rację, o czym

90Przyczepić ogon – w żargonie konspiracyjnym wysłać obserwatora, by kontrolować kontakty i trasy poruszania śledzonego.

91 Deklaracja lojalności (potocznie: lojalka) – pisemne zobowiązanie się przez daną osobę do przestrzegania określonych przepisów. Określenia tego używa się zazwyczaj w odniesieniu do dokumentu, do którego podpisania władze PRL nakłaniały działaczy opozycji politycznej w Polsce w okresie stanu wojennego. Oświadczenie to miało następującą treść:

Ja, niżej podpisany(a) oświadczam i zobowiązuję się do zaniechania wszelkiej działalności szkodliwej dla Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w szczególności do przestrzegania obowiązującego porządku prawnego.

Lojalka nie była zobowiązaniem do współpracy z organami państwa, w tym ze Służbą Bezpieczeństwa, jednak jej podpisanie było rozumiane zarówno przez władze, jak i przez opozycjonistów, jako deklaracja zaprzestania działalności opozycyjnej.

przekonałem się, czytając po blisko 30 latach protokoły z inwigilacji przez SB, zgromadzone w mojej teczce w Instytucie Pamięci Narodowej.

- Postąpisz jak będziesz uważał ale wiedz, iż lojalka cię do niczego nie zobowiązuje. Ja podpisałam, bo chcę być wolna. Za kratami nic nie zwojuję.

Pożegnaliśmy się, życząc sobie wzajemnie spotkania w wolnej Polsce, jakkolwiek było nam dane spotkać się z obojgiem podczas pielgrzymki do Częstochowy. Na dzień 17 grudnia zapowiedziana była – jeszcze przed stanem wojennym – manifestacja upamiętniająca masakrę na Wybrzeżu w 1970 roku, na placu Józefa Piłsudskiego (wówczas Zwycięstwa), czyli tuż obok mojej firmy. Wieczorem, 16 grudnia z Radia Wolna Europa dowiedzieliśmy się o nowej grudniowej masakrze, tym razem na terenie kopalni „Wujek” w Katowicach. Później reżimowa telewizja potwierdziła ta wiadomość obciążając jednak winą pomordowanych górników, którzy mieli zaatakować „siły broniące ładu i porządku” kilofami, łopatami i łańcuchami, co zmusiło te siły do obrony. Ile razy jeszcze historia musi obrócić się kołem, żeby zaprzestano bratobójczych mordów w imię obłąkańczej idei oraz fałszywego przedstawiania tych zbrodni? – pytaliśmy się wzajemnie słuchając tych ponurych wiadomości.

Przyszli nocą w uśpiony dom,
Wyciągali nas chyłkiem, jak zbóje
Drzwi zamknięte otwierał łom -

Idą, idą pancry na „Wujek”

A gdy opadł i strach i gniew,
Jeden wybór: kopalnia strajkuje,
Choć staniała bardzo nasza krew,

Idą, ida pancry na „Wujek”

W tłumie przy bramie, do matek i żon
Z płacht na murach klejonych zlatuje
Czarną treścią komunikat WRON

Idą, ida pancry na „Wujek”

Kilof, łańcuch ściska nasza dłoń,
Wózków szereg bieg czołgów wstrzymuje
Już milicja repetuje broń

Idą, ida pancry na „Wujek”

Płona znicze ku zabitych chwale,
Ale zgasła nadzieja na potem,
Gdzie twe czyste ręce, generale,

Zawracają pancry z powrotem

Maciej Bieniasz, 17.XII.1981r.

Na Placu Zwycięstwa 17 grudnia późnym popołudniem zebrał się spory tłum, składający się niemal wyłącznie z osób opuszczających pracę w okolicznych instytucjach, ponieważ dostęp do placu został zablokowany przez liczne oddziały ZOMO od strony Ogrodu Saskiego, Kredytowwej i Krakowskiego Przedmieścia, oraz pojazdy służące do walki z demonstrantami. Jola zdążyła dojechać ostatnim autobusem 175, wpuszczonym na plac a na końcowym przystanku się umówiliśmy. Szans nie mieliśmy żadnych, uzbrojeni jedynie w naszą wiarę, iż „orła wrona nie pokona” przeciwko przewyższającym nas liczebnie dobrze wyszkolonym zomowcom, uzbrojonym w pałki a później niektórym z nich pod Hotelem Europejskim rozdano nawet kałasznikowy. W stosunkowo krótkim czasie wypchnięto nas z placu w kierunku Krakowskiego Przedmie-

ścia, gdzie tłum się rozproszył: część uciekła w kierunku Nowego świata, część w kierunku Placu Zamkowego a reszta wraz z nami cofnęła się pod Dziekanekę skąd można było uciekać w dół Karową. Do domu dotarliśmy nie spałowani, nie oblani wodą, tylko trochę zapłakani od gazów łzawiących. Zaraz w progu Iwonka powitała nas wiadomością:

- *Byli po tatę – zostawili wezwanie na jutro na Mostowo.*

- *Dużo ich było?* – spytałem.

- *Trzech, najpierw pojawił się cywil, o takim wyglądzie, że już miałam się spytać czy przyszedł szukać kontaktu, ale za chwilę wyłonili się zza jego pleców dwaj mundurowi.*

- *Acha, gdy powiedziałam, że taty niema to się ten cywil spytał, czy jesteś na Mołdawskiej – dodała.*

- *Czyli Mołdawska spalona – powiedziałem.*

- *Powiedzieli jeszcze, że będzie dobrze jak się jutro stawisz, bo i tak znają twój każdy ruch.*

Rzeczywiście tak mogło być a chodząc po zaprzyjaźnionych kwaterach mógłbym tylko narażać gospodarzy. - *Trudno – powiedziałem – co ma być to będzie.*

Zapakowałem do torby ciepły swetr, zmianę zimowej bielizny, szczoteczkę do zębów, połowę zapasów papierosów, które wówczas też podlegały racjonowaniu, cebulę i kawałek boczku.

- *Na początek wystarczy a później pewnie będę mógł kupić na wypiskę.*

- *Wypluj to słowo – powiedziała Jola – masz wrócić jutro zdrowy i cały.*

Wrócę na pewno – powiedziałem – jak nie jutro to kiedy indziej. Czekać na mnie.

Na pewno, najdroższy.

Pożegnaliśmy się czule, ucałowałem Iwonkę i Perełkę (tak

nazywałem Agnieszkę, która po odbiorze ze szpitala była okrąglutka i różowutka zupełnie jak perełka), i wyszedłem z domu by wrócić na dobre niemal za rok.

Na wezwaniu nie było napisane ani w jakim charakterze ani w jakiej sprawie mam się stawić, a takie właśnie były wymogi Kodeksu Postępowania Karnego. Zamiast tego wpisane było: „rozmowa” czyli praktycznie wezwanie nie miało mocy urzędowej jako nieformalnie wypełnione. Mógłbym się o to spierać gdyby a) towarzyszył mi w drodze na Mostowo adwokat b) nie było stanu wojennego.

W pracy pożegnałem się z przyjaciółmi, a koleżanki z wydziału prawnego wręcz zaklinały:

- *Podpisz co ci dadzą do podpisania, to i tak nie będzie miało żadnej mocy prawnej.*

- *Dla mnie ma jednak znaczenie co podpisuję* – odpowiedziałem i dodałem na odchodnym:

- *Do zobaczenia w Wolnej Polsce.*

Z Niecałej do Placu Bankowego (wówczas Dzierżyńskiego) miałem ok. 5 minut piechotą a stamtąd już tylko przejść na ukos skrzyżowanie gen. Andersa (wówczas Nowotki) i al. Solidarności (wówczas Świerczewskiego), by się znaleźć przed kinem Muranów, sąsiadującym bezpośrednio z Pałacem Mostowskich. Po oddaniu przepustki i dowodu osobistego w portierni, kazano mi czekać w obskurnej poczekalni. Oprócz mnie znajdował się tam jeszcze równie jak ja brodaty, ok. 30-letni facet niskiego wzrostu, którego skądś znałem ale nie uznałem sytuacji za odpowiednią do zadawania pytań. On również przyglądał mi się chwilę w milczeniu, gdy w tym momencie wszedł do poczekalni jakiś cywil wołając:

- *Kazańczuk, Wincenty.*

- *Proszę tędy* – wskazał drogę na schody ubek brodatemu

towarzyszowi niedoli, z którym utrzymuję kontakty po dziś dzień.

Kilka minut później do poczekalni wkroczył młody, może 25-letni^[92], wysoki chłopak z rudym wąsem i w okularach w grubej oprawie, wołając:

- *Skowron, Bolko* – wyraźnie rozdzielając nazwisko od imienia.

Podniosłem się a ubek wskazał mi ręką schody, gestem nakazując by iść przed nim. Później, po 28 latach, na akademii policyjnej w Columbia, nauczyłem się, iż jest to prawidłowy a zarazem bezpieczny sposób eskortowania więźnia: dwa kroki z tyłu pod kątem 45°. Doszliśmy na trzecie piętro, gdzie w korytarzu stał wartownik, który otworzył mi drzwi do pokoju Nr. 316. Instykt podpowiadał mi, iż w takich przypadkach należy zapamiętywać możliwie największą ilość szczegółów. Wewnątrz stały ogromne dwa biurka odwrócone frontami do siebie, tworzące jedną całość a z drugiej strony znajdowały się krzesła po jednym na biurko. W samym rogu stał wieloramienny biurowy wieszak, który ubek mi wskazał, mówiąc:

- *Proszę zdjąć kurtkę, tu jest ciepło.*

Zdjąłem kurtkę, usiadłem, spojrzałem przez zakratowane okno wychodzące na podwórze osłonięte od góry siatką. Tam prawdopodobnie znajduje się spacerniak dla aresztantów – pomyślałem. Agent wyciągnął z szuflady sporą teczkę, przewracał kilkanaście różnych kartek pojedynczych, podwójnych i spiętych razem a po kilkunastu minutach wyciągnął z szuflady biurka notatnik, który położył obok teczki. Następnie wziął do ręki mój dowód osobisty, otworzył, odchylił foliową okładkę, zza której wyciągnął zdjęcie Joli

92 Był to inspektor Andrzej Anklewicz, o którym szerzej w następnym rozdziale. Ur. w r. 1953, czyli miał wówczas 28 lat.

- *To córka?* – zapytał.
- *Nie, żona* – odpowiedziałem.

Następnie zaczął mnie przepytować z personalii: imiona, nazwisko, data urodzenia, imiona rodziców, adres, zawód, wykształcenie, sprawdzając moje odpowiedzi z dowodem osobistym, zerkając jednocześnie do teczki. Widać było, iż przygotowuje sobie sposób prowadzenia przesłuchania a ja również wywoływałem z pamięci rady zamieszczone w broszurce „Obywatel a Służba Bezpieczeństwa” wydanej przez CDN. Główna dewiza zapamiętana przeze mnie była świadomość, iż bezpieczeństwa wie tylko tyle ile im przesłuchani powiedzą. Zapamiętałem również treść art. 166 kodeksu postępowania karnego, według którego każdy przesłuchiwany, na dowolnym etapie śledztwa ma prawo uchylić się od odpowiedzi na pytanie, jeżeli udzielenie odpowiedzi mogłoby narazić na odpowiedzialność karną tego świadka, lub osobę dla niego najbliższą.

- *Słyszałem, że jest pan człowiekiem logicznym* – zaczął po długim wertowaniu papierów, ubek.

- *Ciekawie, na czym może polegać moja „logiczność”?* – pomyślałem, z trudem powstrzymując się od śmiechu, mimo grozy sytuacji.

Nastąpiła ponowna pauza, po której oficer spojrzał mi prosto w oczy i spytał:

- *Od jak dawna ma pan kontakty z KPN?*

Pomyślałem chwilę, podrapałem się po brodzie i powiedziałem:

- *Może dziesięć, może piętnaście lat.*
- *Co mi pan tu za bzdury opowiada?* – zaperzył się ubek – *przecież KPN istnieje dopiero dwa lata!*
- *Przykro mi bardzo, ale jest pan w błędzie* – odpowiedzia-

łem najgrzeczniej, jak umiałem – *KPN powstał w 1959 roku, utworzony na podstawie uchwały rady ministrów.*

- *Co takiego?* – o czym pan mówi?

- *O Kampinoskim Parku Narodowym* – odpowiedziałem, a pan co miał na myśli?

- *Panie Skowron* – odezwał się ubek po dłuższej przerwie – *pan chyba sobie nie zdaje sprawy z sytuacji, w jakiej się pan znalazł, my o panu wiemy wszystko, jest stan wojenny i jak pan nie zechce nam pomóc w oczyszczeniu z podejrzeń, to będziemy musieli pana internować na czas nieokreślony. Dobrze pan wie, że chodzi mi o antyradziecką i antysocjalistyczną organizację t.zw. Konfederację Polski Niepodległej, której pan jest jednym z czołowych działaczy.*

Wzmianka o internowaniu uspokoiła mnie, bo oznaczało to, iż będę siedział w dobrym towarzystwie a po wyroku z dekretu musiałbym dzielić celę z kryminalnymi. Najinteligentniejszy to on nie jest – pomyślałem – w jednym zdaniu stwierdza, iż wszystko o mnie wie oraz, a w następnym, że potrzebuje mojej „spowiedzi”, żeby się dowiedzieć.

- *Słyszałem ale ja nic o tym nie wiem* – odpowiedziałem po chwili.

- *A klub na Mołdawskiej coś panu mówi?* – padło pytanie.

Wzruszyłem ramionami robiąc minę niewiniątka, w duchu zastanawiając się kto był wtyką безпеki podczas ogólnokrajowego zebrania szefów grup operacyjnych KPN w ubiegłym miesiącu w siedzibie klubu Towarzystwa Rozmarzonych Entuzjastów Perygrynacji, znanym jako „Trep”, którego byłem prezesem. Podałem propozycję zorganizowania tam zebrania Andrzejowi Szomańskiemu – od momentu aresztowania Leszka Moczulskiego, pełniącego obowiązki szefa organizacji - , który ją zaakceptował. Klub się

mieścił w suterenie, z tyłu bloku, wejście niewidoczne od ulicy, pomieścić mógł jednorazowo do 100 osób a SB nie zdążyło go jeszcze rozpracować i założyć podsłuchu. Podczas zebrania, które miało miejsce na dwa tygodnie przed wprowadzeniem stanu wojennego, została mi powierzona funkcja szefa szkolenia na obszar centralny, Stefan Melak zgłosił moją kandydaturę, Andrzej poparł a głosowanie przebiegło jednomyślnie.

- *Musimy wiedzieć co spowodowało, że awansował pan w organizacji tak szybko, iż powierzono panu organizację ogólnokrajowego zebrania* – powiedział przesłuchujący stanowczo. Pokręciłem przecząco głową i odpowiedziałem, siląc się na spokojny ton:

- *Przykro mi, ale zupełnie nie wiem, o czym pan mówi.*

- *Jak pan widzi, ja jestem grzecznym człowiekiem, ale jak pan będzie nadal taki uparty, to może tu przyjść ktoś mniej greczny i wtedy odechce się panu udawania niewiniątka. Nadal pan nic nie wie ani o KPN ani o klubie na Mołdawskiej?* – spytał podniesionym głosem.

Z poradnika opozycjonisty wiedziałem, iż bezpieczeństwa nie lubi milczków, bo są dla nich zupełnie nieprzydatni. Zastosowanie represji, o których za kilka godzin będzie mówiła Wolna Europa, mogło mieć odwrotne skutki do zamierzonych, zwłaszcza, że t.zw. „krasomówców” mieli wśród opozycji pod dostatkiem. Musiałem zatem od razu zdecydować się, iż nie będę odpowiadał na żadne pytania. Nabrałem głęboko powietrza w płuca i spokojnym tonem powiedziałem:

- *Korzystając z uprawnień przysługujących mnie, na mocy artykułu 166 kodeksu postępowania karnego, odmawiam udzielenia odpowiedzi.*

- *My i tak wszystko, wiemy, chodzi tylko o przyznanie się, złożenie obietnicy, iż będzie pan przestrzegał obowiązującego pra-*

wa i za godzinę będzie pan w domu. Powołanie się na artykuł 166, oznacza pośrednie przyznanie się do organizowania zebrania naczelnych władz KPN – zakończył z tryumfalnym uśmiechem.

Jeżeli przesłuchiwany otworzy usta i zacznie mówić, to już mu tych ust szybko nie pozwoła zamknąć. Celem SB jest nie tylko izolacja działaczy opozycyjnych ale głównie i przede wszystkim rozbicie organizacji poprzez zdobywanie agentów. Pierwszy etap to wyciągnięcie jaknajwięcej informacji o osobie przesłuchiwanego, w dalszej kolejności, „niewinnych” szczegółów dotyczących współpracowników a następnie zaproponowanie współpracy, czyli rozbicia organizacji od wewnątrz: - *Albo wszyscy się dowiedzą, że ich wysypałeś albo zostajesz naszym współpracownikiem* – pada zwykle propozycja nie do odrzucenia. Stwarza to sytuację bez wyjścia, gdyż bezpieka będzie delikwenta szantażować tak długo, dopóki będą mieli z niego pożytek, a ofiara własnej gadatliwości prędzej czy później zostanie ujawniona współtowarzyszom.

Rano byłem w kościele, przystąpiłem do spowiedzi, poprosiłem spowiednika o modlitwę za mnie o dodanie sił przed tym przesłuchaniem. Teraz w duchu modliłem się o wytrwanie i czułem, że mi się to uda bez względu na ciąg dalszy. Po kilku próbach wyciągnięcia ode mnie informacji, ubek zmienił ton i przeszedł do „luźnej” rozmowy. Stara, ograna taktyka, na którą byłem przygotowany:

- *Co pan sądzi o stanie wojennym?*
- *Nie sądzę a nie bedziesz sądzony* – odpowiedziałem wymijająco.
- *Ile lat ma pańska córka?*
- *19.*
- *Bardzo ją pan kocha?*
- *Tak, oczywiście* – odpowiedziałem.

- *A chce pan ją dzisiaj zobaczyć?*

- *Pewnie, że chcę.*

- *No to wreszcie się dogadaliśmy* – odpowiedział z tryumfem i podsunął mi długopis wraz z karteczką o treści:

„Ja, niżej podpisany(a) - miejsce na imię, nazwisko, syn... urodzony oświadczam i zobowiązuję się do zaniechania wszelkiej działalności szkodliwej dla Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w szczególności do przestrzegania obowiązującego porządku prawnego.”

- *Proszę wpisać imię, nazwisko, imię ojca, datę urodzenia, podpisać na dole, a ja panu podstempluję pieczętę, za godzinę będzie pan w domu i więcej się nie widzimy.*

Przeczytałem uważnie i bez chwili zastanowienia oraz bez słowa odsunąłem karteczkę na biurko przesłuchującego.

- *W takim razie pan się zobowiązuje do kontynuacji wrogiej działalności przeciwko Polsce Ludowej i nie chce przestrzegać porządku prawnego!. Zna pan na tyle dekret o stanie wojennym, iż wie pan, że na tej podstawie możemy pana internować na czas nieokreślony, jasne?*

- *Jestem na to przygotowany* – odpowiedziałem z uśmiechem, unosząc torbę z „wyprawką”.

- *Wkrótce odechce się panu żartów* – powiedział mój przesładowca wstając i wychodząc z pokoju.

Zdażyłem tylko zapalić papierosa, gdy chwilę później miejsce poprzednika zajął tęgi facet o niesympatycznym wyglądzie, który usiadł na krześle, bez słowa rozłożył Trybunę Ludu i pogrążył się w lekturze, najwyraźniej niedawno przerwanej, gdyż zaczął od wewnętrznej strony. Byłem pewnie, iż jest to ten zapowiadany „niegrzeczny” ubek, który albo będzie mi wymyślał i walił pięścią w stół albo zwyczajnie obje mnie po nerkach. Ku mojemu miłemu

zdziwieniu nie nastąpiło ani jedno ani drugie. Niesympatyczny facet zaczął nawet robić na mnie dobre wrażenie swoim całkowitym milczeniem a jego pobyt w pokoju przeciągnął się dobrze ponad godzinę.

- *Spiesz się wam gdzieś?* – zapytał, gdy spojrzałem na zegarek.

- *Niespecjalnie* – odpowiedziałem, - *ale coś mi mówi, że prze-gapiłem obiad* - patrząc za okno, za którym zapadła już ciemność.

- *Jeszcze się nażrecie więzienną „szamki”* (wyżywienie w żargonie więziennym) – odrzekł niezbyt uprzejmym tonem

Akurat w tym miałem racje i niewykluczone jest, iż specjalnie przetrzymano mnie tak długo, żeby mi przepadł aresztancki obiad. Pierwszy ubek wrócił z jakimś papierkiem w garści, wymienili się bez słowa, po czym usłyszałem:

- *Mam już nakaz zatrzymania pana* – rzekł unosząc w górę dokument – *ale daję panu jeszcze jedną szansę* – dodał wyjmując lojalkę z teczki i ponownie mi ją podsuwając. - *Podpisuje pan zobowiązanie i wychodzi na wolność albo schodzimy na dół do aresztu.*

- *Nie powiem, żeby mnie specjalnie podniecała druga opcja* – odpowiedziałem – *ale pierwsza wogóle nie wchodzi w rachubę.*

- *Jak pan chce. Idziemy, niech pan nie zapomni kurtki.*

Po dobrych kilku godzinach opuściłem wreszcie pokój 316 schodząc na sam dół do słynnego od carskich czasów aresztu. Przed grubymi drzwiami z obitymi grubymi stalowymi płaskownikami na krzyż, ubek nacisnął przycisk dzwonka, patrząc jednocześnie na trzymany w ręku dokument.

- *Jeszcze mi się pan nie zdażył przedstawić, a chciałbym wiedzieć, kto mnie „zapuszkował”* – powiedziałem.

- *Żegota* – odpowiedział, wyjmując z kieszeni milicyjną le-

gitymację, na której rzeczywiście zauważyłem nazwisko Andrzej Żegota, stopień podporucznik.

Okazało się później, iż nie było to jego prawdziwe nazwisko, tylko pseudonim operacyjny. Faktycznie nazywał się Andrzej Anklewicz, był odpowiedzialny za rozpracowywanie KPN a ja byłem szczęśliwy, że mu nie ułatwiłem zadania. Później podpisał „zgodę” na mój wyjazd do USA na stałe, przy czym zgoda ta nie pozostawiała mi żadnego manewru wyboru. W uzasadnieniu wniosku napisał, iż „...w/w (czyli ja) nie zmieni swojej postawy społeczno-politycznej, nie zaprzestanie czynnie walki z obecną władzą ludową a podejmowane przez niego działania stanowić będą zawsze zagrożenie dla bezpieczeństwa i porządku publicznego”. (Z dokumentów IPN WK-4664/08)

W Białogłęce widziałem go tylko kilka razy, w drodze do „Watykanu” – jak nazywaliśmy budynek administracyjny aresztu śledczego i za każdą jego wizytą byłem wzywany na rozmowę, również za każdym razem odmawiając. Gdzieś od połowy lutego przestał przychodzić i skończyły się „zaproszenia”. W połowie pisania moich wspomnień dowiedziałem się, iż Anklewicz został pozytywnie zeweryfikowany przez komisję Macierewicza i zrobił zawrotną karierę w wolnej Polsce, którą pisał w cudzysłowie, cytując moje wypowiedzi sprzed i po aresztowaniu. Dosłużył się stopnia generała, piastował m.in. stanowisko dyrektora Głównego Urzędu Celnego, udziałowca Orlenu i kilku innych spółek. Jednocześnie różne źródła przypisują Anklewiczowi funkcję rosyjskiego agenta o pseudonimie Olin.

Drzwi otworzył profos (nazwa oficerów w aresztach komend milicji, w odróżnieniu od kłaviszy – funkcjonariuszy służb więziennych) w stopniu sierżanta, niski z czarnym wąsem w okularach, który rozdzielił dwie kopie dokumentu otrzymanego od Żegoty, jedną podpisał i zwrócił a drugą zatrzymał. udaliśmy się w głąb

wąskiego korytarza. Po szczegółowej rewizji, podczas której udało mi się ukryć i przemyścić króciutki ołówek oraz znaczek z orzełkiem w koronie, zdaniu do depozytu pieniędzy, zegarka i wszystkich przedmiotów z opróżnionych kieszeni oprócz papierosów, chusteczek do nosa i zawartości mojej torby, a następnie pobraniu za pokwitowaniem koca, mini-poduszki, aluminiowego talerza, kubka i łyżki, umieszczono mnie pod narożną celą (w żargonie więziennym nie mówi się „w celi” tylko „pod celą”) nr 11. Narożne usytuowanie celi powodowało, iż była ona podwójnie „lipowana”. Lipowanie oznacza obserwację wnętrza celi przez lipo, czyli małe okienko z odsuwaną kłapką, umieszczoną na zewnątrz drzwi, zwane również judaszem. Miałem uzasadnione podejrzenie, iż celi znajduje się na podsłuchu a wewnątrz znajduje się „ucho”, czyli donosiciel. Zacytuję kolejny fragment broszurki „obywatel a służba bezpieczeństwa”, który powtarzałem sobie w myślach:

„...SB zawsze liczy na to, że po kilku miesiącach przesłuchiwany wreszcie się złamie, dlatego często zmienia rodzaj przesłuchania (od awantur i wrzasków do przyjacielskiej rozmowy). Czasem przesłuchuje cię na zmianę dwóch śledczych; jeden ordynarnie ci wymyśla, grozi biciem, drugi jest spokojnym, kulturalnym człowiekiem próbującym „dogadać się” z tobą, a przede wszystkim ci „pomóc”. Możesz także być wezwany na przesłuchanie, na którym przez wiele godzin nikt się nie odezwie. Przesłuchanie może trwać dalej w celi. Nie zdarza się, się, aby w sprawach politycznych nie siedział w celi kapuś (na ogół ktoś, kto przyjechał z więzienia na powtórne śledztwo lub zeznawać jako świadek w starej sprawie). Jest to zwykle więzień karny, człowiek, który wybrał „komfort” aresztu śledczego zamiast przymusu pracy i trudnych warunków bytowych w więzieniu karnym. Często obiecują mu za współpracę przedterminowe zwolnienie, większą ilość paczek, listów, widzeń

z rodziną itp. Jest stale w kontakcie z oficerem śledczym, zajmującym się twoją sprawą - wychodzi więc na „przesłuchania”. Ponieważ zazwyczaj mniej się w celi kontrolujesz - wyciąga cię na „zwierzenia”. Może pomóc ci wysłać gryps do kogoś z twojej sprawy, obserwuje twoje reakcje na poszczególne fazy śledztwa itd. Pamiętać oczywiście należy, że w wielu celach jest zainstalowany podsłuch. Także pomieszczenia w których spotykasz się z obrońcą, są zwykle „radiofonizowane” -pozostaje więc stary dobry sposób komunikowania się poprzez pisanie na kartce. Trzeba się liczyć z tym, że możemy otrzymać grypsy i będą to grypsy fałszywe...”

Wchodząc pod celę byłem na te ostrzeżenia uczulony ale postanowiłem zachowywać się normalnie, bez okazywania podejrzliwości wobec współwięźniów.

- *Cześć, jestem Bolko* – powiedziałem po wejściu do sporej celi z „estradą” czyli miejscem służącym do leżenia, oddzielnym podwyższeniem od poziomu podłogi o ok. 30 cm. Estrada pokryta była płytą pilśniową, gładką strona do góry, podczas gdy podłoga składała się z bardzo sfatygowanych, aczkolwiek utrzymanych w czystości, desek. W celi znajdował się również „konfesjonał” czyli mebel przypominający trochę ławkę w szkołach podstawowych, stanowiącą połączenie blatu z siedzeniem dla kilku osób. W samym rogu celi stał „klop” czyli miska klozetowa z automatyczną przyciskowa spłuczką, obok której stało wiadro z wodą oraz taboret z miednicą. Na innym taborecie aresztowani składali swoje nakrycia i sztućce.

- *Włodek* – odpowiedział kościsty facet ok. pięćdziesiątki, robiący wrażenie starszego celi.

- *Karol, Wiesiek, Marek* - przedstawiali się kolejno: wysoki, długowłose trzydziestolatek w okularach w grubej oprawie, który mi kogoś przypominał, małolat, czyli chłopak w wieku przedpobo-

rowym, oraz czarnowłosa, brodaty, ubrany w oryginalne dżinsy i zagraniczną koszulę facet o wyglądzie cinkciarza.

- *Co cię sprowadziło w nasze skromne progi?* – zapytał Włodek, który większość swego życia spędził w więzieniu, głównie za kradzieże kieszonkowe.

- *Ja jestem tu za niewinność, jak my wszyscy* – powiedziałem wzdając wzrokiem po pozostałych mieszkańcach celi 11 – *nie chciałem odpowiadać na pytania ubeka ani podpisać mu czegoś i kazał mnie tu włożyć.*

- *Acha, Solidarność* – zawołał małolat – *to już drugi z nami. Karol jest szefem w Hucie „Warszawa”*.

- *To ty jesteś Karol Szadurski^[93]* – ucieszyłem się – *miło cię poznać osobiście* – powiedziałem zwracając się do długowłosego

93 Karol Roman Szadurski, ur. 31 VIII 1945 w Koniopolu. Absolwent Politechniki Częstochowskiej, Wydż. Metalurgiczny (1971). 1971–1989 pracownik Huty Warszawa. W VIII 1980 współorganizator, członek Zakładowego KS. Od IX 1980 w „S”; od IX 1980 przewodniczący KZ Pracowników Huty Warszawa; członek ZR Mazowsze, przewodniczący Komisji ds. Samorządu Pracowniczego; delegat na I KZD. W XII 1981 przewodniczący KS w Hucie Warszawa; 15 XII 1981 aresztowany, przetrzymywany w ZK w Warszawie-Białe, w I 1982 uniewinniony przez Sąd Wojewódzki w Warszawie. 1982–1989 współorganizator Mszy za Ojczyznę, działalności charytatywnej (odpowiedzialny m.in. za odbiór transportów z zagraniczną pomocą, magazynowanie, dystrybucję darów dla szpitali i osób prywatnych) w kościele św. Stanisława Kostki w Warszawie. 1983–1989 inicjator szkoleń dla związkowców, niezależnej działalności oświatowo-kulturalnej tamże. 1982–1989 kilkakrotnie zatrzymywany, przesłuchiwany, poddawany rewizjom. II–VI 1989 ponownie przewodniczący KZ „S” PHW.

1989–1992 pracownik Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego Polservice, 1992–1996 dyr. Unii Własności Pracowniczej – Izba Gospodarcza, 1996–1997 pracownik Warszawskiej Fabryki Pomp i Armatury Wafapomp SA, 1998–2002 burmistrz Gminy Warszawa-Bielany, 2002–2006 radny, przewodniczący Komisji ds. Inwestycji tamże, 2002–2007 pracownik Urzędu Regulacji Telekomunikacji i Poczty, od 2007 prezes I Żoliborskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Od 16 I 1981 rozpracowywany przez Wydż. III-A KS MO w ramach SOR krypt. Drut; od 29 I 1982 przez Wydż. V KS MO w ramach KE krypt. Szef; od 6 VIII 1984 przez Wydż. V/III–2/V SUSW w ramach SOR krypt. Seweryn; od 26 V 1986 przez Wydż. V SUSW w ramach SOR krypt. Matryca; 5 VIII 1987 – 28 VII 1989 w ramach KE krypt. Karol.

okularnika i wymieniając z nim uścisk dłoni.

Marek rzeczywiście był cinkciarzem, czyli samodzielnym kantorem wymiany walut, który zaangażował się w jakąś paserską transkcję i groziło mu kilka lat więzienia. Wiesiek nie bardzo chciał mówić o sobie ale lubił słuchać bardziej rozmownych Włodka i Marka.

Nad drzwiami celi, w maleńkiej wnęce umieszczona była żarówka o wystarczającej mocy by w celi było widno na tyle, by móc czytać podrzucona nam Trybunę. Nie bardzo miałem ochotę czytać tego szmatławca, donoszącego o postępującej „normalizacji”, zrozumieniu zdrowej części klasy robotniczej i mas związkowych, o mordzie w kopalni „Wujek”, nazwanym tragedią, za którą pełną odpowiedzialność miała ponosić. t.zw. „ekstrema” Solidarności, wiedząca uczciwą klasę na lep wrogiej propagandy, i tym podobne brednie, od których zbierało się na wymioty. Korzystając z prze-myconego ołóweczka, upamiętniłem swój pobyt w celi 11 na Mostowie dwuwierszem:

Przeszukali mnie dokładnie, zajrzeli do waliz,

Nie zdołali zajrzec w dupę, tam miałem socjalizm”

Na kolację podano supę fasolową z pajdą chleba i był to pierwszy od 13-go posiłek, który zjadłem w całości, bez ściśniętego gardła. Później odebraliśmy od kalifaktorów^[94] materace, które poukładaliśmy na „estradzie”, ścieląc sobie pościła, po czym należało się rozebrać do bielizny, ułożyć ubrania w kostkę na taborecie, który wystawiliśmy na korytarz, na sygnał „wystawka”.

94 W języku śląskim kalfaktor to górnik pracujący na powierzchni, wykonujący prace pomocnicze potrzebne do prawidłowego funkcjonowania kopalni.

Słowo prawdopodobnie trafiło do języka polskiego z łaciny (calefactor – palacz) poprzez język niemiecki. W języku niemieckim Kalfaktor oznacza pracownika pomocniczego, stróża lub pomocnika nadzorcy więziennego (ale także lizusa i pochlebcę). W polskiej gwarze więziennej kalifaktor (skręcane do kajfus) oznacza więźnia funkcyjnego (np. roznoszącego posiłki).

Inne nazwy gwarowe kalfaktora/kalifaktora to: kal, heniek.

Profos zajrzał do celi, wysłuchał apelu Włodka:
Cela nr. 11, stan pięciu, obecnych pięciu,
przypalił nam papierosa i za kilka minut w celi zgasło światło. Rozpoczęła się moja pierwsza noc za kratami, których miało nastąpić ponad 300. Warunki nie wydawały mi się tak straszne, jak można było oczekiwać, i uwagą tą podzieliłem się ze współtowarzyszami.

- *Niedługo będziesz wspominał pobyt na Mostowie jak w Hiltonie* – pocieszył mnie Marek, a Włodek dodał:

- *Czy znasz ten kawał o czeskiej wycieczce do Moskwy?*

- *Nie znam, nawijaj* – odpowiedziałem.

- *Wycieczka Czechów zwiedzała Plac Czerwony w Moskwie, gdy jeden z uczestników nagle rozpoznał znajomego w mizernie wyglądającym typie, zmiatającym śmiecie do rynsztoka* – rozpoczął Włodek.

- *Vlado nie poznajesz mnie? Jestem Jindra, siedzieliśmy razem w Buchenwaldzie.*

- *Buchenwald* – odpowiedział z rozrzewnieniem w głosie zagadnięty – *to se ne vrati.*

Przekazałem ten kawał do Białoleki a później jeden z prominentów często cytował końcowy zwrot w swych wystąpieniach i artykułach, traktując go jako swój.

Od 13 grudnia spałem niespokojnie, rozmyślając o naszym dalszym losie, z dopasowaniem do warunków, na które nie byłem przygotowany. Gdy sytuacja wreszcie zaczęła się dla mnie klarować, nie miałem żadnych problemów z zaśnięciem, a później spałem aż do momentu, gdy włączona została żarówka nad drzwiami a następnie otworzyły się drzwi celi:

- *Wstawka* – krzyknął profos, po czym należało odebrać z korytarza taboret z naszymi ciuchami.

Po śniadaniu, składającym się z chleba, margaryny, zwanej maryską, żółtego sera i zbożowej kawy, zwanej jodyną, wyprowadzono nas na spaceriak, czyli ogrodzoną ze wszystkich stron siatką, część podwórza. Było potwornie zimno, temperatura spadła dobrze poniżej -25°C , prószył śnieg, którego płatki składały się z ostrych, kłujących przeraźliwym chłodem igiełek. Świeże powietrze było nam bardzo potrzebne po przebywaniu kilkanaście godzin w dusznej, zadymionej celi, ale tym razem wszyscy czekali na zakończenie obowiązkowego spaceriaka, którego czas został skrócony przez zziębniętego do szpiku kości, profosa. Wkrótce Karol został wezwany na przesłuchanie a po powrocie wrócił w ponurym nastroju; świadkowie oskarżenia mieli zeznać, iż podczas organizacji strajku w Hucie Warszawa 13 grudnia, dokonał czynnej napaści na funkcjonariusza MO, dowodzącego pacyfikacją. Za taki czyn według dekretu o stanie wojennym groziła kara do 25 lat więzienia. Pocieszał się go, iż wysokie wyroki zostały zapowiedziane dla zastraszenia społeczeństwa lecz z uwagi na konieczność liczenia się z międzynarodową opinią, nie będą kreowane, co się zresztą później potwierdziło. Gdy przez małe piwniczne okienko przestało wpadać przez kratę światło dzienne, zostałem wezwany na przesłuchanie a przy drzwiach wiodących do aresztu odebrał mnie, znów za pokwitowaniem, esbek Żegota.

- *I co, zmienił pan zdanie?* – zapytał po przybyciu do tego samego pokoju, co wczoraj.

- *Dlaczego miałem zmienić?* – odpowiedziałem pytaniem na pytanie. – *po raz pierwszy od pięciu dni zjadłem pełny posiłek, wyspałem się bez stresów.*

- *A ja mam coś dla pana* – powiedział Żegota podsuwając mi kartkę papieru.

Był to list od Iwonki, która napisała, że bardzo mnie wszyscy

kochają, niepokoi się o mnie i wierzy w moje wytrwanie. Zakreśliły mi się w oczach łzy, co natychmiast podchwycił ubek, ale nie wycierałem oczu tylko spokojnie odczekałem aż obeschły.

- *Może pan na odwrocie napisać coś do córki, tylko coś takiego, żebym nie musiał ocenzurować czyli nie doręczyć.*

Nie pamiętam już co wówczas napisałem, ale były to słowa otuchy, uspokojenia, żeby się o mnie nie martwili, a zakończyłem zdaniem: *„po najczarniejszej nocy nastaje piękny dzień.”* Esbek przeczytał i oddał mi spowrotem ze słowami:

- *Proszę napisać, że pan nie był bity, bo pańska córka jest przekonana, że tutaj pana torturujemy czy coś takiego.*

- *Która jest godzina?* – zapytałem.

- *Dwudziesta czterdzieści* - odpowiedział oficer.

Dopisałem na kartce: *„P.S. do 19 grudnia 1981, godz. 20:40 nie byłem bity”.*

- *Dlaczego pan tak napisał?* – zaperzył się ubek, przeczytawszy dopisek.

- *Bo nie daliście żadnego powodu, by wam ufać. Jest pan, nie powiem, uprzejmy, ale nigdy nie wiadomo, co i kiedy panu może odbić.*

- *Chyba się pan zdążył zorientować, że jestem w stosunku do pana nie tylko grzeczny ale jeszcze cierpliwy* – powiedział.

- *Zachowuje się pan tak we własnym interesie* – odpowiedziałem – *ponieważ będziemy traktować was tak samo jak wy nas teraz, gdy sytuacja się odwróci.*

Popatrzył na mnie uważnie i bez słowa wstał, po czym wyszedł z pokoju trzymając w reku list do Iwonki, a jego miejsce wkrótce zajął inny ubek ale również z Trybuną Ludu w garści i równie małomówny jak wczorajszy.

Z późniejszej wymiany doświadczeń z innymi aresztowanymi

z innych ośrodków wynikało, iż miałem dużo szczęścia mieszkając w Warszawie. W innych komendach MO, a szczególnie w Katowicach, podczas przesłuchań i nie tylko, wielokrotnie dochodziło do pobicia, w kilku przypadkach połączonego z trwałą utratą zdrowia, zatrzymanych działaczy opozycji i Solidarności (po 13 grudnia 1981 tych dwóch terminów już nie można było rozdzielić). Głośny był przypadek Jana Domagalskiego, który na miesiąc przed stanem wojennym wytoczył proces cywilny o zniesławienie ówczesnemu członkowi Politbiura Albinowi Siwakowi. Siwak nie stał się na procesie, natomiast po wprowadzeniu stanu wojennego postanowił odegrać się na powodzie i nałazał kołesiom z KWMO w Katowicach -, znanej w opozycyjnym żargonie Pentagonem - pokazać mu na czym polega „socjalistyczna sprawiedliwość”, w której rezultacie Domagalskiemu odbito nerki. Warszawa stanowiła siedzibę placówek dyplomatycznych oraz akredytacji dziennikarzy zagranicznych, których poruszanie poza granice miasta było po wprowadzeniu stanu wojennego znacznie ograniczone. Wronie zależało zatem bardzo na tym, by informacje o złym traktowaniu więźniów politycznych nie przedostały się na Zachód, i stąd wzięły się zalecenia wydane warszawskiej bezpiece takiego a nie innego traktowania nas.

Po 26 latach, w dokumentach, zgromadzonych przez IPN na mój temat, znalazłem następujące uzasadnienie internowania, napisane przez ppor. Andrzeja Żegotę (nieudolnie zmienion podpis, zaczynając od litery A i przerabiając na Ż), w tym czasie, gdy ja musiałem znosić towarzystwo mrukliwego ubeka:

W związku z działalnością szczególnie groźną dla bezpieczeństwa i porządku publicznego, wnoszę o internowanie (nazwisko) Skowron (imiona) Bolko Jerzy (dane personalne)

UZASADNIENIE

Czynny działacz NSZZ „Solidarność”. Członek Komisji Zakładowej odpowiedzialny za propagandę i łączność z regionem „Mazowsze”. Uczestniczył w pracach Społecznego Komitetu budowy Pomnika Ofiar Zbrodni Katyńskiej. Udośćpniał lokal klubu PTTK na ul. Mołdawskiej 7, którego był kierownikiem, na spotkania Kierownictwa Obszaru Centralnego KPN i sam brał w nich udział.

W razie pozostawienia na wolności może podjąć działania zmierzające do organizowania konspiracyjnej działalności i struktury KPN na terenie Warszawy. Pobyt wymienionego na wolności może zagrażać podstawom ustrojowym PRL.

Pieczętka: Naczelnik Wydziału III-2 Komendy Stołecznej w Warszawie, podpis nieczytelny.

Opinia Wydziału śledczego: wniosek zasadny, 10.11.81. Pieczętka; Z-ca Naczelnika Wydziału śledczego K-dy Stołecznej MO w Warszawie, podpis nieczytelny.

Żegota wrócił po godzinie, może więcej, może mniej - zacząłem pomału oswajać się z sytuacją, w której nie ja decyduję o rozkładzie zajęć a w konsekwencji o upływie czasu – niosąc kilka dokumentów a pokazując mi jeden z nich z dala powiedział:

- Mam już akt internowania dla pana ale wciąż daję panu szansę: jeżeli podpisze pan zobowiązanie, że nie będzie pan prowadził działalności sprzecznej z obowiązującym prawem to za dwa, trzy dni wyjdzie pan na wolność i wróci do córki i żony. W przeciwnym przypadku pozostanie pan internowany na kilka miesięcy, pół roku, może dłużej – dodał. Okazało się później, iż to „może dłużej” oznaczało ponad 11 miesięcy.

Pomyślałem przez chwilę, przypominając sobie rady zawarte w broszurce „Obywatel a służba bezpieczeństwa”: - po „zwolnieniu”, które oczywiście będzie fikcyjne, przywieziecie mnie spowrotem na Mostowo, gdzie zaproponujecie mi współpracę z alternatywą powrotu do Białotęki na czas nieokreślony. „Nie ze mną te numery, Bruner” zacytowałem w duchu powszechnie wykpiwany fragment idiotycznego serialu „Stawka większa niż życie”. Pokręciłem przecząco głową odpowiadając:

- *Niech się dzieje wola Boska, zapalimy papieroska, czy można prosić ognia?* – zapytałem.

- *To znaczy, podpisze pan?* – zabytał esbek przypalając mi papierosa.

- *Tak, ale kopię aktu internowania* – odpowiedziałem.

- *Jak pan chce* – usłyszałem – *ale ja pańskiej córce obiecałem, że pan będzie rozsądny i wróci wkrótce do domu. Szkoda, że ją pan rozczaruje* - zmartwił się nieszczerze. - *Proszę przeczytać i podpisać w miejscu: „kopię otrzymałem”, postawić datę, a to jest dla pana* – dodał podając mi dokument wydrukowany na błyszczącym papierze formatu A4 z wpisanymi na maszynie uzupełnieniami:

Decyzja o Internowaniu nr... 71/S/81

Uznając iż pozostawianie na wolności obywatela.... SKOWRON Bolko Jerzy (dane personalne), zagrażałoby bezpieczeństwu Państwa i porządkowi publicznemu przez to, że prowadzi działalność sprzeczną z obowiązującymi przepisami prawa,

Na podstawie art. 42 dekretu z dnia 12.12.81 r. O ochronie bezpieczeństwa Państwa i porządku publicznego w czasie obowiązywania stanu wojennego postanawia się

Internować ob. SKOWRON Bolko Jerzy i umieścić go w ośrodku odosobnienia w Areszcie śledczym W-wa Białotęka

Wykonanie decyzji zlecić grupie śledczej MO

Podpisał komentant wojewódzki MO, podpis nieczytelny, pieczęć okrągła

Warszawa dnia 19.12. 1981 r.”

Wróciłem jeszcze do aresztu, gdzie właśnie przyznano nam t.zw. wypiskę, czyli dokonanie zakupów w kantynie po odpisanu wartości zakupionych towarów z sumy depozytu złożonego w kasie aresztu/więzienia. Należało na formularzu wypisać liczbę artykułów ze spisu i stąd nazwa wypiska. Po oddaniu wypiski profosowi, kalifaktorzy dostarczali zakupione produkty pod cele, nierzadko pobierając „prowiję”. (W więzieniach podległych South Carolina Department of Corrections, osadzeni idą sami grupami do kantyny podczas wyznaczonego dla każdego pawilonu t.zw.Canteen Day). Nabyłem tą drogą kilka paczek albańskich papierosów – wówczas niemal niedostępnych na „wolnym” rynku – będąc jedynym, któremu albo przysługiwała wypiska, albo posiadającym pieniądze w depozycie. Powiedziałem, że zostałem internowany i przewiozą mnie wkrótce do Białołęki, na co odparto niedowierzaniem.

- *Tak cię tylko postraszyli ale na pewno wychodzisz na wolność* – powiedział Włodek – *albo chcesz wcisnąć ciemnotę, żeby nam nie zostawic szlugów* (papierosów w ówczesnym żargonie nie tylko więziennym).

W końcu wytargowali ode mnie jedną paczkę a wkrótce po tym zostałem wywołany przez profosa, że mam się zebrać razem z otrzymanym wyposażeniem, czyli kocem, poduszką i aluminiowymi naczyniami.

- *Trzymajcie się chłopaki, powodzenia na waszych sprawach* – powiedziałem na odchodnym.

Po zdaniu wyposażenia zaprowadzono mnie do depozytu, gdzie tylko pokwitowałem odbiór pieniędzy, dowodu osobistego,

zegarka, kluczy od mieszkania, zapalniczki i innych drobiazgów, które odebrał za mnie stojący obok esbek, po czym włożył je do parcianej torby, na której flamastrem wypisane było moje nazwisko. Następnie założono mi kajdanki na przeguby, poprowadzono w głąb korytarza zakończonego otwartymi drzwiami, za którymi były również otwarte tylne drzwi aresztanckiej Nysy. Nie miałem najmniejszych szans ucieczki, gdyż Nysa – popularnie zwana nyską, zaparkowana była na styk w drzwiach areštu. Byłem jedynym pasażerem suczki – jak w żargonie więziennym nazywano aresztanckie nyski w odróżnieniu od suk, czyli bud na bazie ciężarówki Star, przeznaczonych do przewożenia kilkunastu więźniów na raz. Gdy opuściliśmy podwórze Pałacu Mostowskich, po zamknięciu drzwi od zewnątrz na kłódkę, zauważyłem eskortę dwóch wojskowych gazików^[95], jeden z przodu, drugi z tyłu a w każdym z nich znajdowało się po czterech żołnieży z kałasznikowami – czyli popularnymi na całym świecie pistoletami automatycznymi AK-47. Mimo grozy sytuacji nie mogłem się powstrzymać od poczucia dumy, iż wiozą mnie w takiej asyście i krótkiego śmiechu, co natychmiast zauważył obserwujący mnie esbek, siedzący obok kierowcy, oddzielony ode mnie kratą bez szyby:

- *Co wam tak do śmiechu?* – zapytał.

- *Skoro na jednego, skromnego aresztanta poświęćcie takie siły to ich wam nie starczy do spacyfikowania całego narodu* – zauważyłem logicznie i, jak wykazała dalsza historia – miałem rację.

Ubek nie skomentował i skoncentrował się na obserwacji drogi; zaśniewanej z licznymi płatami gołoledzi. Jechaliśmy wolno dla uniknięcia poślizgu, nieuniknionego w tych warunkach przy gwałtownych przyspieszeniach lub hamowaniu. Mimo, iż do wię-

95 Gazik – popularna nazwa rosyjskich samochodów terenowych GAZ, produkowanych w fabryce Gorkowskij Awto Zawod.

zienia wcale mi nie było spieszno, chciałem aby ta podróż dobiegła końca z uwagi na potworne zimno panujące wewnątrz suczki, której buda wykonana była z cienkiej blachy, pozbawionej całkowicie jakiegokolwiek izolacji. Mimo, iż byłem ciepło ubrany m.in. w wełnianą czapkę i rękawiczki, przebywanie w bezruchu z zewnętrzną temperaturą – 25°C mroziło do szpiku kości. Ogrzewanie funkcjonowało wyłącznie w kabinie kierowcy bez nadmuchu do tyłu.

Po ponad pół godzinnej jeździe dotarliśmy do bram aresztu śledczego Warszawa- Białołęka a po przekroczeniu kilku śluz znaleźliśmy się przed wejściem do budynku, oznaczonego napisem: OZ-1, co oznaczało, jak się później dowiedziałem, Oddział Zewnętrzny 1. Był to barak w którym przed stanem wojennym byli osadzeni więźniowie zatrudnieni na zewnątrz, głównie na budowach, robotach drogowych, oraz częściowo jako robotnicy placowi w zakładach przemysłowych. Tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego reżim dokonał cichej, obejmującej spore ilości więźniów, amnestii, - o której wprawdzie słyszeliśmy ale większość traktowała jako plotkę - po to by zrobić miejsce dla internowanych.

Podczas spisywania danych personalnych przez oficera straży więziennej, eskortujący mnie ubek zwrócił się w moją stronę rozpinając mi kajdanki a przy okazji zauważył orzełka, którego wpiąłem sobie w klapę kurtki.

- *Co to jest?* – zapytał.

- *Orzełek* – odpowiedziałem spokojnie.

- *W koronie się panu śni!* – powiedział, po czym dodał: - *orzeł w koronie, ryngraf na piersiach...* – i dalej nie wiedział jak zakończyć, więc mu pomogłem:

- *...i zdradziecki strzał zza węgła w plecy klasy robotniczej. Machejek się panu śni.*

Oficer za biurkiem z trudem powstrzymał uśmiech a ubek

zmieszany mruczał coś pod nosem na temat takich, co mieli poczucie humoru a teraz im wcale nie jest do śmiechu i dobrze, że się tą bandę wreszcie wzięło za mordę. Wkrótce do dyżurki wprowadzono wysokiego młodego mężczyznę w watowanej kurtce, z którym wymieniliśmy się spojrzeniami bez słowa.

- *To dla was towarzyszu kapitanie, na drogę powrotną* – przedstawił go oficer.

Po spisaniu inwentarza zdanego do depozytu, pozwolono mi zatrzymać zegarek i akt internowania a następnie otrzymałem „samarę” czyli koc, poduszkę, aluminiowe naczynia i niezbędnik a wszystko kazano mi zawinąć w prześcieradło, związać w węzeł i udać się w głąb długiego korytarza, w którym po obu stronach mieściły się rzędy drzwi z otworami zasłoniętymi klapkami, w towarzystwie klawisza w stopniu sierżanta, „uzbrojonego” w pęk ogromnych kluczy.

- *Kogo przywieźli?* - Rozległo się zza któryś drzwi.

- *Bolko Skowron, KPN* – odpowiedziałem głośno.

- *Cześć Bolko, tu Stefan, tu Andrzej, tu Benek^[96]* – usłyszałem kilka głosów.

- *Trafiłem w dobre towarzystwo* – odpowiedziałem z uśmiechem.

- *Proszę się zatrzymać* – powiedział klawisz gdy doszliśmy do celi oznaczonej numerem 19.

96 Stefan Melak, o którym pisałem poprzednio, Andrzej Stawicki – pospolity złodziej, który trafił do KPN zwabiony możliwością okradania puszek do kwestowania na Pomnik Katyński. Po wyemigrowaniu do USA trafił do więzienia zo pobicie konkubiny a następnie deportowany. Bernard Koleśnik – sympatyczny chłopak, który niestety, jak się później wydało, współpracował z SB. KPN była bardzo głęboko rozpracowana przez SB i to od samego początku powstania organizacji.

SZLAKIEM WRONICH GNIAZD

CZYLI: A JA SIĘ NIE BOJĘ BIAŁEJ RĘKI.

Klawisz otworzył drzwi ogromnym kluczem i po chwili znalazłem się „pod celą” nr 19, która rozmiarami przypominała celę 11 na Mostowie tyle tylko, że sufit znajdował się wyżej.

Po lewej stronie od drzwi, umieszczonych we wnęcie tak, by patrzący przez lipo strażnik miał wgląd na całą celę – znajdował się klop czyli miska klozetowa, obok której stał taboret z miednicą. Obok taboretu stały dwa kubły z wodą.

Po prawej stronie znajdowała się dwudrzwiowa, dość wysoka, drewniana szafa. Pośrodku stał duży stół, na około którego stały metalowe taborety z drewnianymi siedzeniami. Pod ścianami stały trzy, potrójne prycze i jedna pojedyncza. Na wprost drzwi mieściło się okno, na zewnątrz którego widoczne były kraty, na parapecie leżał zwinięty koc przeciwko nadmiernej utracie ciepła a pod oknem ulokowany był kilkużeberkowy kaloryfer. Pod samym sufitem dawała światło chyba 200-watowa żarówka, do której wyłącznik, podobnie jak na Mostowie, znajdował się na korytarzu. Drewniana podłoga pokryta była na sporym obszarze linoleum, które miejscami było albo zużyte albo wycięte.

- Cześć, - powiedziałem – *nazywam się Bolko Skowron, Dyrekcja Budownictwa Ogólnego i KPN.*

- *Andrzej Skowron, Państwowa Inspekcja Radiowa i Krajowa Komisja Koordynacyjna Łączności* – roześmiał się wysoki brunet w niebieskim swetrze. – *będzie nas dwóch Skowronów pod jedną celą.*

- *Moja żona też jest w KKK łączności i w jednym z biuletynów, które przynosiła widziałem twoje nazwisko* – powiedziałem.

- *To Jola Skowron jest twoją żoną?!* – zdziwił się Andrzej, a gdy potwierdziłem dodał:

- *A ja się o mało co w niej nie zakochałem.*

- *Spóźniłeś się prawie o 20 lat* - odpowiedziałem z uśmiechem.

- *Jurek Bielec, Zakłady Mechaniczne Ursus* – przedstawił się średniego wzrostu brunet z zabójczym wąsikiem. – *przed chwilą z naszej celi zabrali naszego kolegę Józka Tomczaka. Nie widziałeś go przypadkiem?*

Tak, widziałem – potwierdziłem. – *W momencie, gdy spisywali moje formalności wprowadzili wysokiego, tęgiego chłopaka w wieku ok. 25 lat, ubranego w waciak.*

To on – powiedział Jurek – *nie wiesz, gdzie go zabrali?*

Mogę się tylko domyślać – odpowiedziałem, ponieważ ubek, który mnie przywiózł, robił wrażenie jakby na kogoś czekał. – *Chyba wzięli go na Mostowo* – wyraziłem przypuszczenie.

- *To Józek chyba będzie miał sprawę* – powiedział Jurek do kolegów z Ursusa.

- *Wiesiek Molasy, Ursus* – powiedział ascetycznie wyglądający 30-latek z wąsem w stylu Longinusa Podbięty.

- *Jurek Okipny, też Ursus. Zwinęli nas wszystkich ze strajku* – przedstawił się młody, brodaty chłopak, zajmujący dolną pryczę, jak się później dowiedziałem, po Józku Tomczaku.

- *Wojtek Kamiński, MZK* – przedstawił się niski, długowłosej facet z wąsem, którego rozpoznałem z wywiadu, jakiego udzielił w telewizji podczas strajku ostrzegawczego w marcu, będąc przewodniczącym Komisji zakładowej MZK. Mówił wówczas rozsądnie, z przekonaniem i nie dał się sprowokować prowadzącej wywiad

dziennikarce.

- *Witek Kazańczuk, ZWAR* – odezwał się spotkany wczoraj w poczekalni na Mostowie brodac, którego teraz rozpoznałem jako przewodniczącego Komisji Zakładowej w ZWAR w Międzyzlesiu, członka Zarządu Regionu Mazowsze oraz delegata na I Zjazd NSZZ Solidarność.

- *Widzieliśmy sie wczoraj na Mostowie* – przypomniałem, co małowmowny Witek potwierdził kiwnięciem głową

- *Leszek Truchlewski ksywa Trufel, Niezależny Związek Harcerstwa* – wyciągnął rękę niski blondyn w okularach o grubej oprawie, ze starannie pielęgnowana brodą.

- *Jarek Mordak, Huta Warszawa* – przedstawił się wyglądający na najmłodszego w towarzystwie, wysoki, szczupły blondyn o kręconych włosach i ciemnych oczach.

- *Waldek Jakubiak, Uniwersytet Warszawski* – uniósł sie z pryczy ostatni z moich współtowarzyszy, wyglądający na niezbyt zdrowego.

- *Wpisz się na tą listę* – wskazał mi Trufel leżącą na stole kartke papieru z wypisanymi nazwiskami więźniów w poszczególnych celach.

Dopisałem swoje nazwisko do celi Nr. 19 – Bolko Skowron DBO. Celowo nie wpisałem KPN, ponieważ nie przyznałem się do związków z tą organizacją podczas śledztwa, a ponadto na akcie internowania miałem wpisane Dyrekcja Budownictwa Ogólnego. Lista zawierała nazwiska niekiedy dobrze mi znane z działalności w opozycji, w Solidarności a także ludzi kultury i sztuki, słowem kwiat patriotycznej i intelektualnej elity Warszawy, stanowiącej zagrożenie dla skostniałego i niefunkcjonalnego aparatu komunistycznej władzy z rosyjskiego nadania.

Obok członków Zarządu Regionu Mazowsze, dzielących ze

mną celę Witka Kazańczuka i Wojtka Kamińskiego, znajdowały się na liście m.in. takie nazwiska jak Anatol Lawina (Przeniesiony do Pawilonu IV po tym, gdy schował się w łaźni wywołując alarm), Jacek Knap z ZM im. Nowotki, Jacek Szymanderski z Instytutu Historii PAN, Henryk Bąk z Elektromontażu, Maciej Madeyski, były skarbnik ZR Mazowsze z FSO, Mirosław Odorowski – obecny skarbnik, aktor i działacz Gaudium Vitae Maciej Rayzacher, literaci i poeci Władysław Bartoszewski, Wiktor Woroszyński, Andrzej Szczypiorski, Janusz Szpotański, Janusz Anderman, satyryk i piosenkarz Maciej Zembaty, działacze Niezależnego Zrzeszenia Studentów Jarosław Guzy, Józef Taran, Maciej Kuroń, działacze Klubu Inteligencji Katolickiej i redaktorzy Więzi Marek Zieliński, Kazimierz Wóycicki, Józef Ruszar, redaktorzy Tygodnika Mazowsze Jan Dworak, Marek Król i Antoni Zambrowski, redaktor Niezależności i Agencji Solidarności Marek Kossakowski, V-ce przewodniczący Solidarności Rolników Indywidualnych Gabriel Janowski, doradcy Solidarności Bronisław Geremek, Krzysztof Śliwiński i inni, znani działacze opozycyjni: Adam Michnik, Emil Morgiewicz, Andrzej Czuma, Stefan Melak, oraz senior internowanych, sztandarowa postać walki o niepodległość, żołnierz AK i Delegatury Sił Zbrojnych, Antoni Heda „Szary”, który zasługuje, by poświęcić mu więcej uwagi.

Antoni Heda (pisany również Cheda) pseudonim Szary wsławił się m.in. rozbiciem w nocy z 4 na 5 sierpnia 1945 komunistycznego więzienia w Kielcach, w którym UB i sowieccy funkcjonariusze „Smiersza” osadzili 374 więźniów. W wyniku tej akcji uwolniono kilkuset więźniów, przeważnie byłych AK-owców. Ubeckie źródła przyznają się jedynie do 298 wypuszczonych więźniów, jednak według oceny Antoniego Hedy uwolnionych zostało 600-700 osób. Wśród uwolnionych AK-owców byli m.in. cichociemny Ludwik Wie-

chuła ps. „Jeleń”, Michał Mandziara ps. „Siwy” i Stanisław Kosicki (1927-1997) – pierwowzór Maćka Chełmickiego z dzieła Popiół i Diament Jerzego Andrzejewskiego. W trakcie rozbijania kieleckiego więzienia poległ Tadeusz Łęcki „Krogulec”, trzech partyzantów zostało ciężko rannych. Antoni Heda został ranny w trakcie rozbijania jednej z bram więziennych – odłamek utkwiał mu w kolanie, powodując przykrą i długotrwałą kontuzję.

Po akcji w Kielcach zaprzestał działalności konspiracyjnej – pod zmienionym nazwiskiem, jako Antoni Wiśniewski, wyjechał na Wybrzeże, a później do Emilianowa k. Ostródy. Był poszukiwany przez UB i w 1948 został aresztowany w Gdyni, koło dworca PKP Gdynia Chylonia. Otrzymał cztery wyroki śmierci, w końcu dzięki interwencji byłych oficerówAL, którzy współdziałali z nim w 1944, karę śmierci zamieniono na dożywocie. Siedział w więzieniach na Rakowieckiej, w Rawiczu i we Wronkach. Wyszedł na wolność w 1956 objęty amnestią. W dalszym ciągu prowadził jednak działalność niepodległościową, m.in. działając w NSZZ „Solidarność”. W 1981 został wybrany na Przewodniczącego Niezależnego Związku Kombatantów przy NSZZ „Solidarność”. Od 13 grudnia 1981 do 16 czerwca 1982 internowany w więzieniu na Białoleścu. Przez wiele lat był doradcą kardynała Stefana Wyszyńskiego. (podaję za Wikipedią). Awansowany do stopnia generała brygady przez ś.p. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego w 2006 roku. Szary był żywą książką najnowszej historii Polski od strony walki o niepodległość, którą toczył nieprzerwanie od 1939 roku aż do jej odzyskania 50 lat później. Umiał i lubił ciekawie opowiadać o swych niezwykłych przeżyciach, brawurowych akcjach, w których wielokrotnie stawiał własne życie na jedną kartę, ryzykując je dla ratowania innych. Co kilka dni wysyłał pisma do prokuratury, domagające się odszkodowania za zniszczone inspekty w jego gospodarstwie w Podkowie

Leśnej, podczas aresztowania 13 grudnia, oczywiście nie uzyskując odpowiedzi.

- *Wiesz Dziadek, Komuna już upadła* – pocieszał nas, zwracając się kiedyś do mnie na spacerunku – *wprowadzając stan wojenny czerwony sam wydał na siebie wyrok. Zobaczysz, że w kwietniu zdechnie Breżniew, Jaruzelski się powiesi a do końca roku upadnie związek sowiecki i Polska odzyska niepodległość.*

Szary pomylił się tylko w jednej przepowiedni, bo jaruzelski nie miał i nadal nie ma zamiaru się powiesić, hołubiony i kreowany na człowieka „honoru” przez usłużnych idiotów. Breżniew przetrzymał przepowiednię generała Hedy zaledwie o kilka miesięcy a związek sowiecki 8 lat. Ważne, iż ten bohater doczekał się tego dnia a my wszyscy wraz z nim.

W USA poznałem jednego z podwładnych „Szarego” Wacława Borowca, będącego członkiem Koła Byłych Żołnierzy AK na stan Michigan oraz uczestnikiem wszelkich patriotycznych manifestacji, które organizowaliśmy na terenie Metropolii Detroit.

W Białołęce uwięzieni byli również założyciele Niezależnego Związku Zawodowego Funkcjonariuszy MO: Ireneusz Sierański, Wiktor Mikusiński, Zdzisław Kledzik, Mirosław Basiewicz, Włodzimierz Jaworski. Witek Mikusiński po odzyskaniu niepodległości został komendantem Stołecznej Policji, skąd przeszedł na emeryturę. Spotykamy się przy okazji moich wizyt w Polsce.

W celi nr 24 znajdował się działacz Ośrodka Badań Społecznych przy ZR Mazowsze, późniejszy Prezydent Bronisław Komorowski, z którym osobiście spotkałem się dopiero w Pałacu Prezydenckim 30 lat później. Wywieziono go z Białołęki do Jaworza trzy dni po moim przybyciu, zanim po otwarciu cel 24 grudnia mieliśmy kontakt z osadzonymi w innych grupach spacerowych. Członków Zarządu Komisji Krajowej, zgarniętych z obławy w hotelach Heve-

lius, Novotel i Monopol w Gdańsku po zakończeniu obrad, przewieziono w tym samym dniu do Strzebielinka a 19 grudnia 1981 do Białołęki i umieszczono w Pawilonie IV, oddzielnym od Oddziału Zewnętrznego. Na „czwórce” siedzieli – aż do 26 sierpnia 1982, kiedy przeniesiono ich na OZ: Lech Dymarski – pierwszy przewodniczący Regionu Wielkopolska, Andrzej Gwiazda – ZR Gdańsk, Seweryn Jaworski – ZR Mazowsze, Jacek Kuroń, Karol Modzelewski, Janusz Onyszkiewicz – ZR Mazowsze, Antoni Pietkiewicz, Grzegorz Palka – ZR Łódź, Jan Rulewski – ZR Bydgoszcz, Andrzej Sobieraj – ZR Radom, Antoni Tokarczuk – ZR Bydgoszcz, Henryk Wujec – ZR Mazowsze.

Zbigniew Bujak – przewodniczący ZR Mazowsze, Władysław Frasyniuk – ZR Dolny śląsk, Zbigniew Janas – ZM Ursus, Zbigniew Romaszewski – ZR Mazowsze, Mirosław Krupiński – ZR Olsztyn, Bogdan Lis i Bogdan Borusewicz – obaj ZR Gdańsk - wymknęli się z obławy i wkrótce zaczęli organizować podziemne komórki Solidarności. Na emigracji poznałem trzech towarzyszy niedoli, z którymi nie miałem okazji spotkać się w Białołęce: braci Konrada i Piotrka Hałaczkiwiczów – obaj pracownicy techniczni telewizji, którzy początkowo osiedlili się podobnie jak my w Oak Park, Michigan oraz zamieszkałego w Bostonie Marka Końkę, z którym redagowaliśmy stronę Polish Prisoners i nadal utrzymujemy telefoniczny kontakt.

W tym momencie w celi zgasło światło.

- *Jeszcze się nie zdążyłem usadowić* – krzyknąłem w kierunku drzwi – *proszę zostawić światło na 10 minut.*

- *Cisza nocna i zgaszenie światła w celach obowiązuje wszystkich jednakowo* – usłyszałem z korytarza.

- *Dlaczego żeście go tak późno włożyli?* – krzyknął do lipa Trufel – *10 minut pana nie zbawi.*

Pięć minut wam wystarczy – odpowiedział klawisz i w tym momencie ponownie rozbłysnęła żarówka.

Otrzymałem miejsce na najwyższej pryczy nad oknem, skąd przez pękniętą szybę ciągnęło przeraźliwym chłodem, niezbyt neutralizowanym zapowietrzonym grzejnikiem. W odróżnieniu do więźniów kryminalnych, nie mieliśmy obowiązku wystawiania „kostki” i mogłem w uzupełnieniu do cieniutkiego jak Trybuna Ludu koca, przykryć się kurtką podbitą kożuchem. Przed zaśnięciem dzieliliśmy się informacjami z obu stron muru: ja opowiadałem o nieudanej manifestacji we środe, koledzy o warunkach więziennych, regulaminie, skargach jakie mieliśmy przedłożyć na spotkaniu z oficerem w stopniu wychowawcy itd.

- *Miałem przygotowany zacier do destylacji* – żalił się Jurek Okipny.

- *Dzisiaj moja wnuczka skończyła roczek i na tą okazję mieliśmy zamiar z zięciem zrobić to samo* – pocieszyłem go.

- *To ty już jesteś dziadkiem?!* – zakrzyknęli moi współtowarzysze niedoli.

- *Tak się złożyło dzięki wczesnemu ożenkowi i pośpiechowi mojej córki* – odpowiedziałem.

Od tego momentu otrzymałem ksywę Dziadek, którą noszę do tej pory mimo, iż zdążyłem w międzyczasie zostać pradziadkiem. W każdym razie tak mnie nazywają Witek Kazańczuk z żoną Izą i tak mnie powitał Wiesiek Molasy, gdy spotkaliśmy się pod murami więzienia po 30-tu latach. Przedstawię teraz moich przyjaciół, z którymi przyszło mi dzielić celę przez kilka następnych miesięcy.

Jerzy Bielec – inżynier-metalurg, absolwent krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej, który po studiach otrzymał skierowanie do pracy, poparte obietnicą mieszkania, w nowoczesnej od-

lewni Zakładów Mechanicznych Ursus, przy której uruchomieniu pracowałem z grupą rozruchową Elektromontażu w 1967 roku. Uczestniczył w organizacji Komisji Zakładowej a po wprowadzeniu stanu wojennego brał udział w strajku. Jurek wyszedł na wolność w lipcu 1982, do Ursusa już go nie przyjęto, zatem wrócił do Krakowa, gdzie mieszkała jego mama i w tamtejszym Konsulacie USA otrzymał wizę ze statusem uchodźcy a MSW wydało mu paszport w jedną stronę. Spotkaliśmy się później w obozie przejściowym w Bad Soden – Salmünster w Hesji. My wylecieliśmy do Stanów tydzień przed nim. Jak już pisałem poprzednio, Jurek w stosunkowo niedługim czasie uzyskał pracę w swoim zawodzie, pracował w kopalni złota w Elko, Nevada, a w roku bodajże 1986 urwał nam się kontakt.

Wiesław Molasy, absolwent technikum mechanicznego, mieszkał z żoną na Paluchu, w okolicy lotniska Okęcie, również pracował w odlewni ZM Ursus i po sierpniu 1980 został wybrany przewodniczącym Komisji Zakładowej odlewni. Wyszedł na wolność w maju 1982, i dość szybko zdecydował się na emigrację do Szwecji. Gdy go spotkałem 13 grudnia 2011, był po rozwodzie, z ograniczonym kontaktem z córką i korzystał już z emerytury. Od naszego ponownego spotkania powróciliśmy do wymiany życzeń na Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Jurek Okipny był robotnikiem odlewni i członkiem Komisji Zakładowej. Wraz z Jurkiem Bielcem, Wieśkiem i Józkiem Tomczykiem – z którym zamieniłem się miejscami Białołęka – Pałac Mostowskich, stanęli na czele strajku po ogłoszeniu stanu wojennego. Po pacyfikacji odlewni, która stanęła jako jeden z nielicznych wydziałów Ursusa, uczestnicy zostali rozproszeni a przywódcy aresztowani i umieszczeni w komendzie dzielnicowej MO Warszawa-Ochota, przy ul. Opaczewskiej, gdzie stłoczeni ponad wszelkie

dopuszczalne standardy, oczekiwali na rozprawę sądową, w trybie przyspieszonym, z dekretu o stanie wojennym. Z uwagi na przeciążenie sądów, SB zdecydowało się internować całą czwórkę a z wytoczeniem procesu na razie się wstrzymać. Proces ten miał miejsce pod koniec stycznia i poza Józkiem Tomczykiem, któremu postawiono zarzut już 20-go grudnia, sąd zdecydował na zastosowanie internowania, jako środka mniej kłopotliwego, w sytuacji braku dowodów i sprzecznych zeznań świadków.

W tym czasie do akcji włączyli się już najwybitniejsi przedstawiciele warszawskiej palestry, broniący osoby oskarżone z dekretu o stanie wojennym nieodpłatnie i z zastosowaniem wszelkich, dostępnych środków obrony, wobec których dyspozycyjne sądy często bywały bezsilne. Rozprawy coraz częściej obserwowane były przez zagranicznych dziennikarzy, przedstawiciele Kościoła – z bestialsko zamordowanym błogosławionym ks. Jerzym Popiełuszką – i Episkopatu i wydanie kuriozalnego wyroku 10 lat za przyklejenie jednej, ręcznie napisanej ulotki dla Ewy Kubasiewicz przez sąd wojskowy w Gdańsku na 10 lat stanowiło zarazem najwyższy i nie powtórzony później wyrok wydany z dekretu o sw. (Pod naciskiem lewicowych organizacji francuskich Ewa Kubasiewicz wyszła na wolność w maju 1983, w ramach amnestii oraz pod warunkiem przyjęcia paszportu w jedną stronę, po czym wyemigrowała do Francji, gdzie mieszka do dzisiaj)

Internowanie stanowiło dla wojskowych sądów pewien kompromis; nie udało się udowodnić winy ale przynajmniej delikwent i tak znajdzie się za kratkami.

Jurek Okipny został zwolniony z interny w marcu, a w grudniu 1982 zaprosił naszą paczkę do siebie do Piastowa, gdzie po skończonej imprezie, olewając stan wojenny i godzinę policyjną śpiewaliśmy antywronie piosenki na ulicy i w pociągu. To znaczy

ja śpiewałem a obdarzeni nienadzwyczajnym słuchem i pamięcią koledzy tylko się wspólnie wydzielali. Oczywiście główną piosenką była Zielona Wrona, której tekst powstał w Załężu a śpiewana była na popularną hiszpańską melodię, adaptowaną w czasie okupacji do popularnej piosenki „Teraz jest wojna” :

Ekstrema już śpi, szczekają gdzieś psy
Skończyła się wolna sobota
Wyruszył sznur suk, rzną buty o bruk
Ktoś do drzwi gwałtownie łomota /kto tam/

Ref:

Zielona WRONa dziób w wężyk szamerowany
Kto nie dał drapaka,
Kto nie chciał zakrakać,
Ten został internowany.

Grudniowy wstał świt, nie wiedział nikt nic
Milczały jak grób telefony
A w radiu wódz sam, ogłosił, że stan
Wojenny jest wprowadzony,

Ref.

Zielona WRONa...

Od tego poranka, codzienna łapanka
Szalała w bezsilnej wściekłości
W Łupkowie zaś z pierdła zrobiono rezerwat
Dla członków SOLIDARNOŚCI

Ref.

Zielona WRONa...

Świetlica, spacerek, wieczorem roberek

Albina zaś duma rozpiera

Niech siedzi ekstrema, pożytku z?niej nie ma

My Polskę zbudujem od zera/a co?/

Ref.

Z chaosu porządek wyłania się nowy

Nowego nam trza Robespierre'a

By odciął te łapy, co władzę brać chciaily

To hasło nowego premiera.

Ref.

Ta banda czerwona to gówno dokona

Choć duma ich piersi rozpiera

Czerwona zaraza od nowa zagraża

A niech ją jasna cholera.

Ref.

Pierwsze trzy zwrotki napisali Jacek Baluch oraz Krzysztof Bryniarski w celi 204 Aresztu Śledczego w Załężu. Premiera odbyła się w dzień jej powstania, 4 lutego 1982 r. w czasie wieczornych śpiewów protestacyjnych. Dwie kolejne strofy powstały tego samego dnia; autorem jednej z nich jest Bogdan Klich, drugiej nieznanym internowany. Utwór szybko stał się popularny wśród ludzi Solidarności, którzy dopisywali kolejne strofy.

W 1987 roku Jurek był w Danii i kontaktował się ze mną telefonicznie. Wówczas Stany Zjednoczone już zaprzestały nada-

wania Polakom statusu uchodźców politycznych tak licznie jak na przełomie lat 1982/83 i od tamtej pory nie mam z nim kontaktu.

Wojciech Kamiński był ekonomistą, zatrudnionym w dziale kadr Miejskich Zakładów Komunikacyjnych. W sierpniu 1980 współorganizował strajk solidarnościowy, popierający żądania międzyzakładowego komitetu strajkowego w Stoczni Gdańskiej a następnie został przewodniczącym Komisji Zakładowej. Poprzez jednego z kierowców Franciszka Kosiackiego poznał jego córkę Monikę, dla której porzucił żonę i pobrali się na sali widzeń w maju 1982. Ojca Moniki również internowano mimo, iż znajdował się w ostatnim stadium nowotworu płuc. Został zwolniony po interwencji Czerwonego Krzyża 23-go grudnia i zmarł kilka tygodni później.

Po wyjściu spotkalśmy się we czwórkę: Jola, Monika, Wojtek i ja w kawiarni przy ul. Nowowiejskiej, obiecując sobie kontynuowanie znajomości po emigracji do Stanów. Wojtek z Moniką wyjechali do USA miesiąc przed nami i początkowo zatrzymali się w Chicago, gdzie bezskutecznie przez kilka miesięcy szukali pracy. Wojtek dobrze znał angielski, miał listy polecające od Bronisława Geremka do różnych osobistości amerykańskich i dzięki nim oraz własnemu uporowi znalazł pracę w zawodzie ekonomisty w Dallas, w Stanie Texas. Po osiedleniu w Texasie Monika urodziła syna a po odchowaniu go otworzyła kwiaciarnię. Utrzymywaliśmy kontakt do roku 1985, który później się urwał. Wojtek opuścił celę 19 w styczniu mając wiele wspólnych tematów z Januszem Cupryjakiem, kierowcą autobusów MZK, który siedział w celi nr. 12. W tej celi przebywał również niejaki Stanisław D., który miał obsesję polegającą na dostrzeganiu u wszystkich cech żydowskich. Według niego Żydzi dzielili się na różne kategorie w zależności od miejsca zamieszkania. Żydzi niskiego wzrostu, według Stasia D., mieli pochodzić z kresowych stepów. Ponieważ Wojtek był ni-

skiego wzrostu a podczas pobytu w Białoleścu wyhodował gęsta brodę jaką noszą rabini, nadaliśmy mu ksywę Stepowy. Ciemnooki i czarnowłosy Stefan Melak był znany jako Melakower a ksywa ta towarzyszyła mu aż do tragicznej śmierci w smoleńskiej katastrofie 10 kwietnia 2010 r. Po pierwszej wizycie w Białoleścu 4-letni wówczas syn Janusza Cupryjaka był bardzo przerażony mundurami, kratami a najbardziej faktem, że tata musiał się z nimi po widzeniu rozstać. Po powrocie do domu na słowo „Białoleścu” reagował nerwowo aż do momentu, gdy przełamał w sobie strach i odważnie wykrzyknął:

A ja sie nie boję „białej ręki”!

Wincenty Kazańczuk pochodził z Podlasia, pracował w Zakładach Wytwórczych Aparatury Wysokiego Napięcia w Międzyzlesiu i skończył Wydział Elektryczny Politechniki Warszawskiej na dwa lata przede mną. Mieliśmy tych samych wykładowców niektórych przedmiotów i sporo wspólnych tematów, zresztą po dziś dzień. W sierpniu 1980 roku stanął na czele strajku solidarnościowego a następnie został wybrany przewodniczącym Komisji Zakładowej ZWAR (jak powszechnie nazywano dawną fabrykę Szpotańskiego). Współtworzył Międzyzakładowy Komitet Solidarności Region Mazowsze a następnie został wybrany do Zarządu Regionu. Podczas zjazdu Regionu Mazowsze (na który ja nie załapałem się przegrywając o jeden głos z Hubertem Kossowskim) został wybrany delegatem na I Zjazd NSZZ Solidarność w Gdańsku-Oliwie.

Witek był oficjalnie zameldowany u siostry a faktycznie, po rozwodzie z żoną wynajmował pokój w Międzyzlesiu. 13 grudnia w nocy, SB w towarzystwie uzbrojonych milicjantów załomotało do drzwi jego siostry z zamiarem aresztowania Witka. Szwagier miał przygotowany zacier, który chciał właśnie przedestylować na bimber i był święcie przekonany, iż wizyta milicji ma związek z

donosem sąsiadów w tej materii. Dla pozbycia się dowodu rzeczowego wyrzucił gąsior przez okno, na co zareagowali stojący tam żołnierze, przeciągając serią z kałasznikowa po oknach. Mieszkańcy domu przy ul. Kinowej, gdzie mieszkała siostra Witka mieli rzeczywiście typowo wojenną oprawę tej tragicznej dla narodu nocy. Do świąt Wielkiej Nocy szwagier Witka zdążył odrobić ekwipunek i surowiec, przynosząc półlitrową próbkę swojej produkcji na widzenie, z czego i ja skorzystałem. Reglamentacja alkoholu i rosnące ceny wódki wywołały naturalną reakcję społeczeństwa, które masowo wyręczało państwowy monopol spirytusowy, używając do tego celu przeważnie ogólnie dostępnych szybkarów. Na początku byliśmy skazani wyłącznie na zawartość więziennej biblioteki, książki dostarczano nam w ilości po dwie, trzy na celę a na tytuły nie mieliśmy wielkiego wpływu, czytając je po kolei. Jedną z książek, której autora nie pamiętam, była przetłumaczona z norweskiego i miała tytuł „Mocarz”. Gdy każdy z nas zdążył już przeczytać tę książkę, Witek, który lubił gimnastykować się przy otwartym oknie obnażony do pasa, po skończonych ćwiczeniach napiął wątle mięśnie, wypiął cherlawą pierś i powiedział po angielsku:

-I am the „Mocarz”, i od tej pory stał się Mocarzem.

Podczas gruntownego przemeblowania obozów internowania w sierpniu 1982, kiedy to pozostało uwięzionych mniej niż 500 osób, ja zostałem przetransportowany do Załęża a Mocarz do Strzebielinka. Nasze miejsce w OZ zajęli członkowie Komisji Krajowej, uwięzieni do tej pory w pawilonie IV. Mocarz odsiedział aż do oficjalnego zawieszenia stanu wojennego i wyszedł tuż przed Bożym Narodzeniem 1982. Podczas pobytu w internie uczył się pilnie angielskiego twierdząc obłudnie, iż czyni to tylko tak na wszelki wypadek, gdyż emigracji rzekomo wogóle nie brał po uwagę.

Nie wrócił do pracy w ZWAR tylko wystąpił o wyjazd na stałe do Kanady, która przyjmowała bardzo ograniczone ilości uchodźców. Mocarz wyjechał do Kanady chyba w kwietniu 1983 i otrzymał sponsora w Yorkton w prowincji Saskatchewan, gdzie pracował jako elektryk w jedynym zakładzie przemysłowym w miasteczku. Po dwóch latach życia na bezludziu w surowym klimacie, poprosił o zwolnienie z pracy w celu uzyskania prawa do zasiłku dla bezrobotnych i przeniósł się do Toronto, gdzie mieszka dość liczna Polonia. W trakcie tych przenosin zboczył nieco z drogi i zajrzał do Detroit, gdzie wówczas mieszkaliśmy i od tamtej pory utrzymujemy stałe kontakty. W Toronto znalazł pracę jako inżynier – automatyk, dosłownie robiąc to samo co ja w Eaton Corporation a następnie w INA USA, czyli projektując automatykę przemysłową w oparciu o PLC czyli Programmable Logic Controllers znane w Polsce pod nazwą sterowniki.

Utrzymywaniu kontaktów bardzo pomagały wspólne zainteresowania i tematy. Do Toronto trafiła również działaczka Ruchu Młodej Polski, Izabela Kobzdej - siostra doktora Dariusza Kobzdeja, także działacza RMP i współorganizatora Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Iza była internowana w Gołdapi a następnie w DarłóWKu. Z zawodu jest architektem a zdolności odziedziczyła po stryju – słynnym malarzu Aleksandrze Kobzdeju. Iza była panną, Witek „kawalerem z odzysku” – nietrudno się domyślić, iż Polonia z Toronto ich wyswatała. Mocarz pracował w biurze projektującym odlewnie do wytopu okładzin hamulcowych, dokonując rozruchu odlewni nawiązał szereg kontaktów i po kilkunastu latach otworzył własną firmę; Advantage PLC, która prosperuje z różnym szczęściem do dziś. Iza pracowała w kilku biurach projektowych, w których zatrudnienie uzależnione było od koniunktury ekonomicznej. Ostatnio ma stałą pracę na kierowniczym stanowisku.

Po kilkunastu latach mieszkania w townhouse kupili spory dom w Mississauga – dynamicznie rozwijającym się przedmieściu Toronto, stanowiącym spore skupisko Polonii. Mają dwie córki; Małgorzatę, nazwana przez Mocarza na cześć Margaret Thatcher oraz Samanthę – byliśmy na chrzcinach jednej i drugiej. Małgosia po skończeniu 2-letniego pre-medical college w London, Ontario wyjechała do Irlandii gdzie studiuje medycynę a Samantha uczęszcza do college, po którym ma zamiar zostać social worker czyli urzędnikiem d/s socjalnych . Początkowo częściej a ostatnio co dwa lata spotykamy się albo w Toronto albo u mnie, gdy Mocarze wstępują w drogę na lub z Florydy. Od śmierci Joli spotykamy się zdecydowanie rzadziej.

Leszek Truchlewski czyli Trufel był Członkiem 1 WDH „Czarna Jedyńka” w Liceum im. Reytana w Warszawie. Do połowy września 1981 r. komendant działającego w ZHP szczepu 70 WDH „Czarna Siedemdziesiątka” i członek Rady Porozumienia Kręgów Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego (KIHAM), a następnie hufcowy warszawskiego Hufca Harcerzy NRH. Według Jerzego Targalskiego był też Leszek Truchlewski drukarzem „Kręgu”, a jego harcerze składali wówczas książki tego wydawnictwa. Oboje rodzice Trufla pracowali w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych; ojciec jako funkcjonariusz SB a mama w administracji. Jego działalność opozycyjna stanowiła rodzaj protestu przeciwko konformizmowi rodziców. Tuż przed wybuchem wojny jaruzelskiej ożenił się z Basią Gazdą - córką milicjanta, który wsławił się m.in ściganiem założycieli Niezależnego Związku Funcjonariuszy MO, internowanych z nami w Białoleśce. Wesele planowali na 13 grudnia 1981 r. ale plany ich zostały pokrzyżowane przez wronę. Po wyjściu w grudniu 1982 r. Trufel doprowadził jednak do opóźnionego o rok wesela w wynajętym domku wiejskim w miejscowości Rybno k/Piasecz-

na. Na imprezie tej miałem okazję poznać Magdę Urban – córkę powszechnie znienawidzonego ówczesnego rzecznika prasowego wrony. Magda była zainteresowana naszymi przeżyciami w internie i uczciwie starała się skonfrontować nasze świadectwa z propagandowymi fałszerstwami fabrykowanymi m.in. przez jej ojca. W Sylwestra 1982 Magda poznała Adama Grzesiaka, internowanego z nami drukarza Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWa. Jak napisali w opisie swojej strony, przyszli na Sylwestra oddzielnie, wyszli razem i tak już są przez ponad 30 lat, prowadząc wspólnie biuro matrymonialne Czandra . Trufel z Basią wyemigrowali do Francji, gdzie stali się rodzicami pary bliźniaczków a Leszek pracował w wydawnictwie Spotkania, kolportując m.in. emigracyjną literaturę do USA. Odwiedził nas dwukrotnie m.in. w 1987 roku, podczas konfliktu w Pomoście, a drugim razem pilotując amerykańską wyprawę polskich harcerzy. Od tamtej pory kontakt nam się urwał a słyszałem, iż podobno wrócił do Polski gdzie ponownie działał w odnowionym harcerstwie. Za każdym razem, gdy przez okno widzieliśmy kolejne opady śniegu, Trufel wyliczał głośno:

- *Druga (trzecia, czwarta, piąta) zima w pierdlu!*

Andrzej Skowron, z którym łączyła nas przypadkowa zbieżność nazwisk, był inżynierem elektronikiem zatrudnionym w Państwowej Inspekcji Radiowej. Działał w Komisji Zakładowej PIR a następnie w Krajowej Komisji Porozumiewawczej Łączności, gdzie współpracował m.in. z Jolą. Andrzej był jedynym pod naszą całą członkiem PZPR i jako jedyny nie chodził z nami na Msze św. deklarując się jako niewierzący. Klawisze, którzy zapraszali nas na rozmowy z ubekami mieli z nami problemy, ponieważ po otrzymaniu polecenia: „proszę sprowadzić internowanego Skowrona z celi 19” początkowo nie wiedzieli, iż jest nas dwóch.

- *Pan Skowron na rozmowę* – padało po otwarciu drzwi 19-

ki.

- *Który Skowron?* - Pytaliśmy.

Po długiej przerwie, wymagającej powrotu oficera do Watykanu¹⁹⁷¹, by spytać o imię a następnie jego ustaleniu, jeden z nas odpowiadał:

- *Dzięki za fatygę, ale nie skorzystam.*

Andrzej pewnego razu jednak wyszedł na rozmowę zawołany rzekomo do lekarza ale nie chciał się do tego przyznać, przez co nasze zaufanie do niego znacznie osłabło. Po wyjściu w kwietniu 1982 r. Andrzej wrócił do pracy w PIR, rozmyślał o emigracji i raz złożył nam wizytę na śniadwy wraz z żoną Kasią. Nic mi na temat jego dalszych losów nie wiadomo.

Jarek Mordak – najmłodszy mieszkaniec 19-ki, był działaczem Solidarności w Hucie Warszawa, również jak Trufel od niedawna żonaty, a żona również miała na imię Kasia. Więzienie znosił źle; często wybuchał, sprzeczał się o głupstwa. Od pierwszego dnia opętany był planami ucieczki, pytał mnie jakie są szanse zrobienia podkopu pod murem.

Podkop to jedno, a pozbycie się urobku drugie – plac przed pawilonem nie jest tak obszerny by pomieścić wydobytą ziemię. Ponadto z czegoś trzeba zrobić szalunek, ustalić, którędy przebiega burzowiec czy kanał ciepłowniczy. Można o tym pomyśleć dopiero gdy będziemy mieli większą swobodę, ponieważ przy zamkniętych celach i ograniczonym czasie spaceru będziemy mieli ograniczone środki – starałem się tłumaczyć rozpalonej głowie Jarka.

Po każdym powrocie ze spacerniaka Jarek przynosił różne

97 Watykan – w żargonie internowanych budynek administracyjny, w którym SB przeprowadzało rozmowy, nakłaniając do podpisania lojalki. Ogólne zalecenie moralne było; nie chodzić na rozmowy, gdyż niemal po każdym przypadku podpisu pod lojalką następowała oferta współpracy – ale nie mieliśmy pretensji do tych, którzy w ten sposób szukali drogi uwolnienia. Udanie się na rozmowę było dobrowolne.

badziewie mogące, jego zdaniem służyć nam jako materiał do planowanej ucieczki; jakieś pręty, płaskowniki, gwoździe, kawałki desek i węży spawalniczych, skradzionych z warsztatu remontowego, usytuowanego w bezpośrednim sąsiedztwie Watykanu. Imponował swoją determinacją, umiłowaniem wolności i odwagą. Zasypiał zawsze i budził się z odzywką „pierd..na komuna”. Czasami w nocy odzywał się z którejś cel okrzyk:

- *Bandyci, wypuście nas!* – na co Jarek często odpowiadał okrzykiem:

- *Sam się uwolnij palancie a nam daj spać.*

Pewnego dnia Jarek wpadł na pomysł wykpienia junty sugerując iż działa z nadania Moskwy. Cała ceta podchwyciła pomysł i przygotowała go do występu. Do więziennej koszuli przymocowaliśmy pagony z gwiazdkami i literami CA (*Soviet Army* cyrylicą), zrobiłem czerwona pięcioramienną gwiazdę na czapce, przekrzywionej na bakier na wzór konnicy Czapajewa, przepasaliśmy go sznurkiem i „uzbroiliśmy” w kij od szczotki. W takim rynsztunku Jarek był eskortowany przez całą cetę na spacerniak, gdzie maszerowaliśmy rosyjskim defiladowym krokiem pod komendy „naczialnika”: w lewo smatri, w prawo smatri, szagom marsz, itd. Odpowiadaliśmy chórem prężąc się przy tym służbowo: „tak roczno, tawariszcz kamandir”. Po kilkunastu minutach przyszedł prikaz z Watykanu zdjęcia kamandira, który grzecznie po rosyjsku zasalutował i pozwolił się eskortować do kabaryny zachowując cały czas defiladowy krok. Wyprężyliśmy się na baczność i salutując po rosyjsku chórem zaśpiewaliśmy na melodię hymnu Związku Sowieckiego:

Na ch.. nam swoboda ruskiego naroda,

Gdy nie ma co palić i nie ma co pić,

Burdele zamknęli a k...y wyrznęli

I jak tu porządna ekstrema ma żyć

Osobliwego rodzaju nagrodą za ten występ było 7 dni kabaryny czyli izolatki, czym się obdarowany specjalnie nie przejął, twierdząc, iż mógł bez skrępowania walić konia. Jarek został zwolniony z okazji 22 lipca, kiedy wrona z dumą ogłosiła, iż instytucja internowania spełniła swoją rolę a podlegają jej nadal wyłącznie niepoprawni ekstremiści i najzjadlejsi wrogowie ustroju w liczbie nieprzekraczającej 500 osób w skali całego kraju. Byłem w tej grupie żartując w grypsie do Joli, iż awansowałem do ścisłego finału. W obozie w Załężu wyprodukowano nawet znaczek „Ekstrema 500” dla pozostałych za kratami ekstremistów. Pobyt Jarka po drugiej stronie muru nie trwał jednak długo, co nietrudno było przewidzieć przy jego usposobieniu. Powrócił do Białołęki pod koniec sierpnia za przygotowywanie manifestacji z okazji rocznicy podpisania porozumień sierpniowych i wyszedł na dobre pod koniec listopada. Spotkaliśmy się później dwukrotnie: na pogrzebie Gajki Kuroniowej oraz na opóźnionym o rok weselu Trufla. Ktoś go widział w Niemczech tuż przed rokiem 1989 ale kontaktu od tamtej pory nie mieliśmy.

Waldemar Jakubiak – pracownik administracyjny Uniwersytetu Warszawskiego i członek Komisji Zakładowej UW, był człowiekiem schorowanym i mimo, iż był młodszy ode mnie o 10 lat, wyglądał 10 lat poważniej; przedwcześnie posiwiał, przygarbiony. Za każdym razem zapisywał się do lekarza, posiadał zapas lekarstw za całą celę i ciągle narzekał na jakieś dolegliwości. Miał problemy z prostatą i korzystał z klopa częściej, niż my wszyscy. Na spacerniaku powłóczył nogami, nie brał udziału w rzucaniu pigułkami czy ślizganiu na oblodzonej ścieżce. W połowie stycznia został przewieziony do Jaworza a następnie zwolniony w kwietniu 1982. O jego dalszych losach nic mi nie wiadomo.

Gdy w styczniu 2012 Rebecca Rollins – reporterka lokalnej gazety The Link przeprowadzała ze mną wywiad, zadała m.in. pytanie:

- *Jak wyglądał typowy dzień w więzieniu – obozie internowanych?*

- *Staraliśmy się robić wszystko by żaden z tych dni nie był typowy* – odpowiedziałem po czym dodałem nasze urozmaicone zajęcia.

Będąc odgradzeni murem i kratami od zewnętrznego świata, podlegający regulaminowi, pozamykani w celach przez większość doby – nie mieliśmy wielkiego wyboru w pierwszych dniach od uwięzienia, koncentrując się na zawiązaniu komunikacji pomiędzy poszczególnymi celami a następnie ze światem zewnętrznym. Później dowiedzieliśmy się, iż nasze rodziny nie mogły nigdzie uzyskać informacji co się z nami stało. Wszelki ślad się urywał albo na Mostowie albo na innych komendach dzielnicowych MO, gdzie padały odpowiedzi: „zatrzymany”, „aresztowany”, rzadziej „internowany”. Niemal natychmiast spontanicznie zawiązał się Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom^[98] przy kościele św. Marcina na Starym Mieście, gdzie

98 Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom to społeczno-kościelna instytucja charytatywna, powołana pod patronatem prymasa Józefa Glempa 17 grudnia 1981 w reakcji na internowanie działaczy politycznych i ludzi kultury po wprowadzeniu stanu wojennego. Zorganizowany wokół kapelana franciszkanek wwarszawskim kościele św. Marcina (ul. Piwna 9) Bronisława Dembowskiego, Komitet Prymasowski niósł pomoc internowanym i ich rodzinom, gromadził informacje o losie i miejscu pobytu represjonowanych, udzielał pomocy prawnej, dostarczał uwięzionym paczki z żywnością, lekarstwami i zimową odzieżą. Komitet Prymasowski udzielił pomocy ok. 17 tysiącom ofiar stanu wojennego.

W Komitecie działali m.in.: Maja Komorowska, Władysław Rodowicz, Anna Fedorowicz, Jacek Fedorowicz, Janina Hyciek-Brzozowska, Barbara Sadowska, Anna Szymańska, Przemysław Burchard, Filip Grzejszczyk, Wojciech Sawicki, Jacek Sieradzki, Maria Korniłowicz, Ligia Grabowska, Ligia Iłakowicz-Grajnert, Ludwika Wujec, Anatol Lawina, Anna Trzeciakowska, Barbara

wiadomo było, iż internowani mężczyźni są umieszczeni w Białoleńce a kobiety w t.zw. Toledo czyli w kobiecym więzieniu na Olszynie Grochowskiej. Listy, które sporządzaliśmy i które były każdego dnia weryfikowane i aktualizowane, trafiły na Piwną przed Bożym Narodzeniem. Sporządzanie i aktualizacja list była naszą pierwszą działalnością, która niemal równolegle prowadzona była z zawiązywaniem się pierwszej gazetki, zwanej początkowo AS (Agencja Solidarności jako kontynuacja biuletynu Regionu Mazowsze) a później BAS czyli Białoleńska Agencja Solidarności. Ponieważ AS był redagowany przez Marka Kossakowskiego to na niego padło, jak się okazało słuszne, „podejrzenie” o autorstwo BASa. Informacje zawarte w naszej, odręcznie pisanej prasie trafiały nie tylko do św. Marcina ale również do Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, znanej w skrócie jako RWE.

Wrona wychodziła ze skóry by ustalić kanały wycieku informacji od nas na zewnątrz a następnie za granicę, przy tak starannie uszczelnionych kanałach informacyjnych. Przypominam, iż do 1 stycznia 1982 r. nie odlatywały z Warszawy żadne samoloty ani nie kursowały pociągi za granicę (z wyjątkiem tej wschodniej), nie funkcjonowała sieć telefoniczna, telegraficzna i teleksowa. Łączność pomiędzy poszczególnymi celami zapewniały nam poszerzone przez nas i systematycznie zalepiane przez funkcyjnych więźniów otwory, przez które przechodziły rury zasilające grzejniki, „koń” oraz bezpośredni kontakt podczas otwierania kilku cel jednocześnie w czasie spacerów lub wydawania posiłków. „Koń” zwany również chabetą, w żargonie więziennym oznaczał urządzenie składające się z nadajnika i odbiornika. Nadajnik stanowił długi sznurek z przyczepionym na końcu ciężarem/przesyłką, któ-

Tchórzewska, Maria Sułowska-Dmochowska. Zaangażowali się także znani aktorzy: Danuta Szaflarska, Daniel Olbrychski, Kalina Jędrusik

rym należało tak rzucić, korzystając z ręki wysuniętej daleko na zewnątrz pomiędzy kratami, aby nakręcił się na odbiornik czyli wysunięty na zewnątrz kij od szczotki w innej celi. Po osiągnięciu wprawy, udawało nam się rzucać koniem przez dwie cele. BAS wkrótce dorobił się konkurencji w postaci tytułu „Koniem przez świat” , który nazwę zawdzięczał właśnie wspomnianej metodzie komunikacyjnej. Inne tytuły to „Kipisz Codzienny” i KRET. W Kielcach zaczęła się ukazywać „Nasza Krata”, przeniesiona później wraz z redakcją do Załęża. Wobec dwóch oficjalnie wydawanych przez wronę dzienników, biliśmy na głowę rezimowe środki przekazu przyjaśniej pod względem ilości tytułów.

Kipiszem w żargonie więziennym nazywano rutynowe przeszukania cel przez służbę więzienną a kapitan Janiszewski, który dokonywał ich z dużą starannością, uzyskał od nas ksywę Kipiszewski. Oddziałowy o pulchnej figurze nazywany był przez nas Wątróbka a długi jak miesiąc i chudy jak wypłata klawisz o nieproporcjonalnie małej głowie przechrzczony był Mała Główka.

Rano, 20 grudnia podczas rozwożenia śniadania, klawisz otworzył kilka cel na raz a w jednej z nich zauważyłem działacza KPN i Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Zbrodni Katyńskiej, którego nazwiska nie wymienię, bo na żadną sławę nie zasługiwał. Nie miałem do niego specjalnego zaufania, gdyż lubił zachowywać się w sposób prowokujący, nazywając wszystkich spoza KPN „żydokomuną”, co pogłębiało izolację partii w środowiskach opozycyjnych. Po jednej z awantur Stefan zgłosił wniosek do Kierownictwa Akcji Bieżącej o zawieszenie go w prawach członka.

- *Cześć, nie wiesz gdzie jest Stefan (Melak)?* – zapytałem.

- *Jaki Stefan?* – spytał przerażony, najwyraźniej nie poznając mnie. Spotkałem wiele takich osób, które nie nawiązując kontaktu wzrokowego, mają oczywiste trudności z zapamiętaniem twarzy.

- *Nie chcesz rozmawiać to nie* – odpowiedziałem, wiedząc z wczorajszych odpowiedzi, iż Stefan jest z nim w tej samej celi.

W drodze na spacerniak Stefan zajrzał przez lipo do naszej celi a później wymieniliśmy grypsy. Napisał m.in. żebym był ostrożny właśnie z jego współtowarzyszem celi. Później okazało się, iż był on płatnym donosicielem SB używającym całego szeregu pseudonimów. Podejrzewam, iż został celowo internowany z jednej strony dla odwrócenia wzrastających wobec niego podejrzeń o działalność agenturalną, a z drugiej o wyciągnięcie jaknajwięcej informacji z wnętrza obozu. Zwolniony został w Wigilie Bożego Narodzenia, 24 grudnia 1981. Będąc spalonym w środowisku KPN, został przez bezpiekę przydzielony do bliskiego otoczenia ks. Jerzego Popiełuszki. Przez prof. Jana Żaryna z Instytutu Pamięci Narodowej uważany był za najgoźniejszego agenta w otoczeniu bł. Księdza Jerzego, a jego raporty miały ułatwić mordercom zastawienie zasadzki a następnie porwanie i ohydny mord. Podobno zażył śmierć w roku 1992. Niestety, w gronie tylu wspaniałych ludzi, odważnych i ofiarnych działaczy, znaleźć się musiały i takie kanale, których nazwiska powinny ulec zapomnieniu.

Na spacerniak (w krakowskim nazywany spacernikiem) udawaliśmy się grupami po trzy cele jednocześnie a z uwagi na niską temperaturę czas pobytu na świeżym powietrzu był ograniczony do pół godziny. Krążyliśmy naokoło klombu po wydeptanej stopami poprzednich grup ścieżce, nie wolno było nam rozmawiać ani kontaktować się między sobą fizycznie, pod groźbą przerwania spaceru. Zakaz ten był konsekwentnie ignorowany a wyciągnięcie konsekwencji utrudnione ponieważ klawisze woleli się schować w pomieszczeniu baraku zamiast wystawiać na jadowite działanie mroźnego powietrza lub sypiący od czasu do czasu śnieg. 24 grudnia, podczas pierwszych wizyt udało nam się wykorzystać czas

na ulepienie bałwana, ktoś przyniósł wycięte z ciemnego papieru okulary i „generalską” czapkę oraz ścierwo zdechłej wrony. Tak powstał pierwszy pomnik poświęcony szefowi junty zwanej powszechnie wroną a jego odśloniecie uczciliśmy skandowaniem:

Orła wrona nie pokona, prędzej skona pier...na! Zima wasza – wiosna nasza!

Opis tego wydarzenia wraz ze zdjęciem – wykonanym prawdopodobnie przez okno Sali widzeń - znalazł się w następnym numerze Newsweeka, a przebywający wówczas w Paryżu bard Solidarności Jacek Kaczmarski zawarł je w jednej zwrotek ballady „W sierocińcu”:

Ulepiliśmy bałwana w ciemnych okularach,
Obsikaliśmy go wkóło i staneli w parach,
Bacność, spoczniej mówi do nas dziś generał – straszak,
Orła wrona nie pokona, wiosna będzie nasza.

Wprawdzie przed przybyciem następnej grupy spacerowej nakazano kalifaktorom zniszczenie bałwana ale uciechy, którą to wydarzenie sprawiło, nikt nam nie odbierze. Przy okazji nasze rodziny miały okazję przekonać się osobiście, iż ani dobrego samopoczucia ani poczucia humoru nie straciliśmy za kratami. W naszej grupie spacerowej znajdował się działacz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela Andrzej Czuma, z którym miałem okazję zetknąć się w 1987 roku w USA i jego haniebną rolę, jaką odegrał podczas usiłowania rozbicia Ruchu Społeczno-Politycznego POMOST. Gdy musiał salwować się ucieczką do Polski, ścigany przez wierzyteli i komorników, został przyjęty nie tylko z otwartymi ramionami ale zaproponowano mu tekę ministra sprawiedliwości (sic!). Do rozbijackiej działalności tego, skądinąd bardzo zasłużonego działacza opozycji, wrócę w dalszej części wspomnień. Wie-

czorem przez szczekaczk⁹⁹ i znane również kołchoźnikami, nasz kolega, poeta, i satyryk Maciej Zembaty odczytał regulamin dotyczący internowanych ze szczególnym uwzględnieniem warunków panujących w areszcie i zakładzie karnym Warszawa- Białołęka. W zasadzie, przestrzegając regulaminu nie wolno nam było nic poza podstawowymi czynnościami fizjologicznymi a każde wykroczenie, które mogło być interpretowane jako przestępstwo z dekretu o stanie wojennym, internowany mógł być przekazany prokuraturze i trafić pod sąd wojenny. Odczytywanie regulaminu Maciek zakończył słowami, którymi zawsze kończył swe felietony radiowe:

Mówił wasz Ponury Magazynier.

Na początku lat 90-tych ub. stulecia zorganizowałem Maćkowi występ w polskim klubie w Ann Arbor, Michigan kontaktując się z nim tylko telefonicznie. Nie doczekał spotkania po 30 latach w Białołęce – zmarł na cardiac arrest 8 lipca 2011 roku.

W regulaminie zawarte były jednak prawa, o realizację których mogliśmy się upomnieć. Wyzaczyliśmy Jurka Bielca jako delegata naszej celi na spotkanie z komendantem ośrodka internowania, jak się oficjalnie zamieszkała przez nas część aresztu nazywała. W rezultacie tego spotkania wstawiono nam szyby w miejsce pękniętej, odpowiedzono grzejnik – zatykając przy okazji dziurę między naszą celą a 18-ką przy pomocy zaprawy murarskiej (nie muszę dodawać, iż odtworzyliśmy otwór i to z obu stron natychmiast po wyjściu więźnia – konserwatora) oraz naprawiono ~~bojler w łaźni~~, co umożliwiło nam wzięcie pryszniców, po raz

99 Szczekaczka albo kołchoźnik – głośnik wyposażony wyłącznie w potencjometr do regulowania siły głosu, podłączony do sieci wewnętrznego radiowęzła. W okresie, gdy radioodbiorniki nie były ogólnie dostępne, w spółdzielniach produkcyjnych (ros. w kołchozach) radiofonizację przeprowadzano zanim dostarczono do wsi energię elektryczną. Radiowęzły obsługiwane były przez agitatorów, prowadzących komunistyczną propagandę i stąd przejęły nazwę „szczekaczek” od podobnych urządzeń, instalowanych na placach miast w okresie okupacji niemieckiej.

pierwszy od momentu uwięzienia i przepranie koszul oraz bielizny, również od osadzenia nie zmienianej.

23 grudnia przez szczekaczki usłyszeliśmy przebieg konferencji rzecznika prasowego wrony Jerzego Urbana, który po pierwsze, skomentował sankcje amerykańskie stwierdzeniem, iż uderzą one wyłącznie w społeczeństwo bo rząd się i tak wyżywi, natomiast na pytanie o internowanych odpowiedział, iż przebywamy w komfortowych ośrodkach czasowych, mając nieograniczone możliwości kontaktowania się między sobą oraz z rodzinami. Pierwsze stwierdzenie wywołało oburzenie społeczeństwa, któremu władza, ustami jej rzecznika udowodniła jak bardzo jest wyizolowana z narodu, którym rządzi. Drugie natomiast wywołało naszą wściekłość, zaczęliśmy walić w drzwi czym popadło z taką siłą i tak intensywnie, iż służba więzienna zdecydowała się otworzyć przynajmniej niektóre cele dla rozładowania napięcia. Po wydostaniu się na zewnątrz weszliśmy w posiadanie kluczy otwierając wszystkie cele. Musiało upłynąć kilka godzin zanim wyszedł do nas komendant i po obiecaniu, iż będziemy mieli możliwość ograniczonego kontaktowania z mieszkańcami innych cel, o ile do nich spokojnie wrócimy - sytuacja się uspokoiła. Podczas zamieszania otworzyliśmy również celę nr 9, której mieszkańcy wyszli na zewnątrz z wyjątkiem jednego, powszechnie znanego działacza opozycji, który powtarzając:

Tttt-to jest bu-bu-bunt, - ciągnął paznokciami do siebie drzwi celi, nie posiadające żadnych wystających obiektów od środka. – nnnnie - chcę mieć z tym ni-ni-nic wspólnego – wyjąkał, chowając się pod prycę.

Byłem naocznym świadkiem tego zajścia, przekazałem grypsem informacje o tym na zewnątrz i mogę pod przysięgą jego przebieg potwierdzić, gdyby „bohater” chciał mnie kiedykolwiek

oskarżyć o zniesławienie lub zaprzeczyć. Później osobnik ten stał się autorem słynnych słów: „Odpieprzcie się od ge-ge-ge-nerała”, mając na myśli głównego sprawcę stanu wojennego i wszystkich zbrodni podczas niej popełnionych, a innego generała Kiszczaka, bezpośredniego wykonawcę tych zbrodni, z rozkazem zamordowania ksiedza Popiełuszki włącznie, nazwał człowiekiem honoru. Po obradach okrągłego stołu został posłem kontraktowego sejmiku a następnie naczelnym redaktorem jednego z najpoczytniejszych dzienników.

Uczciwie mówiąc kłamstwo Urbana było typową dla wszelkich dyktatur manipulacją faktami, bo gdyby przez słowo „internowani” użył słowa „niektórzy” to byłaby to prawda. Lech Wałęsa uwięziony był samotnie w luksusowym ośrodku wypoczynkowym KC PZPR w Arłamowie w Bieszczadach, internowani intelektualiści, dziennikarze, pisarze, aktorzy i chorzy zostali w połowie tygodnia przewiezieni do wojskowego ośrodka wypoczynkowego w Jaworzu na Pomorzu zachodnim (w Jaworzu na samym początku przebywali m.in. Piotr Amsterdamski, Stefan Amsterdamski, Władysław Bartoszewski, Andrzej Celiński, Andrzej Drawicz, Bronisław Geremek, Jerzy Holzer, Jerzy Jedlicki, Henryk Karkosza, Andrzej Kijowski, Bronisław Komorowski, Waldemar Kuczyński, Lesław Maleszka, Aleksander Małachowski, Tadeusz Mazowiecki, Stefan Niesiołowski, Maciej Rayzacher, Janusz Szpotański, Andrzej Szczypiorski, Piotr Wierzbicki, Wiktor Woroszyński) a kobiety przewieziono z Olszyny Grochowskiej 5 stycznia 1982 do ośrodka wczasowego MSW w Gołdapi pod ruską granicą. Osadzeni w ośrodkach wczasowych stanowili mniej niż 0,5% wszystkich internowanych a zatem stwierdzenia Urbana stanowiło kłamstwo, którego nie powstydziliby się sam Josef Goebbels. Nota bene za to porównanie Leszek Moczulski musiał publicznie Urbana przeprosić. Zwrot o

180°.

Wieczorem dowiedzieliśmy się, iż dla internowanych zostały dostarczone paczki, przyniesione do kościoła św. Marcina przez licznych ofiarodawców, a których przekazania osobiście dopilnowała Maja Komorowska. Zaskoczona służba więzienna nie chciała ich początkowo przyjąć zasłaniając się regulaminem ale pani Komorowskiej nie łatwo było zbyć byle czym. Nie byliśmy więźniami tylko internowani a internowanym przysługują te same prawa co jeńcom wojennym, objęte konwencją genewską, która rząd PRL ratyfikował i musiał przestrzegać. Komendant poszedł na kompromis i po porozumieniu z Komendą Stołeczną MO zgodził się przyjąć pod warunkiem, iż paczki będą imienne. Aż do 24 grudnia nazwiska internowanych w Białoleńce stanowiły tajemnicę i dlatego paczki zaadresowano na nazwiska osób z listy ogłoszonej przez trybunę ludu 14 grudnia. Doprowadziło to do sytuacji, iż cela, w której siedział Adam Michnik była tak zawałona paczkami, iż nie można było domknąć drzwi a nam zaczęto przydzielać paczki zaadresowane na Lecha Wałęsę. Paczki, które przypadły na naszą celę były skromne tak jak skromne były możliwości ofiarodawców. Liczyła się solidarność z nami i byliśmy bardzo wzruszeni otrzymując używaną ciepłą odzież, papierosy, cebulę, boczek, jabłka - odjęte od ust ale ofiarowane ze szczerego serca.

24 grudnia w Wigilę Bożego Narodzenia wreszcie dotarli do nas księża z parafii św. Marcina a na tą okazję pootwierano cele i pozwolono wziąć udział we wspólnej Mszy św., odprawionej na korytarzu. Ołtarz zrobiony ze stołu przykryliśmy prześcieradłem, do mszy służył Krzysztof Śliwiński a mszę odprawiali księża Bronisław (obecnie biskup) Dembowski oraz Jan Sikorski (obecnie Infułat). Z uwagi na stan wojenny i niepewność naszych losów wszystkim udzielono absolutorium i w związku z tym mogliśmy przystąpić do

Komunii św. Bez konieczności spowiedzi. Kilkunastu z nas, w tym piszący te słowa, skorzystało z krótkich spowiedzi, polegających na wyrażeniu żalu i uzyskaniu rozgrzeszenia. Msza św. stanowiła doskonałą okazję do rozpoznania przyjaciół uwiecznionych w celach poza naszą grupą spacerową. M in. Podszedł do mnie jeden ze znanych mi działaczy KPN – Bernard Koleśnik, pytając jak się czuję po nagłym aresztowaniu i jak przewiduje najbliższą przyszłość. Umówiliśmy się, iż będziemy sobie przekazywać grypsy a tymczasem Msza się rozpoczęła. Pod koniec mszy okazało się, iż wśród więźniów krążyły kartki z tekstem kolędy, napisanej przez Maćka Zembatego i mieliśmy zaśpiewać ją na zakończenie na melodię „Bóg się rodzi”. Gruchnęła pieśń tak potężna, że zadrżały mury więzienia, jak by napisał poeta, ale w rzeczywistości mało było wśród nas takich, którym nie pokazała się łza w oku.

Bóg się rodzi a rodacy po więzieniach rozrzuceni.

Bo marzyła im się Polska niepodległa na tej ziemi

Solidarni i odważni, górnik, rolnik i stoczniowiec

Dziś zanosza do Ciebie modły: daj nam wolność Panie Boże.

Cóż nam druty, cóż nam kraty, gdy w jedności naszej siła.

Z pierwszym brzaskiem wszędzie słońce, zbudzi się Ojczyzna miła.

Matki, żony siostry, dzieci same przy świątecznym stole.

Tylko szatan mógł zgotować, naszym bliskim taką dołą.

Podnieś rękę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą.

W trudnych chwilach, w złej godzinie wspieraj jej siłę swą siłą.

By się zdrajcom nie zdawało, że zawładną Polską całą

A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami.

Białoleka nie była jedynym obozem, w którym powstały tego dnia kolędy internowanych na tą samą melodię. W Załężu, dokąd

trafiłem w sierpniu 1982, ułożono tekst następujący:

Pociesz Jezu kraj płaczący, zasiej w sercach prawdy ziarno.

Siłę swoją daj walczącym, pobłogosław „Solidarność”.

Więźniom wszystkim daj wytrwałość, pieczę miej nad rodzinami

A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami.

Matkom, żonom ześlij siłę, otrzymaj łzy czekania dzieciom

A nam wszystkim Panie miły, daj nam Boże dobry wieczór.

Zaśpiewamy wtedy razem, te kolędę za kratami,

A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami.

Otrzymaliśmy od księży opłatki, którymi mogliśmy się później podzielić przy Wigilijnym stole, „obdarowując” ich wzamian uaktualnionymi listami internowanych oraz grypasmi do rodzin. Ze spacerniaka ściągnęliśmy jakieś gałązki, choinkę zrobiliśmy ze styropianu, w który te gałązki powtykaliśmy a dania wigilijne tworzyła nasza więzienna kolacja czyli żółty ser, smalec i chleb, plus kawałek boczku, cebula, jabłka otrzymane w paczkach, życzenia składaliśmy sobie wzajemnie takie same: doczekania Wolnej Polski. Rzadko się zdarza wypowiedzieć życzenia w takich warunkach i z taka mocą – one musiały się spełnić!

25 grudnia 1982 roku był pierwszym dniem widzeń, możliwym dzięki przekazanym przez nas do Komitetu Prymasowskiego listom internowanych. Do tej pory nasze miejsca pobytu były ukryte przed światem a rodziny mogły snuć najgorsze domysły na temat naszych losów. Ja również nie byłem pewny losów Joli rozumując, iż skoro na Mostowo zgłosiła się Iwonka a o Joli Żegota nic nie wspomniał, to będąc we władzach KKK Łączności mogła podzielić los Andrzeja Skowrona.

Od rana przez szczekaczki co kilkanaście minut rozlegały się

komunikaty:

Panowie Iksiński, Igreczyński, itd, proszę się przygotować do widzenia.

Gdy padało nazwisko kogoś z naszej celi, wywołany skakał do góry a my cieszyliśmy się razem z nim. Nie pamiętam już kto i w jakiej kolejności otrzymał widzenie, wiem tylko, iż moje nazwisko zostało wyczytane jako jedno z ostatnich, w ostatnim z tej serii dniu widzeń czyli w niedzielę, 27 grudnia 1981 roku. Od odczytania mojego nazwiska, do otwarcia celi przez klawisza ze słowami:

- Pan Skowron, Bolko na widzenie – minęła wieczność.

Na widzenie przyjechały Jola z Iwonką. Gdy powiedziałem im o mojej rozterce oczekiwania, opowiedziały mi swoją historię. Przede wszystkim zezwolenia na widzenie z internowanymi nie udzielał bezpośrednio komendant obozu tylko komendant stołeczny MO. Najpierw musiały się wystać w długiej kolejce na Mostowie, gdzie okazało się, iż wszystkie dane zostały przekazane go ośrodka internowania i o ile wzmiankowany osobnik spełnia warunki to widzenie otrzyma. Z tym ustnym zapewnieniem pojechały do oddalonej od miasta Białoleki, do której dochodził tylko jeden, kursujący co pół godziny autobus 152, gdzie w dalszym ciągu nie potwierdzono im mojej obecności nakazując wypełnienie wniosku i czekanie na wywołanie. W związku z ciasnotą budyneczku, w którym wypełniało się podania o widzenie, większość rodzin musiała czekać na zewnątrz przy trzaskającym mrozie, utrzymującym się od kilkunastu dni. Jedynym potwierdzeniem uwięzienia w Białolece miało być wywołanie nazwiska internowanego przez oficera. Jola zdążyła już ustalić miejsce mojego pobytu w Komitecie na Piwnej, gdzie dostarczyliśmy listy za pośrednictwem kochanych księży Dembowskiego i Sikorskiego. Ponieważ jednak część in-

ternowanych przewieziono do Jaworza, część odesłano do aresztu na Mostowie celem wznowienia śledztwa, a część zwolniono – w dalszym ciągu pozostała niepewność czy się im uda ze mną zobaczyć. Po uzyskaniu informacji, iż widzenia na dzień dzisiejszy zostały zakończone, przemarznięte do szpiku kości moje kochane Dziewczyny wróciły na drugi koniec miasta na Służewiec. Sytuacja powtórzyła się następnego dnia i dopiero w niedzielę, 27 grudnia, moje nazwisko zostało wyczytane jako jedno z ostatnich.

Radości ze spotkania nie da się po prostu opisać. Padliśmy sobie z Jolą w objęcia i tak trwaliśmy kilka minut, powtarzając:

Tak bardzo się za tobą tęskniłam(em), najdroższa(y)

Obie miały łzy w oczach ale starały się ukryć wzruszenie by nie psuć mi nastroju. Opowiadałem o kawałach jakie wyprawialiśmy, m.in. o bałwanie – jaruzelu, o posyłaniu klawisza do Watykanu w celu ustalenia imienia pana Skowrona. Podczas oczekiwań przy ustawionym wreszcie koksowniku, zdążyły już poznać Kasię Skowron, żonę Andrzeja i przeżyły rozczarowanie, gdy dowiedziały się, iż to nie ten Skowron otrzymał widzenie w drugim dniu. W każdym razie starałem się prowadzić rozmowę lekko, omijając wszelkie niedogodności uwięzienia, by osłodzić im bolesną rozłąkę. W grypsie, który napisałem dwa dni temu, a który przekazałem Joli pod stołem, napisałem o moich uczuciach do niej, jak bardzo za nią tęsknię i jak bardzo się cieszę, że Bóg nas razem złączył. Gdy czytała ten gryps w drodze powrotnej, nie mogła opłacać łez, których nie chciałem podczas widzenia. Jola przechowała większość z tych oraz ocalonych przed kipiszami jej grypsów i oficjalnych listów do mnie, a następnie przewieźć przez Atlantyk i przechować po dzień dzisiejszy. Pisząc te wspomnienia otworzyłem pudełko oznaczone jej kochanym pismem: „stare nasze listy (koresp. z Białąłęką)“.

Mój dobry nastrój okazał się zaraźliwy, ponieważ obie stopniowo zaczęły się uśmiechać koncentrując na radości ze spotkania, odkładając tęsknotę i niepokój na później.

- *Cieszę się, że nie udało im się ciebie zgłębić ani złamać ducha* – powiedziała Jola.

- *Jestem z taty bardzo dumna* – dodała Iwonka.

Dziewczyny przywiozły również prowiant, który, mimo ograniczeń udało im się przemyścić pod futrami. Kochane, musiały sobie odjąć od ust, ponieważ wszystko było reglamentowane a zdobyć cokolwiek graniczyło z cudem. Chciałem im oddać zawartość paczki ale ostro zaprotestowały:

- *My mamy możliwości, których ty nie masz i nie możesz nam sprawić przykrości odmową.*

Dowiedziałem się, że Perełka pokazuje paluszkami na moje zdjęcie mówiąc „ma dziadzia”, czyli nie ma dziadka, rozwija się w szybkim tempie i tylko patrzeć jak wkrótce zacznie chodzić.

Obowiązująca podczas stanu wojennego cenzura, mimo oczywistego łamania podstawowych praw, zawierała również elementy komiczne. Szczęśliwi rodzice niedawno narodzonego dziecka napisali w liście do rodziców, m.in. „nasz Błażej już siedzi”, na co cenzor zamazał flamastrem dwa ostatnie słowa, zastępując je: „jest internowany”. Komunistyczna nowomowa, która rozwinęła swe skrzydła ponownie po 13 grudnia, nie dopuszczała określania instytucji internowania jako uwięzienia. Gdy pod koniec roku 1982 mój adwokat rozmawiał w KSMO w sprawie konieczności przeprowadzenia badań, odpowiedziano mu, iż mogę je zrobić bez konieczności wychodzenia na przepustkę.

- *Trudno jest robić specjalistyczne badania siedząc w kryminale* – zauważył mój adwokat (wykonujący swoje funkcje, jak większość warszawskich adwokatów w przypadkach objętych de-

kretem o stanie wojennym – nieodpłatnie).

- *On nie siedzi w kryminale, tylko przebywa w ośrodku internowanych* - sprostował ubek.

Z innym, kuriozalnym przypadkiem nowomowy zetknąłem się 2 lata później, już na terenie USA. Dekret o stanie wojennym pozbawiał obywateli polskich, zamieszkałych na stałe poza granicami Polski przywilejów dostępnych wszystkim obywatelom polskim bez względu na miejsce zamieszkania, czyli podróżowania do Polski bez konieczności uzyskania wizy, oraz obowiązkowej wymiany waluty po złodziejskim kursie. Oficjalne kursy walut obcych miały charakter fikcyjny, gdyż polski złoty i tak nie był uznawany w żadnym cywilizowanym kraju jako wymienialna waluta. Dla zamyślenia opinii publicznej reżim nie używał terminu wiza, zaspępując go „klauzulą, zezwalającą na wjazd do PRL z określonym czasem pobytu”.

- *Przecież pan właśnie podał definicję wizy* – powiedziałem konsulowi, gdy Jola starała się o wyjazd do Polski w celu spotkania z rodzicami, raz w roku 1984, ale wówczas jeszcze nie mieliśmy green cards, a następnie w 1986, kiedy wizę udzielono jej z prawem pobytu do 14 dni na terenie PRL.

Po widzeniu nasze nastroje się poprawiły o czym napisaliśmy zgodnie w wymienianych między mną a Jolą grypsach. Uspokoilem się, że Joli na razie nie zagraża niebezpieczeństwo aresztowania; widocznie czerwony uznał, iż wydalenie jej z pracy po nienagannie przepracowanych 19 latach w resorcie łączności, stanowiło wystarczającą „karę” za samodzielność myślenia.

28 stycznia padł ostatni bastion oporu przeciwko stanowi wojennemu. Odcięci od świata, pozbawieni żywności i napojów górnicy Kopalni Węgla Kamiennego Piast w Bieruniu, zdecydowali się wyjechać na powierzchnię, kończąc 14-dniowy strajk podziem-

ny i wydłużając na czas nieokreślony nasze i całego społeczeństwa nadzieję, na ponowne życie w godności. Jan Michał Zazula i Jan Krzysztof Kelus napisali balladę poświęconą temu wydarzeniu, której tekst dotarł do nas miesiąc później. W kwietniu, autor melodii oraz wielu innych patriotyczno-satyrycznych ballad, i mój sąsiad, (zamieszkały przy ul. Raszyńskiej) Jan Krzysztof Kelus, popularnie nazywany JKK trafił do Białoleki, m.in. za odtwarzanie tej ballady.

*Wyjeżdżajcie już chłopcy od „Piasta”,
Pora chłopcy opuścić tę dziurę,
Baby płaczą, napiekły Wam ciasta,
Złota klatka uniesie Was w górę.*

*Wyjeżdżajcie, już szychta skończona,
Pielęgniarki i lekarz są w szatni.
Porozwożą Was „suki” po domach,
Mają wszystkich. Wasz szyb był ostatni.*

*Pan pułkownik wyciągnie sam rękę,
Gdzieś w kantorku bulgoce już czajnik,
Żona z Wujka ma czarną sukienkę,
A poza tym jest wszystko normalnie.*

*Śpijcie w domach spokojnie do rana,
Nikt nie będzie się z Wami targować,
Jutro druga pojedzie w dół zmiana.
Trza fedrować! Fedrować! Fedrować.*

*Ze dwudziestu nie wróci górników,
Pięciu zniknie, czterech stanie przed sądem,*

*Trzech oplują w wieczornym „Dzienniku”,
Dwóch jest nie stąd. A reszta Jest z rządem.*

*Ład i spokój, i praca na górze,
Pojedyncze są jeszcze przypadki...
Wolny kraj. Co Was trzyma w tej dziurze
Czas się zbierać, czas wchodzić do klatki.*

Następne widzenie przypadło nam w udziale już za kilka dni czyli 1 -go stycznia 1982, w dniu urodzin Joli i dzień przed moimi. Tym razem Jola przyjechała do mnie sama i nasze spotkanie mogło mieć bardziej intymny charakter. Oboje przekonaliśmy się jak głęboka i silna miłość, którą może przerwać tylko śmierć jednego z nas, połączyła nas ponad 20 lat temu. Po bałaganie z widzeniami w okresie świąt Bożego Narodzenia, władze obozu, w porozumieniu z KSMO – stanowiącą zwierzchność nad kierownictwem – ustaliły częstotliwość widzeń zredukowaną do jednego przypadku miesięcznie, w sobotę, niedzielę lub dzień świąteczny, z datą uzgodnioną uprzednio, dla uniknięcia tłoku na Sali widzeń. Widzenie styczniowe mieliśmy zatem już zaliczone i musieliśmy się sobą nacieszyć – niestety tylko audiowizualnie, trzymając się za ręce z gorącymi pocałunkami na powitanie i pożegnanie – aż do następnego miesiąca. Jakież więc było moje miłe zaskoczenie, gdy w niecały tydzień później, 6-go stycznia wywołano moje nazwisko, a w kilkanaście minut później przytuliłem moja ukochaną żonę na Sali widzeń! Nie był to oficjalny dzień widzeń i sala była pusta, czyli każdy nasz ruch czy gest był monitorowany przez kilku funkcjonariuszy służby więziennej. 6 stycznia 1962 roku, czyli dokładnie 20 lat temu powiedzieliśmy sobie z Jolą sakramentalne „tak” w Kościele pw. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy na Saskiej Kępie w Warszawie.

- Jak się cieszę, że cię widzę! - powiedziałem na powitanie – jak to załatwiłaś, kochanie? – zapytałem biorąc jej rączki w moje dłonie.

- To ty mnie nauczyłaś, że nie ma spraw nie do załatwienia, gdy się tego mocno pragnie – odpowiedziała Jola. – Wzięłam akt ślubu, dołączyłam do podania, na którym napisałam, iż mieliśmy planowaną uroczystość 20-lecia. Ponieważ wiedziałam, że będą musieli zrobić odstępstwo od zasad, użyłam proszalnego tonu w rodzaju: „mam nadzieję, iż osoba czytająca to podanie zrozumie uczucia, jakie są udziałem moim i mojego ukochanego męża od 20 lat”.

- Moja ukochana bohaterko – uśmiechnąłem się – to ty powinnaś być z siebie dumna, skarbie. Moim zadaniem jest tylko wytrwanie w niewoli, a ty musisz się starać o wszystko. Nie wiem co bym bez ciebie zrobił.

- A ja bez ciebie, najdroższy – odpowiedziała.

Podanie Joli musiało rzeczywiście trafić do osoby, w której biurokratyczna rutyna nie zaćmiła ludzkich uczuć a we mnie odmieniła sposób patrzenia na służbę więzienną. Oni mieli płacone za wykonywanie obowiązków, do których należało po pierwsze: przeciwdziałanie jakimkolwiek próbom ucieczki czy buntu, a po drugie: zapewnienie nam możliwie godziwych warunków bytowania w ramach regulaminu. Większość z internowanych zgodziła się, iż „klawiatura” nie jest naszym wrogiem, gdyż poza nielicznymi wyjątkami nie starali się być upierdliwi, idąc na różne odstępstwa regulaminowe, często opłacone „pakulcem” czyli paczką wciąż reglamentowanych papierosów. Wiadomo, iż w Polsce tylko ryba nie bierze.

Bywały również inne przypadki niespodzianek na Sali widzeń. Jeden z naszych kolegów – nazwiska nie wymienię – miał romans

na boku, wysyłając grypsy zarówno do żony jak i do nieoficjalnej partnerki. Podejrzewam, iż intryga nie była uknuta przy ul. Ciupa-gi 1, tylko w Pałacu Mostowskich. W każdym razie korespondencja została przechwycona przez SB i delikwentowi załatwiono podwójne widzenie z obiema paniami w tym samym dniu i godzinie.

Do następnego widzenia minął kolejny długi miesiąc, kiedy to 6 lutego odwiedziła mnie cała trójka: Jola, Iwonka i Perełka. Perełkę poznałem po śpioszkach bo tak była zmieniona: bardzo urosła i zaczęła już chodzić; na razie trzymając się krat ale przez chwilke była zdolna utrzymać się samodzielnie na nogach. Nie pamiętam co mi przyniesiono na widzenie – chyba jakieś ciasto - ale Perełka postanowiła mnie „nakarmić” wsuwając mi do ust kawałki ciasta i śmiejąc się przy tym do rozpuku.

Poza pierwszym, postnym tygodniem, kiedy skazani byliśmy wyłącznie na więzienny wikt, nie mieliśmy prawa narzekać na wyżywienie. Oprócz paczek od rodzin i wiktuałów otrzymanych na widzeniach, którymi solidarnie dzieliliśmy się, dostawaliśmy paczki z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża (zawierające głównie środki czystości z firmy „Green Apple” i papierosy, okazynie konserwy i owoce) , od anonimowych ofiarodawców za pośrednictwem Komitetu Prymasowskiego a także nowalijki i owoce od podwarszawskich rolników. Jeden z nich, niestety zapomniałem nazwiska, został internowany w kwietniu lub w maju i miał okazję jeść własne rzodkiewki w więziennej celi. W każdym razie nie tylko byliśmy uniezależnieni od specjalności białoleckiej kuchni jak „cyce” i „beton” (cycami nazywano najpodlejszy gatunek tłuszczu starych macior, gotowany bez przypraw a betonem groch puree, podawany w [p]staci masy o konsystencji zgęstniałej zaprawy cementowej) ale mogliśmy powiedzieć, iż żywieni byliśmy lepiej od większości społeczeństwa, skazanego na kartki, 100%-ową pod-

wyżke cen żywności w lutym, i ciągłe braki w zaopatrzeniu. Uczciwie należy przyznać, iż jedną potrawą białolecka kuchnia mogła się pochwalić czyli gotowany boczek, serwowany raz tygodniu. Ponadto miejscowa piekarnia piekła chleb tak dobry, o jaki trudno było na mieście. Był to chleb biały w odróżnieniu od razowca – też bardzo smacznego – serwowanego w Załężu.

Od samego początku zastanawialiśmy się nad naszymi dalszymi losami a przede wszystkim, czy czerwony ma jaką koncepcję w tej materii. Zwolnienia, głównie tych, co w wyniku uczęszczania na „rozmowy” podpisali lojalkę, nie mogły objąć wszystkich a zwłaszcza tych, co do których nie mogło pozostawać cienia wątpliwości, iż po wyjściu będą szkodzić, tzw. „normalizacji” na modłę i pod pełną kontrolą reżimu. Zmiękczenie zmiennymi warunkami uwięzienia mogło również dotyczyć tylko nielicznych, gdyż zdecydowana większość z nas stanowili ludzie nie do złamania. Jeszcze przed stanem wojennym krążyło wśród działaczy legalnie działającej wówczas Solidarności i pół legalnej opozycji pytanie:

Jaka jest różnica między optymistą i pesymistą?

Pesymiści uważają, że nas popędzą na Sybir.

No dobrze, a optymiści?

Optymiści mają nadzieję, że nas wywiozą na Sybir.

Najgłupszą rzeczą, jakiej można się było spodziewać byłaby fizyczna likwidacja nas. Znając skłonność czerwonego do popełniania najgorszych głupstw, musieliśmy brać pod uwagę również i tą ewentualność, jakkolwiek bardzo wątpliwą z uwagi na rozpaczliwe próby zachowania twarzy wobec Zachodu przez juntę. Z drugiej strony przed każdą planowaną demonstracją czy inną akcją podziemnej opozycji, przedstawiciele reżimu ostrzegali, iż los internowanych zależy w dużym stopniu od zachowania się społeczeństwa. Dawało to nam w pewnym sensie status zakładników,

stanowiących w rękach reżimu element przetargowy. Dochodziły do nas plotki, iż nasz wschodni sąsiad proponował zajęcie się najbardziej szkodliwym elementem, poprzez przekazanie nas agendom KGB. Ksiądz Bronisław Dembowski (obecnie biskup) jadąc do Jaworza milicyjnym mikrobusem opowiadał kiedyś towarzyszącym mu ubekom, krążącym po Warszawie kawał:

- *Do baru mlecznego wchodzi klient i pyta:*
- *Czy są ruskie w kabulu? – na co padła odpowiedź:*
- *Nie ma, może jutro. Inny klient:*
- *Czy są ruskie w kabulu?*
- *Nie ma, może jutro.*

Zirytowany powtarzającymi się codziennie pytaniami, personel baru mlecznego wywiesił w końcu na wystawie napis: „NIE MA RUSKICH W KABULU”.

Żaden z ubeków się nie roześmiał, natomiast po pewnym czasie jeden z nich skomentował:

- *Gdyby zamiast nas byli Ruskie, to odwiedzałby ksiądz swoich podopiecznych tylko raz w roku; 1-go listopada.*

W styczniu, po zwolnieniu kilkudziesięciu internowanych i wywiezieniu kilkunastu do Jaworza, nastąpiło znaczne rozgęszczenie cel. W połowie miesiąca wywołano do wyjścia Waldka Jakubika, który cieszył się jak dziecko wykrzykując: „wolność, wolność”. Później okazało się, iż nie wyszedł na wolność tylko został przetransportowany do Jaworza, gdzie była lepsza opieka lekarska, a której rzeczywiście potrzebował. W kilka dni później po kolejnej amnestii (i po zainstalowaniu podsłuchu, gdyż zaobserwowaliśmy roboty kablowe na spacerniaku, poprzedzające przeniesienie) opróżniono z więźniów kryminalnych barak OZ2 ustawiony prostopadle do OZ1 z ogrodzonym siatką przejściem pomiędzy nimi i przeniesiono doń część internowanych z baraku pierwszego. Z na-

szej celi przeniesiono Jurka Bielca a ponadto dano nam możliwość wyboru celi. Skorzystali z niej Trufel i Stepowy a w lutym odszedł od nas również Wiesiek. 25 stycznia 1982 roku odbyło się pierwsze od momentu zawieszenia 13 grudnia 1981, posiedzenie sejmu PRL, który przy jednym głosie sprzeciwu (bezpartyjny poseł Romuald Bukowski 1928-1992) uchwalił post factum dekret o stanie wojennym. Podczas posiedzenia zabrał głos szef wrony Jaruzelski, rozwlekając oklepane brednie o wrogach ustroju, utrudniających „normalizację”, dla których nie będzie pobłażania. Wreszcie wykrztusił znamienne zdanie, które wywołało zbiorowy okrzyk ulgi we wszystkich celach, a które spowodowało zwrot o 180° w moim i wielu tysięcy osób, życiu:

„...nikogo na siłę deportować nie bedziemy. Natomiast, jeżeli ktoś z uwagi na swą antysocjalistyczną działalność, której się nie chce wyrzec, uzna za stosowne osiedlić się w dowolnie wybranym kraju, to nie będziemy stawiać tym osobom przeszkód”.

Ten wariant również przewidywaliśmy i mimo początkowego braku entuzjazmu, pod koniec roku a zwłaszcza w roku następnym, wymuszona emigracja objęła kilkadziesiąt tysięcy osób. Deklaracja ta wywołała uczucie ulgi, gdyż była raczej dowodem na to, iż ani fizyczna likwidacja ani przymusowa deportacja do Rosji nie wchodzi w rachubę. Kilka dni później Prezydent USA Ronald Reagan ogłosił dzień solidarności z narodem polskim i obiecał udzielenie azylu politycznego polskim więźniom politycznym. Definicja azylu nie znajduje zastosowania w prawie amerykańskim i zamiast azylu był to status uchodźców politycznych. Jak już wspomniałem, do oferty tej większość z nas początkowo odniosła się sceptycznie, gdyż było to przyznanie się do porażki. Inne głosy utrzymywały, iż status jeńców wojennych lub jak kto woli zakładników praktycznie od momentu aresztowania wyłączył nas z czynnej walki o powrót

do sytuacji sprzed 13 grudnia 1981. Jaruzelski podczas sejmowego wystąpienia kilkakrotnie podkreślił, iż powrotu do sytuacji sprzed 13 grudnia nie będzie. Czy nam, osobom znanym policji politycznej, odizolowanym od środowiska poprzez masowe zwolnienia byłych internowanych z pracy, będzie możliwe włączenie się w powstałe po naszym uwięzieniu struktury opozycji, działającej w zupełnie innych warunkach i na zupełnie odmiennych zasadach?

Watpliwości powyższe i dyskusje typu: „jechać, nie jechać” nie wywołały masowych wystąpień o kwestionariusze paszportowe, co stanowiło dla wrony niemiłe zaskoczenie. W tej sytuacji, ktoś z bliskiego otoczenia Kiszczaka wpadł na szatański pomysł ustrzelenia dwóch zajęcy za jednym strzałem: pozbycia się notorycznych kryminalistów, oraz skompromitowania działaczy opozycji na Zachodzie, dokonując masowych internowań osób o kryminalnej przeszłości, umieszczania ich wraz z nami i nakłaniania do wystąpienia o paszporty, pod rygorem nieokreślonego okresu uwięzienia bez przedstawienia zarzutów. Na podobny pomysł wpadł również dwa lata wcześniej kubański dyktator Fidel Castro, dokonując amnestii więźniów kryminalnych oraz zwalnianych pacjentów zakładów psychiatrycznych, rzekomo przymykając oko na ich ucieczkę a faktycznie organizując ich przerzut do USA. Usiłowano również pozbyć się za wszelką cenę „zarazy” z resortu spraw wewnętrznych czyli funkcjonariuszy MO organizatorów niezależnych związków zawodowych. W marzeniach czerwonego widniał scenariusz podobny do wydalenia Aleksandra Sołżenicyna z sowieckiej Rosji, czyli dostarczenie suką na pokład samolotu. Plany te pokrzyżowały władze amerykańskie oraz innych krajów, które wymagały od kandydatów na uchodźców politycznych dwóch czynników: 1. Czystego rekordu z centralnego rejestru skazanych 2. Osobistego stawiennictwa w konsulacie i dobrowolnego wystąpienia o status uchodźcy. Instytucję internowania kryminalnych zaniechano w połowie czerwca, w czym pomogli sami zaintereso-

wani, dokonując masowo połyków lub pochlastania^[100] w celu transportowania ich do wolnościowych szpitali. Ubecja nie chciała mieć z nimi nic wspólnego, gdyż to nie oni stanowili zagrożenia dla władzy i przemykała oczy na ich uwolnienie się od połyków, oraz ułatwiając im ucieczki poprzez zdjęcie eskorty w szpitalach. Internowani milicjanci odczekali spokojnie do uwolnienia a wyemigrowała mniej niż połowa z nich. Po roku 1989 stanowili prawdziwy skarb odrodzonej policji w Niepodległej Polsce i część z nich po kilku latach emigracji powróciła. Od pierwszych dni jednym z zajęć w obozie była produkcja pieczętek wykonanych z wyciętego z podłogi linoleum, które przystawialiśmy na wysyłanych na zewnątrz, drogą nieoficjalną, listach. Przypomniałem sobie wówczas niewykorzystywane przez lata zdolności rysunkowe stając się autorem kilkunastu z nich. Po otrzymaniu z zewnątrz odpowiedniej ilości pasty do butów oraz innych materiałów, z których można było zrobić więziennym sposobem farby, malowałem również na ścianach cel logo Solidarności, KPN, Godło w koronie lub karykatury Breżniewa i Jaruzelskiego. Oprócz mnie było kilku autorów pieczętek, z których najbardziej utalentowany był Tadek Bartczak – współzałożyciel związku milicjantów – który nie tylko projektował ale wykonywał wielokolorowe pieczątki, m.in. z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej. Do czołowych projektantów należał również Józek Ruszar – redaktor więzi i korespondent Tygodnika Solidarność, który po wyjściu wyemigrował do Niemiec, później do USA i przez jakiś czas był redaktorem Radia RWE w Monachium i w Nowym

100 Połyk – stosowany przez więźniów kryminalnych zwyczaj, polegający na połknięciu ostrych przedmiotów w taki sposób, by można je było usunąć tylko operacyjnie. Więźniowie opracowali jednak sposoby umożliwiające pozbycie się tych przedmiotów jak np. elektrody spawalnicze lub „choinki” czyli odłamki blachy o takim kształcie. Pochlastanie polegało na pocięciu żył powodującym wykrwawienie i wymagającym niezwłocznej transfuzji. Oba te zabiegi miały na celu wydostanie się do wolnościowego szpitala a w konsekwencji ucieczkę.

Jorku. Powrócił do Polski w 1996 roku, pracując jako dziennikarz, redaktor telewizyjny, autor licznych książek. Dzielił się celę nr 3 wraz z Janem Tomaszem Lipskim w obozie w Załężu. Najbardziej precyzyjnym wykonawcą pieczętek był Zbyszek Sarata – również inżynier-elektryk, który potrafił idealnie podrabiać pocztowe datowniki, a wykonał ich kilkadziesiąt na różne daty

Wracając do spotkanego rano, 24 grudnia rankiem na korytarzu Benka Kolesznika. Po blisko 26 latach otrzymałem z IPN komplet dokumentacji w mojej sprawie, którą prowadziło dwóch ubeków i każdy z nich napisał podobną opinię w oparciu, jak się domyślałem, o donosy złożone przez kogoś, z kim byłem otwarty w rozmowie. Oto fragment, jednej z opinii, wydanej 19 listopada 1982 r. przez naczelnika wydziału III-2 ppłk. K. Dzienia:

...w/w kryptonim Ptak, Pełnił funkcję t.zw. koordynatora „zespołu usługowego d/s szkolenia” powstałym przy KPN „obszar Centralny”. Uczestniczył w zebraniach kierownictwa Obszaru centralnego KPN, które odbywały się w lokalu Klubu kierowanym przez niego tj PTTK Warszawa, ul. Mołdawska 7 oraz w zebraniach Społecznego (w rzeczywistości Obywatelskiego, a pełną nazwę zaproponowałem ja i została przez wszystkich członków jednogłośnie przyjęta) Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Zbrodni Katyńskiej. Po wprowadzeniu stanu wojennego w ramach akcji „Klon” w dniach 18-19.12.81 r. z B. SKOWRONEM przeprowadzono rozmowy operacyjne, w trakcie których stwierdził, że identyfikuje się całkowicie z ideologia głoszona przez KPN. (niczego nie stwierdziłem, bo odmówiłem udzielania odpowiedzi na wszelkie pytania – zmyślenie ubeka). Odmówił podpisania deklaracji lojalności. Decyzją Z-cy Komendanta Stołecznego MO w dniu 19.12.81 r. B.SKOWRON został internowany.

W trakcie pobytu w Białołęce B.SKOWRON nie zmienił swo-

jego stanowiska. W rozmowach z internowanymi (przez kilkadziesiąt lat zastanawiałem się, z którymi) twierdził, że obecnie tylko KPN jest jedyna organizacja zdolną do podjęcia walki zbrojnej z „reżimem”. Z kręgu byłych władz regionu „Solidarność Mazowsze” najwyżej ocenił osoby: BUJAKA, Jaworskiego, ONYSZKIEWICZA, FIJAŁKOWSKIEGO (który nigdy nie był w zarządzie ZR Mazowsze) a NZS uważał za jedną z komórek do walki politycznej i zbrojnej przeciwko wojsku (zmyślenie kapusia, który, być może otrzymał obietnicę podwyżki za pokoloryzowanie raportu)

W innej teczce dokumentów IPN mogłem odczytać niemal dosłowne fragmenty powyższego raportu , datowane 19 stycznia 1982 r. a zatem 10 miesięcy wcześniej, opatrzone kaluzulą: „tajne spec. znaczenia Egz. Poj.” i zatytułowane:

Wyciąg z informacji operacyjnej uzyskanej przez Wydział śledczy w ośrodku odosobnienia w Białoleńce dot. Ob. Bolko SKOWRONA, rozpoczynający się od zdania:

„..... Bolko Skowron /aktywista KPN, autor wielu artykułów zamieszczonych m.in w „Solidarności” (w rzeczywistości wydrukowano tylko dwa)/

a ciąg dalszy pokrywał się z poprzednim pismem. Zakończenie raportu brzmiało:

...wprowadzenie stanu wojennego w dniu 12 grudnia 1981 r.(sic! Stan wojenny oficjalnie wprowadzono dzień później) było dla Skowrona zaskoczeniem. W obecnych warunkach widzi możliwość walki z władzą poprzez organizowanie podziemnego ruchu oporu, aż do powstania powszechnego. Uważa, iż potrzebne jest zorganizowanie prowokacyjnych wystąpień zbrojnych przeciwko wojsku. Stwierdził, że „Geremek zapowiedział śmierć systemowi”.....” za zgodność ppor Anklewicz Andrzej¹⁰¹.

101 Andrzej Anklewicz (ur. 22 sierpnia 1953 w Warszawie) – polski pra-

IPN udostępnił również relację TW Marka Walickiego (Bernarda Koleśnika) spisaną przez ppor. Andrzeja Anklewicza, w której czytamy m.in, na temat podziałów panujących rzekomo między barakami OZ1 i OZ2:

OZ1 uważa się za przejściowy dla tych, którzy mają być sukcesywnie zwolnieni, zaś w OZ2 przebywa „ekstrema”, czyli ci, którzy mają być dłużej internowani... celem odizolowania od więźniów pospolitych. Podział ten... nie jest oczywiście doskonały. Na OZ1 są osoby, które mają wpływ ten sam, co większość osób na OZ2 /m.in. Melak, B. Skowron, W. Ostrowski, A.Grzesiak,, działacze NZS-u, działacze ZZFMO/...

Fakt, iż w baraku OZ2, znalazło się więcej osób z „nazwiskami” jak np. Adam Michnik, Emil Morgiewicz, Maciej Kuroń, Antoni Zambrowski, Konrad Bieliński, i inni, mógł sugerować, iż podział zaobserwowany przez TW Marka Walickiego (Bernarda Koleśnika) miał jakieś podstawy, tymczasem przemieszczanie internowanych w obie strony teorii tej przeczyło. W każdym razie Benek starannie zapracował na swoje judaszowe srebrniki, zdobywając moje, Stefana i nie tylko, zaufanie jako sympatyczny, pracowity i oddany sprawie niepodległości facet. Zacytuję informacje zamieszczone we Wprost w artykule „Policjant niepamięci”

cownik administracji i polityk, a także były oficer polskiej Służby Bezpieczeństwa i kontrwywiadu w czasach PRL. Jest absolwentem Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Był oficerem Służby Bezpieczeństwa i kontrwywiadu, funkcjonariuszem Komendy Stołecznej MO, a od 1982 pracował w MSW. Zajmował się m.in. rozpracowywaniem opozycji niepodległościowej. Członek PZPR od 1974. Po 1989 był wicedyrektorem gabinetu Andrzeja Milczanowskiego szefa resortu spraw wewnętrznych. Kierował zespołem doradców premiera Józefa Oleksego, a po tym, jak Oleksego oskarżono o rzekome związki z rosyjskim wywiadem, został wiceministrem w MSW. Swego czasu podejrzewany o bycie osławionym Olinem. Od stycznia do listopada 1997 był szefem Straży Granicznej. W 2001 został szefem Generalnego Inspektoratu Celnego. Od 2004 doradca Zbigniewa Wróbla ds. bezpieczeństwa i dyrektor ds. bezpieczeństwa i kontroli Orłenu. Jest również członkiem Instytutu Przetwarzania Specjalskich).

Jan Piński, Wprost 25/2008 (1330) na temat działalności tego agenta:

Aktywność i ofensywność Koleśnika sprawiała, że SB starała się wykorzystać go wszędzie tam, gdzie działo się coś ważnego. Dlatego w 1981 r. wziął on udział w I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność” w Gdańsku. „W czasie trwania zjazdu przekazał 13 pisemnych informacji operacyjnych, pisanych w 2 egz. Informacje te, jak wynika z oryginałów przesłanych z KW MO w Gdańsku, były wysoko oceniane przez kierujący zabezpieczeniem zjazdu sztab. Były one wykorzystywane do opracowania informacji dziennych z przebiegu zjazdu oraz codziennej opracowywanej oceny operacyjnej” – pisał ppor. Ankiewicz. 13 grudnia 1981 r. dla uwiarygodnienia agenta podjęto decyzję o internowaniu Koleśnika w Białogłocie. Jego opiekun z SB napisał: „TW jest zadowolony z tego, że siedzi”. A Koleśnik dodawał: „Atmosfera w celi jest bardzo wesoła. Nikt nie przejmuje się internowaniem”.

W 1984 r. bezpieka zezwoliła na wyjazd Bernarda Koleśnika „na pobyt stały” do Szwecji. W jego charakterystyce z 19 stycznia 1985 r. napisano, że jego dokumentację agenturalną należy wypożyczać innym pionom SB jedynie za zgodą jego oficera prowadzącego. Ponadto stwierdzono: „W sprawie TW ps. Marek Walicki skontaktowano się z Departamentem I Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który podjął stosowane decyzje w sprawie wymienionego”. Dotychczas nie udało się odnaleźć materiałów świadczących o ewentualnej współpracy Koleśnika z wywiadem PRL. Po 1989 r. był podobno zatrudniony w ambasadzie polskiej w Sztokholmie.

Całkiem niedawno Koleśnik znów dał o sobie znać. Wsparł Lecha Wałęsę w jego bojach z „policjantami pamięci” z IPN.

W lutym zostało nas pod 19-ką tylko czterech: Mocarz, An-

drzej Skowron, Jarek i ja. Każdy z nas mógł spać na dolnej „gałęzi” – jak nazywaliśmy prycze, bez konieczności wspinaczki, było więcej luzu na spacerach wkoło celi – typowie dla osób uwięzionych, dla utrzymania krążenia krwi a ponadto każdy z nas mógł mieć więcej swobody w nauce angielskiego czy po prostu czytaniu. Mocarz katował nas czytaniem na głos a następnie powtarzaniem tekstów ze Szkutnika^[102], aż do nauczenia się na pamięć. Powtórzyła się sytuacja sprzed kilkunastu lat, kiedy przepytywałem kolegę z testów na prawo jazdy i przy okazji nauczyłem się sam. Jakież było zdziwienie Mocarza i innych, gdy pewnego, brzydkiego, zimowego, więziennego popołudnia, gdy po zamknięciu książki nabrał oddechu by zacząć recytować nauczone teksty, a ja przerwałem mu słowami:

- *Stop it right there!* – a następnie bez zająknięcia opowiedziałem całą jednostronicową czytanekę.

- *Skąd ty to wiesz?* – zdziwił się Mocarz porównujący cały czas moja deklamacje z oryginałem.

- *No przecież nauczyłeś mnie i wszystkich, czytając to setki razy.*

- *Żeby ja miał takie szczęście jak Dziadek pamięć, to bym nic nie robił tylko grał w pokera* – zauważył filozoficznie Jarek.

Nasza silna grupa wstąpiła się wydarzeniem, opisywanym niemal przez wszystkich autorów wspomnień z Białej, w Tygodniku Wojennym a następnie w Newsweek’u oraz komentowanym przez RWE, w nielicznych tylko przypadkach wymieniając nasze nazwiska. Była to jedyna akcja czynnego oporu i zastosowania siły wobec internowanych w Białej podczas mojego ponad 8-miesięcznego pobytu.

102 Leon Leszek Szkutnik – autor popularnych podręczników języka angielskiego.

Kipisze, czyli rutynowe przeszukania celi od początku odbywały się pod nieobecność ich mieszkańców, wyprowadzanych na ten czas do świetlicy. Na samym początku internowania, gdy było nas jeszcze pod całą dziesięć, doznałem lekkiego przeziębienia, które mój organizm leczy sam przy pomocy snu i wypocenia się. Mieszkałem wówczas na górnej gałęzi, zakryłem się kocem, śpiąc przy samej ścianie, przez co nie byłem widoczny dla stojącego w drzwiach klawisza wywołującego wszystkich do wyjścia. Rewizja chyba nie była zbyt dokładna, a ponadto dokonana z poważnym naruszeniu regulaminu, z pominięciem obowiązku liczenia więźniów. Moi towarzysze w tym samym czasie gdy ja spałem, zostali poddani upokarzającej rewizji osobistej w świetlicy. W drodze powrotnej byli przekonani, iż mnie wzięto na oddzielną rewizję i sprawiono oklep.

- *Dziadek, nic ci nie jest? Gdzie ty byłeś?* – zawołał Wiesiek odkrywając mnie na górnej gałęzi.

- *Co się stało, o co wam chodzi?* – spytałem przecierając oczy.

- *To ty nic nie wiesz, nikt cię nie zauważył?* – zaczęli mnie pytać jeden przez drugiego.

- *A co mam niby wiedzieć?* – spytałem zdziwiony.

- *No proszę, Dziadek sobie tu spokojnie spał a nas w świetlicy rozebrano do kałeson, przetrząsając każdą sztukę odzieży. Czy był tu kipisz?*

- *Jaki kipisz?* – zdenerwowałem się – *czemu mi spać nie dajecie?* – odwróciłem się twarzą do ściany, piardnąłem w kierunku celi i kontynuowałem kurację.

Rewizje osobiste w świetlicy połączone ze strip-tease, po wizycie Prymasa Józefa Glempa ustały, ograniczając się do polecenia opróżnienia kieszeni, natomiast w celach często atanda do-

konywała lotników^[103], po których cele były trudno rozpoznawalne. Po jednej z takich akcji uszkodzeniu uległy ślubne zdjęcia Trufla, umazane smalcem, z którym zostały przemieszane, moje zdjęcia rodzinne przyklejone na stearynę z żółtego sera, do ściany nad łóżkiem zostały odklejone i rzucone na podłogę wraz z materacem, nasze książki porzucane w beładzie itd., co wywołało naszą wściekłość. Niezależnie od złożenia pisemnych skarg, postanowiliśmy od tej pory nie opuszczać cel podczas kipsiszu.

Następny kipsisz miał miejsce 2 marca 1982 r. Odszukałem w moich pamiątkach pożółkły gryps napisany na cienkim, odbitkowym papierze, wysłany do Joli i opisujący to wydarzenie, którego fragment załączam:

„... gdy wkroczyli (klawisze) do nas, usłyszeli żądanie pisemnego nakazu rewizji co ich zaskoczyło tak dalece, że wyszli. Punktualnie o godz 12:00 wkroczyła do nas silna grupa z naczelnikiem na czele, który oświadczył nam że, jeśli nie opuścimy celi

103 Atanda – w żargonie więziennym nazywano oddziały specjalne, służące do tłumienia buntów. Do atandy wybierano najmłodszych, nasilniejszych i wyćwiczonych w walkach z demonstrantami funkcjonariuszy. W stanie wojennym nierzadko rekrutacja do atandy prowadzona była wśród żołnierzy służby czynnej. W SCDC odpowiednikiem atandy jest t.zw. Red Team czyli Rapid Response Team (Grupa szybkiej Interwencji), nazwany tak od koloru uniformów noszonych przez jego członków. Do tłumienia poważniejszych buntów używa się SORT czyli Special Forces Response Team – odpowiednik SWAT w służbach zewnętrznych. Lotnik – rodzaj zbiorowej represji stosowany nie tylko w więzieniach ale również w wojsku, obozach harcerskich lub koloniach dla starszych dzieci, polegający na dokładnym rozwaleniu i rozrzuconiu po pokoju pościeli, materacy, zawartości szafek itd i przemieszaniu wszystkiego.

19 marca podczas sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Bydgoszczy, specjalna grupa SB po cywilnemu siłą usunęła działaczy Solidarności dopuszczając się dotkliwego pobicia uczestników, z których Jan Rulewski, Mariusz Łabentowicz i Michał Bartoszcze wymagali leczenia szpitalnego. T.zw. Prowokacja Bydgoska stanowiła moment przełomowy na linii stosunków reżim – Solidarność, której kierownictwo zapowiadając strajk generalny, w ostatniej chwili się z niego wycofało, po jednostronnym ustępstwie Lecha Wałęsy. Od tamtej pory NSZZ Solidarność po odkryciu słabości jego kierownictwa zaczął się cofać.

dobrowolnie, zostaniemy wyprowadzeni siłą i niezależnie od tego, zostaniemy ukarani dyscyplinarnie. Na to odparliśmy, iż przyjęliśmy ostrzeżenie do wiadomości, po czym nastąpiła powtórka z Bydgoszczy, z tym, że udało nam się odśpiewać pełne dwie zwrotki „Roty” (z zakończeniem sowiecka zawierucha) zanim zawleczono nas do izolatki.

Zomitom (członkom atandy) nie przyszedł do głowy pomysł rozerwania nas (spletliśmy się rękami w łokciach łącząc dłonie. Jarek, który odkładał fajkę w momencie ataku, nie zdążył się z nami połączyć), co znacznie ułatwiłoby im robotę a tak musieli pchać 3 – osobową masę ludzką przy pomocy pięści i ręczników, którymi bezskutecznie usiłowano zatkać nam usta, co miało ten skutek, że Witek był pod koniec „imprezy” mocno podduszony. Przy wpychaniu nas do izolatki uderzono moją głową o kant metalowej futryny. Przez otwarte okno izolatki powiadomiliśmy kolegów o zajściu i fakcie pobicia. Byliśmy jedyną ciałą, która stawiała opór całością, poza nami tylko dwie osoby musiano przenieść bez „strat w ludziach”. .. trzeba przyznać, iż sama rewizja miała bardzo łagodny przebieg a jej wykonawcy zachowywali się wobec nas bardzo grzecznie, zresztą z pełną wzajemnością.

To dziwne, ale nikt z nas nie odczuwał strachu a po „zabiegu” byliśmy całkowicie rozluźnieni, co bardzo podniosło morale pozostałych kolegów... dzisiaj (4 marca 1982) wezwał nas naczelnik, by poinformować o nałożonej karze, którą jest pozbawienie nas paczek w miesiącu marcu. My z kolei złożyliśmy doniesienie o przestępstwie domagając się wszczęcia postępowania w sprawie o bezzasadne użycie siły oraz kontaktu z adwokatem. Po rozejściu się wiadomości o nałożonej na nas karze, podjęto akcje „opodatkowania się” wszystkich cel na naszą korzyść z zawartości otrzymanych paczek, zatem nie będziemy narzekać na głód fi-

zyczny i tytoniowy. A więc waro było narazic się na niepewność – bo zomici, w ogromnej większości byli młodymi 2-metrowymi chłopakami – żeby ponownie pojawiła się, drzemiąca ostatnio solidarność internowanych. wprawdzie regulamin nie zezwala na komentowanie kar ale z drugiej strony dodatkowe widzenie jest nagrodą i trudno spodziewać się wspaniałomyślności komendanta. W każdym razie przyjeżdż 13-go i walcz o widzenie uzasadniając, że wiesz o tym, iż jestem już ukarany paczkami...”

W protokole zastosowania szczególnego środka bezpieczeństwa oraz użycia siły fizycznej (z akt IPN) z dnia 2.03, 1982, napisano w rubryce: „zachowanie się skazanego w czasie zastosowania względem niego szczególnego środka bezpieczeństwa oraz użycia siły:

Stawiał czynny opór, był agresywny. Zakłócał spokój przez głośne śpiewy i krzyki...

...a w oględzinach lekarskich nie dopatrzono się uszkodzeń głowy, mimo, iż nie zgłaszałem takowych a tylko widoczny guz wielkości sporej śliwki.

Komendant nie mógł nas pozbawic widzeń w sytuacji, gdy w ciągu kilku godzin o wydarzeniu wiedziała cała Warszawa a następnego dnia, za pośrednictwem RWE, cała Polska, podając o „brutalnym pobiciu czterech internowanych: Wincentego Kazańczuka. Jarosława Mordaka oraz Andrzeja i Bolka Skowronów”. Musiał nas pokazać rodzinom by je uspokoić o ograniczonych skutkach brutalności. Jeszcze raz podkreślam, iż mieliśmy dużo szczęścia odstawiając nasz bunt w Białołęce, oddalonej o kilka km od siedzib ambasad i korespondentów zagranicznych, gdyż w innych obozach przypadki brutalnego użycia siły zdarzały się częściej a obrażenia internowanych były bardziej dotkliwe. Na początku stanu wojennego do zbiorowego pobicia internowanych doszło w Katowii-

cach i w Załężu, a 14 sierpnia na 148 internowanych w Kwidzynie pobitych zostało 120, w tym 80 ciężko. W każdym razie, po naszej akcji protestacyjnej zaprzestano na pewien czas represyjnych kłószów i pozwalano pozostawać w celi po jednym z mieszkańców podczas przeszukania.

Bezpieka zbierając na mnie dowody, posługiwała się nie tylko zeznaniami agenta Marka Walickiego (Bernarda Koleśnika) ale również wykorzystując zbieżność nazwisk Andrzeja z moim. 27 marca 1982 Andrzej wynosił na widzenie gryps, który miał dostarczyć żonie, stanowiący m.in. transkrypcje nasłuchów RWE, słuchanej przy pomocy skonstruowanych więziennym sposobem odbiorników mieszczących się w pudełkach po zapalniczkach. Był to jeden z nielicznych grypsów, który wpadł, bo zwykle ukrywaliśmy je w sposób trudny do wykrycia bez gruntownej rewizji osobistej. Ja na przykład przyklejałem grypsy na szyji, w miejscu wygolonej części brody i przechodziłem obok klawiszy ze spuszczonej głową, a szczególnie ważne przyklejałem w kroczu taśmą scotch. W każdym razie po przejęciu grypsu Andrzeja skierowano go do grupy śledczej z adnotacją: „wynosił na widzenie w dn 27 III 82 Skowron Andrzej. Grupa śledcza KSMO przekreśliła słowo Andrzej, wpisując powyżej Bolko – Jerzy s. Gerda III-2.

Andrzej zdaje się już być po rozmowie, którą przed nami ukrywał i był wyznaczony do zwolnienia, o które zabiegali również członkowie organizacji POP w PIR, gdzie był zatrudniony i nie chciano mu psuć kartoteki. Natomiast w moim przypadku ubejda wychodziła ze skóry by wycisnąć coś więcej na temat mojej działalności przed 1980 rokiem i czyniono wszystko, by mnie przetrzymać za kratami jaknajdłużej. Andrzej opuścił Białotkę i wyszedł na wolność w ramach spektakularnej akcji 1-majowej 29 kwietnia 1982. Do Białotki zjechała reżimowa prasa, radio i telewizja, usiłując wydobyć od zwalnianych wyrazy pochwały dla junty i potępienia dla rozwiązywanej Solidarności. Nie pamiętam, czy znalazł się

bodaj jeden, któryby takiego wywiadu udzielił.

W ramach tej akcji opróżniono barak OZ1 – prawdopodobnie w celu „radiofonizacji” czyli instalacji pluskiew^[104] przenosząc wszystkich pozostałych do OZ2., kończąc pełną wspomnień i związanych przyjaźni, z których jedna przetrwała po dzień dzisiejszy, przygodę celi nr 19 jako pierwsze z „wronich gniazd”. Jarek trafił do celi 2, którą dzielił m.in. z Andrzejem Zozulą i Adamem Michnikiem, Trufel trafił do trójki, gdzie jego towarzyszem był literal Janusz Anderman, Mocarz miał za partnera Jacka Szyman-derskiego, późniejszego posła na sejm, a mnie „włożono” pod sió-demkę, gdzie trafiłam na dolną gałąź, opróżnioną przez Andrze-ja Czumę, którego dzień przedtem wywieziono do Darłówka. W Darłówku znajdował się jedyny koedukacyjny obóz, usytuowany w ośrodku wczasowym, do którego przetransportowano interno-wanych z Jaworza oraz kobiety z Gołdapi. Tamże poczęte zostało dziecko działaczy KSS KOR, Marzeny i Wiesława Kęćków.

Oprócz mnie w celi nr 7 siedzieli: Paweł Mikłasz, wydaw-ca niezależnej oficyny Konstytucji 3 maja, Maciej Madeyski, były skarbnik ZR Mazowsze, ekonomista i działacz Solidarności z FSO, Grzegorz Rossa, wówczas student UW i działacz KPN znany mi sprzed wojny jaruzelskiej, docent Konstanty Jan Kurman z Poli-techniki Warszawskiej oraz Krzysztof Mężyński „Jopek” – jeden z kilkunastu internowanych, notorycznych przestępców.

Paweł redagował podziemne pismo używając stenografii i większość dnia spędzał na swojej gałęzi. Przy okazji miał sporo pomysłów na walke ze szczurami, w których obecność klawisze nie chcieli wierzyć.

- *Panowie wszystko wyolbrzymiacie, u nas nie ma szczurów a z myszami sobie Bujak poradzi* – powiedział kolejny komendant.

104 Pluskwa – w żargonie opozycji, ukryte urządzenie podsłuchowe.

Bujakiem nazwaliśmy więziennego, w pełni niezależnego kota, który sam sobie wybierał cele, do których się wciskał między kratami, upolował czasami myszkę ale częściej przystawał na poczęstunek od mieszkańców ludzkiego gatunku. Wspólnie z Pawłem skonstruowaliśmy pułapkę na szczury składającą się z deski, do której powbijaliśmy gwoździe a do gwoździ przymocowaliśmy dwa rzędy drutów, do których podłączyliśmy odpowiednio fazę z oprawki do żarówki oraz masę z konstrukcji prycz. Tak skonstruowaną „ścieżkę zdrowia” umieściliśmy pod podłogą, gdzie tworzyła się spora izolacyjna przestrzeń od chowania kontrabandy przez kolejne pokolenia mieszkańców Białoleki. Pierwszej nocy usłyszeliśmy głośne uderzenie o podłogę w miejscu ustawionego potrzasku. Rano nie znaleźliśmy zwłok porażonego prądem szczura a mimo pozostawienia pułapki nie zdołał się w nią złapać następny. Kolejna pułapka wspólnego pomysłu Pawła i mojego była jeszcze bardziej wymyślna. Do kubła ze śmieciami – ulubionego miejsca stołowania się gryzoni – dostawiliśmy wypełniony do połowy kubek z wodą. Szczur po posiłku wyczuł wodę, wpadł do drugiego kubła i już się zeń za swego życia nie wydostał. Dowód rzeczowy, czyli obmokłe ścierwo szczura, Paweł włożył do torebki foliowej i zabrał na widzenie do komendanta, domagając się przydzielenia nam pułapki na szczury albo przeprowadzenia deratyzacji, zanim zgłosimy sprawę do MCK. Paweł trzymał cały czas dowód rzeczowy za plecami, układając go na stół dopiero po kolejnej odmowie komendanta i towarzyszących mu oficerów. Komendant podobno zzieleniał a kapitan Ząbek (nazwany tak z uwagi na złoty ząb, który świecił podczas każdego otwarcia ust) się porzygał, czemu trudno się dziwić. Następnego dnia dostarczył nam pułapkę na szczury klawisz zwany Pomidor, z uwagi na czerwoną od zimnych zakąsek twarz, uprzedzając:

- *Uważajta panowie na te pułapki, bo se można na niej palec złamać* - i unosząc w górę obandażowany palec, na potwierdzenie słuszności uwagi.

Maciek uczył się angielskiego w podobny sposób jak Mocarz, czyli czytając głośno po kilka razy i ucząc się na pamięć poszczególnych czytanek. Nie ucząc się wcale, dzięki dobrej pamięci, skorzystałem więcej, niż oni dwaj razem wzięci i podczas wizyty przedstawicieli MCK nie musiałem korzystać z pośrednictwa tłumacza.

Grzesiek był i pozostał bardzo trudnym we współżyciu osobnikiem. Nie miałem z nim dobrych kontaktów podczas działalności w KPN, strasznie się lubił mądrzyć i o wszystko sprzeczać. Wyrzuciłem go z grona przyjaciół na Facebook, gdyż dopisywał się do każdego mojego wpisu z krytyczną uwagą czepiając się głupstw, oraz ignorując dowody w postaci odpowiednich linków. Gdy go spotkałem w 30-lecie stanu wojennego w siedzibie Stowarzyszenia Wolnego Słowa, nie zdziwiłem się, iż pozostał kawalerem; nie wyobrażam sobie, żeby z nim jakakolwiek kobieta wytrzymała dłużej, niż 24 godziny pod jednym dachem. Przeciwnieństwem Grześka jest jego młodszy brat Tomek, który został zwolniony 14 lipca, sympatyczny, uczynny, dający się lubić. Paweł, który jest człowiekiem z natury złośliwym, przezwiał Grześka CSO czyli Ciężka, Samobieżna Odbytlica, z uwagi na jego tuszę oraz ciężki dowcip i charakter współżycia. Po miesiącu od mojego zasiedlenia w 7-ce przeprowadził głosowanie nad pozbyciem się Grześka z celi, które przeszło przy jednym (moim) wstrzymującym głosie. Grzesiek został w sierpniu przetransportowany m.in. wraz z Mocarzem, do Strzebielinka.

Docent czyli doc. Konstanty J. Kurman, opracowywał dla studentów zadania z automatyki, z czego również skorzystałem,

dyskutując różne układy a wiedza ta drogą zdobyta przydała mnie się później w USA. Poza tym pykał fajkę i specjalnie się nie udzielał. Była najstarszy w celi, nawet starszy ode mnie. Podczas gry w siatkówkę, gdy jakieś ścięcie, czy podanie mi nie wyszło, Trufel „usprawiedliwiał mnie” słowami:

- *Trudno sie dziwić naszemu seniorowi, przeciez Dziadek ma 60 lat.* (w rzeczywistości miałem zaledwie 40, ale posiwiła broda postarzała mnie).

- *To ty naprawdę masz 60 lat?* – pytano mnie niedowierząco.

- *A skąd, tak sobie tylko gówniarze wymyślili* (mając na myśli Jarka i Trufla), ja dopiero w styczniu skończę 60 a oni już mi zaokrąglili.

Jopek, czyli Krzysiek Mężyński utrzymywał się głównie z drobnych kradzieży i oszustw. Był żonaty, miał dwoje dzieci, które bardzo kochał. Milicja i prokuratura wielokrotnie starała mu się pomóc w znalezieniu pracy i zerwaniu z dotychczasowym środowiskiem, na co odpowiadał:

- *Przeciez za 3 tysiące miesięcznie nie utrzymam rodziny.*

Jopek miał talent do gry w karty i po Januszu Korwin-Mikke był najlepszym bridżistą, z którym w więzieniu udało mnie się grać. Wkrótce jednak odkryliśmy, iż używał różnych sztuczek, m.in. tasując karty poza kolejnością, wykorzystując sytuacje, gdy pozostali gracze dyskutowani poprzedni kontrakt. Później przyznał się, iż ze swoim kamratem jeździł po ośrodkach wczasowych, udając nieznajomych i grając na pieniądze bezlitośnie ogrywali wczasowiczów. Grał również w pokera, gdzie umiejętność odpowiedniego tasowania kart zapewniała mu utrzymanie, a w konsekwencji od czasu do czasu, państwowy wikt. Jopek był „bogato ilustrowany” jak większość internowanych z nami kryminalistów. W tamtych

czasach tatuaże nosili głównie więźniowie, marynarze i prostytutki. Obecnie w SCDC mało który oficer, bez względu na płeć, nie posiada żadnych ozdób na swej skórze, nie różniąc się pod tym względem od naszych podopiecznych.

Po zamieszkach z okazji 1-go i 3-go maja umieszczono pod naszą całą Józka Zborowskiego z Ursusa, którego milicja zwinęła gdy przypadkowo znajdował się w pobliżu demonstracji zwiedziny zwykłą ciekawością. Po aresztowaniu kilkuset osób, przeprowadzano selekcję, dzieląc ludzi na kategorie: do domu, kolegium, sprawa z dekretem, internowanie, a o kryteriach przynależności do poszczególnej grupy decydował ilościowy rozdzielnik znajdujący się na biurku ubeka. Na Józka, który nawet nie wiedział jak się wymawia internowanie, używając zwrotu „interweniowanie” właśnie ta opcja spadła jak grom z jasnego nieba. Nie miał bladego pojęcia ani o Solidarności ani na czym polega stan wojenny, wiedział tylko, że się znalazł w złym miejscu o złej porze, przez co może go ominąć wzięcie udziału w I Komunii św. jego córki. Czuł się wśród nas obco i źle, skorzystał z pierwszej okazji wyjścia na rozmowę, co zaowocowało wypuszczeniem go tego samego dnia. Miejsce Józka następnego dnia zajął Docent.

Paweł po wyjściu z interny zajął się pracą na własny rozrachunek, po upadku komuny był przedstawicielem nowojorskiego Nowego Dziennika w Warszawie. Gazeta Polska z 11 września 2013 określa go jako Tajnego Współpracownika SB o kryptonimach Jan Lewandowski i Stanisław Wysocki. Muszę przyznać, iż informacja ta jest dla mnie tak szokująca, iż nie mogę dać jej wiary, dopóki nie będę miał potwierdzenia z wiarogodnego źródła. Podejrzenia o pomówienie pogłębiło we mnie ustalenie, iż za większością z nich, zamieszczanych m.in. w mało wiarogodnej Interii czaiło się nazwisko Andrzeja Czumy. Po zapoznaniu się z działalnością pana Czu-

my w trakcie jego pobytu w USA w rozdziale POMOST, nietrudno zrozumieć jego intencje szkalowania byłych towarzyszy zarówno z opozycji jak i więziennej celi.

Maciek Madeyski wyemigrował do USA wraz z żoną i dwoma dorosłymi już synami w maju 1983r.. Zamieszkał w Kalifornii, był również członkiem Pomostu a podczas prób rozbicia organizacji przez Andrzeja Czumę i S-ka opowiedział się po stronie grupy rozbijackiej. Zmarł w 2002 roku a jego płyta nagrobkowa znajduje się tuż obok grobu mojego dziadka Żbikowskiego, babci Żbikowskiej oraz wujków Leona i Jana Żbikowskich na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie.

W maju nieoczekiwanie otrzymałem 7-dniowa przepustkę, którą wywalczyła Mama, przedstawiając zaświadczenie o konieczności przeprowadzenia operacji (której się nie poddała do końca życia). Na przepustce napisane było, iż mam się zgłosić na Mostowo po upływie jej terminu. Gdy przyjechałem do domu, Jola była jeszcze w pracy ale Perełka mnie poznała i usadowiła mi się na kolanach w momencie jej wejścia. Jeżeli istnieje jakaś wyraz twarzy obrazujący maksymalne szczęście wywołane sympatyczną niespodzianką, to właśnie Jola miała je wyrysowane na buzi. Dwadzieścia lat spędzonych na dobre i na złe, podczas których przechodziliśmy różne wstrząsy i burze... Trudno sobie wyobrazić uczucie kochać i być kochanym, o ile ktoś tego sam nie przeżył. Po skończonej przepustce Jola przesłała mi gryps, w którym pisała m.in.:

21.05.82r.

Najdroższy mój skarbie,

Przeżyłam chyba najpiękniejsze chwile w moim życiu. I choć znowu zostałam sama to jednak jestem znacznie silniejsza, niż poprzednio. Twoja wizyta ogromnie mnie wzmocniła psychicznie

i upewniła, że jesteś silny i odporny. Z zazdrością patrzyłam na Ciebie, że potrafisz tak doskonale przystosować się do nowych warunków. Nie ubyło Ci humoru, spokoju i opanowania. Ja niestety mimo usilnych starań nie potrafie się maskować, autentycznie wszystkim się przejmuję. To bardzo źle, wiem o tym ale taka już jestem..”

Jola jednak była odważną, zdeterminowaną osobą, która potrafiła z pokorą i uporem stawiać czoła najtrudniejszym wyzwaniom. Pod koniec swego pięknego, aczkolwiek nie usłanego różami życia, po bohatersku zwalczała śmiertelną chorobę, nie załamując się i do ostatniej chwili zachowując aktywność. Dosłownie na kilka dni przed śmiercią przepraszała mnie, że nie ma siły zrobić mi lunchu, który dotąd zjadaliśmy wspólnie - miałem blisko do pracy i zawsze wpadałem na lunch do domu – i pokazała jak się obsługuje pralkę..

Podczas pobytu na przepustce odwiedziło mnie sporo osób, spotkałem się z ludźmi działającymi w konspiracji jak Boguś Dabrowski czyli Dziadek, Jasiek Wołyński, Zygmunt Staroń, co mnie bardzo podniosło na duchu widząc, że wrona nie ma z naszym narodem żadnych szans. Z drugiej strony widziałem spacyfikowane, otepiałe społeczeństwo, ponownie, jak przed nastaniem Solidarności skłócone, pośrednio lub bezpośrednio akceptujące stan wojenny i jego skutki. Warszawa była jednak wciąż zdolna do zrywów i sytuacja uległa zmianie w związku z obchodami święta 1 Maja, kiedy to oficjalne uroczystości zakłócono niezależnymi kontrmanifestacjami, m.in. w Bielsku-Białej, Gdyni, Gdańsku, Łodzi, Szczecinie, Toruniu i Warszawie. Jednak znacznie większą skalę miały demonstracje, do jakich doszło 3 V 1982. Największe odbyły się w Gdańsku, Krakowie, Lublinie, Łodzi, Szczecinie i Warszawie, ale do protestów ulicznych doszło też w mniejszych ośrodkach, m.in.

w Elblągu, Gliwicach, Rzeszowie i Toruniu. Wskutek działań MO śmierć poniosło 5 osób.

Bezpieka wystawiła mi nieco odmienną laurkę, na temat mojego, krótkiego pobytu na „wolności”, niż to uczyniła Jola:

W opinii Naczelnika Wydziału III-2, z dnia 16 listopada 1982 znalazł się następujący fragment:

„...w dniu 27.03.82r. odebrano mu grypsy (w rzeczywistości nie mnie, tylko Andrzejowi, zmieniając później imię na Bolko) , które usiłował przekazać rodzinie do dalszego ich rozpowszechniania. W grypsach B.SKOWRON opisywał sytuację panującą w ośrodku internowanych w Białoleścu. W Białoleścu B.SKOWRON odmawiał kategorycznie jakichkolwiek rozmów z pracownikami służby więziennej (nieprawda, odmawiałem tylko wezwań na rozmowy a ponadto uważam mój stosunek do klawiszy za poprawny - ze wzajemnością, nie licząc incydentu z 2 marca 82), funkcjonariuszami SB. W tym czasie rozpoczął starania o zwolnienie z internowania. Do tego celu wykorzystał sytuację rodzinną, żonę, adwokatów, lekarzy. Po raz pierwszy udzielono w/w przepustki w dniach 14-21.05.82r. z uwagi na operację jego matki. Po zakończeniu przepustki B.SKOWRON nie zgłosił się do KSMO na rozmowę a po powrocie do ośrodka odosobnienia kolportował wśród internowanych wniesione przez siebie dokumenty. Nawoływał do trwania, nie poddawania się komunistom...”

Z okazji komunistycznego „święta” 22 lipca, wrona dokonała masowych zwolnień z interny, zwalniając m.in. wszystkie kobiety. Ówczesny rzecznik rządu - Jerzy Urban - wyeksponował zwolnienie kobiet jako akt humanitaryzmu ze strony WRONy. Natomiast przemilczał fakt ponownego internowania kobiet od połowy sierpnia 1982 r. w obozie Darłówek. Część kobiet więziona była tam do połowy grudnia 1982 r.

Wrona chwaliła się, iż instytucja internowania spełniła swoje resocjalizacyjne zadanie, brukając opinie o osobach zwolnionych, nazywając ich świadomymi obywatelami, którzy wyciągneli wniośki i uznali realia. W obozach pozostawiono najbardziej antykomunistyczny, wrogo nastawiony do ustroju PRL i jej sojuszy element, w ilości nie przekraczającej 500 osób, wśród których mnie również przypadło zaszczytne miejsce.

Konsekwencją „awansu” do ścisłego finału było ponowne zamknięcie baraku OZ2 i przeniesienie nas spowrotem na „jedynekę”. Trafiłem do celi nr. 1, gdzie moim jedynym współlokatorem był drukarz i taksówkarz z zawodu Marek Kisz. Marek miał poglądy politycznie raczej obojętne, natomiast twierdził, iż najlepiej w ostatnich latach zarabiał na opozycji. Był bardzo cierpliwy w przeciwieństwie do mnie i lubił dłubać w linoleum, wykonując pieczątki według moich projektów. Pomogło mu w tym niewatpliwie doświadczenie nabyte w drukowaniu opozycyjnej bibuły. Marek wyemigrował do Szwecji i podobno, według słów Wieśka Molasy, miał wrócić do Polski pod koniec lat 90-tych i osiedlić się gdzieś na Pomorzu.

Warunki internowania po opróżnieniu obozu zmieniły się radykalnie na korzyść. Mieliśmy cele otwarte 2 razy dziennie po 4 godziny (miedzy śniadaniem i obiadem oraz między obiadem a kolacją), a korzystając z pięknej, letniej pogody graliśmy w siatkówkę, kometkę, biegaliśmy naokoło całego placu ograniczonego barakami OZ1, 2, 3 i 4 oraz budynkiem administracyjnym zwanym Watykanem albo Pentagonem, oraz warsztatem mechaniczno-elektrycznym. Zazdrościli nam tej swobody więźniowie kryminalni osadzeni w barakach 3 i 4, którzy mogli pograć w siatkówkę dopiero po naszym powrocie do cel. Na ogół jednak stosunki między nami a kryminalnymi były bardzo dobre. Wymienialiśmy

sie papierosami wzamian za informacje z miasta, ponieważ większość z nich pracowała na zewnątrz więzienia. W maju internowano młodszego brata Sfefana – Arka Melaka, który później był ostatnim internowanym zwolnionym z obozu w Uhercach. Po wyjściu z obozu już nigdy nie odzyskał pełni zdrowia i zmarł w rok po tragicznej mierci Stefana w katastrofie rządowego samolotu pod Smoleńskiem. Zasługi obu braci w ujawnieniu i rozpowszechnianiu prawdy o zbrodni katyńskiej – do których również dołożyłem skromna cegiełkę – okupili przedwczesną śmiercią, w tym Stefan w bezpośredniej bliskości lasu katyńskiego. Stefan powiedział mi, żebym uważał na Andrzeja Szomańskiego, który rzekomo miał być na usługach bezpieczeństwa. Nie bardzo mogłem w to uwierzyć ale na wszelki wypadek nie poszedłem na spotkanie z nim obawiając się prowokacji. Oskarżenie o działalność agenturalną Andrzeja podnosił również jeden z działalności Solidarności Walczącej rzekomo na podstawie akt IPN ale nigdy nie znalazły one potwierdzenia a w związku z jego śmiercią nie udało się ich zweryfikować. Podejrzewam obecnie, iż musiała to być informacja perfidnie spreparowana przez SB dla odizolowania go od opozycyjnego środowiska i bardzo żałuję, iż dałem się na tą prowokację nabrać.

Na blogu Polonus znalazłem dwie sprzeczne informacje dotyczące tego bohatera walki o niepodległość Polski

W archiwach IPN znajduje sięteczka o sygnaturze IPN BU 00191/55, z której wynika, że Andrzej Szomański był Tajnym Współpracownikiem SB o kryptonimie „Historyk”. Według informacji opublikowanych w książce Grzegorza Waligóry „ROPCiO” Szomański 25 maja 1978 roku nagrywał konspiracyjne spotkanie Nurtu Niepodległościowego przy pomocy specjalistycznego mikrofonu ukrytego w rękawie.

A następnie:

Nie wiem co napisali o Andrzeju w teczkach.

Wiem, że w stanie wojennym współpracowałem z nim, że wiedział o wielu KPN-owskich działaniach, wiedział co i gdzie robię.

Wiem, że gdyby wiadomości te trafiły do bezpieki to poszedłbym siedzieć znacznie wcześniej.

Wiem, że w marcu 1985 razem nas aresztowali, że siedziałem z nim na Rakowieckiej półtora roku.

Wiem, że bezpieka próbowała różne osoby wrabiać w role agenta, aby ochronić swojego właściwego agenta, który nagrywał dla SB „II Kongres KPN”.

Wiem, że w więzieniu zachowywał się przyzwoicie i dawał oparcie wielu młodym opozycjonistom.

Wiem, że w więzieniu ciężko chorował i niedługo po wyjściu zmarł.

Wiem, że był wspaniałym i przyzwoitym człowiekiem.

Wiem, że to takim ludziom jak Andrzej zawdzięczamy Niepodległość.

Hańba tym IPN-owcom, którzy piszą historię, nie weryfikują bezpieczeniackich materiałów z rzeczywistością oraz pamięcią osób, które żyły w tamtych czasach. Dobrze, że nie piszą historii Armii Krajowej wyłącznie na podstawie hitlerowskich teczek.

Krzysztof Król

Znając Andrzeja osobiście daję wiarę temu drugiemu stwierdzeniu. Autor tych słów jest zasłużonym działaczem i współtwórcą KPN, obecnie pełni funkcję doradcy prezydenta Bronisława Komorowskiego. Wrabianie uczciwych ludzi w rzekoma agenturalną działalność przy jednoczesnych matactwach z rzeczywistymi agentami, stanowi wypróbowaną zasadę wprowadzania w życie metody divide et impera znaną w Polsce od czasów carskiej ochrony, Czecha, NKWD, Gestapo, UB i SB. O powstaniu Jakuba Szeli nawet

nie wspominając.

Wyjście na zewnątrz i ciepła pogoda uruchomiły zastępy osób uprawiających rozmaite ćwiczenia, z bieganiem naokoło podwórza na czele. Dostarczono nam również piłkę do siatkówki oraz komplet do kometki. Najbardziej aktywni joggerzy w osobach Henia Bąka – późniejszego wicemarszałka sejmu, oraz Witka Mikusińskiego – późniejszego Komendanta Stołecznej Policji, rzucili hasło turnieju nazwanego Spartakiada Białolecka, po dokonaniu biegów sztafetowych na trasach Lwów – Wilno i Wilno - Warszawa. Artyści wykonali medale, organizatorzy przygotowali konkurencje, wśród których znajdowały się m.in. bieg sztafetowy, na zmieniach dystansach, turnieje siatkówki, kometki i bridża. Pomijając fakt, iż turniej ten nie budził powszechnego entuzjazmu ze względu na nazwę (spartakiada to termin sowiecki a skrót SB kojarzył się wszystkim bardzo źle) igrzyska zakończone zostały bodajże na drugi dzień mimo, iż zaplanowane były na tydzień.

Turniej brydżowy, podczas którego udało się przeprowadzić wstępną rozgrywkę, dająca mi awans z moim partnerem, którym był sam Janusz Korwin Mikke – facet trochę nawiedzony ale za to ekspert bridża i szachów, zakończył się wraz ze zwolnieniem głównego organizatora a mojego partnera zarazem. Konkurencje biegowe przerwane zostały po złamaniu nogi przez Edka Jankowskiego a siatkówki po kontuzji Witka Mikusińskiego. Wracając do barwnej postaci jaką jest od lat Janusz Korwin Mikke, to znam go od wielu lat i zawsze mi imponował rzeczowa analiza wad systemu totalitarnego pod względem ekonomicznym. Przez kontakty z nim i lekturę jego książek nabrałem krytycznego spojrzenia na rewindykacyjną działalność związków zawodowych. We wspomnieniach z interny, zamieszczonych w albumie *My Internowani 1981-2011*,

napisał m.in.

„Internowano mnie przez pomyłkę, bo internowano głównie działaczy związkowych a ja byłem antyzwiązkowy. Hasło, które głosiłem to „Związki na Powązki”.”

Wkrótce po zakwaterowaniu go w Białoleśce JKM wyszedł na spacer i zagrał w siatkówkę ubrany w białą koszulę, muszkę, kamizelkę, kalesony, skarpetki i kapcie. Twierdził, że spodnie mogą mu się pognieść a lakierki zniszczyć i był to jedyny powód, dla którego nie pokazał się na boisku w smokingu.

Większość internowanych, ze mną włącznie napisała podania o udzielenie przepustek w celu umożliwienia nam udziału w pielgrzymce do Częstochowy, kończącej się 15 sierpnia i jak było do przewidzenia odpowiedzią była albo odmowa albo milczenie. Dla wypełnienia tej luki zorganizowaliśmy pielgrzymkę z nr. 18 jako grupa z Białoleśki, idąc naokoło placu przez pięć dni pod rząd, śpiewając pieśni Maryjne oraz Pieśń Konfederatów Barskich, zaczynająca się od słów: „nigdy z królami, nie bedziem w aliansach, nigdy przed moca nie ugniemy szyji. Bo u Chrystusa, my na ordynansach – służymy Maryji”. Internowani w Załężu dopisali jeszcze jedną zwrotkę do tekstu Juliusza Słowackiego: „Pękną kajdany – przemoc się połamie. Mocą ofiary i ofiarą męstwa. Runą więzienia i z mroku powstanie Polska Zwycięska”

O inicjatywie tej zawiadomiliśmy Ojca św. Jana Pawła II, któremu czerwony zabronił tego roku wjazdu do Polski, a o czym nie omieszczał wspomnieć podczas śródowej audiencji generalnej.

Społeczeństwo Warszawy, zatroskane naszym losem zaczęło nas rozpieszcać wszelkiego rodzaju darami. M.in. otrzymaliśmy dwie lodówki, ułatwiające nam przechowywanie nadmiaru otrzymanych zrzutów – jak nazywaliśmy paczki od rodzin, nieznanym ofiarodawców czy z IRC (International Red Cross, po polsku

Miedzynarodowy Czerwony Krzyż, w skrócie MCK).

W dniach 13 czerwca - 11 lipca 1982 r. odbywały się w Hiszpanii XII mistrzostwa świata w piłce nożnej, zwane Copa Mundial, z udziałem reprezentacji Polski. Jedna świetlica, w której znajdował się telewizor nie mogła pomieścić wszystkich chętnych oglądania transmisji z Mundialu. W tej sytuacji, na pytanie, jakie mamy życzenia zgłosiliśmy do Komitetu Prymasowskiego prośbę o wypożyczenie przenośnych telewizorów, na co otrzymaliśmy zgodę po negocjacjach z kierownictwem obozu i uzgodnieniu z KSMO. Część telewizorów dostarczyły rodziny a część obcy ludzie, w każdym razie znalazło się ich mniej więcej po jednym na 5 – 6 cel, co w zupełności umożliwiło obejrzenie chętnym ostatniego jak dotąd sukcesu reprezentacji Polski na Mundialu. Nie wiem jaki był los tych telewizorów po rozpalcelowaniu nas do Załęża i Strzebielinka.

26 sierpnia 1982 r. po śniadaniu nie pozostawiono nam otwartych cel a wkrótce przyszło dwóch oficerów z poleceniem:

- *Pan Marek Kisz i pan Bołko Skowron* – proszę zabrać swoje rzeczy i przygotować się do wyjścia.

- *O co chodzi?, gdzie nas przewożą?* – pytaliśmy jeden przez drugiego.

- *Nie wiemy, mamy polecenie was wymeldować z Białółki i przekazać do dyspozycji KSMO* – padła służbowa odpowiedź.

Przez okna nawoływaliśmy się z mieszkańcami innych cel, którzy wszyscy otrzymali to samo polecenie. Nie mieliśmy natomiast kontaktu z drugą stroną korytarza. Nie mając w zasadzie większego wyboru spakowaliśmy się: rzeczy osobiste w plecak, na którym już zdążyłem napisać: Szlakiem wronich gniazd i dopisałem do dat: „Mostowo 18-19 XII. 1981 Białółka 19.XI.1982” datę 26 VIII 1982. Cały majdan więzienny zapakowałem w t.zw. samarę czyli worek wykonany ze związanego za rogi prześciera-

dła , wewnątrz którego znajdował się cały otrzymany sprzęt: koc, poduszka, platery, niezbędnik, koszula (tą ostatnią udało mi się przemyścić na zewnątrz ze stemplem wykonanym przez Zbyszka Saratę i przechować do dnia dzisiejszego, za co potrącono mi z depozytu kilka złotych). W żargonie krakowskim zamiast samary używano określeń mandżura albo mandżur. W każdym razie obie nazwy musiały powstać ze 100 lat temu w okresie wywózek naszych patriotów na wschód, gdyż miejscowość Samara, w której mieściła się kiedyś carska katorga a później jeden z obiektów Archipelagu Gułag (Głównoje Uprawlenije Łagierej – książka pod tym tytułem autorstwa Aleksandra Sołżenicyna opisuje sieć rosyjskich obozów koncentracyjnych pod rządami komunistów zwących siebie sowietami. Po rewolucji nazwa Katorga została zamieniona na Gułag a więźniowie nadal wywodzą się głównie z tej samej grupy – rzeczywistych lub domniemanych przeciwników totalitarnych rządów), znajduje się tuż przy granicy z Kazachstanem – miejscu zsyłek zarówno za carów jak i komunistów, a Mandżuria – kraina dzielona między Rosję i Chiny pełni tą samą rolę od stuleci.

Marek rozpoczął kilka dni temu protestacyjną głodówkę domagając się specjalistycznej opieki medycznej i był bardzo osłabiony. Mnie odnowiła się choroba wrzodowa dwunastnicy i po krótkiej naradzie zdecydowaliśmy, że nie będziemy się szarpać z atandą odmawiając wyjścia pod warunkiem uprzedniego ujawnienia miejsca wywózki. W niektórych celach internowani zabarykowali się stołami i krzesłami, co spowodowało, iż wyprowadzono ich siłą a i tak nie osiągnęli celu, bo ani nie uniknęli „pójścia w transport” ani nie dowiedzieli się celu dzisiejszej podróży. Z załączonego tajnego dokumentu wynika, iż zarówno służba więzienna a tymbar dziej asystujący jej żołnierze atandy wiedzieli tyle samo, co i my. Stanowiące załączniki do powyższego pisma nakazy wydania nie

zawierały nazw stacji docelowych.

Oczekując na pozostałych kolegów w nagrzewającej się coraz bardziej suce, zdążyliśmy wykrzyczeć do członków rodzin odwiedzających więźniów kryminalnych, którzy akurat tego dnia mieli widzenie:

Wywożą internowanych z Białoleki w nieznanym kierunku!
Proszę zawiadomić kościół św. Marcina!

Nasze okrzyki okazały się skuteczne, ponieważ tego samego dnia informacja o naszej wywózce dotarła do Prymasowskiego Komitetu na Piwną, a następnie za pośrednictwem sprawnie funkcjonującej tam poczty kurierskiej – do naszych rodzin. Protest naszych kolegów miał tą zaletę, że nie było komu zrobić nam przeszkubaniana bagaży i w ten sposób udało mnie się przemycić matryce pieczętek, wzory, farbę oraz małe radio, odbierające Wolną Europę i Głos Ameryki. Gdy wreszcie po godzinie wszyscy pasażerowie znaleźli się wewnątrz suki, rozdano nam całodzienny prowiant w papierowych torbach, kibitka ruszyła a przedtem eskortujący nas milicjant przed zamknięciem drzwi odpowiedział na pytanie o cel podróży: - do Załęża

W tajnym rozkazie do dowódcy batalionu konwojowo-ochronnego Komendy Stołecznej MO znalazło się 22 nazwiska osób, których przetransportowanie z Białoleki do Załęża zlecono w dniu 26.08.82. Byli to:

Henryk Bąk,
Michał Bukojemski,
Jerzy Buława,
Krzysztof Chrystowski,
Adam Grzesiak,
Bogdan Grzesiak,

Marek Kępka,
Marek Kisz,
Jarosław Kosiński,
Jan Tomasz Lipski,
Tadeusz Markiewicz,
Arkadiusz Melak,
Marek Nowicki,
Józef Ruszar,
Andrzej Sadkowski,
Zbigniew Sarata,
Witold Sielewicz,
Bolko Skowron,
Jacek Szymanderski,
Władysław Walas,
Zbigniew Więclawski,
Andrzej Zozula.

Wraz z nami przekazano 88 kart, czyli po 4 na osobę, zawierających informacje, które po latach udało mnie się odzyskać z IPN. Suka czy jak kto woli kibitka składała się z trzech przedziałów odgradzonych ogrodową siatką. Pierwszy przedział stanowił wąski przedsionek, z którego wchodziło się do pozostałych. W obu przedziałach znajdowały się drewniane ławki, na których konwojowani więźniowie siedzieli twarzami do siebie niemal dotykając się kolanami. Suka miała wąskie nacięcia w blasze, wpuszczające powietrze i świetlik w suficie wpuszczający światło dzienne. Udało nam się wypalić otwór w świetliku dla wpuszczenia większej ilości ale powstały z tego śmierzdzący dym przekonał nas o bolesnych kosztach tej operacji. Na placu więziennym stały dwie suki, z których ta druga odjechała do Strzebielinka. Jak się później dowiedzieliśmy ich suka była już pozbawiona świetlika a przez powstały otwór

pasażerowie wystawili flagę Solidarności na przemyconym kiju od szczotki. Za każdym razem, gdy suka zatrzymywała się pod światłami, skandowaliśmy: „Solidarność, Solidarność!” by mieszkańcom Warszawy przypomnieć o naszym istnieniu. Przez otwór wyrzuciliśmy kilka grypsów informujących o naszym transporcie ale zostały one przejęte przez załogę eskortującego nas gazika.

Dla urozmaicenia długiej jazdy usiłowaliśmy zrzucić sukę (wraz z nami, uwięzionymi w blaszanej klatce) z szosy do rowu przez rozbijanie. Zbiorowe kołysanie pasażerów na przemian w lewo lub w prawo, prostopadłe do kierunku jazdy powoduje jej rozkołysanie a w rezultacie przewrócenie. Suka się zatrzymała a od tej pory w przedsionku prowadzącym do przedziałów asystował nam uzbrojony konwojent. Do Załęża dotarliśmy po kilkunastu godzinach, z jednym postojem w Kielcach, gdzie w zamkniętym podwórzu komendy milicji mogliśmy skorzystać z toalety oraz napić się jodyny, czyli zbożowej kawy lub kranówki. Wraz z Józkiem Ruszarem mieliśmy szczęście opuścić przegrzaną i zadymioną sukę jako pierwsi. Z uwagi na późną porę, nasze zakwaterowanie było bardzo pobieżne; do depozytu zabrano nam tylko dowody osobiste pozostawiając w naszym posiadaniu m.in. pieniądze, o które nie pytano. Żołnierz służby czynnej, oddelegowany do atandy, przeszukał mój plecak wyjmując i wkładając do niego wszystko z radiem włącznie, a czynił to zasłaniając plecami asystującego mu oficera.

Chłopak ryzykował naganą albo nawet aresztem, przepuszczając kontrabandę – okazuje się, że wszędzie są porządni ludzie. Obok Józka Ruszara do naszej celi dostarczono jeszcze Jana Tomasza Lipskiego, syna Jana Józefa i bratanka Marii Dmochowskiej – obecnie wiceprezes Instytutu Pamięci Narodowej. Jan T. Lipski obecnie jest dziennikarzem Gazety Wyborczej. Więzienie w

Rzeszowie – Załężu wybudowane zostało w ciągu ostatnich kilku, najwyżej kilkunastu lat, i składało się z pieciokodystygacyjnych (uwzględniając sutereny) bloków ostawionych w czworobok zamykający ogrodzony plac z wydzielonym spacerkiem i boiskiem do siatkówki. Podobnie jak w Pałacu Mostowskich, spacerunek i boisko do siatkówki odgrózione były siatką również od góry (żeby piłka nie wypadła – żartowaliśmy) a na górnym ogrodzeniu znajdowała się metalowa ścieżka po której przechadzał – a przynajmniej powinien przechadzać się strażnik. W celach – dużo mniejszych niż w Białolecie, było miejsce tylko na dwa zestawy podwójnych prycz a kloz, wraz z umywalką z ciepłą wodą był odgróziony od reszty celi ścianka z luxferów, osadzoną w ceowniku. Za tą ścianką znajdował się również mały stolik do przygotowywania posiłków oraz do składania brudnych naczyń w oczekiwaniu aż je dobra wróżka umyje, ponieważ moi współlokatorzy – intelektualiści nie byli do takich przyziemnych czynności stworzeni.

Przez okno przedstawiliśmy się „tubylcom”, z których jeden rozpoznał Józka – mieszkającego, studiującego i działającego do 1979 roku w Krakowie, a większość internowanych w Załężu pochodziła z Krakowa lub z krakowskiego i Podhala właśnie.

Następnego dnia miało się odbyć gruntowne przetasowanie stanu osobowego obozu. Oprócz Białoleki, przywieziono również internowanych z Iławy, w tym Antka Macierewicza, z którym znałem się z działalności opozycyjnej sprzed wojny jaruzelskiej i udało nam się zamienić kilka słów. Tego dnia również szykowane były dwa transporty sporej grupy do bieszczackich obozów w Nowym Łupkowie i w Uhercach Mineralnych, zlokalizowanych na terenie t.zw. OPS czyli Ośrodków Przystosowania Społecznego. W OPS osadzeni byli skazańcy z niskimi wyrokami, za przestępstwa bez użycia przemocy, wykroczenia drogowe, młodociani, którzy pra-

cowali głównie na terenie lasów oraz na budowach, przebywając na zewnątrz pod umiarkowaną kontrolą strażników. Tereny OPS ogrodzone były siatką, nie zasłaniając pięknych, bieszczadzkich pejzaży a cele w barakach były zamykane tylko na noc.

W związku z planowanymi transportami i spodziewanymi protestami, kierownictwo Załęża nie otworzyło tego dnia cel, co internowani odebrali jako akt represji. Doszło w konsekwencji do opisywanego przez wielu świadków wydarzenia, z których wybrałem relację Zbyszka Saraty:

W sierpniu zaczęły się wywózki z Białółki. To w oczekiwaniu na nowe aresztowania związane z rocznicą powstania Solidarności. Mnie z Jarkiem Kosińskim i Michałem Bukojemskim trafiło się Załęże. W Załężu było od początku stanu wojennego sporo ludzi z południowej Polski. Po naszym przyjeździe zaczęły się z kolei tam rozgęszczania. Dla nas z Białółki było normalne, że cele były zamknięte. Ci starzy mieli jednak przedtem wielką swobodę i cele były zamykane dopiero na noc. Któryś ze starych wezwał klawisza i kiedy ten otworzył drzwi, wszyscy z pod celi wybiegli na korytarz, odebrali klawiszowi klucz i dawaj otwierać resztę cel. Ja akurat byłem na tym piętrze (chyba drugim), więc też zostałem oswobodzony.

Wkrótce udało nam się dostać na wyższe piętro i aż na dach. Widok z dachu był niezwykle przyjemny, bo od 9 miesięcy większość z nas nie widziała horyzontu. Przedtem przestrzeń miała najwyżej kilkadziesiąt metrów na spacerniaku. Ponieważ pogoda dopisywała, chodziłem na ten dach często. Główne atrakcje rozgrywały się jednak przy kracie na klatce schodowej. Chcieliśmy uwolnić tych z dolnych pięter (czy może piętra). Nie pamiętam dlaczego nie mogliśmy otworzyć zamka. Ktoś miał po materacem brzeszczot, więc na zmianę zaczęliśmy piłować kratę.

No to od dołu nadeszła więzienna atanda i dawaj nas pałkami po łapach tłuc. No to my wiadrami na nich wodę. Oni nie chcieli być gorsi i podłączyli wąż do hydrantu. Po chwili konsternacji wpadliśmy na pomysł, żeby ich wrzątkiem. Ale zanim na żyletkach zagotuje się kilkadziesiąt litrów wody, upłynęło trochę czasu. Po przerwie straż wycofała się na półpiętro, bo nie mieli ochoty sprawdzać na własnej skórze jak czuli się w średniowieczu żołnierze atakujący fortece bronione takim samym sposobem. Piłowanie kraty trwało więc w najlepsze.

Tymczasem przy kracie z drugiego końca korytarza nic się nie działo. Z tamtej strony była dyżurka. I cóż się okazało? Dla nas z Białoleki rzecz niewyobrażalna. Krata się otwiera, wchodzi na korytarz klawisz, podchodzi do kraty, którą piłujemy i mówi, że jest telefon do Kowalskiego. Nazwiska oczywiście nie pamiętam, ale Kowalskim okazał się akurat gość, który miał zmianę przy piłowaniu. Oddaje więc brzeszczot koledze, mówi - Jasiu piłuj dalej i najspokojniej w świecie idzie z klawiszem do dyżurki porozmawiać z żoną czy matką. My zaś jakby nigdy nic dalej obrzucamy się epitetami z tymi z półpiętra.

W tym samym czasie koledzy z dołu zdołali zrobić przejścia pomiędzy celami. Najpierw wyłamali ramki, na których wisiały szmaty zasłaniające kible, a później tymi ramkami dawaj wyluskiwać cegły. Pomiędzy celami poszło szybko, bo kiedy więzienie było budowane powstało też sporo domków jednorodzinnych. W zaprawie było więc mało cementu (do wszystkiego nie starczyło). Gorzej było z przebicciem ściany na korytarz. Mur był gruby. Jedna cela zdołała jednak wybić dwie cegły na wylot. I wtedy klawiatura się poddała. Sami otworzyli cele oraz klatkę schodową i naszej radości nie było końca.

Po paru godzinach zobaczyliśmy z dachu nadjeżdżającą ko-

lumnę zomitów. Jechało pięć czy osiem bud z polewaczką na czele. Już, już brama więzienia zaczęła się otwierać, kiedy kolumna zawróciła. Pewnie w Rzeszowie też szykowała się jakaś zadyma i doszli do wniosku, że póki co jednak jesteśmy zamknięci i pojechali do pilniejszych zajęć.

W Załężu internowano znacznie więcej osób obdarzonych zdolnościami muzycznymi - kompletny kontrast w stosunku do Białoleki, gdzie przebywali w ogromnej większości ludzie, którym słoń na ucho nadepnął - a ponadto posiadających instrumenty muzyczne. Po akcji oswobodzenia miejscowa orkiestra, składająca się z gitar, trąbek, klarnetów, puzonów i skrzypiec, śpiewała m.in. „zieloną wronę” , „niech się junta wystrzela” odjeżdżającym „w transport” kolegom. Pierwszy raz miałem również okazję usłyszeć odpiewać w chórze a następnie zapamiętać sztandarową pieśń internowanych: Nie chcemy Komuny:

Nie chcemy komuny, nie chcemy i już!

Nie chcemy ni sierpa, ni młota,

Za Katyń, za Grodno, za Wilno i Lwów

Zapłaci czerwona hołota

Za mordy, za gwałty, cierpienia i łzy,

Za lata w niewoli spędzone,

Za fałsze, oszczerstwa i cyniczne gry,

Nadzieje bestialsko zniszczone.

Od Jałty ten koszmar sowiecki już trwa

I z każdym wciąż rokiem narasta,

Nie lękaj się walki, w szeregu dziś stań,

Przed tobą czerwona hałastra.

*Nie chcemy komuny, podnieśmy więc dłoń,
Nasz protest do Kremla już dotarł,
Uchwyćmy w swe ręce parszywy nasz los,
Niech zadrży czerwona hołota.*

*Choć w celach ponurych, nadzieja w nas tkwi,
Wolności uchylą się wrota,
Nadejdą dla wrony ostatnie już dni,
Zamilknie czerwona hołota.*

*Czas błędów, wypaczeń już znudził się nam,
Wymierzmy sztywnemu więc kopa,
Czas, Polsko, wystawić rachunek twych ran,
Niech płaci czerwona hołota.*

Piosenka nieznanego autora, śpiewana na melodię popularnego marsza „Piechota”. Powstała zaraz po wojnie, w latach 40. w oddziałach Żołnierzy Wyklętych, spopularyzowana w czasie Solidarności. Zamieszczony tekst zawiera już zmiany wprowadzane w stanie wojennym.

Gdy wyprowadzono do suk wszystkich członków orkiestry, pozostał tylko jeden skrzypek Ignacy Czeżyk – nauczyciel matematyki z Puław (przewodniczący Komitetu Założycielskiego „S” Pracowników Oświaty i Kultury w Puławach; członek Prezydium Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania; 17 XI 1980 sygnatariusz porozumienia z ministrem edukacji narodowej podczas strajku w Urzędzie Wojewódzkim w Gdańsku; IV/V 1981 delegat na I WZD Regionu Środkowo-Wschodniego, delegat na I KZD. Obecnie radny miasta Puławy i Poseł na Sejm za ramienia Prawa i Sprawiedliwości), który długo grał poloneza Ogińskiego „Pożegnanie z Ojczyzną”. Utworem tym żegnał wszystkich wychodzących na wolność

czy na przepustkę. Niektórzy z moich kolegów niesłusznie przypisują Czeżykowi brak znajomości jakichkolwiek innych utworów, gdyż Msze św. z jego grą i dobranym chórem – do którego miałem zaszczyt się przyłączyć – posiadały wspaniałą, wzruszającą i urozmaiconą oprawę muzyczną.

Wieczorem pozwolono skorzystać z telefonów, maksimum 3 minuty, każdemu kto miał pieniądze, nie pytając skąd, mimo, iż pieniądze w posiadaniu uwięzionych spełniają definicje kontrabandy. Udało mnie się precyzyjnie na jedną z pierwszych pozycji i zadzwonić do Joli z krótką informacją:

- Kochanie, jestem w Załężu na przedmieściu Rzeszowa. Widzenia w weekendy. Kocham Cie i czekam.

- Jak się cieszę, że dzwonisz, dowiedzieliśmy się, że was wywieźli ale nie powiedziano nam dokąd. Kto jeszcze jest tam z toba?

Bracia Grzesiaki, Szymanderski, Nowicki, Ruszar, Lipski... zdażyłem wyrecytować,

W tym momencie oficer położył palce na widełki, mówiąc:

- Tego nie wolno było panu powiedzieć - a zwracając się do reszty oczekujących, dodał:

- Uprzedzam, że podawanie nazwisk innych internowanych spowoduje przerwanie sesji.

Na widzenie przyjechała Jola z Iwonką przynosząc kosz owoców od lokalnych sadowników. Na pobliskiej plebanii zorganizowano noclegi u parafian dla rodzin, z których niektórzy przyjechali z tak daleka jak Trzebiatów na Pomorzu Zachodnim. Widzenie było bardzo dyskretnie dozorowane a w puszcze z groszkiem znaleźliśmy po powrocie do cel wódkę. Moje Dziewczęta również zostały w Rzeszowie na noc odwiedzając mnie ponownie w niedzielę. Nie oczekiwałem wówczas, iż następne spotkanie z najbliższymi będzie

już miało miejsce na śniardwy. Nie chciałem ich narażać na długą i męczącą podróż prosząc by przyjechały ponownie, albo chociaż Jola, za miesiąc.

20 września 1982 r. malowałem na ścianie celi logo Solidarności. Tak się w tym wyspecjalizowałem w ciągu ostatnich dwóch lat, iż mogłem to robić na zamówienie. W pewnym momencie do celi wszedł klawisz ze słowami:

- *Pan Bolko Skowron, proszę się spakować i przygotować do wyjścia.*

Zdażyłem zebrać grypsy od kilku osób z Warszawy i skończyć napis na ścianie. Nie zauważyłem kiedy Michał Bukojemski – filmowiec przed wojna jaruzelską z Polskiej Kroniki Filmowej, po wyjściu autor wielu filmów dokumentalnych - zrobił mi podczas tej czynności zdjęcie, które było później wykorzystane w kilku dokumentalnych filmach. m.in „Obmurowana wolność” a w okresie EURO2012 zamieszczone na ogromnej planszy ustawionej przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, naprzeciwko Hotelu Bristol. Na sąsiedniej planszy uchwycono Jarka Mordaka – przyjaciela i towarzysza ze słynnej 19-ki. Michał wykonał a następnie przemycił na zewnątrz kilkaset slajdów, wykonanych swoim Olympusem, uchodzącym w tamtych czasach za szczyt miniaturyzacji aparatów fotograficznych.

Aż do kraty oddzielającej nasz pawilon od pomieszczeń administracyjnych towarzyszył mi Ignacy Czeżyk grający na skrzypcach Poloneza „Pożegnanie z Ojczyzną” Ogińskiego.

Okazało się, iż wychodziłem na 2 tygodniowa przepustkę, po upływie której miałem się zgłosić do obozu Kielce-Piaski. Podczas trwania przepustki, po wyleczeniu wrzodu na dwunastnicy, początkowo w szpitalu przy ul. Goszczyńskiego a następnie w sa-

natorium w Żegiestowie - nie widząc żadnych szans normalnego funkcjonowania w nienormalnym państwie, podjęliśmy starania o wyjazd na stałe do USA.

Kilka dni po wyjściu skontaktowałem się ze Stefanem Melakiem, który zaproponował nam udział w Pielgrzymce Kombatantów AK WiN i NSZ do Częstochowy. Jednym z głównych organizatorów był właściciel warsztatu elektrycznego, z którym kontaktowałem się 16 grudnia 1981, który i tym razem mnie nie rozpoznał (może dlatego, że dla zmylenia ogona zgoliłem brode?) w każdym razie ja zapomniałem jego nazwiska, on mojej twarzy – jesteśmy kwita. W pielgrzymce wzięli udział trzej bracia Melakowie: Andrzej, Sławek i Stefan – Arek siedział w Uhercach aż do 23 grudnia 1982 – oraz kilka osób znanych mi z zebrań KPN oraz Obywatelskiego Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Zbrodni Katyńskiej. Nasza grupa miała honorowe miejsce za ołtarzem podczas głównej Mszy św., a obsługiwali nas harcerze z niezależnych od reżimu hufców. Podczas odsłonięcia cudownego obrazu śpiewałem naszą czyli internowanych w Załężu, wersję pieśni „Z dawna Polski Tyś Królową Maryjo” , z której zapamiętałem tylko jedną zwrotkę;

Dziś, gdy cała Polska płacze, Maryjo,

Odmień losy jej tułacze, Maryjo,

Oszczędź ziemi polskiej cierpień,

Solidarność zwolnij z więzień,

Ocal Matko Polski Sierpień, Maryjo

Modliliśmy się razem z Jolą, trzymając się za ręce, wpatrzeni w cudowny obraz Czarnej Madonny:

„Matko Boska, Królowo Polski spraw, byśmy się już nigdy nie musieli rozstawać.”

Modlitwa nasza została wysłuchana i po otrzymaniu pisma o treści:

„Ośrodek odosobnienia w Kielcach . Kielce dnia 22,11,1982r.

Świadectwo zwolnienia internowanego

Ob. Skowron Bołko Jerzy – dane personalne – osadzony w ośrodku odosobnienia w Warszawie dnia 19.12.81 na mocy decyzji 71/S/81 z dnia 19.12.81 r. Komendanta wojewódzkiego MO w Warszawie, został zwolniony w dniu 22.1.82 r. W/w obowiązany jest zameldować się w komendzie wojewódzkiej MO w Warszawie najpóźniej do dnia 25.11.1982 r.

Podpisał komendant ośrodka odosobnienia w Kielcach, podpis nieczytelny”

Moja wędrówka na szlaku wronich gniazd po 11-tu miesiącach i 4-ech dniach dobiegła końca.

ONE WAY TICKET

Czy pamiętasz, co mi odpowiadałaś, gdy cię spytałem, czy pojedziesz ze mną na koniec świata? – spytałem Jolę po wyjściu na przepustkę we wrześniu.

Tak, kochanie – odpowiedziała.

Właśnie ten moment nadszedł.

Rozmowa w Konsulacie USA z panią Konsul, na początku grudnia 1982, nie trwała długo^[105]. Na pytanie:

- *Dlaczego cie tak długo trzymają?* – odpowiedziałem:

- *Jestem również członkiem KPN.*

Pani konsul dopisała na dokumencie, zatytułowanym: Interview with Petitioner: „KPN too” i kazała zadzwonić za tydzień. Po tygodniu otrzymaliśmy list, iż wniosek o przyznanie nam statutu uchodźców został rozpatrzony pozytywnie i mogę się zgłosić po promesę wizową, niezbędną do wystąpienia o paszporty.

Po utracie pracy przez Jolę i spodziewanej przeze mnie, wezwaniach na Mostowo, które konsekwentnie olewałem, „ogonie” wlokącym się za mną w taki sposób bym zauważył, oraz obezwładniającej i wszechogarniającej beznadziejności, doszliśmy wspólnie do wniosku, iż więcej tutaj nie zwojujemy a tylko pogąźmy się

105 Na zarządzenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych już w styczniu 1982 roku rozpoczęto akcję wydalania z kraju działaczy Solidarności. W tym czasie dotyczyło to internowanych, którym proponowano wyjazd z kraju. Z czasem akcja objęła także byłych internowanych, byłych więźniów politycznych oraz (dla celów propagandowych) byłych kryminalistów. Ostatecznie, jak podaje Dariusz Stola, w latach 1982–1989 wydano w ten sposób 2200 internowanych i byłych internowanych, 4000 członków ich rodzin, 815 byłych więźniów politycznych (określanych jako członkowie opozycji) i 1215 członków ich rodzin. W sumie daje to grupę zesłańców politycznych liczącą 8230 osób. Do tej grupy dodano 410 kryminalistów i 510 członków ich rodzin, czyli 920 osób. Oczywiście w obu grupach musiała być pewna, nieznaną mi liczba tajnych współpracowników ubecji.

Wykonana w ten sposób akcja była w istocie działaniem przestępczym, jedną z licznych zbrodni reżimu przeciwko narodowi polskiemu. Chodziło o zlikwidowanie najgroźniejszej w ówczesnej ocenie ubecji grupy wrogów ustroju przez usunięcie jej na stałe z granic Polski. Nazywa się to obecnie „pozasądową banicją”. Rozproszeni w ten sposób po całym świecie działacze Solidarności zostali potem nazwani „Wygnańcami Solidarności”, której to nazwy używam, jako obecnie już tradycyjnej. Zesłańcy polityczni zostali celowo rozproszeni w milionowej rzeszy polskiej emigracji ekonomicznej, tzw. „uciekinierów”, która zalała wtedy świat. Roztopienie się w tej masie było o tyle łatwiejsze, że znaleźli się w niej też autentyczni działacze Solidarności, którzy wyjechali byli przed 13 Grudnia.”(Piotr Wiesław Jakubiak – Wygnańcy stanu wojennego)

w marazmie. Na szczęście zarówno Jola jak i Iwonka nie stawiały obiekcji w wybraniu nowego życia na nowym kontynencie. Zbyszek trochę marudził, że mogą mu nie dać paszportu z uwagi na niedawno odbytą służbę wojskową. Był to wykręt, ponieważ trzy lata później Wojtek dostał paszport bez problemu mimo, iż służył w jednostce wywiadu. Tymczasem konsulat amerykański przyznał wizy stałego pobytu tylko nam i Joli ponieważ Iwonka, która miała ukończone 18 lat i była zamężna, nie spełniała warunków pierwszego stopnia pokrewieństwa. Mogliśmy starać się o jej sprowadzenie po otrzymaniu kart stałego pobytu w USA. Mimo odmowy Iwonka nie tylko nie wstrzymywała nas ale wręcz zachęcała:

- Jedźcie, przecież widzę jak się tutaj tata dusi a my do was dołączymy jak się urządzicie.

Iwonka już była wówczas w ciąży z Ewą i rozstanie przeżyliśmy bardzo boleśnie, mimo, iż nie dałem tego po sobie poznać.

Wydział paszportowy MSW, w dniu 17 stycznia 1983 roku obdarzył nas paszportami, ważnymi na wszystkie kraje świata do 17 stycznia 1984 roku, z prawem jednokrotnego przekroczenia granicy polskiej. (str. 6)

Na stronie zatytułowanej zmiany i uzupełnienia wpisów dokonanych na str. 6 znajduje się pieczętka o treści:

Po przybyciu do kraju docelowego paszport ten w terminie jego ważności należy wymienić na paszport konsularny.

W uzasadnieniu „zgody” na wyjazd emigracyjny do USA z 4 listopada 1982 ppłk K. Dzienia napisał m.in.:

W związku z waszym pismem w sprawie wyjazdu na stałe z Polski do USA wraz z żoną ob. Bolka Skowron s.Gerda (personalia) informuje co następuje:

W/w pełnił funkcję t.zw. „koordynatora zespołu usługowego

d/s szkolenia” powstałym przy KPN Obszar Centralny. Uczestniczył w pracach Społecznego (nie społecznego tylko obywatelskiego, przyp. mój)) Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Zbrodni Katyńskiej....

B.Skowron w ośrodku odosobnienia wypowiadał się, że identyfikuje się całkowicie z ideologią głoszoną przez KPN. Twierdzi, że Polska nie jest krajem suwerennym lecz zależnym od ZSRR i głównym celem powinno być odzyskanie niepodległości. Decyzją Komendanta Stołecznego MO został internowany w areszcie śledczym w Białoleńcu. W trakcie pobytu w Białoleńcu B.SKOWRON nie zmienił swego stanowiska wobec wydarzeń zachodzących w kraju. Wygłaszał pogadanki dla współtowarzyszy (włączając w to TW Bernarda Koleśnika – wtyczki SB w KPN i następnie w Białoleńcu, przyp.mój) głosząc, iż KPN jest jedyną organizacją zdolną do podjęcia „walki z reżimem”. Należy wobec tego organizować prowokacyjne wystąpienia zbrojne przeciwko wojsku, podziemny ruch oporu aż do wywołania powstania powszechnego. (W tym miejscu albo informatorowi albo prowadzącemu mocno popuściła fantazja)...

... reasumując powyższe, zgoda na wyjazd emigracyjny do USA B.SKOWRONA z żoną i rodziną wymieniona w kwestionariuszu paszportowym jest zasadna...

Z posiadanego rozpoznania operacyjnego wynika, że w/w nie zmieni swej postawy społeczno-politycznej, nie zaprzestanie czynnie walki z obecną władzą ludową a podejmowane przez niego działania stanowić będą zawsze poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa i porządku publicznego.

Naczelnik Wydziału III-2

Komendy Stołecznej MO w Warszawie

Ppłk K. Dzienia^[106]

W konsulacie Republiki Federalnej Niemiec otrzymaliśmy trzy-miesięczne wizy bez prawa pracy oraz z adnotacją: Nur zur Vorsrpache bei INS Frankfurt/M^[107].

Oszczędności naszego 20-letniego wspólnego życia starczyło na: kupno dwóch walizek, zakupu dewiz w postaci „kieszonkowego”, wynoszącego po \$24 na osobę oraz dwóch biletów w jedną stronę (ang. One way ticket) na samolot Lufthansy odlatujący do Frankfurtu nad Menem, rejs nr 347. Uczciwie trzeba przyznać, iż lwia część oszczędności pochłonęło zaopatrywanie mnie w więzieniu, wyjazdy na widzenia, itd. Koszty utrzymania oraz inflacja wzrosły w ciągu jednego roku tak drastycznie, iż jakiegokolwiek oszczędności by się posiadało, musiały być doszczętnie splukane.

20 lutego 1983 r. oprócz Dzieci, na lotnisko odprowadzili nas: rodzice i brat Joli, moja mama oraz TREP-y w osobach Ewy i Piotрка Kwiatkowskich, Bożeny i Andrzeja Sułkowskich, Tereski i Bogusia (Dziadka) Dąbrowskich, Grażyny i Krzyśka Smogorzewskich, Iwony i Andrzeja Plichtów, plus koledzy z opozycji Zygmunt Staroń, Tomek Grzechociński, Stefan i Arek Melakowie, Antek Zambrowski i Witek Kazańczuk czyli Mocarz. W każdym razie tylko tyle udało mnie się zapamiętać na podstawie zdjęć.

Podczas odprawy personel LOT-u zignorował ewidentną nadwagę natomiast ubek w mundurze celnika dokonał drobiazgowej rewizji mojego bagażu, czytając m.in. listy od Joli i mamy. Na moją uwagę: *„życzę panu, żeby listy od pańskiej mamy też tak ktoś czytał”* – odpowiedział krótko:

——— ~~*Moja mama nie żyje.*~~

106 z dokumentów Instytutu Pamięi Narodowej teczka O/Wa WK-4664/08

107 Ważne tylko w celu przeprowadzenia interview w INS we Frankfurcie nad Menem. INS – Immigration and and Naturalization Services. Obecna nazwa Immigration brzmi United States Citizenship and Immigration Services.

- *Miała szczęście* – skomentowałem.

- *Co takiego?* – wściekł się ubek wstając. W tym momencie do kapciorki wszedł pracownik Lufthansy pytając, jak długo to potrwa.

- *Tyle ile będzie trzeba* – odparł rozzłoszczony ubek.

- *Chciałem tylko pana powiadomić* – powiedział grzecznie przybyły – *że pan kapitan powiedział, iż nie odleci bez tego pasażera a kosztami opóźnienia obciąży Urząd Celny.*

Rzeczywiście, nikt nie był w stanie udowodnić zasadności tak długiej odprawy celnej poza aktem świadomej represji, aby większość z nas musiała w tym momencie podjąć postanowienie: „moja noga w tym pierdolniku nie postanie”. Później okazało się, iż w taki sposób postępowano średnio z połową emigrantów politycznych a polecenia represyjnych rewizji wychodziły bezpośrednio z MSW. Ubkowi nagle zaczęło się spieszyć i konfiskując większość pamiątkowych pieczętek z Białołęki i z Załęża wrzucił resztę do walizek. Do samolotu zaprowadziła nas młoda pracownica LOT o widocznej ciąży, która na pożegnanie powiedziała ze łzami w oczach:

- *Nigdy nie zapomnimy Solidarności.*

Po wejściu schodkami do drzwi Boeinga-727, Jola odwróciła się i szlochając zapytała:

- *Jak myślisz, czy jeszcze tu kiedyś wrócimy?*

- *Tak, wrócimy ale do Wolnej Polski. Obiecuję ci to* – odpowiedziałem obejmując ją i przytulając mocno do siebie. I dotrzymałem słowa piętnaście lat później.

Pomachaliśmy widocznym z oddali odprowadzającym zebranym na tarasie widokowym a następnie przyjeśliśmy po chusteczce i po lampce szampana na otarcie łez od sympatycznej stewardessy Lufthansy Lot nr. 347.

Pierwszy etap naszej emigracyjnej tułaczki rozpoczęliśmy od

dwutygodniowego pobytu w obozie dla uchodźców, usytuowanym w pensjonacie Herwig oHG Kurheim Vitagen, w uroczym miasteczku miasteczku Bad Soden Salmünster w Hesji, ok. 90 km na północny wschód od Frankfurtu. Miasteczka Bad Soden i Salmünster oddalone były od siebie o 1 km ale geograficznie wymawiane jako całość. W obozie trafiłem na kolejnego Skowrona – tym razem Jerzego z Kielc, z którym nas początkowo mylono. Ja miałem w dokumentach pełne nazwisko Bolko Jerzy Skowron, co mogło sugerować, iż chodzi o ta sama osobę. Po wyjaśnieniu, już wieczorem, tego samego dnia na drzwiach oficera ICI (Intergovernmental Committee for Migration czyli międzypaństwowy komitet imigracyjny z siedzibę w Genewie) zauważyłem swoje nazwisko na liście osób wyznaczonych do Interview w Konsulacie USA w Frankfurtu za tydzień oraz do wyjazdu w dniu 9 marca. Naszym sponsorem była organizacja Tolstoy Foundation z siedzibą w Nowym Jorku a filia, do której nas skierowano, zlokalizowana była w miejscowości Lapeer, w stanie Michigan, w odległości ok. 60 km od Detroit. Warunkiem wyjazdu było podpisanie zobowiązania zwrotu pożyczki w wysokości \$270 na bilet w jedną stronę do USA.

Interview w Konsulacie USA miało charakter formalny – wiadać było, iż na nasz temat przeprowadzono dokładny research, ponieważ pytano mnie wyłącznie o nazwiska etatowych agentów SB oraz o współpracowników i konfidentach. Podałem nazwisko Andrzej Żegota, które okazało się pseudonimem, pod którym ukrywał się ppor. Andrzej Anklewicz. Przesłuchujący mnie specjalny agent CIA Marcus Eubanks zetknął się z tym nazwiskiem po raz pierwszy. Nie wiedziałem wówczas nic o agenturalnej działalności Koleśnika i Stachnika a nikogo o takową nie podejrzewałem. Podałem mu natomiast nazwiska internowanych z nami kryminalistów, którzy mogli być nakłonieni do emigracji lub dobrowolnie z niej

skorzystać. Jąkając się i dukając, a także spoglądając na Jolę, odbyłem tą rozmowę bez tłumacza, co podniosło mnie na duchu, iż powinienem sobie w Stanach dać radę. Wracając z Frankfurtu zajechaliśmy po drodze na lotnisko odbierając Jurka Bielca – kolegę z celi 19 w Białoleścu, który właśnie przyleciał z Warszawy. W Vitagenie poznaliśmy również Ewę Sułkowską-Bieriezin, do której przyjechał z Paryża jej mąż Jacek a mieszkali w pokoju sąsiadującym z nami. Przywiózł nagrania Jacka Kaczmarskiego, Jana Kelusa i swoje, które puszczała rozdrapując nasze świeże rany rozstania z Ojczyzną i z bliskimi. Jacek zginął w wypadku samochodowym w Paryżu 26 maja 1992 r. a Ewa, z którą mieliśmy jeszcze kontakt gdy mieszkała w Michigan, zmarła 16 lipca 2013 r. w Łodzi.

Beztroski pobyt w obozie – kurorcie, z doskonałym wyżywieniem, salą gimnastyczną, basenem i sauną, z kieszonkowym w wysokości 5DM dziennie na osobę, traktowaliśmy jako zaliczkowy urlop przed czekającym nas wyzwaniem. Kilkakrotnie udało mi się popracować w kuchni czy przy rozładunku towarów i zarobić kilka butelek piwa – pierwsze zarobki na Zachodzie.

Wiedzieliśmy, iż nasza amerykańska przyszłość nie będzie łatwa; kraj dopiero powoli zaczął wygrzebywać się z kryzysu, bezrobocie wciąż wynosiło ok. 8%, ale tak naprawdę nikt z nas sobie w pełni nie zdawał sprawy przed jak trudnym zadaniem stanęliśmy podejmując to wyzwanie.

9 marca 1983 roku, na pokładzie Boeing-747 czyli popularnego Jumbo Jet – największego wówczas samolotu pasażerskiego na świecie - rejsem numer TW-741, nieistniejących już linii TWA, odlecieliśmy wraz z grupą kilkudziesięciu innych pensjonariuszy Vitageny, z Frankfurtu do Nowego Jorku, by rozpocząć kolejny etap naszego życia w zupełnie innym środowisku, warunkach i rzeczywistości. Na lotnisku JF Kennedy przedstawiciele INS – zwa-

nego popularnie Immigration, wraz z przedstawicielami ICM postępowali z nami podobnie jak to czynili ich poprzednicy od ponad 200 lat w porcie na Ellis Island. Każde z nas podawało nazwiska, które wpisywano na nowo do kart I-94 czyli tymczasowych kart stałego pobytu. Można było podać take nazwisko jakie każdy sobie zażyczył, np. zmieniając pisownię na bardziej amerykańską. Przypomniała mnie się scena z filmu Godfather II, kiedy 9-letni, mało rozmowny i nie rozumiejący angielskiego Vito Andolini został przedstawiony urzędnikowi spisującemu dane przez doprowadzającego, na pytanie:

Nazwisko, miejscowość? – padła odpowiedź:

Vito Andolini from Corleone.

Vito Corleone – zapisał w księdze urzędnik i tak już zostało.

Następnie wbito nam w paszporty pieczętki o treści:

ADMITTED AS A REFUGEE

PURSUANT TO SEC. 207 OF

THE I&N ACT. IF YOU DE-

PART THE US, YOU WILL

NEED PRIOR PERMISSION

FROM INS TO RETURN.

EMPLOYMENT AUTHORIZED

PORT NYC, DATE 3/9/83 INS OFF. 913

(wjechał jako uchodźca, na podstawie art. 207 ustawy o imigracji i naturalizacji. Jeżeli opuścisz US, będziesz potrzebował zgodę INS przed powrotem. Upoważnienie do podjęcia pracy)

Następnie zajęli się nami urzędnicy ICM, którzy po wyczytaniu nazwisk z listy przyklejali nam kartki z logo ICM i skrótem portu docelowego. W naszym przypadku były to litery DTW.

„Ty jesteś Boston, ty jesteś St. Louis, ty jesteś Detroit, ty jesteś Chicago...” – mówił po polsku młody, ciemnowłosy chło-

pak, który okazał się być Bułgarem, przyklejając na nasze płaszcze odpowiednie nalepki. Po zakończeniu tej czynności odwrócił się i począł iść w kierunku terminalu krajowego (wówczas jeszcze pozbawionego ruchomej ścieżki)

- *Za mną* – polecił nie zwracając uwagi, iż wśród nas znajdowały się osoby z małymi dziećmi i obciążone sporym bagażem podręcznym z pieluchami, zmianami do przebrania itd.

W sekcji odlotów krajowych TWA wręczono nam one way ticket na dwie osoby na samolot TWA odlatujący do Detroit za 3 godziny, wskazano stanowisko odprawy i powiedziano;

- *Good luck.*

- *Thank you, Sir* – odpowiedzieliśmy.

Mając sporo czasu do odlotu kreciłem się po lotnisku, aż wyszedłem na zewnątrz, gdzie zauważyłem długi rząd taksówek na postoju. Były to ogromne landary, modele z lat 60-tych, ubłoczone lub zakurzone, niektóre poobijane lub z pogniecioną karoserią, wszystkie pomalowane na żółto. Stanowiło to ogromny kontrast do postoju taksówek przed budynkiem lotniska we Frankfurcie, wypełnionym równiutkim rzędem najnowszych modeli lśniących Mercedesów.

Dla zabicia czasu podeszliśmy do Gate, z której miała odlecieć do Bostonu para młodych ludzi z dwojgiem dzieci. Rozmawialiśmy na temat czekających nas wyzwań, z których nie zdawaliśmy sobie sprawy, wymieniając przypuszczenia, dzieląc się wspomnieniami z działalności w opozycji oraz z interny. Jola, bardzo przeżywająca rozstanie z Perełką, z którą spędzała dotychczas całe dnie, zabawiała ich dzieci, nawiązując szybko bezpośredni kontakt. Gdy pod gate podstawiono ogromnego Jumbo Jet'a, ogłoszono rozpoczęcie boarding samolotu do Bostonu. Oboje nasi znajomi nie znali ani „be” ani „me” po angielsku, więc przetłumaczyliśmy im ogło-

szenie hostessy, iż osoby z małymi dziećmi będą odprawiane w pierwszej kolejności.

- *Powodzenia, nie dajcie się wujowi Samowi* - powiedziałem im na odchodne.

- *Wam również, nie daliśmy się komunie to i wuj Sam nam niestraszny* – odpowiedział chłopak, którego ani imienia ani nazwiska nie pamiętam.

Jola zaczęła odchodzić w kierunku gate, z której mieliśmy odlot do Detroit by przerwać rozstanie z dziećmi, które już ją zdążyły polubić a ja jeszcze chwileostałem, czekając aż znikną w głębi rękawa. Tymczasem hostessa zaczęła im coś tłumaczyć, z czego zrozumieli tylko słowo „no”. Nasz znajomy zaczął rozpaczliwie rozglądać się wokół a ja poczułem, iż moja interwencja jest niezbędna.

- *What's going on?* – o co chodzi? - spytałem hostessy, trzymającej w ręku bilet.

- *Jedno z ich dzieci ma ukończone 3 lata i powinno mieć odrębny bilet* – wytłumaczyła.

- *Czy nie można czegoś dla nich zrobić w drodze wyjątku? To są uchodźcy polityczni, w Bostonie będzie na nich czekał sponsor i może za nich zapłacić* – poprosiłem.

- *Sorry, Sir* – usłyszałem w odpowiedzi – *nie mogę ich przyjąć na pokład o ile nie wykupią biletu.*

O jaką sumę chodzi? – spytałem, będąc gotów za nich założyć.

- *120 dolarów* – usłyszałem i już wiedziałem, że sam nie mogę nic zrobić, ponieważ w kieszeni miałem niewiele ponad 50\$, które pozostały mi z darów, otrzymanych od moich chrzestnych po wysłaniu kilku paczek do rodzin z Bad Soden.

W tym momencie przypomniałem sobie, iż przedstawiciel

sponsora, wręczającego nam bilety usiadł w poczekalni czytając gazetę. Być może jeszcze tam jest – pomyślałem i ruszyłem biegiem w tamtym kierunku. Niestety, krzesło, na którym go widziałem było już zajęte przez kogoś innego. Nie dając za wygraną ruszyłem biegiem w kierunku wyjścia i dosłownie tuż przed schodami prowadzącymi na zewnątrz dostrzegłem wychodzącego faceta, którego rozpoznałem w wielotysięcznym tłumie dzięki moim zdolnościom zapamiętywania twarzy .

- Sir, there is a problem – wydusiłem z siebie po uspokojeniu zadyszki i wytłumaczyłem o co chodzi.

Przedstawiciel sponsora spojrział na zegarek i biegiem zawrócił w kierunku gate, z której odlatywał samolot do Bostonu, a ja spokojnie wróciłem do Joli z poczuciem spełnienia dobrego uczynku. W niecałą godzinę później znaleźliśmy się na pokładzie Boeinga-727, który po niespełna dwóch godzinach zaczął schodzić do lądowania w Detroit. Jola siedziała przy oknie i odchylając się do tyłu wskazała za okno:

- *Popatrz co za widok.*

Był już wieczór i pod nami rozciągał się widok, który można zobaczyć tylko w USA i w Kanadzie. Jak daleko sięgnąć wzrokiem, widać było gigantyczną szachownicę światła równiutko poukładanych w kwadraty, przecinane od czasu do czasu ukośnymi liniami dróg szybkiego ruchu. Detroit było wówczas piątym, pod względem liczby mieszkańców miastem USA po Nowym Jorku, Chicago, Los Angeles i Filadelfii i wówczas, przynajmniej z lotu „ptaka” i w nocy prezentowało się wspaniale. Obecnie nie mieści się w pierwszej dwudziestce, wyprzedzone m.in. przez Charlotte, a w lipcu 2013 r. sąd ogłosił bankructwo miasta.

Przy wyjściu zostaliśmy przywitani przez trzy osoby: dziewczynę w wieku dwudziestu kilku lat, oraz dwóch panów: ubranego

w samą marynarkę trzydziestokilkulatka ze znaczkiem Solidarności w klapie oraz wysokiego, potężnego faceta w okularach, lat ok. 50.

- *Ludmiła* – przedstawiła się dziewczyna wyciągając rękę do Joli a potem do mnie.

- *Jola, Bolko* – przedstawiliśmy się kolejno.

- *Staszek* – facet ze znaczkiem Solidarności oraz

- *Tom* – najstarszy z towarzystwa.

- *Tom jest przedstawicielem sponsora* – wyjaśniła Ludmiła.

- *Nice to meet you, Tom* – powiedzieliśmy kolejno.

- *O, to znacie angielski* – ucieszyła się Ludmiła.

- *Na tyle o ile* – odpowiedziałem – *na lotnisku w Nowym Jorku nie byłem w stanie nikogo zrozumieć.*

Ludmiła Pyko przyjechała do Stanów wraz z mężem Januszem rok przed nami, po przejściu przez obóz w Austrii, gdzie zastał ich stan wojenny. W Austrii tuż przed 13 grudnia dołączył do nich młodszy brat Ludmiły Boguś Występek, z którym w owym czasie dzielili townhouse. Janusz, z zawodu inżynier-elektronik pracował od pół roku w swoim zawodzie, a Ludmiła – absolwentka Pedagogiki na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, wciąż kończyła różne kursy, doskonaliła swój angielski i szukała pracy na miarę ambicji, Boguś pobierał zasiłek z programu pomocy dla uchodźców Refugee Assistance Program, jednocześnie dorywczo pracując na czarno w pizzerii prowadzonej przez Elżbietę Ciesielską. Staszek Boguszewski – technik mechanik z Zakładów Azotowych w Kędzierzynie, był działaczem Solidarności, internowanym przez kilka miesięcy w obozie w Zabrze – Zaborzu. Przyjechał dwa miesiące przed nami z żoną i dwoma synami w wieku 15 i 10 lat, również pobierając zasiłek z RAP i pracując dorywczo u znajomych Polaków. Tom Hurley, z pochodzenia Irlandczyk, był w przeszłości

nałogowym alkoholikiem, pracował w Tolstoy Foundation dorabiając do renty inwalidzkiej.

Na lotnisko w Warszawie zawiózł nas sąsiad Żukiem – mini ciężarówką, ponieważ nasze bagaże nie zmieściłyby się pod klapą żadnego z samochodów naszych znajomych; Fiata Mirafiori, „garbusa”, Syrenki, nie mówiąc już o „maluchu” czyli Fiacie-126p. Tymczasem w przepastnym bagażniku Forda Crown Victoria Toma znalazłoby się jeszcze miejsce dla conajmniej jednej walizki a cała nasza piątka swobodnie usadowiła się w obszernej kabinie. Wiedzieliśmy już bez żadnych wątpliwości, że jesteśmy w Ameryce. Jechaliśmy długi czas autostrada, początkowo I-94, a następnie I-75, po czym zjechaliśmy na Woodward Avenue, jedną z najdłuższych ulic metropolii z czterema pasami ruchu w każdym kierunku. Tom jechał z szybkością nieco powyżej 50, jak się domyśliłem, mil na godzinę, czyli trochę ponad 80 km/h. Górny limit prędkości, obowiązujący wówczas od czasów prezydenta Nixona, czyli w latach 1974- 1987 wynosił we wszystkich Stanach 55 mph czyli niecałe 90 km/h.^[108]

Po około godzinie znaleźliśmy się na parkingu marketu Farmer Jack, gdzie Tom spytał czy jesteśmy głodni. Gdy potwierdziłem za nas oboje, bo Jola zaczęła kręcić przecząco głową, Tom wyciągnął z portfela 20 dolarów i wręczył je Ludmile. Po wejściu do Farmer Jacka, otwartego 24 godziny, odebrało nam oddech nie tylko z powodu rozmiarów marketu ale również ilości i różnorodności towarów. Chciałem uprzejmie wyjaśnić czytelnikom urodzonym i wychowanym w czasach Auchan, Carrefour czy Tesco, zdzi-

108 Obecnie najwyższy limit prędkości wynosi średnio 75 mph (121 km/h) w zachodnich Stanach oraz 70 mph (113 km/h) we wschodnich. W niektórych Stanach, m.in. Northeast Megalopolis, obowiązuje limit 65 mph (105 km/h), a na Hawajach wynosi tylko 60 mph (97 km/h) maximum. W niewielkich częściach Stanów Texas i Utah dozwolony jest wyższy limit do 85 mph (137 kmh)

wionych naszym ówczesnym szokiem, iż wówczas największym super marketem w Warszawie był Supersam przy pl. Unii Lubelskiej, o rozmiarach dzisiejszej Biedronki w małym miasteczku, z repertuarem towarów dziesięciokrotnie mniejszym niż dostępnym obecnie w byle osiedlowym sklepiku.

Gdy opuszczaliśmy Polskę, w Supersamie był dostępny ocet – wyłącznie! Ludmiła musiała nam tłumaczyć różnice pomiędzy kilkudziesięcioma gatunkami chleba, wśród których wybraliśmy żydowski – najbardziej zbliżony do naszego, polecić gatunek ziemniaków Idaho – najlepszych w Stanach, znanych w Polsce pod nazwą Amerykany, dziesiątkami gatunków serów i wędlin, wśród których znajdowała się niedostępna wówczas w polskich sklepach szynka Krakus, itd. itd. Zaskoczenie wzbudziła kasjerka, obsługująca nas na stojąco, (nie ma za nią krzesła) nie dopominająca się o przysłowiowe „złoty dwadzieścia pięć poproszę”, oraz pakująca nam towary do toreb (w Polsce wciąż zwanych „reklamówkami”) a później wkładająca te torby do wózka. Za kasą przejął nasz wózek chłopak, który nie tylko zapchnął go do samochodu ale powkładał zakupy do bagażnika. (tego mi brakuje podczas wizyt w europejskich supermarketach. Jak wiadomo, do dobrego się człowiek łatwo przyzwyczaja. Tymczasem obsługa w sklepikach osiedlowych w Polsce znajduje się na poziomie amerykańskim – na stojąco, z pakowaniem towarów do toreb przez sprzedawcę, wydawaniem reszty bez marudzenia, i jakoś nie spadają im korony z głów) Po wypełnieniu ogromnego wózka towarami, których starczyło na tydzień, kasjerka wydała nam kilka dolarów reszty - sytuacja nie do pomyślenia obecnie, gdy 20\$ się płaci na dzień dobry, przy byle zakupach.

Zatrzymaliśmy się wreszcie przed jednopiętrowym domkiem przy ulicy Troy (zapomniałem numeru), równoległej do 9-tej Mili

w miejscowości Ferndale, jedną milę na północ od 8-mej Mili stanowiącej północną granicę Detroit. Już wówczas uprzedzano nas, iż przekraczanie 8-mej mili na południe, ze względów bezpieczeństwa, winno mieć miejsce wyłącznie do pracy, w celach tranzytowych lub załatwienia spraw w Immigration.

Dom okazał się być własnością matki Toma i zamieszkały był przez jego synów Joe i Tima oraz ogromnego psa, wabiącego się Scar. Opłata za wynajem szła zatem z Tolstoy Foundation do kieszeni mamy Toma, zwalniając jego synów z opłat. Było to nasze pierwsze zetknięcie z funkcjonowaniem amerykańskich fundacji, i sposobami, w jaki obraca się pieniędzmi ofiarodawców. Na wszystkie następne fundacje patrzyliśmy odtąd sceptycznie zastanawiając się: „kto na tym zarabia?” zanim okazaliśmy naszą hojność. Domek posiadał jedną kuchnię, jedną łazienkę, obszerny living room czyli salon, dwie sypialnie na parterze i jedną na piętrze. Na piętrze, w obszernym studio mieszkał Tim, w jednej z sypialni na dole Joe a Scar tam gdzie chciał. Nam przypadła w udziale najmniejsza z sypialni, w której, poza ogromnym łóżkiem, praktycznie nie było miejsca nawet na ustawienie naszych walizek, nie mówiąc już o ich rozpakowywaniu.

- *Ale przynajmniej macie warsztat* – zdobył się na mało dowcipną w tych warunkach uwagę Staszek, puszczając do mnie oko.

„*Nie takiego startu oczekiwałem na ziemi Waszyngona*” – pomyślałem, postanawiając, iż długo tu nie pomieszkamy.

Było to pierwsze rozczarowanie, z których całym szeregiem odtąd przyszło nam obcować i stawiać im czoło.

Obudziłem się, gdy tylko na zewnątrz zrobiło się szaro i zauważyłem sypiący gęstymi płatkami śnieg. Wstałem, skorzystałem z łazienki i szybko zacząłem się ubierać.

Co ty robisz, spać nie możesz? – spytała Jola przecierając oczy.

- *Wyjrzyj przez okno: dolary z nieba lecą* – powiedziałem.

- *Odbiło ci chyba po długiej podróży* – powiedziała – *wracaj do łóżka, przytul się do mnie, jeszcze możemy pospać* – i przekreśliła się na drugi bok.

Tymczasem zszedłem do piwnicy, odszukałem szuflę do zgarniania śniegu i wyszedłem na zewnątrz a ze mną Scar, któremu potrzebny był poranny spacer. Zapukałem do drzwi pierwszego domu oferując pomoc przy odgarnianiu śniegu, ale otwierający pokręcił przecząco głową. Zapukałem do drugich – brak odpowiedzi. „do trzech razy sztuka” pomyślałem z lekka zniechęcony ale w trzecim domu pani z dzieckiem na ręku wyraziła zgodę.

- *How much you charge me for it?* – spytała, na co rozciąpię rękę palce obu rąk.

Kiwnęła potakująco głową i tak zacząłem zarabiać nasze pierwsze dolary. Zmeczenie 20-godzinna podróżą i niewyspanie spowodowało, iż po pierwszym domku miałem dość ale wróciłem szczęśliwy ściskając w ręku 10-cio dolarówkę, a ze mną Scar, któremu bardzo podobało się wytarzanie w świeżym, zwolna rozta-piającym się śniegu. W międzyczasie Joe i Tim pojechali do pracy; Joe Pacerem a Tim 2-drzwiową Chevelle. W ogródku stał jeszcze trzeci samochód ale nie zapamiętałem marki a ponadto nie sędzę, żeby był na chodzie.

Jola wstała, zrobiła śniadanie a potem zaczęliśmy pisać listy do Dzieci, do mamy a Jola do swoich rodziców. Opisaliśmy podróż omijając opis rozczarowania a z zakończeniem poczekaliśmy do przyjsia Virginii Talbot – kierowniczkii biura Tolstoy Foundation na Stan Michigan, która przyjechała w towarzystwie Ludmiły jako ewentualnej tłumaczki.

Virginia powiedziała, że bardzo się cieszy z naszego przyjazdu, ma nadzieję, że się nam będzie w Ameryce podobało i wierzy, iż z pomocą Polonii damy sobie radę. Pytała o dzieci i zdziwiła się, iż już jesteśmy dziadkami, wyraziła nadzieję, iż się wkrótce połączymy. Było to nasz cel numer 1 i wszystko inne było temu celowi podporządkowane.

Podawała nam kilka dokumentów do podpisania; pierwszy z nich Ludmiła wyjaśniła, że potwierdzamy „rentę”. Okazało się, iż słowo rent czyli wynajem, w żargonie polonijnym nazywa się renta a mieszkać na rencie oznaczało wynajmowanie mieszkania u kogoś. Właściciel mieszkania do wynajęcia nazywa się landlord, a gdy jest to osoba płci pięknej to landlady, w polonijnym żargonie „landlorka”. Polakom trudno jest zaakceptować brak podziału w języku angielskim na rodzaj męski i żeński określeń zawodów czy funkcji np. teacher, boss, nurse, seargeant, cop, w polonijnym żargonie nazywane są odpowiednio: ticzerka, boska, nurska, sierżantka, kapka.

T.zw. „renta” obejmowała koszt wynajmu plus świadczenia i opiewała na sumę 200\$, za miesiąc czyli do 9-go kwietnia. Powiedziałem, iż liczyliśmy na samodzielne mieszkanie, na co usłyszeliśmy, iż taki przywilej przysługuje wyłącznie rodzinom z dziećmi i żeby na nic innego z jej strony nie liczyć. Ludmiła, która nas od razu polubiła, powiedziała po polsku, że na pewno pomoże nam znaleźć lepsze mieszkanie.

Czego w takim razie możemy oczekiwać od sponsora? – zapytałem.

Skierujemy was do szkoły zlokalizowanej w Jewish Community Center czyli w żydowskim ośrodku szkolno-rozrywkowo-kulturalnym, na kurs English as a Second Language (w skrócie ESL) w ramach programu CITA (nie pamiętam pełnej nazwy, była to

rządowa organizacja adaptacji imigrantów), gdzie organizowane są różne kursy. Za uczęszczanie do szkoły będziecie otrzymywać najniższą obowiązującą wówczas stawkę 3,35\$ za godzinę. Będziecie mogli skorzystać z Jewish Vocational Service, czyli żydowskiego biura pośrednictwa pracy, znajdującego się, podobnie jak Community Center w miasteczku Oak Park, sąsiadującym bezpośrednio z Ferndale – wyjaśniła Virginia. Zrozumiałem, że dalej musimy radzić sobie sami.

I dobrze zrozumiałem, ponieważ Virginia podsunęła nam do podpisania:

Pokwitowanie otrzymania 100\$, które nam 20-dolarówkami odliczyła

kopię dokumentu, którego oryginał nam dała, iż z dniem dzisiejszym Toltoy Foundation zakończył wszelkie czynności związane ze sponsorowaniem nas.

Już bez konieczności podpisywania otrzymaliśmy kolejną kopię, podpisanego przez nas w Bad Soden zobowiązania do zwrotu 270\$ za bilet dwuosobowy w jedną stronę na trasie Frankfurt – New York – Detroit.

Byliśmy przygotowani, iż w USA liczyć musimy wyłącznie na siebie i dlatego cała scena nas nie bardzo zaskoczyła. Czekало nas załatwienie całego szeregu spraw poczynając od wyrobienia Social Security Cards w biurze Social Security Administration. Social Security number jest to unikalny numer, który otrzymuje każdy mieszkaniec Stanów Zjednoczonych, stanowiący m.in. potwierdzenie tożsamości. W pewnym sensie rolę Social Security number spełnia w Polsce PESEL. Social Security Administration została utworzona za prezydentury F.D. Roosevelta w celu zapewnienia wszystkim zatrudnionym rządowej emerytury a osobom, które utraciły zdolność do pracy – renty inwalidzkiej. Każda zatrudnio-

na osobę płaci składki zwane Social Security Tax, wynoszące w roku 2013 6,2% wynagrodzenia, potrącane z każdej wypłaty. Każdy pracodawca zobowiązany jest odprowadzić do SSA z własnych środków, drugie 6,2% co w sumie daje 12,4% gromadzone na koncie pracownika.

Osoby pracujące na własny rachunek mają obowiązek płacić 12,4% podatku Social Security. (gdy zaczynaliśmy pracę w USA Social Security tax wynosił początkowo 7,15%, później 7,16%, na zatrudnionego oraz 15% i 15,02% odpowiednio na osoby pracujące na własny rachunek). Warunkiem otrzymania emerytury z SSA jest zdobycie 40 punktów stanowiących skomplikowaną kombinację lat pracy i zarobków. Minimalny wiek, w którym można się ubiegać o wcześniejszą emeryturę to ukończone 62 lata, kiedy ubezpieczony otrzymać może 75% sumy przysługującej po osiągnięciu pełnego wieku emerytalnego. Ubezpieczenie z SSA t.zw. Medicare przysługuje emerytom po osiągnięciu 65 lat. Pełny wiek emerytalny dla roczników 1943-1954 wynosi 66 lat, następnie wzrasta z każdym kolejnym rocznikiem, a osoby urodzone po roku 1960 osiągną pełny wiek emerytalny po ukończeniu 67 lat. Dopiero po otrzymaniu, po kilku dniach drogą pocztową, Social Security Cards, mogliśmy starać się o inne niezbędne do funkcjonowania dokumenty. Social Security Card stanowi ponadto dokument uprawniający do podjęcia zatrudnienia i jest w zasadzie jedynym dokumentem, jaki należy okazać podczas starania się o legalną pracę. Kiedyś wydawano Social Security Cards osobom nie posiadającym prawa stałego pobytu, np. w celu wyrobienia prawa jazdy, z adnotacją „nie uprawnia do podjęcia pracy” albo „należy uzyskać zezwolenie z INS na podjęcie pracy”. Z otrzymanymi kartami SSA mogliśmy starać się o przyjęcie do szkoły na lekcje ESL, o prawa jazdy oraz o zarejestrowanie się w Department of Social

Service o ewentualne przyznanie zasiłku z programu Refugee Assistance Program.

W USA wszystkie dokumenty wysyła się pocztą, czyli musieliśmy wskazać adres zdając sobie sprawę, że w Ferndale nie będziemy mieszkać z uwagi na oddalenie od szkoły oraz zawiązującej się grupki polskich imigrantów w Oak Park. Oprócz Ludmiły i Janusza mieszkali tam Wanda i Staszek Boguszewscy z synami, Stefan Jackowski z Bielska-Białej, przypadkowo internowany, zdecydował się na emigrację pod naciskiem syna, 22-letniego Witolda. Oprócz Witka rodzina Jackowskich składała się ponadto z żony, oraz trójki dzieci w wieku 8 – 15 lat. Poza rodzinami w Oak Park mieszkało kilkoro singli –panien, kawalerów lub żonatych, starających się (z różnym entuzjazmem i skutkiem) o ściągnięcie z Polski współmężonków i dzieci. Zapamiętałem z nich tylko Kasię – która później pracowała jakiś czas z Iwonką, – Andrzeja Czarneckiego, który ściągnął rodzinę trzy lata później, oraz Pavla – 20-letniego wówczas sympatycznego i uczynnego Słowaka, który uciekł z Czechosłowacji na skonstruowanym przez siebie samolocie.

Staneliśmy w obliczu błędnego koła – nie ostatniego bynajmniej – znalezienia mieszkania i adresu nie mając pieniędzy na opłacenie wynajmu i kaucji gwarancyjnej security deposit, a pieniędzy z DSS nie mogliśmy otrzymać bez posiadania adresu. Do tego niezbędny był samochód, bo nie mogliśmy oczekiwać, że Ludmiła lub jej brat Boguś będą nas wszędzie wozili. Zaraz po otrzymaniu kart SS zgłosiliśmy się do biura Secretary of State po broszurki zawierające wymagania stawiane kierowcom w Stanie Michigan, a dwa dni później zdaliśmy testy pisemne. Wszystkie pytania zawierały multiple choice, czyli z trzech wariantów odpowiedzi należało wybrać najmniej idiotyczną (np. „dojeżdżasz do niestrzeżonego przejazdu kolejowego. a) jedziesz dalej b) zwal-

niasz, rozglądasz się w lewo i w prawo a po upewnieniu, że tor jest pusty, kontynuujesz jazdę. c) zatrzymujesz się, wysiadasz z auta, przykładasz ucho do szyn i nasłuchujesz) aby spokojnie zdać. Warunkiem zdania było odpowiedzieć prawidłowo na 40 pytań spośród 48. Skończyłem swój test po 10-ciu minutach a Joli zabrało to kilkanaście minut dłużej. Po sprawdzeniu wyników przez urzędniczkę okazało się, iż odpowiedziałem na 46 a Jola na wszystkie spośród 48 pytań. To właśnie była moja kochana Jola: lubiła wszystko robić spokojnie, bez pośpiechu ale za to starannie i dokładnie, zarówno w życiu codziennym jak w tym bardziej intymnym. Musieliśmy również zgłosić się do biura INS, mieszczącego się w bardzo niesympatycznej części Detroit, pod adresem 333 Mt. Elliot, w bliskiej odległości od portu na rzece Detroit River, w celu wystąpienia o karty stałego pobytu, Green Cards^[109], nazwane tak z uwagi na ich kolor. Okres próbny trwa 1 rok, podczas którego nie wolno opuszczać terytorium USA ani popadać w kolizję z prawem, poznać język angielski na poziomie podstawowym oraz posiadać stałą pracę. W wyprawie do Downtown (tak się w USA i w Kanadzie nazywa śródmieście, zwane w Anglii, Australii i Nowej Zelandii City) Detroit, towarzyszyła nam Ela Ciesielska, właścicielka pizzerii, w której dorywczo pracował Boguś i żona Wojtka – inżyniera w Chrysler Corporation. Zabrała nas na szczyt najwyższego budynku Detroit - Renaissance Center, gdzie zafundowała nam lunch w obrotowej restauracji z pięknymi widokami zarówno na rozległą metropolię, oraz na znajdujące się po południowej stronie Detroit River kanadyjskie miasto Windsor. W wielu quizach

109 Green Card czyli Karta Stałego Pobytu Stanów Zjednoczonych – popularnie znana jako zielona karta. Jest dokumentem, który uprawnia do przebywania, mieszkania oraz podjęcia pracy na terytorium Stanów Zjednoczonych. Jest kartą identyfikacyjną rezydenta USA, nieposiadającego obywatelstwa tego kraju. Uprawnia też do przekroczenia granicy z Kanadą bez posiadania wizy kanadyjskiej.

zadawane jest pytanie: jakie kanadyjskie miasto znajduje się dokładnie na południe od USA? a w łatwiejszych zestawach dodaje się nazwę Detroit.

Pokonywanie przeszkód na drodze do wyrwania się z błędnego koła stanowiło wyczerpujące i wymagające ogromnej odporności zarówno fizycznej jak i psychicznej, wielopłaszczyznowe zadanie. Przekonało nas jednak, iż w Ameryce nic nie można osiągnąć łatwo, bez wyrzeczeń, cierpień i pokonywania przeszkód a także bez pomocy bliźnich. Nauczyliśmy się w tych początkowych dniach sporo na temat kultury, obyczajowości i mentalności Amerykanów. Oczywiście to prawda, iż większość z nich trzyma się dewizy: *my home is my castle* ale wystarczy tylko zadzwonić i dać do zrozumienia, że chce się pogadać a natychmiast zaproszą, ugoszczą cię jak króla i będą pytać aż do znudzenia w czym mogą ci pomóc. Jeżeli człowiek sam się nie zwróci o pomoc, to rozumieją, iż jej nie potrzebujesz. Natomiast, gdy tylko znajdziesz się w potrzebie lub w nieszczęściu – poznasz jak bardzo uczynni i bezinteresowni są Amerykanie i jak wiele są w stanie poświęcić. Mają to chyba zakodowane w genach; ich przodkowie po przybyciu do Ziemi Obiecanej tak samo musieli pokonywać trudności, z którymi nie poradziłiby sobie bez pomocy przybyłych wcześniej.

W tym kraju, podobnie zresztą jak w sąsiedniej Kanadzie, powstało piękne w swej wymowie i znaczeniu święto Dziękczynienia – Thanksgiving Day. Tradycja tego święta sięga czasów, gdy pierwsi pielgrzymi zaczęli przymierać głodem po nieudanych zbiorach a miejscowi Indianie nauczyli ich stawiać potrzaski na indyki (do tej pory żyjące dziko po lasach i łąkach w ogromnych ilościach) oraz pokazali stawy porośnięte żurawiną. Tradycyjną potrawą w dniu święta Dziękczynienia jest pieczony indyk z żurawinami a święto powołano z wynikającej z wiary konieczności po-

dziękowania za ocalenie, przetrwanie i otrzymane dary. Tradycją Thanksgiving Day jest również zaproszenie tych, których albo nie stać na indyka, albo są na tyle samotni, że sami sobie z taką ilością mięsa nie poradzą. Pomoc udzielona potrzebującym ograniczona jest do podania ręki w celu wyciągnięcia z nieszczęścia – dalej musisz sobie radzić sam. Podobnie zresztą traktowany jest rządowy zasiłek adaptacyjny Refugee Assistance, przyznawany na ograniczony okres czasu – do pół roku, o ile dobrze pamiętam. W ramach tego programu imigranci ze statusem uchodźców otrzymują również rządowe (a może Stanowe?) ubezpieczenie przez okres 18 miesięcy od dnia wylądowania.

Przekonaliśmy się również o ogromnej uczynności, bezinteresowności i solidarności z ludźmi w potrzebie, reprezentowanej przez amerykańską Polonię. Staropolska gościnność obowiązuje jak widać bez względu na szerokość geograficzną. Inne cechy również, ale w tym miejscu byłoby ogromnym nietaktem o nich wspominać. Mamy długą listę osób, zarówno rodowitych Amerykanów jak i przedstawicieli Polonii, którym zawdzięczmy w miarę udany start nowego etapu naszego życia a ściślej zaczynania wszystkiego od nowa, z odwróceniem wszystkich dotychczasowych doświadczeń i osiągnięć o 180°.

W każdym razie dzięki kombinacji wszystkich wymienionych wyżej elementów udało nam się wyrwać z błędnego koła i tak;

Po miesiącu wynajmowaliśmy już samodzielne mieszkanie w Oak Park, umeblowane dzięki pomocy ofiarodawców, którzy dowiedzieli się o nas za pośrednictwem polskich programów radiowych Dany Sworskiej i Jurka Różalskiego, spotkaniu z proboszczem, ks. Olbrysiem i parafianami polskiego kościoła pw. Matki Boskiej Częstochowskiej w Sterling Heights, oraz licznych gazetek parafialnych. Dwupokojowe mieszkanie na parterze dzielone po-

czątkowo z Zenią Łukasiewicz – działaczką Solidarności z Łodzi - znajdowało się w pieszej odległości od szkoły, Jewish Vocational Service (żydowskiego ośrodka koordynacji zatrudnienia) oraz w otoczeniu powiększającego się z każdym dniem grona przybyszów z Polski.

Po dwóch miesiącach mieliśmy nasz pierwszy samochód – przedmiot moich młodzieńczych marzeń i westchnień, czyli ogromny, 8-cylindrowy Ford Mercury, rocznik 1976. Niestety nie posłużył nam zbyt długo. Palił olej w takim tempie, iż nie było szans go w porę uzupełniać, puchły mu cylindry i stawał „dęba” w najmniej oczekiwanych miejscach. Liczni „fachowcy” stawiali liczne diagnozy, (w metropolii Detroit prawie wszyscy Polacy „znają się” na samochodach) w wyniku których wpakowaliśmy w niego więcej pieniędzy, niż kosztował aż wreszcie zatarł mu się silnik i poszedł w odstawkę na początku zimy.

Po trzech miesiącach oboje już pracowaliśmy. Nie była to oczywiście praca na miarę naszych marzeń i ambicji, ale zapewniała niezależność od wydziału opieki socjalnej oraz uczynności różnych wolontariuszy a przy okazji dawała nam spore wyprzedzenie w stosunku do tych, którzy postanowili ofiarność i uzależnienie wykorzystać do maximum. Ja pracowałem w New York Carpet World, ładując na nocnej zmianie dywany, oraz przycięte na miarę wykładziny dywanowe do trucków, czyli ogromnych ciężarówek kontenerowych, zwanych w Polsce tirami. Praca była tak fizycznie wyczerpująca, iż Jola mówiła mi, że jęczałem przez sen z bólu przeciążonych mięśni. Mimo, iż płacono mi zaledwie 4\$ na godzinę, było to więcej, niż w ESL z programu CITA a poza tym po przeliczeniu na złotówki po czarnorynkowym kursie, zarabiałem w ciągu dnia więcej niż w Polsce w ciągu miesiąca. Jola miała pracę

jako pokojówka w ogromnym domu żydowskiego businessmana, zamieszkałego w Bloomfield Hills – miasta znanego w metropolii z bogactwa mieszkańców tak samo jak Beverly Hills w metropolii Los Angeles.

Posiadanie pracy stanowiło niezbędny krok w kierunku realizacji naszego planu numer 1 czyli ściągnięcia Iwonki z rodziną do nas. 7 czerwca dowiedzieliśmy się o narodzinach kolejnej wnuczki Ewy-Jolanty, czyli oczekiwaliśmy cztero-osobowej rodziny. Oprócz oszczędzania na ich sprowadzenie, posyłaliśmy co miesiąc paczki Iwonce, rodzinie Joli i mojej mamie, by złagodzić im skutki kryzysu. W paczkach tych posyłaliśmy żywność i ciuchy dla naszych bliskich oraz na sprzedaż, w okresie gdy w Polsce brakowało wszystkiego.

Przed wyjazdem spotkałem się z dziekanem Wydziału Elektrycznego doc. Augustynem Chwalebą, który doradził mi abym znalazł inżyniera – tłumacza przysięgłego, który zrobi mi tłumaczenie indexu z wyszczególnionymi przedmiotami oraz ilością godzin i ocenami. Miałem jak się okazało wystarczającą ilość godzin by uzyskać stanowisko inżyniera bez konieczności nostryfikacji. Żeby znaleźć pracę jako elektryk musiałbym zdobyć licencję, co bez związków zawodowych było niemal niemożliwe do przeprowadzenia. Do związków mogłem być tylko przyjęty dostając pracę w firmie gdzie działały związki a tamże musiałbym przejść apprenticeship (szkolenie zawodowe). W celu zakwalifikowania na apprenticeship należało zdać test w Biurze Zatrudnienia, które zdałem lecz nie zakwalifikowałem się z uwagi na niewłaściwy kolor skóry. Przypominam, iż starałem się o pracę na terenie Detroit, gdzie biały mężczyzna był i pozostał najbardziej dyskryminowaną jednostką demograficzną. Na razie postanowiłem, że będę przede wszystkim pracował by zapewnić nam byt i środki na sprowadze-

nie Dzieciaków, a zarazem rozglądał się za możliwościami zatrudnienia w moim zawodzie. W New York Carpet World doznałem bolesnego naciągnięcia mięśnia pleców podczas wykonywania pracy tak ciężkiej jaka ani przedtem ani potem nie była moim udziałem. W codziennej gazecie The Detroit News wertowałem rubrykę ogłoszeń, zaznaczałem wybrane dla siebie i dla Joli oferty, a następnie dzwoniłem, wysyłałem résumé (zwane obecnie w Polsce pod łacińską nazwą Curriculum Vitae, a kiedyś był to po prostu życiorys), jeździłem na interview (rozmowy). W jednym z ogłoszeń potrzebne było bezdzietne małżeństwo w średnim wieku na stanowisko caretakers czyli dozorców kompleksu apartamentów.

Zadzwoniłem, umówiono nas na interview, w wyniku której zostaliśmy przyjęci do pracy w Fountainview Terrace Apartments w Warren zlokalizowanych przy 12 Mili. Wynagrodzenie wprawdzie otrzymaliśmy marne, zaledwie 700\$ miesięcznie na nas dwoje ale do tego dochodziło komfortowe, 3-pokojowe mieszkanie wraz z energią elektryczną, gazem, wodą, ogrzewaniem i klimatyzacją, co pochłonęłoby drugie tyle. nie licząc kosztów utrzymania auta, które służyło nam wyłącznie do celów rekreacyjnych, odkąd mieliśmy pracę na miejscu. Ubezpieczenie zdrowotne obiecano nam dopiero po okresie próbnym, wynoszącym 3 miesiące, co nie było zbyt przyjemne.

Nie wiedzieliśmy wówczas, o zaletach Refugee Assistance Program, obejmującym ubezpieczenie w ciągu pierwszych 18 miesięcy od daty przyjazdu. Jola odkurzała i sprzątała klatki schodowe a ja teren zewnętrzny, dokonywałem drobnych napraw, wymiany żarówek na klatkach schodowych, przetykania zapchanych zlewów, łatania dziur w asfalcie, malowaniu drzwi wejściowych itd. Było nas dwie pary obsługujących dwie sekcje dość sporego terenu zabudowanego jednopietrowymi (po amerykańsku dwu-piętrowy-

mi, ponieważ parter traktuje się tu jako pierwsze piętro) budynkami, z których każdy segment stanowił niezależny zestaw czterech mieszkań po dwa na każdej kondygnacji. Drugą parę stanowili początkowo również Polacy i do tego z Warszawy: Jadwiga i Zbigniew Grabszy, oboje z zawodu geodeci. Pracowali w WPG czyli w Warszawskim Przedsiębiorstwie Geodezyjnym i mieliśmy wspólnych znajomych, m.in. znanego nam ze szlaków turystycznych Józia Pasika. Oboje pracowali ok. dwóch tygodni a po zaoferowaniu im warunków pracy, odrzucili je i odtąd utrzymywaliśmy kontakty wyłącznie na gruncie towarzyskim. Jadwiga i Zbyszek poznali się na budowie w Libii, rozstali ze swymi ówczesnymi współmałżonkami, a następnie pobrali i prysnęli do USA. Mieli trochę skomplikowaną sprawę stałego pobytu, którego legalizacja zajęła im kilka lat. Zbyszek później pracował w swoim zawodzie, w urzędzie miasta Detroit a następnie dokonywał pomiarów nowego terminalu MacNamara, zwanego Northwest World Gateway, na międzynarodowym lotnisku w Detroit. Utrzymywaliśmy kontakty aż do śmierci Joli, a na pogrzebie Zbyszek pojawił się sam.

Krótko po przyjeździe zorganizowano dla mnie występ w Sali parafialnej Kościoła MB Częstochowskiej w Sterling Heights, podczas którego śpiewałem obozowe ballady z Białoleki i Załęża przy gitarowym akompaniamencie ówczesnego organisty. Rozeszła się fama i wkrótce mieliśmy wizytę pana Bronisława Siarkowskiego, profesora muzyki, organisty w kościele św. Andrzeja, oraz dyrygenta chóru Polonez w jednej osobie. Pan profesor namówił mnie do uczestnictwa w chórze, odbywającego próby w jednym z polskich klubów w Hamtramck. Uczestnictwem w chórze poszerzyłem grono znajomych, co zawsze się na obczyźnie przydaje. Państwo Siarkowscy mieli dwoje dzieci: Ewę i Darka, którzy mimo wychowywania w środowisku amerykańskim, uczęszczania do amery-

kańskich szkół, doskonale mówili po polsku. Podkreślam to osiągnięcie, wcale nie tak częste w polonijnym środowisku. Zapracowani rodzice często nie mają czasu by podtrzymać polski język i tradycję w rodzinnym domu.

Zbliżały się trzy miesiące pracy w Fountainview Terrace, z pracy i z mieszkania byliśmy zadowoleni, wydawało nam się, iż zadowolenie jest obopólne, bo wywiązywaliśmy się z obowiązków najlepiej jak potrafiliśmy i niejednokrotnie przełożeni udzielali nam pochwał.

Tymczasem zauważyliśmy, iż zaczynają przychodzić na interview pary małżeńskie a gdy spytałem kogo mają zastąpić, mój boss powiedział:

- Z ogromną przykrością i z żalem muszę ci powiedzieć, że powinieneś zacząć szukać sobie pracy. To nie moja decyzja tylko właścicieli a ja jestem z was zadowolony. Ja jestem takim samym pracownikiem jak wy.

Pożaliłem się panu Siarkowskiemu, który zadzwonił do mojego bossa i dowiedział się, iż powodem naszego zwolnienia jest rzekomo słaba znajomość angielskiego przez Jolę. Jola była z natury osobą bardzo nieśmiałą, rzadko odzywała się pierwsza ale problemów komunikacyjnych nie miała żadnych. Pan Siarkowski uzyskał zapewnienie, iż nie wyrzucą nas z mieszkania dopóki nie znajdziemy innego.

Był to dla nas cios, na który nie byliśmy przygotowani. Utrata pracy i mieszkania za jednym zamachem! Wracać nie ma ani gdzie ani za co. Wobec Joli zachowałem się jakby nic nie zaszło: poradzimy sobie – mówiłem, mimo, iż nie miałem żadnego pomysłu jak. Z notesu zacząłem wyciągać nazwiska osób, do których ewentualnie można zwrócić się o pomoc i tak trafiłem na nazwi-

sko Stanley'a Grot, właściciela restauracji Polonia w Hamtramck, przy Trowbridge Street. Na piętrze domu, w którym mieściła się restauracja, Staszek zmagazynował dary przynoszone przez różnych ludzi a przeznaczone dla nowoprzybyłych, jak meble, pościel, artykuły gospodarstwa domowego, odzież, zabawki i kiedyś pomagaliśmy mu te dary segregować. Po skończonej robocie Staszek wręczył mi wizytówkę mówiąc:

- Zadzwoń do mnie, gdy bedziesz cokolwiek potrzebował. Mam trochę znajomości i mogę dużo pomóc.

Zadzwoniłem i zacząłem się użalać nad swoim losem, na co Stasiek przerwał mi mówiąc:

- Przestan się mazgać – jesteś w Ameryce a Ameryka mazgajów nie potrzebuje. - Nie ty pierwszy i nie ostatni straciłeś pracę i mieszkanie, ale jakoś nikt w tym kraju nie umiera na ulicy. Podaj mi numer telefonu a ja zadzwonie do ciebie w ciągu dwóch godzin.

Rzeczywiście, nie minęło dwie godziny gdy odezwał się telefon. Dzwonił Staszek Grot:

- Mam nadzieję Bolko, że będę mógł sie do ciebie zwrócić, gdy ja będę w potrzebie; mam dla ciebie pracę i mieszkanie. Będę miał również dorywcze zajecie dla twojej żony.

- Masz załatwione Stasiek, a przede wszystkim bardzo ci dziękuję.

Stasiek dorobił się sporych pieniędzy i postanowił wykorzystać je na polityczną karierę. Zaczął z bardzo wysokiego pułapu, starując na pozycje Kongresmana przeciwko Demokracji Conyers, górującym nad nim doświadczeniem i poparciem liberalnych w większości wyborców - z którym nie miał żadnych szans. Pracowaliśmy społecznie z Jola w jego biurze do utraty sił ale mimo porażki naszego kandydata przynajmniej zdobyliśmy trochę doświadcze-

nia w organizowaniu kampanii. W rok później Stanley Grot wystartował w wyborach do rady miejskiej w Sterling Heights i między innymi, dzięki naszej pomocy wygrał. W ten sposób spłaciłmy zaciągnięty dług wdzięczności ale zawsze będę pamiętał nazwiska ludzi, którzy przyszli mi z pomocą, gdy takowej najbardziej potrzebowałem.

Mieszkanie zlokalizowane było przy Edwin Street w Hamtramck. Po ponad pół roku od chwili przyjazdu znaleśliśmy się w miejscu, z którego rozpoczynali prawie wszyscy przybysze z Polski osiedlający się w południowo-wschodniej części Stanu Michigan. Miasto, stanowiące w pełni niezależną i odrębną administracyjnie enklawę Detroit, do roku 1970 zamieszkałe było w 90% przez Polaków i ludność polskiego pochodzenia. Nazwane tak zostało od nazwiska kanadyjskiego pułkownika Jean Francois Hamtramck, bohatera Wojny Rewolucyjnej. Hamtramck leży na północ od byłej polskiej dzielnicy Detroit, zwanej Poletown, gdzie w latach 80-tych, po opuszczeniu tego rejonu przez Polaków i inne cywilizowane grupy, powstała fabryka koncernu General Motors, montująca samochody Buick-Oldsmobile-Cadillac, w skrócie BOC. (Inną grupą GM jest CPC czyli Chevrolet-Pontiac-Canada). Po reorganizacji wymuszonej bankructwem, General Motors zaprzestał produkcji mark Oldsmobile i Pontiac w roku 2010.

Miasto Hamtramck obejmuje powierzchnię 5.41 km² i zamieszkane jest przez 23 tys. mieszkańców, z czego Polacy stanowią obecnie 14,5 %. Ich miejsce zajęli imigranci z Bliskiego Wschodu, głównie z Jemenu, oraz południowej Azji, głównie z Bangladeszu. Pewną grupę mieszkańców Hamtramck stanowią katolicy Albańczycy z Kosowa. Polacy, po urządzeniu się opuszczali Hamtramck, migrując do północnych dzielnic metropolii, gdzie rozproszyli się zamieszkując Royal Oak, Warren, Troy, Sterling He-

ights, Mt Clemens, Rochester Hills, na zachód od Detroit do Dearborn, Redford, Livonii, Northville i na południe do Allen Park, Lincoln Park, Wyandotte, Southgate. Nowym centrum Polonii w metropolii Detroit stało się Sterling Heights, przezywane Hamtramck Heights z kościołem pw. Matki Boskiej Częstochowskiej, przepelnionym obecnie ponad wszelkie granice, jako centrum. Tradycja budowy kościołów w każdym skupisku Polaków, obowiązująca do pierwszej połowy XX wieku, na jakiś czas została wstrzymana. W Hamtramck powstały trzy duże polskie kościoły pw. św. Floriana, Matki Boskiej Królowej Apostołów oraz św. Władysława. Przy tym ostatnim funkcjonowała kiedyś katolicka szkoła, obecnie przejęta przez maoistów.

O mieszkaniu dla nas Staszek dowiedział się przypadkowo podczas wizyty u dentystki – Ukrainki, której teściowa zapadła na Alzheimer Disease i została umieszczona w domu opieki. Mąż dentystki odziedziczył po mamie dom z dwoma 3-pokojowymi mieszkaniami (po angielsku nazywanymi flat): jedno na parterze, drugie na piętrze, z niezależnymi wejściami każde z nich. Mieszkanie na górze teściowa dentystki wynajmowała dwóm pederastom, którzy zdążyli się niedawno wyprowadzić zostawiając po sobie straszliwy bałagan.

Pan Korniejczuk zaproponował nam miesiąc za darmo wzajemian za doprowadzenie mieszkania na górze do stanu używalności. Jola bardzo mu przypadła do gustu swym łagodnym usposobieniem i nazywał ją Pani Anielcia, bo „także słodka jakoże aniel”. Po wyczyszczeniu mieszkania po poprzednich lokatorach, przypomniała się Virginia Talbot, która sprowadziła kolejną rodzinę post-solidarnościową; Jadwigę i Krzyśka Zająców, z dwójką dzieci, o imionach Piotrek i Karolina. Zapamiętałem imię panny ZającoŹny poniewaz kiedyś Jadwiga wołała ją do domu, co sąsiadka, pocho-

dzaca z byłej Jugosławii, skomentowała:

- *Karolina, to se ładne vabi.*

Oboje pochodzili z Kielc i byli inżynierami; Jadwiga mechanikiem a Krzysiek poligrafem i nastawieni byli na Kalifornię zamiast na zimny Michigan. W ciągu niespełna roku wyjechali do San Francisco, gdzie oboje dostali ciekawą pracę, urodziła im się jeszcze dwójka dzieci, Krzysiek stał się bardzo aktywnym działaczem wśród miejscowej Polonii, i... niestety, zakończenie nie będzie brzmiało „a potem żyli długo i szczęśliwie”. Krzysiek wpadł w obezwładniający nałóg hazardu, naiwnie wierząc, iż kasyna stworzone są po to by przynosić zyski grającym a nie właścicielom. Zgrał się tak doszczętnie w Reno, że zastawił dom na poczet zakładów. Na szczęście (dla niej i dzieci, ale nie dla Krzyśka) Jadwiga zdążyła przepisać na siebie wszelkie prawa do własności. Ścigany i szantażowany przez wierzycieli Krzysiek skoczył z Golden Bridge, roztrzaskując się o skałę, na której stoi podpora mostu.

Pracę Staszek załatwił mi w firmie prowadzonej przez Billa i Betty Baranski, z pochodzenia Polaków ale nie mówiących po polsku, produkującej plastikowe zderzaki, które właśnie zaczęły wypierac dużo cięższe i podatne na korozję, metalowe. Moja praca polegała na wycinaniu ręcznym nożykiem otworów pod śruby mocujące zderzaki do karoserii, w jednolitej masie, wyjętej spod wtryskarki. Wynagrodzenie wynosiło początkowo 4.20 \$ na godzinę, ale stopniowo podwyższano mi „aż” do 5,50\$ po blisko dwóch latach. Plastic International miał zamówienia nie tylko na Chryslery czy Fordy ale również, a raczej nawet w większości do samochodów japońskich, głównie Toyota Corolla, które zaczynały wyrabiać sobie coraz bardziej solidną pozycję na rynku amerykańskim. Kraj zaczynał dźwigać się z kryzysu, zamówień było tyle, że pracowałem po 60 godzin tygodniowo, zarabiając na over

time czyli godzinach nadliczbowych. Jola początkowo pracowała w kuchni restauracji „Polish Village” znanej również jako Zosia’s Cafe po 5 godzin dziennie, oraz dwa razy w tygodniu w restauracji „Polonia” u Grota, gdzie obierała ziemniaki i nasze oszczędności zaczęły wzrastać na tyle, iż do planów dopisaliśmy jeszcze jeden – kupno domu. Gdy w Plastic International dokupiono nowe wtryskarki, potrzeba było więcej operatorów oraz obcinaczy a w konsekwencji Jola pożegnała się bez żalu z Polish Village, gdzie przed samym odejściem koleżanka w roztargnieniu dotkliwie oparzyła jej rękę – i zaczęliśmy jeździć do pracy razem. Firma Betty i Billa Barańskich składała się z trzech wydziałów, każdy o innej nazwie, prowadzony przez innego, podstawionego właściciela.

Obok hali wtryskarek znajdowała się hala, w której wykonywano modele oraz obrabiano matryce, nadając im końcowy kształt. W ostatniej hali mieściła się odlewnia, gdzie na podstawie modeli olewało się matryce, obrabiane później po sąsiedzku. Po dwóch tygodniach monotonnego wycinania otworów Stanley czyli Stasiu – syn polskich imigrantów, którzy nauczyli go straszliwego, hamtramickiego żargonu, zaproponował mi przejście do odlewni, gdzie szefem był wychowany wśród Polaków Ernie Knoblock. Praca w odlewni była bardziej urozmaicona, gdyż robiliśmy w niej wszystko, co w dużych odlewniach wykonywane jest przez kilka wydziałów: wykonanie form, ostudzenie, odlew, hartowanie odlewu, oczyszczenie, dopasowanie obu fragmentów i ściśnięcie ich prasą. Wykonanie odlewu matryc do dużych zderzaków, jak Corvette czy Camaro pochłaniało nieraz do kilkunastu godzin, a zatem na brak over time, a co zatem idzie, dodatkowych zarobków nie mogłem narzekać.

Gdy Mercury ostatecznie się rozkraczył, pan Siarkowski przedstawił mi członka chóru Polonez Mietka Wajdę – podobno

znającego się na samochodach, gdyż w Polsce był mechanikiem w Państwowym Ośrodku Maszynowym, gdzie naprawiał traktory, pług, kosiarki, kopaczki do ziemniaków itd. Mietek sprzedał mi na pniu Forda Mavericka za 350\$, który sprawiał nie mniej kłopotów niż Mercury, ale za to mieszkający w pobliżu na Yemens Street Mietek, był ciągle w pobliżu. Najgorszym problemem Mavericka była cieknąca chłodnica, którą raz chciałem sprawdzić po przejechaniu kilkunastu mil, popełniając kardynalny błąd odkręciłem korek. I tak miałem szczęście, że nie byłem nad chłodnicą pochylony, skutkiem czego rozległemu poparzeniu drugiego stopnia uległa tylko moja ręka aż do zgięcia w łokciu. Ubezpieczenie we Flame Industries – jak nazywała się odlewnia Baranskich – mogłem otrzymać dopiero po pełnym przepracowanym miesiącu.

Gdy na próbie chóru pokazałem się z pierwszymi objawami zakażenia po pęknięciu pęcherzy, pan Siarkowski natychmiast wysłał mnie do szpitala, bez względu na to czy mam ubezpieczenie czy nie. Skontaktował się zresztą ze szpitalem North Detroit przy ul Carpenter (obecnie zlikwidowanym i ulegającym stopniowej ruinie) zobowiązawszy się do pokrycia kosztów leczenia. Tymczasem pani w rejestracji, po przeprowadzeniu ze mną wywiadu odkryła, iż jako uchodźcy przysługuje mi rządowe ubezpieczenie przez 18 miesięcy od momentu wjazdu. Pielęgniarka, przemysująca mi ranę, z pochodzenia Koreanka, powiedziała jedno znane jej polskie słowo, pytając: „boli?”.

Po opatrzeniu rany maścią Silvadene przez lekarza, pielęgniarka spytał jaki rodzaj pracy wykonuję i zrobił mi opatrunek tak, bym mógł pracować nie urażając gojącej się części ręki. W tym kraju nie wypisuje się L4 tylko umożliwiać ludziom kontynuację pracy. Przekonałem się o tym kilkanaście lat później nie przerywając pracy po pęknięciu kości w stawie biodrowym.

W każdym razie przekonaliśmy się na dwóch, bolesnych przykładach, iż samochody kosztujące mniej niż 500\$ należy traktować albo jako jednorazówki albo skarbonki bez dna, stając przed kolejnym dylematem: w jaki sposób kupić samochód za 3 tys. \$, mając zaoszczędzone niecałe 1000\$? Odpowiedź była prosta: wziąć pożyczkę lub kupić na raty. Bank Comerica, w którym trzymaliśmy oszczędności, odmówił pożyczki z uwagi na brak jakiegokolwiek historii kredytowej i krótki staż, a zatem jedynym bankiem, który nam polecono była Unia Kredytowa Kongresu Polonii Amerykańskiej. Niestety, warunkiem udzielenia pierwszej pożyczki było przedstawienie żyranta, a zgodził się nim być Dr. Janusz Subczyński, który został moim serdecznym przyjacielem aż do jego śmierci 6 stycznia 2014. Do spotkania, współpracy w RSP POMOST, oraz późniejszej znajomości z Januszem wróć w odrębnym rozdziale. Samochód Pontiac T1000, montowany w innych zakładach pod nazwą Chevrolet Chevette, rocznik 1981, kupiliśmy od, zamieszkałego również w Hamtramck, inżyniera samochodowego Romana Kowalewskiego z Nowego Sącza. Roman prowadził w swoim garażu popularny wśród Polaków t.zw. chop shop, polegający na kupowaniu w miarę nowych, rozbitych samochodów na giełdzie a następnie rozdzieleniu i połączeniu nierozbitych fragmentów z dwóch lub więcej aut.

Nasz 4-cylindrowy T1000 nie miał wspomagania kierownicy ani hamulców, okna otwierane na korbkę ale za to miał zasadniczą przewagę nad jego poprzednikami, parkowanymi przed naszymi, kolejnymi miejscami zamieszkania: 1. Nie psuł się 2. Był bardzo oszczędny pod względem zużycia paliwa. Mimo, iż jeździliśmy z Jolą do pracy razem, to z uwagi na specyfikę funkcjonowania odlewni, często wracaliśmy o różnych porach. Nierzadko kończyliśmy ustawienie odlewu pod prasą po północy i rozpoczynając następ-

ny dzień o 7:00 czyli po zaledwie kilku godzinach snu. Wiązało się to z koniecznością kupna drugiego samochodu a do Mavericka nie miałem już zaufania i sprzedałem go za taką samą cenę za jaką go nabyłem czyli 350\$. Tym razem zamiast Romana wybraliśmy ogłoszenie z gazety informujące o atrakcyjnej sprzedaży samochodów demo, czyli używanych do prób i testów u dealera zlokalizowanego w Dearborn – zachodnim przedmieściu Detroit. Mając niecałe 50\$ gotówki i książeczkę czekową przy sobie, pojechaliliśmy do dealera jednym a wróciliśmy dwoma samochodami: Pontiac T1000 81' oraz Dodge Aries 84', popularnie zwany K-car. Dodge stał się własnością Joli a mnie Roman namówił na wymianę „Chevetki” na jubileuszowy model concernu Nissan – Datsun Sentra 84'. Po dwóch latach od postawienia nogi na ziemi Washingtona z dwoma walizkami i 50\$ w kieszeni, byliśmy posiadaczami dwóch 1-rocznych samochodów oraz oszczędności pozwalających na zafundowanie Iwonce z Perełkami rekonesansowej podróży do nas. Zdążyliśmy również spłacić dług, zaciągnięty w Tolstoy Foundation na pokrycie kosztów biletu w jedną stronę, mieszcząc się tym samym w mniejszości ogółu imigrantów pogniewanych w większości na sponsora. Od początku wyznawaliśmy wywiezioną z Polski zasadę: żadnych niespłaconych długów, żadnych plam na historii kredytowej, żadnych kwestii dotyczących naszej wiarogodności w sprawach finansowych, co nam wielokrotnie wyszło na dobre.

W miarę upływu czasu, otrzymywanych od nas regularnie paczek i zastrzyków finansowych, Iwonka ze Zbyszkim wykazywali coraz mniejszy entuzjazm w kwestii przyjazdu do nas na stałe. Nie chcąc ich na siłę uszczęśliwiać, zaprosiliśmy Iwonkę z Perełkami w celu spędzenia u nas wakacji, rozejrzenia w tutejszej rzeczywistości, możliwościach urządzenia się, zrobienia kariery itd. Z Hamtramck wyprowadziliśmy się na początku roku 1984 do

Detroit, do pani Ciesielskiej, której syn Wojtek wyprowadził się z rodziną do Sterling Heights, zostawiając puste mieszkanie – flat, na górze przy ulicy Fredro. W pewnym sensie byliśmy zmuszeni sytuacją gdy Virginia „na kilka dni” upchnęła do nas kolejną rodzinę Lucynę i Karola Błaszczaków, z synem Maćkiem i do pełnego szczęścia brakowało nam już tylko przysłowiowej kozy.

Pani Ciesielska przyzwyczajona do dyrygowania wnukami traktowała nas po maczynomu ale z drugiej strony chciała być za bardzo obecna w naszym życiu. Nie bardzo nam się to uśmiechało, zresztą na towarzyskie pogaduszki niewiele mieliśmy czasu, pracując po kilkanaście godzin dziennie, co doprowadziło do ochłodzenia naszych stosunków. Na zwracane od czasu do czasu uwagi w postaci ciekącego kranu, zapchanego zlewu, zapowietrzonego grzejnika, nie domykającego się okna, itd. , odpowiadała niezmiennie:

- *I don't know, mnie się to nigdy nie zdarzyło!* – mając później pretensje, że jej nie zgłaszaliśmy ciekącego kranu w zlewozmywaku w kuchni, czy kompletnie przerdzewiałej rury spustowej. Jej mieszkanie, które zajmowała przed wyprowadzeniem się syna z rodziną wymagało wielu napraw, na które Wojtek, zaabsorbowany poszukiwaniem domu nie miał po prostu czasu. Przeprowadzając się na parter, pani Ciesielska zostawiła nam mieszkanie na poddaszu z całym dobrodziejstwem inwentarza. Wracaliśmy do domu, gdy już wszystkie hardware stores były pozamykane a poza tym byliśmy zbyt zmęczeni na jakąkolwiek naprawę – zgodnie z opinią naszej gospodyni, całkiem zbyteczną, ponieważ wszystko miało funkcjonować idealnie.

Zamieszkała od kilkadziesiąt lat w polonijnym środowisku Detroit i okolic, władała straszliwym żargonem rozumianym tylko w Hamtramck i okolicach, oraz na t.zw. Jackowie w Chicago, Te-

resowie w Toronto lub na Drinkpoincie w Nowym Jorku. Pewnego dnia po powrocie z pracy gdy już mieliśmy Chevetkę a nie pozbyliśmy się jeszcze Mavericka, ujawszy się pod boki, oczekująca mnie na ganku pani Gabriela zawołała z tryumfem, wskazując na Mavericka:

- Tam ma pan tiket za łajperem. Sajny były na polach, że będą dzisiaj strity klinować. Trza było przeczytać i mufnąć kare za korner.

Poprzedniego dnia, a była to niedziela, zrobiliśmy sobie dzień odpoczynku, pisanie listów, oglądania telewizji i nie wychodziliśmy z domu. Rada miasta Detroit, rozpaczliwie szukająca środków na łatanie budżetu, postanowiła wyciągnąć trochę kasy od mieszkańców umieszczając na słupach ogłoszenie, iż w dniu następnym będą czyszczone ulice i w związku z tym należało usunąć z ulicy wszystkie, zaparkowane tam samochody. Ponieważ nie wszyscy mieli garaże a większość mieszkańców posiadała więcej, niż jeden samochód, żądanie to było praktycznie niewykonalne, o czym pomysłodawcy doskonale wiedzieli wysyłając na miasto, zamiast maszyn do czyszczenia – ekipy urzędników z bloczkami mandatów, które wtykano ofiarom za wycieraczki. To właśnie miała nam do powiedzenia pani Ciesielska, używając kwiecistej mowy niezrozumiałej nigdzie na świecie poza środowiskiem Polonii w północnej Ameryce. Nasza gospodyni mogła śmiało konkurować z moim kolegą z pracy Stasiem, którego pewnych zdań nie sposób zapomnieć:

Szczekuj ta plejta czy jest lewel, albo

Skatuj ta deska po lajnie i wyblołuj ten hol.

Chodziło o wypoziomowanie płyty, przycięcie deski według zaznaczonej linii i wydmuchanie otworu formy przed wlaniem wtopu.

Wiedzieliśmy, iż pod jednym dachem z gospodynią, której napewno będą przeszkadzały Perełki, wakacje dla Iwonki będą koszmarem i dlatego rozglądaliśmy się za samodzielny domkiem do wynajęcia. Okazja trafiła się w okolicznościach, które trudno nazwać inaczej, niż horrorem. W niedalekiej okolicy od ulicy Fredro, przy Moenart Street, w brutalny sposób została zamordowana właścicielka ładnie utrzymanego, parterowego domku z zagospodarowanym poddaszem a ponadto z murowanym z pustaków garażem i ogrodzonym mini-ogródkiem. Okoliczności zbrodni popełnionej na pani Sienkiewicz nie zostały nigdy wyjaśnione, podobnie jak 90% wszystkich morderstw na terenie miasta Detroit, a jej dom był omijany z daleka jako nawiedzony. Ja nie miałem żadnych uprzedzeń a Jola ufała, że przy mnie nie przytrafi się jej żadna krzywda i odpowiedzieliśmy pozytywnie na ofertę brata zamordowanej, znanego mi z kościoła pw. Matki Boskiej Królowej Apostołów Adama Salbuta, z którym na zmianę czytaliśmy Pismo święte podczas niedzielnych Mszy. Czyny był nawet jak na tamte czasy symboliczny, wynoszący zaledwie 160\$ miesięcznie plus świadczenia, a ulica Moenart była dopiero w 20% zamieszkała przez czarnych i uchodziła jeszcze za w miarę bezpieczną. Równoległa do Moenart Bloom Street nie była polecana jako trasa przejazdu a już zupełnie odradzana jako miejsce pieszych wypraw, gdzie „zaczernienie” wynosiło 100%.

Pierwsze ostrzeżenie nastąpiło gdy Jola jadąc ulicą Charles w pobliżu domu złapała gumę. Dojechała do domu na już zupełnie rozerwanej oponie, z której wyciągnąłem pocisk kaliber .45. Całe szczęście, iż nie przyszło jej do głowy stanąć i sprawdzić co się dzieje. Pewnej nocy usłyszeliśmy potworny huk z kierunku living room, jakby się szafa przewróciła. Wybiegłem do salonu, gdzie widziałem tylko czarną reke, uzbrojona w łom, walącą w szybę.

- *Co ty robisz? Jazda stad, bo zawołam policję!* – krzyknąłem wychylając się widząc młodego czarnego chłopaka.

- *Fuck you, fuck police* (niecenz. ciebie i policję) – odpowiedział włamywacz nie przerywając rozbijania ogromnej szyby.

Ruszyłem do telefonu, wybrałem 911, podałem nazwisko, adres i powiedziałem, iż ktoś rozbija szybę w moim mieszkaniu.

- *A kto to jest? Czy znasz go? Dlaczego rozbija? Czy to twój znajomy? Czy jeszcze coś robi oprócz tego, że wybija szyby? Kto jest z tobą w domu?* – padały pytania jedne głupsze od drugiego.

W tym momencie huk ustał. Spojrzałem w stronę rozbitego okna zasłoniętego pokrwawioną firanką i zauważyłem brak, stojącego tuż przy oknie dotąd telewizora.

- *Ukradł nam telewizor* – powiedziałem dziewczynie po drugiej stronie.

- *Acha, to znaczy, że zgłaszasz włamanie* – odpowiedziała – *w takim razie wysyłamy policję.*

Była chyba pierwsza w nocy, cisza była taka, że aż dzwoniło w uszach, a usłyszałem samochód włączający silnik przed odległym o niecałą milę komisariacie policji przy ul. Charles dopiero 45 minut od momentu rozłączenia się z telefonistką. (Obecnie, średni czas oczekiwania na policję w Detroit wynosi 58 minut, przy średniej krajowej 11 minut)

- *Co się stało?* - spytał jeden z dwóch policjantów zasłaniając dłonią usta dla dyskretnego ukrycia ziewania.

- *Nie widzisz, co się stało?* - zirytowałem się – *rozwalona szyba, mieszkanie otwarte na oścież i do tego skradziono mi telewizor.*

Drugi z policjantów poświecił tymczasem latarką wzdłuż parkanu z tyłu domu i wrócił po chwili mówiąc:

- *Nikogo nie ma – pewnie już gdzieś sobie poszedł.*

- *Albo schował się w którymś z okolicznych domów. Daleko z telewizorem na rękach by nie odszedł* – zauważyłem.

- *Mógł wsiąść w samochód* – zasugerował drugi policjant

- *Nieemożliwe, usłyszałbym. Słyszałem jak włączaliście silnik*

- odpowiedziałem, po czym zauważyłem wśród kupy szkła, łom ze śladami krwi. Wziąłem z domu szmatę, zawinąłem łom i podając go policjantowi powiedziałem tryumfująco.

- *Proszę bardzo, na łomie na pewno są jego odciski palców, na firance ślady jego krwi.*

- *A wiesz kto to jest?* - spytał jeden z policjantów.

- *Niby skąd mam wiedzieć ?* – wzruszyłem ramionami.

- *Jeżeli go nie znasz to odciski palców nie stanowią żadnego dowodu* – usłyszałem, rozdziawiłem szeroko usta ze zdziwienia a następnie postanowiłem:

- *Z samego rana jadę kupić broń i następnym razem sam się obronię.*

- *To ty nie masz broni i mieszkasz w Detroit?* – zdziwili się chórem obaj policjanci i spojrzeli z niedowierzaniem po sobie.

Jola powiedziała, że za żadne skarby nie uśnie oraz żebym zadzwonił po Piotrką Kiszczycę – serdecznego przyjaciela, z którym utrzymuję kontakty do dzisiaj – zamieszkałego w pobliżu i poprosił o dotrzymanie nam towarzystwa i przywiezienie ze sobą siekiery. Piotrek znając moje poczucie humoru przyjął zaproszenie z niedowierzaniem ale prośbę spełnił. Piotrek był działaczem Solidarności z Zielonej Góry, gdzie podobnie jak ja zajmował się kolportażem informacji i propagandą. Wyemigrował kilka miesięcy po nas wraz z żoną Tereską i córką Adrianną. Przesiedzieliśmy razem do rana, po czym zadzwoniłem do pracy referując sytuację i prosząc o dzień wolny. Pracowałem już w biurze projektów CDA

Engineering w Downtown Detroit, 600 Bagley Street, zajmującej się aktualizacją dokumentacji elektrowni podległych Detroit Edison Company, na stanowisku asystenta za 8\$ na godzinę. Do pracy jeździłem w garniturze i w krawacie, co bardzo podobało się Joli, która lubiła mieć eleganckiego męża.

Rano zadzwoniłem do firmy poleconej mi przez policję, zajmującej się usuwaniem szkód po licznych w tym mieście włamaniach. Okno zniszczone przez włamywacza posiadało wyłącznie zewnętrzną ramę o wymiarach 2X2 metry, składało się z dwóch szyb o grubości 6mm, między którymi była próżnia. Ponieważ było to okno nietypowe, szklarz potrzebował kilku dni by je wykonać a tymczasem wstawiono nam płytę wiórową, którą zabito ociodół okna. Pełen koszt usunięcia szkła oraz wstawienia nowego okna wyniósł 390\$, podczas gdy telewizor, stanowiący cel włamania, kupiliśmy od managera Fountainview Terrace za 25\$. Postanowiliśmy nic nie mówić Iwonce o całym zajściu i wyprowadzić się stamtąd natychmiast po jej wyjeździe. Następnego dnia w K-mart kupiłem strzelbę a w ciągu kilku dni założyłem własnego pomysłu system alarmowy, reagujący na wstrząsy.

Podobne postanowienia – czyli wyprowadzki z Detroit podejmowali wszyscy, których dotknęły takie jak nasze, lub znacznie gorsze doświadczenia pozostawiając Detroit osobom o mentalności i usposobieniu „naszego” włamywacza. Z tego powodu informacja o bankructwie całego miasta Detroit, ogłoszona w lipcu 2013, nie stanowiła dla mnie żadnego zaskoczenia, najwyżej mogłem się zdziwić czemu to trwało tak długo. Mieszkańcy Detroit oraz kilku innych, amerykańskich miast to szczególnie rodzaj pasożytów, pożerających swych żywicieli. Opiszę jeszcze jeden przykład uzasadniający moją osobistą niechęć do pewnej grupy etnicznej, rezydującej w Detroit. Po wejściu w posiadanie Nissana, musiałem

sprzedać chevetkę i kupiec, który się trafił – młody sympatyczny chłopak – przyszedł ze swym starszym bratem, który przedstawiając się wręczył mi wizytówkę rzeczoznawcy u dealera – już nie pamiętam jakiej marki. Nazajutrz po dokonaniu transakcji „expert” zadzwonił do mnie, iż mój samochód ma przerobiony gaźnik, co stanowi federalne przestępstwo i dla uniknięcia kary mam mu oddać jego pieniądze. Gdy mu grzecznie wytłumaczyłem, iż ma problemy ze stosowaniem zaimków, ponieważ samochód należy już do niego albo do jego brata a pieniądze (zdażyłem już zdeponować czek w banku) są moje, oraz, że kupił samochód w stanie as is, czyli z pełną akceptacją wszystkiego co się znajduje pod maską a na co ja nie miałem żadnego wpływu, bo ani nie konstruowałem ani nie montowałem tego auta, to zaczął z innej beczki. Początkowo zagroził, że pójdzie do banku i unieważni czek, co stanowiło bluff, gdyż po sprawdzeniu ważności czeku bank zaksięgował już tą sumę na moim koncie dokonując jego kasacji. Gdyby mu się to udało, to dokonałby aktu kradzieży o czym nie omieszkiałem mu wspomnieć. Wówczas wyciągnął najsilniejszą broń uprzedzając mnie życzliwym tonem, iż na pewno nie chciałbym, żeby coś złego się stało tym ślicznym, białym dziewczynkom, o których myślał, że są moimi córeczkami. Obiecałem wzamian, iż powiadomię o tej groźbie jego szefa, którego numer telefonu zostawił mi na wizytówce, a gdy się pojawi na moim terytorium to poczęstuję go ołowiem. Nazajutrz przyszli jego rodzice, początkowo prosząc o zwrot pieniędzy i odebranie samochodu a gdy przytoczyłem rozmowę z ich synem, początkowo zaprzeczyli a następnie błagali mnie bym tego nie czynił. Wiem, że wśród czarnej większości mieszkańców Detroit znajduje się wiele osób pracowitych, uczciwych, dobrych matek i ojców, wychowujących swe dzieci na porządnym ludzi. Niestety o opinii mieszkańców miasta decydują ci, którzy go świa-

domie niszczą, zięją nieskrywaną nienawiścią do białych, których obwiniają za wszystkie swoje niepowodzenia i nieszczęścia. W opisanym przypadku, zarówno bezpośredni nabywca jak i jego rodzice wyglądali na porządných ludzi tymczasem ich starszy syn musiał całe to wrażenie doszczętnie zrujnować.

W pierwszym podejściu Iwonka dostała odmowę wizy a otrzymała ją dopiero po interwencji senatora Carla Levina. Były to czasy, kiedy samoloty PANAM latały bezpośrednio z Warszawy do New York a nie chcieliśmy by przyleciała latającą trumną czyli Iljuszinem, stanowiącym wówczas wyposażenie LOT-u na transatlantyckich trasach.

Na lotnisku JF Kennedy 20 czerwca 1985, zaopiekował się nimi Marek Ruszczyński – zamieszkały w New York działacz KPN, który pomógł im w przesiadce na samolot do Detroit. Iwonka uprzedzała nas, że Ewa nie lubi jazdy samochodem ale okazało się, że dotyczyć to chyba mogło tylko polskich maluchów, bo robiła wrażenie bardzo zadowolonej. Ewunię widzieliśmy po raz pierwszy ale bardzo szybko wzajemnie się zaakceptowaliśmy. Agnieszka już nie pamiętała babci Joli ale nie miała żadnych problemów z jej zaakceptacją. Perełki były tylko zdziwione, że dziadek nie nosi brody, bo takim go pamiętały z fotografii. Na wstępie Iwonka powiadomiła nas o zasadniczych zmianach, jakie planowała w swoim życiu. Postanowiła mianowicie odejść od Zbyszka i pobrać się z człowiekiem, którego pokochała. Poradziliśmy, żeby się dobrze zastanowiła, gdyż chodziło o dobro jej dzieci, ale żadnych nacisków ani wskazówek jej nie udzielaliśmy uznając ją jako osobę dorosłą, w pełni odpowiedzialną za swój i swych dzieci losy. Nowym mężczyzną w jej życiu miał być i został Wojtek Ostrowski, nie mający nic wspólnego, poza zbieżnością nazwisk, z innym Wojtkiem

Ostrowskim, z którym siedziałem w Białoleęce. Ewa jeszcze niewiele mówiła, porozumiewając się z otoczeniem swoim językiem natomiast Agnieszka, bawiąc się z dziećmi z okolicy nauczyła się porozumiewać po angielsku a po przyjeździe do Polski imponowała wszystkim wymową nazwy Detroit. Będąc śmiałą dziewczynką zaczepiała obcych ludzi pytając:

- *What's your name?* – a zapytana o wiek, odpowiadała:

- *Almost five.*

Pewnego razu przeżyliśmy chwilę grozy, zostawiając otwartą bramę wiodącą na podwórko a po kilkudziesięciu minutach stwierdzając brak Ewy. Odeszła samotnie kilkanaście domów dalej i przyglądała się bawiącym dzieciom, gdzie została zauważona przez jakiegoś pana, który wziął ją za rączkę i poprowadził we wskazanym przez nią kierunku. Jakież było uczucie ulgi, gdy zobaczyliśmy Ewę, która jedną rączką trzymała buteleczkę z sokiem, ze smoczką w buzi a drugą w dłoni obcego pana, który usiłował od niej wydobyć informację gdzie mieszka. Od nowego roku akademickiego 2013/14 Ewa została wykładowcą podstaw elektrotechniki na Lawrence Technological University w Southfield, MI a w momencie, gdy zamieściła zdjęcie przepustki do LTU z podpisem Ewa Virga – Faculty/Staff na Facebook, przypomniałem sobie tą scenę sprzed 28 lat.

Innym razem byliśmy w Greenfield Village razem z Tereską, Piotrkim i Agą Kiszczyc, gdy tuż po przekroczeniu bramy straciliśmy z oczu Agnieszkę w wielotysięcznym tłumie. Tym razem znów dopisało nam szczęście, gdyż Agnieszka natychmiast została zauważona przez panią z obsługi, która okazała się Polką i pocieszała ją, iż na pewno się z nami odnajdzie. Rzeczywiście Agnieszka nie zdażyła się nawet jeszcze rozplakać, gdy ją odnaleźliśmy zaledwie kilka minut od zniknięcia. Od tamtej pory podzieliśmy się odpo-

wiedzialnością za nie spuszczenie z oka naszych bezcennych skarbów, nawet na moment. Pewnej niedzieli wybieraliśmy się wraz z Krysią, Leszkiem i Michałem (rówieśnikiem Ewy) Nanke, na Boblo Island – kanadyjską wyspę z ogromnym lunaparkiem, do której można było dopłynąć statkiem z Downtown Detroit, bez konieczności posiadania dokumentów uprawniających do przekraczania granicy. Gdy dotarliśmy do przystani ok. 10:00 rano, zastaliśmy kilkusetmetrową kolejkę a najbliższy statek, na który mogliśmy dostać bilety, odpływał dopiero o 13:30. Przedstawiciel lunaparku rozdawał kupony na bezpłatny parking w Amhertsburg po stronie kanadyjskiej, z których skorzystaliśmy. Wjazd do Kanady wówczas polegał na opłaceniu przejazdu przez tunel pod Detroit River a po stronie kanadyjskiej, gdy urzędnik zauważył przez szybę bilet na parking w Amhertsburg, kiwnął ręką, żeby jechać, nie zatrzymując się. Po całodniowym pobycie i uciechu dzieciaków wracaliśmy zmęczeni i zadowoleni, gdy Iwonka poinformował mnie, że zostawiła paszport w domu. Chwile potem Jola zauważyła brak green card w torebce. Okazało się, iż w naszym samochodzie byłem jedy-ną osobą podróżującą za granicę legalnie, podczas gdy w aucie Nanków tylko Ewa była „nielegalna”. Dziewczyny wpadły w panikę ale uspokoiłem je informując, iż w najgorszym przypadku zatrzymają je na granicy, gdy w tym czasie przywiozę ich dokumenty, co nie powinno zająć więcej, niż godzinę. Poprosiłem tylko, żeby się zachowały naturalnie i starały ukryć objawy paniki. Na blacie przed szybą miałem bilet na parking z Ametersburg i kilka folde-rów z Boblo Island. Urzędnik Immigration, nie wychodząc z budki zapytał

- *Jak długo byliście w Kanadzie?*

- *Pół dnia* – odpowiedziałem.

- *Gdzie byliście w Kanadzie?*

Na Boblo Island.

- *Czy mieliście fun?*

- *Tak, i to bardzo* – odpowiedzieliśmy chórem.

- *Dobranoc* – powiedział urzędnik z uśmiechem wskazując na drogę w kierunku miasta. Przekroczenie granicy przez samochód Leszka miało podobny przebieg, chociaż na wszelki wypadek za-trzymaliśmy się czekając, aż zostaną odprawieni.

Obecnie taka sytuacja jest nie do pomyślenia po tym, gdy obie strony wprowadziły obowiązek posiadania paszportów w celu przekroczenia granicy amerykańsko-kanadyjskiej, a każdy samochód jest sprawdzany, przynajmniej pod kątem zawartości bagażnika.

Planując poważniejszy wyjazd do Kanady czyli nad wodospady Niagara, - dokąd przez Kanadę z Detroit jest znacznie bliżej, niż przez Stany Michigan, Ohio i New York – musiał być poprzedzony uzyskaniem wizy kanadyjskiej przez Iwonkę (Perełki nie miały wówczas jeszcze odrębnych paszportów). Z rozmowy na temat uzyskania wizy kanadyjskiej w kanadyjskim konsulacie do polskiego paszportu, Agnieszka wyniosowała, iż wybieramy się do „polskiego kanadu”. Był to pierwszy dla nas wszystkich wyjazd do Niagara Falls – jednego z przyrodniczych cudów świata a wycieczka przekonała nas, iż dzieży ten tytuł w pełni zasłużenie. Udało nam się wejść do wydrążonego w skale tunelu, który poro-wadził do platformy pokazującej wodospady od środka a wieczorem wjechaliśmy na wieżę Toyota, skąd mogliśmy obserwować spektakularny pokaz zmieniającego się kolorowego oświetlenia Niagara Falls. Iwonka robiła nam obiady, zmywała naczynia, za co płaciliśmy jej wynagrodzenie aby ją nauczyć, iż każda praca w USA posiada wymierną wartość. Podczas pobytu Dziewczynek

moje biuro zakończyło porządkowanie dokumentacji budowy elektrowni nuklearnej w Monroe i z braku następnych zamówień zaczęło zwalniać pracowników o najkrótszym stażu. Nazywa się to po amerykańsku lay-off, czyli tymczasowe zwolnienie na czas nieokreślony, uprawniające do występowania o zasiłek dla bezrobotnych. Przede mną otrzymało lay off kilka osób i od tego momentu mogłem tylko zgadywać, czy to już koniec, czy też przyjdzie kolej na mnie. Niestety, pewnego piątku wezwał mnie boss informując ze smutną miną, iż z ogromną przykrością musieli zdecydować się na ten krok, mając nadzieję, że gdy sytuacja się znów poprawi to na pewno mnie zawołają, o ile nie znajdę czegoś innego. W tej sytuacji byliśmy zmuszeni drastycznie obniżyć Iwonce wynagrodzenie ale i tak zarobiła u nas w ciągu trzech miesięcy więcej, niż mogłaby w Polsce przez dwa lata. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy by uczciwie i obiektywnie pokazać Iwonce jakie ma możliwości w Ameryce a wybór będzie należał do niej. Zapoznaliśmy ją m.in. z Konradem Hałaczkiewiczem – moim współtowarzyszem z Białoleki, który korzystając z programu CITA i starając się o różne stypendia studiował computer science. Obie z Jolą zdążyły poznać Dorotę Hałaczkiewicz i jej bratową, które rzucały się w oczy otoczone wianuszkami dzieci w Białolece przed budynkiem, w którym udzielano zezwoleń na widzenia.

Na południe od naszego domku mieszkał Słowak, który lubił robić i degustować różne gatunki win, specjalnie sprowadzając z Kalifornii różne gatunki winogron. Gdy Jola odkryła, iż po każdej wizycie u niego wracałem bardzo wesolutki, zaczęła towarzyszyć mi w składanych bratniemu Słowianinowi sąsiedzkich wizytach. Jego żona była Czeszką, nie wiem w jakim języku się porozumiewali między sobą, ale narobili nam w głowach mętlik w różnieniu obu. W każdym razie ze wzajemnym zrozumieniem nie

mieliśmy żadnych problemów. Od tamtej pory określam pranie albo po słowacku albo po słowacku bielizeń albo prádło po czesku. Nasz sąsiad nie miał dobrego zdania o tragicznie zmarłej pani Sienkiewicz, która jakoby kłóciła się z nim o wszystko, a w każdej sprzeczce miała używać przezwiska:

Ty głupi Czechu.

- *A ja sem ne Ceh, ja sem Slovak* - tłumaczył, dodając: - *Česi sú kurvy, okrem mojej manželky*

Naszymi sąsiadami od północy była rodzina z Laosu, z którymi często rozmawialiśmy przez siatkę na tematy polityczne. Iwonka nie uznawała amerykańskich przesądów zabraniających dzieciom do lat 5 kąpać się nago w mini-baseniku a za jej przykładem poszedł również nasz sąsiad, pozwalając swym dzieciom na bieganie na golasa. Ich ogródek zawsze był pełen ludzi; krewnych, znajomych a dość częstym gościem był młody chłopak, który przyjeżdżał sportowym Camaro Z-28. Agnieszce bardzo podobał się „wujek”, a jego samochód uznała za najpiękniejszy, jaki widziała, nauczwszy się jego nazwy „zi-tuonyeit”. Pewnego razu do naszego sąsiada, którego nazwiska nawet nie staraliśmy się zapamiętać, nazywając go Laotańczyk, przyjechał brat z Saginaw, przywożąc kocięta od jego kotki. Gdy przesadził ręce z kociątkiem nad siatką, pytając, czy chcemy kota, nie można było odmówić Perełkom, które zaczęły skakać z radości:

- *Dziadku, dziadku, weź kotka, jest taki śliczny!*

Gdy kotek okazał się być dziewczynką, nazwały ją Kitka i tak już zostało. Kitka przeżyła z nami 9 lat i trzy przeprowadzki.

Po wyjeździe Dziewczynek, z którymi poleciałem do New York i wsadziłem je do samolotu PANAM – odlatującego do Warszawy, zrobiło nam się pusto i smutno. Kitka przez kilka dni biegała po domu wyraźnie szukając dziewczynek, które ją rozpieszczały. Po-

cieszał się nadzieją, iż nasze ponowne rozstanie tym razem nie potrwa długo. W rzeczywistości rozstaliśmy się na ponad trzy i pół roku. Adam Salbut – po otrzymaniu dokumentów uprawniających go do przejęcia spadku po zamordowanej siostrze – postanowił sprzedać dom a kupiec znalazł się po sąsiedzku – kuzyn naszego sąsiada – Słowaka, który kupił dom za 14 tys. \$. Była to suma, na którą nas było stać, oczywiście po otrzymaniu pożyczki, ale kupna domu w granicach miasta Detroit wogóle nie braliśmy pod uwagę. I słusznie, gdyż w kilka lat później domy zamieszkałe przez białych w Detroit były po prostu opuszczane i oferowane bankom, udzielającym mortgage, czyli pożyczek.

Przeprowadziliśmy się spowrotem do Hamtramck i zamieszkaliśmy pod adresem 2305 Poland Street., jak przystało na polskich imigrantów. Obiecałem Joli, iż następna – siódma od momentu przyjazdu przed dwoma laty – przeprowadzka będzie już do własnego domu. Obietnicy tej w 100% dotrzymałem. W ówczesnych czasach warunki uzyskania mortgage loan (pożyczki na kupno domu) były dość surowe: 1. Trzeba było przedstawić nienaganną historię kredytową – mając spłacone dwie pożyczki samochodowe, oraz spłacając dwie kolejne bez zakłóceń, nasz rekord prezentował się bez zarzutu. 2. Należało mieć stałą pracę, co miało miejsce w przypadku Joli ale nie za bardzo w moim. 3. Pierwsza wpłata (down payment) nie mogła być niższa niż 5% wysokości uzgodnionej sumy kupna, przy czym redukcja odsetków pożyczki o połowę, możliwa była w przypadku wpłaty 10% uzgodnionej ceny. 4. Obciążenie spłatą pożyczki nie mogło przekraczać 28% dochodów netto pożyczkobiorcy a suma wszystkich miesięcznych płatności pożyczek (nie licząc kart kredytowych) , nie mogła przekraczać 36% dochodów netto. 5. Zawarcie umowy, połączone z przedpłatą podatku i ubezpieczenia oraz kosztów administracyj-

nych banku wymagało od kupującego pokrycia t.zw. closing cost, które wówczas wynosiły ok 2500\$.

Powyzsze uwarunkowania limitowały wartość kupowanego domu zabezpieczając zarówno interesy banku jak i pożyczkobiorcy, którzy nie mieli szans wpakować się w niemożliwe do spłacenia długi. W każdej okolicy metropolii domy odznaczały się podobnym standartem i ceną czyli można było śmiało użyć sformułowania: „pokaz mi gdzie mieszkasz a powiem ci ile zarabiasz”. Boom w budownictwie w latach 90-tych ub. stulecia znacznie wyprzedził możliwości finansowe potencjalnych nabywców nieruchomości. Dla sprostania tym wyzwaniom banki zaczęły stopniowo ograniczać wymogi stawiane kupującym, udzielać pożyczek hipotecznych pod zastaw aktualnej rynkowej wartości nieruchomości, doprowadzając do wzrastającej liczby niewypłacalnych dłużników. Tempo wzrostu budownictwa oraz ceny domów spadły na łeb, na szyję i doprowadziło to do upadku pod koniec roku 2008, wielu instytucji bankowych, których aktywa wyliczone były wyłącznie na papierze wystawionych dłużnikom weksli. Kryzys ten uderzył również w posiadaczy domów, których wartość spadła poniżej wysokości zadłużenia zarówno podstawowego jak i hipotecznego.

Ponieważ od początku naszego pobytu w USA nigdy nie żyliśmy ponad stan, ostrożnie i z wyrachowaniem bilansując nasze dochody z wydatkami, a ponadto nabyliśmy nasz pierwszy dom w momencie obowiązywania całego spektrum ograniczeń – nas ten kryzys nie uderzył. Znam jednak osoby, które kupiły dom za 100 tys.\$, biorąc pożyczkę na 100% wartości a chcąc dzisiaj sprzedać ten dom za obecną cenę, musiałyby zwrócić bankowi jeszcze 50 tysięcy. Wartość domów w wielu regionach kraju spadła bowiem w tym okresie średnio o połowę, a w niektórych regionach nawet trzykrotnie. Obecnie nastała innego rodzaju koniunktura; odkupy-

wania od banków domów, z których niewypłacalni poprzedni właściciele zostali eksmitowani, t.zw. foreclosure. Oczywiście domy takie, które można kupić za pół ceny, wymagają często remontu, będąc celowo zdewastowane przez ofiary eksmisji - niewypłacalnych dłużników.

Dla urozmaicenia czasu – oraz domowego budżetu – uzupełniałem nasze dochody pracując nieoficjalnie na budowie razem z Piotrkim Kiszczycem, a po nastaniu pierwszych mrozów dorabialiśmy, znów razem z Piotrkim, w restauracji White Eagle (Biały Orzeł) zmywając naczynia. To znaczy Piotrek jako starszy stażem zmywał garnki a ja obsługiwałem maszyny do zmywania naczyń, po uprzednim spłukaniu. Do skromnego wynagrodzenia dołączony był darmowy obiad serwowany przez właściciela, Polaka w drugim pokoleniu. Jola dorabiała wieczorami pracę w Polish Village i tak ciułałimy dolar po dolarze na down payment i closing cost, planując kupno domu w następnym roku. Wysyłałem dziennie po kilka résumé do wszelkich firm poszukujących elektryków lub inżynierów o specjalności elektroenergetyka oraz elektrotechnika przemysłowa.

Kilkakrotnie byłem zapraszany na rozmowę, nabywając za każdym razem doświadczenia, gromadząc zestaw powtarzających się pytań i przygotowując ewentualne odpowiedzi. W odpowiedzi na moje listy albo przysyłano mi pismo informujące, iż wprowadzę zrobiłem dobre wrażenie ale zdecydowali się zatrudnić inną osobę, albo że jestem over-qualified czyli moje kwalifikacje są za wysokie do powierzenia mi tak marnego stanowiska. Na część listów otrzymywałem grzeczną odpowiedź, w której serdecznie mi dziękują za zainteresowanie ale w obecnej chwili nie przewidują wzrostu zatrudnienia. Często pracodawcy zamieszczają ogłoszenia o wolnych

stanowiskach, gdy tylko pracownicy zaczęli szemrać na temat podwyżek czy przywilejów. Zwykle ogłoszenia takie odnoszą skutek uspokajający rozpalone głowy. Co najmniej połowa wysłanych listów pozostała bez odpowiedzi. Jeździłem również do wybranych firm osobiście by upewnić się, iż moje resume zostanie przyjęte. Czyniłem również poszukiwania pracy korzystając z funkcji word of mouth czyli podczas wszelkich spotkań czy party mówiłem, że poszukujemy pracy. Jola również nie miała zamiaru obcinac zde-rzaków aż do emerytury i rozpoczęła naukę w Pontiac Business Institute, gdzie uczyła się podstaw prac administracyjno-biurowych. Pewnego dnia obśliznął jej się świeżo wymieniony nóż, którym skaleczyła się w przedramię. Rana była tak długa, iż musiano jej założyć 18 szwów! Wypadek ten upewnił nas, iż nie tędy droga do amerykańskiej kariery. Na jednym ze spotkań poznałem inżyniera elektronika z Wrocławia o nazwisku Leszek Bak. Długo rozmawialiśmy na tematy fachowe aż wreszcie Leszek spytał gdzie pracuję, posiadając takie kwalifikacje. Gdy odpowiedziałem, że nigdzie, za-pytał czy dowiadywałem się u Franka.

Jakiego Franka? – zdziwiłem się.

Leszek wyjaśnił, że Frank – absolwent Szkoły Wawelber-ga^[110] w Warszawie, w miasteczku Madison Heights prowadził firmę

110 Szkoła Wawelberga i Rotwanda – szkoła mechaniczno-techniczna, ufundowana w 1895 w Warszawie przez finansistów Hipolita Wawelberga i Stanisława Rotwanda.

Szkoła działała w latach 1895–1951, początkowo jako szkoła średnia, później inżynierska, a w końcowym okresie równoległe z Politechniką Warszawską, do której została włączona w 1951.

Pierwszym dyrektorem (do 1900) był profesor Instytutu Górniczego w Petersburgu M. Mitte, którego nazwisko znalazło się w nazwie szkoły. Nauka trwała 4 lata. Do 1905 językiem wykładowym był rosyjski, a od 1906 – język polski.

Od 1906 szkoła miała nieoficjalnie charakter politechniki. W 1919 została przekazana przez fundatorów państwu. W 1929 warunkiem przyjęcia do szkoły stało się posiadanie matury i do 1939 posiadała ona status uczelni wyższej.

K-R Automation, zajmującą się projektowaniem, wyposażeniem i montażem automatyki dla całego szeregu maszyn montażowych w firmach samochodowych, głównie dla General Motors. Leszek tam pracował, wiedział, iż poszukują projektantów i obiecał mnie zarekomendować. Party miało miejsce w sobotę a w poniedziałek Leszek zadzwonił do mnie, żebym przyjechał we wtorek na 9:00 rano na rozmowę z Frankiem i przywiózł ze sobą tłumaczenie indeksu oraz świadectwa pracy a Polski. Frank, którego imienia nie pamiętam, prowadził rozmowę po angielsku chcąc się upewnić czy dam sobie radę w pracowni projektowej czyli „na górze”. Osoby słabo lub wcale nie znające angielskiego dostawały prace „na dole” czyli przy montażu szaf sterowniczych z wynagrodzeniem nieco wyższym od minimalnego, czyli 4,50\$ na godzinę na początek. Z uwagi na to, iż nie potrafiłem udowodnić doświadczenia w automatyce, otrzymałem na początek „zaledwie” 9,00\$ na godzinę, co wówczas oznaczało dla mnie złapanie Pana Boga za nogi. Po blisko 2-ach latach podwyższono mi do 12\$/godz. Po roku pracy w K-R zgromadziliśmy wreszcie sumę wystarczającą na closing przyzwoitego domu w przyzwoitej okolicy i zakończenie etapu mieszkania „na rencie”. Po obejrzeniu kilkudziesięciu ofert zdecydowaliśmy się na 3-sypialniowy dom z garażem na dwa samochody oraz suchą piwnicą, nadającą się na zagospodarowanie, pod adresem 19019 Meier Street w Roseville, 3 mile na północ od Ósmej mili – północnej granicy Detroit. Jola miała do pracy 10 minut a ja 15, pięć minut piechotą mieliśmy do Randazzo Fruit Market, blisko do autostrad I-696 i I-94 oraz nad jezioro St. Clair gdzie dostęp do jeziora odgradzony jest prywatnymi przystaniami jachtów, niedostępnymi dla publiczności.

Pierwszy cel, kupno własnego domu w ciągu trzech lat, został

zrealizowany, co wywołało reakcję naszych rodzin, głównie Joli rodziców i mojej mamy. Dotarło do nich bowiem, iż nasza wyprawa za Ocean nie miała bynajmniej charakteru turystyczno-krajoznawczego, że mamy zamiar zarzucić tu kotwicę na stałe. Przedłużający się stan wojenny w Polsce, funkcjonujący pod zmienioną nazwą „szczególnych regulacji prawnych w okresie wychodzenia z kryzysu” nie dopuszczał najkrótszej nawet myśli o powrocie, poza tym i tak nie mieliśmy już gdzie wracać nawet, gdybyśmy ulegli zaćmieniu umysłu i na taki krok zdecydowali. Iwonka wciąż mieszkała pod jednym dachem ze Zbyszkim mimo, iż sprawa rozwodowa była w toku, w związku z wyjazdem wypadliśmy z pierwszego miejsca listy do zamiany mieszkań w ramach spółdzielni a wracać na Kaliską nam się nie uśmiechało. W Polsce wciąż obowiązywała „moda” kupowania mieszkań za gotówkę, którą nie dysponowaliśmy.

Nasze rodziny uważały jednak, iż skoro stać nas na kupno domu w Ameryce to stać nas również będzie na kupno w Polsce. Jola bardzo przeżywała rozstanie z rodzicami, z Iwonką, z Perełkami i ciągnęło ją do Polski. Z drugiej strony, zaangażowanie w POMOCIE nie mogło ujść uwadze odpowiednich służb oraz osób z tymi służbami współpracujących. Tęsknota Joli była jednak tak silna, że zdecydowała się podjąć ryzyko, gdy program radiowy Dany Sworskiej zaczął reklamować świąteczno-sylwestrową wycieczkę do Polski, połączoną z zabawą sylwestrową w Hotelu Forum, oraz autokarową pętlą po tradycyjnej dla turystów zagranicznych trasie: Warszawa - Częstochowa - Oświęcim - Wadowice - Kraków - Zakopane - Wieliczka. Uzgodniliśmy, iż Jola spędzi czas z rodziną i przyjaciółmi a na wycieczkę pojedzie moja mama, dla której Jola wybrała sukienkę sylwestrową. „Uzbrojona” w paszport konsularny PRL z sześciomiesięczną wizą, „...zezwalającą na wjazd do PRL i pobyt przez 14 dni” . Podkreślam kuriozalność sytuacji: Oby-

watelka kraju, posiadaczka ważnego paszportu tego kraju (sam pomysł wprowadzenia paszportów konsularnych był biurokratycznym gniotem) uzyskuje w tym paszporcie wizę, uprawniającą do pobytu w kraju urodzenia i obywatelstwa przez 14 dni! Ojciec Joli a mój teść był bardzo poważnie chory; do przewlekłej choroby serca doszły zakłócenia funkcjonowania nerek, co zresztą było bezpośrednią przyczyną zgonu pół roku później. Jola przyjechała akurat na czas, zdążyła pożegnać się z rodzicami, ponieważ swej mamy, zmarłej w 1992 roku również już nie miała za jej życia zobaczyć. Iwonka już definitywnie rozstała się ze Zbyszkim, problemem tylko była sprawa mieszkania, z którego nie chciał się wynieść mimo, iż obiecała mu, iż najpóźniej do końca roku wyjedzie z Polski na zawsze. Wojtek nie miał żadnych problemów z wyjazdem zwłaszcza, iż od 1981 roku w Stanach mieszkał już jego przyrodni brat Sławek Grynberg – operator filmowy, który zdążył się w Stanach ustawić i nie tylko kręcił filmy ale ponadto wykładał kinematografię na Uniwersytecie Cornell w Ithaka, New York. Problemem tylko było uzyskanie paszportu, bez wskazania kraju docelowego.

Z jednej strony wciąż funkcjonujące reguły stanu wojennego – co objawiało się m.in. mordami na tle politycznym (Grzegorz Przemyk, ksiądz Jerzy Popiełuszko), procesami politycznymi, zastrzeżoną cenzurą, drastycznymi ograniczeniami wyjazdów zagranicznych – a z drugiej czerwony nieudolnie ukrywał, iż zależy mu na pozbyciu się z kraju jaknajwiększej ilości osób niezadowolonych – potencjalnych przeciwników „normalizacji” na dyktatorską modłę. Ułatwiano wszystkim chętnym, udział w wycieczkach zagranicznych, z których sporo uczestników nie wracało. Obozy Latina w Rzymie oraz Kreiskirchen w Wiedniu przepełnione były Polakami – uczestnikami wycieczek, lub wracającym z kontraktów w Libii, nierzadkie były sytuacje, iż do Latiny czy Kreiskirchen zgłaszali się

wszyscy pasażerowie autokarów wycieczkowych z kierowca włącznie, np. z wycieczki na Mundial 1982 do Hiszpanii wrócili do kraju tylko nieliczni.

Jola zawiozła również zaproszenie dla mojej mamy, która z nieznanych mi powodów nie wzięła udziału w opłaconej przez nas wycieczce. Po 2-tygodniowym pobycie wyjechałem po Jolę na lotnisko a jej pierwsze słowa po przytuleniu się do mnie brzmiały:

„Nareszcie w domu”.

Na samym początku wszystkich nas gryzła nostalgia a kobiety w szczególności. Osoby mieszkające w Stanach 10 lat i dłużej, udzielały stęsknionym wypróbowanej rady:

Gdy cię dręczy nostalgia pojedź do Polski, a wyleczysz się z niej na 10 lat.

Jola na własnej skórze, wracając 3 stycznia 1987 roku, przekonała się o słuszności tej rady.

POMOST

Wyjeżdżając z Polski miałem na celu nie tylko uniknięcie szynkan, represji, dalszego uwięzienia ale również i przede wszystkim włączenie się w struktury organizacji mających na celu odzyskanie przez Polskę niepodległości. To byłem winien pozostałym w Kraju bojownikom - uczestnikom ruchu oporu, narażającym się na zatrzymania, uwięzienia, procesy, zwolnienia z pracy, pobicia, często ciężkie, w kilkuset przypadków śmiertelne.

Polecane przez znajomych Kongres Polonii Amerykańskiej oraz organizacje skupiające członków Solidarności nie bardzo mi odpowiadały. Kierownictwo KPA, powołanego w 1944 roku pod hasłem odzyskania niepodległości, w miarę upływu czasu godziło się ze stanem faktycznym układów politycznych w Polsce pod sowiecką okupacją, wysyłając dzieci na studia, sprowadzając towary do polskich sklepów, sponsorując występy polskich artystów a w ostatnich latach organizując pomoc humanitarną dla Rodaków w Polsce na szeroką skalę. Oczywiście w działalności tej nie było nic złego zwłaszcza, iż działacze KPA, których udało mi się poznać z V-ce prezesem Oddziału na Stan Michigan d/s polskich, panem Kazimierzem Olejarczykiem na czele, to bardzo sympatyczni, przyzwoici ludzie i żarliwi patrioci. Powstające jak grzyby po deszczu organizacje zrzeszające działaczy Solidarności rzadko wychodziły poza pomoc humanitarną dla podziemnej opozycji i propagowanie idei Solidarności w oparciu o formułę związku zawodowego. Dla mnie ta formuła skończyła się definitywnie 13 grudnia 1981 roku, a powrót do sytuacji sprzed tej daty nie mógł być oparty o jakiekolwiek realne przesłanki. Nie pamiętam kiedy skontaktowałem

się ze mną po raz pierwszy Marek Ruszczyński – przedstawiciel KPN w Nowym Jorku, zamieszkały w USA od kilku lat i posiadający znaczące koneksje wśród konserwatywnych polityków amerykańskich.

Marek włączył się w działalność światowej Ligi Antykomunistycznej oraz Anty-bolszewickiego Bloku Narodów i bez żadnych zastrzeżeń zgodziłem się na współpracę z tymi organizacjami. Nasza działalność ograniczała się do pisania oświadczeń, przeważnie popierających politykę Ronalda Reagana, będącego pierwszym prezydentem USA, który otwarcie zdefiniował zagrożenie jakie dla pokoju światowego a w konsekwencji bezpośrednio dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, niesie ekspansyjna polityka sowieckiej Rosji, oraz trwająca niemal nieprzerwanie od 1945 roku zimna wojna.

Mając silną opozycje w obu izbach, prezydentowi Reaganowi bardzo potrzebne było świadectwo i poparcie niezależnych organizacji zrzeszających ludzi pochodzących spoza żelaznej kurtyny. W miarę postępu swej kadencji Reagan coraz wyraźniej dawał do zrozumienia, iż okres kompromisów i daleko idących ustępstw wobec słabnącego ekonomicznie i militarnie imperium sowieckiego należy do przeszłości, nazywając Rosję otwarcie Imperium Zła. Na początku kwietnia albo jeszcze pod koniec marca 1983, Staszek Boguszewski zabrał Jolę i mnie na spotkanie działaczy polonijnych zorganizowane w mieszkaniu byłego więźnia politycznego z okresu przed rokiem 1956 Leszka Baszczyńskiego. W spotkaniu uczestniczyli m.in. Dr. Janusz Łącki, dr. Witold Nieć, szef programu Polskie Rozmaitości w stacji radiowej WPON Jurek Różalski, a najpóźniej przyjechał Dr. Janusz Subczyński – neurochirurg ze szpitala St. John w Detroit. Dr. Subczyński zapoznał zebranych z progra-

mem Ruchu Społeczno Politycznego POMOST – organizacji tworzonej oddolnie na bazie niezależnych oddziałów stanowych i nie tylko (oddziały POMOSTU istniały w Kanadzie, Japonii, Australii i Południowej Ameryce), której celem było odzyskanie niepodległości przez Polskę i inne narody, ujarzmione przez sowiecką Rosję. Główną akcją polityczną zainicjowaną przez POMOST było Renouance Yalta czyli poparcie projektu ustawy wniesionej do Kongresu USA o odwołanie umów z Teheranu, Jałty i Poczdamu jako nieważnych od początku, gdyż były zawarte wbrew interesom i bez przedstawicieli narodów, których dotyczyły. Ruch Społeczno-Polityczny Pomost powstał w Chicago w 1979 roku, założony przez grupę młodych przedstawicieli Polonii, której przewodzili Krzysztof Rac, Marian Sromek i Włodzimierz Włodarczyk - a tworzeniem Oddziału Michigan zajął się dr. Janusz Subczyński, który właśnie powrócił z I-wszego zjazdu organizacji. Przyjąłem propozycję Janusza włączenia się do działalności Pomostu bez wahania, zadeklarowali swoje poparcie gospodarz spotkania Leszek Baszczyński oraz doktorzy Łącki i Nieć. Jurek Różalski miał zbyt wiele pytań, na które nie uzyskał odpowiedzi ale widać było brak entuzjazmu z jego strony, a Staszek, dla którego czas się zatrzymał przed 13 grudnia 1981 stwierdził, iż nie włączy się w żadną inną, niż związkowa, działalność. Dla Jurka Różalskiego, którego sponsorami były m.in. Polskie Linie Lotnicze LOT oraz PeKaO Trade Corporation, poparcie dla Pomostu mogło stanowić niezręczne posunięcie i z tego powodu wołał on zachować postawę neutralną.

Jeden z działaczy RSP Pomost Andrzej Jarmakowski, członek redakcji kwartalnika, a później miesięcznika POMOST, wraz z Koordynatorem Pomostu Dr. Januszem Subczyńskim podjęli się zadania opracowania monografii tej, - cytuję za prof. Markiem J. Chodakiewiczem – „...najbardziej antykomunistycznej, masowej

organizacji wychodźstwa polskiego drugiej połowy XX wieku. Pomost reprezentował kontynuację nurtu niepodległościowego Drugiej Wielkiej Emigracji po II wojnie światowej”. Monografia ta, zatytułowana POMOST, autorstwa Andrzeja Jarmakowskiego pod redakcją Dr. Janusza Subczyńskiego wydana została w 2012 roku nakładem Keller Publishing, Marco Island, Florida, USA www.KellerPublishing.com. Wydanie papierowe ISBN 978-1-934002-26-1, wydanie elektroniczne ISBN 978-1-934002-27-8. Do treści tej książki, której egzemplarz autorski z dedykacją:

Mojemu najlepszemu przyjacielowi i druhowi w walce o wolną Polskę,

Janusz

zajmuje honorowe miejsce w mojej bibliotece, odsyłam wszystkich zainteresowanych tym ważnym i jednocześnie niesłusznie zapomnianym rozdziałem działalności emigracji politycznej w walce o Niepodległą Polskę.

Warto przypomnieć jakim wydarzeniom, czynnikom, osobom, organizacjom, oraz układom politycznym Polska i inne kraje wcielone do imperium rosyjskiego pod mylącą nazwą Związek Sowiecki, zawdzięczają odzyskanie niepodległości i suwerenności.

Wybór Karola kardynała Wojtyły na Ojca świętego Jana Pawła II, 16 października 1978r., oraz jego pielgrzymka do Polski w czerwcu 1979. Słowa Jana Pawła II, wypowiedziane na pl. Zwycięstwa (obecnie Piłsudskiego): „niech zstąpi Duch Twój i odmieni oblicze ziemi. Tej ziemi, Amen” pozwoliły społeczeństwu odzyskać wiarę we własną podmiotowość i możliwość odmiany oblicza tej ziemi. Ogromny autorytet moralny Papieża-Polaka zwrócił uwagę światowej opinii na Polskę, zniewoloną przez pro-moskiewską dyktaturę, która bezskutecznie usiłowała odciągnąć Polaków od kultywowania wartości chrześcijańskich, na dążenia Polaków i in-

nych zniewolonych narodów do praw przysługującym każdemu. Wizyta Papieża Polaka pomogła nam przynajmniej wewnętrznie, odkryć w sobie utraconą funkcjonowaniem w totalitarnym systemie, podmiotowość

Wzrastające znaczenie opozycji, począwszy od Komitetu Samoobrony Społecznej KOR, Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, zawiązania Konfederacji Polski Niepodległej do masowych strajków latem 1980 roku, które doprowadziły do powstania niezależnych od PZPR związków zawodowych z NSZZ Solidarność na czele. Powstanie Solidarności otworzyło drogę do samoorganizowania się społeczeństwa, wymuszenia całego szeregu gwarantowanych konstytucją praw obywatelskich, złagodzenia cenzury, wydania wstrzymywanych dotąd zezwoleń na budowę kościołów itd. Pod naciskiem Kremla i t.zw. betonu partyjnego z gen. Jaruzelskim na czele, komuniści usiłowali stłumić dążenia Polaków do wolności obywatelskich poprzez demokratyczne zmiany systemu, wprowadzając stan wojenny 13 grudnia 1981 roku i wtrącając do więzień czołowych działaczy Solidarności i innych niezależnych organizacji. Tymczasem, mimo represji nie udało się całkowicie stłumic wolnościowych dążeń Polaków, gdyż kłapa zbiornika, w którym usiłowano skoncentrować wolnościowe dążenia Polaków, zamknęła się – dla komunistów – za późno.

Wprowadzenie stanu wojennego oprócz całego szeregu negatywnych skutków (pauperyzacja społeczeństwa, pogłębienie ruiny gospodarczej, represje, masowa emigracja, itd.) stworzyło podstawy utworzenia nowej, bardziej zradykalizowanej opozycji, w miejsce uwięzionych lub skazanych na banicję działaczy.

Wybór Ronalda Reagana na 39-go Prezydenta USA, który postawił za główny cel polityki międzynarodowej zwycięskie zakończenie zimnej wojny. W dążeniu do tego celu nie ustąpił libe-

rałom przy realizacji Systemu Obrony Strategicznej, czyniącego rosyjskie rakiety balistyczne bezużyteczne. Ujawnienie tego programu wprowało we wściekłość Kreml i KGB usiłujące przy pomocy dywersji propagandowej powstrzymać proces instalacji systemu, nazwanego przez komunistycznych propagandzistów Gwiezdne Wojny. Demaskując nieuczciwość strony rosyjskiej w wywiązywaniu się z poprzednich układów administracja Reagana zawiesiła wszelkie rozmowy z Rosją na temat rozbrojenia.

Postępująca degradacja ekonomiczna Rosji, pogłębiona zwłaszcza organizacją XXII Igrzysk Olimpijskich, wyniszczającą wojną w Afganistanie oraz sankcje amerykańskie po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce wyczerpały kompletnie możliwości Imperium Zła dotrzymania Amerykanom w wyścigu zbrojeń. Po raz pierwszy od zawarcia układu w Poczdamie funkcjonariusze Politbiura, KGB i wszelakich dywersyjnych agend komunistycznej Międzynarodówki, zostali zmuszeni do odwrotu w ich planach podboju świata.

Mianowanie pierwszym sekretarzem Politbiura Michaiła Gorbaczowa, pierwszego realnie myślącego polityka na Kremlu od czasów rewolucji październikowej w Rosji. Gorbaczow i jego doradcy wybrali jedyną możliwą drogę ratowania Imperium – a przynajmniej tego co po nim zostanie – poprzez odstąpienie od ekspansji komunizmu, zaniechanie wyścigu zbrojeń i rozpoczęcie reform ekonomicznych, stopniowo redukujących system centralnego zarządzania środkami produkcji. Odrzucenie umów Jałtańskich przez administrację amerykańską, o czym mowa w punkcie następnym, praktycznie nie pozostawiło Gorbaczowowi zbyt szerokiego marginesu manewru.

Wycofanie się Stanów Zjednoczonych z umów z Teheranu, Jałty i Poczdamu, po trwającym 40 lat oszustwie sowieckiej Rosji,

traktującej te umowy jako prawo do politycznej, ekonomicznej i militarnej dominacji nad krajami „wyzwolonymi” w wyniku działań II wojny światowej. W przegłosowanej w 25 czerwca 1985 roku przez Senat ustawie znalazło się m.in. zdanie: ...“(5) *it is appropriate for the United States to reject any interpretation or application that, as a result of the signing of the 1945 Yalta executive agreements , the United States accepts and recognizes in any way Soviet hegemony over the countries of Eastern Europe...*”. (POMOST str. 270)^[111]. Po przegłosowaniu ustawy przez Senat, Pomost wydał oświadczenie, w którym podkreślano m.in., że sukces akcji jałtańskiej nie byłby możliwy bez ogromnego zaangażowania wielu organizacji etnicznych i setek aktywistów w całych Stanach Zjednoczonych. Każdy podpis, każdy list wysłany do ustawodawców przyczynił się do sukcesu akcji. (*tamże*)

Bezkrwawe odzyskanie niepodległości przez Polskę i inne kraje „Demokracji Ludowej” oraz rozpad związku sowieckiego i uzyskanie ograniczonej suwerenności przez republiki wchodzące w jego skład – nie byłoby możliwe z wyłączeniem jednego z powyższych czynników. Poczytuję sobie za zaszczyt aktywnego uczestnictwa w dwóch spośród nich.

Organizacja Oddziału Pomostu w Michigan rozpoczęła się przede wszystkim od kadr, czyli werbunku członków. Od samego początku natrafiliśmy na opory ze strony istniejących organizacji, przede wszystkim Kongresu Polonii Amerykańskiej, którego działacze uważali, iż pod ich „parasolem” znajdzie się miejsce dla wszystkich. Tymczasem włączenie Pomostu w struktury KPA nie miało szans powodzenia z uwagi na różnice w metodach działania. KPA prowadził w stosunku do reżimu PRL politykę umiarkowaną,

111 Stany Zjednoczone odrzucają wszelką interpretację porozumień Jałtańskich zawartych w 1945, jako prawo do jakiegokolwiek sowieckiej hegemonii w krajach Wschodniej Europy.

koncentrując się głównie na niesieniu pomocy charytatywnej Rodakom w kraju, gdy tymczasem Pomost był organizacją radykalną, odrzucającą jakiekolwiek formy współpracy z wrogiem określaną przez Janusza Subczyńskiego jako „sowiecki reżim okupacyjny”. Polska była krajem niesuwerennym, zależnym od Związku Sowieckiego a naszym celem było odzyskanie tej niepodległości, czyli dokładnie to samo, co napisali o mnie prowadzący moją sprawę oficerowie SB. Działacze Pomostu zdawali sobie sprawę, iż odzyskanie niepodległości przez Polskę nie będzie możliwe bez rozpadu rosyjskiego imperium.

Rozpad imperium nie będzie z kolei możliwy bez współpracy z przedstawicielami innych narodów ujarzmionych przez Rosję, a zatem poza Węgrami, Czechami, Słowakami, Rumunami, należało wciągnąć do akcji obalenia umów Jałtańskich także Ukraińców, Litwinów, Białorusinów. Nakłanianie Litwinów, Ukraińców i Białorusinów do działalności na rzecz obalenia umów Jałtańskich natychmiast rodziło pytanie o nasz stosunek do Kresów Wschodnich. Wychodziliśmy z założenia, iż wszyscy mamy jednego wspólnego wroga, jakim jest komunistyczne imperium rosyjskie i tylko zjednoczeni przeciwko niemu możemy osiągnąć cel zasadniczy, bez marnotrawienia sił i środków na wyniszczające spory etniczne. Wyciągając rękę do Białorusinów, Ukraińców i Litwinów musieliśmy im obiecać, iż nie będziemy przeprowadzać rewizji obecnych granic po spodziewanym upadku rosyjskiego imperium. Straciliśmy w ten sposób poparcie innych środowisk niepodległościowych jak Koła Byłych Żołnierzy AK, Weteranów II Korpusu, a także przedstawicielstwa Rady Narodowej na Obczyźnie, zarzucających nam, że „sprzedajemy Lwów i Wilno sowietom”. Przebywający z wizytą w Stanach w 1987 roku działacz KPN a później Polskiej

Partii Niepodległościowej i późniejszy minister obrony narodowej Romuald Szeremietiew poparł nasze stanowisko posługując się przykładem podziału Imperium Brytyjskiego, które cięto po granicach ustanowionych w okresie kolonizacji Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej. Tragiczny przykład targanych wieloletnimi wojnami narodów byłej Jugosławii dowodzi, iż mieliśmy wówczas rację. Do współpracy w akcji odwołania umów Jałtańskich, zwanej jako Renounce Yalta, musieliśmy zaangażować również Niemców, którzy nigdy nie pogodzili się ze sztucznym podziałem ich kraju i oddaniem 19 milionów ich rodaków pod władanie komunistów. Bedąc synem, siostrzeńcem i wnukiem powstańców warszawskich nigdy nie przypuszczałem, iż 40 lat po ich śmierci będzie mi sądzone mieć za sojuszników Niemców w działalności politycznej. Niemcom również, podobnie jak Ukraińcom i Litwinom, musieliśmy jasno przedstawić nasze stanowisko w sprawie granicy na Odrze i Nysie: nie upominamy się o zwrot przedwojennych Kresów Wschodnich i jednocześnie sprawa polskości Wrocławia, Zielonej Góry i Olsztyna nie będzie przedmiotem jakichkolwiek dyskusji. Na kolejną, nikomu niepotrzebną wędrówkę ludów żaden z zainteresowanych narodów nie powinien być narażony.

Wśród przedstawicieli przedwojennej Polonii nie brakowało takich, którym się marzyła Polska od Szczecina do Zaleszczyk i z nimi niestety nie mieliśmy wspólnego tematu. Dzięki zdolnościom dyplomatycznym Janusza (d-ra Subczyńskiego) udało się wziąć udział w przeprowadzonych w roku 1987 uzupełniających wyborach do Rady Narodowej – odpowiednika Sejmu na uchodźstwie. Do Rady Narodowej ze Stanu Michigan weszli wówczas na miejsce prof. Erenkreutza, który się przeniósł do Australii i dwóch zmarłych członków: dr. Janusz Subczyński, Bołko Skowron i Zenon Stę-

pień – powstaniec warszawski, działacz Koła Żołnierzy AK. Nasz udział w RN miał spory wpływ na utrzymanie sankcji nałożonych na reżim PRL oraz na poparcie akcji odwołania umów Jałtańskich. Wiele osób popierało nas w duchu ale z uwagi na nasz radykalny, zdecydowanie antykomunistyczny i antysowiecki program, nie chcieli tego czynić otwarcie. Agendy SB i wywiadu PRL nie próżnowały, posiadając w miarę dobre rozeznanie o wszelkich naszych poczynaniach a osoby, posiadające bliskie rodziny w Polsce i często do Polski podróżujące nie chciały narazic siebie i bliskich na szykany. Głównie dzięki charyzmie Janusza oraz naszym programom radiowym rosła liczba naszych jawnych i ukrytych zwolenników a organizowane przez nas demonstracje i manifestacje gromadziły od kilkuset do tysiąca osób. Spośród kilkudziesięcio-osobowej grupy byłych działaczy Solidarności udało się zwerbować do Pomostu jedynie Piotrką Kiszczycą, Arkadiusza Pyzio pochodzącego z Wadowic oraz zamieszkałego w Kanadzie, czyli po drugiej stronie Detroit River Kazimierza Webera ze Stalowej Woli.

Udzielając pełnego poparcia zagranicznej polityce Ronalda Reagana dostrzegaliśmy sowieckie wpływy w PLO, Syrii i Egipcie wymierzone przeciwko Izraelowi a zatem Izrael był również pośrednio naszym sojusznikiem. Jeżeli ktokolwiek zna mentalność sporej części Polonii amerykańskiej, to nie może się dziwić brakowi szerszej popularności organizacji, bratającej się nie tylko z Ukraińcami, Litwinami, ale również z Niemcami i – o zgrozo – Żydami.

Rozpoczęliśmy działalność od 10-minutowych komentarzy radiowych w programie Polskie Rozmaitości, prowadzonym przez Jurka Różalskiego, wygłaszanych na żywo przez Janusza Subczyńskiego oraz na zmianę przez Janusza Łackiego i mnie. Ponieważ niektóre nasze komentarze w swej treści różniły się od profilu Polskich Rozmaitości, Dr. Subczyński zdecydował się na wykupienie

pełnej godziny w stacji WPON, głównie z własnych środków, zakupił sprzęt i zorganizował studio u siebie w piwnicy. W budowie studia wzięliśmy udział Arek, Piotrek i ja, wykorzystując doświadczenie zdobyte w zagospodarowaniu naszych piwnic; naszej w Roseville i Arka w Warren. Arek był drugim z naszej „solidarnościowej” grupy, który kupił dom. W nagraniach audycji Radia Pomost – poza prowadzącym Januszem Subczyńskim – brali udział w różnych odstępach czasu: Janusz Łacki, Zofia Pruszyński, Tomasz Cytacki, Arkadiusz Pyzio, Piotr Kiszczyc, Adam Syguliński, Kazimierz Weber, Ursus Uziębło, Krystyna i Witold Nieć, Barbara Petioki, Hubert Poetchke, Jolanta i Bolko Skowron oraz Mirosława i Andrzej Zawadzcy. Ta ostatnia para, wciągając w to Huberta, zapisała się niechlubnie podczas próby rozbicia Pomostu przez grupę rozbijacką inspirowaną przez Andrzeja Czumę i jego partnerkę Joannę B. Szczegółowy opis próby rozbicia POMOSTU w Chicago znaleźć można we wspomnianej monografii POMOSTU w rozdziale IX, na stronach od 349 do 379.

Sygnałem do audycji Radia Pomost był fragment Symfonii Nr 9 Antonína L. Dvořáka *From the New World*, ten sam, który otwierał audycje Radia Solidarność nagrywane na kasetach począwszy od marca 1981 roku. (Audycje Radia Solidarność emitowane były w okresie stanu wojennego z udziałem m.in. Zofii i Zbigniewa Romaszewskich). Motto każdej audycji stanowił czytany przeze mnie cytat Józefa Piłsudskiego: „być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo. Zwyciężyć i spocząć na laurach, to klęska”. Cytat ten miałem wypisany nad moją więzienną pryczą w Białoleńcu. Podczas próby rozbicia Pomostu posługiwaliśmy się innym cytatem J. Piłsudskiego, również czytany przeze mnie, „agentury obce są jak jakieś przekleństwo, strzeżcie się agentur. Idźcie swoją drogą, służąc

jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym.” Felietony do naszych audycji pisał głównie Janusz a ja zaliczyłem mój skromny udział kilkudziesięcioma tekstami, głównie o tematyce polskiej oraz funkcjonowania systemu komunistycznego, aż do momentu wyprowadzenia się z metropolii Detroit. Oddział Pomostu w Michigan zorganizował kilka demonstracji pod hasłem Renounce Yalta, m.in. z udziałem przedstawicieli organizacji węgierskich, czeskich, rumuńskich, ukraińskich, litewskich i estońskich, kontr-demonstrację przeciwko komunistycznej demonstracji anty-reaganowskiej, kilka w sprawie uwolnienia więźniów politycznych w Polsce, na terenie metropolii Detroit i kilka w Windsor w Kanadzie.

Braliśmy również udział w demonstracji protestując przeciwko udziałowi konsula PRL podczas t.zw. Polish Festival w Downtown Detroit. Ta ostatnia miała miejsce trzykrotnie w różnej formie. Ponieważ teren Hart Plaza był wynajęty przez organizatorów – organizacje nie biorące udziału w festiwalu nie miały zezwolenia na demonstracje i dwukrotnie byliśmy usuwani przez policję. Za każdym razem jednak doprowadzaliśmy do zakłócania występu konsula, byliśmy zauważni przez media i za trzecim razem główny organizator festiwalu mec. Jakub Sobieraj już nie zaprosił konsula PRL i o to tylko nam chodziło, gdyż nie mieliśmy absolutnie nic przeciwko zaprezentowaniu polskiego folkloru, tańców, muzyki, potraw itd. amerykańskiej publiczności.

Kilkakrotnie wzięliśmy udział w Polish Day Parade, organizowanej dorocznie podczas Labor Day czyli w Dniu Pracy, przypadającym w pierwszy poniedziałek września. Po porwaniu i męczeńskiej śmierci bł. Ks. Jerzego Popiełuszki rzuciliśmy inicjatywę kontynuacji Mszy św. Za Ojczyznę, odprawianych jeden raz u Księż

Chrystusowców w kościele pw. Matki Boskiej Częstochowskiej w Sterling Heights a później już tylko w kościele pw. Matki Boskiej Królowej Apostołów w Hamtramck. Msze za Ojczyznę miały bardzo uroczystą oprawę, połączoną z dekoracjami wykonanymi przez miejscowych artystów, recytacją patriotycznych wierszy, pokazami filmów w Sali parafialnej, krótkimi koncertami m.in w wykonaniu Marka Bartkowiaka. Każdą demonstrację czy imprezę wykorzystywaliśmy do zbierania podpisów pod petycją, domagającą się odwołania umów Jałtańskich i udało nam się w ciągu dwóch zebrać kilkaset tysięcy w samym Michigan.

Działalność Pomostu była solą w oku junty i jej amerykańskich przedstawicielstw. W dniu 4 marca 1985 r. gazety w PRL opublikowały Komunikat Prokuratury Generalnej, w którym wymieniła szereg ośrodków prowadzących działalność na szkodę interesów PRL i przypominała, że współpraca z wrogiem Polsce ośrodkiem zagranicznym jest przestępstwem i podlega karze przewidzianej w przepisach prawa, która – w obronie interesów państwa i obywateli – będzie surowo i całą konsekwencją egzekwowana.

POMOST określono, jako organizację o wyrażnie terrorystycznym charakterze. W komunikacie tym podano, że ośrodki od wielu lat znane z dywersyjnej działalności to: Radio Wolna Europa, paryska „Kultura”, Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność”, wydawnictwo „Kontakt” i mająca wyrażnie terrorystyczny charakter organizacja pn. „Pomost” w USA. Działalność Pomostu doczekała się również pracy dyplomowej w Wyższej Szkole Oficerskiej im. Feliksa Dzierżyńskiego w Legionowie k/Warszawy, w której szkolono kadry dla SB. Autorem pracy p.t. „Antykomunistyczny i antypolski (komuniści, którzy sprawując w Polsce władzę z rosyjskiego nadania i będąc antypolscy z definicji, wszystkich swoich przeciwników oskarżali o „antypolskość”) charakter programu i działalno-

ści ośrodka politycznego POMOST” był sierżant podchorąży Jerzy Krystkiewicz. Jeżeli chodzi o ocenę Pomostu, to trudno było o wystawienie nam bardziej trafnej laurki, poza oczywistym wtrętem o „antypolskości”, które tow. Krystkiewicz powinien przypisać raczej swoim moskiewskim promotorom.:

Ośrodek polityczny „POMOST”, o którym ostatnio dosyć głośno, został włączony wraz z innymi ośrodkami dywersji ideologicznej do „Reaganowskiej krucjaty przeciwko komunizmowi”. „POMOST” dążył za wszelką cenę, by stać się główną siłą polskiej emigracji politycznej, zarówno w USA jak i na świecie. Walczy o wpływy Polonii amerykańskiej i o fundusze mocodawców. Angażuje się bardzo mocno w różne działania o charakterze antykomunistycznym i antypolskim. Wspiera opozycję polityczną w Polsce, udziela jej pomocy finansowej i materialnej, inicjuje akcję pod hasłem „Rewizja Jałty”. Neguje wszystko, co się w Polsce działo i dzieje, oczywiście poza anarchią, chaosem i kontrrewolucją. Swoim działaniem propagandowym stara się kształtować w społeczeństwie polskim postawę wroga wobec socjalizmu, racji stanu socjalistycznego państwa polskiego. (POMOST str. 347) oraz

Podstawowym celem politycznym organizacji jest walka z systemem komunistycznym, unicestwienie Związku Radzieckiego oraz powstrzymanie światowego komunizmu. Demagogicznie akcentuje, że zwycięstwo nad komunizmem zakończy wyścig zbrojeń. (POMOST str. 343)

I kto się okazał demagogiem, towarzyszu Krystkiewicz? – można by w świetle późniejszych wydarzeń zapytać. W każdym razie ja bym ocenił pracę podchorążego i późniejszego oficera polskiej filii KGB na czwórkę z plusem (obniżenie oceny za odmieniany w różnych przypadkach zwrot „antypolskość”)

We wrześniu 1985 szef junty Jaruzelski przyjechał do No-

wego Jorku w celu wzięcia udziału w dorocznej sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wszystkie patriotyczne środowiska polonijne z Pomostem na czele zorganizowały manifestację przy Piątej Alei i 66-ej ulicy, w pobliżu misji PRL przy ONZ, o której media pisały, iż Była to jedna z najpotężniejszych demonstracji jakie Polacy kiedykolwiek w Nowym Jorku zorganizowali. (Videofact)

Oddział Michigan był reprezentowany m.in. przez Chestera Rudnickiego, który zawiózł nas do NYC swoim motor home, oraz pp Stellę i Józefa Majcher, Tamarę Sochacką, panią Bochniak (imienia nie pamiętam), Ursusa Uziębło oraz piszącego te słowa – zastępcy Koordynatora Oddziału. Powszechną furorę zrobił mój plakat „powitalny” a Videofact – prowadzony przez Marka Ruszczyńskiego, z którym wreszcie miałem okazję spotkać się po raz pierwszy osobiście – zamieścił na swojej stronie odpowiednie zdjęcie. W podpisie chochlik drukarski dokonał nieznaczącej korekty mojego nazwiska. Napis na plakacie: Miejscem dla oprawców jest więzienie a nie Organizacja Narodów Zjednoczonych.

Z przyjazdem do USA Andrzeja Czumy – wybitnego działacza opozycji i więźnia politycznego PRL, pochodzącego z rodziny o głębokich, patriotycznych tradycjach, łączy się próba rozbicia Pomostu, początkowo ograniczona wyłącznie do Oddziału w Chicago – gdzie mieściło się biuro Głównego Koordynatora, a później pojedynczy działacze (już nie żyjący, a zatem przemilczę ich nazwiska) usiłowali rozszerzyć „rewoltę” również na niektóre oddziały lokalne. Wszystkie dotychczasowe osiągnięcia Andrzeja Czumy na froncie walki z komuną zostały przez tą próbę w oczach Polonii amerykańskiej znacznie zneutralizowane, gdyż wystąpił on w haniebnej roli „likwidatora” najsilniejszej antykomunistycznej, niepodległościowej organizacji polskiej na emigracji. Wszyscy działacze Pomostu, którzy się z Andrzejem Czuma zetknęli, byli przeko-

nani, iż został on specjalnie nastany przez odpowiednie służby w celu wypełnienia zadania, nad którym pracowały (te służby) bezskutecznie od kilku lat. Według mnie pan Czuma działał z pobudek ambicjonalnych, starając się przejąć przywództwo znaczącej organizacji polonijnej a przy okazji dorobić majątku, dając wiarę pogłoskom rozsiewanym przez komunistyczną propagandę, iż działalność w Pomoście łączy się ze zrobieniem fortuny, rzekomo szczerze finansowanej przez CIA. Nigdy nie śmierzący groszem i wiecznie tonący w długach Czuma dał się zwieść mirażom wspańskiej finansowej kariery, nie bacząc na niepowetowane szkody wyrządzone najsilniejszej dotąd organizacji niepodległościowej w USA.

Grupa rozbijacka na czele ze skarbniczką Zarządu Joanną B. (emigracyjną partnerką Andrzeja Czumy, która zapisała mu swój dom, umożliwiając po swej śmierci spłacenie części jego długów) powołała „alternatywną” radę naczelną podczas zjazdu, w którym uczestniczyło mniej niż 10% członków, przejmując bezprawnie lokal, fundusze, sprzęt i tytuł miesięcznika. Koordynator Pomostu Krzysztof Rac wraz z dr. Januszem Subczyńskim, prof. Janem Magnusem Kryńskim podali grupie rozłamowa do sądu, który po kilku miesiącach obustronnych oskarżeń i kontroskarżeń o bezprawne posługiwanie się logo i pismem organizacji, zarządził korespondencyjne wybory do rady naczelnej. Niezadowolony z takiego orzeczenia Krzysztof wysłał do wszystkich członków pismo aby na kartkach do głosowania wpisywali „object to vote” czyli sprzeciwiając się głosowaniu. Zadzwoiłem do Janusza (d-ra Subczyńskiego) dzieląc się obawami, iż w ten sposób bez pomocy Czumy wydajemy na siebie wyrok. Janusz nie podzielił moich zastrzeżeń twierdząc, iż wyjdziemy na tym jako moralni zwycięzcy, bo od wy-

roku się odwołamy a sprawie nadamy polityczny wydźwięk.

- W jaki sposób i w którym imieniu? – zapytałem – skoro sąd wyda orzeczenie zakazujące nam używania nazwy Pomost. Zanim się odwołamy, nikt już nie będzie nas z Pomostem kojarzyć.

Janusz bardzo lubił Jolę i miał do niej dużą słabość. Znacząc upór Janusza z jednej strony a umiejętność delikatnego przekonywania Joli z drugiej, pojechaliśmy razem do Grosse Pointe, gdzie mieszkał Janusz, by przekonać go osobiście do konieczności wzięcia udziału w głosowaniu jaknajwiększej ilości członków, a następnie zadzwonić do Chicago i przekonać o tym samym Krzysztofa. Po godzinie majstersztyku dyplomacji w wykonaniu mojej ukochanej małżonki, udało się jedno i drugie! Czasu było niewiele, gdyż nasza rozmowa na cztery telefony miała miejsce 27 marca a należało oddać głosy najpóźniej do 1 kwietnia 1988 roku. Błyskawicznie zredagowaliśmy list do wszystkich członków Pomostu, w zakończeniu którego czytamy m.in.: „...Jako wyraz protestu przeciw wewnątrz-organizacyjnej dywersji a zarazem poparcia dla obecnego kierownictwa prosimy o przesłanie do adwokata Patrica Cannona podpisanych „ballotów” z nazwiskami członków obecnej Rady Naczelnej RSP POMOST. Ponieważ sąd wymaga dowodu tożsamości – proszę załączyć kopie prawa jazdy lub czeku z nazwiskiem i adresem, przekreślonego słowem „void”. Dla ułatwienia załączamy zaadresowane koperty. Sprawa bardzo pilna, prosimy o niezwłoczną reakcję”

Oświadczenie podpisał rzecznik Rady Naczelnej RSP POMOST Janusz Subczyński a za oddział Michigan Bołko Skowron oraz Arkadiusz Pyzio. (POMOST str. 371)

Poza gospodarzem, pielęgnującym wówczas ciężko chorą mamę, Arek Pyzio i Piotrek Kiszczyc z żonami i córkami, Tomek Cy-

tacki, Jola i ja spędziliśmy pół nocy adresując koperty a do każdej z nich wkładaliśmy pełne oświadczenie, „ballot” wyborczy (kartkę do głosowania z nazwiskami obecnych członków Rady Naczelnej) oraz kopertę zaadresowaną do adwokata Cannona, a następnie udaliśmy się na główną pocztę w Detroit by kupić znaczki, nakleić a następnie nadać listy do wszystkich członków, w liczbie ponad 400. Całość przeprowadzonej akcji udało nam się utrzymać w ścisłej tajemnicy.

15 kwietnia 1988 roku w gabinecie sędziego Siegana sądu okręgowego Cook County w Chicago nastąpiło otwarcie kopert a następnie ogłoszenie wyników wyborów, w wyniku których legalnie działająca Rada Naczelna otrzymała ponad 75% ważnych głosów. Wyniki wyborów stanowiły totalne zaskoczenie dla członków grupy rozłamowej, którzy nie mieli zielonego pojęcia o zaistniejącej akcji, natomiast wiedzieli wyłącznie o liście Krzysztofa Raca nawołującego do bojkotu. Tak zakończyły się niespełnione sny Andrzeja Czuma o zawładnięciu „majątkiem” organizacji, w jego pojęciu wartym miliony dolarów, gdy tymczasem wszystkie koszty były na bieżąco pokrywane z własnych kieszeni działaczy, bądź to w postaci składek bądź darowizn, jak to miało miejsce w przypadkach Janusza i Krzysztofa finansujących nie tylko sprzęt ale i koszty nadawania audycji oraz wydawania miesięcznika.

Później Andrzej Czuma wkręcił się do polskiego radia w Chicago, gdzie zamiast kolejnych oczekiwanych milionów wpędził się w kolejne długi, które pospłacał dopiero po śmierci swej partnerki Joanny B. Perypetie finansowe późniejszego ministra sprawiedliwości opisał na łamach tygodnika Polityka Cezary Łazarewicz w artykułach „Minister na debecie” (Polityka nr. 2692 z dnia 14.02.2009) oraz „Minister wciąż na debecie” (Polityka nr.

2693 z dnia 21.02.2009). Słyszałem, iż swoją karierę polityczną po powrocie do kraju rozpoczął od zaciągnięcia pożyczki poselskiej ale nie posiadam wiarygodnego potwierdzenia tego wydarzenia. Dziеляcy celę z Andrzejem Czumą a później ze mną Paweł Mikłasz tak ocenił tego zasłużonego działacza opozycji: „Zasługi Andrzeja Czumy we wszelkiego rodzaju działalności opozycyjnej są tak wielkie, iż zasłużył sobie na cokolwiek w centralnym punkcie Lublina, na którym powinien stanąć, odbierać pokłony, zaszczoty i uwielbienie, ale pod żadnym pozorem nie powinien się z tego cokołu ruszać.”

Jako uzasadnienie Paweł podawał snujący się za panem Czumą niefart, dzięki któremu planowane akcje nie dochodziły do skutku a każde zatrzymanie owocowało przejęciem list adresowych i kontaktów organizacyjnych. Za podzielenie się tym stwierdzeniem z Krzyśkiem (Racem), który je opublikował, pan Czuma podał mnie do sądu ale z braku funduszy na pokrycie kosztów prowadzenia sprawy, został zmuszony pozew wycofać. Najwyraźniej Ameryka pomyliła mu się z Polską, gdzie sądy nie są w stanie prawidłowo orzekać z uwagi na zawalenie pyskówkami. A przy okazji do końca naiwnie wierzył, iż wszyscy działacze Pomostu to „milionerzy, lub prawie milionerzy”, (określenie użyte wielokrotnie przez pana Czumą) których można łatwo oskubać. Tymczasem, nie można w USA zasądzić odszkodowania o zniesławienie o ile nie szkodzi to interesom powoda. Na przykład nazwanie „złodziejem” kasjera, który na skutek tego pomówienia stracił pracę

Po trwającej blisko rok aferze związanej z próbą rozbicia, RSP Pomost – między innymi dzięki Andrzejowi Czumie - już się nie podniósł a w świętowaniu odzyskania niepodległości i obalenia komunizmu zabrakło jakichkolwiek wzmianek o naszej działalności. Należy żywić nadzieje, iż monografia POMOSTU dotrze do

szerokiej rzeszy czytelników by ocalić tą, jakże ważną i istotną w najnowszej historii Polski działalność od zapomnienia.

Po kupnie domu i coraz wyższych zarobkach w K-R Automation przeze mnie oraz w Plastic International przez Jolę zaczęło nam iść „z górki” czyli nasze początkowe problemy, rozczarowania i żmudne wspinanie się pod górę, na szczycie której znajdowała się realizacja American Dream, pozostawialiśmy powoli za sobą. Jola zaczęła uczęszczać do Ponitac Business Institute przygotowując się do pracy na stanowisku administracyjno-sekretarsko-finansowym, ja kończyłem kursy programowania PLC (Programmable Logic Controllers) stanowiących wówczas wiodący trend w automatyce przemysłowej, firm Allen-Bradley i Gould-Modicon. W Polsce automatyka przemysłowa doszła wówczas do etapu bramek logicznych, uznanych w USA jako przestarzałe.

Praca w K-R plus kursy, które pokończyłem poza wymiernymi korzyściami dawała mi możliwość nadrobienia dystansu jaki dzielił Polskę od krajów zachodnich ze szczególnym uwzględnieniem przodujących w tej dziedzinie USA, Japonii i RFN. Japończycy po przejściu technologii Gould i połączeniu jej z Modicon doskonalili się w podobnym kierunku co Allen-Bradley, natomiast Niemcy wprowadzili na rynek automatyki PLC Siemens, różniących się metodami programowania a ponadto niezbyt lubianym przez czołowe korporacje samochodowe. Było to wszystko zbyt piękne, żeby mogło trwać długo. Po długotrwałym strajku w General Motors – głównego klienta K-R Automation, skasowano kilka projektów a w konsekwencji rozpoczęły się lay-offs zarówno w samej korporacji jak i w firmach, dla niej pracujących. Godzinowo płatni pracownicy wszystkich głównych firm samochodowych; Chrysler Corporation, Ford Motor Company, General Motors Corporation należą do tego samego związku United Auto Workers, gdy tymczasem

przedstawiane przez UAW żądania prowadzące w konsekwencji do strajków sprawiają wrażenie jakby były uzgadniane z dyrekcjami poszczególnych korporacji, ponieważ nigdy nie zdarzały się w tym samym czasie. Tymczasem, parafrazując polskie przysłowie: gdzie się trzech bije tam czwarty korzysta. Zarówno natura jak i rynek nie znośią próżni i brak kilku tysięcy amerykańskich aut dziennie wypełniony został z nawiązką Hondami, Nissanami, Toyotami. AMC już od 1983 roku praktycznie nie liczył się na rynku poza Eagle i Jeepem, będąc stopniowo przejmowany przez Renault. W 1987 roku pozostałości AMC wraz ze zbankrutowanym Renault przejął Chrysler, który w 1998 roku został przejęty przez niemieckiego Daimlera. W każdym razie w roku 1987 wypadło na GM by znaleźć się w dołku.

Znów nastąpił okres nerwowego oczekiwania, gdy do szefa naszej grupy codziennie wzywani byli moi koledzy, którzy po kilkunastu minutach powracali ze spuszczonej głową i zaczęli się pakować. Niestety, po kilku tygodniach przyszła kolej na mnie jako jednego z ostatnich z grupy i to wkrótce po otrzymaniu kolejnej podwyżki. Ze smutną miną mój boss, którym był imigrant z Libanu Sam Salem, oświadczył, że nie udało się utrzymać zespołu a on sam pozostaje tylko na czas rozliczenia projektu. Jak długo potrwa zastój, czy grupa współpracująca z GM się utrzyma, czy wszyscy zwolnieni będą ponownie zatrudnieni? Na te pytania nikt nie znał odpowiedzi.

W połowie roku 1987 Wojtek wybrał się swoim „maluchem” do Włoch, gdzie odbywały się mistrzostwa Europy w lekkoatletyce. Celem jego był obóz uchodźców w Latina pod Rzymem, gdzie miał się starać o status uchodźcy w rzymskim Konsulacie USA. Iwanka miała jeszcze ważną wielokrotną wizę amerykańską i czekała tylko na wiadomość z Rzymu by zacząć się pakować. Na domiar złego

dwa tygodnie po mnie Jola również otrzymała „różowy papierek”, jak się popularnie nazywa lay-off. Na szczęście oboje kwalifikowaliśmy się do zasiłku dla bezrobotnych przez następne 26 tygodni, w ciągu których musieliśmy znaleźć pracę. Otrzymywaliśmy w sumie 360\$ tygodniowo, podczas gdy raty za dom wynosiły 525\$ a raty za Dodge’a i Nissana w sumie 350\$ miesięcznie. Zrobiło się zatem bardzo cienko w naszym budżecie a planowaliśmy w najbliższym czasie sfinansowanie podróży Iwonki z Dziewczynkami, kupując bilet w obie strony, by nie wzbudzić podejrzeń Immigration. Tymczasem Wojtek został zawrócony z granicy jugosłowiańsko-włoskiej, gdyż nie udało mu się przekonać włoskich funkcjonariuszy o turystycznym celu jego wizyty, a zatem cała akcja została tymczasowo odwołana.

Podczas wizyty w Polsce na przełomie roku Jola zawiozła mojej Mamie zaproszenie, z którego skorzystała latem, przylatując Iljuszinem62 PLL LOT, bezpośrednio z Warszawy do Detroit. Samolot ten był dużo mniejszy od Boeingów, do których były dopasowane „rękawy” i wymagał podstawienia specjalnych schodków. Przyleciał z ponad 2-godzinnym opóźnieniem, spowodowanym wymaganiami precyzyjnej kontroli technicznej przez pilotów, uczulonych po niedawnej katastrofie tej maszyny w Lasku Kabackim. Był to chyba ostatni rejs Iljuszina w serwisie LOT-u, który zastąpiony został Boeingiem-767 a „latające trumny” zostały sprzedane na Ukrainę. Był to również ostatni, bezpośredni rejs LOT-u do Detroit i w drodze powrotnej zawieźliśmy mamę do Chicago.

Spodobało się jej u nas tak bardzo, że na pytanie czy zechciałaby tu przyjechać na stałe odpowiedziała: - to moje największe marzenie. Również załatwiliśmy mamie kanadyjską wizę ale na podróż nad Wodospady Niagara nie dała się namówić, ograniczając wypad zagraniczny do zwiedzania miasta Windsor. W roku

1986, gdy mieszkaliśmy jeszcze przy ul. Poland miał miejsce ogólno-amerykański konkurs chórów polonijnych w Cleveland w Stanie Ohio. Chór Polonez, w którym pan Siarkowski umieścił mnie w tenorach, mimo, iż mój naturalny głos jest baryton – przygotowywał się do tego występu bardzo starannie. Uczestniczyliśmy w dwóch kategoriach: mieszanej i żeńskiej a każdy zespół musiał przygotować jedną amerykańską i jedną polską pieśń. Chór mieszany przygotował „Beautiful Ohio” i „Żeby Polska była Polską” Jana Pietrzaka a chór żeński piękną ludową pieśń „Leciały Żurawie”.

Ta ostatnia pieśń przyniosła zespołowi żeńskiemu I-wsze miejsce a „Żeby Polska była Polską” oceniona została na II-gie, mimo, iż żaden zespół nie przygotował się i nie zaprezentował tak starannie jak my. Pierwsze miejsce w chórach mieszanych zajął zespół z Gary, Indiana – przedmieścia Chicago, z którego pochodziła większość (o ile nie wszyscy) jurorów. W kategorii zespołów męskich, w której Polonez nie uczestniczył, I-wsze miejsce zajął inny chór z Detroit – Filareci, praktykujący i wytępujący przy Kościele Matki Boskiej Królowej Apostołów w Hamtramck. We wrześniu 1987 miała miejsce doniosła wizyta Ojca świętego Jana Pawła II dla uczczenia 200-ej rocznicy Konstytucji USA a na trasie pielgrzymki znalazło się również Detroit. Organizatorzy Mszy św. dla Polonii, odprawionej 19 września 1987 roku, zaproponowali powołanie połączonego chóru, składającego się ze śpiewaków zarówno z Poloneza jak i z Filaretów. Pan Siarkowski przygotował Mszę świętą Maklakiewicza a dyrygent Filaretów „Czarną Madonę”, „Z dawna Polski Tyś Królową”, ulubioną pieśń Papieża „Barka” i pieśń skomponowaną specjalnie na tą okazję przez miejscowego kompozytora pana Żarskiego „John Paul Holy Father, God called you by name” z refrenem tłumaczonym na „Papieżu Janie Paw-

le, my Cię tak kochamy”. Tekst refrenu napisał Tadeusz Gomułka – członek naszego chóru i stryjeczny brat Władysława, byłego I Sekretarza KC PZPR. Proponowałem, żeby zakończyć Mszę pieśnią „Ojczyzna ma” dla uczczenia pamięci księdza Jerzego Popiełuszki, zamordowanego 3 lata wcześniej przez SB, ale uznano to za akcent polityczny, których chciano uniknąć. Trzy lata przedtem Ojciec święty odbył pielgrzymkę do Kanady, odprawiając m.in. Mszę św. dla Polaków w odległym od nas o 4 godziny jazdy Toronto, ale wówczas nie mieliśmy jeszcze green cards i musieliśmy zadowolić się bardzo obszerną transmisją, przekazywaną przez kanadyjską telewizję, odbieraną bez problemów w Detroit.

Tym razem szczęście się do nas uśmiechnęło i mieliśmy okazję nie tylko oglądać Drogiego Gościa ale i śpiewać dla niego. Msza św. odprawiana była w dniu 19 września na pustym wówczas placu w pobliżu skrzyżowania ulic Jose Campau i Holbrook w Hamtramck, gdzie później zbudowano mini centrum handlowe. Ołtarz zbudowany był w kształcie arki Noego z ogromnym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej w tle. Z ołtarza tego widoczna była masywna bryła Kościoła świętego Floriana, usytuowanego między ulicami Florian i Poland.

Przed Mszą przedsięwzięto nadzwyczajne środki ostrożności, zamykając większą część miasta Hamtramck dla ruchu, ogradzając szczelnie cały plac, przepuszczając tylko za wydanymi przez poszczególne parafie biletami, przez bramki podobne do lotniskowych. Straszono nas, że nie będzie wolno wnieść żadnych, metalowych przedmiotów, w związku z czym nie wzięliśmy ani aparatu fotograficznego, ani parasola ani krzeselka dla Joli. Na miejscu obostrzenia okazały się mniej rygorystyczne. Na szczęście Zbyszek Grabski, z którym pracowaliśmy 3 lata temu w Fountainview Terrace Apts., wziął ze sobą aparat, dzięki czemu mam zdjęcia

zarówno na tle ołtarza oraz Ojca św. na znacznym zbliżeniu.

Wkrótce rozgorzał konflikt w POMOSCIE, o którym pisałem powyżej. Do pewnego momentu wydawało się, iż konflikt ten ma zasięg wyłącznie lokalny ograniczający się do Chicago ale wkrótce okazało się, iż mieliśmy również w naszym gronie próbę rozbicia Oddziału Michigan. Początkowo wszystko wskazywało, iż w grę wchodzi personalne ambicje Andrzeja Zawadzkiego, który przygotowywał grunt pod usunięcie Janusza Subczyńskiego z pozycji koordynatora. Nie będę się wdawał w szczegóły zwłaszcza że Andrzej już ok kilku lat nie żyje, w każdym razie zaczął pewne sprawy załatwiać, uzgadniać na własną rękę i ukrywać kontakty z grupą rozbijacką. Zdawaliśmy sobie sprawę jak bardzo podzielona była opozycja w Polsce, oraz, że nurt niepodległościowy reprezentowały niemal wyłącznie KPN i Solidarność Walcząca Kornela Morawieckiego.

Gdy ten ostatni przyjechał do Stanów na zaproszenie Janusza, został przechwycony przez Zawadzkich, u których się zatrzymał podczas pobytu w metropolii Detroit. Ponieważ Jola była jedyną osobą z naszego grona tolerowaną przez Zawadzkich – zadzwoniła do nich prosząc do telefonu Kornela, którego zaprosiła na spotkanie w willi Janusza przy Washington Avenue w Grosse Pointe. Udało nam się z nim dogadać na tyle, by podczas pobytu w Chicago i rozmowach z grupą rozbijacką, do której przykleił się znany mu dobrze Andrzej Czuma, miał oczy i umysł otwarte. Nie wiem na ile udało się nam go przekonać, w każdym razie nie mieliśmy przed nim nic do ukrycia. Zanim to nastąpiło i zanim Zawadzki zaczął otwartą secesję Oddziału, w kwietniu przybył do Stanów przewodniczący Konfederacji Polski Niepodległej Leszek Moczulski. Po ogłoszeniu apelu o zorganizowanie zbiórki na przeprowadzenie operacji serca szefa KPN, wszystkie organizacje polonijne z Po-

mostem włącznie zebrały odpowiednia sumę i chciały ją przekazać Rządowi Rzeczypospolitej na Uchodźctwie z siedzibą w Londynie.

Polonia w Wielkiej Brytanii pieniędzy nie przyjęła poczytując za punkt honoru zoperowanie Moczulskiego w Londynie na ich koszt. Kongres Polonii Amerykańskiej, który całą zbiórkę zorganizował i nadzorował, pokrył z zebranych funduszy koszty pobytu Moczulskiego w Stanach, jemu dając do zrozumienia, iż czyni to ze szczodroblewości władz KPA. Postanowiłem poinformować Moczulskiego o tym fakcie, jak również po przedstawieniu stanowiska jako członka zarówno KPN oraz Pomostu, dać mu możliwość obiektywnej oceny sytuacji. W tym celu zabiegałem o możliwość osobistego spotkania z Przewodniczącym KPN, bez udziału przedstawicieli Kongresu, co nie było zadaniem łatwym i w końcu udało mnie się wyrwać go wraz z małżonką Marią znaną wszystkim jako Majka i zaprosić do siebie. Leszek się zgodził, jednakże pod warunkiem, iż będzie to spotkanie wyłącznie ze mną jako członkiem KPN a nie przedstawicielem Pomostu, do którego już był uprzedzony przez działaczy KPA. Byłem u niego w mieszkaniu przy ul. Jaracza w Warszawie raz i nie jestem pewien czy mnie wogóle kojarzył, natomiast przez telefon opowiedziałem mu z grubsza o mojej działalności. Zawadzki, który całą sytuację doskonale znał, usiłował mnie przekonać, iż musi dojść do spotkania między Moczulskim^[112] i Subczyńskim. Ponieważ dałem Moczulskiemu sło-

112 Leszek Moczulski, właśc. Robert Leszek Moczulski (ur. 7 czerwca 1930 w Warszawie) – polski dziennikarz, polityk, historyk, geopolityk akademicki. Działacz opozycji w okresie PRL, wielokrotnie aresztowany, łącznie przez około sześć lat więziony w tym okresie z przyczyn politycznych. Współzałożyciel Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, założyciel i wieloletni przywódca Konfederacji Polski Niepodległej. Kandydat w wyborach prezydenckich w 1990, poseł na Sejm I i II kadencji. Autor wydanych w podziemiu (Wydawnictwo Polskie) programów politycznych: Program 44 (1976), Rewolucja bez rewolucji (1979), Walka strajkowa w Polsce – rok 1980 (1980), III Rzeczpospolita. Zarys ustroju politycznego (1984), Krajobraz przed bitwą (1987) oraz książek historycznych, m.in. Szpony czarnego orła (MON 1969),

wo, powiedziałem:

- *Nie, nie, nie i jeszcze raz nie!*

Znając dobrze temperament Janusza i pobieżnie Leszka, nastawionego negatywnie do Pomostu nie tylko przez działaczy Kongresu ale i przez Maćka Pstrąga – Bieleckiego, zdawałem sobie sprawę, iż to nie jest odpowiednia pora na to by te dwie wielkie indywidualności się spotkały. Po przybyciu do mnie państwa Moczulskich zdążyłem tylko opowiedzieć o sobie, o mojej działalności na emigracji i o konflikcie w Pomoście, co Leszek skwitował słowami, żywcem wyjętymi ze słownika Kazimierza Łukomskiego – ówczesnego wiceprezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej:

- *Pomost już nic nie znaczy, jest trupem politycznym.*

- *Tylko dlatego, że przeżywamy wewnętrzny konflikt?* – spytałem – *a KPN nie jest rozbita?*

- *Masz na myśli Szeremietiewa^[113]?* – spytał Leszek, z którym zdążyliśmy przejść na ty w drodze do mnie.

- *Tak, dokładnie* – odpowiedziałem – *konflikty są trudne do uniknięcia ale nie zawsze muszą doprowadzić do unicestwienia or-*

Dylematy. Wstęp do historii politycznej Europy Zachodniej 1945–70 (MON 1971), Wojna polska 1939 (Wydawnictwo Poznańskie 1972), Geopolityka. Potęga w czasie i przestrzeni (Warszawa 1999), Narodziny Międzymorza (Bellona 2008). Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (nadany przez Rząd RP na Wychodźstwie 1987). W 2008 SN, po długotrwałym, wielokrotnie przerywanym procesie autolustracyjnym, odrzucił kasację i utrzymał w mocy wcześniejszy wyrok stwierdzający, że 1969–1977 był TW Wydz. III KS MO ps. Lech. W 2011 zapowiedział kontynuację sprawy po użyskaniu orzeczenia Trybunału Europejskiego w Strasburgu, iż w czasie procesu lustracyjnego naruszone zostało prawo Moczulskiego do obrony. W IV 2012 SN uchylił orzeczenie o jego współpracy z SB i przekazał Sądowi Okręgowemu w Warszawie jako sądowi I instancji do ponownego rozpoznania.

113 Romuald Szeremietiew (ur. 25 października 1945 w Olmontach) – polski polityk, publicysta, doktor habilitowany nauk wojskowych, oficer rezerwy WP, poseł na Sejm III kadencji, były wiceminister i p.o. ministra obrony narodowej, wykładowca akademicki. W 1979 był jednym ze współzałożycieli Konfederacji Polski Niepodległej, z której odszedł w 1985, zakładając Polską Partię Niepodległościową. Od 1981 do 1984 był pozbawiony wolności za prowadzoną działalność opozycyjną, zwolnienie uzyskał na mocy amnestii.

ganizacji.

Opowiedziałem mu o perfidnej roli jaką odegrał w rozpamiętaniu Pomostu Andrzej Czuma pokazując mu podpis Czumy pod dokumentami Pomostu, którego nigdy nie był członkiem.

- *Będę w Chicago i porozmawiam z Andrzejem* – obiecał Leszek, który pomału zaczął się rozluźniać zwłaszcza, że Jola z Majką zaczęły rozmawiać tak, jakby się znały od lat.

Okazało się, iż Zawadzki nie usłuchał mojej rady, zadzwonił do Janusza i w niecałe pół godziny obaj się zjechali. Mogę tylko powiedzieć, iż moje obawy dotyczące spotkania Janusza z Leszkiem nie były przesadzone.

W październiku legalne kierownictwo Pomostu zorganizowało w Waszyngtonie Zjazd, na który zjechały się delegacje ze wszystkich Stanów i z Kanady. Z Oddziału Michigan na Zjazd udali się Józef Falkowski – właściciel i kierowca vana, Barbara Petioki, Arek Pyzio, Stella i Józef Majcher, Hubert Poetchke oraz piszący te słowa. Przy okazji muszę podzielić się historią państwa Majcher. Pani Stella a właściwie Stanisława (nie pamiętam nazwiska panińskiego) była córką imigrantów z przełomu XIX i XX wieku, którzy po uzyskaniu niepodległości przez Polskę wrócili do kraju. Stasia poznała w rodzinnej wiosce przystojnego Józefa Majchera, który się jej oświadczył i po roku się pobrali. Rozczarowana biedną Polską postanowiła wrócić do Ameryki i zabrac ze sobą męża co nie było takie proste. Pan Majcher, zgodnie z amerykańskim prawem nie nabywał automatycznie obywatelstwa tylko przez fakt małżeństwa z obywatelką USA. Musiał otrzymać oficjalne zaproszenie, odczekać w kolejce a ponadto współmałżonek musiał(a) wykazać się odpowiednimi dochodami.

Pani Majcherowa wyjechała pierwsza w połowie 1939 roku

i... czekała na przyjazd męża następne 15 lat. Wkrótce wybuchła wojna, pan Majcher został zmobilizowany, walczył w kampanii wrześniowej, dostał się do niewoli a po zakończeniu wojny wrócił do rodzinnej wioski, gdzie musiał rozpocząć całą procedurę od nowa. Trwało kilka lat zanim otrzymał paszport i następne kilka lat zanim jego małżonka wykazała się wymaganymi dochodami, wynoszącymi wówczas 35\$ tygodniowo. Żeby tyle zarabiać, musiała pracować na dwóch etatach; w sklepie i w pralni. Żyli razem długo i szczęśliwie, mając tylko jednego syna a najzabawniejsze było, iż pani Stella nigdy nie zwracała się do męża inaczej niż pan Majcher. Pan Majcher był człowiekiem spokojnym, bardzo uległym wobec żony, którą rozsądzał temperament a oboje do głębi przesiąknięci byli ideami patriotycznymi i niepodległościowymi. Pani Stella brała udział we wszystkich demonstracjach Pomostu, włączając w to „powitanie” Jaruzelskiego w Nowym Jorku i była jedną z najbardziej aktywnych wolontariuszek kampanii wyborczej Staszka Grota.

Kolejna dygresja: na południu Polski – skąd pochodzi ogromna większość przedstawicieli Polonii amerykańskiej - imiona wymawia się twardo: Staszek, Kazek, Józek, Zdzisiek, itd. , a ponadto Krakusy lubia wychodzić na pole w centrum miasta, spażniać się i wszystko włanczać, natomiast warszawiacy mają tendencje do zmiękczenia i to nie tylko imion: Stasiak, Kaziak albo Kazik, Józiak albo Ziutek, Żdzisiek, wychodzić na dwór przed propozycją: jadziem na Pragę ale raczej przed wyjściem zdążą wszystko powyłączać, a mimo to nie spóźnić się na randkę. Wyjaśnia to w pewnym sensie przemienność używania form Staszek lub Stasiak w moim tekście.

Basia Petioki, korektorka Dziennika Polskiego i żona czeskiego imigranta, zaopatrzyła się na długą, bo ponad 10-godzinna

drogę do Waszyngtonu, w „ucho” czyli butelkę whiskey o pojemności 1 galona z charakterystycznym uchem do trzymania, czemu zawdzięcza swą nazwę wśród Polonii. Oprócz ucha miała ze sobą coś do rozcieńczania i plastikowe kubki, czym raczyła nas dla rozluźnienia monotonii długiej drogi. Później zorientowaliśmy się, iż sama nie piła i długo zastanawialiśmy się czy to nie miała być prowokacja, ponieważ lecący na drugi dzień samolotem wraz z Januszem Zawadzki, już wiedział o „pijackich wybrykach” w moim i Arka wykonaniu. Idealnie trzeźwi nie zajechaliśmy, to fakt ale do „pijackich wybryków” sporo nam brakowało. Hubert przez drogę czytał broszurkę wydana przez rozbijacką grupę Pomiostru. Tłumaczył się, iż w posiadanie tej gazetki wszedł przypadkowo po to tylko by poznać racje drugiej strony, gdy tymczasem nalepka z jego adresem na okładce świadczyła, iż był raczej nieprzypadkowym prenumeratorem. Jego wystąpienie podczas pierwszego wieczoru, zmierzające do zmiany porządku obrad i zakłócenia zjazdu potwierdziło nasze obawy, iż mieliśmy do czynienia ze zdradą w naszym własnym gronie. Andrzej następnego dnia rozdawał wśród uczestników obrad odbite na powielaczu ulotki, zawierające wezwania do tworzenia struktur poziomych i w konsekwencji rozczłonkowania organizacji, potwierdzając zaplanowaną i zorganizowaną akcję.

Złożyłem formalny wniosek o odrzucenie propozycji zarówno Huberta jak i Andrzeja, jako nie uzgodnionych ani z pozostałymi członkami delegacji Stanu Michigan ani z resztą Oddziału. Wniosek został przegłosowany i przyjęty a od tej pory zyskałem w osobach pp Zawadzki śmiertelnych wrogów. Zjazd wprowadził sporo istotnych zmian statutowych i proceduralnych, udzielił absolutorium ustępującej Radzie Naczelnej, dokonał wyborów nowej, do której wszedł oprócz Krzysztofa Raca, Jana Magdusa Kryńskiego,

również Dr. Subczynski, wmacniając siły przed decydującym starciem z grupą rozbijacką, które miało nastąpić pół roku później i zakończyć odzyskaniem organizacji i jej aktywów od uzurpatorów. Hubert, po nieoczekiwanym fiasku udaremnionej misji wracał do Detroit, mając wykupiony bilet z Baltimore i prosił Józka o odwiedzenie. Tymczasem Barbara nakłaniała Józka by tego nie robił, a na koniec wystąpiła z nieoczekiwaną propozycja:

- *Dam panu d... jak go pan nie zawiezie.*

Oczywiście nikt tego nie traktował poważnie, natomiast Zawadzcy wykorzystali ten incydent do próby rozbicia zebrania Oddziału, które miało miejsce kilka dni później w domu Janusza. Po wywołaniu przez Józka z pomocą Andrzeja, awantury, Janusz wyprosił ich z domu a po ujawnieniu kreciej roboty, prowadzonej wspólnie z grupą rozbijacką, przegłosowaliśmy wniosek o wykluczenie Zawadzkich, Falkowskiego i Poetschke z Pomostu. Mimo, iż ani Zawadzcy ani Hubert ani Józek nie ukrywali przejścia na stronę grupy Czuma i S-ka, w dalszym ciągu mącili, rozsyłając anonimy a całą złość wyładowywali na mnie, szkodząc mi na każdym kroku.

Gościem Zjazdu był Romuald Szeremietiew, który po odejściu z KPN powołał Polską Partię Niepodległościową^[114]. Działacz KPN i Pomostu Jonak (zapomniałem imienia) po pokazaniu Rom-

114 Przywódcy KPN wyszli na wolność na mocy amnestii latem 1984. Już w sierpniu 1984 Leszek Moczulski przystąpił do odbudowy partii, jako organizacji ogólnopolskiej. Jednak część przywódców opowiedziała się za kontynuowaniem działalności w konspiracji. M.in. na tym tle 9 grudnia 1984 doszło do rozłamu. KPN opuścili: Zygmunt Goławski, Tadeusz Jandziszak, Tadeusz Stański, Romuald Szeremietiew i 22 stycznia 1985 utworzyli Polską Partię Niepodległościową. 22 grudnia 1984 odbył się w Warszawie II Kongres KPN, na którym wybrano nowe władze. Przewodniczącym został ponownie Leszek Moczulski. W skład Rady Politycznej weszli: Krzysztof Król, Andrzej Szomański, Adam Słomka, Dariusz Wójcik, Zygmunt Lenyk i Zbigniew Rybarkiewicz. Uchwalono nowy statut, nakazano weryfikację dotychczasowych członków, cofnięto wcześniejsze pełnomocnictwa do reprezentowania KPN za granicą (G. Waligóra – KPN 1979–1989; s. 105)

kowi Waszyngtonu zawiózł go następnego dnia do mnie, w drodze do Chicago, a ja miałem przekazać go do Toronto, gdzie od dwóch lat mieszkał Tadeusz Jandziszak¹¹⁵. Granicę amerykańsko-kanadyjską przekraczałem wielokrotnie i znając upierdliwość urzędników po obu stronach zaproponowałem Romkowi, żeby udawał, iż nie zna angielskiego i pozwolił mi odpowiadać na wszystkie pytania. Późniejszy minister obrony narodowej nie zgodził się, przystając jedynie, że nie będzie nic wspominał o działalności politycznej. Po stronie amerykańskiej nie ma kontroli, ponieważ nie obchodzi ich kto opuszcza USA, należało tylko w Port Huron uiścić opłatę za przejazd mostem nad St. Claire River, stanowiącą łącznik między jeziorami Huron i St. Claire.

- *Obywatelstwo, miejsce zamieszkania, po co jedziecie do Kanady, w jakiej sprawie, na jak długo?* – padła standartowa seria pytań urzędniczek w budce.

- *Polskie, Roseville, Michigan, odwiedzamy przyjaciół w Toronto, wracamy jutro* – odpowiedziałem.

- Dokumenty, proszę.

Wręczyliśmy jej nasze Green Cards a Romek polski paszport.

- *Miejsce zamieszkania, czy twój cel podróży jest taki sam?* – zapytała przemarznięta urzędniczka, gdyż właśnie zaczął prószyć drobny śnieg, najwyraźniej zmierzająca do przepuszczenia nas.

- *Jestem działaczem związku zawodowego Solidarność a do Kanady jadę na serię odczytów* – odpowiedział Romek.

— *A co to za związek i co będziesz czytał?* – zaciekała się

115 Tadeusz Jandziszak, ur. 18 IX 1942 w Laszkach Murowanych k. Chyrowa (obecnie Ukraina), zm. 29 VIII 2000 we Wrocławiu. 1 IX 1979 sygnatariusz założyciel KPN, od XI 1979 na czele Obszaru Zachodniego KPN (Dolny Śląsk), od 1979 członek Rady Politycznej; 9 XII 1984 z czołowymi działaczami KPN: Zygmuntem Goławskim, T. Stańskim i R. Szeremietiewem, wystąpił z KPN. 22 I 1985 współzałożyciel Polskiej Partii Niepodległościowej. 1985–1990 na emigracji w Kanadzie od 1986 przedstawiciel PPN za granicą, 1987–1989 rzecznik Porozumienia Partii i Organizacji Niepodległościowych.

Kanadyjka w grubej watowanej kurtce i zacierając ręce z zimna wypisała karteczkę, którą włożyła nam za wycieraczkę.

- *Podjedźcie pod ten budynek, zatrzymajcie się przed drzwiami, z napisem Immigration, a ty wejdź do środka i daj im tą karteczkę* – rzekła nie czekając na odpowiedź i zwracając się bezpośrednio do naszego pasażera.

W poczekalni Canadian Immigration Sarnia, Ontario siedziało kilka osób i zanim przyszła kolej na Romka minęło dobre pół godziny. Kolejne pół godziny upłynęło zanim wreszcie skończyli go maglować. Pytali czy organizacja jest legalna a skoro nie jest to czy on nie jest przypadkiem poszukiwany listem gończym, czy za odczyty będzie pobierał wynagrodzenie, a jeżeli tak, to czy ma zezwolenie na pracę, i tym podobne bzdety. Wyszedł z pokoju spocyny i zderwowany a ja okazałem mu miłosierdzie nie napomykając, że trzeba było starszego posłuchać. Tadeusz mieszkał wraz z żoną w wielopiętrowym wieżowcu w polskiej dzielnicy Toronto, gdzie niedawno mieszkał Mocarz zanim ożenił się z Izą Kobzdej. Ostatnio mieliśmy okazję rozmawiać podczas przerwy w procesie KPN na korytarzu Sądu Wojewódzkiego w Warszawie pod koniec 1981 roku, kiedy był on jedynym oskarżonym odpowiadającym z wolnej stopy. To spotkanie było naszym ostatnim; Tadeusz wrócił do Polski w roku 1990 gdzie zmarł 10 lat później. Zadzwoiłem od Tadeusza do Mocarza, odebrała Iza, spytałem co słyhać, pogadałiśmy chwilę a w końcu spytała:

- *A kiedy do nas wpadniecie?*

- *Czy mam to pytanie traktować jako zaproszenie?* – odpowiedziałem pytaniem.

- *Ależ oczywiście, przecież wiesz, że zawsze jesteście u nas mile widziani.*

- *A jak daleko mieszkacie od poprzedniego mieszkania?* –

zapytałem.

- *Ok. 15 minut* – usłyszałem w odpowiedzi.

- *W takim razie będziemy za 25 minut, bo za pierwszym razem na pewno będziemy trochę błędzić.*

Zaskoczenie było kompletne ale atmosfera spotkania, mimo nieprzygotowania gospodarzy była jak zwykle bardzo sympatyczna. Mocarze, czyli pp. Kazańczuk niedawno kupili townhouse w dynamicznie rozwijającym się zachodnim przedmieściu Toronto a w zasadzie, samodzielnym mieście Mississauga, liczącym już wówczas 200 tys. mieszkańców a obecnie ponad 700 tys. Townhouse to popularne na Wyspach Brytyjskich a następnie w krajach Nowego świata (USA, Kanada, Australia, Nowa Zelandia) piętrowe, całkowicie samodzielne segmenty, nierzadko z garażem, zapewniające dużą powierzchnie mieszkaniową na stosunkowo małej przestrzeni.

Townhouse Mocarzy znajdował się na terenie zamkniętego osiedla, posiadał garaż i cztery kondygnacje: piwnica, parter, antresola, piętro, przy czym zarówno od frontu jak i od tyłu widoczne były tylko dwie z nich. Była to nasza pierwsza wizyta na nowym miejscu, poprzednio Witek mieszkał w wieżowcu o nazwie Gdynia, stanowiącym kompleks polskiej spółdzielni mieszkaniowej. W ciągu dwóch lat ceny mieszkań w Toronto wzrosły tak bardzo, iż nie tylko sprzedał studio (kawalerkę) z zyskiem to jeszcze starczyło im na wpłacenie sporego down payment na townhouse w Mississauga.

Ostatni raz widzieliśmy się z Mocarzami u nas 6 stycznia 1987 roku, gdy przyjechali do Roseville by zobaczyć nasz nowy dom, nie uprzedzeni o czekającej ich niespodziance. Przyjechali w sobotę i byli trochę zdziwieni, że szykujemy tak dużo jadła a my trzymaliśmy imprezę w tajemnicy. W niedzielę rano udaliśmy się

do Hamtramck do kościoła pw. Matki Boskiej Królowej Apostołów odświętnie udekorowanym, gdyż oprócz pozostałości dekoracji po Bożym Narodzeniu doszły ogromne cyfry 25 na mównicach i ołtarzu oraz napis: „Szczęść Boże Jubilatom”.

- *A, to dzisiaj jakaś wielka uroczystość u was* – zauważyła Iza – *ktoś ważny obchodzi Srebrne Gody.*

- *Ktoś rzeczywiście bardzo ważny* – odpowiedziałem. – *czy możecie się zaopiekować naszymi wierzchnimi okryciami, bo my musimy usiąść w pierwszej ławce?* - A patrząc na szeroko otwarte oczy Mocarza i Izy, dodałem:

- *To my jesteśmy tymi ważnymi osobami.*

Oboje z Jolą udzielaliśmy się w kościele; ja czytałem Pismo święte, dałem sobie myć nogi w Wielki Czwartek, śpiewałem w chórze, organizowałem Msze za Ojczyznę, razem pomagaliśmy w organizacji wszelkich parafialnych uroczystości, Jola pomagała uczyć religii polskie dzieci, a zatem Proboszcz ks. Tadeusz Błaszczyk zadbał by nasz jubileusz uzyskał należyty wydźwięk na skalę parafialną. Wprawdzie zamówiliśmy Mszę w naszej intencji z dwu-miesięcznym wyprzedzeniem ale nie oczekiwaliśmy aż tak uroczystej oprawy. Kilka tygodni przedtem Piotrek, Arek i Krzysiek Paszek albo wpadali do mnie albo dzwonili i prowokowali nas do opowiadania o naszym pożyciu małżeńskim, a ponieważ jestem z natury gadatliwy, nie mieli większych problemów z wyciągnięciem ode mnie informacji, które wypełniły treść dzisiejszego kazania. Oboje mieliśmy łzy w oczach a Jola popłakała się, gdy ks. Błaszczyk wspominał o naszym rozdarciu, spowodowanym rozstaniem z naszą jedyną córką i z wnuczkami. Msza miała podobny charakter do ślubu, połączona z odnowieniem sakramentu małżeństwa. Wiele osób składających nam życzenia nie mogło uwierzyć, iż je-

steśmy ze sobą aż tak długo.

Wiosną tego roku odwiedził nas Donald Ndolo – mój stryjeczny szwagier czyli mąż Basi z domu Skowron, córki stryja Leonarda – który przyjechał do Stanów w poszukiwaniu pracy. Detroit jest miastem, w którym segregacja rasowa występowała znacznie silniej, niż w innych regionach a przyczyn tego zjawiska nie znam. W każdym razie to właśnie w Detroit dwukrotnie miały miejsce zamieszki na tle rasowym^[116], po których miasto rozpoczęło konsekwentny upadek, biała ludność i businessy prowadzone przez białych zaczęły wynosić się do okolicznych przedmieść. Następową narastająca dezintegracja rasowa i postępujący podział na „białe” i „czarne” rejony metropolii.

Biali nie mogą się pokazać na ulicach zamieszkałych w większości przez czarną ludność a i czarni nie są witani z entuzjazmem na północ od Ósmej Mili wyznaczającej granice Detroit. Oficjalnie zjawisko rasizmu rzekomo nie występuje a w rzeczywistości już od dawna rasizm charakteryzuje się odwróceniem ról ofiar i prześladowanych z czasów niewolnictwa o równe 180°. Jak ktoś nie wierzy to polecam statystyki przestępstw popełnianych przez poszczególne grupy etniczne.

Do końca lat 60-tych w stosunku do osób czarnej rasy oficjalnie używano określenia Murzyn, po angielsku Negro (z łaciny niger lub nigrum). Od momentu coraz częstszego przekręcania

116 Zamieszki w Detroit w 1967 roku – zamieszki rasowe w mieście Detroit (stan Michigan). Zaczęły się rankiem w niedzielę 23 lipca 1967 roku, po policyjnym nalocie na nielegalny nocny bar na rogu 12. Ulicy i Clairmount, w zachodniej części miasta. Starcia policji z klientami baru i ulicznymi gapiami przerodziły się w jedno z najbardziej krwawych i niszczycielskich zamieszek w historii USA. Trwały przez 5 dni, przewyższyły pod względem stopnia przemocy i zniszczeń mienia zamieszki rasowe w Detroit z 1943 roku. Dla stłumienia „rebelii” gubernator George Romney nakazał wejść do Detroit Gwardii Narodowej stanu Michigan, a prezydent Lyndon B. Johnson wysłał tam oddziały armii USA. Bilans to 43 zabitych, 467 rannych, ponad 7200 aresztowań i ponad 2000 spalonych budynków.

słowa Negro na Nigger, to ostatnie określenie zostało uznane za obraźliwe, za przejaw rasizmu i zastąpione black czyli czarny(a). W oficjalnych dokumentach nadal jest w użyciu rasa black, jakkolwiek od ok. 20 lat polityczna poprawność nakazuje używania idiotycznego określenia African-American, przechwyconego również przez polskie środki przekazu jako Afro-Amerykanin(ka). W każdym razie pojawienie się Donalda w naszym towarzystwie, zwłaszcza w kościele, wzbudzało spora sensację. Wydaje mi się, iż katolicycy misjonarze zmarnowali szanse objęcia czarnych opieką duszpasterską poprzez zbyt sztywne reguły modlitwy i liturgii. Czarni bardzo chętnie przyswajali Chrystianizm ale modlą się po swojemu i od samego początku zakładali własne kościoły różnych odmian Baptystów (baptism po angielsku chrzest). Oni podczas modlitwy muszą się wprawić w ekstazę za pomocą rytmicznej muzyki, aktywnego udziału w nabożeństwie, klaskania i tańca. Dlatego nieobecność czarnych w katolickich kościołach (i innych, niedostosowanych do murzyńskiej kultury i upodobań) nie ma nic wspólnego z rasizmem ani z segregacją rasową – oni po prostu modlą się inaczej niż my, a pod względem pobożności wcale nam nie ustępują. Piotrek Kiszczyc zaprosił nas na uroczystość I Komunii św. ich córki Adrianę. Podziękowałem i spytałem, czy możemy przyjść z moim szwagrem, który właśnie do nas przyjechał z Niemiec.

- *Ależ oczywiście, co za pytanie?* – zdziwił się Piotrek.

Gdy weszliśmy z Jolą i z Donaldem do pokoju, w którym odbywało się przyjęcie – zapanowała martwa cisza.

- *Dzień dobry wszystkim, jestem Bolko, to moja żona Jola a to mój szwagier Donald* – przedstawiłem się ponieważ zauważyłem kilka nieznanych mi osób.

- *Dzień dobry* – uklonił się grzecznie Donald – *jestem Do-*

nald, szwagier Bolka.

- *To ty mówisz po polsku?* – zapytano ze zdziwieniem tak wielkim jakby sam fakt mówienia stanowił nadzwyczajne zjawisko.

Donald adoptował się bardzo łatwo, był rozmowny, towarzyski a przy okazji wykształcony, odczytany a język polski opanował na bardzo wysokim poziomie. Z Donaldem oraz z Arkiem Pyzio, jego żoną Marysia i córką Anią, wybraliśmy się do Smoky Mountains National Park (Park Narodowy Dymiące Góry) mieszczącym się u zbiegu Stanów Tennessee i Północna Karolina, korzystając z długiego weekendu na początku maja, rozpoczynając a w zasadzie wznowiając nasz ulubiony sposób spędzania czasu: na łonie natury i pod namiotem. Sezon letni w USA rozpoczyna Memorial Day (Dzień Pamięci) przypadający w ostatni poniedziałek maja albo pierwszy poniedziałek czerwca a kończy Labor Day (Dzień Pracy, którego obchody nie mają nic wspólnego z komunistycznym May Day obchodzonym 1 maja).

Nazwa pochodzi od parującej bez przerwy wilgoci z zalesionych wierzchołków gór, których grzbiety znajdują się na wysokości Tatr a podobne zjawisko zaobserwowałem również w Nowej Zelandii. Camping usytuowany był na terenie rezerwatu indiańskiego Cherokee w Północnej Karolinie a sam rezerwat składał się z części otwartej czyli typowego południowego miasteczka ze sklepami z pamiątkami, „wodzem” ubranym w pióropusz, fotografującym się z turystami za „co łaska” -, oraz części zamkniętej stanowiącej skansen, do którego wstępowało się w określonych godzinach i za określoną opłatą.

Zdziwiło nas, iż na terenie rezerwatu nie można było kupić żadnego alkoholu z piwem włącznie, po które trzeba było jechać 20 mil. Podobno Indianie w większości stają się uzależnieni od alkoholu znacznie szybciej i w znacznie większym stopniu niż przed-

stawiciele innych ras a po pijanemu bywają agresywni nierząd-ko sięgając po broń palną lub nóż. Dla zachowania ich populacji wprowadzono ograniczona prohibicję (dotycząca tylko sprzedaży bez kontroli spożycia) na terenie rezerwatu, a ponieważ większość mieszkańców miała odebrane prawa jazdy za prowadzenie aut po pijanemu, odległość 20 mil była wystarczająca by ograniczyć spożycie piwa, wina i wyrobów monopolowych. Natura nie znosi próżni, jak już wspominałem, dlatego też w miejscowych sklepach najlepiej sprzedającymi się artykułami spożywczymi były cukier i drożdże służące do wyrobu moonshine (dosł. blask księżyca, czyli księżycowa). Po 20 latach byłem ponownie w Cherokee a w międzyczasie miasteczko zmieniło się nie do poznania. Zniknęły parterowe sklepiki, zastąpione centrum handlowym, w którym można nabyć „indiańskie” wyroby Made in China, otoczone wielopietrowymi hotelami, mieszczącymi kasyna. Prawo amerykańskie, ustanowione w purytańskich czasach pierwszych osadników, zwanych Pilgrims (w przybliżeniu odpowiednik pielgrzymów) zabrania zorganizowanego hazardu i prostytucji.

Ponieważ jednak Amerykanie lubią hazard od pokera począwszy, poprzez wszelkie zakłady aż do ruletki, wymyślono, iż prawo to nie obowiązuje Native Americans dawniej zwanych Indianami. Wszelkie kasyna budowane są albo na terenie rezerwatów, gdzie „właścicielami” oficjalnie są szczepy, otrzymujące jakieś ochłapy za firmowanie, albo na statkach wycieczkowych, gdyż prawo obowiązuje tylko na lądzie. Prawna definicja prostytucji oznacza pobieranie wynagrodzenia za świadczenie usług seksualnej natury, natomiast żadne prawo nie zabrania dawania tips (prezentów, napiwków) ze szczerzej sympatii, nie wykluczającej intymnego zbliżenia osób zainteresowanych. W ten sposób i wilk jest syty i owca cała. Nie mam pojęcia jak sprawa ta uregulowana

jest w Sin City (Miasto Grzechu) czyli w Las Vegas – amerykańskiej stolicy hazardu i wszelkiej rozpusty. Kiedyś wybraliśmy się z Donaldem po zakupy, było gorąco i sucho a zatem w drodze powrotnej postanowiliśmy zwilżyć gardła w klimatyzowanym saloonie (po polsku zwanym pabem a kiedyś barem). Wysadziłem Donalda przed wejściem do saloon a sam pojechałem zaparkować Nissana. Donald wszedł do środka, usiadł na stołku przy barze i zwrócił się do bębniacego palcami po blacie barmana:

- *Dwa piwa z beczki poproszę.*

Gdy barman nie przestawał bębnić palcami po blacie, patrząc ponad głową klienta, Donald powtórzył:

- *Dwa Budweissery z beczki poproszę.*

Barman bez słowa wykonał palcami międzynarodowy ruch symbolizujący kasę, na co Donald sięgnął po portmonetkę, gdy tymczasem ja wszedłem, usiadłem obok niego. Była wczesna godzina i w całym saloonie byliśmy jedynymi gośćmi. Po wypiciu przez nas piwa barman bez żadnego znaku z naszej strony napłynął świeże kufle, a postawiwszy je przed nami powiedział:

- *To na mój koszt, bardzo proszę. Ja najmocniej przepraszam, ja nie wiedziałem – bąkał zmieszany - ja nie chciałem ciebie urazić – rzekł zwracając się do Donalda – tylko powiedzcie mi w jakim języku rozmawiacie?*

- *Afrikaans* – odpowiedziałem zanim Donald zdążył otworzyć usta.

- *Jesteśmy z Południowej Afryki, tam obowiązuje apartheid* – podchwycił błyskawicznie Donald – *segregacja rasowa, której nie ma w Ameryce, prawda?*

- *Prawda, prawda* - pokiwał skwapliwie głową barman.

- *Jesteśmy w podróży poślubnej* – dodałem rozochocony drugim piwem i zatrzepotałem zalotnie powiekami, patrząc czule

na mojego szwagra.

- *Ależ tak oczywiście, ja nie mam żadnych uprzedzeń, u mnie każdy kto płaci może pić piwo a wyjątkowym klientom sam stawiam* – tłumaczył się kompletnie ogłupiały barman a my musieliśmy w pośpiechu dopić piwo i wyjść na zewnątrz by móc spokojnie tarzać się ze śmiechu.

Iwonka z Wojtkiem podjęli jeszcze jedną próbę wydostania się z „raju mas pracujących miast i wsi” jak się nazywał obóz krajów „demokracji ludowej” potocznie zwanych Demoludami. Władze PRL prowadziły wówczas podwójną politykę paszportową: z jednej strony ułatwiali wyjazdy na zorganizowane wycieczki, których liczba podczas stanu wojennego wzrosła wielokrotnie, a z drugiej utrudniali łączenie rodzin w przypadkach ucieczki jednego ze współmałżonków. W końcowym okresie agonii systemu, w sytuacji gdy w wyniku fragmentarycznych reform ekonomicznych pojawił się termin bezrobocie, a liczba zdesperowanych młodych ludzi, gotowych siłą zmusić reżim do ustępstw, gwałtownie wzrastała – dawano paszporty każdemu kto o nie wystąpił i zaprzestano obrzydzania wyjazdów występami w telewizji zawiedzionych „córek i synów marnotrawnych”. Na taki masowy exodus żaden kraj, włączając w to USA, nie był przygotowany, obozy uchodźców pękały w szwach a w rezultacie deportacje osób nie spełniających kryteriów uchodźców zaczęły gwałtownie wzrastać. Dzieciaki wybrały się w grudniu 1987 r. cała czwórka: Iwonka, Wojtek, Agnieszka i Ewa, na wycieczkę promową do Danii. Już na pokładzie promu ktoś zażartował:

- *Ciekawe ile osób będzie z nami wracało?*

Później okazało się, że nikt; wszyscy, łącznie z pilotem spotkali się później w obozie przejściowym, z którego rozparcelowano ich do kilkunastu ośrodków dla uchodźców w różnych

zakątkach tego, niewielkiego kraju. Iwonka z Wojtkiem zadzwonili do nas z Kopenhagi radząc się co robić. Z jednej strony, Dania nie posiadała warunków do tymczasowego przechowywania uchodźców emigrujących do USA, Kanady, Australii czy innych poza-europejskich krajów a ponadto przyjmowała bardzo ograniczona liczba uchodźców politycznych i niewiele większą ze względów humanitarnych. Z drugiej strony mieli niemieckie wizy, mogli pojechać do Niemiec gdyby mieli pieniądze na podróż, gdzie mogli od razu starać się o status uchodźców politycznych do USA. Dzieci były bardzo zmęczone wielogodzinna podróżą; pociągiem do świnoujścia a potem promem przez Bałtyk do Kopenhagi. Złożenie paszportów na policji w jakimkolwiek kraju automatycznie zamykało im drogę do dokonania takiego kroku w innym: jak się zdecydowałeś na Danie to tu zostajesz.

Była jeszcze jedna okoliczność decydująca o tym, że zostali w Danii. Wraz z nimi wyjechał również szwagier Piotrka Hałaczkiwicza, (z Piotrkim – nie znając się – spędziłem kilka dni w Białogłęce) a który nie miał niemieckich wiz. Jego siostra Jolka błagała, żeby się z mało zaradnym Jurkiem nie rozłączali, na co przystaliśmy nie zdając sobie sprawy, że popełniamy błąd, który kosztował dobre kilka miesięcy opóźnienia przyjazdu Iwonki z rodziną do nas. Zawadzcy, którzy poprzysięgli mi zemstę za zdemaskowanie ich agenturalnej działalności w Pomoście, szukali wszelkich możliwych okazji by mi zaszkodzić, m.in. poprzez Falkowskiego, którego brat pracował w INS, i złośliwie opóźnił ponad rok uzyskanie przeze mnie obywatelstwa USA. Tymczasem 26 tygodni, podczas których przysługiwał mi zasiłek dla bezrobotnych minęły szybko, jeszcze przez kilka tygodni po mnie otrzymywała czeki z Michigan Employment Security Commission Jola. Wysyłane przeze mnie na wszystkie strony résumé albo pozostawały bez odpowiedzi albo

wywoływały reakcje typowymi listami, zaczynającymi się od słów:

Dear Mr. Skowron, Thank you for your interest of employment with our organization....

Przekonałem się, iż rozpoczęcie od zwrócenia się po nazwisku nie wymagało dalszego czytania, zwłaszcza gdy następny akapit zaczynał się od słowa: *however*, po którym zwykle następowało ugrzecznione uzasadnienie odmowy złożenia mi oferty pracy. Niektóre uzasadnienia budzić mogły nawet wesołość, gdyby nie ponura bezrobotna rzeczywistość, szczególnie, gdy odmowa uzasadniana była moimi zbyt wysokimi kwalifikacjami (*over-qualified to this position*). Inne listy zawierały informację, iż w zasadzie moje kwalifikacje im odpowiadają ale w obecnej chwili nie przewidują utworzenia pozycji mimo, iż firma dała ogłoszenie do gazety w rubryce *Help wanted* (*Pracownicy Poszukiwani*). Często pracodawcy dają ogłoszenia o naborze pracowników w sytuacji gdy poczynają się szemrania na temat podwyżek lub poprawy warunków, dla wyciszenia nastrojów.

Kilkanaście razy byłem wzywany na interview, które albo kończyły się ugrzecznionym listem, z sakramentalnym zwrotem: *Dear Mr. Skowron* i drugim zdaniem rozpoczynającym się od *However..* , albo ostatnią linią dramatu Shakespeare'a „*Hamlet*”. Jola robiła pranie i prasowała koszule u syna polsko-żydowskiego małżeństwa z Łodzi, ja wykonywałem drobne remonty wraz z byłym pracownikiem Chryslera i członkiem Pomostu panem Sobotką i w sumie jakoś wiązaliśmy koniec z końcem. Sytuacja nie była jednak zbyt wesoła zwłaszcza, że musieliśmy pomagać Dzieciakom, którym w duńskim obozie tymbardziej się nie przelewało a ponadto szykować wyposażenie domu na ich przyjazd.

W kwietniu 1988, Piotrek Kiszczyc polecił mi pracę w zlokalizowanej pod adresem 4445 Lawton Street w Detroit odlewni

United Foundry, zatrudniającej samych Polaków, przy cięciu pokryw silników palnikami plazmowymi. (Spojrzałem na Google Map ; dzisiaj w tym miejscu znajduje się kupa gruzów, naprzeciwko wymarłej fabryki. Cała okolica przypomina pustynię, na terenie ponad którą krzyżują się dwie autostrady I-94 oraz I-96) Korpusy te były odlewane w blokach po trzy i należało je rozłączyć przed odesłaniem do innego podwykonawcy, przygotowującego przed wysyłką do zakładu montażu silników. Natężenie strumienia ognia wychodzącego z palnika było tak silne, że w krótkim czasie niszczyło zwykłe robocze buty a zatem musiałem zainwestować w bardziej odporne a przy okazji bardzo drogie obuwie. Płaca nie była oszałamiająca, zaledwie 5\$/godz. , ale z uwagi na 12-godzinne zmiany, miałem sporo over-time, co pozwoliło nam znowu odbić się. Leszek Bak, który dostał lay-off z K-R Automation jeszcze przede mną, rozpoczął inny rodzaj kariery, dość popularny wówczas a USA i Kanadzie czyli praca na kontrakt.

Najdroższym składnikiem każdego produktu jest człowiek i w warunkach ciągłej konkurencji obniżenie kosztów produkcji zawsze zaczyna się od oszczędności w tym zakresie. Poza wynagrodzeniem, które musi być konkurencyjne dla przyciągnięcia najlepszych fachowców, poważnym elementem kosztów osobowych są świadczenia: ubezpieczenie, urlopy, płatne zwolnienia chorobowe, programy emerytalne, dywidendy od akcji itd. W celu redukcji tych kosztów, wiele firm (przedewszystkim dużych korporacji ale nie tylko) nie zatrudnia fachowców bezpośrednio tylko poprzez biura pośredników kontraktowych. Płacą pośrednikowi ryczałtem za pracownika, nie martwiąc się, ani o to jaką część z tej sumy mu kontraktor wypłaci, ani o jego ubezpieczenie, urlop, koszty delegacji itp.

Nierzadko zdarza się, iż przy sąsiednich biurkach pracują nad

tym samym projektem albo dwaj pracownicy zatrudnieni przez dwóch różnych kontraktorów albo jeden od kontraktora a drugi jest pracownikiem firmy macierzystej. Czasami praca na kontrakt stanowi coś w rodzaju „czyśćca”, czyli okresu przejściowego przed daniem oferty wewnątrz firmy z całym dobrodziejstwem inwentarza. Dowiedziałem się, iż w ostatnich latach moda ta dotarła również do Polski. Leszek sobie bardzo prace na kontrakt chwalił, gdyż dzwonił do kontraktora gdy mu się kończyły zasoby gotówkowe, popracował tyle, na ile opiewał kontrakt i brał sobie urlop na własnych warunkach. Elżbieta – żona Leszka miała stałą pracę, w której płaćcia składki ubezpieczeniowe na nich i na dwójkę dzieci. Idąc za radą Leszka rozszerzyłem zakres poszukiwania pracy o biura kontraktowe i tak po miesiącu pracy w United Foundry trafiłem na Engineering and Design Service, prowadzonej przez Hindusa o bardzo długim nazwisku, zlokalizowanej w Southfield przy 12 Mili. Ze wszystkich ofert, jakie miał do zaoferowania Jawaharlal – jak go nazywałem – wybrałem położoną najbliżej Detroit w miasteczku Benton Harbor firmę Digital Interface Products, zajmującą się skomputeryzowaną automatyką przemysłową.

Do DIP zjeżdżałem z autostrady I-94 na zjazd nr 29, podczas gdy wjeżdżałem na nią zjazdem 232. W obu przypadkach do autostrady miałem nie dalej, niż dwie mile, czyli cała odległość z domu do pracy wynosiła ok. 210 mil (330km), którą pokonywałem w ciągu trzech godzin. Na amerykańskich autostradach poszczególne zjazdy numerowane są odpowiednio do odległości od początku, przeważnie od granicy Stanu. Zjazd 29 oznaczał, iż usytuowany jest 29 mil od granicy ze Stanem Indiana. Wytargowałem stawkę 14\$/godz., plus 150\$ tygodniowo na koszty dojazdu i zakwaterowania, co ledwie pokrywało rzeczywiste wydatki.

Od poniedziałku do piątku mieszkalem w skromnym mote-

liku, w pokoju wyposażonym m.in. w kuchnię i lodówkę, za który płaciłem 100\$ tygodniowo. Mój Nissan Sentra palił ok 30 mil z galona i nie licząc kosztów eksploatacji wychodziłem na swoje. Wówczas telefony komórkowe stanowiły przedmiot tak luksusowy, iż stać na niego było tylko szefów korporacji i gwiazdy filmowe, internet dopiero zaczynał raczkować a zatem kontakt z Jolą miałem wyłącznie przez automaty telefoniczne, znajdujące się niemal przy każdym większym skrzyżowaniu. Lokalne rozmowy kosztowały 10c za minutę a zamiejscowe zaczynały się od 25c za jednostkę, czyli ok. 20 sekund. Po zakończeniu jednostki odzywał się głos operatorki: „proszę wrzucić monetę” i po wrzuceniu 5c mogłem nieprzerwanie kontynuować rozmowę. Po zakończeniu i po odwieszeniu słuchawki operatorka dzwoniła domagając się zapłaty różnicy, ale w tym momencie ja zwykle dawałem „w długą”. Zaznaczam przy tym, iż automaty były tak ustawione, iż można było z nich korzystać nie wychodząc z auta. Wiem, że to było bardzo nieładnie, ale dawno już zdążyłem się z tego wypowiadać a ponadto, AT&T (które przejęło Michigan Bell po jego upadku) okradło mnie później na takie sumy, iż winy moje odpokutowałem z nawiązką.

Digital Interface Products oferował wyłącznie skomputeryzowane systemy sterowania i automatyki, co wówczas stanowiło kolejną generację postępu po PLC (programmable logic controllers, po polsku sterowniki). Moja część projektu sterowania oczyszczalnią ścieków w pobliżu Houston w Teksasie, jako jedynej w zespole, posiadającego doświadczenie z PLC, polegała na konwersji programu zapisanego w bramkach logicznych na układ regulatora PID^[117] w oparciu o najnowszy sterownik Allen-Bradley PLC-5. Moja

¹¹⁷ Regulator PID (regulator proporcjonalno-całkująco-różniczkujący, ang. proportional-integral-derivative controller) – regulator stosowany w układach regulacji składający się z trzech członów: proporcjonalnego, całkującego

wiedza w tej materii niewiele wówczas wybiegała poza kwalifikacje przeciętnych zjadaczy chleba czytających ten tekst, a zatem większość czasu po pracy musiałem spędzać między biblioteką a dostawcą oprogramowania, które w tamtych czasach przychodziło wraz z obszerną literaturą. W każdym razie diabeł nie okazał się aż tak straszny jak go malowano i z moją częścią projektu poradziłem sobie w ciągu 6-ciu tygodni, ale zamiast pochwały za skończenie przed terminem, podziękowano mi wraz z obietnicą, iż mam u nich miejsce w przyszłości. Hindus na razie nic nie miał w okolicy a kontrakty na dalszą odległość mnie nie interesowały.

Od momentu mojego uwięzienia przed siedmiu laty oboje z Jolą źle znosiliśmy rozstania, a poza tym prowadzenie dwóch domów było kosztowne. Straciłem 22-miesięczną ciągłość zatrudnienia wymaganą przy ubieganiu o unemployment compensation (zasiłek dla bezrobotnych) i trzeba było sobie radzić na własną rękę. Miałem zawód, miałem narzędzia, wystarczyło tylko zawiązać sieć kontaktów zainwestować w reklamę i brać się za robotę najpierw wykonałem piwnice zagospodarowując ją na pomieszczenie mieszkalne, bar, warsztat, drugą łazienkę i pralnię, przez co zyskaliśmy dodatkowa powierzchnie mieszkalną. Dom był parterowy z powierzchnią mieszkalną 1600 stóp kwadratowych (148m²) a dodatkowy living room (salon), połączony z barkiem i pomieszczeniem, które można wykorzystać na pokój gościnny, dodawał do tej powierzchni ok. 50%. Arek Pyzio również wykończył piwnicę w swoim domu w Warren i obaj na tym dobrze wyszliśmy. Nasz dom w ciągu roku zyskał ponad 12 tys. \$ na wartości co pozwoliło nam szukać następnego w wyższym przedziale. Oczywiście bardzo nam się nasz dom w Roseville podobał, był znakomicie zlokalizo-

i różniczkującego. Najczęściej jego celem jest utrzymanie wartości wyjściowej na określonym poziomie, zwanym wartością zadaną.

wany, w pobliżu autostrady, którą można się było przemieszczać w dowolne punkty metropolii w stosunkowo krótkim czasie i nie mieliśmy najmniejszej ochoty na kolejną przeprowadzkę. Tymczasem w Ameryce nie mieszkasz tam gdzie chcesz, tylko tam, gdzie masz pracę. Zarabiałem w ciągu jednego tygodnia czasami do 1000\$ a przez dwa następne ledwie 200\$, albo nic. Wciąż jeszcze załatwiałem sprawę otrzymania licencji elektryka bez konieczności kończenia college (na poziomie polskiego technikum) i jeździłem kilkakrotnie w tym celu do stolicy Stanu Lansing.

Otrzymanie licencji pozwoliłoby mi na oficjalną rejestrację businessu instalacji domowych i przemysłowych a w konsekwencji pełne uniezależnienie się od kaprysów pracodawców, jako że nawet w okresie zastoju elektrycy na brak zamówień nie narzekają. Równolegle szukałem pracy na stanowisku inżyniera i od połowy roku coraz częściej byłem wzywany na rozmowy, za każdym razem nabierając nowego doświadczenia.

Na początku września przyjechał z Paryża do Stanów Trufel, czyli Leszek Truchlewski – kolega spod 19-ki w Białogórze, wraz z grupą harcerzy, odbywających podróż vanem naokoło Ameryki Północnej. Spotkaliśmy się w seminarium duchownym w Orchard Lake, gdzie mieli nocleg zapewniony dzięki opiekunowi harcerzy księdzu prałatowi Zdzisławowi Peszkowskiemu, cudem ocalałemu od katyńskiej masakry. Trufel nie mógł się nadziwić standardowi naszego życia, gdy przedstawiliśmy mu się jako oficjalnie bezrobotni. Pracował w paryskim wydawnictwie Spotkania, utrzymując z tego Basię i parę bliźniaczków, przywożąc nam sporo wydawnictw w celu dystrybucji. Ja zatrzymałem parę książek wzbogacając naszą bibliotekę a Piotrek zawarł z Truflem umowę na dystrybucję większych ilości, które później lokował po polskich księgarniach i bibliotekach.

Z GÓRKI

Jezus powiedział kiedyś: „co dasz bliźniemu to do ciebie wróci w dwójnasób”. Trufel spytał czy znam kogoś bogatego, kto mógłby ich sponsorować - wskazałem Janusza Subczynskiego ale ponieważ nie zwrócił się do niego wprost, Janusz aluzji nie chwycił.

- *Wiele wam dać nie mogę ale stówą mogę bliźniego w potrzebie poratować* – powiedziałem wręczając mu 100 dolarów.

Nie minęło kilka dni gdy dostałem odpowiedź na moje resume z Eaton Corporation, Engine Components Division w Saginaw, Michigan, 100 mil na północ od Detroit. Saginaw, miasto liczące ok 60 tys. mieszkańców – w całym county (hrabstwie) o tej samej nazwie 200 tysięcy - leży nad dwoma rzekami Saginaw i Tittabawassee Reiver, płynącymi przez miasto w dwóch przeciwnych kierunkach. Na południe od miasta Tittabawassee wpada do Saginaw River, która ok 20 mil na północ wpada do trzeciego pod względem

powierzchni jeziora na swiecie Huron. Na rzece Saginaw odbywaja się doroczne, zimowe konkursy odłowu sandacza (ang. Walleye) przez otwory wywiercone w lodzie. Po degustacji w Scottish Inn uznałem sandacza z najsmaczniejszą rybę świata na równi z tilapią. Z bardzo kapryśnej Tittabawassee, która niemal rokrocznie wylewa, można wyłowić łososa, po uzyskaniu limitowanego zezwolenia. Nad zatoką Saginaw Bay leży miasto Bay City – miejsce urodzenia piosenkarki Madonny Louise Chiccone znanej jako Madonna, a na północny zachód od Saginaw Midland – siedziba Dow Chemical oraz lotniska o nazwie Tri-City Airport (dla uniknięcia pomyłki z innym lotniskiem o nazwie Tr-City w Tennessee, lotnisko zlokalizowane we Freeland nazwane zostało w 1994 roku MBS International Airport od pierwszych liter miast Midland, Bay City, Saginaw) . W skład Metropolii Saginaw wchodzi również Saginaw Township, Freeland, Shields i Thomas Township oraz dwie dzielnice zamieszkałe głównie przez czarnych - Bridgeport i Buena Vista.

W Saginaw urodził się Stevie Wonder, niewidomy wokalista popowy, kompozytor, producent i multiinstrumentalista. Urodziła się tam także Serena Williams, prowadząca w rankingu WTC tenisistka, młodsza siostra Venus Williams. Urodził się tu również wrestler Marcus Cor Von.

Po Interview trwającym cały dzień a byłem przesłuchiwany kolejno przez Larry Jonesa – pełniącego funkcję Manufacturing Engineering Manager, Gary Dopiraka – Human Resources Manager (szef kadr), Harry Nawrock’a – Project Engineering Supervisor oraz Gary Harvey’a – inżyniera elektryka, mojego potencjalnego przełożonego - zadzwonił do mnie Leszek Bak informując, że był w mojej sprawie przesłuchiwany telefonicznie. Widocznie musiał mi udzielić dobrych referencji a ponadto sprawdzano mnie u Karola Gutowskiego – inżyniera pracującego wówczas w Detroit

Edison, który udzielił mi referencji jako pierwszy. W każdym razie otrzymałem wkrótce list z Saginaw, zaczynający się od słów: Dear Bolko, co oznaczało, że traktują mnie już jak swego pracownika, z zaproszeniem na kolejne interview, stanowiące targowanie się o warunki. Otrzymałem na początek pensję 36 000\$ rocznie plus 3000\$ ryczałt jednorazowo na zagospodarowanie, z zaliczkowa wypłatą 1500\$ a pozostałą sumę po osiedleniu w Saginaw. Po 12 miesiącach przysługiwało mi 10 dni urlopu a po trzech latach 15. Do tego dochodziło płatne zwolnienie chorobowe w ilości 15 dni rocznie, łączony program emerytalny plus możliwość wykupowania udziałów korporacji, również łączona z pracodawcą do 6%. To znaczy, gdybym wpłacał na ten fundusz 6% mojego wynagrodzenia to firma dokładała do tego do 6%, w zależności od sytuacji akcji Eatona na rynku. Miałem już 46 lat i niezależna od Social Security Administration emerytura miała dla mnie kolosalne znaczenie. 18 września 1988 roku, po załatwieniu formalności w Human Resources (w kadrach) Harry Nawrock oprowadził mnie po zakładzie przedstawiając mnie kolejno wszystkim. Po przedstawieniu, każda poznana osoba przedstawiała się z imienia i dodawała:

- *Welcome on the board.* (dosł. Witaj na pokładzie – klasyczne powitanie nowicjuszy)

Już następnego dnia wszyscy mnie znali zwracając się do mnie po imieniu a mnie zajęło prawie rok zamamięwanie imion wszystkich pracowników w liczbie niecałe tysiąc. Po obchodzie został mi przedstawiony Rick Boswell – real estate agent (pośrednik kupna/sprzedaży nieruchomości), reprezentujący ogólno-amerykańską firmę Remax, który zaznajomił mnie z okolicą, przedstawiając aktualne oferty i umawiając się ze mną i z Jolą na kolejny weekend w celu dokonania wstępnego rekonesansu. Oczywiście zarówno kadry jak i kierownictwo nie dopuszczało innej możliwo-

ści zarzucenia przeze mnie kotwicy w Saginaw, niż kupno domu.

Eaton Corporation to ogromna firma powstała na początku XX wieku, wówczas zatrudniającą ponad 200 tys. ludzi w kilkunastu krajach, m.in. w Polsce. Powstała z połączenia fabryki liczników energii elektrycznej Eaton, z wytwórnią zamków do drzwi Yale, początkowo używając nazwy Eaton-Yale. Asortyment produktów, począwszy od zamków, poprzez elektryczne urządzenia domowe, części samochodowe, aż do transformatorów mocy. W okresie mojego zatrudnienia Eaton przejął elektronicznego potentata Cutler-Hammer, produkującego m.in. konkurencyjne dla Allen-Bradley'a sterowniki, a na początku lat 90-tych innego potentata z dziedziny elektrycznych urządzeń wielkiej mocy Westinghouse. W Radzie Nadzorczej Eaton Corporation, której siedziba mieściła się w Cleveland, Ohio, zasiadał m.in. kosmonauta Neil Armstrong^[118], z którym miałem zaszczyt wymienić uścisk dłoni, gdy przybył do nas na wręczenie nagrody za zajęcie przez I-miejsca w konkursie jakości. Głównym produktem Saginaw Plant były popychacze hydrauliczne do zaworów silników (obecnie zastąpione przez dużo lżejsze i cichsze regulatory luzu).

Głównymi klientami naszych wyrobów były Ford Motor Company i Chrysler Corporation. Produkowaliśmy również, przez okres niewiele dłuższy niż rok, niewielką serię regulatorów dla Renault i popychaczy dla Volkswagena i Fiata (m.in. dla FSM w Tychach). Kilkakrotnie miałem okazję uczestniczyć w tele-konferencjach z polskimi klientami, jako tłumacz. Przydzielony zostałem do grupy Project Engineering, której szefem był Harry Nawrock, z którym do tej pory wymieniamy życzenia na Boże Narodzenie, a oprócz

118 Neil Alden Armstrong (ur. 5 sierpnia 1930 w Wapakoneta, zm. 25 sierpnia 2012 w Cincinnati) – amerykański astronauta, dowódca misji Apollo 11. Pierwszy człowiek, który stanął na Księżycu. Jest autorem słynnego zdania „To jest mały krok człowieka, ale wielki skok dla ludzkości”

Gary Harvey'a, mojego bezpośredniego przełożonego na stanowisku inżyniera-elektryka zatrudniona była świeża absolwentka Saginaw Valley University, 22-letnia wówczas Andrea Stasser. Andrea wkrótce stała się obiektem miłości inżyniera w dziale jakości Ricka Baldwina – z pełną wzajemnością zresztą, który porzucił dla niej żonę – zatrudnioną na produkcji.

Po zakończeniu sprawy rozwodowej Andrea i Rick pobrali się, mają syna Christophera, który dawno już przerósł oboje i w przyszłym roku rozpoczyna studia na University of Michigan w Ann Arbor.

Do naszych zadań należało uruchamianie nowych maszyn, serwis istniejących, projektowanie, nadzór nad instalacją i rozruch maszyn ładujących, sortujących i odbierających obrabiane produkty. Podlegali nam również elektrycy z grupy projektowej a ponadto na bieżąco prowadziliśmy doradztwo techniczne dla produkcji i utrzymania ruchu czyli maintenance. Z uwagi na moje energetyczne kwalifikacje zajmowałem się również konserwacją, przeglądami technicznymi oraz nadzorem usuwania awarii linii wysokiego napięcia zasilającej zakład, rozdzielni, wyłączników mocy a także pieców łukowych i jednego indukcyjnego w odlewni. Zakład pracował na trzy zmiany i często zdarzały się awarie maszyn poza normalnymi godzinami pracy.

Na zmianę z Gary'm i Andrea byliśmy on call, czyli pod telefonem przez całą dobę. Mimo, iż byliśmy pracownikami kategorii salary (na pensji), dopóki nie zajmowaliśmy kierowniczych stanowisk, przysługiwały nam godziny nadliczbowe za pozostawanie dłużej w celu uruchomienia maszyny lub przyjazd do zakładu w środku nocy i udzielenie pomocy dużurnemu elektrykowi w usunięciu awarii, czasami dokonania drobnych zmian parametrów programu, regulacji urządzeń pomiarowych, zabezpieczających, itp.

W USA nie ma podziału na pracowników fizycznych i umysłowych tylko hourly (godzinowych) i salary. Jedni otrzymują wypłatę co tydzień, drudzy co dwa tygodnie. Jedni są zrzeszeni w związkach zawodowych, drudzy nie. Związki zawodowe były na pewno konieczne we wczesnym okresie rozwoju kapitalizmu. To dzięki związkom wywalczony został najpierw 48, 46, a później 40-godzinny tydzień pracy, premie za godziny nadliczbowe, płatne urlopy i zwolnienia chorobowe, fundusze emerytalne, ubezpieczenie zdrowotne, ochrona przed zwolnieniem z przyczyn innych niż naturalne (redukcja z powodu spowolnienia zamówień, zamknięcie zakładu, uchybienia dyscyplinarne, niska wydajność), dyskryminacja z uwagi na wiek, płeć, rasę czy przekonania. Wszystkie te przywileje zostały ujęte w ramy prawne i związkom zawodowym pozostał nadzór nad przestrzeganiem tych praw.

Tymczasem potencjał, jakim dysponują związki w postaci broni strajkowej jest zbyt silny by nie został dostrzeżony i wykorzystany przez mafię, która opanowała kieirownictwa wszystkich większych central związkowych z UAW^[119] i AFL-CIO na czele. O kontrolowaniu związków zawodowych przez mafię pisał Mario Puzo

119 The International Union, United Automobile, Aerospace and Agricultural Implement Workers of America, better known as the United Automobile Workers (UAW), związek zawodowy reprezentujący pracowników w Stanach Zjednoczonych, Puerto Rico i w kraju Kanadzie. Założony jako część lewicowego Kongresu Organizacji Przemysłowych (CIO) w 1930 roku, UAW gwałtownie wzrosła od 1936 do 1950 roku. Pod kierownictwem Waltera Reuthera (prezes 1946/70), odgrywa ważną rolę w liberalnego skrzydła Partii Demokratycznej, w tym praw obywatelskich i pro-komunistycznych ruchów. UAW był szczególnie znany ze zdobywania wysokich płac i emerytur dla pracowników przemysłu samochodowego, ale nie był w stanie narzucić powstającym na Południu Stanów zakładom produkującym zagraniczne samochody i po roku 1970 zaczął odnotowywać znaczny spadek członkostwa. Od kilkunastu lat zrzeszony z AFL-CIO.

American Federation of Labor and Congress of Industrial Organizations (AFL-CIO) – największa amerykańska centrala związkowa, zrzesza 54 związki zawodowe i 10 mln pracowników.

w powieści „Ojciec chrzestny” i nie była to bynajmniej fantazja literacka. Nieprzypadkowo terminy zawierania i odnawiania kontraktów w głównych trzech producentach samochodów nie nakładają się na siebie.

Zagrożenie strajkiem towarzyszące zwykle odnawianiu kontraktu w jednym z Wielkiej Trójki, wywołuje gwałtowne wysyłanie na rynek samochodów z dwóch pozostałych, wymuszając ustępstwa bądź doprowadzając do spadku zainteresowania klientów ich modelami. Zyskują na tym niemal wyłącznie „rodziny” mafijne otrzymujące haracz od jednych i prowizje za osłabienie konkurenta od pozostałych. Tracą pracownicy, gdyż mimo wywalczenia podwyżek, następuje spadek zainteresowania ich modelami i w konsekwencji redukcje a nawet zamykanie poszczególnych zakładów. Myśląc część związkowców widzi zagrożenie ale nie ma nic do powiedzenia, gdyż członkostwo w UAW jest obowiązkowe we wszystkich zakładach na północ od Ohio River a wszelkie decyzje o sposobie prowadzenia negocjacji, wysuwania i obrony żądań zapadają na szczeblu ścisłego kierownictwa centrali. Prawo obowiązujące w Południowych Stanach (Tennessee, Kentucky, obie Karoliny, Georgia, Alabama, Floryda, Mississippi i Missouri) zakłada dowolność przystępowania do związków i w rezultacie, na miejsce zamkniętych zakładów na północy otwierane są nowe na Południu. Tak m.in. powstał Saturn, który wyrodził się z General Motors, z głównym zakładem w Tennessee, produkujący wysokiej jakości, stosunkowo niedrogie i dobrze sprzedające się samochody osobowe i pod koniec również SUV.

Pod naciskiem związków, kontrolujących wybory kandydatów z Partii Demokratycznej prezydent Obama kazał zamknąć produkcję Saturna w ramach swoiście pojętej „oszczędności” z początkiem 2011 roku. Związki wciąż blokują przeniesienie zakładów

Boeinga z Seattle w Stanie Waszyngton do Południowej Karoliny, co może mieć niebagatelny wpływ na upadek tego monopolisty w produkcji samolotów pasażerskich na rynku amerykańskim. Udziałowcy Europejskiego Airbusa i brazylijskiego Embrarera tylko zacierają ręce, dopingując amerykańskie związki. Prawa obowiązujące w zakładach ze związkami (unionized plants) preferują obiboków i malkontentów, których chroni t.zw. seniority czyli staż pracy.

Pewnego razu działacz związkowy wyjechał do Chicago w delegację a wieczorem udał się do zakładu o niezwykłej reputacji, dla uwolnienia od całodziennych stressów. Natychmiast po przekroczeniu progu przybytku grzechu zapytał Madame:

- *Czy macie związek zawodowy?*

- *Nie* – odpowiedziała Madame.

- *Ile kosztuje usługa?*

- *100\$ za godzinę.*

- *Ile z tego ma panienska?* – zapytał amerykański odpowiednik Wałęsy.

- *50\$.*

- *A co się dzieje z resztą?*

- *Zatrzymujemy na pokrycie kosztów utrzymania instytucji, podatki i ochronę.*

- *To straszny wyzysk* – odpowiedział działacz związkowy, zapisując adres w celu złożenia późniejszego donosu i wychodząc z najwyższym oburzeniem.

W następnych kilku agencjach sytuacja się powtórzyła a stawki były podobne wraz z podziałem środków i zysków. Wreszcie szczęście uśmiechnęło się do poszukiwacza wrażeń, gdyż w kolejnym, nieprywatnym domu na pytanie o związki uzyskał odpowiedź twierdzącą.

- *Stanowicie wzór na całe Chicago dla wszystkich wyzyskujących i krwiopiczów* – ucieszył się – *a ile u was kosztuje usługa?*
– zapytał.

- *150\$ za godzinę* – usłyszał w odpowiedzi.

- *Strasznie drogo* – zdziwił się – *a ile z tego otrzymuje panienka?*

50\$

A co się dzieje z resztą?

50\$ idzie na pokrycie kosztów utrzymania, ubezpieczenie, ochronę a 50\$ potrącamy na składki związkowe i kampanię prezydenta Obamy.

- *A jeśli tak to doskonale* – dżentleman uiścił opłatę i udał się za Madame do pomieszczenia za przepierzeniem, gdzie czekała na niego pomarszczona, przygarbiona dama w zaawansowanym wieku i zdeformowanej figurze.

- *Przepraszam, ale ja wolałbym nieco młodszą i bardziej urodziwą panienkę* – zaczął się targować szlachetny obrońca praw dziewcząt.

- *Niestety* – z czarującym uśmiechem wyjaśniła Madame – *ona ma seniority i w związku z tym pierwszeństwo wyboru klienta. Miłej zabawy, gołąbeczki.*

Czasami zdarzało mnie się pracować cały dzień z jednym elektrykiem i mechanikiem, do zakończenia brakowało jednej, dwóch godzin ale w celu zatrzymania ich po godzinach musiałem obejść wszystkich, którzy legitymowali się dłuższym stażem pracy i albo mi odmówili i mogliśmy pracę kontynuować, albo musiałem tłumaczyć wszystko od początku tym z seniority. Gdybym tego obowiązku nie dokonał, to pracownik z wyższym seniority miał prawo ubiegać się – i ubiegał – o back pay czyli o wynagrodzenie za nieprzepracowane godziny nadliczbowe, czyli za jedną robotę

płaciło się podwójnie.

Nieraz zdarzało się, że podczas usuwania awarii operator maszyny siedział, czytając gazetę a w momencie gdy była gotowa do uruchomienia przypominał sobie, że nie wykorzystał break time czyli należnej, 15-minutowej przerwy. Nie miałem prawa otworzyć samodzielnie szaf sterowniczych w celu podłączenia komputera, zawierającego program, tylko musiałem odszukać elektryka mimo, iż nierzadko chodziło tylko o załadowanie programu, sprawdzenie parametrów, czy drobna modyfikację. Od pierwszego dnia pracy pouczono mnie, bym ze związkami nie zadzierał, krytyczne komentarze zachował dla siebie i za wszelką cenę unikał sytuacji prowadzących do postępowania arbitrażowego, niemal zawsze przegrywanego przez pracodawcę. Nietrudno wyliczyć, iż na taki wzrost nieuzasadnionych kosztów tylko czekali konkurenci, umieszczeni cały czas na liście naszych klientów. W celu obniżenia kosztów kierownictwo naciskało na personel inżynierski o forsowanie automatyzacji gdzie tylko się dało w celu redukcji zatrudnienia.

Gdy rozpoczynałem pracę w Saginaw Plant, zatrudnienie wynosiło ok 1000 osób a w 10 lat później spadło poniżej 500, przy czym personel inżynierski wzrósł w tym samym czasie dwukrotnie. Nasz zespół zwiększył się o dwóch inżynierów; początkowo byli to Michael Jacobs – syn kierownika narzędziowni i Bill Smith, Kanadyjczyk zatrudniony w ramach programu NAFTA^[120]. Obaj póź-

120 NAFTA (ang. North American Free Trade Agreement) – Północnoamerykański Układ Wolnego Handlu lub Północnoamerykańska Strefa Wolnego Handlu – umowa zawarta pomiędzy USA, Kanadą i Meksykiem, tworząca pomiędzy tymi państwami strefę wolnego handlu.

W przeciwieństwie do Unii Europejskiej NAFTA nie tworzy ponadpaństwowych ciał rządowych, a jej prawo nie jest nadrzędne w stosunku do prawa narodowego. Kraje należące do NAFTA zniosły stawki celne w handlu wzajemnym, zachowując jednak autonomiczne stawki celne w handlu z krajami trzecimi.

niej przenieśli się do innego zakładu Eatona w Roxboro w Północnej Karolinie (ja niestety przegapiłem okazję) a ich miejsce zajęli Wietnamczyk Thi Vu Pham oraz facet, którego nazwałem Fat Boy (Grubas) a prawdziwego nazwiska zapomniałem. Niecały miesiąc po rozpoczęciu pracy w Eaton Corp. otrzymałem list z Ford Motor Company, zakład montażowy w Cleveland, Ohio, zapraszający mnie na interview. Wziąłem dzień wolny i pojechałem a będąc całkowicie rozluźniony dowiadczaniem w poprzednich sytuacjach oraz zapewnioną pracą, wypadłem tak dobrze, że złożono mi ofertę pracy.

Gdyby ktoś pięć lat temu przepowiedział, że będę miał ofertę pracy na stanowisku inżyniera u Forda i ją odrzucił, to bym mu doradził, żeby wytrzeźwiał. Warunki, które oferowano mi u Forda były podobne do tych, które już miałem w Eaton, gdzie musiałbym zwrócić 1500\$ zaliczki na poczet kosztów przeprowadzki. Ford oferował podobną sumę wynagrodzenia a koszty przeprowadzki byłyby znacznie wyższe z uwagi na odległość; z Roseville do Saginaw jest ok. 100 mil a do Cleveland dwa razy dalej w innym kierunku. Kadrówka, która rozmawiała ze mną przez telefon nie mogła uwierzyć, że propozycję tą odrzucałem ale z drugiej strony u Forda pracownikom salary nie przysługiwała premia za godziny nadliczbowe a oferta płacowa była na tym samym poziomie. Wreszcie powiedziałem: „jak zaproponujecie 50 tysięcy to jestem wasz” ale w tamtym okresie była to suma, na którą nawet Ford sobie nie mógł pozwolić. Pensja Senatora wynosiła wówczas 60 tysięcy a prezydenta 120.

W lutym 1988 roku Iwonka z Wojtkiem zawarli związek małżeński w urzędzie Komuny Hammel w Danii. Pośleliśmy im prezent

¹ Porozumienie NAFTA weszło w życie 1 stycznia 1994.

w gotówce wraz z życzeniami jaknajszybszego połączenia, żałując, że uroczystość ta odbyła się bez udziału ich rodziców. Ojciec Wojtka osierocił go gdy miał 12 lat ale w Polsce mieszkała jego mama Danuta.

Sytuacja w obozie uchodźców zaczęła się dla Polaków komplikować. Rozpoczęły się pierwsze od momentu wprowadzenia stanu wojennego, rozmowy między przedstawicielami ówczesnych władz a opozycją, po podjęciu przez Senat USA uchwały obalającej umowy jałtańskiej, z Moskwy nadchodziły sygnały świadczące o nieingerencji w wewnętrzne sprawy Demoludów, zaprzestano jawnych represji wobec opozycji, zwolniono wszystkich więźniów politycznych. Mieszkańcy obozów dla uchodźców coraz mieli coraz mniej argumentów na przekonanie urzędników imigracyjnych, iż po powrocie do kraju spotkają ich prześladowania. Jeżeli ktoś nie zakwalifikował się na pozostanie w Danii ze względów humanitarnych to musiał albo starać się w innym kraju albo oczekiwać na deportację. Iwonka z Wojtkiem z jednej strony przedstawiali posyłane przeze mnie „dowody” na zaangażowanie w Pomoście, który wciąż znajdował się na liście organizacji, z kontakt z którymi groziło w Polsce więzienie.

Z drugiej strony starali się o pobyt ze względów humanitarnych, którego argumenty zostały wzmocnione, gdy Iwonka zaszła w ciążę. W sytuacji, gdy argumenty przemawiające za emigracją do USA ze względów politycznych stawały się coraz słabsze, staraliśmy się przekierunkować na łączenie rodzin. W tym celu jednak osoba zapraszająca, którą byłem ja, ponieważ posiadałem stałą pracę, musiała posiadać obywatelstwo amerykańskie. Tymczasem ta sprawa z niezrozumiałych dla mnie względów zaczęła się komplikować. Najpierw Jola otrzymała wezwanie do złożenia egzaminu na obywatelstwo, gdy ja zostałem wezwany do INS w Detroit w

innym terminie w celu ponownego złożenia przysięgi, iż wszystko, co napisałem w dokumentach jest zgodne z prawdą, z konsekwencją aresztowania za składanie fałszywych zeznań. Gdy powtórzyłem z uniesioną prawą ręką przysięgę zakończoną słowami: „tak mi dopomóż Bóg” , przesłuchujący mnie urzędnik zapytał.

Na pytanie: „czy byłeś kiedykolwiek aresztowany za złamanie jakiegokolwiek prawa lub przepisu (any law or ordinance)” odpowiedziałeś NIE. Czy podtrzymujesz tą odpowiedź?

Tak – odpowiedziałem.

Z posiadanych przez nas informacji wynika, że byłeś internowany za złamanie prawa stanu wojennego. Czy to prawda?

Tak – potwierdziłem.

W takim razie skłamałeś przynajmniej raz.

Nie, prosze pana – odpowiedziałem. Czy mogę wyjaśnić?

Tak proszę tylko szybko, bo nie mamy zbyt wiele czasu – odpowiedział drugi z przesłuchujących, wymownie oglądając się na drzwi, skąd mógł wezwać imigracyjnego policjanta.

Po pierwsze, „prawo” stanu wojennego nie jest żadnym prawem tylko bezprawiem, nie uznanym jako prawo przez administrację a w tym osobiście przez prezydenta Ronalda Reagana – zacząłem.

Po drugie, to właśnie fakt internowania stanowił podstawę do udzielenia mi statusu uchodźcy politycznego w Stanach Zjednoczonych Ameryki - kontynuowałem.

Po trzecie wreszcie, „Ojciec” Stanów Zjednoczonych George Washington złamał nie tylko prawo ale również przysięgę na wierność koronie brytyjskiej otwierając drogę wszystkim prześladowanym z powodów politycznych - zakończyłem.

Zapadło kłopotliwe milczenie, moim rozmówcom wyraźnie zabrakło argumentów na moje, logiczne wywody. Musiało do nich

dotrzec, że ktoś ich wpuścił w maliny, bo po krótkiej naradzie jeden z nich powiedział:

Napisz to wszystko w oficjalnym liście i wyślij do nas pocztą. Ja mogę napisać to teraz, po co czekać?

Nie. Masz wysłać pocztą, koniec rozmowy na dzisiaj – uciął krótko wyraźnie zawiedziony urzędnik.

Opuszczając pomieszczenia biurowe Immigration, spojrzałem na listę pracowników, na której rzuciło mnie się w oczy nazwisko FALKOWSKI. Wiedziałem, że brat Józefa Falkowskiego, który na mój wniosek został usunięty z Pomostu, pracuje w tym budynku i wszystko stało się jasne. To jeszcze nie miał być koniec kreciej działalności spółki Falkowski-Poetschke-Zawadzcy. Minał co najmniej miesiąc od wysłania do INS listu, w którym powtórzyłem bardziej urzędowym językiem wszystko, co zeznałem, kiedy dostałem kolejne wezwanie, tym razem już na złożenie egzaminu ze znajomości języka oraz historii, geografii i struktury politycznej Ameryki. Przygotowany byłem do egzaminu nieźle i o wynik byłem spokojny. Jola trafiła na egzaminatorkę, która zadała jej dosłownie trzy pytania a mój okazał się być służbistą i trochęmnie pomaglował. Egzamin z umiejętności czytania polegał na przeczytaniu akapitu w gazecie a pisemny na napisaniu podyktowanego zdania: *Detroit River separates two counties* (rzeka Detroit rozdziela dwa kraje). Następnie zadał mi pytania z historii oraz systemu władzy w USA, o ilość senatorów, sposób ustalania liczby członków kongresu oraz o nazwiska senatorów Stanu Michigan i kongresmana z mojego okręgu. Zaimponowałem mu znajomością historii a przede wszystkim okolicznościami, które doprowadziły do wojny secesyjnej. Większość Amerykanów wie tylko tyle, iż w wojnie tej chodziło o zniesienie niewolnictwa, co stanowiło pretekst i produkt uboczny a nie przyczynę. Na moją uwagę, iż mieliśmy z Jola wy-

znaczone dwa różne terminy mieszkając ponad 150 mil od Detroit, urzędnik obiecał iż dopilnuje, by wyznaczyc nam tą sama datę zaprzysiężenia. Później okazało się, że nie dopilnował i Falkowski znów coś pochachmęcił, bo nie tylko składaliśmy przysięgę w różnych terminach to na wezwaniu przekreślona była godzina rozpoczęcia i długopisem wpisana o jedną godzinę późniejsza.

Po kilku wizytach Joli w Saginaw, gdzie ze względów oszczędnościowch mieszkalem w prymitywnym moteliku, zdecydowaliśmy się wreszcie na kupno domu na przedmieściu Saginaw w osiedlu Thomas Township przy ulicy Area Drive, pod numerem 8188. Kupiliśmy dom za 70 tysięcy dolarów, dając 10% zadatku i obciążając się pozostałą sumą na następne 30 lat, od niejakiego Billa Batesa, który zbudował dom po drugiej stronie zagajnika, przylegającego do jego poprzedniej posiadłości.

Nowy dom Batesa nie był jeszcze wykończony w momencie spisywania umowy i nasza przeprowadzka przewlekła się w czasie aż do końca stycznia 1989. Dom był na miarę naszych potrzeb planując, iż Iwonka z rodziną przez jakiś czas będą mieszkać z nami. Na parterze miał garaż na 2 samochody, z którego bezpośrednio wchodziło się do kuchni, oddzielonej kontuarem od living room czyli salonu z kominkiem. Do kuchni przylegała jadalnia a parter uzupełniał family room (nie znam polskiego odpowiednika), do którego wchodziło się bezpośrednio z zewnątrz. Na parterze znajdowała się jeszcze pół-łazienka czyli pomieszczenie sanitarne z umywalką. Również bezpośrednio z zewnątrz wchodziło się na schody prowadzące na piętro, gdzie znajdowały się cztery sypialnie i pełna łazienka z wanną i prysznicem. Powierzchnia działki była niemal dwukrotnie większa od tej, która mieliśmy w Roseville. Już w Roseville kupiliśmy pierwszy komplet mebli na wyposażenie jednej sypialni a teraz dokupiliśmy drugą plus zestaw pietrowych

łóżek dla Agnieszki i Ewy. Największą sypialnię przeznaczaliśmy dla Iwonki i Wojtka, z miejscem na wstawienie łóżeczka dzieciennego dla maleństwa, które miało się narodzić w maju, pokój dziewczynek i nasza sypialnia były naprzeciwko siebie z tym, że ich pokój był większy od naszego a z sypialni narożnej zrobiliśmy pokój biurowy, do wypisywania rachunków, pisania listów itd. Maszynę do pisania miał wkrótce zastąpić komputer. Zabrałem się rażno do wykończenia piwnicy, a korzystając z doświadczeń zdobytych w Roseville, szło mi znacznie szybciej i dokładniej. Udało mnie się zrobić dodatkowy living room, do którego wstawiliśmy dwie kanapy, pochodzące jeszcze z początkowych darów a na zapleczu zrobiłem kolejny office z biurkiem, do którego później wstawiłem komputer i drukarkę. Na zewnątrz zrobiłem długi stół piknikowy a po przyjeździe dziewczynek, już wspólnie z Wojtkiem mini-domek. W lutym 1989, po kolejnej interwencji u senatora Levina udało się wreszcie pokonać wszelkie przeszkody administracyjne, na drodze do nadania Iwonce z Wojtkiem statusu uchodźców.

Na interview do Frankfurtu nad Menem udali się we dwójkę, zostawiając dziewczynki pod opieką znajomych z obozu. Ponieważ nie udało im się załatwić spraw tak, by wrócić tego samego dnia - musieli przenocować we Frankfurcie nie mając wystarczającej ilości środków na hotel. Jadąc metrem, usłyszawszy polską mowę, Iwonka zwróciła się wprost do dziewczyny rozmawiającej z chłopakiem o użyczenie im noclegu na podłodze, byle jak tylko na jedną noc. Po krótkim wahaniu zaczepieni tak obcesowo ludzie zgodzili się. Podziwiac w tym miejscu należy zarówno zaradność mojej córki (po kimś to chyba odziedziczyła) jak i uczynność naszych rodaków, którzy nie byli wcale pewni, czy nie ściągną sobie na głowę dzikich lokatorów. Po załatwieniu statusu uchodźców w Konsulacie USA, pozostało załatwienie przelotu ze sponsorem.

Czas nagle, gdyż linie lotnicze TWA, z którymi International Committee of Migration miał umowę, nie przyjmowały na pokład pasażerek począwszy od ósmego miesiąca ciąży. Ponadto wyznaczono już termin pierwszych rozmów Okrągłego Stołu i wszelkie kryteria uzyskania statusu uchodźców politycznych przez Polaków przestały obowiązywać, co stwarzało niebezpieczeństwo deportacji. Można zatem śmiało powiedzieć, że Iwonce z Wojtkiem udało się wskoczyć do ostatniego wagonu w ostatniej chwili. Sponsorem była ta sama organizacja Tolstoy Foundation, w której musieliśmy złożyć zapewnienie, iż wszelka pomoc z ich strony kończy się w momencie przekroczenia przez naszych bliskich granicy amerykańskiej.

Tolstoy Foundation miał im tylko załatwić bilety po podpisaniu zobowiązania, że zwrócą pożyczkę w ciągu 2 lat od przyjazdu, jak wszyscy uchodźcy. Zadziałała interwencja Zawadzkich, którzy powiadomieni o szczegółach sprawy przez Jolkę Hałaczkiewicz skontaktowali się z biurem T.F. zawiadamiając, że mają bogatych rodziców, a w rezultacie na dwa dni przed przyjazdem kierownik obozu powiadomił Wojtkę, że bilety zostaną im wręczone po uiszczeniu opłaty. Gdy skontaktowałem się z Frau Kluba w Hamburgu pytając skąd taka zmiana, odpowiedziała wprost, że miała udokumentowany donos, że nam się dobrze powodzi i powinniśmy naszej córce kupić bilety. Argumentowałem, że nasz stan majątkowy stanowi gwarancję, że nasi bliscy zwrócą pożyczkę ale Frau Kluba była nieubłagana. Nie chodziło już o pieniądze, bo na poniesienie znacznych kosztów związanych z przyjazdem byliśmy przygotowani, tylko o problemy z ich przekazaniem w tak krótkim okresie czasu w okresie, gdy internet nie był jeszcze dostępny dla szerokiego ogółu. Ale wszystko się udało i wieczorem 20 marca 1988 roku, kierownik obozu otworzył szafę pancerną, w której trzymał bilety

dla Iwonki, Wojtka, Agnieszki i Ewy z Aarhus do Detroit, z przesiadkami w Kopenhadze i w Bostonie, gdzie przekraczali granicę. W momencie, gdy do Stanów przybył Vito Andolini z miasteczka Corleone na Sycylii, wszyscy imigranci przekraczali granicę na Ellis Island^[121] w Nowym Jorku i tam otrzymywali tymczasową wizę stałego pobytu, znaną jako druk I-94. 50 lat później prawo przyjmowania imigrantów rozszerzyło się na porty lotnicze, a procedura przyjmowania imigrantów została znacznie uproszczona. Odpadły m.in. badania lekarskie, które obecnie przeprowadzane są w krajach wyjściowych. W Bostonie zapytano naszych przybyszów czy życzą sobie zmiany nazwisk, bez żadnych dodatkowych formalności i Iwonka zmieniła nazwiska Agnieszki i Ewy na Ostrowski, dla uniknięcia pytań dzieci w szkole dlaczego mają inne nazwiska, niż ich ojciec.

Wojtek otrzymał status głowy rodziny (head of household) i bez żadnych dodatkowych formalności stał się prawnym opiekunem swoich pasierbic. Czekaliśmy na ten dzień – pierwszy dzień wiosny 1989 roku czyli 21 marca ponad 6 lat. Na lotnisko w Detroit udaliśmy się wypożyczonym mini-vanem Plymouth Voyager

121 Ellis Island – wyspa w porcie miasta Nowy Jork, niedaleko wyspy Manhattan, w Stanach Zjednoczonych, w granicach Jersey City. W latach 1892–1924 na wyspie działało główne centrum przyjmowania imigrantów do Stanów Zjednoczonych przybywających z Europy na wschodnie wybrzeże (podobna stacja na zachodnim wybrzeżu znajdowała się na wyspie Angel nieopodal San Francisco). Przez cały okres jej działania, do chwili ostatecznego zamknięcia w 1954, stacja przyjęła około 12 milionów imigrantów. Po przybyciu na wyspę imigranci byli przesłuchiwanymi przez urzędników i badani przez lekarzy. W większości przypadków była to szybka procedura i imigranci spędzali na wyspie tylko kilka godzin przed przewiezieniem na stały ląd i rozpoczęciem życia w nowym kraju. Niektórzy jednak musieli spędzać tygodnie lub miesiące w szpitalach na wyspie przechodząc badania lub leczenie. Około 3 tys. z nich umarło na wyspie w całej jej historii. Tylko około 2 procent osób przechodzących przez stację nie otrzymało zgody na osiedlenie się w USA i musiało wrócić do Europy, głównie z powodu kłopotów zdrowotnych, chorób psychicznych lub kryminalnej przeszłości.

wychodząc z domu zanim Wojtek zadzwonił do nas z Bostonu. Wiadocznie ich samolot miał opóźnienie ale nie chcieliśmy dopuścić by na nas czekali w obcym mieście po 18-godzinnej podróży. Samolot z Bostonu również przyleciał z niewielkim opóźnieniem ale były to czasy, gdy oczekujący mogli podejść pod Gate, czyli wyjście z rękawa. Od kilku lat taka możliwość zarezerwowana jest wyłącznie dla posiadaczy kart wstępu do samolotu. Niesposób opisać uczuć, jakie się stały naszym udziałem w momencie, gdy cała czwórka ukazała się w drzwiach wychodzących z rękawa. Wojtka widzieliśmy po raz pierwszy a dziewczynki bardzo podrosły od czau, gdy były u nas na wakacjach 4 lata temu.

Oprócz umeblowanego mieszkania przygotowaliśmy Iwonce z rodziną samochód. Oddaliśmy im Dodge Ariesa 1984 a od Romana kupiliśmy 4-drzwiową Hondę Civic 1988 dla Joli. Dodge wymagał tylko wymiany okładzin hamulcowych i tylnich resorów, co wykonaliśmy z Wojtkiem we własnym zakresie, a poza tym nie sprawiał żadnych problemów. Bogaci o nasze własne doświadczenia pomogliśmy wyrobić dokumenty jak Social Security Cards, a w dalszej kolejności wystąpiliśmy o program pomocy dla uchodźców, w którym mieściło się stypendium na community college, czyli odpowiednik średniej szkoły zawodowej. Wystąpiliśmy również o ubezpieczenie przysługujące uchodźcom przez pierwsze 18 miesięcy pobytu, bardzo ważne w przypadku Iwonki, która była 6 tygodni przez rozwiązaniem. Wojtek posiadając międzynarodowe prawo jazdy był zwolniony z 6-tygodniowego oczekiwania między egzaminem teoretycznym i praktycznym, w związku z czym otrzymał prawo jazdy Stamu Michigan w ciągu dwóch dni. Nasi sąsiedzi, Ann i Ken Wellman mieli trójkę dzieci: dziewczynki Stephanie i Kendrę oraz chłopca Benjamina. Stephi i Kendra były w podobnym wieku jak Agnieszka z Ewą i bardzo szybko się z nimi zaprzyjaźni-

ły a przy okazji błyskawicznie nauczyły angielskiego, porozumiewając się z koleżankami biegle po miesiącu. Ann kończyła studia pielęgniarские na Delta College a Ken pracował w Delco – największego zakładu w Saginaw – powiązanego z General Motors, produkującego aparaturę samochodową. Po skończeniu szkoły Ann również została przyjęta do Delco, gdzie pracowała w zakładowym ambulatorium pierwszej pomocy. Urodzona w pobliskim Bay City miała panieńskie nazwisko Ciccone i była blisko spokrewniona ze słyną piosenkarką Madonną (właściwie Madonna Luise Ciccone). Wellmanowie byli pobożną, katolicką rodziną i nie utrzymywali żadnych kontaktów z ich ekstrawagancką krewną.

W szkole Agnieszka poznała Kasię Kolinko, zamieszkałą na naszym osiedlu - córkę Polki, która bezinteresownie udzielała Agnieszce i Ewie korepetycji z angielskiej gramatyki w ciągu pierwszych paru miesięcy. Obóz w Hammel stanowił prawdziwą wieżę Babel, w którym przebywali uchodźcy z kilkudziesięciu krajów, m.in. z Jugosławii, Iranu, Iraku, Syrii, Egiptu. Uczęszczając do miejscowej szkoły dziewczynki nauczyły się po duńsku a w obozie porozumiewały się z rówieśnikami po arabsku, persku, słoweńsku. Dłuższy czas po przyjeździe Agnieszka potrafiła liczyć do 10 po arabsku.

5 maja 1989 roku w Saginaw General Hospital, wyniku cesarskiego cięcia, przyszła na świat nasza najmłodsza wnuczka Kate Ostrowski. Mimo iż Iwonka przygotowana była do naturalnego porodu, w końcowej fazie pępowina owinęła się dziecku dookoła szyji i poczęła się dusić. Błyskawiczna decyzja lekarza Chińczyka uratowała jej życie. Wszyscy byli w Kasi zakochani, była śliczna, wrażliwa i bardzo do wszystkich przywiązana. Nie wiem kiedy Iwonka zdecydowała się na zmianę imienia, ale była to decyzja sankcjonująca stan faktyczny, ponieważ nikt od początku

nie nazywał jej inaczej niż Kasia. Ponadto Kate miała na imię co trzecia dziewczynka a Kasia była drugą (po Kasi Kolinko, która oficjalnie miała na imię Kathleen) w całym Tri County. Od września Iwonka z Wojtkiem rozpoczęli naukę w Delta College a opiekę nad Kasią sprawowała Jola – obie były z tego stanu bardzo zadowolone i przywiązane do siebie tak bardzo, iż trudno mi uwierzyć, że Kasia wymazała kompletnie babcię z pamięci.

W Polsce zawarto układ wynikający z ustaleń Okrągłego Stołu, który nie satysfakcjonował nikogo poza przywódcami światowych mocarstw George Busha 41-wszego i Michaiła Gorbaczowa, szczęśliwych że wreszcie w tej Polsce nastał długo oczekiwany spokój. Nieprawdą jest, iż osiągnięto wówczas wszystko, co było możliwe do osiągnięcia, ponieważ to właśnie opozycja posiadała więcej atutów po swojej stronie: komuniści w ciągu stracili w ciągu 8 lat od wprowadzenia stanu wojennego resztki wiarygodności w społeczeństwie, a PZPR znajdowała się w kompletnej rozsypce. Skurczyły się wszelkie możliwości oddziaływania organizacji partyjnych dowolnych szczebli na nastroje ludności wobec powszechnej dostępności wydawnictw, kaset, programów radiowych a nawet telewizyjnych, ukazujących się poza oficjalnym obiegiem.

Wprowadzając ewentualnie stan wojenny po raz drugi, władze nie mogły liczyć na lojalność żołnierzy służby czynnej, z których większość albo brała udział w ruchu oporu albo w demonstracjach. Odsetek młodzieży lojalnej wobec komunistów był pod koniec lat 80-tych ubiegłego stulecia minimalny.

Wszelkie prośby i błagania Jaruzelskiego i innych zdrajców, adresowane do przywódców sowieckich o interwencję zbrojną albo spotykały się z odmową, albo pozostawały bez echa. Jaruzelski i jego klika byli zdani na własne, wątpliwe z każdym dniem siły.

Pogarszająca się sytuacja ekonomiczna potęgowała rosną-

ce niezadowolenie ogromnej większości społeczeństwa, co groziło niekontrolowanym wybuchem a ostrze ewentualnej agresji było wymierzone w komunistów. Dla ratowania własnej skóry musieli podzielić się odpowiedzialnością za ten stan, co nie mogło nastąpić bez uprzedniego podzielenia się władzą.

Utrzymujące się sankcje amerykańskie, odcinające nie tylko Polskę ale również i przede wszystkim sowiecką Rosję od najnowszych technologii, czyniły cały obóz coraz bardziej bezbronny wobec rosnącej potęgi militarnej Stanów Zjednoczonych i krajów NATO. Błyskawiczne interwencje na przemian amerykańskich i brytyjskich sił zbrojnych, zapobiegające ustanowieniu komunistycznych reżimów na Granadzie i Falklandach, uświadomiły Rosji, wspomagającej militarnie i politycznie obie nieudane awantury, że nawet w pośrednim starciu z USA lub NATO nie mają żadnych szans. Tylko zniesienie sankcji mogło stworzyć Rosjanom nadzieję na ich powrót do grona supermocarstw. Zniesienie sankcji, po rewizji układów jałtańskich przez, rządy USA i Wielkiej Brytanii, uwarunkowane było przywróceniem praworządności w Polsce, co mogło się tylko wiązać z przeprowadzeniem wolnych wyborów.

Rozgorczenie systemem komunistycznym rozszerzało się, za pośrednictwem eksplodujących środków komunikacji, na pozostałe kraje bloku, włączwszy to nie tylko poszczególne republiki (głównie Gruzja, Litwa, Łotwa i Estonia) ale i w samej Rosji. Dla władców Kremla, gdzie coraz silniejszą pozycję umacniało skrzydło reformatorskie z Gorbaczowem na czele, zabrzmiał ostatni dzwonek zapobiegnięcia krwawej rewolucji, która by ich zmiotła z powierzchni globu. Głębokość i pieriestrojka nie stanowiły zatem żadnej fantazji Gorbaczowa, Jelcyna, Szewardnadze i innych reformatorów, tylko wymuszoną okolicznościami konieczność ratowania imperium.

Uwarunkowania polityczne i sytuacja ekonomiczna stawiały zatem opozycję w pozycji strony dyktującej warunki przy okrągłym stole. To fakt, iż po stronie reżimu znajdowały się środki sprawowania władzy jak banki, policja i wojsko, natomiast poparcie dla tej władzy było żadne, z czego większość z nich doskonale zdawała sobie sprawę. Tymczasem, wbrew logice oraz oczywistym interesom społeczeństwa w Magdalence doszło do ugody satysfakcjonującej w pełni tylko jedną ze stron. (Podczas rozmów i libacji w należącym do MSW „obiekcie specjalnym nr 115” nie doszło do zawarcia pisemnej umowy pomiędzy komunistami a częścią elity solidarnościowej, bo nie na tym polegają doskonałe polityczne spiski. Konsekwencją tych spotkań była jednak późniejsza niesłychanie silna pozycja polityczna uczestników negocjacji, abolicja dla zbrodniarzy komunistycznych i przyzwolenie na niszczenie archiwów tajnych służb.)^[122]

Ustalenia okrągłego stołu przyjęte zostały wśród Polonii amerykańskiej podobnie jak w Polsce, czyli z mieszanymi uczuciami. Dominujące było oczywiście uczucie ulgi, z zakończenia trwających 45 lat niekontrolowanych rządów z obcego nadania i w obcym interesie. Skończyła się zmora strachu, towarzysząca każdej podróży do Polski, typu: jak mnie potraktują, czy mnie nie zamkną za rzeczywistą lub zmyśloną działalność na Zachodzie? Radość z możliwości nawiązania czasami po kilkudziesięciu latach rozłąki, kontaktów z bliskimi, przysłała niekorzystne warunki na jakich zawarty został pakt z diabłem. Przy wysokim wciąż kursie dolara otworzyły się możliwości korzystnego inwestowania w Polsce, wiele osób (szczególnie tych, którzy nie mogli sobie ułożyć życia na emigracji) nosiło się z zamiarem powrotu. Nie brakło

122 Sławomir Cenckiewicz. Magdalenka. Teoria spiskowa, która okazała się prawdą. (Polityka 18/10/2013)

również ocen iż w Magdalence dopuszczono się aktu zdrady interesów Polski za cenę wejścia w struktury władzy bez całkowitego odsunięcia od niej poprzedniego aparatu. Moja ocena była i pozostanie pośrodku tych skrajności, przyznając po trochu rację jednym i drugim.

Wielu uczestników okrągłego stołu kierowało się szlachetnymi intencjami natomiast czołowi przedstawiciele strony opozycji kierowali się wyłącznie własnymi interesami, za wszelką cenę dążąc do „wkręcenia własnych kurków w system” jak to czynili czołowi „bohaterowie” poematu Janusza Szpotańskiego „Towarzysz Szmaciak”, oraz do przejęcia upragnionej władzy. (Znamienna pod tym względem była argumentacja Władysława Frasyniuka, który podczas pierwszych rozmów w Magdalence mówił do komunistów: „Trzeba jasno powiedzieć, że my, siadając razem z panami do stołu, działamy nie we własnym interesie: zabiegamy w ten sposób o wasz interes. Dla dobra kraju, dla dobra społeczeństwa, które wam nie wierzy i które nie chce was słuchać, staramy się zapewnić waszą wiarygodność”. Zapewne nie miał wówczas pojęcia, że władze PRL robiły to samo w stosunku do Wałęsy, Mazowieckiego, Geremka i innych reprezentantów „strony solidarnościowo-opozycyjnej”, dbając o ich społeczną wiarygodność.)^[123]

Według mnie, i nie tylko, niedopuszczalna i niczym nieusprawiesliwiona była zgoda na powierzenie funkcji pierwszego Prezydenta niepodległej Polski Jaruzelskiemu, który jeszcze tak niedawno zapewniał, iż socjalizmu będzie bronił jak niepodległości, że Polska jest i pozostanie socjalistyczna a tym, którym się to nie podoba wskazał droge opuszczenia kraju. Adam Michnik zasłużył na niesławę swoim wezwaniem: „odpieprzcie się od generała (Jaruz-

123 Stanisław Cenckiewicz – Magdalenka. Teoria spiskowa, która okazała się prawdą.

zelskiego)” a podczas jednej z biesiad (w Magdalence) zwrócił się w stronę Kiszczaka z toastem: „Piję, panie generale, za taki rząd, gdzie Lech będzie premierem, a pan ministrem spraw wewnętrznych”^[124], nazywając później cynicznego mordercę zza biurka górników z „Wujka” oraz błogosławionego księdza Jerzego Popiełuszki - człowiekiem honoru(sic)! Konsekwencją abolicji dla zbrodniarzy komunistycznych były wołające o pomstę do nieba kariery, jakie stały się udziałem funkcjonariuszy SB i oficerów kontrwywiadu, odpowiedzialnych za prześladowanie tysięcy patriotów inwigilowanych, pozbawionych pracy, wtrącanych do więzień, skazanych na banicję. Klasycznym „udiewitielnym dietiszczem”^[125] okragłego stołu była kariera Andrzeja Anklewicza „Żegoty”, z-cy naczelnika Wydziału III-C Komendy Stołecznej MO, rozpracowującej KPN i jej członków. To on podpisał nakaz internowania mnie a następnie zalecenie wydania paszportu w jedną stronę uzasadniając ... reasumując powyższe, zgoda na wyjazd emigracyjny do USA B. SKOWRONA z żoną i rodziną wymieniona w kwestionariuszu paszportowym jest zasadna...

Z posiadanego rozpoznania operacyjnego wynika, że w/w nie zmieni swej postawy społeczno-politycznej, nie zaprzestanie czynnie walki z obecną władzą ludową a podejmowane przez niego działania stanowić będą zawsze poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa i porządku publicznego.

Kilkakrotnie podczas i po zakończeniu Magdalenki dzwoniłem do przedstawicieli opozycji nastawionych negatywnie do zawartych w obiekcie specjalnym nr 115, ustaleń jak: Romuald Szeremietiew, Andrzej Gwiazda, Jan Rulewski, Anna Walentynowicz,

124 Stanisław Cenckiewicz – tamże

125 Udiewitielnyje dietiszcze Wiersalskowo Traktata (pokraczny bękart Traktatu Wersalskiego) – Tak nazwał Polskę minister spraw zagranicznych sowieckiej Rosji, po realizacji tajnego protokołu paktu Ribentropp – Mołotow

nagrywając – po uprzednim uzyskaniu zgody – przeprowadzane przez telefon wywiady, a następnie emitując je w audycjach Radia Pomost. Anna Walentynowicz latem 1989 zawitała do Detroit, będąc m.in. gościem D-ra Subczyńskiego. Spotkanie z Polonią zorganizowane zostało w Sali Jana Pawła II przy parafii Matki Boskiej Częstochowskiej w Sterling Heights, dokąd udaliśmy się razem z Jolą i Wojtkiem. Zaraz po przyjeździe Wojtek pytał w jaki sposób mógłby znaleźć kolegę z dzieciństwa, który przebywał w obozie uchodźców Latina pod Rzymem a następnie dotarł do Michigan. Powiedziałem mu, iż podczas tego spotkania mogę popytać znajomych a przy okazji dostarczyć nagrane przeze mnie wywiady do Radia Pomost. Zanim Dostojna Pani Gość pojawiła się na Sali z dwóch stron podeszli do siebie Wojtek i jakiś facet a następnie padli sobie w objęcia. Był to właśnie poszukiwany przez Wojtka Krzysiek Sylwestrzak, kolega od dzieciństwa, który później był naszym częstym gościem aż do momentu wyprowadzenia się Ostrowskich do Big Rapids. W Midland, ok. 20 mil od nas mieszkała przyrodnia siostra Wojtka Ela Bąkowska doktor nauk chemicznych zatrudniona wówczas w Dow Chemical, wraz z mężem Pawłem i dwójką dzieci Franciszka i Krzysztofem. Paweł – znany wśród przyjaciół jako Bączek - był działaczem opozycji conajmniej od momentu powstania KOR-u, a podczas pierwszej wizyty u nas okazało się, iż mamy cały szereg wspólnych znajomych, m.in. Adama Grzesiaka, który go rozpoznał na zamieszczonym przeze mnie na facebook, zdjęciu. W Spencer, New York mieszkał przyrodni brat Wojtka Sławomir Grünberg^[126] wraz żoną Wandą oraz córkami Karoliną, Sarą

126 Sławomir Grunberg, zdobywca prestiżowej nagrody Emmy, jest producentem, reżyserem i operatorem filmów dokumentalnych.. Absolwent wydziału reżyserii łódzkiej PWSFTViT, z Polski wyemigrował do Stanów Zjednoczonych w 1981 roku i od tego czasu wyreżyserował i wyprodukował ponad 40 dokumentów telewizyjnych. Film – School Prayer: A Community at War miał swoją premierę w 1999 roku na antenie PBS (telewizja publiczna w

i Joanną, gdzie wykładał technikę filmową na Cornell University a przy okazji prowadząc studio filmowe LogTV. Gdy Kasia skończyła roczek, Iwonka z Wanda umówiły się by ochrzcić ich dzieci w tym samym dniu w Ithaca. Pojechaliśmy tam wszyscy, korzystając ze wspaniałej gościny w pięknej, leśnej scenerii, gdzie znajduje się log cabin, czyli dom wykonany z bali udekorowany wewnątrz na wzór góralski. Sławek był współtwórcą – wraz z Krzysztofem Piotrowskim, telewizyjnego serialu „Wygnańcy – nieznani bohaterowie Solidarności”^[127], w którym wzięli udział: Maciej Wierzyński, Paweł Bąkowski, Andrzej Czuma, Katarzyna Kietlińska, Andrzej Dolata, Andrzej Rozplochowski, Wojciech Lasocki, Bolko Skowron, Ewa i Piotr Dyk, Andrzej Myc, Kazimierz Braun, Wiktor Szostało, Elżbieta Ślosarska i Julita Karkowska. Wanda prowadzi Bed & Breakfast (popularne w USA i w Kanadzie mini-moteliki w domowej atmosferze), idealne miejsce wypoczynku dla turystów przyjeżdżających do nich przez cały rok.

Po dwóch latach, Iwonka z Wojtkiem zakończyli program

USA), został nagrodzony statuetka Emmy i wygrał wiele festiwali filmowych na całym świecie. Film ten otrzymał także nagrodę im. Jana Karskiego, który nagradza filmy dokumentalne traktujące o odwadze i moralności. Następny film Grunberga pt: Fenceline: A Company Town Divided również miał swoją premierę w 2002 roku na antenie PBS i wśród wielu innych wyróżnień, otrzymał nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu w San Francisco i na Międzynarodowym Festiwalu w Vermont. Film został nagrodzony również nagrodą EMA (Environmental Media Award) w 2003. Nagroda EMA przyznawana jest filmom propagującym wrażliwość ekologiczną i promującym działanie i aktywność jednostki. http://www.logtv.com/tv/resumepopolsku_000.htm

127 Film został zrealizowany w 25. rocznicę powstania Solidarności. Jest to trzyczęściowa opowieść o 15 osobach, które w latach 80-tych wyemigrowały z Polski do USA. Wszystkich bohaterów łączyła przynależność organizacyjna lub emocjonalna do Solidarności. Aktywnie działali na jej rzecz, za co większość z nich zapłaciła więzieniem i internowaniem. Wyemigrowali z Polski, ponieważ nie widzieli tutaj szans na godne życie, rozwój zawodowy. Ponadto byli poddawani różnym szykanom ze strony władz PRL – nie mogli dostać pracy, podpalano ich mieszkania... Film stanowi rodzaj hołdu dla osób, które musiały opuścić Polskę w tamtym czasie. <http://www.filmweb.pl/>

studiów na Delta College, Wojtek z dyplomem mechanika samochodowego a Iwonka z zaawansownym kursem matematyki, przy czym studiowanie umożliwiła jej Jola, opiekująca się Kasią. Ani Wojtek ani Iwonka nie mieli zamiaru poprzestać na dotychczas osiągniętym poziomie edukacji a korzystając z programów stypendialnych dla rodzin, popieranych przez ówczesnego, Republikańskiego gubernatora Michigan Johna Englera i dobrych wyników, dostali się na Ferris State University w Big Rapids, odległym od Saginaw o 100 mil (161km).

Iwonka studiowała elektronikę a Wojtek automotive management. Wprawdzie odwiedzaliśmy się w każdy weekend a wakacje Dzieci spędzały przeważnie u nas, ale nasze rozstanie stało się naturalnym faktem. Kasia początkowo bardzo teskniła za babcią Jolą, na którą początkowo mówiła „niani Jola” i gdy zwichnęła raczkę w pierwszym dniu po przyjeździe do Big Rapids, płakała, że chce wrócić do domu i do niani Joli. Opiekę nad Kasią przejęła mama Wojtka Danuta, która wyemigrowała do Stanów po śmierci swego życiowego partnera, a którą Kasia nazywała „niani Dusia”. Po skończeniu studiów Ostrowscy przenieśli się do Detroit, gdzie Wojtek dostał pracę na kontrakcie dla General Motors a Iwonka, dwukrotnie zmieniając pracę na lepszą, trafiła do GM poprzez Allison Transmission.

Obecnie oboje są etatowymi pracownikami GM. Jola otrzymała obywatelstwo amerykańskie 8 maja 1989 a ja, dzięki intrygom spółki Zawadzcy-Falkowski z ponad rocznym opóźnieniem 4 czerwca 1990 r. Na wezwaniu do Sądu Okręgowego w Detroit wydrukowana była godzina 10:00 a ktoś przekreślił i odręcznie poprawił na 11:00. Pojechaliśmy wraz z Jolą na godz. 10:00 i rzeczywiście o tej godzinie uroczystość zaprzysiężenia się rozpoczęła i zakończyła po niecałej godzinie. Pokazałem wezwanie urzędnic-

ce INS z „poprawioną” godzina ale nie był to żaden dowód na to, iż konkretna osoba dokonała manipulacji, chociaż mam 100% pewności, iż było to „dzieło” Falkowskiego. Natychmiast po otrzymaniu dokumentu stwierdzającego amerykańskie obywatelstwo wystąpiłem o paszport i następnego roku 1991 udałem się w pierwszą od wyjazdu 8 lat temu podróż do Polski.

Wrażenia z dwu-tygodniowego pobytu miałem bardzo mieszane. Dominowała oczywiście radość zarówno ze spotkań z bliskimi i przyjaciółmi oraz, że Polska jest naprawdę wolnym krajem, media są niekontrolowane, na każdym kroku widoczne było wyzwienie się ludzkiej inicjatywy i przedsiębiorczości, niemal każdy z moich znajomych albo już działał albo był trakcie organizacji jakiegoś businessu. W sklepach pokazały się towary, jakkolwiek wystrój pozostał na poziomie sprzed wyjazdu. Warszawa stanowiła jeden gigantyczny bazar, funkcjonujący niemal na każdym chodniku, skwerze czy placu. Podobnie w innych miastach wyrastały jak grzyby t.zw. place Balcerowicza. Kurs dolara wprawdzie spadł drastycznie ale w dalszym ciągu dla przybysza ze strefy dolarowej wszystko w Polsce – z wyjątkiem samochodów – było dużo tańsze niż na Zachodzie. Szarość i brud polskich ulic, dworców, przystanków, czy środków komunikacji, zachowały się w niewiele zmienionej formie. Lotnisko Okęcie, do którego dobudowano prowizoryczny barak przylotów, pękało w szwach, będąc już w momencie oddania do użytku w 1969 roku za małe na potrzeby stolicy europejskiego kraju. Korki, objazdy i rozkopy towarzyszące budowie metra potęgowały niekorzystne wrażenie, które w rezultacie spowodowało podobną reakcję do Joli trzy lata temu

W 1992 roku moja Mama zdecydowała się na emigrację do Stanów po tym, gdy jej kuzynka a moja ciocia Irena Świetlik zmarła; jej śmierć zwróciła uwagę sąsiadów po kilku tygodniach,

gdy ciało zaczęło się rozkładać. Ciocia Irena była jedna z niewielu pozostałych przy życiu krewnych, z którymi Mama utrzymywała kontakt i coraz bardziej dawała jej się we znaki samotność. Rozumiem ją w tej chwili doskonale, sam dożywając swoich dni zdala od bliskich ale nie będę popełniał błędów, na których powinien się człowiek uczyć. Zarówno Mama jak i ja nie wykazaliśmy się wówczas wyobraźnią ignorując ponadto przysłowie: starych drzew się nie przesadza. Mama się nigdy nie zaaklimatyzowała a sprzedając mieszkanie na Kaliskiej – był to kardynalny błąd, za który ponoszę odpowiedzialność i przykre konsekwencje – zamknęła sobie drogę powrotu. W 1992 roku Jola ukończyła kurs pielęgniarek pomocniczych, wracając po trzydziestu latach do zawodu swego powołania i rozpoczęła prace w St. Francis Nursing Home jako opiekunka osób starszych i niesprawnych. Tuż przed końcowymi egzaminami nadeszła wiadomość początkowo o ciężkiej chorobie a następnie o śmierci mamy Joli Janiny Poźniak. Jola miała do wyboru albo poddać się końcowym egzaminom albo jechać na pogrzeb i wybrała egzaminy. Niestety, nie udało jej się uniknąć uczestnictwa w pogrzebie, gdyż kilka miesięcy później 9 września 1992 zmarł śmiercią tragiczną jej jedyny brat Andrzej.

Moja Mama zmarła bez cierpień podczas snu na cardiac arrest czyli zatrzymanie akcji serca 20 kwietnia 1997 roku a jej doczesne szczątki spoczęły na cmentarzu Oakland w Thomas Township. Niecały rok później zmarła Danusia Ostrowska – mama Wojtka, która podczas podróży do Polski doznała zawału. Z całej naszej Rodziny tylko Iwonka i jej dzieci miały jeszcze oboje żyjących rodziców.

Po wyprowadzeniu się Iwonki z rodziną powróciliśmy do naszej turystycznej pasji, spędzając wakacje początkowo pod namiotem później ze składaną przyczepą typu pop-up a po wymianie Chevrolet S-10 pick-up na pełnowymiarowy Chevrolet Silverado,

kupiliśmy przyczepę o długości 31' (ok 11m). Naszym ulubionym miejscem wakacji była Floryda, niestety oddalona o dwa dni drogi lub o kosztowny lot samolotem do Fort Myers, gdzie mieszkał Joli wujek Frank, który po śmierci żony sprowadził się, wraz z najmłodszym synem Tomkiem w pobliże córki Teresy. W 1999 roku zamieszkał również na Florydzie Dr. Subczyński, ok 60 mil (100km) na południe od Fort Myers, na wyspie Marco Island. 28 grudnia 1997 roku odbyła się uroczystość 50-lecia małżeństwa mojego stryja i Ojca Chrzestnego w jednej osobie ze stryjenką Marysią, w Zalesiu Górnym, gdzie brali ślub i gdzie przenieśli się po wynajęciu mieszkania w Warszawie przy ul. Szustra (Jarosława Dabrowskiego).

Zarówno mnie jak i Joli pozostało bardzo niewiele urlopu po wakacjach na Bahama i w Kentucky (gdzie również towarzyszyła nam Kasia, spędzająca z nami każdą przerwę w zajęciach szkolnych) i wybraliśmy się do Warszawy 26 grudnia 1997 a wracaliśmy w Nowy Rok 1998. Tym razem zauważyłem ogromny postęp w stosunku do mojej pierwszej wizyty, jeżeli chodzi o europeizację Polski a Warszawy w szczególności, której przybyły nowoczesne biurowce w centrum, piękniejący wystrój sklepów i odpowiadające potrzebom końca XX wieku osiedla mieszkaniowe.

Waluta pozbyła się „baniek”, które budziły moje przerażenie, jakkolwiek ludzie wciąż wszystko na owe bańki przeliczali, a w których nie byłem w stanie się połapać myląc 50 tysięcy z pół-milionem podczas poprzedniej wizyty. Spotkaliśmy się ze wszystkimi TREP-ami z wyjątkiem Dziadka, z którym na kilka lat urwał mi się kontakt, odwiedziliśmy mojego partnera z Komisji Zakładowej Solidarności Tomka Grzechocińskiego, mojego kuzyna Andrzeja Świetlika wówczas jeszcze czynnego zawodowo w Urzędzie Dozoru Technicznego i Andrzeja Górskiego – uczestnika rowerowego

obozu wędrownego na Węgrzech. Wszyscy moi znajomi mieli już własne samochody podczas gdy przed naszym wyjazdem tylko Krzysiek Smogorzewski. Zauważyłem również postępującą degradację kolei. Kiedyś z Warszawy do Zalesia pociagi kursowały co 20 minut, obecnie co 1,5 godziny, podmiejskie pociagi były obsługiwane przez 50-lletnie, rozsypujące się składy z wyrobionymi resorami, przemalowane na brudno-pomarańczowy kolor.

Uroczystość 50-lecia Stryjostwa Skowron miała miejsce w domu parafialnym, przy którym również znajdowały się pokoje gościnne. Wydarzenie to stanowiło okazję do zjazdu rodzinnego, który w takim składzie nigdy nie miał miejsca ani przed ani po. Gospodarze wystąpili w towarzystwie całej czwórki swych dzieci: Joasi, która wraz z mężem Giuseppe i córkami Ania oraz Sylwią przyjechała z Sycylii, Jadwigę przybyła ze swym partnerem Dietmarem z Wiednia, Jędrka z żoną Basią, synem Basi z pierwszego małżeństwa Krzysztofem, ich córką Kają oraz Kasi z mężem Andrzejem i synem Filipem.

Z Bayreuth przyjechał Stryj Leonard ze stryjenką Danką oraz ich córka Basią oraz z wnuczkami Romą i Sandrą. Młodsze córki Basi Sylwia i Laura zostały wraz z ich ojcem Eckhardem u jego rodziców w pobliżu Kolonii. Z Gliwic przyjechał syn Stryja Leonarda Darek z żoną Marysią oraz z synami Arturem i Markiem. Najmłodsza siostra Egberta ciocia Rita przyjechała z mężem Zygmuntem oraz z synami i synowymi Pawła z Danką i Tomka z Alą. Nie pamiętam czy ich dzieci; Matylda, Mikołaj oraz Magda i Igor również były, ale wówczas miały od 3-ch do 7-miu lat. Gałąź trzeciego brata Egberta – Gerda reprezentowałem tylko ja z Jolą i byliśmy tymi, którzy odbyli najdalszą podróż. Sześcioro spośród uczestników tej uroczystości – tylko ze strony Stryja - już nie żyje, dwa małżeństwa się rozpadły, trzecie pokolenie, które wówczas było w

wieku szkolnym lub przedszkolnym, zdążyło powyrastać i przyszło na świat czwarte w osobach moich prawnuczek Juliette, Margo, Maji oraz Kubusia Skowrona - syna Artura. Jedną noc spędziliśmy w Zalesiu a pozostałe u Doroty – bratanicy Joli, zamieszkałej wraz dziećmi Martą, Witkiem i Sylwią – wówczas jeszcze przy piersi a obecnie śliczną 17-letnią panienką - oraz ze swym partnerem Grześkiem. Z jakiś powodów – które wyjaśniły się później – ani Dorota ani Marek nie chcieli nam pokazać mieszkania po teściach na Nubijskiej, które w części należało sie również Joli. Marek wpadł na godzinę i otrzymawszy 100\$ od swej Chrzestnej, zniknął.

Z drogi powrotnej zapamiętałem dwa szczegóły. Z Warszawy do Chicago lecieliśmy Boeingiem-767 LOT-u rejs nr. 007. Jola jak zwykle położyła głowę na moich kolanach a ja podrzemując, głaskałem ją po włosach. Jakaś pani przechodząc zatrzymała się, popatrzyła na nas i powiedziała:

- *Ja bym też tak chciała* – na co Jola nie podnosząc głowy odparła:

- *Trzeba było sobie wybrać takiego męża jak ja mam.*

W drodze z Chicago do Detroit, na pokładzie Boeinga 727 linii Northwest (kilka lat temu wchłoniętej przez Deltę), w połowie drogi spojrzałem przez okno do tyłu widząc światła Chicago, a patrząc do przodu światła Detroit. Później, po uwzględnieniu wysokości, na której lecieliśmy, wynoszącej ok. 11 km, odległości między poszczególnymi miastami wynoszącej 238 mil (384km) i promienia kuli ziemskiej ok. 6360km, wyprowadziłem równanie stycznej do okręgu, z którego wynikało, iż jest możliwe widzieć oba miasta jednocześnie.

W kwietniu 1998 r. wybraliśmy się na pierwszą i jedyną wspólną wycieczkę statkiem na Wyspy Bahama zabierając ze sobą Kasię. Miało to miejsce wkrótce po premierze filmu „Titanic „ a

znając wrażliwość Kasi prosiłem Iwonkę i Wojtkę, żeby odroczyli pójście z Kasią do kina na po wycieczce ale mnie nie wysłuchano. W rezultacie Kasia nie skorzystała z żadnych atrakcji dostępnych na pełnomorskim wycieczkowym statku, tylko po sprawdzeniu, do której szalupy uprawniają nasze bilety, oraz ustaleniu pojemnika z kamizelkami ratunkowymi, nie ruszała się z tego miejsca poza przerwami na posiłki. Na Grand Bahama bardzo jej (i nam oczywiście też) się podobało a szczególnie gdy zafundowaliśmy jej hair bride czyli popularne wśród mieszkańców Morza Karaibskiego liczne warkoczyki, starannie zaplecione przez przepiękną mieszkankę tej przepięknej wyspy, na przepięknej plaży, z przepiękną, szmaragdową wodą. W drodze powrotnej już się oswoiła i chętnie brała udział w rozlicznych zabawach zorganizowanych przez załogę dla dzieci i nie tylko.

Po dwóch kontraktach dyirekcji zakładu Eaton w Saginaw z organizacją związkową - trzecią z kolei od UAW, United Machine Workers do Paper Industry Workers (co miała produkcja części silników samochodowych z przemysłem papierniczym?) – straciliśmy kolejnego klienta na korzyść konkurencji, co wiązało się z wysłaniem na lay-off, kolejnej grupy pracowników, zaczęło się robić cienko. Zamrożono na czas nieokreślony podwyżki płac, skończyły się godziny nadliczbowe, spadła ilość nowych projektów, co mogło w konsekwencji oznaczać redukcję personelu inżynierskiego. Z drugiej strony oboje z Jolą byliśmy ciepłego chowu i zima w Michigan, trwająca nierzadko z przerwami do 6 miesięcy, bardzo nam nie odpowiadała. Michigan leży pod szerokością geograficzną, odpowiadającą południowej Europie i latem temperatury potrafią być tam bardzo wysokie, co przy jednoczesnej, bardzo wysokiej wilgotności, dochodzącej do 98%, tworzy wrażenie tropiku. Tymczasem całe północne Stany nie są oddzielone od bieguna żadnymi

górami, co zimą przyciąga bardzo chłodne i silne wiatry, usytuowanie obu półwyspów między największymi słodkowodnymi jeziorami świata (Superior – największe, Huron trzecie, Michigan czwarte pod względem powierzchni) powoduje t.zw. lake effect, charakteryzujący się bardzo ofitymi opadami śniegu, trwającymi z przerwami od października do maja. Nie stawaliśmy się ani młodszy ani silniejszy i konieczność odśnieżania wjazdu do garażu, poślizgi grożące wypadkiem, kilkakrotne lądowania w rowie itd., bardzo dawały nam się we znaki.

Kilkakrotne podróże na Florydę – również zimą - spowodowały, iż wyoko sobie Południe ceniliśmy i w końcu oboje postanowiliśmy, że będę szukał pracy w południowych Stanach, niekoniecznie na Florydzie, zbyt często nawiedzanej niszczącymi huraganami. 19 września 1998 roku mijało 10 lat pracy w Eaton Corp., miałem ukończone 55 lat a zatem kwalifikowałem się do skorzystania z planu emerytalnego oraz wybrania zarobionych akcji korporacji, które w ciągu 10 lat wzrosły ponad trzykrotnie. Albo Jola, która była autorką pomysłu przeprowadzki na Południe, miała widzenie albo Anioł Stróż nad nami czuwał, w każdym razie było to dla nas bardzo szczęśliwe posunięcie.

Dwa lata po moim odejściu Eaton Corporation zlikwidował program emerytalny, Plant w Saginaw zamroził płace a w roku 2008 został zamknięty. Wszyscy pracownicy poszli na „zieloną trawkę” bez jednego centa odprawy, budynki wysadzone w powietrze a teren zrównany z ziemią. Smutny to widok, gdy w drodze na cmentarz Oakland, gdzie leży Mama, mijam ogrodzony teren, na którym nawet betonowe podłoża zarastają chwastami. 16 sierpnia 2013 miało miejsce spotkanie byłych pracowników Plantu Saginaw, w którym uczestniczyłem spotykając się ze starymi (w sensie czasowym oczywiście) znajomymi. Posiadając ponad 10 lat

doświadczenia w automatyce i doskonałe referencje, nie miałem tym razem problemów ze znalezieniem pracy zwłaszcza, iż korzystałem z prywatnej agencji pośredniczącej. Nawiasem mówiąc, w dobie internetu to bardzo dobry business dla osób lubiących ciekawą, daleką od monotonnej pracę, którą wykonuje m.in. Adriana – córka Tereski i Piotrk Kiszczyców, do spółki ze swym mężem.

Z kilku ofert pracy zaproponowanych przez agenta Ricka Blackwella z Charleston, wybrałem jedną w niemieckiej firmie INA Walzlaeger (amerykańska filia nosiła nazwę INA USA^[128]) – światowego potentata produkcji łożysk, produkującej również części silników samochodowych. Podobny profil produkcji, podobne maszyny, inne systemy automatyki oparte na urządzeniach niemieckich, głównie Siemens. Siemens produkował PLC w oparciu o inną technikę, niż amerykańskie i japońskie odpowiedniki, podczas gdy najnowszy PLC zwany Simatic Step 7 posiadał bardziej zinegrowana architekturę, kompatybilna z amerykańskimi.

W miarę zdobywania doświadczenia na automatyce Siemens przekonywałem się, iż zarówno wciąż używany step 5 jak i wchodzący do businessu od 1997 roku Step 7 w swym oryginalnym kształcie są zupełnie sympatyczne do przyswojenia. W każdym razie w INA USA, w zakładzie zlokalizowanym w niewielkim miasteczku Cheraw w Południowej Karolinie, powierzono mi stanowisko zastępcy głównego automatyka d/s elektroniki z pensją o 25% wyższą, niż miałem po 10-ciu latach w Eaton Corporation. Całą swoją emeryturę plus udziały przelałem na konto emerytalne INA, która wprawdzie jako prywatna firma nie posiadała udziałów, ale za to partycypowała w programie 401k. Jest to program

128 Początkowo znana jako INA Bearing, zakłady usytuowane na terenie USA zmieniły nazwę na INA ISA. Po połączeniu z konkurencyjnymi niemieckimi firmami LUK i FAG zmieniła nazwę na Scaeffler Group USA, od nazwiska właścicieli Elizabeth Schaeffler oraz jej syna Georga <http://www.luk-us.com/content.schaeffler.us/us/index.jsp>.

oszczędnościowy dla pracowników, którzy mogą zadeklarować dowolny procent zarobków, podczas gdy pracodawca dodaje t.zw. matching contribution, zwykle nie przekraczający 6% zarobków pracownika. Np. Gdy pracownik zadeklaruje potrącanie 6% wynagrodzenia, to wraz z matching contribution kumuluje mu się na koncie 12%. Matching contribution jest zawieszona wszakże do momentu osiągnięcia przez pracownika określonego stażu pracy w danej firmie. Doraźną korzyścią programu 401k jest obniżenie podstawy opodatkowania o zadeklarowaną sumę, czyli tłumacząc na polskie stosunki odpis podatkowy do własnej kieszeni.

Fundusze zgromadzone na koncie 401k biorą udział w giełdzie NYSA (New York Stock Exchange) a poprzez internet można dokonywać przelewów na różne formy oszczędzania od najbardziej agresywnych poprzez umiarkowane do konserwatywnych. Można zatem, spekulując na giełdzie, albo dużo zarobić albo dużo stracić, albo po prostu traktować oszczędności jak odsetki w banku, nabierające stopniowo wartości. W nawiasie przedstawiłem oryginalną definicję programu 401k. (A qualified plan established by employers to which eligible employees may make salary deferral (salary reduction) contributions on a post-tax and/or pretax basis. Employers offering a 401(k) plan may make matching or non-elective contributions to the plan on behalf of eligible employees and may also add a profit-sharing feature to the plan. Earnings accrue on a tax-deferred basis.) Niezależnie od programu 401k, będąc pracownikiem salary, przysługiwał mi plan emerytalny, na który nie musiałem deklarować żadnych składek. Użyłem czasu przeszłego, ponieważ kilka lat po moim przejściu na emeryturę, w ramach cięć oszczędnościowych plan ten został zlikwidowany. Kolejny raz szczęście znalazło się po mojej stronie. Południowe Stany charakteryzują się głębokim konserwatyzmem, który stano-

wi moją orientację polityczno-światopogladową od dobrych 40 lat. Jednym z elementów konserwatyzmu Południa jest brak związków zawodowych, co powoduje, iż zagraniczne firmy bardzo chętnie w południowych Stanach inwestują.

INA USA posiada na terenie USA 6 zakładów i wszystkie usytuowane są w Południowej Karolinie. Jakość amerykańskiej produkcji porównywalna jest z niemiecką czy japońską przy czym koszty wytwarzania w południowych Stanach są znacznie niższe niż w Europie a zwłaszcza w Niemczech. Jak w dowcipie o różnych krowach, niemiecka krowa będzie żyła 100 lat, jadła raz w miesiącu i sama się doiła. Wszystkie niemieckie krowy są blondynkami, pija dużo piwa, dają mleko wysokiej jakości i biegają z szybkością 100 mil na godzinę. Niestety, domagają się 13 tygodni urlopu. Warunki pracy w firmie bezzwiązkowej nie odbiegają niczym od związkowych, są bowiem regulowane odpowiednimi przepisami prawnymi.

O ile natomiast w związkowych firmach obowiązuje demobilizująca ambitnych pracowników urawniówka, polegająca na tym, iż elektryk po 4-letnim college zarabia o 1\$ na godzinę więcej od wymiatacza wiórów spod maszyny, o tyle poza związkami elektryk, mechanik, frezer czy tokarz zarabia dwa razy tyle co pracownik niewykwalifikowany. Stawki pracowników o wysokich kwalifikacjach są porównywalne z tymi, które otrzymują związkowcy a de facto zarabiają na rękę więcej, bo nie muszą płacić składek związkowych. Wysyłanie pracowników na lay-off u związkowców odbywa się na zasadzie seniority, czyli dobry pracownik i ceniony fachowiec będzie zwolniony w pierwszej kolejności tylko dlatego, że ma krótszy staż niż najgorszy głąb czy obibok. W bezzwiązkowych zakładach kryteria wysyłania pracowników na lay-off implikuje system punktowy, w którym staż również stanowi jeden

z czynników ale nie decydujący. Liczą się takie kryteria jak punktualność, absencje, opinia przełożonych, elastyczność, czyli możliwość podjęcia pracy na różnych stanowiskach.

O ile w Saginaw pracownicy walczyli o możliwość pracy w godzinach nadliczbowych, o tyle w Cheraw, gdzie większość miała jeśli nie farmy to przynajmniej konia, monster truck, samolot, klasyczne auto czy inne hobby – trudno było kogokolwiek się doprosić o pozostanie dłużej. Do ulubionych zajęć mieszkańców tych okolic należy golf, w którego można grać przez cały rok na dwóch konkurencyjnych polach za przystępną opłatą, oraz myślistwo, gdyż sezon na sarny trwa tutaj przez większość roku a na wszystko co się rusza bez ograniczeń. Osoby, dla których nie istnieje żadna pasja poza myślistwem, terenowymi truckami, wyścigami NASCAR, żuciem tytoniu marki Red Man i piwem Budweisser, które ponadto są niezbyt pedantyczne w ubiorze i wystroju domów, nazywane są Rednecks (dosł: czerwony kark. Polskie odpowiedniki to m.in. czeresniaki, łańcuchy, paździerze, sieczkobrzęki itp.) ale sumie są to ludzie bardzo sympatyczni, gościnni i serdeczni. Południowcy na mieszkańców północnych Stanów – dla których każdy mieszkaniec Południa to Redneck – mówią Yankee, co w Polsce wymawia się jako Jankesi i błędnie stosuje do wszystkich mieszkańców USA.

Po złożeniu mi oferty zatrudnienia, dyrektor Human Resources (kadry) Alan Lansburg zafundował Joli i mnie house hunting trip czyli podróż w celu szukania domu, dosłownie polowanie na domy. Pierwszy raz (i jak dotąd jedyny) mieliśmy okazję lecieć klasą business i to w obie strony na trasie Saginaw-Charlotte z przesiadkami w Chicago. Opłacono nam wypożyczenie samochodu, hotel i przydzielono dwóch miejscowych agentów Real Estate, czyli pośredników sprzedaży nieruchomości, z których jeden - Andy Ingram pełni dotąd funkcję mayor (burmistrza) miasta

Cheraw. W tak małej dziurze, gdzie w jednym końcu kichniesz a w drugim ci mówią „bless you” (odpowiednik polskiego „na zdrowie”) wybór nie był nadzwyczajny i w ciągu dwóch dni byliśmy w stanie obejrzeć kompletne spektrum wszystkich ofert a trzeciego dnia podjąć decyzje i dać zadatek. Bez dłuższego zastanawiania wybraliśmy dom, który był tak nowy, że jeszcze nie wykończony, na cichym przedmieściu w okolicy, która developer Bill Tillman dopiero zaczął zagospodarowywać.

Nasz dom był trzecim z kolei a dwa poprzednie zostały oddane do użytku w odstepie kilku miesięcy. Obecnie na tym subdivision (mini-osiedlu) mieści się już 13 domów a trzy place są jeszcze wystawione na sprzedaż. Sprzedawca Gerry Chapman, właściciel firmy budowlanej, który te domy stawiał, podał cenę 100 tys. \$, zaproponowaliśmy 94 tysiące i się zgodził. Był to chyba ostatni na terenie USA nowy dom, który można było kupić za cenę poniżej 100 tysięcy. Dom posiada powierzchnię 1850 stóp kwadratowych (172m²) , trzy sypialnie, dwie pełne łazienki, w tym główna z ogromną wanną i osobną kabiną natryskową, dużą, widną kuchnię z przylegającym pokojem śniadaniowym z jednej i obiadowym z drugiej strony. Powierzchnię mieszkalną uzupełnia duży living room z kominkiem i wyjściem na rozległy taras. Niestety, w tych okolicach niemożliwe są piwnice – prawdopodobnie z powodu zbyt obfitych opadów w sezonie huraganów – a garaże należą do rzadkości, w związku z czym musieliśmy dokonać dużej segregacji wszelkich rupiec, których w Cheraw nie mieliśmy gdzie składować.

Alan dał nam nieoprocentowaną pożyczkę 50 tysięcy dolarów, byśmy mogli dać duży zadatek zanim sprzedamy nasz w Saginaw, do spłacenia w ciągu jednego roku. Było to nasze pierwsze zetknięcie z obyczajami mieszkanców Południa, o czym uprzedzał nas Alan. Tutaj nikomu się nie spieszy, punktualność stanowi po-

jecie względne, spóźnienie nie jest niczym nagannym zwłaszcza, że rekompensowane bywa czarującym sposobem prowadzenia konwersacji nierzadko z trudnym do zrozumienia południowym akcentem.

Tak jak na Śląsku nie wszyscy mówią gwara, tak samo na Południu większość ludzi można zrozumieć bez proszenia o powtórzenie. Gerry obiecał, że dom będzie wykończony za 6 tygodni a gdy po sześciu tygodniach przyjechalśmy, to powtórzył, że będzie gotów za sześć tygodni. Przed wyjazdem udało nam się znaleźć nabywcę na nasz dom; młode małżeństwo, nie śmierzące groszem, które dostało kredyt na sumę przekraczającą wysokość uzgodnionej ceny i nie tylko nie musieli ponosić żadnych kosztów closingu ale jeszcze otrzymali 20 tys. dolarów na zagospodarowanie. Wielu młodych ludzi nie zdawało sobie sprawy z prostego faktu, że bank im nie dał tych pieniędzy w prezencie tylko wpędzili się w długi często niemożliwe do spłacenia, zwłaszcza po spadku cen domów, który zaczął postępować w pierwszych latach obecnego stulecia. Dla nas było to o tyle nerwowe, iż nie wpłacając zadatku, mogli w każdej chwili zrezygnować z kupna bez ponoszenia konsekwencji a sprzedaż domu na dystans tylko przez agenta mogłaby sprawę przeciągnąć. Mimo przedłużenia closingu, podczas którego reprezentowała nasze interesy Iwonka, udało nam się sprzedać dom z zyskiem, na tyle sporym, że starczyło na wpłatę 60% wartości domu w Cheraw i zaciągnięcie niskoprocentowej pożyczki na pozostałą sumę na 15 lat.

INA nie tylko opłaciła koszty ale również zaaranżowała naszą przeprowadzkę. Do nas należało wybranie trzech firm zajmujących się przeprowadzkami, przedłożenie ich ofert Alanowi, który dokonał wyboru. Nam pozostało wskazanie przeznaczenia poszczególnych mebli, segregacja dokumentów, zdjęć i pamiątek,

wybór przedmiotów niezbędnych do momentu przyjazdu trucka z meblami a resztą zajęli się pracownicy Mayflower^[129]. Dwa dni przed oficjalnym rozpoczęciem pracy udaliśmy się w długą, liczącą 800 mil czyli ok. 1300km na dwa samochody i jedną przyczepę. Jola prowadziła Saturna SL1 a ja ciągnąłem naszą przyczepę campingową Nomad moim truckiem Chevrolet Silverado 2500, rocznik 1995. Od 1992 roku przesiedlimy się na nowe samochody. Po wypadku, w którym uległ totalnemu zniszczeniu Dodge Aries – na szczęście Iwonka wuszyła z niego tylko ze złamanym nosem – oddaliśmy dzieciom Nissana, a gdy ja kupiłem mini pickup Chevrolet S10, młodsze pokolenie odziedziczyło Nissana Sentra. Trzy lata później przekazaliśmy Iwonce Hondę a Jola przesiadła się na nowego Saturna SL1. Kupno przyczepy wymagało trucka silniejszego niż S10, którego zamieniłam na Chevrolet Silverado 2500.

W przyczepie znajdowały się nasze ubrania, komputer, garnki, naczynia i wszystko, niezbędne do życia na campingu przez okres dwóch tygodni, oraz Kropeczka – młodziutka kotka, wybrana przez Kasię po tajemniczej śmierci Kitki. Zatrzymaliśmy się w połowie drogi, w miejscowości Mineral Wells w Stanie West Virginia, w hotelu American Suites, gdzie wybraliśmy najdroższy apartament dla par w podróży poślubnej. Jola przemyciła dziwnie spokojną Kropeczkę w torbie z materiału obok recepcji, gdyż regulamin hotelu zabraniał trzymania zwierząt. Apartament miał ogromną wannę w kształcie serca z podwodnym masażem, z balkonem wychodzącym na kryty basen. INA opłacała nam podróż na trzy samochody wliczając koszty zakwaterowania, wyżywienia, paliwa, opłat za przejazd autostradami. Od Saginaw aż do Flint jechaliśmy autostradą I-75, następnie US-23 do Toledo, Ohio, gdzie

129 Mayflower. Działająca na terenie całej Północnej Ameryki firma, dokonująca kompletnych przeprowadzek, na długie dystanse.

wjechaliśmy na płatną autostradę I-80 aż do Akron, Ohio, gdzie po uiszczeniu opłaty 3-ch dolarów (dzisiaj na tym odcinku opłata wynosi 7,50\$) zjechaliśmy na autostradę I-77, przez całą Ohio, Zachodnią Virginie, Virginie, Północną Karolinę aż do największego miasta tego Stanu Charlotte, liczącego obecnie z przedmieściami ponad 1,5 miliona mieszkańców. W Charlotte wjechaliśmy w Independence Boulevard (aleja Niepodległości), stanowiącą drogę US-74, przez najdłuższe przedmieście Charlotte – Monroe, ze światłami co pół mili, do Wadesboro. W Wadesboro skręciliśmy na południe do drogi US-52, która przywiodła nas aż do Cheraw 5-tysięcznego miasteczka, usytuowanego na skrzyżowaniu dróg US-1, US-52 i SC-9^[130]. Oczywiście między naszymi planami a słownością Gerry Chapmana w wykończeniu domu była różnica i w sumie biwakowaliśmy w Cheraw State Park od 18 października do 5-go listopada.

Na skrzyni trucka miałem ponadto narzędzia, stół warsztatowy, duże rośliny doniczkowe, które byliśmy zmuszeni trzymać przez miesiąc w wynajętym pomieszczeniu do składowania. INA urządziła swego czasu Christmas Party dla pracowników do momentu, gdy nazwa Christmas zaczęła razic „uczucia” ateistów. Podczas naszego pierwszego - i ostatniego – Christmas Party,

130 Amerykańskie drogi, których numer poprzedza litera I – Interstate czyli międzystanowe, są to bezkolizyjne autostrady, na niektórych odcinkach płatne, a numery ich zawsze są oznaczane kolorem niebieskim. Często nazwą autostrad jest expressway czyli droga expressowa. Drogi międzystanowe, które tylko na pewnych odcinkach mogą być bezkolizyjne (jak np. Droga US-23 na odcinku Flint-Toledo) i odpowiadać statusom autostrad, oznaczane są na białej tarczy a popularna nazwa highway (droga szybkiego ruchu) często mylona bywa z autostradą. Drogi zaczynające i kończące przebieg na terenie jednego Stanu oznaczane są owalnymi, prostokątnymi lub kwadratowymi tablicami, przeważnie z dwu-literowym skrótem nazwy Stanu, np SC-9 oznacza drogę nr. 9 w Stanie Południowa Karolina. Drogi biegnące południkowo posiadają numeracją nieparzystą, równoleżnikowo – parzystą. Autostrada I-95 biegnąca z Hulton w Stanie Maine do Miami na Florydzie lub I-80 New York – San Francisco.

gdzie oprócz obiadu, piwa, orkiestry przygrywającej do tańca, każdy uczestnik brał udział w losowaniu nagród ufundowanych przez naszych klientów, niespodziewanie wygrałem – pierwszy i jedyny raz w życiu – szwedzki tiller, czyli spalinowy pług marki Husqvarna, zawierający łożyska z naszego zakładu. Nasz dom postawiony był na pobieżnie zniwelowanym ugorze, zarosniętym bogatą różnorodnością chwastów, a zatem bez pługa nie poradzilibyśmy sobie w zagospodarowaniu działki o powierzchni 0,58 akra (ok. 2300m²). Po zaoraniu i obsianiu trawą zaczęliśmy obsadzać granice działki od przodu dwoma rzędami mirt a od tyłu cyprysami gdyż Jola lubiła privacy.

Obecnie, zwłaszcza w porze letniej ani nie widać z naszego sąsiadów ani sąsiedzi nie mają wglądu w to, co się u nas dzieje. Mirty porosły nie tylko wzwyż ale i wszecz. Rząd od strony szosy obsadzony jest gatunkiem evergreen, czyli zawsze zielonych, kwitnących krótko białymi kwiatami o prześlicznym zapachu przypominającym jaśmin, natomiast drugi rząd oraz południowa ściana składa się z krzaków, tracących liście na zimę, kwitnących długo, prawie całe lato bezwonnyimi kwiatami o szerokim spektrum czerwieni i błękitu. Na samym froncie posadziliśmy palmę, która pięknie rosła przez 15 lat i w tym roku zgniła wewnątrz na skutek długotrwałych opadów deszczu wiosną oraz gliniastego podłoża. Jak mi powiedziano w sklepie ogrodniczym palma lubi prysznic ale nie cierpi kąpeli. Również cyprysy zaczęły schnąć w tym roku bez wyraźnego powodu.

Czyżby przyroda dawała mi do zrozumienia, iż pora się zbierać? Posadziliśmy również dwie jabłonki, które nie bardzo widać lubią ciepły klimat, bo owoce nadają się tylko na przetwory. Z brzoskwiniami nie miałem szczęścia, podobnie jak z czereśnią. Korzystając z tillera zrobiliśmy również warzywniak, gdzie upra-

wialiśmy pomidory, paprykę, ogórki, okrę, arbuzy i melony, które pierwszego roku obrodziły tak, iż codziennie musiałem nosić do pracy kosze wypełnione z naszymi zbiorami do obdzielenia kolegów i koleżanek. W latach następnych stopniowo ograniczaliśmy zarówno powierzchnię jak i repertuar warzywniaka, wymagający ciągłego pielienia i podlewania, gdyż w miesiącach letnich zdarza się sporo okresów bezdeszczowych. Deszcze, i to bardzo ulewne, zdarzają się latem głównie podczas przechodzenia na naszej wysokości huraganów, rzadko uderzających z pełną siłą tak daleko w głąb lądu.

Cheraw leży pod szerokością geograficzną 34°41'48"N długość 79°53'42"W czyli na wysokości północnej Afryki, posiadając sub-tropikalny klimat. Lato bywa tu bardzo upalne, temperatury nierzadko zbijają się do, lub przekraczają 40°C, upały zaczynają się już w maju i trwają do połowy października. Zima jest tu bardzo łagodna, opady śniegu należą do rzadkości, nie występują częściej niż 2-3 razy w ciągu całego sezonu a śnieg nie utrzymuje się na powierzchni dużej, niż kilka godzin. Temperatura czasami spada w ciągu nocy poniżej 0°C ale w ciągu dnia potrafi wzrosnąć do +20°C.

Często zimą zdarzało się, że jechałem do pracy w swetrze a wracałem w samej koszuli z podwiniętymi rękawami. Wiosną zainstalowaliśmy naziemny basen a była to inwestycja niezbędna w tutejszym klimacie. Godzina pracy na ogródku bezwzględnie wymaga zanurzenia się w wodzie, która latem też potrafi się nagrzać do temperatury wody w wannie. Jola lubiła pracę w ogródku, dbać o dom i mieć własny rozkład zajęć, niezależny od karty zegarowej. Początkowo, gdy mieszkaliśmy na campingu, poprosiłem o przedłużony lunch by nie zostawiać jej samej zbyt długo, a później tak się przyzwyczailem, że codziennie przyjeżdżałem do domu na

lunch, mając do pracy niewiele ponad 10 minut w jedną stronę. Po pierwszej wizycie u nas, gdy zjechali się do nas wszyscy na Boże Narodzenie – Kasi tak się podobało, że spędzała u nas każdą przerwę w szkole, korzystając z uruchomionej na przełomie XX-go i XXI-go wieku linii Spirit Airlines, oferującej tanie przeloty na trasie Detroit- Myrtle Beach. Myrtle Beach znajduje się 2 godziny jazdy od nas, posiada cały szereg pięknych hoteli z cenami dopasowanymi do możliwości każdego, z wielokilometrową plażą i ciepłą wodą w Atlantyku przez większość roku. Wszystko wskazywało na to, że ciąg dalszy możnaby streścić słowami: and lived happily ever after czyli: „... a potem żyli długo i szczęśliwie”.

BEZ HAPPY ENDING

Jola, będąca z natury nieśmiałą domatorką, od razu polubiła lokalizację naszego, nowego domu, usytuowanego na pustkowiu, otoczonego zachwaszczonym terenem, na którym rosły różne drzewa dające się przesadzać, m.in. tuje. W najbliższej okolicy znajdowały się tylko trzy domy, z naszym włącznie. Nasz najbliższy sąsiad Dorvin, również pracował w INA jako operator prasy na nocnej zmianie, a jego żona Lania była kierowniczką zmiany w supermarkecie Food Lion w Pageland, miasteczku oddalonym o 30 mil od Cheraw. Oboje byli w okolicy 30-ki, niecały rok po ślubie, bezdzietni. Dorvin posiadał liczne towarzystwo rówieśników, regularnie odwiedzających go w weekendy, gdy miały miejsce party, połączone z grillem w beczce o rozmiarach sporej kuchni polowej, przyciąganej truckiem przez jednego z biesiadników. Dorvin wy-

specjalizował się w prażeniu frytek a dla nadania imprezom odpowiedniego nastroju koledzy przywozili kilka skrzynek piwa. Często byliśmy przez Dorvina zapraszani, przynosząc wpisowe w postaci sałatki warzywnej wykonanej przez Jolę oraz dodatkowej skrzynki piwa przeze mnie.

Zarówno Jola, jak i Lania nie należały do entuzjastek oferowanych przez męską część programów rozrywkowych, zwłaszcza, że Lania kończyła pracę i przybywała na miejsce akcji w momencie gdy towarzystwo znajdowało się już w szamapańskich humorach, a do jej obowiązków nierzadko należało rozwożenie uczestników biesiad po domach, gdy przekroczyli dawkę alkoholu, pozwalającą na prowadzenie samochodów. Szczególnie ciężkie przypadki traktowane były noclegiem w rozbijanych na polu namiotach. Po kilku miesiącach Lania pewnego dnia spakowała się i odeszła od Dorvina, pozostawiając go wprawdzie z obszernym domem ale również obciążonym ratami pożyczki do spłacenia. Na jedną pensję było to obciążenie zbyt wielkie i Dorvin był zmuszony do sprzedaży, a nowymi nabywcami okazało się bardzo sympatyczne, aczkolwiek nie tak rozrywkowe jak ich poprzednicy, młode małżeństwo nauczycieli Chris i Karen. W drugim domu od nas mieszkał adoptowany przez amerykańską rodzinę Chińczyk Nathan Fong – inżynier zatrudniony w drugim obok INA zakładzie przemysłowym w Cheraw, japońskiej firmie Takata, produkującej poduszki powietrzne do samochodów. Żona Nathana 30-letnia Debbie, również była azjatyckiego pochodzenia, podobnie jak Jola nie pracowała zawodowo i bardzo się obie zaprzyjaźniły na zasadzie kontrastu: Jola więcej słuchała niż mówiła a Debbie dokładnie na odwrót. Amerykańskim zwyczajem na Święto Dziękczynienia¹³¹

131 Dzień Dziękczynienia, Święto Dziękczynienia (ang. Thanksgiving Day lub Thanksgiving) – święto obchodzone w Stanach Zjednoczonych Ameryki w czwarty czwartek listopada, a w Kanadzie w drugi poniedziałek października

zaprasza się osoby nie tylko ubogie, które nie sta na indyka ale również samotne, żyjące z dala od najbliższej rodziny. Przybrani rodzice Nathana i rodzeństwo mieszkali w Nowym Jorku a rodzina Debbie w Teksasie. Rodzice Dorvina mieszkali w Georgia i zaprosili naszych sąsiadów a my zostaliśmy zaproszeni do Debbie i Nathana wraz z parą znajomych Nathana z pracy. Każdy z uczestników świątecznego obiadu musi za coś dziękować. Ja dziękowałem za zdrowie, za wspaniałą żonę, z którą przeżyłem prawie 40 lat, za dobrą pracę i przemiłych sąsiadów, dzięki którym nie musieliśmy spędzać Świąt Dziękczynienia w samotności. Debbie pokiwała głową podczas mojego dziękczynienia ponieważ sama nie miała nadzwyczajnego zdrowia. Cierpiała jednocześnie na astmę i na cukrzycę a później okazało się, iż była w ciąży, co oboje Państwo Fung mieli ujawnić w Boże Narodzenie.

20 grudnia przyszedł do nas Dorvin i ze smutną miną zakomunikował, iż Debbie zabrało w nocy pogotowie do szpitala, gdzie poroniła, miała atak astmy, wstrząs insulinowy i nad ranem zmarła nie odzyskawszy przytomności. Był to dla nas prawdziwy szok, a zwłaszcza dla Joli, która się zdążyła z Debbie zaprzyjaźnić w tym krótkim okresie od naszego przyjazdu. Dwa dni po pogrzebie zjechała się do nas rodzina w komplecie: Iwonka, Wojtek, Agnieszka, Ewa, Kasia, a wraz z nimi zabrał się również Krzysiek Sylwestrzak. Przyczepa służyła nam za pokój gościnny, w którym znajdowało

jako pamiątka pierwszego Dziękczynienia członków kolonii Plymouth w 1621. Pielgrzymi wylądowali na Skale Plymouth 11 grudnia 1620 roku. Po pierwszej ostrej zimie, do początku kolejnej jesieni zmarło 46 ze 102 osób zaokrętowanych na „Mayflower”. Ale ponieważ żniwa 1621 roku były obfite, koloniści postanowili uczcić to świętem wraz z 91 Indianami z plemienia Wampanoagów (ang. Wampanoag), którzy wraz z wodzem Massasoitem pomogli im przetrwać pierwszy rok, pokazując jak się łapie w sidła indyki oraz gdzie się zbiera żurawinę. Świętem narodowym ogłosił je w 1863 roku prezydent Abraham Lincoln i z tego samego okresu datują się stereotypy o Dniu Dziękczynienia.

się 8 miejsc do spania, łazienka, kuchnia z pełnym wyposażeniem, lodówka, teewizor. Ogrzewana była propanem z zamocowanych na przedzie butli, energia na postoju doprowadzona była przy pomocy kabla, w drodze posiadała własne akumulatory wraz z przetwornikiem do ładowania. W przypadku konieczności ewakuacji na wypadek huraganu, mogliśmy przeżyć kilka dni w głębi ładu a gdyby zniszczenia okazały się poważne – mielibyśmy gdzie przeczekać okres remontu lub odbudowy.

Natan nie chciał pozostawać w domu, w którym wszystko mu przypominało Debbie; po przyjeździe przybyłej na pogrzeb i pozostałej na Boże Narodzenie rodziny poprosił o przeniesienie do innego zakładu Takaty w Północnej Karolinie a później do Stanu Nowy Meksyk. Od Natana odkupił dom jego kolega z pracy Allan, który wprowadził się wraz z żoną Lindą i dorosłym synem o imieniu Chuck. Linda była osobą hałaśliwą, lubiącą rozmawiać o nieobecnych czym nie zyskała zaufania ani Joli ani mojego. Po kilku latach Takata znacznie ograniczyła buisness w Cheraw przenosząc część produkcji do Stanu Nowy Meksyk a część do Meksyku. Z Meksyku wprawdzie musieli się wycofać z powodu niskiej jakości wyrobów ale do Cheraw już nigdy nie powrócili. Alan dostał ofertę przenosin do Nowego Meksyku z alternatywą trzymiesięcznej odprawy. Zdecydował się na drugą opcję, podejmując pracę na kontrakt, ale z dala od Cheraw. Wystawili dom na sprzedaż ale z uwagi na wygórowaną cenę czekali na kupca następne kilka lat, dojeżdżając tylko na koszenie trawy i sprzątanie. Latem 2013 roku dom ich kupił pastor pobliskiego kościoła Church of Christ, z którym zdążyłem się pobieżnie zapoznać.

Gora z górą się nie zejdzie i świat jest mały, to dwa porzekadła, które wielokrotnie w moim życiu się spełniły. W roku 1990 Plant Eaton w Saginaw wygrał przetarg na masową dostawę po-

pychaczy hdraulicznych do silników Chryslera, różniących się od dotychczas produkowanych dla Forda przede wszystkim korpusem wykonanym z odlewu, podczas gdy dla Forda popychacze są cięte ze stalowego pręta. Część ułożyskowania (produkcji INA, do której się przenieśliśmy w 1998 roku) różniła się od fordowskich wymiarem i sposobem mocowania. Ponadto korpusy po opuszczeniu odlewni – również przebrojonej na nową produkcję – wymagały kilkustopniowego oszlifowania na okrągło zewnętrznych powierzchni. Zestaw szlifierek zakupiliśmy od firmy Cincinnati Milacron, której specjaliści gościli u nas podczas uruchamiania linii. Ja zaprojektowałem automatykę do automatycznych ładowarek materiału wraz z orientacją i odrzucaniem braków i asystowałem fachowcom z Cincinnati Milacron, ucząc się przy okazji unikalnego programu, sterowania, diagnostyki i kompensacji walców ściernych. Program nazywał się MCL (Machine Control Language), którego musiałem się nauczyć w ciągu dwóch tygodni rozruchu maszyn a następnie telefonicznie konsultować wynikłe problemy, nieprzewidziane podczas rozruchu. Cincinnati-Milacron przysłał kilku fachowców, spośród których najbardziej kompetentny był Mike Sullivan, z którym miałem później kontakt telefoniczny aż do momentu gdy ich firma uległa likwidacji.

Posiadam zdolność zapamiętywania twarzy i po ośmiu latach spotkałem się z Mike Sullivanem w INA, gdzie pracował jako ekspert do spraw szlifierek. Rozpoznałem go od razu a Mike uwierzył mi na słowo, że kiedyś spotkaliśmy się w odległym o 1300 km Saginaw. Okazało się, iż Mike był również katolikiem i uczęszczał do tego samego – jedynej zresztą w promieniu 50 mil – katolickiego kościoła pod wezwaniem Świętego Piotra. Katolicy w Południowej Kaolinie stanowią zdecydowaną mniejszość spośród innych odłamów chrześcijaństwa, nie przekraczającą 3%, a parafia Św. Piotra

liczy niewiele ponad 100 rodzin, rozlokowanych w kościele głównym w Cheraw a ponadto w misjach św. Dennisa w odległym o 20 mil Bennetttsville oraz Św. Ernesta w Pageland. Wszystkie te kościoły obsługiwane są przez jednego księdza, odprowadzającego Msze niedzielne na raty: w sobotę po południu w Pageland, w niedzielę o 7:30 W Cheraw, o 9:30 w Bennetttsville i o 11:30 ponownie w Cheraw, gdzie należy ponad 2/3 członków całej parafii. Mike z żoną, córkami, zięciami i wnukami uczęszczał niemal zawsze na 7:30, my na 11:30 i dlatego przez prawie rok nie mieliśmy okazji się spotkać. W tak niewielkiej społeczności jaką tworzą katolicy, wszyscy parafianie tworzą jeden wspólny krąg znajomych, który z dużym uproszczeniem nosi cechy jednej wielkiej rodziny. Nawiazaliśmy dość szybko znajomość z większością parafian, przez których wyrobiliśmy sobie znajomości w mieście i w okolicy. Kilku parafian, oprócz Mike'a pracowało w INA, m.in. jego zięć Dave Walsh, Dr. Cobbolt został naszym rodzinnym lekarzem, Filipińczyk Marvin Santo Domingo, prowadzący zakład fizjoterapii był moim masażystą po złamaniu ręki. Najwięcej kontaktów mieliśmy z Dickiem Blinkhornem, urodzonym społecznikiem, który wciągnął mnie do organizacji Lions Clubs International^[132], jego żonę Frances – emerytowaną pielęgniarką, pełniącą społecznie funkcję lokalnego centrum informacyjnego oraz z Mike'm i jego żoną Georgianą, pracującą w supermarkecie Wal-Mart. O Frances Mike żartobliwie mówił:

Mamy trzy główne kanały komunikacji w Cheraw: telefon,

132 Lions Clubs International – filantropijna organizacja pozarządowa, skupiająca swych członków na zasadzie wolontariatu. Ponieważ skupia ponad 1,3 miliona ludzi i 45 tys. klubów w ok. 200 krajach na całym świecie prawdopodobnie jest największą tego typu organizacją na świecie. Siedziba międzynarodowa mieści się w Oak Brook w Illinois. Organizacja założona w Stanach Zjednoczonych w 1917 przez Melvina Jonesa, pierwszy klub poza granicami USA powstał 12 marca 1920 w Kanadzie (Windsor w Ontario)

telefax i tell Frances (powiedz Frances).

Frances jest dobra w przekazywaniu informacji, natomiast nikt nie miałby prawa zarzucić jej plotkarstwa. Równie dobrze Mike mógł powiedzieć to samo o swej żonie Georgianie, która pracując w dziale odzieżowym mogła czasami oderwać się od nudnego przypinania metek, rozwieszania sukienek w określonym porządku, gdy tylko w pobliżu pojawił się ktoś znajomy. Mimo swej gadatliwości była bardzo lubiana przez wszystkich. Do naszego kościoła uczęszczały dwie Murzynki (rzadkość wśród katolików): Sarah Lisenby i Armenta Lingard. Sarah jest wnuczką białej kobiety zgwałconej przez Murzyna, a ponieważ Amerykanie nie uznają ras pośrednich – jedna kropla krwi murzyńskiej kwalifikuje człowieka do czarnej rasy – wzrastała w środowisku czarnych. Córka Sary zachowywała się nieodpowiedzialnie – według słów matki – i po urodzeniu syna oddała jej go na wychowanie. Ojciec Williama postawił wszakże warunek adopcji, by jego dziecko było wychowywane jako katolik a zatem Sarah przeszła z kościoła Baptystów na katolicyzm i w tej wierze wychowała syna. Dlaczego Armenta została katoliczką tego nie wiem. W każdym razie po owdowieniu a następnie poślubieniu Clarence, zwanego Chuck, nakłoniła go do przejścia na katolicyzm. W 1999 roku Iwonka miała kłopoty wychowawcze z 16-letnią wówczas Ewą i zaproponowała byśmy się nią zajęli. Przypomniało mnie się jak moja mama z podobnych powodów odesłała mnie na rok do Łabęd.

Operacja ta wymagała sporo zabiegów formalnych ponieważ nie chciano przyjąć Ewy do szkoły o ile nie przeprowadzimy procesu adopcji. Iwonka musiała sądownie zrzec się praw rodzicielskich na rzecz Joli i mnie tylko po to, by można ją było zapisać do High School bez konieczności płacenia czesnego. Jest to kolejne potwierdzenie na indolencję wszelkich rządowych instytucji

dowolnego szczebla. Ewa przechodziła okres buntu, odrzucając wszelkie wzorce moralne z wiarą w Boga na czele. Gdy pochwaliła się swymi poglądami – a raczej ich brakiem – w szkole, spotkała się z szokiem u rówieśników. Na Południu bowiem nie wypada afiszować się ateizmem, gdzie każdy posiłek, nawet w restauracji, rozpoczyna się od modlitwy, a Boga wspomina się na każdym kroku. Nawet kichnięcie czy rozliczenie z prostytutką kończy się życzeniem God bless you (niech cię Bóg błogosławi). W każdym razie nie chcieliśmy Ewy na siłę nawracać ani zostawiać jej samej i przez cały okres jej pobytu nie chodziliśmy do kościoła.

Ewa, mimo początkowych oporów, pod wpływem Joli zmieniła się nie do poznania, skończyła szkołę z wyróżnieniem, następnie studia i obecnie jest inżynierem projektantem oświetlenia dużych obiektów a ponadto wykładowcą podstaw elektrotechniki na Lawrence Technological University w Southfield, MI. Ewa pamięta jak wiele zawdzięcza Joli i jako jedyna w rodzinie ma odwagę ją wspominać i raz na kilka lat odwiedzać jej grób. Iwonka obiecała Ewie nagrodę w postaci wakacji w Polsce o ile skończy klasę z dobrymi ocenami. Realizacja tej obietnicy wiązała się z dopełnieniem prawnych formalności związanych z obywatelstwem Ewy. Potomkowie osób, które uzyskały obywatelstwo amerykańskie drogą naturalizacji, nie otrzymują obywatelstwa rodziców automatycznie, natomiast wystarczy złożenie pisemnego oświadczenia by takowe uzyskały przed ukończeniem 18 lat. Iwonka po otrzymaniu obywatelstwa, tej formalności w stosunku do Agnieszki i Ewy nie dopełniła, podczas gdy Kasia stała się obywatelką amerykańską w momencie narodzin na terytorium USA. Ewa, podobnie jak Agnieszka ponadto miała zmienione nazwisko na granicy a na akcie urodzenia, niezbędnym do otrzymania paszportu jest nazwisko

rodowe. Studiując stronę Departamentu Stanu zorientowałem się, iż sprawa otrzymania przez Ewę paszportu będzie skomplikowana ale możliwa do załatwienia, ponieważ istnieją wyraźne zalecenia by nie utrudniać młodzieży podróżowania za granicę, poprzez stawianie biurokratycznych przeszkód na drodze wystawienia paszportu. W urzędzie Chesterfield County (hrabstwa), przyjmującym wówczas wnioski paszportowe, złożyłem pisemne oświadczenie wyjaśniające różnicę nazwisk Ewy między aktem urodzenia a Green Card a urzędnik Departamentu Stanu zadzwonił do mnie po wyjaśnienie. Po złożeniu ustnego wyjaśnienia Departament Stanu skontaktował się z Immigration i bez żadnych dodatkowych formalności Ewa otrzymała obywatelstwo amerykańskie a w ciągu tygodnia od tej rozmowy wyciągnąłem ze skrzynki jej paszport.

Jednym z pierwszych kroków na drodze objęcia Polski Visa Waiver Program^[133] było zniesienie wiz dla obywateli amerykańskich a zatem pozostała już tylko kwestia biletu by Ewa mogła spędzić wakacje w kraju swych rodziców, spotkać się z ojcem i z dziadkami, korzystając ze staroploskiej gościnności. Iwonka zaniedbała załatwienie spraw obywatelstwa Agnieszki, która rok później skończyła 18 lat i miała z tego powodu cały szereg problemów zanim uzyskała obywatelstwo po blisko 10 latach starań. Podczas pobytu u nas Ewa pod wpływem Joli zmieniała się nie do poznania. Jola, będąc osobą z natury delikatną i wrażliwą potrafiła być również konsekwentą i wymagającą w stosunku do Ewy, co

133 Visa Waiver Program – program rządu Stanów Zjednoczonych, który pozwala obywatelom poszczególnych krajów podróżować do Stanów Zjednoczonych w celach turystycznych lub biznesowych na okres do 90 dni bez konieczności uzyskania wizy. Odnosi się do 50 stanów USA, jak również terytoriów USA Portoryko i Wyspy Dziewicze Stanów Zjednoczonych z ograniczonym zastosowaniem do innych obszarów w USA. Kraje objęte tym programem są uważane za rozwinięte i mają bardzo wysoki wskaźnik rozwoju społecznego. Od ponad 20 lat Polska bezskutecznie stara się o objęcie programem VWP.

zaowocowało totalnym przeobrażeniem ze zbuntowanej nastolatki na odpowiedzialną i chętną do nauki dziewczynę. Po wyjeździe Ewy znów zrobiło się u nas pusto, z wyłączeniem okresów, gdy odwiedzała nas Kasia. Włączyliśmy się w działalność społeczną; ja działałem w Lions International a następnie zostałem zaprzysiężony do bractwa Knights of Columbus^[134] (Zakon Rycerzy Kolumba), podczas gdy Jola udzielała się aktywnie w Klubie Kobiet przy naszej parafii. Razem zaczęliśmy naukę popularnego na Południu i nie tylko tańca liniowego (line dance)^[135]. Lekcje prowadziła Linda Harris a akustykę zapewniał jej mąż Bill, pracujący w INA jako kierownik działu obcinarek.

Na początku roku 2000 dotarły do nas wieści o komunikacie wydanym przez konsulat Rzeczypospolitej Polski w Chicago, z treści którego wynikało, iż osoby posiadające podwójne obywatelstwo muszą przy wjeździe do oraz wyjeździe z Polski posługiwać się polskimi paszportami, a w przypadku ujawnienia posiadania polskiego obywatelstwa na terenie Polski mogą zostać zatrzymani, aż do momentu uzyskania takowego. Wymóg powyższy nie mógł stanowić większego problemu dla osób posiadających ważne pasz-

134 Knight of Columbus – Zakon Rycerzy Kolumba – największa na świecie katolicka organizacja świecka o charakterze charytatywnym. Obecnie zrzesza ponad 1,8 mln członków w USA oraz w następujących krajach: Canada, Mexico, Guatemala, Poland, Panama, the Dominican Republic, the Philippines, Cuba (Raport Najwyższego Rycerza, 2013, http://www.kofc.org/en/resources/communications/sk_report_2013.pdf) Nazwa organizacji upamiętnia postać Krzysztofa Kolumba. Członkami mogą zostać jedynie mężczyźni będący praktykującymi katolikami. Naczelnymi zasadami zakonu są: miłosierdzie, jedność, braterstwo i patriotyzm. W USA jednym ze sztandarowych zadań Rycerzy Kolumba jest ochrona życia ludzkiego od poczęcia do naturalnej śmierci (Marek Henzler, Polityka, 21-11-2009)

135 Line dance (taniec liniowy) jest to forma tańca, w którym połączone figury taneczne tworzą powtarzające się sekwencje, wykonywane identycznie i w tym samym czasie przez tancerzy płci obojga, tańczących w kilku równoległych liniach. Taniec liniowy dawno już wyszedł poza granice USA i Kanady, ostatnio staje się coraz bardziej popularny również i w Polsce.

porty lub paszporty PRL, które utraciły ważność niedawno. Cała post-solidarnośćowa emigracja posiadała paszporty w jedną stronę, które utraciły ważność natychmiast po przekroczeniu granicy, albo nie posiadała paszportów wogóle, oddając je w momencie wytapienia o status uchodźców.

Osoby te musiały przechodzić długotrwały i skomplikowany proces potwierdzania obywatelstwa^[136]. Zarządzenia te nazwaliśmy paszportowym szantażem a dla osób, które mogły być zatrzymane w Polsce na jego podstawie określiliśmy jako paszportową pułapkę. Na początku roku miała miejsce internetowa konferencja w siedzibie nie istniejącej już Polskiej Agencji Informacyjnej, podczas której przedstawione zostały szczegóły nowej ustawy o obywatelstwie, która w czerwcu 2000 miała być przegłosowana w Sejmie. Rzeczowe i życzliwe wobec emigracji wystąpienia mieli prezes Towarzystwa Wspólnota Polska profesor Andrzej Stelmachowski oraz pani senator Janina Sagatowska, które jaskrawo kontrastowały z

136 Zgodnie z art.55 ust.1 ustawy, decyzję w sprawie potwierdzenia posiadania obywatelstwa polskiego lub jego utraty wydaje na wniosek osoby, której postępowanie dotyczy, lub podmiotu, który wykaże interes prawny lub ciężący na nim obowiązek uzyskania decyzji, wojewoda właściwy ze względu na miejsce zamieszkania lub ostatnie miejsce zamieszkania na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej osoby, której postępowanie dotyczy, a w przypadku braku tej podstawy – wojewoda mazowiecki. Od decyzji wojewody przysługuje odwołanie do Ministra Spraw Wewnętrznych. Osoby zamieszkałe poza granicami Polski mogą zwrócić się do właściwego wojewody za pośrednictwem polskiego konsula. Jednocześnie należy wskazać, iż zgodnie przepisem art.40 § 4 Kpa „Strona zamieszkała za granicą lub mająca siedzibę za granicą, jeżeli nie ustanowiła pełnomocnika do prowadzenia sprawy zamieszkałego w kraju, jest obowiązana wskazać w kraju pełnomocnika do doręczeń”. Oznacza to wprost, iż wnioskodawcy zamieszkali za granicą, którzy nie ustanowili pełnomocnika w Polsce, są zobowiązani do wskazania pełnomocnika do doręczeń w Polsce tzn. osoby uprawnionej do odbioru korespondencji w Polsce wraz z jej adresem. Wniosek składa się na formularzu określonym rozporządzeniem Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 7 sierpnia 2012r. w sprawie wzoru formularza wniosku o potwierdzenie posiadania lub utraty obywatelstwa polskiego (Dz.U. poz.925)

aroganckimi i obraźliwymi wywodami ówczesnego sekretarza stanu w MSZ Radosława Sikorskiego oraz przewodniczącego sejmowej komisji d/s Polonii zagranicznej Ryszarda Czarneckiego. Padły z ich ust wówczas słynne sformułowania w rodzaju: „Polska to nie jakaś tam bananowa republika, żeby do niej wjeżdzać na obcych paszportach”(Sikorski) oraz „paszport to nie karta wędkarska czy legitymacja klubu golfowego, a karami i grzywnami zmusimy Polonię amerykańską do respektowania polskiego prawa”(Czarnecki).

Tego było za wiele i wspólnie z Wojtkiem rozpoczęliśmy lobbing zmierzający do utworzenia projektu ustawy zadowalającej wszystkie zainteresowane strony. Wojtek utworzył na swojej stronie Polonia Michigan specjalną sekcję zatytułowaną Paszportowy Szantaż, na której osoby zainteresowane z USA, Kanady, Australii, Hiszpanii, Szwajcarii i Turkmenistanu dzieliły się uwagami, komentarzami i pomysłami a ponadto rozszerzali informacje na dotyczące tematu wśród miejscowej Polonii. Zanim zdążyliśmy się zorganizować Sejm uchwalił legislacyjny gniot, w którym największe kontrowersje budził zapis punktu 4: Obywatel polski nie może być jednocześnie obywatelem innego państwa. A jeżeli jest to ma się zrzec obywatelstwa kraju, w którym mieszka i w którym się nierzadko urodził. W senacie mieliśmy po naszej stronie panią Sagatowską, Zbigniewa Romaszewskiego i kilku innych i w rezultacie ustawa wróciła do sejmu z 38 poprawkami a kontrowersyjny zapis został zmieniony na dwa punkty:

1. Obywatel polski posiadający równocześnie obywatelstwo innego państwa ma wobec Rzeczypospolitej Polskiej takie same prawa i obowiązki jak osoba posiadająca wyłącznie obywatelstwo polskie.

2. Obywatel polski nie może wobec władz Rzeczypospolitej

Polskiej powoływać się ze skutkiem prawnym na posiadane równocześnie obywatelstwo innego państwa i na wynikające z niego prawa i obowiązki. (USTAWA z dnia 2 kwietnia 2009 r. o obywatelstwie polskim Dz.U. z 2012 poz. 161 • Brzmienie od 15 sierpnia 2012 Art. 3)

W dalszym ciągu ustawa wrzucała do jednego worka wszystkie kategorie osób, których dotyczyła czyli

a) osoby, które dobrowolnie przyjęły obywatelstwo innych krajów,

b) zostały zmuszone do przyjęcia obywatelstwa ZSRS,

c) zostały go pozbawione na mocy ustawy z 1951 roku,

d) obywatelstwo innego kraju (Niemiec) zostało im nadane w sytuacji stałego zamieszkania na terytorium Polski (kuriozum w dziedzinie nadawania obywatelstwa, wykorzystywany przez osoby w wieku poborowym jako pretekst uchylania się od służby wojskowej. Był to wydaje się, główny powód upierania się ustawodawców przy nie uznawaniu podwójnego obywatelstwa),

e) urodzone i zamieszkałe na terenie innego kraju, które nabyły obywatelstwo polskie z rodziców posiadających obywatelstwo polskie. Tłumaczyliśmy jak komu dobremu wszystkim posłom razem i każdemu z osobna, iż sytuacja osób spełniających warunki a,b,c,d lub e jest diametralnie różna i nie może być rozpatrywana jednakowo. Uzyskaliśmy zrozumienie marszałka sejmu ś.p. Macieja Płażyńskiego i kilku posłów m.in. Piotra Nowiny-Konopki, ale było to stanowczo za mało by doprowadzić ustawę do końca w kształcie zadowalającym wszystkie zainteresowane strony. Paszportowy szantaż umarł śmiercią naturalną po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej a paszportowa pułapka przestała funkcjonować po wejściu Polski do strefy Schengen. Poza kilkoma dyskusyjnymi

przypadkami nie odnotowaliśmy szykan w stosunku do obywateli polskich posługujących się paszportami innych krajów, co udowodniło raz jeszcze, iż ustawa swoje a życie swoje, polegające na nie utrudnianiu kontaktów między rozszanymi po świecie Polakami z Ojczyzną. Pośrednim uznaniem podwójnego obywatelstwa było funkcjonowanie, aż do roku Ustawa o obywatelstwie zosatała wreszcie uchwalona po dziewięciu latach m.in. z uwzględnieniem naszych – głównie moich – wniosków, i w obecnym kształcie jest do przyjęcia.

Pewnego dnia zadzwoniła do nas Agnieszka zawiadamiając Jolę – zanim jeszcze zawiadomiła Iwonkę – że spodziewa się dziecka. Jola miała 56 lat a ja 58, kiedy mieliśmy zostać pra-dziadkami. Juliette – Adara urodziła się 14 września 2012 roku, mieliśmy ją poznać w październiku, podczas naszej wizyty w Detroit, a na Boże Narodzenie zjawili się u nas wszyscy wraz z ojcem naszej ślicznej prawnuczki Rickiem.

Od pewnego czasu Jola zaczęła uskarżać się na uporczywe bóle głowy ale nie uznała za stosowne skonsultować się z lekarzem, ponieważ jej mama ciągle cierpiała na to samo, była pewna, że to genetyczne. Ataki uporczywej migreny przychodziły i mijały bez jakiegokolwiek regularności i oboje je lekceważyliśmy, Jola ponadto była wrogiem wszelkich lekarstw uznając, iż świeże powietrze i prawidłowe odżywianie są dobre na wszystkie dolegliwości. W lipcu 2000 roku Jola wybierała się do Florence do dentystry ale po przejechaniu 15 mil zadzwoniła do mnie z Society Hill, że nie może dalej prowadzić ponieważ zaczęła podwójnie widzieć. Zwolniłem się z pracy i natychmiast pojechałem do Society Hill, gdzie na stacji benzynowej stała bezradna Jola, obok swojego Saturna. Przytuliłem ją do siebie i pogłaskałem po głowie a wówczas

rozplakała się na moim ramieniu. Czuliśmy oboje, że stało się coś złego ale nie przeczuwaliśmy, że sytuacja jest aż tak poważna.

Wszystko będzie dobrze, kochanie, jestem przy tobie – pocieszyłem Jolę – zawiozę cię do tego dentysty, tylko zadzwonimy, ze się trochę spóźnisz.

Po powrocie do domu zadzwoniłem do D-ra Subczyńskiego, który zalecił mi badanie Joli za pomocą palca, który przesuwalem przed jej oczami. Zauważyłem, że prawa żrenica porusza się tylko od środka w lewo zupełnie nie idąc w prawo. Podczas gdy lewe oko mogło się poruszać swobodnie sytuacja ta wywoływała efekt podwójnego widzenia. Janusz polecił nam udanie się do okulisty, który stwierdzi, iż to nie jego dziedzina i skieruje Jolę do neurologa. Tak też postąpiliśmy i dwa dni później Jola została przyjęta przez d-ra Josepha Healy we Florence, który stwierdził, iż objawy te są dość typowe i powinny ustąpić w ciągu maximum 6-ciu tygodni, na wszelki wypadek zalecił jednak zrobienie MRI (Magnetic Resonans Image). Janusz powiedział, żebym zażądał dwóch kopii i jedną mu wysłał, co też uczyniłem. Doktor Healy po obejrzeniu klisz stwierdził obecność cysty, która mogła uciskać na nerw wzrokowy, natomiast Janusz poprosił mnie o numer telefonu do niego a po skonsultowaniu zmienił diagnozę na znacznie poważniejszą, czyli guz umiejscowiony w podstawie czaszki, oplatający splot nerwów, w tym nerw zasilający mięśnie sterujące gałkami ocznymi – uznany jako nieoperowalny. Janusz nie znał nikogo, kto mógłby podjąć się operacji usunięcia guza a Dr. Healy polecił Doktora Friedmana^[137] praktykującego w szpitalu przy Duke University w Durham w Północnej Karolinie. W internecie znalazłem jeszcze

137 Alan H. Friedman Chief, Division of Neurosurgery Deputy Director, The Preston Robert Tisch Brain Tumor Center and Preuss Lab Guy L. Odom Professor of Neurological Surgery Department / Division
Surgery / Neurosurgery Address DUMC 3807 Durham, NC 2771

jednego neurochirurga specjalizującego się w operacjach usuwania guza umiejscowionego u podstawy czaszki; był to Japończyk Takanori Fukushima, praktykującego po całym świecie, m.in. w Raleigh – stolicy Północnej Karoliny, odległej od Durham o 10 mil. Wizyta u doktora Friedmana trwała pół dnia, ponieważ musiał on skonsultować swoje obserwacje właśnie z doktorem Fukushima, który również gościnnie operował w Duke. Nie ukrywał, iż przypadek Joli jest bardzo poważny ale miała szczęście trafić pod właściwy adres, gdyż obaj; Fukushima i on, posiadają praktykę w dokonywaniu udanych operacji tego typu. Gdy oglądałem na stronie D-ra Fukushimy sposób, w jaki operacja taka jest przeprowadzana to zrobiło mi się słabo. Przypominała bowiem naprawę silnika ogromnego trucka z odchyleniem całej kabiny na zewnątrz. Na koniec dr. Friedman zadał Joli pytanie:

- *Palisz papierosy?*

- *Tak* – odpowiedziała.

- *W takim razie musisz rzucić i wyznaczmy ci operację trzy miesiące po rzuceniu. W przeciwnym razie obudzisz mi się w czasie operacji, co będzie oznaczało katastrofę.*

Przepisał środki przeciwbólowe oraz Zyban – środek anty-depresyjny oraz tłumiący objawy głodu nikotynowego, po czym Jola poprosiła:

- *Musisz mi pomóc bo ja sama sobie nie poradzę. Jak zobaczę, że ty palisz to się nie powstrzymam.*

Nadszedł moment decyzji, której nie byłem w stanie podjąć przez prawie 40 lat. Zacząłem palić w wieku 14 lat a rozważanie rzucenia podejmowałem wielokrotnie wkrótce po tym. Przez dłuższy czas palenie sprawiało mi przyjemność ale ten okres dawno już miałem za sobą. Szybko się męczyłem, dostawałem ataku kaszlu nieraz w środku nocy, tak uporczywego, iż mogłem

go powstrzymać tylko... sięgnięciem po papierosa. Zmiana marki na mentolowe tylko pogorszyła skutki palenia jak nakładanie się smoły w płucach, utrzymywanie wysokiego poziomu cholesterolu, wiodącego do blokady arterii – ponieważ mentol zawiera środek łagodzący naturalne reakcje obronne w postaci chrypy i kaszlu. Od dawna już nienawidziłem zarówno papierosów jak i siebie za brak odwagi do podjęcia jednoznacznej decyzji. „spróbuję rzucić, rzucę na kilka dni i zobaczę co dalej...” było naiwnym oszukiwaniem samego siebie. Jola zastosowała tygodniową kurację zalecaną na instrukcji dołączonej do opakowania Zyban i przestała palić 6-go sierpnia 2000 roku po blisko 30 latach.

Ja zaangażowałem się w support group na internecie, gdzie wszyscy uczestnicy przechodzili przez to samo, dzieląc się doświadczeniami. Z kilku metod wybrałem pośrednią: po pierwsze nastawiłem się psychicznie, iż z momentem rzucenia papierosa przestają dla mnie istnieć, co miało znaczenie decydujące, po drugie: tydzień przedtem wyznaczyłem dokładnie dzień i godzinę, w której wypalę ostatniego papierosa i był to dzień 19 sierpnia 2000 roku, godzina 21:00 albo po wypaleniu ostatniego papierosa z ostatniej paczki, cokolwiek nastąpi pierwsze. Łatwość z jaką pokonałem niemiłe doznania następujące po zaprzestaniu dostarczania do organizmu nikotyny zdecydowała o udanej akcji zerwania z nałogiem. Natychmiast po rzuceniu palenia umówiliśmy datę operacji na 9 listopada w momencie zamieszania związanego z wyborami prezydenckimi. Po ujawnieniu defektów maszyn wyborczych w niektórych okręgach na Florydzie, oraz przy przewadze George W. Busha wynoszącej zaledwie 1500 głosów, przegrany kandydat Al Gore najpierw zażądał ponownego przeliczenia głosów, do czego miał prawo, a następnie weryfikacji głosów nieważnych, wyciągniętych ze śmietnika, co wywalczyli wbrew obowiązujące-

mu prawu jego adwokaci. Wymuszone wyrokami sądowymi kolejne przeliczania wciąż nie dawały Gore'mu wymarzonej przewagi. Orzeczenie Sądu Najwyższego, który stwierdził naruszenie prawa przez liczenie głosów nieważnych oraz czterokrotne przeliczanie głosów, przy dopuszczalnym jednym, uznane zostało przez Gore i jego wyznawców jako „mianowanie” prezydenta przez sąd, co jest bzdurą. Sąd nie rozstrzygał bowiem o wyniku wyborów, które zostały ustalone w pierwszym, ważnym głosowaniu a tylko odrzucił żądanie szóstego przeliczania twierdząc, iż było ich już o cztery za wiele. W dalszym ciągu Gore, który zgodnie z procedurą ogłosił wynik wyborów w połączonych izbach Kongresu i Senatu, twierdził, iż wybory zostały mu skradzione w co wiele osób na świecie uwierzyło, na zasadzie: nie ważne czy ukradł, czy został okradziony, w każdym razie był zamieszany w kradzież. Dla powetowania porażki wyborczej, nieznaczonej zresztą, Gore ogłupia świat straszeniem globalnym ociepleniem, za które, według niego winę ponosi George W. Bush.

Zainteresowanie całą hecą związaną z przedłużaniem oficjalnego ogłoszenia wyników wyborów pozwoliło Joli oderwać myśli od czekającej ją poważnej operacji, której wynik nie mógł być z góry przesądzony. Czytając informacje o osiągnięciach doktorów Friedmana i Fukushima byłem dobrej myśli a odwagi dodawał również Joli Janusz, pocieszając nas jak mógł. Mieliśmy okazję odwiedzić D-ra Subczyńskiego w jego pięknej siedzibie w Marco Island na Florydzie, dokąd przeniósł się po przejściu na emeryturę, jeszcze przed wystąpieniem objawów choroby u Joli. Udzielał nam rad i dodawał otuchy nie tylko z pozycji lekarza ale również i przede wszystkim jako serdeczny przyjaciel. 12 lat przedtem jego Mama, z którą był bardzo związany, zmarła po długotrwałych zmaganiach z rakiem płuc i doskonale rozumiał co przeżywamy.

Do szpitala Jola została przyjęta na jeden dzień przed operacją, przechodząc przez całą procedurę przygotowawczą, wypełniając mnóstwo formularzy i podpisując rozmaite oświadczenia. W pokoju znajdował się rozkładany fotel, na którym spędziłem noc. Wypełnienie rubryki „wyznanie” – „rzymsko-katolickie” spowodowało, iż odwiedziła nas osoba upoważniona do udzielania Komunii św., którą przyjęliśmy oboje w intencji pomyślnej operacji. Na pytanie czy życzymy sobie księdza w celu udzielenia ostatniego namaszczenia odpowiedzieliśmy przecząco ufając zarówno Opatrzności jak i kwalifikacjom chirurgów. Ok. godz. 16:00 Jola została zabrana na salę operacyjną i przed samym wjazdem do bloku operacyjnego pocałowałem ją na szczęście ale w tym momencie rozpląkała się tak, jakby żegnała się ze mną.

- *Na pewno wszystko będzie dobrze, spotkamy się za kilka godzin* – powiedziałem.

- *Ale powiesz mi czy to był złośliwy guz?* – upewniła się Jola.

- *Tak, powiem a już jestem pewien, że nie. Do zobaczenia* – powiedziałem głaszcząc ją po głowie a Jola złapała moją rękę i pocałowała.

W poczekalni dla rodzin operowanych pacjentów oprócz mnie było kilka osób, m.in. młoda czarna dziewczyna z kilkuletnim chłopakiem, jak się później okazało – bratem, oczekując na operację ich ojca. Rozmawialiśmy o wszystkim tylko nie o przyczynach, dla których znaleźliśmy się w tej poczekalni. Gdy się tematy wyczerpały pograżyliśmy się w lekturze licznych czasopism, z których wybrałem chyba Reader's Digest. Po dwóch godzinach zadzwonił telefon a recepcjonistka wezwała mnie po nazwisku, kalecząc je, do czego zdążyłem się już przyzwyczaić; gdy tylko ktoś wywołując nazwisko zaczyna syczeć – pomagam, przedstawiając się. Dzwoniła naczelna pielęgniarka Sali operacyjnej informując mnie, iż

operacja trwa, operują doktorzy Friedman i Fukushima, wszystko przebiega pomyślnie, następna wiadomość za dwie godziny. Dla rozruszania kości obszedłem szpital naokoło, zjadłem coś w bufecie, wyszedłem na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza a po powrocie wkrótce był kolejny telefon. Tym razem był to Dr. Friedman, który poinformował, że operacja przebiegła pomyślnie, guz został debulked (częściowo usunięty), nie wygląda na złośliwy ale o tym zdecydują wyniki badań laboratoryjnych dokąd zostanie wysłany. Jola zniosła operację bardzo dobrze i w ciągu najbliższych dwóch godzin będę się mógł z nią zobaczyć. Musiałem mieć bardzo rozradowaną minę a przynajmniej towarzyszyło mi uczucie ulgi, bo dziewczyna, z którą rozmawiałem wyciągnęła do mnie rękę mówiąc:

- *Cieszę się, że dobrze poszło, widać to po twojej minie.*

- *Dziękuję bardzo – odpowiedziałem – a wam życzę, żeby operacja waszego taty udała się równie dobrze.*

Przeniosłem się do innej poczekalni, zlokalizowanej w pobliżu ICU^[138], dokąd przewożeni są pacjenci bezpośrednio po operacji. Znajdowały się tam dwie rodziny, dwóch pacjentów, również po operacji mózgu i również przybyłe z daleka. Zbliżała już się północ i szczęśliwsi powyciągali się na kanapach. Ja miałem zarezerwowany pokój w pobliskim hotelu, na wypadek, gdybym nie mógł spędzić nocy w tym samym pokoju co Jola. Wkrótce zostałem zawołany do ICU, gdzie zastałem Jolę z czapką wykonaną z elastycznego materiału opatrunkowego a z czapki wychodziła plastikowa rurka drenu. Usiadła na łóżku, wbrew zaleceniom pielęgniarki i spytała:

- *Czy to był złośliwy guz?* – na co odpowiedziałem zgodnie z

138 Intensive care unit (ICU), nazywany również critical care unit (CCU). Oddział Intensywnej Terapii, Oddział Intensywnej Opieki Medycznej, OIT, OIOM,

tym co wiedziałem.

- Friedman powiedział, że nie ale poczekają na wyniki badań laboratoryjnych.

Jola opadła na łóżko z uczuciem ulgi i zapytała:

- A co ty teraz będziesz robił? - Cała Jola, zawsze martwiła się najpierw o innych – na pewno jesteś zmęczony.

- Nie martw się o mnie, kochanie, wypoczywaj i dochodź powoli do siebie.

Jola zasnęła ponownie, pielęgniarz zaczął mnie wypytywać o przebieg rozmowy, której nie rozumiał a następnie wprowadzał w komputer dane, odczytywane z rozmaitej aparatury, do której Jola była podłączona i w końcu powiedział:

O godz. 3:00 ICU jest zamknięty i będziesz musiał wyjść. W każdym razie, na podstawie dotychczasowego stanu twojej żony przewiduję, iż rano będzie przetransportowana na oddział otwarty.

Rzeczywiście Jola została przeniesiona na oddział otwarty i wyglądała nad podziw dobrze po tak skomplikowanej i wyczerpującej operacji. Gdy około południa zjawił się dr. Friedman - zaproponował, żeby Jola wzięła mnie pod rękę i przespacerowała się po korytarzu. Pomogłem Joli się ubrać i doszliśmy do windy i spowrotem. Po drodze spotkaliśmy młodego chłopaka, którego poznaliśmy w przychodni Friedmana, a który dwa dni temu miał operację guza mózgu, tyle że umiejscowionego tuż pod czaszką powyżej czoła. Chłopak ten wracał z bufetu niosąc sporą porcję pizzy, co świadczyło o dobrym apetycie, a dobry apetyt sugerował dobre samopoczucie. Obojgu nam ten zastrzyk optymizmu był potrzebny. Dr. Friedman powtórzył to samo o debulking dodając, iż po Nowym Roku da Joli skierowanie do Loma Linda w Kalifornii na naświetlanie promieniami protonowymi, co powinno całkowicie zamknąć sprawę guza. Sprawę sparaliżowanego mięśnia porusza-

jącego prawą gałkę oczną miała załatwić operacja okulistyczna w ciągu ok. roku od naświetlań. Byliśmy zatem dobrej myśli a dyżurujący lekarz Dr. New, który okazał się być polskiego pochodzenia i znał kilka polskich zwrotów powiedział, iż Jola będzie mogła opuścić szpital w poniedziałek, najpóźniej we wtorek.

Następnego dnia, czyli w niedzielę, pojawił się ponownie Dr. Friedman, który zalecił wypisanie Joli już dzisiaj twierdząc, iż jest w takim stanie, że lepiej będzie dochodziła do zdrowia w warunkach domowych. Dr. New miał inną opinię, stwierdzając, iż wyjście niecałe 48 godzin po tak ciężkiej operacji będzie zbyt aggressive ale musiał pogodzić się z decyzją lekarza prowadzącego, a był nim Friedman. Wprawdzie zrobiłem Joli posłanie na tylnym siedzeniu, starałem się prowadzić samochód najłagodniej jak tylko możliwe, ale dwu-godzinna podróż bardzo ją wyczerpała. Wprawdzie miała ochotę udać się na lekcje line dance we wtorek ale nie miała siły podnieść się z łóżka. W niedzielę wystąpił u Joli kryzys i byliśmy zmuszeni odbyć podróż do Durham jeszcze raz, ponieważ lekarz pogotowia w Cheraw nie czuł się kwalifikowany do opieki nad pacjentką, która przeszła tydzień temu operację w innym szpitalu. W Duke na neurochirurgii dyżur miał ponownie Dr. New, który powtórzył to samo, co tydzień temu:

Mówiłem, że to będzie zbyt agresywne – ale nie uznał za stosowne zatrzymać Joli w szpitalu, podając środki uspokajające, zapobiegające atakom epilepsji i przeciwbólowe o silniejszym działaniu.

Święto Dziękczynienia spędziliśmy bez tradycyjnego obżarstwa i bez chodzenia w goście a Frances i Irene Gład przyniosły nam po kawałku indyka i innych świątecznych specjałów.

Do Bożego Narodzenia Jola doszła już na tyle do siebie, iż mogliśmy ugościć Iwonkę z rodziną, z Krzyskiem Sylwestrzakiem i

z Rickiem – ojcem Juliette. Mieliśmy z Jolą satysfakcję obserwując palaczy – czyli wszystkich przybyłych z wyjątkiem Kasi i Juliette - , kulących się z zimna na tarasie, jako że nasz dom był i pozostał smoke free.

Rekonwalescencja po operacji trwała długo, gdyż rozcięta na całej szerokości czaszka potrzebowała czasu, żeby się zrosnąć. Nie obeszło się również bez skutków ubocznych, m.in. Jola miała sporą część prawego policzka zdrewniała, co utrudniało jej mówienie. Ponieważ w dalszym ciągu oczy nie poruszały się równolegle, Jola zasłaniała jedno oko przy pomocy duct tape, ponieważ tradycyjna opaska zasłaniająca nie miściła się jej pod grube okulary.

Z jednej strony czekaliśmy na skierowanie do Loma Linda, a z drugiej poszukiwaliśmy innych możliwości leczenia. Janusz polecił nam książkę Ojca Edmunda Szeligi^[139] „Vilca cora leczy raka”, co skłoniło mnie do zamówienia ziół Vilca Cora z Peru, gdzie Ojciec Szeliga odkrył rakolecznicze właściwości ziół stosowanych przez Indian żyjących w dorzeczu rzeki Ucayali.

Zalecenia stosowania ziół wykluczały radioterapię ale postanowiliśmy zaryzykować, by nie poprzestać wyłącznie na medycynie alternatywnej. W kwietniu poleciliśmy przez Detroit do Los Angeles, gdzie wypożyczyliśmy samochód, którym udaliśmy się do odległego o 84 mile (135km) San Bernardino, na którego przedmieściach, u podnóża gór San Bernardino Mountains leży miasteczko Loma Linda^[140]. Centralnym punktem miasta jest Loma

139 Ojciec Edmund Szeliga – misjonarz Salezjanin. Urodził się 9 listopada 1911 roku w Tychach, zmarł 3 września 2005 roku w stolicy Peru Lima. Rozpropagował indiańskie zioło Vilca Cora – Koci Pazur, podobno leczące raka i AIDS.

140 Loma Linda (po hiszpańsku oznacza Piękne wzgórze) – miasto w USA położone w w południowo-zachodnim krańcu hrabstwa San Bernardino w Kalifornii. Liczba mieszkańców 18 681 (2000). Loma Linda jest miastem leżącym w obszarze metropolitalnym Los Angeles. Miasto jest siedzibą Uniwersytetu Loma Linda, w którym studiuje ok. 4000 osób. Jest lokalnym centrum ruchu

Linda University Medical Center, w którym powstał pierwszy na świecie ośrodek naświetlania promieniami protonowymi^[141]. Metoda ta wówczas była skutecznie stosowana w leczeniu raka prostaty, natomiast leczenie raka mózgu znajdowało się w fazie eksperymentalnej. Zdecydowaliśmy się zaryzykować, zwłaszcza, że inne opcje, jak np. Gamma Knife, (brak polskiego tłumaczenia – radiochirurgia?) według D-ra Friedmana, nie wchodziły w rachubę. Jola została zbadana przez Dr. Lilię Loredę^[142], która ustaliła ilość naświetlań na 48 po 6 tygodniowo, czyli przez okres dwóch miesięcy. Jola nie chciała być zamknięta w hotelu i wybraliśmy wynajętą przyczepę campingową na zamkniętym osiedlu mobilnych domków w odległości 2 mil od szpitala, za 650\$ miesięcznie, płatne z góry. Adwentyści Dnia Siódmego są wegetarianami i z tego powodu nie tylko na terenie uniwersytetu ale całego miasteczka można było nabyć wyłącznie jarskie produkty. Joli to odpowiadało, ponieważ i tak nie była wielką amatorką mięs wszelakich. Na terenie campingu był minmi-basena a w połowie drogi do szpitala znajdowało się centrum sportowe wraz z pełnowymiarowym basenem, do którego pacjenci mieli przepustkę. Do szpitala szło Adwentyistów Dnia Siódmego. Według magazynu National Geographic ta grupa jest jedną z najbardziej długowiecznych społeczności w Stanach Zjednoczonych

141 Terapia protonowa – rodzaj radioterapii cząsteczkowej wykorzystującej promieniowanie protonowe do naświetlania zmian nowotworowych. Procedura ta jest stosowana szczególnie u pacjentów, u których konwencjonalna radioterapia fotonowa nie może być stosowana ze względu zbyt głębokie położenie nowotworu w organizmie, lub bliskie położenie organów krytycznych.

142 lilia N. Loreda, M.D. – doctor loreda is assistant professor of radiation oncology, Department of Radiation Medicine at llumc. She also holds staff appointments at three other california medical institutions: San Bernardino County Medical Center; white memorial medical center in Los Angeles and glendale adventist medical center. Dr. Loreda completed her undergraduate education in nursing at Loma Linda university. She subsequently attended Loma Linda University School of Medicine and was awarded her m.d. degree. She fulfilled her internship and residency in radiation oncology at llumc. She is also licensed to practice medicine in california and Florida.

się pod górkę, ale można również było podjechać dwa przystanki autobusem, kursującym co 20 minut. Jola jednak wybrała wspinaczkę dla zachowania kondycji fizycznej. Po załatwieniu lokum dla Joli i uzgodnieniu terminarza naświetlań wróciliśmy do domu przygotowując się do właściwej kuracji.

Prezydent Clinton wprowadził w 1993 roku t.zw. Family Medical Leave Act, który w dużym skrócie można porównać do bezpłatnego urlopu w związku z chorobą lub innymi wydarzeniami w rodzinie. Rachunki, mimo pokrycia lwiej części przez ubezpieczenie, były wysokie, plus przeloty, zakwaterowanie itd. i na długotrwały bezpłatny urlop nie mogliśmy sobie pozwolić. Wciąż mieliśmy dom i przyczepę do spłacania plus bieżące wydatki. Jola zgodziła się być sama w Loma Linda ale obiecała mi, iż gdy tylko będzie miała jakieś wątpliwości, czy da sobie radę, to mnie natychmiast zawiadomi i do niej przyjadę. Polecieliśmy z Raleigh-Durham przez Atlantę tym razem już nie do Los Angeles tylko do położonego o 10 mil od Loma Linda Ontario.

W Atlancie na lotnisku przechodziliśmy obok oszklonego, zamkniętego pomieszczenia dla palaczy, zatłoczonego i zadymionego ponad wszelką miarę ciesząc się, iż nas to już nie dotyczy. Zostałem z Jolą cały tydzień, załatwiając podłączenie energii elektrycznej, gazu i telefonu do przyczepy, wyrabiając kartę wstępu do ośrodka sportowego, odszukując katolicki kościół, który znajdował się w odległości 10 minut spacerkirm od campingu i odleciałem z przekonaniem, iż da sobie radę. Iwonka chciała z nią zostać ale Jola nie wyraziła zgody, wychodząc z założenia, iż do pokonania choroby potrzebuje ciągłego wysiłku fizycznego i pod tym względem na pewno miała rację. Byliśmy w codziennym kontakcie telefonicznym a ponadto Jola nawiązała znajomość z sąsiadką, która

podwoziła ją po zakupy i na zwiedzanie okolic metropolii Los Angeles. W tamtych okolicach od marca do października nie spada ani jedna kropla deszczu. Wilgoci wprawdzie nie ma ale słynny smog^[143] potrafi być niemniej dokuczliwy. Okolice przecinają liczne wybetonowane kanały, przez większość roku pozostające suche, przygotowane do odprowadzania nadmiarów wody podczas opadów deszczów, które niemal rokrocznie przybierają katastrofalną postać. Cała ponad 12-milionowa metropolia posiada kilka stref klimatycznych i prognoza pogody zawsze dzieli się na strefy: plaża, miasto, góry i pustynia.

Obok przyczepy, w której mieszkała Jola, rośło owocujące drzewko pomarańczowe i podczas pobytu wspinałem się na wyższe gałęzie po owoce. Pobyt w Loma Linda z jednej strony dawał nadzieję na wyleczenie a z drugiej uświadamiał mi jak bardzo poważnie Jola była chora. Po powrocie rozmawiałem telefonicznie z Dr. Loreda, która przekazała mi hiobową wieść po obejrzeniu i porównaniu zdjęć MRI: guz nie tylko odrósł po operacji ale nawet się powiększył. Dr. Friedman dyplomatycznie nie podzielił się z nami informacją, o niekorzystnych wynikach badań patologicznych wycinka a na pytanie zadane wprost: malignant or benign^[144]? nie dał jednoznacznej odpowiedzi. Na pytanie o prognozy Dr. Loreda odpowiedziała:

- *Wszystko jest w rękach Boga, my zrobimy wszystko co*

143 Smog (ang. fog intensified by smoke, mgła wzmocniona przez dym) – nienaturalne zjawisko atmosferyczne polegające na współwystępowaniu zanieczyszczeń powietrza spowodowanych działalnością człowieka oraz niekorzystnych naturalnych zjawisk atmosferycznych: znacznej wilgotności powietrza (mgła) i braku wiatru. Nazwa „smog” powstała ze zbitki dwóch angielskich słów: smoke – dym i fog – mgła.

144 Malignant – złośliwy, benign – dość łagodny, w tym przypadku nie złośliwy

tylko się da zrobić.

Nigdy nie podzieliłem się treścią tej rozmowy z Jolą. Jola podczas pobytu w Loma Linda robiła wszystko, by utrzymać się w formie; przeważnie chodziła do szpitala piechotą, wracając wstępowała na basen i do siłowni a w rozmowach telefonicznych na nic się nie uskarżała. Największym jej zmartwieniem był fakt zaginięcia Kropeczki, która się nigdy nie odnalazła.

Nie wiadomo czy to sprawiła wilca cora czy naświetlania, w każdym razie Jola poczuła się po powrocie z Loma Linda dużo lepiej. Kolejny MRI nie wykazał wzrostu guza od momentu przyduszenia go promieniami protonowymi. Jola sporo czasu spędzała na ogródku i w basenie. Kasia spędziła u nas prawie całe wakacje a Agnieszka z Juliette i Ewa były u nas ze dwa tygodnie.

11 września 2001 roku w całym Engineering Department nagle ucichły rozmowy a Mike Davis, który ze słuchawkami na uszach słuchał radia, z uczuciem grozy wypisanym na twarzy powiedział:

- *Atak terrorystyczny na World Trade Center.*
- *Znowu?* – spytałem – *przecież to już było 10 lat temu.*
- Tak, znowu* – potwierdził – *wykorzystano samolot.*

Włączyłem internet w komputerze i przeszedłem na wiadomości. To co podawano, przeszło wszelkie wyobrażenia o tym do jakiej nikczemności zdolne mogą być istoty ludzkie. Zadzwoiłem do Joli rzucając tylko jedno zdanie:

- *Włącz wiadomości!*

W chwilę później John Moore – dokumentalista w Engineering Department wydrukował zdjęcie samolotu celującego w północną wieżę WTC i powiesił na zewnątrz swego cubicle. Następnie pojawił się w naszym biurze kierownik działu Bendt Abel, który

łamiącym się głosem zakomunikował:

„Stało się coś strasznego, na razie niewiele wiemy co, ja wiem tylko tyle, że moja córka poleciała wczoraj do Nowego Jorku i nie mam z nią kontaktu. Zajęcia na dzień dzisiejszy są zakończone. Wracajcie do domów, żeby być w tym tragicznym momencie z rodzinami.”

Po powrocie do domu usiadłem obok przerażonej Joli i patrzyliśmy w telewizor z niedowierzaniem na płonące wieżowce, powtarzane wielokrotnie sceny uderzenia drugiego samolotu w północną wieżę, na zastygłe ze zgrozy twarze świadków a później na prawie 100-piętrowe budynki zsuwające się w dół jak na zwolnionym filmie.

Była już 9.15. Nie pytaaj, co czułam podczas tych piętnastu minut. Nie wiem, nie pamiętam. Byłam jak sopel lodu. Również mój mózg był soplem. Nie pamiętam nawet, co działo się na pierwszej, a co na drugiej wieży. Ludzie, którzy nie chcieli spłonąć żywcem, rzucali się z okien osiemdziesiątego czy dziewięćdziesiątego piętra. Rozbijali szyby w oknach, przechodzili przez nie, rzucali się w dół, jak z samolotu rzucają się spadochroniarze, i spadali powoli. Trzepocząc nogami i rękami, pływając w powietrzu. Tak, wydawało się, że pływają w powietrzu. I że nie dotrą do celu. Lecz na poziomie trzydziestego piętra przyśpieszali. Zaczynali rozpaczliwie gestykulować, jak gdyby żałowali wszystkiego, jak gdyby krzyczeli: „Help! Help!” (Na pomoc!). I być może tak krzyczeli naprawdę. Wreszcie spadali jak kamień i paf! Wiesz, myślałam, że na wojnach widziałam już wszystko. Czułam się zaszczepiona na wojny, i w gruncie rzeczy to prawda. Nic mnie już nie zaskakuje. Choć czasami się wściekam, a nawet oburzam. Ale na wojnach zawsze widziałam ludzi, których mordowano. Nigdy nie widziałam

ludzi, którzy umierają, zabijając samych siebie, czyli rzucając się bez spadochronu z okien osiemdziesiątego, dziewięćdziesiątego albo setnego piętra. Ponadto na wojnach zawsze widziałam rzeczy, które wybuchają. Które wybuchają na wszystkie strony. I zawsze słyszałam wielki huk. A te dwie wieże nie wybuchły. Pierwsza złożyła się, pochłonęła samą siebie. Druga stopiła się, rozpuściła. Pod wpływem temperatury rozpuściła się dokładnie tak jak kostka masła na rozgrzanej patelni. I wszystko to, przynajmniej tak mi się wydawało, wydarzyło się w grobowej ciszy. Czy to możliwe? Czy ta cisza była naprawdę, czy tylko we mnie?^[145]

Następnie tłum ludzi uciekających, początkowo nietkniętych, później pokrytych popiołem jak upiory i chłodne komentarze sprawozdawców CNN, jakby relacjonowali festiwal kabaczków. Przełączyliśmy na Fox News, gdzie komentatorzy rzeczywiście przeżywali to co widzą – byli ludźmi a nie automatami zaprogramowanymi na przekazywanie wiadomości. Od tamtej pory nie porzucaliśmy już kanału wiadomości na CNN.

- *Jedynie co mi przychodzi do głowy to jechać do Florence, gdzie mieści się najbliższa placówka Czerwonego Krzyża, i oddać krew* – powiedziałam.

- *Jadę z tobą* – odpowiedziała Jola.

Pod siedzibą American Red Cross^[146] w odległym o ok 40 mil od Cheraw Florence, ustawiła się już spora kolejka, a wkrótce zaczęto sprzedawać wśród stojących i przechodniów nadzwyczajne wydanie pachnącego świeżą farbą „The Morning News” ze zdjęciem eksplozji po uderzeniu drugiego samolotu w WTC na pierwszej stronie. Gdy weszliśmy do Sali, w której ustawione było kilkanaście foteli dla krwiodawców oprócz pracował nadzwyczajnie zwięks-

145 Oriana Fallaci – Wściekłość i duma „Corriere della Sera” 29 września 2001 r.

146 Amerykański Czerwony Krzyż

szony zespół pielęgniarzy i pielęgniarek, wręczono nam formularze do wypełnienia, po czym przeprowadzono z każdym z nas krótką rozmowę. Wylegitymowałam się stałą kartą krwiodawcy a Jola została wezwana do pokoju lekarskiego, skąd wkrótce wyszła po uzyskaniu informacji, iż nie można od niej pobrać krwi z uwagi na otrzymaną dawkę promieniowania.

Po zabiegach w Loma Linda i zażyciu dawki ziół vilca cora (do dziś nie wiem co jej bardziej pomogło w zatrzymaniu rozwoju guza) stan zdrowia Joli uległ pewnej stabilizacji a zatem nie widzieliśmy potrzeby robić cokolwiek poza okresowo kwartalnymi zdjęciami MRI i kontrolnymi wizytami u D-ra Friedmana w Duke University. Wczesną jesienią odwiedziła nas moja stryjeczna siostrzenica Roma Ndolo, która podążając śladami ojca przyjechała do USA by rozejrzeć się w możliwościach studiowania i ewentualnego zatrudnienia. Uprawiała wówczas pięciobój żeński i była pełna nadziei na awans do olimpijskiej reprezentacji Niemiec.

Śmierć lubianego przez nas George Harrisona z zespołu The Beatles, o rok starszego od Joli, który również cierpiał na raka mózgu, bardzo nas przygnębiła. Wiadomość tą usłyszeliśmy przez radio w drodze do Durham 29 listopada 2001 roku. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na lunch w miejscowości Pittsboro a po wyjściu z restauracji uległa blokadzie stacyjka, uniemożliwiając przekręcenie kluczyka i uruchomienie Joli Saturna L300. Musiałem wezwać pomoc drogową a przybyły truck zawiózł nas wraz z Saturnem na skrzyni, do Chapel Hill gdzie mieściła się siedziba najbliższego dealera Saturna. Wysiadając Jola źle oceniła odległość od stopnia do powierzchni ziemi i skręciła nogę w kostce. Tak jakby nie miała jeszcze dosyć bólu. Musieliśmy zostawić Saturna i wróciliśmy do Cheraw wypożyczonym Chevroletem S10, gdzie natychmiast udaliśmy się na pogotowie. Na szczęście skręcenie nie

było poważne i nie nastąpiło uszkodzenie ścięgien, ale Jola była zmuszona poruszać się przez kilka dni o szczudłach. Boże Narodzenie 1991 spędziliśmy na Florydzie udając się tam razem z Basią i Andrzejem Sosińskimi z Chicago, którzy mieli ze sobą wnuczka Marcina. Po spędzeniu Wigilii w hotelu w San Augustino towarzyszyli nam aż do Palm Beach, skąd pojechali prosto do Miami a my skręciliśmy w drogę I-4 przez Orlando do Tampa, gdzie drogą I-75 pojechaliśmy najpierw do Fort Myers a później na Marco Island. W Fort Myers mieszka siostra cioteczna Joli Teresa Fields z mężem Billem, oraz brat Teresy Tommy, mieszkający w domu odziedziczonym po rodzicach, któremu złożyliśmy wizytę i zastaliśmy go w bardzo kiepskim stanie. U Janusza jak zwykle była miła i serdeczna atmosfera a korzystając z pięknej pogody pławiliśmy się dużo w jego basenie. 6 stycznia obchodziliśmy we dwoje 40-tą rocznicę ślubu życząc sobie wzajemnie doczekania Diamentowych Godów w dobrym zdrowiu.

10 lutego kolejna wizyta w Duke, tym razem w klinice okuli-stycznej Duke Eye Center, gdzie Jola poddała się operacji przeszczepienia mięśni poruszających prawe oko, dla zlikwidowania zjawiska podwójnego widzenia. Operację przeprowadził Dr David Chesnutt a po spędzeniu jednego dnia w hotelu i wizycie następnego dnia okazało się, iż operacja przebiegła pomyślnie. Po tej operacji w Jolę jakby wstąpiły nowe siły, poczuła się znacznie lepiej psychicznie gdy nie musiała już zasłaniać oka by normalnie widzieć. Na 40-lecie urodzin kupiliśmy Iwonce kamerę wideo , przy pomocy której nagraliśmy taśmę, gdzie Jola przesłała pozdrowienia dla rodziny i znajomych w Polsce. Kasia i Wojtek spędzili u nas tydzień wakacji, podczas których udaliśmy się nad Atlantyk i jadąc wzdłuż wybrzeża odwiedziliśmy m.in. Charleston, Hilton Head Island w Południowej Karolinie oraz Savannah i okolice w Georgia.

Następnie Kasia z Iwonką poleciały do Polski by pokazać film z nagraniem Joli oraz opis wycieczki wzdłuż Atlantyku.

Kolejny MRI niestety wykazał powiększenie guza, co wyraźnie było napisane w opisie radiologicznym, gdzie uderzyło mnie jedno groźne słowo enhancement (powiększenie). Tymczasem Dr. Friedman powiedział: - ja nie wierzę. To są pozostałości po naświetlaniu. Janusz, po obejrzeniu klisz spytał co Dr. Friedman powiedział, a następnie skomentował wymijająco:

- *Skoro tak powiedział, to tak jest.*

Oczywiście woleliśmy dobre wiadomości od złych ale stan Joli stopniowo się pogarszał. Latem pracowała w ogródku, pływała w basenie, chodziła ze mną na spacerów a nawet jeździła na rowerze tyle, że na coraz krótszym dystansie. Coraz słabiej się czuła, coraz częściej polegiwała a optymistyczny początkowo nastrój stopniowo jej się pogarszał. Któregoś dnia patrzyliśmy na zasadzone przez nas cyprysy podziwiając jak ładnie wyrosły a ja zrobiłem uwagę:

- *Za kilka lat już będą tak wysokie, że zasłonią wszystkie budynki z tyłu.*

- *Ja już tego nie doczekam* – odpowiedziała Jola ze smutkiem. Innym razem, gdy przyszedł atak wzmożonego bólu, powiedziała:

- *Ja się już z tego nie wygrzebię.*

Pocieszałem ją jak tylko mogłem ale coraz bardziej czułem okrutną prawdę, zawartą w tych stwierdzeniach. Surfowałem po internecie odnajdując wszelkie możliwe grupy wspierające oraz ewentualne metody leczenia. Gdy spędzałem zbyt wiele czasu przy komputerze, Jola przychodziła do mnie prosząc:

- *Posiedź trochę ze mną.*

Wracałem do niej czując, iż mamy już coraz mniej czasu dla siebie. Jola przytulała się do mnie z ufnością a ja starałem się nie pokazywać jej zasmuconego oblicza ukrywając to co naprawdę czułem: obezwładniającą bezsilność i bezradność wobec nieubłaganej postępującej choroby. We wrześniu 2002 Jola zaczęła mieć trudności z połykaniem a nawet z głośnym mówieniem. Po prostu osłabły mięśnie krtani. Nowy MRI wykazał dalsze powiększenie guza a Dr. Friedman ponownie powiedział:

- *Ale ja w to nie wierzę.*

- *Z całym szacunkiem doktorze – odpowiedziałem tracąc cierpliwość – ale tym razem ja tobie nie wierzę. W jaki sposób wytłumaczysz fakt, że moja żona czuje się coraz gorzej?*

- *Ja już nic nie mogę zrobić, drugiej operacji nie będzie.*

- *To w takim razie kto może coś zrobić, przecież nie wolno jej zostawić w takim stanie?! – spytałem.*

- *Możemy żonę umówić z onkologiem – odpowiedział, a do mnie dodało, iż nie chce mieć już z leczeniem Joli nic wspólnego.*

Ponownie spytałem Janusza, co mi może poradzić, na co załatwił mi spotkanie z neurochirurgiem-onkologiem w Henry Ford Hospital w Detroit 24 grudnia po południu.

Polecieliśmy do Detroit by spędzić Boże Narodzenie z rodziną oraz spotkać się z panią doktor Lisą Rogers. W opustoszałym budynku Henry Ford Medical Center przy Grand Boulevard w Detroit zastaliśmy tylko drzemiącego portiera, który wskazał nam palcem tablicę informacyjną i windę, a na VIII-mym piętrze, w klinice Neuro-onkologii w pustej poczekalni zastaliśmy recepcjonistkę malującą paznokcie. Wkrótce zostaliśmy wezwani do gabinetu Dr. Rogers, która – jak nam powiedziała – nie miała czasu zapoznać się jeszcze z przekazaną jej dokumentacją, wydobytą przeze mnie z Loma Linda UMC i z Duke UMH, przeprowadziła dokładny wywiad

z Jolą chociaż na pytania o daty, lokalizacje i rodzaje stosowanej terapii odpowiadałem przeważnie ja. Jola miała już kłopoty z pamięcią a mówienie sprawiało jej coraz większą trudność.

- *Po zapoznaniu się z tą dokumentacją wydam orzeczenie* – powiedziała Dr. Rogers – ale radzę skontaktować się z onkologiem.

- *A co powiesz na gamma knife?* – spytałem.

- *Możecie spróbować* – powiedziała – *ale według mnie bardziej wskazana jest chemoterapia. Niezbędne może się okazać wszczepienie rurki do żółodka, żeby się trochę odżywiła, skoro przelżykanie sprawia jej trudność.*

- *Ja bym wolała gamma knife od chemoterapii* – powiedziała Jola po wyjściu.

- *Zaraz po powrocie umówię cię na konsultacje gamma knife* – odpowiedziałem.

Wigilię Bożego Narodzenia spędziliśmy u Iwonki, do której przysła również Agnieszka z Juliette i z Rickiem, mieszkającymi u jego mamy. Nie poszliśmy na Pasterkę tylko pojechaliśmy na Mszę do Kościoła Matki Boskiej Częstochowskiej w Sterling Heights a wracając zrobiliśmy zakupy w posłkim sklepie Bozek Market. Wracaliśmy bezpośrednim lotem US Airways do Charlotte 26-go grudnia w smutnym nastroju, który starałem się zmienić przypominając nasze wyprawy i pierwszy lot z Poznania do Warszawy na pokładzie Antonowa-24 LOTu.

Udało mi się wywołać uśmiech, tak rzadko goszczący ostatnio na buzi Joli, porównując hałaśliwego górnopłata Antonowa do równie niewielkiego ale smukłego i wyciszonego wewnątrz odrzutowca Embrarer-145. Wystąpiliśmy o rentę inwalidzką w Social Security Administration, wywieszkę uprawniającą do parkowania na miejscach dla inwalidów a pełniącą funkcję naszego Family Doctor,

Dr. Paris przepisała „balkonik” ułatwiający Joli poruszanie, gdyż coraz częściej miewała zawroty głowy i stawiała się coraz słabsza. Rozmowa telefoniczna z Dr. Rogers nie napawała optymizmem. Powiedziała, że chemoterapia może być jeszcze szansą ale według niej pacjentka jest zbyt słaba fizycznie by taką kurację znieść. Tyle się domyślałem nawet nie będąc lekarzem i dlatego załatwiłem wizytę u lekarza-gastrologa w Bennetsville. W Nowy Rok 2003 posiedzieliśmy do północy czekając aż Iwonka zadzwoni do nas z balu, na który poszła z Wojtkiem i złożyliśmy sobie życzenia. Ja życzyłem Joli powrotu do zdrowia, natomiast Jola życzyła mnie i sobie, żebyśmy jeszcze troszeczkę byli ze sobą razem.

- *Dlaczego tylko troszeczkę? Będziemy ze sobą jeszcze długo* – odpowiedziałem

- *Ja też bym tego chciała najdroższy* – powtórzyła Jola tuląc się do mnie i zalewając łzami.

Nie chciałem przy niej okazywać słabości uciekając do komputera, gdzie miałem zainstalowany głośnik odbierający wszystkie sygnały z salonu. Chwytałem się wszelkich, możliwych iskerek nadziei, włączając w to nieortodoksyjne praktyki doktora Burzyńskiego z Texasu, do którego zadzwoniłem ale asystentka odpowiedziała mi, po zdaniu sprawozdania ze stanu Joli, że nie przyjmują pacjentów, którzy nie poruszają się o własnych siłach. W wielu miejscach powiedziano mi to samo, że pacjent musi być w dobrej kondycji fizycznej. Kto ryzykuje udziwnione metody leczenia w sytuacji, gdy pacjent czuje się w miarę dobrze?

„Dlatego opuści człowiek ojca swego i matkę i złączy się ze swoją żoną, i będą oboje jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, lecz jedno ciało. (Ew. św. Marka 10:1-12)

W tamtych dniach uświadomiłem sobie znaczenie tych słów,

gdyż cierpienie Joli udzielało się mnie. Oczywiście nie cierpiałem fizycznie jak ona, ale psychicznie byłem kompletnie rozbity, nie będąc w stanie znaleźć sobie miejsca lub zajęcia. Odrzucałem od siebie myśl, że koniec jest nieuchronny a z drugiej strony nie miałem żadnej koncepcji jak temu zapobiec. Wkrótce po Nowym Roku pojechaliśmy ponownie do Durham, ponownie spędzając noc w hotelu, gdyż o 8:00 rano mieliśmy wyznaczoną kontrolną wizytę u D-ra Chesnutt a o 10:00 u d-ra Jona Gockermana specjalisty onkologa. Czekaliśmy 3 godziny w poczekalni zanim nas wezwano a na moje coraz bardziej natarczywe pytania odpowiedziano wreszcie, że szukają dokumentów Joli. Następnie pielęgniarka przeprowadzała z Jolą długi wywiad, zadając tak idiotyczne pytania, iż w końcu zirytowałem się i spytałem czy to ma być wywiad czy policyjne przesłuchanie zwłaszcza, że mówienie przychodziło Joli z coraz większym trudem.

- *Staramy się ustalić wszystkie okoliczności by zbadać przyczyny powodujące raka* – odpowiedziała pielęgniarka.

- *I tak nic nie wiecie a zadając takie głupie pytania nigdy się nie dowiecie* – rozżłościłem się. – *Wołaj szybko lekarza bo chyba widzisz, że pacjentka ledwie zipie.*

Doktor Gockerman zjawił się dopiero ok. godz. 14:00, przeprasząc za długie oczekiwanie ale mieli problemy ze znalezieniem dokumentacji Joli, która znajdowała się w sąsiednim budynku w klinice ocznej, o czym natychmiast powiadomiłem rejestrację. Po zbadaniu Joli i przejrzeniu opisów radiologicznych oraz opinii D-ra Friedmana, zalecił odstawienie Neurontin – leku zapobiegającego epilepsji – wykonanie operacji wszczepienia rurki i konsultację z onkologiem zlokalizowanym w pobliżu naszego miejsca zamieszkania. Byliśmy bardzo szczęśliwi sprowadzając się na głuchą pro-

wincję ale w tym momencie uświadomiłem sobie ciemne strony mieszkania w dziurze zabitej dechami; odległość od przyzwoitych ośrodków medycznych. Na zakończenie podał mi wizytówkę, mówiąc:

- *Zadzwoń do mnie.*

- *Jeżeli mam czekać aż się zgłosisz tak długo jak czekaliśmy na ciebie dzisiaj, to strata czasu* – powiedziałem złośliwie.

- *Postaram się odpowiedzieć najszybciej jak to możliwe.*

Nie zadzwoniłem, wnikoskując z miny d-ra Gockermana, że powie mi coś, czego wolałbym nie usłyszeć. Przygotowując się do konsultacji z lokalnym onkologiem oraz po skierowanie do gastrologa Jola przeszła kontrolne badania, wraz z mammografią u doktor Paris. Gdy po obejrzeniu wyników lekarka stwierdziła obecność guza Jola tylko głucho jęknęła a mnie oblał zimny pot. Zdałem sobie sprawę, iż zaczęły się przerzuty i jakkolwiek terapię należało zacząć natychmiast, na ile tylko stan ogólny Joli pozwalał. Mimo, iż dr. Friedman nie zalecał Gamma Knife, zdecydowałem się zasięgnąć informacji, w rezultacie których znalazłem dwa ośrodki dokonujące radiochirurgii tą metodą: w Charleston i w Columbii. Charleston jest największym miastem w Południowej Karolinie ale odległym od Cheraw o 3 i pół godziny jazdy.

Columbia jest stolicą Stanu i znajduje się zaledwie 1,5 godziny od nas. Ponieważ Jola robiła się coraz słabsza, nie chciałem jej narażać na męczące dalsze podróże i dlatego zdecydowałem się na Richland Memorial Hospital Gamma Knife Center w Columbii. Jednocześnie w klinice gastrologicznej w Bennettsville, prowadzonej przez hinduskich lekarzy umówiłem Jolę z doktorem Iftikar w sprawie przeprowadzenia zabiegu wszczepienia rurki do sztucznego odżywiania. Mimo, iż mieliśmy tabliczkę, uprawniającą

do parkowania w miejscach dla inwalidów, zastaliśmy wszystkie te miejsca przed szpitalem już zajęte. Nie było nawet możliwości zatrzymania auta w pobliżu wejścia do szpitala, które było całkiem zablokowane. Spytałem Jolę czy da radę przejść kilkadziesiąt metrów gdzie znalazłem miejsce, korzystając z balkonika i mojej pomocy. Kiwnęła głową i doszła do wejścia, gdzie natychmiast przyciągnąłem jej jeden z kilkunastu znajdujących się w hallu wózków. Później skarżyła się, że ledwie udało jej się ten dystans pokonać a ja miałem wyrzuty sumienia, że nie poczaekałem, aż zwolni się miejsce przed samym wejściem do szpitala. Dr. Burke Dial – Director for Palmetto Health Gamma Knife Center był już w wposiadaniu całej dokumentacji medycznej Joli, którą uprzednio mu przefaxowałem. Okazało się, iż przebywał kilka miesięcy w Polsce, głównie w Krakowie, z serią wykładów i demonstracji i znał kilka zwrotów po polsku, którymi się przed nami pochwalił. Po przedstawieniu historii choroby Joli, pochwalił mnie słowami:

- *You are a good historian* – jesteś dobrym prezentatorem.

Biedna Jola, już nie mogła mówić bez bólu a ponadto z coraz większym trudem wydobywała z siebie głos. Niestety, jedyne, co mogłem dla niej zrobić to wozić ją po lekarzach i prezentować jej historię. Po wysłuchaniu i przejrzeniu teczek z dokumentacją medyczną Joli wydał wyrok:

- *She's not qualified* – ona się nie kwalifikuje (do tego zabiegu). *Dawka promieniowania, którą otrzymała w Loma Linda nie pozwala na dodatkową.*

Komplet dokumentacji przesłałem do jednego z najlepszych szpitali w USA Massachusetts General Hospital w Bostonie, z prośbą o wydanie second opinion ale odpowiedziano mi dopiero następnego miesiąca. Jola nie kwalifikowała się na żadne naświetla-

nia, na chemoterapię czy na podróż do Peru albo do Lourdes była za słaba, objawy odrastania guza były coraz bardziej ewidentne, mammografia potwierdziła najgorsze przypuszczenie o rozpoczęciu przerzutów, dla wzmocnienia musiała mieć wszczepioną rurkę. Błędne koło wraz z kurczeniem możliwości leczenia zacieśniało się coraz bardziej. Jola jednak nie traciła woli walki i nie poddawała się. Codziennie wstawiała, samodzielnie się myła i ubierała. Od połowy miesiąca zostałem już w domu i pomagałem jej ale nadal wołała robić wszystko obok siebie sama. Miała nawet zamiar zrobić pranie ale nie pozwoliłem prosząc by tylko podzieliła się informacjami jak rozdzielać kolory od białych. Przepraszała mnie, że nie ma siły szykować mi posiłków – co zawsze jej sprawiało przyjemność, zwłaszcza, gdy chwaliłem jej kulinarne talenty – ale ona sama musiała się zmuszać do jedzenia w sytuacji, gdy nie była w stanie nic przełknąć poza płynami w ograniczonej ilości. We wtorek odwiedziły nas przyjaciółki Joli z Koła Kobiet Frances Blinkhorn i Irene Glad przynosząc zrobioną przez Frances zupę, a której Jola trochę zjadła. Nabierała sił podczas rozmów z Iwonką, która nie wierzyła w jak ciężkim stanie jest jej Mama. 15-go stycznia Social Security Administration przekazał na nasze konto wyrównanie renty inwalidzkiej za cały rok, ale zanim dokonano przelewu urzędniczka zażądała rozmowy z ubezpieczoną. Joli udało się ledwie odpowiedzieć na dwa pytania: potwierdzić nazwisko i datę urodzenia. Na moje pytanie, na co chce przeznaczyć te pieniądze Jola się tylko uśmiechnęła.

Operacja została wyznaczona na 23 stycznia 2003 roku w Marlboro Park Hospital w odległym o 20 mil Bennettsville. Zima w Południowej Karolinie zwykle ma bardzo łagodny przebieg. Wprawdzie zdarzają się nocne przymrozki ale rzadko ujemne temperatu-

ry w skali Celsjusza utrzymują się dłużej niż kilka godzin. Opady śniegu należą tu do rzadkości a sytuacja by śnieg utrzymywał się na powierzchni dłużej zdarza się raz na kilka lat. Po raz pierwszy za naszej obecności sytuacja taka prztrafiła się w lutym 1999 roku, kiedy opady śniegu całkowicie sparaliżowały zupełnie nie przygotowane na taką niespodzodziankę miasto. Nie odśnieżone parkingi uniemożliwiły dojazd pracownikom, klientom i pacjentom marketów, biur, zakładów pracy, przychodni lekraskich i szpitala. Wiaty na stacjach benzynowych obliczone na lekkie opady lub brak śniegu, pozawały się pod jego ciężarem. Padły linie elektryczne, przez co byliśmy pozbawieni energii przez więcej niż 24 godziny. Po raz drugi opady śniegu zdarzyły się właśnie 23 stycznia 2003 roku. Śnieg zaczął sypać nad ranem ale niska temperatura spowodowała, iż zaczęła się już tworzyć gołoledź. Zniosłem Jolę na rękach po śliskich schodach i chodniku aż do samochodu. W drodze zaczął sypać coraz gęstszy śnieg a Jola, widząc sytuację na jezdni prosiła:

- Jedź ostrożnie, nie musimy się spieszyć.

Przejeżdżaliśmy właśnie przez most nad rzeką Pee Dee River, rozdzielającą hrabstwa Chesterfield – w którym mieszkaliśmy – i Marlboro, których nazwy znane są wszystkim palaczom. Pomyślałem wówczas, iż gdybyśmy spadli z mostu to przynajmniej stracilibyśmy życie razem i bez dodatkowych cierpień, ale nie podzieliłem się z Jolą tą myślą. I tak nie mogłem jechać szybciej, gdyż przede mną jechał pług odśnieżająco-solący – chyba jedyny w obu hrabstwach – pozostawiający za sobą tumany sypkiego śniegu i breję powstała po sypanej gęsto soli. W szpitalu Jola trafiła na oddział outpatient surgery czyli pacjentów udających się po zabiegu do domu. W pokoju przywitała nas Annel Trotter, dyżurna pielęgniarka przygotowawcza Sali operacyjnej a

przy okazji moja koleżanka i była prezes klubu Lions International. Zabieg trwał niewiele ponad dwie godziny, może mniej a czas ten wypełnił mi obchód szpitala. Przy okazji spotkałem przełożoną zmiany pielęgniarek Grace Villafranca, Filipinkę uczęszczającą wraz z mężem i dwoma córkami do naszego kościoła. Filipińczycy w naszych okolicach mieli dwie cechy wspólne: 1. mieli wykształcenie medyczne 2. Byli praktykującymi katolikami. W Cheraw i w Bennettsville mieszka kilkanaście rodzin pochodzenia filipińskiego, stanowiąc drugą, po Niemcach nie-amerykańską grupę etniczną.

Po zabiegu Jola nie obudziła się od razu z anestezji, robiła wrażenie nieprzytomnej i w końcu dr. Iftikar zdecydował by przenieść ją na oddział szpitalny do pokoju 217. Wieczorem rozpoczęto dokarmianie, na które Jola niemal natychmiast zareagowała wymiotami, a z powodu paraliżu krtani część pokarmu dostała się jej do płuc. Dokarmianie przerwano, podłączając Jolę do kroplówki i oddalając szanse na to by odzyskała siły na tyle by poddać się chemoterapii. Do pokoju Joli wstawiono rozkładany fotel a dyżurna salowa przyniosła mi pościel, po moim oświadczeniu, że się od Joli łóżka nie ruszę.

Gdy tylko się położyłem i wizałem Jolę za rękę, poprosiła mnie gestem żebym wszedł do niej na łóżko, by się mogła do mnie przytulić. Nie mogła się jednak odwrócić z uwagi na rurki od kroplówki i tlenu. Powiedziałem, żeby się nie ruszała a ja pozostanę na jej łóżku dopóki nie zaśnie. Zadzwoiłem do Iwonki z informacją o tym, że organizm mamy odrzucił rurkę i nie przyjmuje pokarmów, nie komentując. Rano przyszedł doktor Iftikar, zdziwiony, że Jola nie dochodzi do siebie i rozżalony, że nie ma całej dokumentacji dotyczącej jej dolegliwości. Nie chciał tego powiedzieć wprost ale wyczułem, iż gdyby wiedział o wszystkim to by jej nie przyjął. Już

nie pamiętam czy to on czy jego partner przyjmował Jolę w przychodni gastrologicznej ale wiem na pewno, iż powiedziałem mu całą historię choroby a obecne wykręty uznałem za pretensje do garbatego o to, że ma proste dzieci. Poprosiłem go o najsilniejsze środki przeciwbólowe jakie ma w dyspozycji, żeby Joli oszczędzić cierpienie. Później wydał zalecenia zrobienia CAT Scan^[147] oraz prześwietlenia klatki piersiowej. Następnie przyszła social worker, która wyjaśniła o dalszym postępowaniu wobec Joli. Gdy tylko jej stan na to pozwoli, zostanie wypisana i zawieziona karetką do domu, a tam będzie przychodziła pielęgniarka podłączająca kroplówkę z tym, że moje ubezpieczenie pokrywa tylko 180 dni takiej opieki i dlatego powinienem się przygotować psychicznie na oddanie Joli do domu opieki.

- *Tylko do takiego, gdzie będziemy mogli być razem. Ja już jej nigdy nie opuszczę* - odpowiedziałem.

- *No tak, ale musisz pracować, żeby mieć ubezpieczenie.*

- *Ja już nic nie muszę* – dając do zrozumienia, iż rozmowę uznałem za zakończoną.

Zacząłem sobie pomału uświadamiać, iż Jola niestety miała rację mówiąc, że się już z tego nie wygrzebie. Zadzwoiłem do naszego proboszcza – Filipińczyka Bernardino Yebra, z prośbą by przyjechał udzielić Joli Komunii i Ostatniego Namaszczenia. Ksiądz Yebra koniecznie chciał Jolę wyspowiadać ale w koncu ustąpił widząc, że nie jest w stanie mówić, udzielił Komunii nam obojgu a Joli dodatkowo ostatniego namaszczenia. Podczas jego wizyty zadzwoniła Iwonka, którą poprosiłem, żeby zadzwoniła za 15 minut ponieważ w tej chwili jest ksiądz.

- O Boże, co się stało? – zapytała Iwonka, do której wciąż nie

147 Computerized Axial Tomography – Tomografia komputerowa, TK jest rodzajem tomografii rentgenowskiej, metodą diagnostyczną pozwalającą na uzyskanie obrazów tomograficznych (przekrojów) badanego obiektu.

docierało, w jak poważnym stanie jest jej mama.

- *Po prostu wezwałem księdza* – odpowiedziałem.

Po wyjściu księdza przyszła pielęgniarka – specjalistka od czyszczenia płuc i mimo, że robiła to bardzo łagodnie, radząc Joli, by sobie wyobraziła, że jest na plaży to ja patrząc na te zabiegi czułem jakby mnie ktoś wiercił w nosie. Po jej wyjściu Jola wyszeptała:

- *Zabierz mnie* – ale tak niewyraźnie, że zrozumiałem „zabij mnie”. pogłaskałem ją po głowce pocieszając:

- *Wszystko będzie dobrze* – a Jola powtórzyła już wyraźniej:

- *Zabierz mnie.*

Poprosiłem lekarza, którego już na terenie szpitala nie było ale powiedziałem pielęgniarce, że chcę zabrać Jole do domu. Po skonsultowaniu z lekarzem otrzymałem odpowiedź, że zezwolą na wypisanie Joli gdy tylko ustąpią objawy zapalenia płuc, gdyż w tym stanie każde przenosiny by ją zabiły. Wieczorem zadzwoniła Iwonka informując, że mają już bilety na jutro i przylatują do Charlotte ok 23:00. Powiedziałem o tym Joli, która w odpowiedzi uśmiechnęła się a ja miałem paskudne skojarzenia z podobną sytuacją, która miała miejsce 10 lat temu, gdy Jola wybierała się do chorej matki ale nie zdążyła. W nocy przyszła inna „specjalistka” od czyszczenia płuc, która robiła to nieudolnie, wpychając rurkę na siłę, powodując dodatkowy ból aż do wystąpienia kropelek krwi włącznie. Powiedziałem babie, żeby się tu więcej nie pokazywała. Gdy przyszła następny raz Jola rozpoznała ją i z przerażeniem w oczach gestem ręki pokazała, że nie chce by się do niej zbliżała.

- *Wynocha stąd* – powiedziałem do specjalistki – *w tej chwili! Ale ja muszę to zrobić bo to jest wpisane w zalecenia.*

Musisz tylko wylecieć z roboty a ja się o to już postaram za

znęcanie nad moją żoną.

- *Ale ja mam trójkę dzieci na utrzymaniu – zaczęła się mazać.*

- *Get-to-hell-out-of-here!* (wynoś się do diabła w tej chwili)
- wycedziłem nie podnosząc głosu by nie drażnić Joli.

Wkrótce po wyjściu nieudacznicy odpowiedzialnej za breathing treatment przyszła inna pielęgniarka, która powiedziała, że Jola musi mieć zrobiony ten zabieg, oraz że ona postara się to zrobić.

- *Pod warunkiem, że zrobisz to delikatnie, bez sprawiania bólu oraz, że Jola nie będzie się ciebie bała.*

Rzeczywiście udało jej się to ale po skończeniu powiedziała, że ta, którą wyprosiłem musi sprawdzić czy dobrze zrobione.

- *Ona progu tego pokoju nie przekroczy, póki ja żyję, jasne? Niech przyjedzie przełożona, lekarz, dyrektor, kto chce, byle nie ta sadystka.*

Rano, 25 stycznia 2003 przyszedł doktor Iftikar, zbadał Jolę, a następnie kiwnął na mnie żebym wyszedł razem z nim. Po przejściu do pustego pokoju usłyszałem wyrok:

Jola ma obustronne zapalenie płuc. Z jednej strony nie powinna leżeć, ale z drugiej, jest tak słaba, że nie wytrzyma siedzącej pozycji. CAT Scan wykazał, że rak się przerzuca do kości. Będziemy robić wszystko, co w naszej mocy, by ją wyciągnąć z zapalenia płuc ale na leczenie raka nie mamy warunków.

Nie spytałem jakie są prognozy, bo nie chciałem słyszeć odpowiedzi. Poprosiłem tylko, żeby zapisał Joli takie leki, by nie musiała cierpieć. Iftikar się zgodził ale powiedział, że teraz musi ją przzenieść na ICU.

- *Czy ja będę mógł tam z nią być?* – spytałem.

Niestety, tam się nie da wstawić rozstawianego fotela i są

limitowane godziny odwiedzin.

- *Ja obiecałem żonie, że jej nie opuszczę i muszę dotrzymać słowa.*

- *O.k., w takim razie podłączymy ją do remote monitoring (zdalnego monitorowania)* – zgodził się doktor.

Wróciłem do Joli, która odzyskiwała przytomność tylko po to by zacząć cierpieć dopóki uruchamiana czasowo kroplówka z morfiną nie zaczęła działać, po czym zapadała w sen rżąc przez zanieczyszczone płynami płuca. Powtórzyłem jej, że Iwonka z dziećmi są już w drodze, by nabrała sił oczekując na nich. Po południu pojawili się Frances z Dickiem oraz Irene z Tony'm. Frances jest emerytowaną pielęgniarką a Irene pracowała w przychodni lekarskiej robiąc transkrypcje z dyktafonów i też się знаła na pielęgnacji. Przynieśli kurczaki z Kentucky Fried Chicken ale po pierwsze ja nie miałem apetytu a po drugie, ponieważ Jola nie mogła nic jeść to korzystałem z jej porcji. Zaproponowali mi, żeby pojechał do domu się przespać a oni posiedzą przy Joli. Skorzystałem po to, żeby się przebrać i przygotować pościel dla Dzieciaczków, którzy będą zmęczeni po podróży z trzema przesiadkami. Gdy wróciłem okazało się, że Jola spała spokojnie cały czas i nie było konieczności budzenia jej na breath treatment. (inhalacja tlenem i czyszczenie płuc rurką wkładaną przez nos) Na odchodnym Dick powiedział, żebym do niego zadzwonił bez względu na porę dnia lub nocy gdy będę go potrzebował z jakiegokolwiek powodu. Za każdym razem, gdy Jola się budziła mówiłem jej, że Dzieciaczki już są w drodze i późnym wieczorem się zjawiają. Kiwała główką spoglądając w kierunku drzwi jakby chciała by pojawili się w tej chwili. Później dowiedziałem się, iż Iwonka miała zamiar wsiąść w samochód i przyjechać natychmiast po tym, gdy jej powiedzia-

łem o wizycie księdza. Wojtek jej wyperswadował, znalazł bilety i w sumie postanowili przylecieć wszyscy. Później okazało się, że Wojtek przywiózł czarny garnitur, który kupił na pogrzeb swej mamy a wszystkie dziewczyny miały czarne sukienki. Ok 22:00 Jola obudziła się ze strasznym bólem, co można było zaobserwować niespokojnym zachowaniem; kopała nogami, chciała coś złapać rączką a w oczach malowało jej się niewysłowione cierpienie. Zawolałem pielęgniarkę nakazując by natychmiast wstrzyknęła jej morfinę ale odmówiła tłumacząc się, że jeszcze nie nadszedł czas.

- *Doktor mi obiecał, że ona nie będzie cierpieć a ja widzę, że cierpi* – powiedziałem.

- *A skąd wiesz, że ona cierpi?* – spytała głupio pielęgniarka, której cierpienie kojarzyło się wyłącznie z jękami i okrzykami bólu.

- *Bo znam ją od 42 lat i wiem kiedy cierpi i jak.*

Pielęgniarka nie chciała, żebym postawił na swoim i zaczęła przepytować nieprzytomną z bólu Jolę czy ją boli, jak bardzo i gdzie. Jola zdołała tylko kiwnąć głową i unieść rączkę w kierunku obolałej głowy. Wreszcie zgodziła się wcisnąć odpowiedni kod w urządzenie do dozowania i wkrótce widać było, że ból został zniesczulony. Mówiłem do Joli, że niedługo przyjadą dzieci, że już za chwilę wylądują w Charlotte i zjawią się tu za dwie godziny.

- *Jestem przy tobie cały czas a jak się obudzisz to będą Dzieciaczki obok ciebie* – powiedziałem – *postaraj się zasnąć kochanie.*

Jola kiwnęła główką i złożyła buzię w ciup, żeby ją pocałować a ja jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że będzie to nasz ostatni pocałunek. Ok 23:00 zasnęła a ja położyłem się obok na rozkładanym fotelu trzymając jej prawą dłoń w mojej lewej. Nie pamiętam czy i kiedy zasnęłem, wiem tylko, iż w pewnym momencie poczułem, iż Jola delikatnie ścisnęła moją dłoń. W chwilę później weszła pielęgniarka, zapaliła górne światło, zbadała Jolę stetosko-

pem, mierząc puls i szybko wyszła. Wstałem, podszedłem do Joli, która wciąż miała zamknięte oczy ale nie oddychała. Objąłem ją, uniosłem, przytuliłem a obcałowując jej czoło i policzki prosiłem:

- Nie odchodź ode mnie Joleczko, nie zostawiaj mnie samego, Dzieciaczki powinni się zjawić lada moment.

Jola jakby mnie posłuchała, wzięła głęboki oddech, tym razem czysty, bez rżenia w płucach. Mnie się wydawało, że to zapalenie płuc ustępuje, gdy tymczasem oddała ostatnie tchnienie. Zegarek wskazywał godzinę 2:05.

SAMOTNOŚĆ, CÓŻ PO LUDZIACH

Brakowało mi tylko jednego roku do przejścia na wcześniejszą emeryturę i w związku z tym mieliśmy cały szereg planów, głównie podróżniczych. 5 lat temu byliśmy z Kasią na wakacjach w Stanie Kentucky, stacjonując na campingu KOA^[148] poznaliśmy parę naszych rówieśników, którzy podróżowali po całych Stanach, przenosząc się z campingu na camping, zatrudniając się przy drobnych pracach porządkowo-remontowo-biurowych, za drobne wynagrodzenie i miejsce na campingu z dostępem do wody, kanalizacji, energii elektrycznej, telewizji kablowej i internetu. Mając dom w Texasie wracali na zimę w celu odkurzenia, opłacenia podatków, ubezpieczeń, ewentualnie odbycia podróży zagranicznej. Zatrudnienie na campingach KOA zwykle było czasowe, na miesiąc, najwyżej dwa a potem albo na inny camping albo do domu

148 Kampgrounds of America (KOA) – franchise sieć 470 campingów zlokalizowanych na terenie Północnej Ameryki.

pomieszkać. Każdy camping KOA usytuowany jest w atrakcyjnej turystycznie okolicy, wyposażony w pralnię, basen, korty tenisowe, a każde pole dla przyczep jest w pełni uzbrojone.

Taki sposób spędzania emerytury bardzo nam odpowiadał zwłaszcza, że mieliśmy przyzwoicie wyposażoną przyczepę, solidny truck i uwielbialiśmy wypoczynek na łonie natury. Po przeniesieniu na Południe i zamieszkaniu na wsi, nasze plany uległy pewnej korekcie ale w dalszym ciągu planowaliśmy znaczną część roku spędzać w podróży z przyczepą. Tymczasem śmierć Joli zdruzgotała te plany w drobny pył. Najpierw sprzedałem przyczepę a później pozbyłem się trucka, odsprzedając go Ewie na dogodne raty. Nie miałem już potrzeby wcześniejszego przejścia na emeryturę ale z chwielą, gdy zacząłem o tym myśleć, miałem coraz mniejszą ochotę na pracę „gwizdka do gwizdka” , od poniedziałku do piątku. Uprawiając ogródek przekonałem się jak wiele pracy Jola wkładała w jego utrzymanie i jak bardzo mnie się nie chce iść w jej ślady. Zacząłem się udzielać coraz bardziej intensywnie w Lions Club, gdzie po wyjściu za mąż Pattie Westfeld i przeniesieniu do Florence, objąłem funkcję sekretarza a w naszej Radzie Knights of Columbus działałem na ile tylko możliwe, dla wypełnienia wolnego czasu.

Początkowo wyżywałem się na ciężkim, górskim rowerze, który nadawał się jedynie do jazdy po specjalnym szlaku w Stanowym Parku. Wykręcałem na nim kółka w Arrowhead Park ale na jazdę po szosie specjalnie się nie nadawał, głównie z uwagi na ciężar. Gdy latem odwiedzili mnie Iwonka z Wojtkiem przywożąc rower nie byłem w stanie dotrzymać im koła. Jesienią kolega z pracy Tommy Schauer powiadomił mnie o mającym się odbyć w Chesterfield rajdzie podzielonym na dwa etapy 20 i 40 mil. Po raz pierwszy od przyjazdu do Stanów miałem okazję poznać zorga-

nizowana grupę entuzjastów turystyki kolarskiej, kierowaną przez byłego zawodowego kolarza Bo Gaskinsa. Wprawdzie rajd to nie wyścig ale było mni głupio zakończyć krótszy etap na przedostaniej pozycji. Za mną dojechała tylko pani, która podobno wsiadła na rower po raz drugi w życiu. Jeden z uczestników, Wayne Hood, który cierpiał na poważną wadę serca skomentował moje „wyczyny” w niezbyt sympatyczny sposób:

- *Jeżeli ktoś nie jest w stanie dotrzymać mi koła to nie powinien tu być.*

Natychmiast po rajdzie udałem się do Florence, gdzie znajdował się najbliższy sklep rowerowy:

- *Czym mogę służyć?*

- *Poproszę rower* – odpowiedziałem na pytanie sprzedawcy.

- *Mammy dużo rowerów, czy masz jakąś określoną markę na myśli?*

- *Najlejszy.*

Obsługujący zorientował się, iż ma do czynienia z klientem, który się nie będzie targował o drobiazgi i pokazał mi kilka modeli, z których wybrałem firmowany przez Lance Armstronga Trek 2300. Lance Armstrong był dla nas inspiracją a dla Joli nadzieją, iż można nie tylko pokonać raka ale również osiągnąć wyczyny na skalę światową. Przeczytaliśmy książkę Armstronga „It’s not about the bike. My Journey Back to Life” wierząc naiwnie, że cud jest możliwy. Rower wraz z osprzętem kosztował ponad 2500\$ ale za to był idealnie do mnie dopasowany i służy mi po dziś dzień

W każdym razie wróciłem na rower jeżdżąc albo z grupą Bo albo sam. Próbowałem kilka razy zabrać się z „Young Blood” (młoda krew) jak ich nazywał Bo, czyli trzydziestolatkami z Cheraw ale nie dałem rady. W tamtej grupie pozostał Tommy Schauer ze swoją wówczas dziewczyną Wyllie. Bo organizował sobotnio-nie-

dziedzielne wypadły do pobliskich miejscowości Darlington, McBee, skąd nas odbierały żony kolarzy ich truckami. Zwykle nasze rowery mieściły się na dwóch. Rajdy te liczyły 40-50 mil ale to wciąż dla mnie było za mało by czuć się w pełni przygotowanym do rajdu MS150, wynoszącym, jak sama nazwa wskazuje, 150 mil (240km). Jest to doroczny rajd sponsorowany przez Multiple Sclerosis Society (stowarzyszenie walki ze stwardnieniem rozsianym) organizowany w większości Stanów, na Południu z zakończeniem w Myrtle Beach w Południowej Karolinie. Każdy z uczestników oprócz wpisowego zobowiązany jest zebrać minimum 200\$ na fundusz walki ze stwardnieniem rozsianym. Rajd rozgrywany jest w dwóch etapach; pierwszy gwiazdzisty z trzech punktów startowych do Florence lub Darlington a następnego dnia wszystkie grupy kontynuują jazdę do Myrtle Beach. Uczestnicy mają do wyboru jeden lub dwa dni a po przeniesieniu na 2 lata rajdu z rozpoczęciem i zakończeniem w Myrtle Beach, wprowadzono również trasy rodzinne czyli do 30 mil. Każdy z etapów liczył ok. 75 mil, przeważnie więcej, z noclegiem albo w Sali gimnastycznej albo na polu namiotowym. Bardziej wygodni kolarze wybierali hotel ale, jak się nietrudno domyśleć, wybierałem łono natury.

Do mojego pierwszego rajdu MS150 byłem przygotowany bardzo dobrze i zniosłem jego trudy bez problemów. Ponieważ jechaliśmy grupą o nazwie „Sandy’s heroes” (bohaterowie Sandy), musieliśmy czekać na dwie uczestniczki debiutantki: jedna to siostrzenica Bo a druga jej koleżanka. Nazwę nasza grupa zawdzięczała Sandy, młodej dziewczynie cierpiącej na stwardnienie rozsiane, która początkowo jeździła z nami wraz z mężem na tandemie. Zrezygnowała, gdy stan jej się pogorszył na tyle, iż organizm jej nie był w stanie kontrolować reakcji na ciepło. W dal-

szych rajdach brałem udział jadąc dla wylosowanej przypadkowo Lyndy Saboley – również młodej dziewczyny, matki dwojga dzieci, oraz dla kolego z kościoła Chucka Lingard, któremu objawy pogorszyły się po śmierci żony.

Rajd odbywał się zwykle w trzeci weekend września, kiedy w Południowej Karolinie trwa jeszcze pełnia lata. W roku 2005 przeszedłem na wcześniejszą emeryturę i miałem więcej czasu na treningi, niż reszta towarzystwa, ale za to na początku maja miałem upadek i złamałem lewą rękę tak paskudnie, iż wymagała dwóch operacji powodując przymusową przerwę w treningach. Okazało się jednak, iż mimo upływu lat mój organizm zachował właściwości regeneracyjne w takim stopniu, iż we wrześniu znów byłem w pełni sił pokonując trasę MS150 bez żadnych problemów. Początkowo moją ambicją było utrzymanie się w grupie a później musiałem na wszystkich czekać, mając nad nimi ogromną przewagę w ilości przejechanych mil. Gdy tylko pogoda zezwalała wsia-dałem na rower przejeżdżając średnio 40 – 60 mil (60-100km). W roku następnym czyli 2006, czyli w wieku 64 lat ustaliłem chyba życiowy rekord przejeżdżając ponad 4000 mil (ok. 6500km) zaczynając sezon w styczniu a kończąc w grudniu.

W rajdzie MS150 uczestniczyłem pięciokrotnie, dwa ostatnie już bez grupy Bo, która pomału uległa rozsypce, początkowo ze względów zdrowotnych poszczególnych uczestników, tragedii życiowych jak samobójstwo syna Larry Rayfielda a wreszcie niespodziewanej śmierci Bo. Bo zwykle jeździł na tandemie z żoną Jackie ale po upadku z drabiny w roku 2008 wracał na rower dość długo. Gdy wreszcie wrócili do stałych wyjazdów, 20 marca 2011 nagle upadł pociągając za sobą Jackie, która straciła przytomność. Gdy ją odzyskała w karetce, spytała:

- A gdzie jest Bo?

- *He's gone* (on odszedł), co zrozumiała jako pojechał. Po opatunku w szpitalu ponownie spytała o Bo i ponownie usłyszała w odpowiedzi:

- *He's gone* – i dopiero wówczas dotarło do niej, że odszedł na zawsze na rozległy zawal.

William, zwany przez wszystkich Bo, Gaskins miał 63 lata, nigdy nie palił, stronił od alkoholu, prowadził bardzo aktywny tryb życia, nie miał żadnych kłopotów ze zdrowiem. Po jego śmierci grupa enuzjastów kolarstwa, którą stworzył - ostatecznie się rozleciała.

Śmierć Joli rozpoczęła czarną serię w naszym kościele. W maju 2003 roku zmarła Jeanine Ormsby, również cierpiąca na raka kości i zmagająca się z chorobą jeszcze dłużej niż Jola. Wkrótce zachorowały na raka mózgu i zmarły w odstępie miesiąca Armenta Lingard i Georgette Sullivan. Rok później zmarła na raka płuc kierowniczka Klubu Seniora, gdzie zacząłem chodzić na lekcje line dance po tym gdy Bill Harris został służbowo przeniesiony wraz z całym wydziałem do Spartansburga a Linda wraz z nim. Mike Sullivan, pełniący w naszej Radzie Zakonu Rycerzy Kolumba funkcję Grand Knight czyli Wielkiego Rycerza - sam nie był najlepszego zdrowia, będąc po dwóch zawałach - a śmierć żony odebrała mu chęci do życia. Zmarł nagle w 2007 roku a obowiązki Grand Knight przejął po nim rok młodszy ode mnie Bill Hebart. Bill nie doczekał końca kadencji a umierając nagle na zawal, opróżnił stanowisko Wielkiego Rycerza. Jego obowiązki przejął do momentu wyborów zastępca Carl Turnberg. Carl potrafił każdą rozmowę przerwać, by włączyć kolejne, po pewnym czasie powtarzane wielokrotnie, opowiadanie zaczynające się niezmiennie albo od

„*When I was in a Navy (gdy służyłem w marynarce wojennej)*”, albo

„When I was in Oklahoma (gdy mieszkałem w Stanie Oklahoma)”.

W pierwszym przypadku opowiadał o zawijaniu do portów Europy, która według jego wiedzy była jednym państwem podzielonym na stany. Z tych „stanów” których zapamiętał tylko jeden – Italy czyli Włochy. Podejrzewam, że w innych nie był. Pobyt w Oklahoma pasował do każdej rozmowy na dowolny temat, którą przerwywał, lub wtrącał się w połowie zdania. Oklahoma pasowała Carlowi do każdego tematu i okoliczności, bez względu na to czy dotyczyła kościoła, kobiet, alkoholu, sportu, polityki, stosunków międzyludzkich. Z wyjątkiem tematów wiążących się z geografią, kiedy uruchamiał pierwszy z tematów, przechodząc do kilku sytuacji, jakie przydarzyły mu się po wejściu do jednego z dwóch portów, do których zawijał jego okręt w celu uzupełnienia paliwa i zapasów Genua i Neapol.

Za każdym razem, gdy mnie zobaczył, Carl przypominał, że miał szwagra polskiego pochodzenia, który nazywał się Budzinowski, śmiejąc się przy tym jakby samo bycie Polakiem stanowiło zjawisko śmieszne z natury. Natępnie opowiadał mi wszystkie trzy znane mu kawały o Polakch, z których sam się śmiał. Skończył, gdy wreszcie przerwałem mu opowiadanie kawału po raz setny:

Ja znam wszystkie kawały o Polakach, które u nas nazywają się kawałami o marynarzach z Navy albo o mieszkańcach Oklahoma.

Od tamtej pory Carl obraził się na mnie, mimo, iż kiedyś zapraszając mnie wraz z kilkoma innymni osobami na obiad, ułożył dla mnie powitalny list, rzekomo po polsku. Najprawdopodobniej napisał ten list ze słownikiem, a tłumacząc każde słowo wybierał zawsze najmniej pasujące znaczenie. Z tego tekstu niesposób było zrozumieć nie tylko treść ale nawet intencje autora.

Pożądany w nasza domostwo. Jak jest twój doba dzisiaj? Kopalnia być wielki. Nadzieja ty podobny u nasz miejsce. (Welcome in our home. How is your day today? mine is great. Hope you like our place.)

Podobny tekst ułożył Carl po hiszpańsku dla pary inżynierów z Wenezueli – również zatrudnionych w Schaeffler Group USA - Veronica i Gustavo Salazar. Po ich minach widać było iż jakość tłumaczenia się zgadzała z „polskim” tekstem. Carl ma zresztą problemy również z angielską pisownią, pisząc proste nazwisko Martus jako „Murtuff”.

Trzech Wielkich Rycerzy naszej Rady pod rząd zmarło podczas pełnienia funkcji. Carl od momentu przejścia tymczasowo urzędu po Billu, oświadczył, iż nie będzie kandydować, podobnie jak reszta członków. Nieoczekiwanie zgłoszono moją kandydaturę którą przyjąłem i zostałem jednogłośnie wybrany nie mając żadnego kontr-kandydata.

W naszej parafii dowodzonej przez księdza Yebra zaczęły się kłopoty finansowe, które się zbiegły w czasie z objęciem stanowiska sekretarki parafii przez niejaką AJ. ks. Yebra poświęcił większość części swych homilli potępianiu skapstwa parafian, apelując o czterokrotne zwiększenie datków. AJ została mianowana przez proboszcza jako pełno-etatowy pracownik, w sytuacji, gdy roboty było nie więcej, niż na 12 godzin tygodniowo. Uzyskała tym samym prawo do ubezpieczenia i płatnego urlopu. Każda parafia w Diecezji Charleston musi być finansowo samo-wystarczająca, księża otrzymują wynagrodzenie według stawki ustalonej dla wszystkich przez biskupa, plus pełne pokrycie wydatków na dom, wyżywienie i samochód. Wynagrodzenie personelu leży całkowicie w gestii proboszcza, który jak się później zorientowałem był niezwykle pod tym względem hojny. Ksiądz Yebra zlikwidował Radę

Parafialną i komisję finansową, zażądał przekazania posiadanych środków przez klub kobiet, motywując, iż przepisy finansowe diecezji mówią, iż wszystkie pieniądze organizacji działających przy kościele muszą być administrowane przez proboszcza. Podobny los spotkał koło młodych, natomiast nie miał szans na ugryzienie funduszy rady Rycerzy Kolumba, która to organizacja posiada status niezależny od kościoła.

Po licznych skargach na prowadzenie parafii wespół z panią AJ, w towarzystwie której ksiądz Yebra coraz częściej się pokazywał, biskup Baker przeniósł „postępowego” księdza do parafii położonej na drugim końcu Stanu. Pozbawiona protektora AJ została zwolniona przez odrodzoną radę parafialną a stanowisko sekretarza objąłem ja. Zostałem finanse parafii w ruinie, zamiast oszczędności mieliśmy ujemne saldo, rekordy chrztów, ślubów zgónów parafian nie były od dwóch lat aktualizowane, budynki wymagały remontu, urządzenie klimatyzacyjne popsute, itd.

Po roku pracy pracując 12 godzin tygodniowo, 3 razy po 4 godziny za wynagrodzeniem 372\$ miesięcznie, doprowadziłem fundusz parafii do 20 tysięcy dolarów na plusie, uzupełniłem księgi parafialne, powstał podjazd dla inwalidów, dokonano konserwacji tabernakulum, pozbyliśmy się siedliska nietoperzy, roznoszących smród na całą okolicę, weszliśmy w posiadanie nowego komputera. Odkryłem w sobie zdolności administracyjno-księgowe, pod kierunkiem bardzo sympatycznej Laurie z diecezji Charleston, z którą konsultowałem się w każdym, wątpliwych przypadkach. Wybrano mnie Wielkim Rycerzem chyba tylko z powodu przesądów, bo wszystkie moje pomysły były krytykowane a nowych nikt nie zgłaszał. W tej sytuacji zrezynowałem po dwóch kadencjach przejmując niemniej ważne stanowisko sekretarza finansowego, na którą to funkcję zostałem mianowany na kolejną 3-letnią kadencję.

Sekretarz finansowy to jedyny urząd w Knights of Columbus, na który nominacji udziela Supreme Knight czyli Najwyższy Rycerz Zakonu. W klubie Lions International pełniłem obowiązki sekretarza, które były oddzielone od finansowych. Jako przedstawiciel kościoła katolickiego zostałem oddelegowany do rady zarządu wielowyznaniowego cmentarza Św. Davida. Codzienne jazdy rowerem w sezonie, plus lekcje line dance raz w tygodniu oraz próby chóru w kole seniora, również raz w tygodniu, doprowadziły do sytuacji, w której byłem bardziej aktywny niż przeszedłem na emeryturę. Urozmaicony repertuar zajęć łagodził mnie w dużym stopniu samotność po śmierci Joli. W listopadzie 2006 roku Dziadek i Tereska zapoznali mnie z Jagodą i od tamtej pory co roku, z wyjątkiem 2013-go, bywałem w Polsce. Miałem wobec Jagody plany małżeńskie ale nie mogła się przez te kilka lat zdecydować. Przede wszystkim panicznie się bała samolotu, a gdy wreszcie się już zdecydowała przyjechać do mnie na krótkie odwiedziny (na dłużej nie chciała), odmówiono jej i Magdzie wiz. Magda – najstarsza córka Jagody jest osobą o bardzo znacznym upośledzeniu i wymaga całodobowej opieki. Możliwe iż przyczyną oporu Jagody była obawa, iż mogę Magdy nie zaakceptować? W każdym razie już zdążyłem pogodzić się z myślą, iż resztę życia muszę spędzić samotnie.

Do Iwonki jeździłem kilka razy do roku, odwiedzając grób Joli, na który poza mną od kilku lat nikt nie chodził. W końcu musiałem zaakceptować fakt, że Jola jest i pozostanie na zawsze przy mnie, bez względu na to gdzie spoczywają jej doczesne szczątki.

Gdy opowiadałem Jagodzie o moich zajęciach była święcie przekonana, iż za działalność w Knights of Columbus, Lions International czy Zarządzie Cmentarza otrzymuję wynagrodzenie. Gdy ją wyprowadziłem z błędu to zdziwiła się, iż skoro mam czas i siły by pracować społecznie nie wezmę się za płatną robotę. Trudno

było odmówić jej logiki ale z drugiej strony powrót do 40-godzinnego tygodnia pracy, dyscypliny, bossów wszelkiego rodzaju, nie bardzo mnie się uśmiechał.

Na początku roku 2009 US Census Bureau^[149] ogłosił nabór rachmistrzów spisowych, którzy mieli za zadanie aktualizację map przy pomocy mini-komputerków wyposażonych w sensory GPS. Po zdaniu pozytywnie kwalifikującego testu, zostałem przyjęty na kurs posługiwania się tym komputerkiem, zwanym HHC^[150], oraz zasadami przeprowadzania spisu^[151]. Wiele budynków mieszkalnych od momentu poprzedniego spisu uległo zniszczeniu lub rozebraniu, w innych miejscach pojawiły się nowe. Nasze zadanie polegało na naniesieniu tych zmian na mapy i przekazanie ich bezprzewodowo do centrali. HHC były produkcji chińskiej a w następnym roku okazało się, że zaktualizowane mapy dziwnym trafem zniknęły z zasobów Bureau of the Census. Tylko tacy idioci jak funkcjonariusze administracji amerykańskiej mogli powierzyć najgorszemu wrogowi wykonanie sprzętu dla zgromadzenia tajnych danych. Jesienią roku 2013 okazało się, iż Bureau of the

149 United States Census Bureau (oficjalna nazwa Bureau of the Census) – rządowa agencja wchodząca w skład Departamentu Handlu Stanów Zjednoczonych, która jest odpowiedzialna za spis ludności Stanów Zjednoczonych (United States Census).

150 Hand Held Computer – ręczny mini-komputer

151 Spis ludności Stanów Zjednoczonych to spis ludności przeprowadzany regularnie w Stanach Zjednoczonych. Na mocy drugiej sekcji pierwszego artykułu Konstytucji Stanów Zjednoczonych ma on miejsce raz na dziesięć lat, a dane z niego uzyskane służą do ustalenia granic jednomandatowych okręgów wyborczych do Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych. Pierwszy spis ludności Stanów Zjednoczonych miał miejsce w 1790 roku, a ostatni w roku 2010. Kolejny jest planowany na rok 2020. Współcześnie spis przeprowadzany jest przez specjalnie w tym celu powołaną agencję, United States Census Bureau. Indywidualne wypełnione kwestionariusze są objęte tajemnicą i publicznie udostępniane dopiero po 72 latach od przeprowadzenia spisów. Jednak w okresie drugiej wojny światowej nielegalnie udostępniono te dane służbom wywiadowczym co doprowadziło do internowania dziesiątek tysięcy obywateli Stanów Zjednoczonych pochodzenia japońskiego.

Census w 2012 roku sfałszował dane na temat wskaźnika bezrobocia, sztucznie go zaniżając. Sfałszowana statystyka dała Barackowi Obamie argument w postaci rzekomego spadku bezrobocia a w konsekwencji wygrać wybory prezydenckie po raz drugi. Zrobiło mi się głupio, iż w takiej instytucji pracowałem.

Praca w US Census trwała 8 tygodni, płatna – wraz z okresem szkolenia – 14\$ na godzinę, cały czas w terenie, czyli idealna dla emeryta, zwłaszcza o moim usposobieniu. Nie miałbym pretensji gdyby Census odbywał się co roku.

Szkolenie enumerators (rachmistrzów) odbywało się w budynku Employment Security Commission (wydział zatrudnienia), gdzie pracował mój znajomy z kościoła Chuck Lingard. Chuck po śmierci żony zapadł na multiple sclerosis a raczej objawy choroby znacznie się pogorszyły. Obecnie z ledwością się porusza ale nadal dzielnie uczęszcza na zajęcia klubu „złotego wieku” i co niedziela jest w kościele. Podczas przerwy w szkoleniu Chuck oprowadził mnie po całym budynku (parterowym zresztą) przedstawiając mi swoje koleżanki i kolegów. Jedną z osób, której zostałem wzajemnie przedstawiony, był lieutenant (porucznik) Jackson, który przeprowadzał rekrutację pracowników do znajdującego się w pobliżu stanowego więzienia znanego oficjalnie jako Evans Correctional Institution. Okazało się, że w USA nie tylko szkoły mają swoich patronów ale dotyczy to również i więzień. Patronem ECI był długoletni naczelnik więzienia o nazwisku Evans, którego imienia nie udało mi się ustalić. Więzienia w USA oficjalnie noszą nazwę correctional institution (zakład poprawczy) a popularnie nazywają się prison. Areszt popularnie nazywa się jail a oficjalnie detention center (izba zatrzymań). Pensjonariusze tych instytucji nieoficjalnie nazywają się prisoners a oficjalnie inmates. Funkcjonariusze popularnie nazywani są guards (strażnicy, co jest niesłusznie,

gdyż pełniły również funkcje wychowawcze) a oficjalnie correctional officers (oficerowie penitencjarni).

Po wymianie uprzejmości i ustaleniu wspólnych znajomych z porucznikiem Jacksonem spytałem z głupia frant czy taki stary typ jak ja ma szansę zostać przyjęty, na co uzyskałem odpowiedź:

Nie zwracamy uwagi ani na wiek, ani na płeć kandydatów. Jeżeli zaliczysz wszystkie testy pisemne, strzelnicę, walki obronne i test sprawnościowy, to masz szansę zostać przyjęty.

Test sprawnościowy polegał na dwukrotnym zbiegnięciu z 25 schodków, dwukrotnym wbiegnięciu na 25 schodków, przeciągnięciu 150-cio funtowego worka na odległość 50 stóp (15 metrów), oraz przebiegnięciu 500 jardów (457 metrów). Całość testu musiała być zaliczona w czasie nieprzekraczającym 5 minut i 27 sekund. Wynagrodzenie w pierwszym roku służby wynosiło 23 tysiące dolarów; nie było to wiele ale jako dodatek do emerytury brzmiało całkiem sympatycznie. Wziąłem kwestionariusz a pod koniec działalności w US Census wypełniłem i wysłałem do SCDC. Odpowiedź przyszła bodajże po miesiącu, gdyż tyle czasu zajęło im sprawdzenie czy nie byłem karany oraz czy nikt z mojej rodziny nie przebywa w którymś z ośrodków. Interview wyznaczono na 10 lipca, a ja akurat w tym czasie miałem przebywać w Polsce. Zadzwoiłem do głównego biura SCDC w stolicy Stanu Columbii z prośbą o przesunięcie. Zgodzono się przełożyć na 24 lipca czyli na trzeci dzień po powrocie. Wracając z Polski miałem nieoczekiwaną przerwę w Amsterdamie. Samolot LOT-u z Warszawy przyleciał do Amsterdamu z dużym opóźnieniem ale w dalszym ciągu miałem ponad pół godziny do planowego odlotu samolotu US Airways do Filadelfii. W Warszawie początkowo urzędnik LOT-u kazał mi zapłacić za bagaż tak jakbym podróżował wyłącznie na terenie EU, gdyż poza Amsterdamem dalszy ciąg podróży go

nie obchodził. Musiałem poprosić kierownika widząc, że z głupim sprawa, a następnie wytłumaczyć jak chłop growie na miedzy, że zarówno LOT jak i US Airways są członkami Star Alliance i podróż miałem zabukowaną na całej trasie z Warszawy przez Amsterdam, Filadelfię do Charlotte. Kierowniczką niedouczonego urzędnika nakazała przyjęcie bagażu bez opłaty ale z zemsty nie otrzymałem karty wstępu do samolotu linii USAirways na dalszy ciąg podróży. Rudobrody urzędnik US Airways był bardzo zajęty rozmową telefoniczną po holendersku, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi, gdy tymczasem czas nieubłaganie płynął. Po skończonej rozmowie wyszedł na zaplecze i nie pokazywał się przez kilka minut.

Mam dzisiaj szczęście trafić na wyjątkowych palantów – pomyślałem, gdy rudobrody, po wystukaniu moich danych wydał wyrok:

- *Odprawa jest już zamknięta, polecisz do Filadelfii jutro.*

Próbowałem się targować, gdyż do odlotu samolotu do Filadelfii zostało ponad 20 minut, ale rudobrody Holender był nieubłagany. Następnego dnia miałem się przekonać dlaczego odprawę zamykano tak wcześnie. Cierpiałem wówczas na ostre zapalenie gardła i mogłem mówić tylko szeptem. Gdy w informacji zapytałem o adresy tanich hoteli w Amsterdamie, wręczono mi listę, z której, nawet nie znając holenderskiego wywnioskowałem, iż jest to wykaz noclegowni dla bezdomnych. Musiałem zatem wyglądać bardzo źle. Pociągami dojechałem do głównego dworca Centraal Station, gdzie wykupiłem dobowy bilet na komunikację miejską. Zaopatrzony w mapę miasta udałem się na zwiedzanie. Oprócz obowiązkowego zaliczenia browaru Heineken, trafiłem na Albert Cuypmarkt, czyli bazar usytuowany wzdłuż ulicy Albert Cuyp straat, na przestrzeni liczącej całą szerokość ulicy o długości ok 500

metrów. Bazar był czynny do 18:00 a gdy zająłem się tam ponownie wieczorem to już wszystkie stragany zostały uprzątnięte, a ja nie mogłem wyjść z podziwu nad sprawnością i organizacją tak gigantycznego przedsięwzięcia. W odległości dwóch przystanków od dworca zauważyłem hotel Ajax, który skojarzył mi się z towarzyskim meczem rozegranym w latach 60-tych ub. Stulecia. Ajax Amsterdam rozgromił wówczas Ruch Chorzów 7:0. Mimo, iż był to skromny hotelik to cena za jedną dobę bynajmniej nie była skromna - 100 €. Okna pokoju wychodziły na ślepą ścianę sąsiedniego budynku stojącego w odległości trzech metrów odd hotelu Ajax. Z odgłosów dochodzących z sąsiednich pokoi wywnioskowałem, iż wynajmowany jest również (a może głównie) na godziny.

Mimo przygód zdążyłem na interview w biurze zatrudnienia South Carolina Department od Corrections 24 lipca. Byłem przesłuchiwany przez kilku oficerów w stopniu porucznika, a będąc zupełnie rozluźniony, gdyż ewentualne zatrudnienie traktowałem jako środek na zabicie czasu, odpowiadałem swobodnie, bez tremy i rzeczowo. Po przeprowadzonych rozmowach, w magazynie odzieżowym przymierzyłem mundur, następnie pobrano odciski palców i wykonano mi zdjęcie do przepustki. Przed podjęciem decyzji o zatrudnieniu wysłano mnie do przychodni, w której prześwietlono mi klatkę piersiową oraz pobrano próbkę moczu na zawartość narkotyków. Po tygodniu dostałem odpowiedź, zaczynającą się od słów: Congratulations, a z treści wynikało, iż mam się zgłosić do HR w Evans Correctional Institution w Bennettsville w dniu 12 sierpnia 2009 roku. Zostałem poinformowany o funkcji i zadaniach Correctional Officer, otrzymałem zestaw przedmiotów, które należało zaliczyć w Training Academy by otrzymać szlify oficerskie. Dla zaliczenia każdego przedmiotu wymagane było 70% trafnych odpowiedzi lub innych składników testu. Musiałem podpi-

sać cały szereg oświadczeń, których kopie mi wręczono, pouczono mnie, iż za seks z więźniem będę dyscyplinarnie zwolniony, na co odparłem Mrs Hanagan – kierownicze HR^[152] pytaniem:

- *Czy ja wyglądam na pedała?*

- To jest standartowe pytanie, które zadajemy wszystkim kandydatom –^[153] odpowiedziała Mrs. Hanagan z uśmiechem.

Kopie podpisanych przeze mnie formularzy zawierały m.in. pouczenie o wyglądzie zewnętrznym oficera, przedmiotach dopuszczalnych do przynoszenia do pracy, oraz warunkach zatrudnienia i wynagrodzenia. W pierwszym roku wynagrodzenie wynosiło 24,331 plus premia w wysokości 973 dolarów rocznie. Od wynagrodzenia na samym początku odjęto 20 godzin furlogh czyli bezpłatnego urlopu na okoliczność cięć budżetowych. Za każdy przepracowany miesiąc przysługiwało mi 10 godzin płatnego urlopu, tyleż zwolniona chorobowego, ubezpieczenie medyczne, 12 płatnych świąt, policyjna emerytura przysługująca po conajmniej 5-ciu latach dla osób, które skończyły 50 lat, wynagrodzenia za godziny nadliczbowe według obowiązujących zasad. Do pracy miałem się stawić 24-go sierpnia o godz 7:45 i w ramie wejściowej spytać o porucznika Britt lub Kresgee.

24 sierpnia 2009 roku po raz drugi w życiu przekroczyłem kratę oddzielającą pomieszczenia biurowe od pozostałej części więzienia – pierwszy raz miało to miejsce 19 grudnia 1981. Sytuacja w pewnym sensie podobna jakkolwiek odwrócona dokładnie o 180°. Zarówno wówczas jak i obecnie towarzyszył mi porucznik, z tą różnicą iż obecny był kobietą, która przedstawiła mi się: Lieutenant Kresgee, i wyciągnęła rękę na powitanie, ze słowami:

- *Welcome on the board* (dosł. witaj na pokładzie).

152 HR – skrót of Human Resources. Wydział Personalny – kadry.

153

W ten sposób wita się nowych pracowników a ja później złośliwie używałem tego zwrotu w stosunku do nowo przyjętych osadzonych. Pierwszy dzień spędziłem studiując instrukcje, a była ich taka masa, iż wytworzył mi się w głowie kompletny mętlik. Kolejne dni spędzałem na przemian w warsztacie naprawczym a następnie eskortując pracujących więźniów wysłanych do poszczególnych pawilonów w celu dokonania napraw wszelkiego rodzaju.

Elektryk, którego kilka razy eskortowałem nazywał się Wesołowski a jego rodzice byli ponoć polskiego pochodzenia. Siedział już 13 lat za gwałt a do odsiedzenia zostało mu jeszcze 2. Nie przyznawałem się do polskiego pochodzenia ani Wesołowskiemu ani żadnemu z więźniów, zgodnie z zasadą: im mniej więźniowie o tobie wiedzą tym jesteś bezpieczniejszy. Później któryś z moich kolegów (albo koleżanek) wyklepał ale ja kategorycznie unikałem potwierdzenia bądź zaprzeczenia. Po przerwie na lunch albo asystowaliśmy oficerom albo jedemu(ej) z nas wyznaczano obsługę centrali telefonicznej. Było to nudne zajęcie jakkolwiek przy tej okazji miałem okazję poznać wszystkich pracowników cywilnych oraz oficerów wyższych stopni. Ponadto, korzystając z kodu pingo, dzwoniłem w wolnych chwilach do Polski, przeważnie do Jagody. W ten sposób upłynęły mi trzy tygodnie okresu wstępnego po czym zostałem wysłany do Akademii na tygodniowe szkolenie orientacyjne.

Miałem okazję poznać smak więziennej kuchni oraz spania na identycznym materacu oraz w identycznej pościeli jaką faszowali więźniowie. Warunki w akademiku prawdopodobnie mieliśmy podobne do więźniów by nie przejmować się później zbyt ich skargami na wyżywienie lub jakość pościeli. Na terenie siedziby SCDC, oprócz Akademii znajdowały się: główny magazyn, parking autobusów do przewożenia więźniów, trzy więzienia w tym jedno

dla kobiet i jedno dla młodocianych, zakłady hodowli krów, świń, kurczaków, produkcji rolnej na potrzeby więzień oraz ogromne pastwiska. Pod względem wyżywienia więzienia podlegające SCDC były samowystarczalne. W pobliżu usytuowana była Akademia Policyjna, na terenie której znajdowała się stołówka serwująca przyzwoite obiady z bufetem i kilkoma daniami do wyboru. Podobno stołówka na terenie kobiecego więzienia serwowała obiady o znacznie pod lepszej jakości niż Criminal Justice Academy (akademia policyjna). Nie sprawdzałem, wołałem wydać 2,50\$ by zjeść smacznie i mieć wybór. W pobliżu CJA i SCDC znajdował się sklep, w którym można się było zaopatrzyć we wszelkiego rodzaju akcesoria mundurowe.

W ramach cięć budżetowych wyposażenie oficerów było bardziej niż skromne. Otrzymaliśmy m.in. chińskie buty po 3\$ para, na tekturowej podeszwie, która zdzierała się po zrobieniu kilkunastu kroków, parczany pas, nie będący w stanie utrzymać pęku kluczy czy rewolweru. Nie otrzymaliśmy natomiast żadnego nakrycia głowy ani na lato ani na zimę, żadnego okrycia chroniącego przed deszczem, swetra czy stroju treningowego. Wszystkie te elementy można było nabyć w rzeczonym sklepie Police & Military Supplies, co też uczyniłem gdy tylko otrzymałem pierwszy czek z wypłatą. Po tygodniowej przerwie wróciłem do Akademii tym razem już na prawdziwe 4-tygodniowe szkolenie obejmujące 3 tygodnie zajęć teoretycznych, przeprowadzania rewizji, udzielania pierwszej pomocy włącznie z zabiegiem sztucznego oddychania. Na trzeci dzień zajęć wyznaczony był test sprawnościowy, do którego przygotowywałem się w Arrowhead Park w Cheraw i z góry wiedziałem, iż nie będę miał problemów z zaliczeniem. Rzeczywiście z czasem 3:22 znalazłem się w pierwszej połówce klasy liczącej 48 studentów, dla większości z których mógłbym być oj-

cem a dla połowy dziadkiem. Zauważyłem również, iż kobietom naciągano wyniki, gdyż w regulaminowym czasie 5:27 nie pokonała dystansu żadna z nich. Dziewczyna, która powtarzała test, przywlokła się z ponad 1-minutowym opóźnieniem ale „zaliczyła” za wytrwałość.

Czwarty tydzień podzielony był na walki obronne i naukę chwytów obezwładniających, zakładania kajdanków, oraz strzelnicę, na której z różnych pozycji i odległości należało wystrzelać z rewolweru 135 punktów na 180 możliwych. Udało mnie się zdobyć 140 w serii próbnej i 178 w zaliczającej. Dziesięcioro studentów musiało powtarzać strzelanie, kilkoro po raz drugi a dwóm nie odało się nawet za trzecim razem. Mimo to, otrzymali dyplomy ukończenia Akademii z zastrzeżeniem zaliczenia strzelania w ciągu sześciu miesięcy. Ze średnią ocen 92,5%, czwartym wynikiem ze strzelnicy, znalazłem się w pierwszej piątce na 48-mio studentów. Nieźle poradziłem sobie również na walkach obronnych mimo, iż za partnera miałem 33-letniego byłego boksera zawodowego wagi ciężkiej.

W tej sytuacji postawiłem sobie plan maximum 5 lat pracy w SCDC, co dawało mi prawo do minimalnej policyjnej emerytury przysługującej osobom po ukończeniu 55 lat. Każdemu pracownikowi potrącano na fundusz PORS (Police Officers Retirement System) 6% wynagrodzenia a SCDC dokładał drugie 6% przysługujące dopiero po przepracowaniu minimalnego okresu, w moim przypadku wynoszącego 5 lat. Za plan minimum przyjąłem moment, w którym będę miał naprawdę dość zarówno użerania się z więźniami jak i upierdliwości przełożonych. W Evans otrzymałem przydział na nocną zmianę A2 kierowaną przez kapitana Thomasa Ocean, wspomaganego przez dwóch poruczników Watsona i Martina. Szarżę uzupełniali sierżanci Clark – jedyny biały w tej

grupie, oraz panie Lee, Freeman i Kelly. Z grupy oficerów przyjętych do pracy wraz ze mną na zmianę A2 trafił tylko Baskins, biały 22-latek i świeżo upieczony żonkoś. Kolorem skóry ponadto dopasowani do mnie byli oficerowie: Raigoza, Barnes, McCraig i Freeman (przypadkowa zbieżność nazwisk z sierżant Freeman) – noszący ksywę Elvis, z powodu zamiłowania do Elvisa Presley’a i starań by wyglądem, ruchami i nuconymi melodiami przypominać swe bożyszcze.

Przewaga czarnych na naszej i nie tylko, zmianie, wynika z faktu, iż bezrobocie, którego wskaźnik w okolicznych hrabstwach sięga 18%, najbardziej dotkliwe jest wśród czarnej mniejszości, a ponadto zawód oficera penitencjarnego czyli klawisza należy do najmniej atrakcyjnych. Nie tylko ze względu na liche wynagrodzenie ale również na niski prestiż społeczny w środowisku, gdzie odsetek osób, które weszły, wejdą lub znajdują się w konflikcie z prawem, jest dość wysoki. Pozostawiam bez komentarza oskarżenia mnie o rasizm w sytuacji, gdy przepracowałem trzy lata, mając większość podopiecznych oraz koleżanek i kolegów czarnych a z tymi ostatnimi zawarłem przyjaźnie trwające poza lokalizację i czas wspólnego zatrudnienia. Praca w ruchu ciągłym pozwalała zakumulować sporą ilość godzin nadliczbowych, co w połączeniu z 10-ma godzinami urlopu, zarabianymi każdego miesiąca dawało nadzieję na sporo dni wolnych.

Wiemy czyją matką jest nadzieja, co się w moich oczekiwaniach spełniło. O każde kilka dni urlopu musiałem dosłownie walczyć przekonując, iż zwrot opłat za wykupione bilety lotnicze już od dawna nie obowiązuje. Byłem w Polsce czterokrotnie podczas mojego zatrudnienia w SCDC: w 2010 dwukrotnie, w maju kiedy głównym powodem mojej wizyty był ślub Marcina – syna Jagody, oraz we wrześniu, a w roku 2011 w grudniu, na uroczystości zwią-

zane z XXX-leciem wprowadzenia stanu wojennego. Za każdym razem mój pobyt w Polsce nie przekraczał 12 dni kalendarzowych. W roku 2012 brałem po kilka dni na wyjazdy do Michigan oraz do New York na 3-lecie małżeństwa Bączków, czyli Eli i Pawła Bąkowskich a na przełomie czerwca i lipca chciałem wyjechać z Jagodą nad morze. Nie dostałem wolnego dnia 2-go lipca mimo, iż pokazałem itineary, z których wynikało, iż właśnie w tym dniu mam odlot z Charlotte.

Po 12-godzinnej służbie miałbym zaledwie 3 godziny na dojeździe do domu, kąpiel, przebranie, dokończenie pakowania i jazdę na lotnisko, w zależności od natężenia ruchu od 1,5 do 2-ch godzin. 1-go lipca miałem wyznaczoną wizytę lekarską na 9:00 rano i prosiłem o możliwość wyjścia o czasie, czyli najpóźniej 15 minut po 8:00. Podmiana przyszła o 8:30 i nie zdążyłem się już nawet przebrać. W tej sytuacji poprosiłem lekarzkę o zwolnienie, które bez wyjaśnień wypisała, co mi dało możliwość spędzenia nocy poprzedzającej podróż we własnym łóżku. Na stacji benzynowej spotkałem oficera Hudsona z Wydziału Kontrabandy, którego poprosiłem o doręczenie zwolnienia do działu operacyjnego. W zasadzie pisemne zwolnienie należało przedłożyć dopiero gdy absencja miała wynieść więcej niż 48 godzin ale przedłożenie formalne teoretycznie powinno rozwiązać wszelkie wątpliwości. To znaczy teoretyczne, bo praktyka z teorią nie zawsze idą w parze.

Po 10 latach działalności w Knights of Columbus doczekałem się wreszcie okazji zdobycia czwartego, czyli najwyższego stopnia wtajemniczenia. Zdobyć czwartego stopnia wtajemniczenia równoznaczne jest z pasowaniem na rycerza, którym przysługuje tytuł Sir Knight. Rycerzom IV stopnia przysługuje prawo noszenia insygniów rycerskich czyli szpady z szarfą, kapelusza w stylu napoleońskim i płaszcz. Obowiązkowym strojem jest smoking, a

insygnia rycerskie – bardzo kosztowne zresztą – są dowolne, wymagane wyłącznie podczas wart honorowych z takich okazji jak: konsekracja księży, ingres biskupa, wizyta Ojca Świętego, I Komunia Św., bierzmowanie, śluby i pogrzeby rycerzy.

Exemplifikacja czyli ceremonia pasowania na rycerza wyznaczona była na 25 sierpnia, na godz. 10:00 rano w miasteczku Taylor, odległym od Cheraw o 3,5 godziny jazdy. Kandydaci winni zjawić się w Sali parafialnej kościoła pw. Chrystusa Księcia Pokoju na godz. 9:00. Jasnym było, iż kończąc służbę o godz. 8:00 nie miałem szans by wziąć prysznic przebrać się i zdążyć na godz. 9:00 nawet gdybym miał do dyspozycji samolot. Na początku czerwca, znając grafik dyżurów złożyłem formalny wniosek o udzielenie dwóch dni wolnych 25-go i 26 sierpnia w ramach godzin nadliczbowych. Po powrocie późnym popołudniem raczej nie nadawałbym się do podjęcia służby. Odpowiedź otrzymałem 30-go lipca, dostarczoną mi przez sierżanta Harringtona – odmowną. Po policzeniu więźniów poprosiłem o podmianę i zgłosiłem się do kapitana Oceana pokazując mu zawiadomienie wraz z programem ceremonii i prosząc o zmianę decyzji.

Kpt. Ocean krótko powiedział, iż odmowa była czymś w rodzaju kary za zwolnienie lekarskie tuż przed wyjazdem na urlop. Długo zastanawiałem się nad dalszym postępowaniem, bo z jednej strony żał mi było stracić policyjną emeryturę, do wypracowania której zostały mi dwa lata, a z drugiej nie chciałem przekładać ceremonii pasowania na rycerza zwłaszcza, iż cała dokumentacja już była przygotowana, smoking kupiony a insygnia rycerskie zamówione. W następnym roku planowałem wycieczkę do Australii i Nowej Zelandii a na jednej z odpraw kapitan zapowiedział, żeby nie występować o significant number of vacation days bo nie zostanie udzielone. Na pytanie oficer Roarie co należy rozumieć pod

pojęciem significant, kapitan odpowiedział, że więcej niż 2 tygodnie. Czyli sytuacja dokładnie jak w ruskim banku: diengi jest a chuj połuczisz. Miałem wypracowane ponad 240 godzin urlopu, tyleż płatnych dni chorobowych, plus kilkadziesiąt godzin nadliczbowych do odebrania a tymczasem nie mogłem wybrać się na porządny urlop.

Gdy powiedziałem kapitanowi, iż ludzie w moim wieku potrzebują więcej czasu na regenerację sił, to mi cynicznie odpowiedział, że nie musiałem w tym wieku iść do pracy. Praca na nocnej zmianie dawała mnie się we znaki coraz bardziej, głównie wzrostem ciężaru ciała. W nocy nie mając nic innego do roboty jadłem jakieś owoce czy krakersy, które nie były mojemu organizmowi do niczego potrzebne. W ciągu niespełna trzech lat przytyłem ponad 10 kg, miałem trudności z wiązaniem sznurowadeł, dopinaniem spodni czy koszuli i czułem się ociężały. Z więźniami radziłem sobie coraz lepiej, bo w końcu zrozumieli, że jestem konsekwentny i odporny na wchodzenie w jakiegokolwiek układy. Pomału docierało do mnie, iż jestem bodaj jedynym na naszej zmianie oficerem, bez względu na stopień, nie posiadającym jakichkolwiek układów z którymkolwiek z więźniów. Nie szukałem wśród nich informatorów i nie odpowiadałem na żadne osobiste pytania w rodzaju miejsca zamieszkania, stanu cywilnego itd. Mimo, iż pod względem pełnienia obowiązków nikt nie mógł mieć do mnie żadnych zastrzeżeń, czułem się coraz bardziej wyobcowany, nie utrzymując żadnych kontaktów z koleżankami i kolegami poza obrębem więzienia. Owszem, miałem numery telefonów najbliższych sąsiadów na wypadek konieczności powiadomienia o niemożności przyjścia ale nie wykorzystywałem ich do czegokolwiek innego. Do końca służby podjąłem postanowienie złożenia wypowiedzenia. Gdy poprosiłem kapitana o jakiś formularz, na którym się składa wymówienie, dał

mi czystą katkę papieru pytając:

- *It's that what you want?* – czy właśnie tego chcesz?

- *No Sir, it's what YOU want. You gave me no options.* - Nie prosze pana. To pan tego chce nie pozostawiając mi innych możliwości

Po napisaniu jednego zdania, iż z dniem 24 sierpnia rozwiążę umowę z South Carolina Department of Corrections kapitan zaprosił mnie do pokoiku majora Westa, który po przeczytaniu mojego wymówienia zadał mi to samo pytanie, co kapitan Ocean. Ponownie odpowiedziałem, że to nie ja tego chce tylko kapitan, który mi nie dał innej opcji. Kapitan powtórzył swoje pretensje o zwolnienie lekarskie przed urlopem, na co ja odparłem, iż kapitan nie powinien wiązać spraw mojego urlopu i choroby a ja muszę mieć 25 i 26 sierpnia wolne albo jako pracownik SCDC albo jako wolny człowiek.

Major znalazł się w niezręcznej sytuacji, gdyż z jednej strony nie chciał tracić doświadczonego pracownika a z drugiej nie mógł podrywać autorytetu kapitana, nakłaniając go do zmiany raz podjętej decyzji. Powiedział zatem, że jutro wróci do sprawy ale następnego dnia widząc go w towarzystwie kapitana nie zdecydowałem się czekać aż będzie wolny.

W ten sposób, równo po trzech latach służby w Departamencie Więziennictwa Stanu Południowa Karolina ponownie stałem się 100%-wym emerytem bez dziennych obowiązków.

Po rozpoczęciu edycji wspomnień nadeszła z Polski wiadomość o biologicznym zejściu Wojciecha Jaruzelskiego, który w ten sposób uniknął ziemskiej odpowiedzialności za swoje zbrodnie. Przeciąganie procesu za wydanie rozkazu masakry na Wybrzeżu w 1970r. oraz za wprowadzenie stanu wojennego i jego następstwa, oraz odraczanie go pod byle pretekstem, było chyba z góry zaplanowane. Ogłoszenie, iż pogrzeb ma mieć charakter państwowy z wojskową asystą honorową, a prochy tego zbrodniarza spoczęły na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach stanowią rehot historii i oznaczają typowy wałęsowski” zwrot o 360°. Nie mam jednak zamiaru zmieniać z tego powodu tytułu.

O pisaniu wspomnień powiadomiłem mego przyjaciela Janusza Subczyńskiego, autora dwóch autobiografii: „*W cieniu szatana*” i „*Barwy życia*”. Chciałem by był pierwszym recenzentem i otrzymał ode mnie pierwszą kopię. Janusz był wszechstronnie uzdolniony: oprócz pewnej ręki doświadczonego neurochirurga, malował olejem na płótnie, grał na pianinie, śpiewał pięknym barytonem a także pisał wiersze. Jeden z nich napisał przeczuwając zbliżający się koniec wędrówki:

Droga

Idę drogą....

Droga jest długa,

Pierwsze jej ślady w błękitnej mgle tona.

A cel ostateczny niepojęty.

Jej przeszkody silnego nawet złamać mogą.

Upada wówczas przeklęty...

Idę drogą...

*Ide w zadumie poprzez majem młodości ubarwione laki,
Pelen pierwszych marzeń, przez sady kwieciami rozjasnione,
Wartko mijam strumienie i pola i ludzkie kąt
Byłe dalej, byłe wyżej, wiedza szare dni wypełnione*

Idę drogą...

*Coraz trudniej, coraz ciężej, coraz bardziej jest nieprzystępna,
odchodzi od niej piaskiem wysłane ścieżki łatwizny
Ktore wioda tam, gdzie przepaść jest bezgłębna
Lub tam gdzie lotów nie ma, tylko pływizny.*

Idę drogą...

*Upadam i podnoszę się by na następnym potknąć się kamieniu,
reczę i stopy mam już pokrwawione,
Lecz ide uparcie, nie poddam się pragnieniu,
By zawrócić, by się cofnąć, ide przez pola osnieżone.
Ide, bo nie mam powrotu...*

*Widzę i innych na drogach podobnych, jedni wspinają się do góry,
Jak i ja zgietę mają grzbiety, oddalają się, znikają,
Gdzieś w dali, w błękitnej przestrzeni, w tumanie białej chmury
I nigdy już nie wracają...*

*Ide uparcie, lecz coraz ciężej jest mi drogi przestawiać,
A czas nieustępliwy coraz szybciej goni.
Iść trzeba, nie czas by się zastanawiać,
Lecz coraz trudniej, bardzo pusto, mniej już kwiatów woni*

*Podnoszę głowę i już widzę ów szczyt do którego dążę,
Trzy krzyże blaskiem rozjasnione-pne się przez wykroty
Coraz bardziej się zbliżam, nic mnie już nie wiąże
Dochodzę do końca drogi, do mojej Golgoty*

Janusz Subczyński 8 października 1928 – 6 stycznia 2014.

